

Jarosław Wojtczak



INDIANIE i blade twarze

— Starcie cywilizacji —

BELLONA

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Czerwoni ludzie i blade twarze

Francisco de Coronado i siedem „złotych miast” królestwa Cíbola

Samuel de Champlain, Nowa Francja i „czarne suknie”

John Smith i księżniczka Pocahontas

Ojcowie pielgrzymi z „Mayflowera”

Wojna „króla Filipa”

Powstanie Pontiaka

Joseph Brant z plemienia Mohawków

Daniel Boone, pionier z Kentucky

Generał „Szalony” Anthony Wayne i bitwa pod Zaporą z Pni

Tecumseh i konflikt dwóch kultur

Czerowny Orzeł i „cywilizowane plemiona” z Południowego Zachodu

Jim Bridger i „ludzie z gór”

Czarny Jastrząb i ostatnia wojna wschodnich Indian

Osceola, „Wąż z Everglades”

Kit Carson i „długi marsz Nawahów”

Cochise, wódz Apaczów Chiricahua

Czarny Kocioł i masakra nad Sand Creek
Rzymski Nos i Żołnierze Psy
Wojna Czerwonej Chmury
Szalony Koń i masakra Fettermana
General George Crook i bitwa przy Jaskini Szkieletów
Kapitan Jack i wojna Modoków
Quanah Parker i wojna nad Rzeką Czerwoną
Podpułkownik George Custer i bitwa nad Little Bighorn
Wódz Józef i waleczny odwrót plemienia Nez Perce
Nieujarzmiony Geronimo, „Tygrys w Ludzkiej Skórze”
Siedzący Byk i Taniec Ducha
Wielka Stopa i tragedia nad Wounded Knee
Mapy
Grafiki i ilustracje
Bibliografia
Indeks osób
Okładka

Jarosław Wojtczak

INDIANIE i blade twarze

— Starcie cywilizacji —

BELLONA
Warszawa

Projekt okładki i stron tytułowych :*Radosław Krawczyk*

Redaktor merytoryczny: *Ewa Piotrkiewicz-Karmowska*

Redaktor prowadzący: *Zofia Gawryś*

Redaktor techniczny: *Beata Jankowska*

Korekta: *Ewa Piotrkiewicz-Karmowska, Joanna Proczka*

Copyright © by Bellona Spółka Akcyjna, Warszawa 2017

Copyright © by Jarosław Wojtczak, 2017

Zapraszamy na strony

www.bellona.pl, www.ksiegarnia.bellona.pl

Dołącz do nas na Facebooku

www.facebook.com/Wydawnictwo.Bellona

Bellona SA

ul. Bema 87, 01-233 Warszawa

Księgarnia i Dział Wysyłki:

tel. 22 457 03 02, 22 457 03 06, 22 457 03 78

faks 22 652 27 01

e-mail: biuro@bellona.pl

www.bellona.pl

ISBN 978-83-11-15124-6

Skład wersji elektronicznej

pan@drewnianyrower.com

Czerwoni ludzie i blade twarze

Ameryka Północna została odkryta nie jeden raz, ale przynajmniej trzy razy. Najpóźniej dokonał tego Krzysztof Kolumb, który przybył tam w roku 1492 na czele małej hiszpańskiej floty złożonej z trzech statków: „Niña”, „Pinta” i „Santa Maria”. O godzinie drugiej nad ranem 12 października obserwator z załogi „Pinty”, marynarz nazwiskiem Rodrigo de Tirana, dojrzał w świetle księżyca ciemny zarys ziemi. Dobijając do brzegu nieznanego lądu (była to dzisiejsza wyspa Watling z archipelagu Bahamów, w języku Indian zwana Guanahani, a przez Kolumba ochrzczona San Salvador), „w uzbrojonej szalupie z rozwiniętym sztandarem królewskim”, wielki odkrywca był przekonany, że dotarł do Indii. Dlatego mieszkańców tej i sąsiednich wysp zamieszkałych przez ludzi „opalonej barwy”, którzy wyglądali tak, jak spodziewano się, że wyglądają Hindusi lub Malajowie, nazwano Indianami.

Wyprawa Kolumba była wynikiem poszukiwań nowej drogi do Indii, gdy po klęsce Cesarstwa Bizantyjskiego w połowie XV wieku Turcy osmańscy zamknęli Europejczykom tradycyjne szlaki handlowe. W ostatnich dwustu latach średniowiecza (1300–1500), po odbiciu Ziemi Świętej z rąk muzułmanów, Europejczycy zdołali nawiązać i utrzymać kontakty handlowe z krajami Orientu. Zasmakowali wówczas w aromatycznych i ostrych korzeniach ze Wschodu, poznali woń nieznanych w Europie pachnideł Arabii, docenili lekkość chińskich jedwabów i indyjskich adamaszków oraz piękno cejlońskich pereł. Te rzadkie luksusowe dobra pozwalały wyśmienicie

poprawić smak potraw, zabezpieczyć przetwory mięsne na zimę, zaspokoić próżność eleganckich kobiet i podnieść komfort życia. Nic dziwnego, że egzotyczne produkty krajów Wschodu ceniono na równi ze złotem. Upadek Konstantynopola w 1453 roku i wzrost potęgi Turków osmańskich w Azji Mniejszej zamknął dla Europy dotychczasowe szlaki handlowe i spowodował braki w kuchni, piwnicy i alkooholu, zmuszając królów i żeglarzy do poszukiwania nowych dróg morskich.

Pierwsi wyruszyli na dalekie morza Portugalczycy, wyprzedzając o kilka lat Hiszpanów. Zachęceni przez protektora odkrywców księcia Henryka Żeglarza (1394–1460), portugalscy żeglarze ruszyli na południe wzdłuż zachodnich brzegów Afryki, aby dotrzeć do krajów Wschodu, Indii i Chin, okrężną drogą. W 1445 roku dotarli do Senegalu, a w 1471 roku, już po śmierci księcia Henryka, pierwsi z nich przekroczyli równik. W 1484 roku jeden z największych żeglarzy „wieku odkryć geograficznych” Diego Cão wylądował u ujścia rzeki Kongo. Trzy lata później Bartolomeu Diaz (Dias) przypadkowo dopłynął do południowego krańca Afryki, któremu król portugalski Jan II nadał później nazwę Przylądka Dobrej Nadziei. W maju 1488 roku słynny Vasco da Gama, „w służbie Boga, a dla korzyści portugalskiej Korony”, po opłynięciu burzliwego Przylądka Dobrej Nadziei i wschodnich brzegów kontynentu afrykańskiego, dotarł przez Ocean Indyjski do wybrzeży Indii. Zyskał tym nieśmiertelną sławę odkrywcy właściwej drogi do Indii i zaszczytny tytuł „admirala indyjskich mórz”.

Zwycięski koniec rekonkwisty i usunięcie ostatnich Maurów z Półwyspu Iberyjskiego w 1492 roku pozwoliły Hiszpanii włączyć się do rywalizacji o szlaki morskie i otworzyły włoskiemu żeglarzowi z Genui Krzysztofowi Kolumbowi drogę do Nowego Świata. Kolumb, któremu nie udało się przekonać króla Portugalii, że można dotrzeć na Wschód, żeglując

w kierunku zachodnim, uczynił to przy wsparciu Korony hiszpańskiej. Dzięki temu doszło do jednego z przełomowych odkryć geograficznych.

Odtąd Portugalia i Hiszpania stały się zaciekłymi rywalami, dążącymi do kolonizacji nowo odkrytych ziem, gdzie na zdobywców czekały niezmierzone bogactwa: złoto, wonne przyprawy i korzenie oraz inne cenne towary, w które obfitował legendarny Orient. W maju 1493 roku papież Aleksander VI, chcąc zakończyć szkodliwą rywalizację miłych swemu sercu krajów i ułatwić gorliwą chrystianizację tubylczych ludów, wydał bullę znaną pod nazwą *Inter caetera*. Dokonał w niej podziału świata i stref wpływów, przyznając Hiszpanii prawo eksploracji nowych terenów położonych na zachód od umownej linii północ-południe, biegnącej na zachód od Azorów, portugalskich wysp pośrodku Atlantyku, odległych o tysiąc dwieście kilometrów od Europy. Wszystkie zaś ziemie położone na wschód od linii demarkacyjnej miały przypaść w udziale Portugalii. W czerwcu 1494 roku, traktatem z Tordesillas, oba królestwa zgodziły się przesunąć linię rozgraniczenia dalej na zachód od Azorów i Wysp Zielonego Przylądka, akceptując pozostałe ustalenia zawarte w bulli papieża z roku 1493. W ten sposób półkula zachodnia znalazła się w większości pod berłem Hiszpanii, a Indie pozostały w rękach Portugalii.

Już za życia Kolumba zaczęto rozumieć, że odkryta przez niego ziemia to nie Indie, lecz nowy, nieznanym dotąd kontynent. W odróżnieniu od starego, znanego Europejczykom świata (*Viejo Mundo*), nadano mu nazwę Nowy Świat (*Nuevo Mundo*). Dzieło Kolumba kontynuowali żeglarze i podróżnicy hiszpańscy, portugalscy i włoscy. Jeden z nich, główny pilot Kastylii Amerigo Vespucci, w latach 1500–1505 gruntownie zbadał i opisał wybrzeża Ameryki Południowej od Wenezueli do Brazylii. Od jego też imienia zaczęto od 1507 roku nazywać

nowy ląd Ameryką[1]. Sam Wielki Admirał Krzysztof Kolumb już tego nie dożył. Zmarł w hiszpańskim Valladolid w 1506 roku, opuszczony i zapomniany przez ludzi, do końca nieświadomy, że odkrył nowy, olbrzymi ląd.

Przed Kolumbem do Ameryki dopłynęli wikingowie z Grenlandii, prowadzeni przez Leifa Erikssona (ok. 975–ok. 1020), zwanego Leifem Szczęśliwym[2]. Ten syn Eryka Rudego, islandzkiego banity i założyciela normańskich osad na Grenlandii, nasłuchawszy się opowieści żeglarzy o nieznannej lesistej ziemi na Zachodzie, około 1002 roku skompletował załogę złożoną z trzydziestu pięciu ludzi i wyruszył na jej poszukiwanie. Najpierw dotarł do lądu pokrytego płaskimi kamiennymi płytami, który nazwał Helluland, co w języku mieszkańców Islandii znaczy Kraina Kamieni. Była to prawdopodobnie Ziemia Baffina, największa wyspa Archipelagu Arktycznego, położona za kołem podbiegunowym. Ze względu na niegościnną i w większości skalistą powierzchnię wikingowie zwali ją Pustkowiec Zachodnim. Następnie Leif dopłynął do pokrytego lasem wybrzeża z piaszczystymi plażami na południe od Hellulandu, które nazwał Markland, co z kolei oznacza Krainę Lasów. Było to przypuszczalnie południowo-wschodnie wybrzeże półwyspu Labrador. Płynąc jeszcze dalej na południe, Eriksson odkrył kolejny ląd. On i jego załoga zeszli z pokładu łodzi i w miejscu nadającym się do zamieszkania wybudowali kilka chat, w których spędzili zimę. Okoliczne lasy zapewniały dostatek drewna i dzikiej zwierzyny, w rzekach roiło się od ryb, a klimat był znacznie łagodniejszy niż na dalekiej północy.

W takich okolicznościach miała powstać pierwsza normańska kolonia w Ameryce, w L'Anse aux Meadows na północnym krańcu wyspy Nowa Fundlandia[3]. Pochodząca z XIII wieku wikingowska *Saga o Grenlandczykach*, opisująca kolonizację Grenlandii przez Eryka Rudego oraz późniejsze

wyprawy na Zachód jego synów: Leifa, Thorvalda i Thorsteina, wspomina, że w pobliżu osady towarzysze Leifa znaleźli dzikie winogrona. Niektórzy badacze uważają, że właśnie dlatego odkrywcy nadali owej mitycznej kolonii nazwę Vinland (Winlandia), co oznacza Krainę Dzikiej Winorośli albo Krainę Łąk, o której mówią stare nordyckie sagi. W drodze powrotnej na Grenlandię Leif uratował grupę żeglarzy, których statek rozbił się o przybrzeżne skały, ci zaś w podzięce nazwali go Leifem Szczęśliwym.

Po powrocie Leifa na Grenlandię, do Winlandii ruszył jego młodszy brat, Thorvald. Kierując się wskazówkami Leifa, dotarł do pozostawionej przez niego osady i tak jak wcześniejsza wyprawa, został w niej na zimę. Badając okoliczne tereny, wikingowie napotkali trzy skórzane łodzie z kilkoma niedużymi i pokracznymi ludźmi o ciemnych włosach i brunatnych obliczach. Schwytali i zabili większość z nich, ale jeden z tubylców uciekł. Wkrótce jego współplemieńcy, których wikingowie nazwali Skraelingami, powrócili w większej liczbie i zaatakowali ludzi Thorvalda. On sam został śmiertelnie ranny i spoczął w ziemi winlandzkiej, a pozbawiona wodza załoga powróciła na Grenlandię.

Po ciału poległego Thorvalda wyruszył trzeci z braci Erikssonów, najmłodszy syn Eryka Rudego, Thorstein. Zebrał dwudziestopięciosobową załogę i razem z żoną Gudrid popłynął do Winlandii tym samym okrętem co wcześniej jego bracia. Nie miał jednak tyle szczęścia co oni. Jego okręt rozbił się o skały u wybrzeży Grenlandii i wyprawa nigdy nie dotarła do celu. Niedługo potem Thorstein zapadł na ciężką chorobę i zmarł.

Po śmierci Thorsteina wikingowie wyprawili się do Ameryki jeszcze parokrotnie, ale nie zdecydowali się na skolonizowanie odkrytego lądu. Powodów może być kilka: brak dostatecznej liczby ludzi do obrony przed Skraelingami oraz broni i narzędzi

do pracy, które dawałyby im przewagę nad wrogimi tubylcami; dramatyczny los wypraw Thorvalda i Thorsteina; obawa zabobonnych wikingów przed złymi duchami (nowa ziemia mogła im się wydawać przeklęta i dlatego nie chcieli jej zajmować).

Na koniec warto wspomnieć, że owi groźni Skraelingowie, o których wspominają sagi wikingów, to prawdopodobnie Indianie z plemienia Beothuk, zamieszkujący niegdyś Nową Fundlandię. Pierwsi biali odkrywcy, którzy spotkali ich na początku XVI wieku, ze zdziwieniem stwierdzili, że wielu z nich ma oczy i skórę jaśniejsze niż przedstawiciele innych plemion. Niektórym późniejszym badaczom dało to podstawę do twierdzeń, że byli oni zapewne potomkami wikińskich kolonistów, którzy pozostali w Ameryce i wtopili się w tubylczą społeczność. Inna sprawa, że z powodu malowania przez Beothuków ciał czerwoną farbą (co mogło być formą ochrony przed pasożytami i kąśliwymi owadami albo malunkiem wojennym) biali nadali wszystkim Indianom nazwę „czerwoni ludzie” (*Red Men*). Od niej wzięło się potem popularne określenie „czerwonoskórzy” (*redskins*). Sami Indianie, niezależnie od plemienia, z którego pochodzili, nazywali siebie różnymi wariantami słów „ludzie” albo „istoty ludzkie”. A gdy dotarli do nich osadnicy z Europy, nadali im miano „obcy”, ponieważ byli cudzoziemcami, których nie znali. Nieco później zrewanżowali się Europejczykom za „czerwonoskórych” równie pejoratywnym określeniem „blade twarze” (*palefaces*) i w ten oto sposób obie te nazwy dwu ras weszły do języka potocznego.

Na długo przed Kolumbem i wikingami tysiące przybyszów dotarło do Ameryki ze wschodniej Azji. Wystarczy spojrzeć na mapę świata, żeby od razu dostrzec, iż na północy Azję i Amerykę łączy wąski pas kolorowego morza – to Cieśnina Beringa. Dawniej klimat na Ziemi parokrotnie się ochładzał

i w miejscu morza powstawał lodowy pomost – Beringia. Tym naturalnym mostem w epoce lodowcowej, około czternastu tysięcy lat temu, przedostali się na kontynent amerykański pierwsi myśliwi z Syberii. Wędrowali w ślad za zwierzyną łowną na tereny dzisiejszej Alaski, a potem na południe wzdłuż wybrzeża oceanu, w miarę ustępowania lodowca. Niektórzy z nich pozostali na północy, dzieląc się na ponad tysiąc plemion mówiących różnymi językami i stwarzając rozmaite kultury. Niektórzy zamieszkali na prerii, inni w lasach, a jeszcze inni w górach i na pustyni. Pozostali poszli dalej na południe i zasiedlili Amerykę Południową. Ich potomkowie utworzyli później wysoko rozwinięte cywilizacje w Meksyku i w peruwiańskich Andach, dzięki którym wyrosły imperia Azteków, Majów i Inków.

Kilka tysięcy lat później z Azji do Ameryki ruszyły dwie inne fale migracyjne, które jednak ograniczyły swoje osadnictwo do północnego i północno-zachodniego wybrzeża i nie posunęły się w głąb lądu. Aż około dziewięciu tysięcy lat temu gwałtowne ocieplenie klimatu spowodowało topnienie lodów Arktyki i podniesienie wód oceanicznych. Wówczas wody Oceanu Spokojnego przykryły lądowe przejście z Syberii i połączyły się z wodami Oceanu Arktycznego, odcinając Amerykę od kontynentu euroazjatyckiego po raz pierwszy od tysięcy lat.

Część Indian sceptycznie podchodzi do tej teorii białego człowieka. Wolą wierzyć własnym legendom i podaniom, według których są pierwotnymi mieszkańcami Ameryki od zawsze, a nie potomkami odkrywców przybyłych z Azji. Tradycyjnie większość rdzennych ludów uważa, że zostały one stworzone z samej ziemi, z wody lub z gwiazd. Na przykład legenda Indian Hopi z Południowego Zachodu głosi, że ich przodkowie przybyli ze świata podziemnego do tego, który istnieje obecnie.

Kiedy pierwsi Europejczycy dotarli do Nowego Świata i zaczęli się osiedlać w Ameryce Północnej w XVI i XVII wieku, zastali Indian zamieszkujących cały kontynent. Nikt nie wie dokładnie, ilu ich naprawdę było. Jedni mówią, że milion, inni że dwa albo nawet pięć milionów. Różne grupy plemion mówiły różnymi językami, różnie wyglądały i prowadziły różny sposób życia. Zróżnicowanie kulturowe tych grup wynikało z odmiennych warunków przyrodniczych, w których żyły poszczególne plemiona.

Daleko na północy francuscy handlarze futer i słynni gońcy leśni, myśliwi i traperzy, którzy wyruszali z Nowej Francji na zachód po futra dzikich zwierząt, wkraczali na bogate tereny łowieckie Indian leśnych, pełne jeleni, łosi, niedźwiedzi i drobniejszych zwierząt futerkowych, a przy tym obfitujące w ryby. Była to ojczyzna plemion z grupy językowej Algonkinów, którzy w tym czasie zamieszkiwali wielkie połacie dzisiejszej wschodniej i środkowej Kanady, od Labradoru i Zatoki Świętego Wawrzyńca, przez gęste lasy na północ od Krainy Wielkich Jezior, aż do podnóży Gór Skalistych. Indianie ci to: Beothukowie, Naskapi, Montagnais, Ottawa, Nipissing, Czipewejowie (Odżibwejowie), Kri i Czarne Stopy. Do plemion algonkińskich należały również tereny wschodniego wybrzeża dzisiejszych Stanów Zjednoczonych, od Maine do przylądka Hatteras w Karolinie Północnej, oraz Kraina Wielkich Jezior, dolina Ohio i ziemie leżące dalej na południe, aż do rzeki Cumberland w Kentucky. Wybrzeżem Maine władały plemiona Mikmaków i Abenaków. Bardziej na zachód, w regionie Wielkich Jezior i nad rzeką Ohio, żyli Indianie Potawatomi, Menomini, Winnebagowie, Kikapu, Saukowie, Lisy, Mascouten, Miamisi, Illinois i Szaunisi. Z bogatej kultury Algonkinów pochodzi wiele słów i określeń, które do dziś kojarzą się z Indianami. Takie wyrazy, jak: „tomahawk”, „wigwam”,

„wampum” czy „Manitou” (oznaczałoby indiańskiego Wielkiego Ducha), mają swoje korzenie właśnie w języku algonkińskim.

W górze rzeki Hudson, na południe od jeziora Ontario i nad Rzeką Świętego Wawrzyńca, mieszkały plemiona irokeskie. Były to ludy bardzo agresywne i wojownicze. W końcu XVI wieku Irokezi zawiązali konfederację w celu zachowania pokoju pomiędzy sprzymierzonymi plemionami oraz wspólnej walki z wrogami. Konfederacja ta, zwana Ligą Pięciu Narodów (*Five Nations*), powstała około 1570 roku jako związek polityczny, społeczny i wojskowy pięciu plemion z irokeskiej grupy językowej, zamieszkujących północno-zachodnie tereny obecnego stanu Nowy Jork: Mohawków, Oneidów, Onondagów, Kajugów i Seneków. W 1715 roku przystąpiło do niej pokrewne plemię Tuskarorów z Karoliny Północnej, wskutek czego związek zmienił nazwę na: Liga Sześciu Narodów (*Six Nations*).

Irokezi i spokrewnione z nimi plemiona Huronów, Erie, Wenro i Susquehanna byli wojownikami i myśliwymi, ale z powodzeniem zajmowali się także uprawą rolną i ogrodnictwem oraz rybołówstwem. Często żyli w ufortyfikowanych wioskach otoczonych drewnianą palisadą, które Europejczycy nazywali „zamkami”. Wioski Irokezów składały się z *gmonh'sees* – słynnych „długich domów” krytych korą, które mogły pomieścić, zależnie od wielkości, od pięciu do dwudziestu rodzin. Początkowo dzięki swojemu oddaleniu od wybrzeża Irokezi nie ulegali europejskim wpływom. Jeszcze długo po zakończeniu wojny siedmioletniej (1756–1763) i upadku Nowej Francji zdołali utrzymać swoją autonomię. Dopiero po wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych (1776–1783) załamała się ich potęga i na ziemiach plemiennych Irokezów rozpoczęło się intensywne osadnictwo białych.

Dalej na południe od Rzeki Świętego Wawrzyńca, gdzie dotarli osadnicy z Anglii, żyli Indianie prowadzący bardziej osiadły tryb życia. Niektórzy zajmowali się myślistwem, ale

większość była rolnikami, mieszkała w stałych wioskach i na swoich małych poletkach uprawiała kukurydzę, fasolę, dynię piżmową (bardzo słodki i aromatyczny gatunek dyni o gruszkowatym kształcie, nadający się do długiego przechowywania) oraz tytoń. Trzy pierwsze rośliny Indianie uważali za święte dary Stwórcy i nazywali „trzema siostrami”. Liczba ludności rolniczej wzrastała w miarę posuwania się na południe, a formy organizacji politycznej wahały się od luźnych grup myśliwych na północy do podstaw państwowości na południu. Do najważniejszych plemion tego regionu należeli: Wampanoagowie, Narragansettowie, Pekotowie, Niantikowie, Moheganie, Delawarowie, Mohikanie i Powhatanowie. To właśnie te plemiona jako pierwsze w regionie zetknęły się z Europejczykami i to one, ze względu na gwałtowny charakter tych kontaktów, nie mogąc dostosować się do warunków narzuconych przez przybyszów, zapłaciły najwyższą cenę. Niektóre zostały całkowicie wyniszczone, inne uległy rozproszeniu i rozplynęły się w mrokach historii.

Mohikanów spopularyzował amerykański pisarz James Fenimore Cooper w swojej słynnej awanturniczo-przygodowej powieści *Ostatni Mohikanin* (1826), myląc ich jednak z pokrewnym algonkińskim plemieniem Moheganów. Przy okazji warto dodać, że to podobno od nich Holendrzy za pośrednictwem gubernatora kolonii Nowe Niderlandy Petera Minuita nabyli w 1626 roku nowojorską wyspę Manhattan za szklane koraliki i tanie błyskotki wartości sześćdziesięciu guldenów (około dwudziestu czterech ówczesnych dolarów), a powstałą na niej faktorię nazwali Nowym Amsterdamem. Wersję tę utrwała amerykańska pisarka Martha J. Lamb (1829–1893) w wydanej w 1877 roku *Historii miasta Nowy Jork*. W książce tej tak opisała okoliczności zakupu wyspy:

„Minuit zebrał kilku wodzów indiańskich i zaoferował im koraliki, guziki oraz inne drobiazgi w zamian za ziemię. Oni

z radością przyjęli warunki umowy i zakup został dokonany”.

W ten oto sposób szklane koraliki i błyszczące guziki stały się częścią historii Nowego Jorku, a ich znaczenie utrwały kolejne przekazy, aż w końcu upowszechniła się wersja, że Manhattan został kupiony za szklane paciorki.

Historia ta ma jeszcze inny aspekt. Dla Europejczyków posiadanie ziemi było oznaką bogactwa, władzy i prestiżu. Zakup ziemi oznaczał, że nabywca ma wyłączne prawo do jej posiadania i użytkowania. W pojęciu Indian natomiast ziemia, podobnie jak woda i powietrze, nie mogły być niczyją własnością i przedmiotem handlu. Dlatego wodzowie Mohikanów nie zdawali sobie sprawy, że Holendrzy przejmą ich ziemię i przeznaczą ją na wyłączny własny użytek. Zapewne więc każda ze stron transakcji inaczej interpretowała zawartą umowę. Historia, która w ciągu z górą stu lat stała się legendą, dla wielu stanowi jeden z licznych przykładów, w jaki sposób Indianie byli oszukiwani i wykorzystywani przez pazernych białych ludzi.

Jeszcze dalej na południe od osadnictwa przybyszów z Francji i Anglii, na półwyspie Floryda i w północnym Meksyku, rozgościli się Hiszpanie. Kiedy na początku XVI wieku hiszpańscy odkrywcy ruszyli na północ w głąb kontynentu, napotkali tam Indian, którzy mieszkali w murowanych wioskach (pueblach) zbudowanych z wypalanej na słońcu cegły *adobe* i znali sekret uprawy „trzech sióstr”: kukurydzy, fasoli i dyni piżmowej. Indian tych znamy dzisiaj jako Pueblów, Hopi, Acoma, Laguna i Zuni. I chociaż nie dla wszystkich rolnictwo było jedynym sposobem zdobywania pożywienia, bo niektórzy wciąż zajmowali się myślistwem i zbieractwem, to jednak sposób życia wyraźnie odróżniał ich od łowców bizonów na wschodzie, zbieraczy nasion i łowców królików z północy oraz zbieraczy żołądki z Kalifornii. Najbliższymi sąsiadami mieszkańców pueblów na terenie Nowego Meksyku i Arizony

byli piesi koczownicy Apacze i Nawahowie, którzy przywędrowali tam z dalekiej północy, wzdłuż wschodniej ściany Gór Skalistych, oraz plemiona Komanczów, Wiczitów (Wichita), Tonkawów i Kaddo z południowych Wielkich Równin na pograniczu Nowego Meksyku, Oklahomy i północnego Teksasu. Podobny tryb życia prowadzili ich dalsi sąsiedzi z północy: Arapahowie, Kiowowie, Czejenowie i Siuksowie. Wszyscy oni mieszkali w skórzanych namiotach tipi, a do transportu dobytku używali psów. Indianie ci polowali na bizona i niczym piraci z prerii napadali na siebie i osiadłych sąsiadów, rabując pożywienie i porywając kobiety oraz dzieci. Skala ich łupieżczych ataków wzrosła jeszcze bardziej, gdy później doszły do tego konie, muły i inne zwierzęta hodowlane przejęte od białych. Okresy walki wędrowni rabusie przerywali częstymi okresami pokoju, w trakcie których zajmowali się handlem z rolniczymi sąsiadami, wymieniając mięso i skóry bizonów na płody rolne, gliniane naczynia i przedmioty zbytku.

Na północ od hiszpańskiej Florydy, pokrytej gęstymi lasami i nieprzebytymi bagnami ojczyzny Seminolów, żyły ludy zamieszkujące hojnie obdarzony przez przyrodę region obejmujący dzisiejsze stany Missisipi, Alabama, Georgia i Karolina Południowa. Ludy te prowadziły osiadły tryb życia oparty na uprawie kukurydzy, myślistwie i połowie ryb. Należały do nich plemiona: Alabamów, Biloxi, Naczezów, Krików, Czoktawów, Czikasawów, Katawbów i Czirokezów. Później wszystkie one utraciły swoje ziemie; wiele z nich zniknęło, część przeniosła się na zachód, z niedobitków niektórych powstały nowe. Plemiona te posługiwały się różnymi, często odosobnionymi językami, a Krikowie, Czirokezi, Czoktawowie i Czikasawowie razem z Seminolami stali się potem znani jako „pięć cywilizowanych plemion” (*Five Civilized Tribes*).

Napływ osadników z Europy od początku powodował konflikty z Indianami, których nigdy nie udało się rozwiązać w pokojowy sposób. Głód ziemi przybyszów, całkowicie niezrozumiały dla tubylców, skłaniał osadników do wypychania indiańskich plemion z ich domów i terenów łowieckich. Rywalizując ze sobą o te same terytoria, obie strony rozpoczęły niekończące się pasmo potyczek i wojen. W miarę upływu czasu natężenie tych walk rosło i stan taki trwał prawie trzy stulecia. Jak podaje *Ilustrowana historia Indian (An Illustrated History of Indians)*, wraz z przybyciem Europejczyków Indianie „we własnym środowisku musieli podjąć walkę z najżarłoczniejszymi drapieżnikami, z jakimi kiedykolwiek mieli do czynienia – z białymi europejskimi najeźdźcami”.

W długotrwałej wojnie o panowanie nad kontynentem Indianie od początku byli na straconej pozycji. Najczęściej stawali przed wyborem: ziemia przodków lub życie. I zwykle tracili i jedno, i drugie. Opuszczali swoją ziemię, a potem i tak ginęli: z ręki białego człowieka, z głodu bądź wskutek chorób. Wraz z nimi zaś ginęły ich wielowiekowy dorobek kulturowy i dziedzictwo przodków. Jedyne, co mogli w tej sytuacji zrobić, to spowolnić napływ białych i choć na pewien czas powstrzymać nieubłaganą machinę obcej cywilizacji zagrażającą ich dotychczasowemu światu. Biorąc pod uwagę liczebność i uzbrojenie Indian, byli oni nieuchronnie skazani na przegraną. I faktycznie: w końcu, po latach walk i niewyobrażalnych cierpień, fala ze wschodu zmyła ich i przyniosła im zagładę. W 1831 roku francuski historyk Alexis de Tocqueville tak podsumował utartą wśród białych opinię o Indianach: „Niebiosa nie przysposobiły ich do ucywilizowania: są skazani na zagładę”.

Jednakże to nie wojny pochłaniały najwięcej ofiar wśród plemion indiańskich. Najpotężniejszą bronią w podboju Ameryki Północnej nie były strzelba, koń, Biblia czy europejska

cywilizacja, lecz zaraza. O tym, do czego doprowadziły na kontynencie amerykańskim choroby przyniesione ze Starego Świata, tak pisze amerykańska historyk Patricia Nelson Limerick: „Choroby zawleczone do Nowego Świata, na które Europejczycy uodpornili się w ciągu wieków, takie jak: ospa wietrzna, odra, grypa, malaria, żółta febra, tyfus, gruźlica i przede wszystkim ospa, trafiły na podatny grunt. W jednej wiosce po drugiej umierało nawet 80–90 procent mieszkańców”. Znamienny jest na tym tle opis epidemii ospy, która nawiedziła północne prerie w dorzeczu rzeki Missouri w 1837 roku: „Najpierw dotknęła Mandanów, a wkrótce potem Hidatsów, Assiniboinów, Arikarów, Siuksów i Czarne Stopy. Mandanów wyniszczyła niemal całkowicie. W roku 1834 było ich około 1600, a w 1837 już tylko 130”.

Opór Indian przed białymi najdłużej trwał na Wielkich Równinach i na Południowym Zachodzie. Gdy tylko w latach czterdziestych XIX wieku pierwsi biali osadnicy ruszyli hurmem na otwarte prerie, z miejsca zaczęli wybijać wielkie stada bizonów, stanowiących podstawę egzystencji żyjących tam Indian. Nie minęło parę lat, a Indianie stanęli w obliczu prawdziwej inwazji i zniszczenia swoich ulubionych terenów łowieckich. W odpowiedzi rozpoczęli wojnę podjazdową i podjęli próbę zmuszenia białych siłą do opuszczenia ich terytoriów. Z tą myślą atakowali karawany osadników wędrujących w poprzek kontynentu, niepokoiли wdzierających się na ich ziemie górników i poszukiwaczy bogactw mineralnych, zwalczali myśliwych dziesiątkujących nieprzebrane do niedawna stada bizonów i niszczyli uprawy farmerów gospodarujących na polach, na których do niedawna wypasała się dzika zwierzyna. Rząd Stanów Zjednoczonych posyłał przeciwko nim wojsko dla zaprowadzenia i utrzymania porządku, które jednak w ostatecznym rozrachunku stało się

głównym narzędziem ujarznienia wolnych plemion i złamania ich woli oporu raz na zawsze.

W drugiej połowie XIX wieku armia amerykańska dowodzona przez wielu zdeterminowanych i doświadczonych oficerów, weteranów niedawno zakończonej wojny secesyjnej (1861–1865), zrobiła wszystko, aby pokonać najbardziej nieprzejednanych i niepokornych Indian, którzy stanowili przeszkodę w drodze na Zachód. Trwająca dwadzieścia pięć lat wojna obfitowała w krwawe starcia i przyniosła wiele ofiar po obu stronach. Dwóch odmiennych stylów życia nie dało się w żaden sposób pogodzić i o wyniku konfrontacji musiała zdecydować brutalna siła. Ostatecznie rząd amerykański postanowił osadzić dotychczasowych władców prerii w odludnych i jałowych rezerwatach, gdzie odtąd mieli żyć w narzuconym im przemocą pokoju na koszt zwycięskiego rządu.

Konfrontacja zwyczajów i kultury plemion z Wielkich Równin z cywilizacją europejską zakończyła się dla Indian tragicznie. Zdecydowały o tym nie tylko przewaga liczebna i technika białych, przywleczone przez nich choroby i wyniszczenie bizonów stanowiących materialną podstawę bytu plemion, ale także fatalne pojmowanie wojny przez Indian. Ich szczególna mentalność w zetknięciu z militarną techniką i sposobami walki Amerykanów musiała przegrać. Wojownik indiański był bowiem przede wszystkim indywidualistą szukającym okazji do zademonstrowania osobistej odwagi i wykazania się w walce. Owszem, odwaga, wytrzymałość, mistrzowskie posługiwanie się bronią i sztuka jazdy konnej często pozwalały mu na osiągnięcie przewagi nad białymi. Wybitny znawca Indian Stanley Vestal mówił o Indianach, których znał najlepiej: „Indianin, Siuks czy też Czejen, był mniej więcej czterokrotnie bardziej efektywny niż biały żołnierz”^[4]. Sukcesy te jednak miały ograniczoną skalę.

Rzadko bowiem udawało się Indianom zebrać dostateczną liczbę wojowników, aby skutecznie przeciwstawić się dobrze uzbrojonym i zorganizowanym oddziałom wojska. Jeszcze trudniejsze okazywało się utrzymanie wojowników na wojennej ścieżce przez dłuższy czas i nauczanie ich dyscypliny. Wodzowie indiańscy, prowadząc swoich ludzi do boju, nie mieli właściwie żadnego wpływu na ich zachowanie podczas walki. Wielką słabością Indian był też brak jedności, wynikający z ukształtowanej przez stulecia wrogości plemiennej.

Indianie i blade twarze to kolorowe i sugestywne podsumowanie blisko trzystuletniej walki przedstawicieli dwóch ras o panowanie nad kontynentem. Na kolejnych stronach książki opowiemy o życiu najsłynniejszych ludzi, zarówno Indian, jak i białych, którzy odegrali czołową rolę w zmaganiach o kontrolę nad Ameryką Północną, od chwili przybycia pierwszych Europejczyków do zamknięcia w rezerwatach ostatnich wolnych Indian z Wielkich Równin.

Przypisy

- 1 Nazwę „Ameryka” nowy kontynent zawdzięcza niemieckiemu geografowi, księgarzowi i wydawcy Martinowi Waldseemüllerowi, który w 1507 r. wydał w lotaryńskim Saint-Dié dziełko Amerigo Vespucciego: *Cosmographiae introductio etc., insuper quatour Americii Vespucci navigationes*.
- 2 Na pamiątkę tego wydarzenia corocznie 9 października w Ameryce obchodzi się Dzień Leifa Erikssona (*Leif Erikson Day*), upamiętniający pierwszego znanego Europejczyka, który postawił stopę na amerykańskiej ziemi.
- 3 W miejscu znanym dziś jako L’Anse aux Meadows norweski podróżnik i badacz dr Helge Ingstad oraz jego żona, archeolog Anne Stine Ingstad, w 1960 r. odnaleźli pozostałości osady wikingów. Tym samym potwierdzili teorię, że wikingowie docierali do Ameryki Północnej na długo przed wyprawą Krzysztofa Kolumba.
- 4 S.E. Thompson, *Poselstwo Indianina*, Biblioteczka Walden, Katowice 1994, s. 31.

Francisco de Coronado i siedem „złotych miast” królestwa Cíbola

Zaalarmowani przybyciem do ich wioski nieznanymi białymi ludźmi w błyszczących pancerzach i żelaznych hełmach na głowach, Indianie Zuni zaczęli strzelać do nich z łuków i obrzucać ich kamieniami. Ciężkie kamulce i odłamki skał, gęsto rzucone z dachów domów przez półnagich tubylców, bez trudu trafiały w cele. Młody hiszpański dowódca i wielu jego ludzi zostało rannych.

Wodzem, który 4 lipca 1540 roku zaatakował wioskę plemienia Zuni, był młody konkwistador Francisco Vázquez de Coronado. Ten urodzony w 1510 roku w Salamance zamożny hiszpański szlachcic w wieku dwudziestu pięciu lat przybył do Meksyku, zwanego wtedy Nową Hiszpanią, jako dworzanie wicekróla (namiestnika) Antonia de Mendozy. Wkrótce został gubernatorem prowincji Nueva Galicia (Nowa Galicja), położonej na północny zachód od miasta Meksyk i obejmującej większość dzisiejszych meksykańskich stanów Jalisco, Sinaloa i Nayarit. W 1539 roku do stolicy Nowej Galicji, miasta Compostela, dotarły za pośrednictwem hiszpańskiego podróżnika i odkrywcy nazwiskiem Cabeza de Vaca ekscytujące wieści o istnieniu na północy indiańskiego królestwa opływającego w niezmiernie bogactwa.

Álvar Núñez Cabeza de Vaca (1491–1559) był jednym z uczestników wyprawy Pánfilo de Narváeza, gubernatora

Florydy, zorganizowanej w celu podboju tego regionu, która znalazła swój tragiczny koniec wśród sztormów i dzikich pustkowi wybrzeża Zatoki Meksykańskiej. W listopadzie 1528 roku część rozbitków wylądowała na brzegu w pobliżu dzisiejszej wyspy Galveston na wschodnim wybrzeżu Teksasu. Większość z nich padła ofiarą dzikich zwierząt i miejscowych Indian Karankawa, którym przypisywano kanibalizm. Cabeza de Vaca zachował życie, a z czasem nawet zyskał szacunek tubylców dzięki znajomości szamańskich praktyk. Po kilku latach pobytu wśród Indian, z którymi przemierzał tereny w dorzeczu rzek Rio Grande i Guadalupe, udało mu się odszukać trzech innych rozbitków ocalałych z nieszczęsnej wyprawy Narváeza. Wspólnie pokonali pieszo kilka tysięcy kilometrów i po przebyciu Rio Grande oraz dzikich i pustych gór północnego Meksyku dotarli w 1536 roku do osiedla Culiacán na zachodnim wybrzeżu Nowej Hiszpanii, a potem do miasta Meksyk.

W trakcie swojej kilkuletniej podróży Cabeza de Vaca i jego towarzysze napotkali wielu Indian, od których słyszeli dziwne opowieści o położonych na północy wielkich i bogatych miastach tajemniczego królestwa Cíbola. W 1542 roku ukazała się w Hiszpanii jego relacja z wędrówki po Ameryce Północnej, zatytułowana *Naufragios*, w której zwięźle opisał swoje przygody i zwyczaje napotkanych Indian. Wprawdzie unikał w niej fantastycznych opisów dotyczących królestwa Cíbola, ograniczając się jedynie do powtórzenia informacji uzyskanych na ten temat od indiańskich plemion, ale już wtedy żyła własnym życiem legenda, która zdążyła rozbudzić wyobraźnię i apetyty hiszpańskich konkwistadorów. Tym bardziej że w 1539 roku plotki o siedmiu niezwykłych miastach królestwa Cíbola „potwierdził” po powrocie z misji w północnych rejonach kraju franciszkański misjonarz Marcos de Niza. Opowiadał on, że na własne oczy widział owe miasta

zbudowane całkowicie ze złota. Wicekról Mendoza, który dostał wręcz obsesji na tym punkcie, nie miał już wątpliwości, że indiańska tradycja mówi prawdę, i postanowił zorganizować wyprawę po skarby Cíboli.

Tak więc w lutym 1540 roku wyruszyła z Composteli na północ wzdłuż zachodniego wybrzeża Meksyku liczna i dobrze wyekwipowana ekspedycja, na której czele stanął zaufany człowiek wicekróla, Francisco de Coronado. Młody gubernator Nowej Galicji prowadził ze sobą trzystu czterdziestu zakutych w blachy Hiszpanów oraz tysiąc trzystu pomocniczych meksykańskich Indian, którzy pełnili funkcje przewodników, służących i poganiaczy bydła. Celem ekspedycji był region Południowego Zachodu dzisiejszych Stanów Zjednoczonych.

Przez wiele tygodni wyprawa błędziła po górach i pustyniach północnego Meksyku, srogo doświadczana przez trudy, choroby, pragnienie i jadowite węże. Cztery miesiące od wyruszenia z Composteli, po długim i męczącym marszu przez bezdroża Nowego Meksyku i Arizony, Coronado poprowadził czołową grupę dwustu kawalerzystów i garstkę Indian do mitycznego królestwa Cíbola. Siedem „złotych miast” okazało się zbiorowiskiem kilku wsi (pueblos) plemienia Zuni, położonym w północno-zachodniej części dzisiejszego stanu Nowy Meksyk. Zamiast wspaniałych domów z cegły ozdobionych turkusami Hiszpanie zobaczyli gliniane budowle z małymi izbami mieszkalnymi, o wysokości trzech do pięciu kondygnacji, do których wchodziło się po drabinach przez otwory w dachu. Jak napisał później Coronado o wiosce Hawikuh, „było to małe kamienne pueblo, całe pokruszone, pełne małych, ciasnych domów bez werandy i balkonów”. Składało się z prawie dwustu takich domów, zamieszkałych przypuszczalnie przez około pięciuset rodzin.

Na powitanie Hiszpanów wyszło czterech Indian, niosąc na znak przyjaźni kilka koszy kukurydzy. Kukurydza dla Zuni

miała charakter symboliczny, ale wśród przybyszów nie było nikogo, kto znałby język tubylców i potrafiłby właściwie ocenić ten gest. Zawiedziony brakiem złota, srebra i drogich kamieni, Coronado z pogardą odrzucił indiański dar. Dla wysłanników Zuni był to akt wrogości, którego nie mogli puścić płazem. Wrócili do pueblo i opowiedzieli swoim pobratymcom o nieprzyjaznym przyjęciu. Indianie zaczęli przygotowania do walki, a kiedy nadeszli obcy, stawili im opór. Lepiej uzbrojeni Hiszpanie przypuścili zdecydowany szturm, zmuszając Zuni do ucieczki. Coronado został trafiony kamieniem i odniósł bolesną ranę. Trzy dni później większość mieszkańców Hawikuh powróciła i złożyła przybyszom dar w postaci paru turkusów. Tym razem Coronado przyjął prezent, nie omieszkał jednak nakazać Indianom przejście na wiarę chrześcijańską i służenie odtąd królowi Hiszpanii. Nie wiadomo, czy Zuni zrozumieli jego słowa, niemniej szybko zabrali swoje rzeczy i następnego dnia uciekli w pobliskie góry. Wzbudzili tym u części Hiszpanów podejrzenie, że chcą w ten sposób ukryć przez nimi swoje „turkusowe skarby”. Prawdopodobnie jednak Indianie zlekli się, że Coronado i jego towarzysze są owymi obcymi ludźmi, których przybycie zapowiadała stara przepowiednia Zuni i którzy mieli podbić ich kraj.

Coronado zaś uznał, że biedni i prymitywni Zuni nie mogli sami wybudować swoich wiosek i gdzieś w pobliżu musi żyć jakiś inny lud na wyższym poziomie rozwoju. Jego ludzie spenetrowali region, ale nigdzie nie natrafili na ślady wysoko rozwiniętej cywilizacji. Jeden z oddziałów zwiadowczych, prowadzony przez kapitana Pedro de Tovara i ojca Juana de Padillę, dotarł do siedziby Indian Hopi o nazwie Tusayán, na wyżynie Kolorado w dzisiejszej Arizonie. Próba narzucenia mieszkańcom Tusayán władzy króla Hiszpanii skończyła się walką, po której przestraszeni Hopi złożyli przybyszom dary w postaci bawełnianej odzieży, skór zwierzęcych, kukurydzy

i orzeszków pini. Tovar dowiedział się wówczas o istnieniu wielkiej rzeki, nad którą znajdują się następne osady Indian. Wysłany na ich poszukiwanie z dwunastoma ludźmi kapitan García López de Cárdenas dotarł do rzeki Kolorado i jako pierwszy Europejczyk zobaczył słynny Wielki Kanion (*Grand Canyon*) w dzisiejszej Arizonie. Spragnieni świeżej wody po długiej podróży przez pustynię Hiszpanie przez trzy dni szukali możliwości zejścia w dół przełomu rzeki, ale bardzo głęboki i szeroki kanion okazał się przeszkodą nie do sforsowania. Stojąc na wysokim brzegu Kolorado, Cárdenas nie wiedział, że kapitan Melchior Díaz, wysłany przez Coronado z powrotem do Meksyku na czele małego oddziału konkwistadorów, we wrześniu 1540 roku dotarł do rzeki przy jej ujściu do Zatoki Kalifornijskiej. Díaz nazwał ją Rio del Tizón, czyli Rzeką Płonących Główni, od wielkich ognisk, przy których rozgrzewali się miejscowi Indianie Cocopa i Juman (Yuman). Nie mogąc zejść do rzeki, Cárdenas i jego ludzie wrócili do sił głównych w Cíboli.

Pod nieobecność Cárdenasa kolejny oddział z ekspedycji Coronado, pod komendą Hernanda de Alvarado, spenetrował teren w dół i w górę Rio Grande, docierając w okolice dzisiejszego Santa Fe i indiańskiej osady Taos. W jednej z wiosek plemienia Pueblo Hiszpanie spotkali indiańskiego jeńca ze wschodu kraju, który nosił na głowie turban i z tej racji nazwali go „Turkiem”. Przypuszczalnie pochodził on z plemienia Wichita lub Kaddo. Widząc ogromne zainteresowanie przybyszów złotem i srebrem, „Turek” opowiedział im o innym mieście pełnym skarbów, które nazywał Quivira, i wyraził gotowość, że ich tam zaprowadzi. Jest więcej niż prawdopodobne, że sprytny Indianin chciał w ten sposób nakłonić białych, aby bezpiecznie odprowadzili go do jego ojczyzny.

Idąc dalej na wschód, Coronado dotarł do kraju suchego, kamienistego i pustego, który określił mianem *despoblado*, co znaczy „dzicz” albo „bezludzie”. Przepuszczalnie było to terytorium pozostawione w XII wieku przez „mieszkańców klifów”, wymarłe plemiona Anasazi (w języku Nawahów – „sędziwi”), przodków wielu Indian Pueblo, żyjące niegdyś w kamiennych miastach ukrytych w zboczach gór Arizony, Nowego Meksyku i Kolorado, albo niedawno spustoszone przez jakąś epidemię, która wyprzedziła pochód konkwistadorów. A może po prostu Indianie, którzy żyli w tej okolicy, pochowali się przed nieznanymi białymi ludźmi.

Połączywszy znowu siły, ekspedycja Coronado spędziła zimę na przełomie lat 1540 i 1541 w pobliżu wioski Tiguex nad Rio Grande, w miejscu, które wytypował na obóz zimowy Alvarado. Tam Hiszpanie odparli kilka ataków Indian i wiosną 1541 roku wyszli na prerie Nowego Meksyku. Na wschód od siedzib Indian Pueblo, gdzie na trawiastych równinach pasły się ogromne stada bizonów, Coronado i jego ludzie po raz pierwszy spotkali słynnych Apaczów, których nazwali Querechos. W kwietniu tego roku Coronado zanotował:

„Po siedemnastu dniach podróży trafiłem na obóz Indian, którzy wędrują za tym bydłem [bizonami]. Tubylcy nazywają się Querechos. Nie uprawiają ziemi, tylko jedzą surowe mięso i piją krew zwierząt, które zabijają. Wszyscy ubierają się w skóry tego bydła i mają dobrze skonstruowane namioty, wykonane z wygarbowanych i nasączonych tłuszczem skór, w których mieszkają i które zabierają ze sobą, ruszając w ślad za tym bydłem. Mają także psy, które objuczają swoimi namiotami, tyczkami i dobytkiem”.

Niedługo potem Hiszpanie dotarli do słynnego kanionu Palo Duro w północno-zachodnim Teksasie. Stamtąd Coronado poprowadził kolejną grupę zwiadowczą na równiny dzisiejszego Kansas, gdzie miało się znajdować „złote miasto”

Quivira. W połowie roku przekroczył rzekę Arkansas, lecz gdy w końcu przybył do mitycznej Quiviry, okazała się ona tylko biedną, pełną słomianych chat wioską indiańskiego plemienia Wichita. Zamiast spodziewanych bogactw Hiszpanie spotkali na preriach Kansas wojownicze plemiona łowców bizonów, wycofali się więc i jak niepyszni pomaszerowali z powrotem przez Wielkie Równiny do Nowego Meksyku. Tam mogli przynajmniej liczyć na dostatek pożywienia, ciepłe okrycia i przewodnictwo miejscowych Indian.

Rozczarowany Coronado wrócił do Meksyku w 1542 roku i ponownie objął funkcję gubernatora Nowej Galicji. Wicekról Mendoza publicznie napiętnował go za niepowodzenie wyprawy i wszczął przeciwko niemu dochodzenie, zarzucając mu błędy w dowodzeniu. Wprawdzie Coronado zdołał się wybronić przed oskarżeniami, ale nie zapobiegło to usunięciu go ze stanowiska w 1544 roku. Schorowany i pozbawiony znaczenia, wyjechał do miasta Meksyk, gdzie zmarł równo dziesięć lat później, mając zaledwie czterdzieści cztery lata.

Po rozczarowaniu, jakim zakończyła się epicka wyprawa Coronado, Hiszpanie stracili zainteresowanie regionem na północy Meksyku. Przez ponad czterdzieści lat nie podejmowali żadnych prób eksploracji tych terenów. Siedem „złotych miast” królestwa Cíbola okazało się tylko legendą, tak jak słynne Eldorado i wiele innych mitycznych królestw, za którymi gonili żądni bogactw konkwistadorzy. Dopiero w końcu lat osiemdziesiątych XVI wieku Hiszpanie znowu pojawili się w Nowym Meksyku. „Przybyliśmy tutaj – napisał jeden z nich – aby służyć Bogu i się wzbogacić”. Od tego czasu Nowy Meksyk na długie lata stał się terenem ich kontaktów z Apaczami, których do 1600 roku znalazło się tym obszarze około piętnastu tysięcy. Tutaj także Apacze rozpoczęli długą historię swoich łupieżczych rajdów i handlu z osiadłymi plemionami Indian. W XVII wieku zaczęli najeżdżać wioski Indian Pueblo, ale także

hiszpańskie osiedla w dolinie rzeki Rio Grande. Wrogość pomiędzy Apaczami a Indianami Pueblo i Hiszpanami rosła w następnych latach nie tylko z powodu wzajemnych ataków, w których Hiszpanie używali oddziałów posiłkowych złożonych z Pueblów, ale także dlatego, że starali się uczynić z Apaczów swoich niewolników.

Konflikt z Hiszpanami nasilił się, gdy w 1598 roku Nowy Meksyk stał się oficjalnie hiszpańską kolonią i wszedł w skład wicekrólestwa Nowej Hiszpanii, a jej gubernatorem został Juan de Oñate. Sprowadziwszy czterystu hiszpańskich osadników z osiemdziesięcioma wozami i siedemdziesięcioma tysiącami zwierząt gospodarskich, Oñate dał się wkrótce poznać jako bezwzględny wróg Indian. Po raz pierwszy doszło do starcia z Apaczami w styczniu 1599 roku, kiedy udzielili oni pomocy potomkom ludu Anasazi, Indianom Keres, w obronie ich skalnego puebla Ácoma przed wojskiem gubernatora. Żołnierze Juana de Oñate spalili wtedy „podniebne miasto” Keresów, zabili ponad sześćset Indian i wzięli do niewoli pięćset innych, a następnie barbarzyńsko skazali wszystkich mężczyzn powyżej dwudziestego piątego roku życia na obcięcie jednej stopy i niewolniczą pracę przez dwadzieścia lat. Kobiety i starsze dzieci trafiły na służbę do Hiszpanów. Oszczędzono jedynie dzieci poniżej dwunastego roku życia, które oddano pod opiekę misjonarzom. Ta nieludzka zbrodnia wywołała oburzenie w samym Madrycie i chociaż na sprawiedliwość trzeba było czekać piętnaście lat, Oñate został w końcu pozbawiony honorów i skazany przez hiszpański sąd na grzywnę.

Pierwsze osiedle kolonialne o nazwie San Juan de los Caballeros, założone przez gubernatora Oñate w lipcu 1598 roku w dolinie Rio Grande, na północ od dzisiejszego Santa Fe, stało się rychło celem napadów Apaczów i ich pobratymców, Nawahów. Indianom nie chodziło jednak o jego

zniszczenie, tylko o kradzież stad. Wkrótce tak bardzo rozsmakowali się w delikatnym mięsie koni i mułów, że stało się ono ich ulubionym przysmakiem. Z powodu dokuczliwości najazdów Indian drugi gubernator Nowego Meksyku, Pedro de Peralta, przeniósł w 1610 roku stolicę kolonii do nowego miasta, La Villa Real de la Santa Fe, założonego trzy lata wcześniej nad rzeką Santa Fe, u stóp gór Sangre de Cristo.

Od tej pory najpierw Hiszpanie, a potem Meksykanie przez dwieście pięćdziesiąt lat sukcesywnie budowali swoją obecność w regionie. Przerwało ją na krótko wielkie powstanie Indian Pueblo pod wodzą szamana plemienia Tewa imieniem Popé z wioski San Juan. Bezbronni i pokojowo nastawieni Pueblowie, osłabieni chorobami przyniesionymi przez konkwistadorów, nie byli w stanie oprzeć się przemocy Hiszpanów, toteż przyjęli pokornie religię katolicką i jarzmo przymusowej pracy na rzecz nowych panów[1]. Jednakże Hiszpanie zażądali od nich dodatkowo płacenia trybutu na rzecz właścicieli ziemskich, zaczęli także zakładać misje i zabraniać praktykowania dawnych kultów. Ale wiara w pradawnych bogów nie umarła i wciąż odbywały się religijne obrzędy odprawiane w tajemnicy przed białymi w kamiennych, częściowo zagłębionych w ziemi miejscach sakralnych zwanych *kiva*.

W rzeczywistości Hiszpanie i ich misjonarze wiedzieli o tych praktykach, ale nie przypuszczali, że „miłujący pokój lud” Pueblo zgotuje im krwawą łaźnię. Misternie przygotowana rewolta wybuchła 10 sierpnia 1680 roku. Jej ofiarą padli najpierw zakonnicy w odległych misjach oraz spokojni osadnicy gospodarujący na farmach. Po niecałych dwóch tygodniach Hiszpanie musieli opuścić stolicę kolonii i uciekać do Meksyku, zostawiając ciała czterystu zabitych, w tym dwudziestu jeden księży. Indianie uczcili zwycięstwo, wyrzekając się chrześcijaństwa, a wspaniały kościół w Santa Fe

zamienili na oborę dla stad bydła zrabowanego hiszpańskim właścicielom.

Biali zostali wypędzeni z terytorium zajmowanego przez Pueblów na dwanaście lat, było to więc wydarzenie ogromnej wagi, niemające dotąd precedensu. Dopiero po śmierci szamana Popé Hiszpanom udało się w 1692 roku zgnieść powstanie i przywrócić władzę nad Nowym Meksykiem, a kolejny gubernator, Diego de Vargas, straszliwie zemścił się za wcześniejszą klęskę. Jednakże pomimo represji Indianie Pueblo wciąż opierali się całkowitej ingerencji w ich kulturę i burzyli się jeszcze parokrotnie, zanim Vargas zdołał ostatecznie stłumić ich opór do końca stulecia. Najbardziej nieprzejednani uciekli z Nowego Meksyku i dołączyli do Apaczów i Nawahów albo próbowali rozpocząć nowe życie na Wielkich Równinach, z dala od swych prześladowców.

W XVIII wieku liczba Indian Pueblo jeszcze bardziej zmalała. Wiele wiosek już wcześniej zostało opuszczonych lub zniszczonych. Z czasem jednak narzucone Pueblom rygory zelżały, Hiszpanie bowiem, a potem także na krótko Meksykanie, stanęli w obliczu nowego zagrożenia – niekończącej się wojny z Apaczami, Nawahami i Komanczami. Jej kres nastąpił dopiero w połowie XIX wieku, gdy cały region Południowego Zachodu wszedł w posiadanie Stanów Zjednoczonych po wojnie amerykańsko-meksykańskiej w latach 1846–1848.

Przypisy

- 1 Szacuje się, że populacja wszystkich grup Pueblów, licząca w drugiej połowie XVI w. około 100 tysięcy osób, w latach 40. XVII w. spadła do około 30 tysięcy, a w 1680 r. została zredukowana do niespełna 17 tysięcy głów.

Samuel de Champlain, Nowa Francja i „czarne suknie”

Na zakończenie każdego sezonu polowań Huroni znad jeziora Ontario i Rzeki Świętego Wawrzyńca wyprawiali się do małej francuskiej kolonii w Quebecu, aby pohandlować z tamtejszymi Francuzami[1]. Gubernator kolonii, słynny podróżnik, odkrywca i kolonizator Kanady Samuel de Champlain, witał ich zawsze z wielką gościnnością, czym zyskał sobie przyjaźń i szacunek okolicznych plemion: Huronów, Algonkinów i Montagnais. Dzięki dobrym kontaktom z Indianami francuscy kupcy mogli wymieniać swoje europejskie towary na cenne futra, na które istniał olbrzymi popyt we Francji i w całej Europie.

W XVI wieku potęgi europejskie badały wybrzeże atlantyckie Ameryki Północnej w poszukiwaniu nowych dróg handlowych na wschód oraz nowych łowisk na Atlantyku. Prawdopodobnie już pod koniec XV wieku kupcy angielscy z Bristolu dotarli do dzisiejszej Kanady, wiadomo bowiem, że utrzymywali ożywiony handel z Islandią oraz być może z Grenlandią, skąd w 1494 roku mieli śladem wikingów dotrzeć do Nowej Fundlandii. Pod angielską flagą popłynął też na zachód do Ameryki rodak Krzysztofa Kolumba, Giovanni Caboto (ok. 1450–1498), który po naturalizacji w Anglii, już jako John Cabot, uzyskał w 1496 roku przywilej króla Henryka VII upoważniający go do zorganizowania wyprawy w poszukiwaniu bezpośredniej drogi do Chin przez Ocean Atlantycki. Wiosną 1497 roku Cabot wraz z osiemnastoma

ludźmi wypłynął z Bristolu na statku „Matthew” i w czerwcu dotarł do wschodnich wybrzeży Nowej Fundlandii i Labradoru. 24 czerwca tego roku zatknął flagę Anglii na stałym lądzie kontynentu amerykańskiego. W 1498 roku wyprawił się do Ameryki ponownie i w czasie tej podróży zginął.

Podróże Cabota oraz następne wyprawy angielskie do Ameryki Północnej, już z udziałem jego syna Sebastiana (szukając północno-zachodniej drogi do Azji, w 1509 roku dotarł on do Zatoki Hudsona), miały poważne znaczenie dla przyszłej kolonizacji brytyjskiej w Ameryce. Potem jednak zainteresowanie Anglików ekspedycjami do Ameryki ustało, rozwijały się tylko połowy ryb na łowiskach zachodniego Atlantyku.

Na początku XVI wieku na szlakach atlantyckich pojawili się także Portugalczycy i Francuzi. W 1501 roku portugalski żeglarz Gaspar Corte-Real wylądował na Labradorze i spenetrował wybrzeże Nowej Fundlandii, gdzie po raz pierwszy zetknął się z Indianami Beothuk. Niedługo potem angielscy, francuscy i portugalscy rybacy zbliżyli się do ujścia Rzeki Świętego Wawrzyńca. Przyciągnęły ich tam ławice dorsza i miejsca godowe wielorybów. W celu suszenia i przetwarzania złowionej zdobyczy europejscy rybacy wybudowali nad Rzeką Świętego Wawrzyńca i na wybrzeżu Labradoru sezonowe obozowiska, które stały się ośrodkami handlu z okolicznymi Indianami należącymi do wielkiej rodziny Algonkinów. W krótkim czasie na północ od Rzeki Świętego Wawrzyńca rozkwitł handel futrami, które tamtejsi Indianie chętnie wymieniali na metalowe narzędzia i wyroby europejskie. U zbiegu rzek Saguenay i Świętego Wawrzyńca, niedaleko miejsca godowego wielorybów w Tadoussac, francuscy rybacy założyli faktorię, która stała się najważniejszym punktem handlowym w północno-wschodniej części kontynentu.

Francuzi przystąpili do penetracji Ameryki Północnej nieco później niż Anglicy. W 1506 roku francuski żeglarz Jean Denys z Honfleur dotarł do wschodniego wybrzeża Nowej Fundlandii i odkrył cieśninę Belle Isle, oddzielającą tę wyspę od Labradoru. W 1508 roku badania na tym terenie prowadził Thomas Aubert z Dieppe. Dopiero jednak w 1524 roku Florentyńczyk Giovanni da Verrazzano odbył na polecenie króla Franciszka I wyprawę wzdłuż wschodniego wybrzeża Ameryki, od dzisiejszej Karoliny Północnej do Nowej Fundlandii, która dostarczyła pierwszych wiarygodnych informacji o nowo odkrytym kontynencie. W czasie swojej wyprawy Verrazzano poznał niemal całe atlantyckie wybrzeże Ameryki Północnej, a jego brat Girolamo sporządził dokładne mapy, zaznaczając dogodne przystanie i miejsca obozowania.

Następcą Verrazzano, zwłaszcza w eksploracji ziem dzisiejszej Kanady, był bretoński żeglarz Jacques Cartier (ok. 1492–1557). W kwietniu 1534 roku na polecenie króla Franciszka I wyruszył on z St. Malo na poszukiwanie zachodniej drogi morskiej do Azji i dotarł do brzegów Kanady. Jako pierwszy Europejczyk opłynął Nową Fundlandię i Labrador, a następnie pożeglował w górę Rzeki Świętego Wawrzyńca. Zetknął się tam z życzliwym przyjęciem Indian z plemienia Montagnais i w lipcu tego roku uroczyście wziął odkryte ziemie w posiadanie króla Francji. Wyprawa Cartiera z 1534 roku, uważana za symboliczne narodziny Nowej Francji, otworzyła perspektywy dla przyszłej francuskiej kolonizacji Kanady.

W 1535 roku Franciszek I ponownie wysłał Cartiera do Kanady w celu odszukania bogatych królestw Kanata i Hochelaga, o których opowiadali napotkani wcześniej Indianie Montagnais znad rzeki Saguenay. W czasie tej podróży Cartier dotarł do indiańskiej osady Stadacona (Stadaconé), w miejscu której wznosi się dziś miasto Qubec. Tam z rozczarowaniem

stwierdził, że słowo *kanata* oznacza w języku miejscowych Indian z rodziny Irokezów po prostu „wieś, w której jest dużo długich domów”. W październiku 1535 roku dotarł też do Hochelagi, która okazała się osadą Irokezów z Niziny Świętego Wawrzyńca, położoną w miejscu dzisiejszego Montrealu. Mimo dalszych prób poszukiwań drogi wodnej do Chin Cartier nie znalazł ani przejścia, ani bogactw, o których opowiadali mu indiańscy przewodnicy, i w 1536 roku powrócił do Francji.

W 1541 roku wyprawił się do Kanady po raz trzeci. Tym razem głównym celem jego ekspedycji było podjęcie próby zasiedlenia nowych terenów amerykańskich i trwałe przyłączenie ich do Francji. Na pięciu statkach pod jego rozkazami znalazło się trzystu ludzi, wśród nich także pewna liczba przyszłych osadników. Płynąc w głąb Kanady, Cartier zbadał dokładnie dolny bieg Rzeki Świętego Wawrzyńca i w okolicach Stadacony wybudował na wysokiej nadbrzeżnej skale prowizoryczny fort dla kolonistów. Wiosną 1542 roku uznał swoje pierwsze kolonialne przedsięwzięcie za nieudane i powrócił do kraju, rozwiewając przy okazji nadzieje Francji na odkrycie bogatych królestw indiańskich.

Dalsze próby eksploracji Kanady przez Francuzów przerwała na wiele lat wojna z Habsburgami oraz konflikty wewnętrzne w kraju, który wchodził właśnie w trudny okres wojen religijnych. Na blisko pięćdziesiąt lat inicjatywa kolonialna Francji zamarła i podejmowanie następnych wypraw zamorskich trzeba było odłożyć. Wyprawy Cartiera do Ameryki Północnej nie pociągnęły wprawdzie za sobą bezpośrednich skutków kolonizacyjnych, pozwoliły jednak Francuzom spenetrować wrota do Kanady – Zatokę i Rzekę Świętego Wawrzyńca.

Poczynając od roku 1581, Francuzi pojawili się znowu w dolnym biegu Rzeki Świętego Wawrzyńca i spływali nią aż do zlewiska z rzekami Ottawa i Richelieu. Miejsce to wkrótce stało

się punktem docelowym handlu transatlantyckiego. Tadoussac wyrosło na centrum handlu futrami, do którego ściągają okoliczne plemiona Algonkinów. Całą wymianę handlową z Francuzami kontrolowali Indianie Montagnais, co spowodowało ich zatargi z zazdrosnymi Mohawkami należącymi do potężnej Ligi Irokezów.

Okolo 1584 roku francuski kupiec François Gravé du Pont zawarł sojusz z Indianami Montagnais wymierzony przeciwko Mohawkom. Dzięki temu francuscy handlarze mieli zapewniony stały dopływ pierwszorzędných futer, a Montagnais mogli się uczyć języka francuskiego i zaopatrywać w broń palną, co pozwoliło im zdominować cały region. Na początku XVII wieku niektóre plemiona Algonkinów, Huroni i Francuzi zawiązali swoiste przymierze oparte na wymianie handlowej, co ułatwiło później Francji kolonizację w Kanadzie. W tym okresie upowszechnił się też zwyczaj pozostawiania na zimę wśród Indian młodych Francuzów (Francuzi nie spędzali jeszcze wówczas zim w Kanadzie), którzy uczyli się miejscowych narzeczy i poznawali kraj, stając się przewodnikami i pośrednikami dla kupców francuskich.

Kolejną próbę kolonizacji w Nowej Francji podjął kupiec z Dieppe Pierre de Chauvin, który od 1594 roku zajmował się handlem futrami w Kanadzie. W roku 1600 otrzymał on od króla Francji Henryka IV monopol na handel kanadyjskimi skórami w zamian za pomoc w osiedleniu w ciągu dziesięciu lat pięciuset kolonistów francuskich w dolinie Rzeki Świętego Wawrzyńca. Po zakończeniu bowiem wojen religijnych państwo francuskie chciało zaludnić kolonię, aby zaprowadzić w niej porządek feudalny. Próba ta jednak, podobnie jak wcześniejsze przedsięwzięcie Cartiera, zakończyła się niepowodzeniem. Trudne warunki klimatyczne zdziesiątkowały kolonistów, a kiedy sam de Chauvin zmarł w 1602 roku, resztki osadników powróciły do Francji.

Nieco lepiej powiodło się futrzarskiej kompanii Monts, która w 1604 roku zdołała osiedlić stu dwudziestu kolonistów w Akadii, na półwyspie u wschodnich krańców Kanady, dziś nazywanym Nową Szkocją[2]. W następnym roku założyli oni osadę Port Royal (dzisiejsze Annapolis Royal), która stała się stolicą Akadii. W przedsięwzięciu kompanii Monts wziął udział kartograf Samuel de Champlain, który w 1603 roku uczestniczył w ekspedycji poszukiwawczej szlaków wodnych do Zatoki Hudsona i ujścia rzeki Hudson. Jako pierwszy Europejczyk dotarł też do górnego biegu Rzeki Świętego Wawrzyńca i zebrał pierwsze wiadomości o Wielkich Jeziorach.

Samuel de Champlain (1570–1635), zwany „ojcem Nowej Francji”, przybył do Ameryki w 1608 roku, kontynuując odkrywczę dzieło Jacques’a Cartiera z 1534 roku. Był synem właściciela statku z okolic La Rochelle. W czasie wojen religijnych we Francji walczył po stronie katolików, a po zawarciu pokoju zaciągnął się w 1598 roku do marynarki hiszpańskiej i wraz z nią odbył podróż do Ameryki. Dzięki opracowanemu potem fachowemu raportowi otrzymał posadę królewskiego kartografa i w 1603 roku wziął udział w ekspedycji francuskiej wysłanej do Kanady przez króla Henryka IV. W 1604 roku zatrudnił się w kompanii Monts i uczestniczył w założeniu przez nią kolonii francuskiej w Akadii. Potem do roku 1607 badał wybrzeża Akadii i Nowej Anglii[3]. Rok później, gdy Henryk IV cofnął kompanii Monts przywilej na handel futrami, Champlain pojawił się z trzema statkami i dwustu ludźmi w rejonie dawnej Stadacony i poprosił Indian Montagnais o zgodę na założenie stałej faktorii w celu kontrolowania handlu na tym obszarze. Montagnais, obawiając się najazdów Mohawków, zaakceptowali pomysł i w zamian za pomoc przeciwko Irokezom zezwolili na budowę na wysokim klifie nad „wielką rzeką” drewnianej warowni

o nazwie l'Habitation, która 3 lipca 1608 roku dała początek miastu Quebec.

Pierwsza zima spędzona w l'Habitation dała się Francuzom porządnie we znaki. Z powodu zimna, szkorbutu i dyzenterii tylko garstka z nich dotrwała do wiosny. Doszło nawet do buntu, ale Champlain odkrył spisek na swoje życie i kazał powiesić jednego z przywódców rebelii. Niemniej, mimo trudnych początków, niewielki fort przekształcił się z czasem w dużą osadę, a potem w kwitnące miasto Quebec, prawdziwe serce kolonii francuskiej w Nowym Świecie.

Dowiedziawszy się od przyjaznych Indian algonkińskich o okrucieństwie Irokezów, Champlain postanowił się z nimi rozprawić. Latem 1609 i 1610 roku Francuzi, wspomagani przez uzbrojonych w muszkiety wojowników Montagnais i Huronów, dwukrotnie wyprawili się na Irokezów. Podczas pierwszej wyprawy pokonali Mohawków w bitwie na półwyspie Ticonderoga, nad odkrytym wówczas jeziorem, dziś nazywanym Champlain. W czasie drugiej nie doszło do starcia, gdyż Mohawkowie, widząc przewagę w uzbrojeniu wroga, uciekli na południe, do doliny rzeki Hudson, gdzie sprzymierzyli się z Holendrami[4]. Zwycięskie bitwy z udziałem Francuzów zahamowały większe konflikty z Irokezami na dwadzieścia lat. Montagnais, wdzięczni za pomoc w walce z Mohawkami, zezwolili Champlainowi na założenie dwóch nowych faktorii na północ od Tadoussac.

Dzięki uprzywilejowanej pozycji kupcy Champlaina odnosili spore zyski, Montagnais bowiem traktowali ich przyjaźnie, a otrzymując wysokie zapłaty za dostarczane futra, nie starali się bardziej rozwijać handlu z innymi Europejczykami. Później jednak, mimo ponownego wprowadzenia monopolu w 1612 roku, zaczęli handlować z protestanckimi Holendrami i hugonockimi kupcami z La Rochelle. Wkrótce potem Samuel de Champlain udał się do Francji, żeby zabiegać o pomoc dla

swojej kolonii. W 1613 roku powrócił do Kanady ze świeżą koncepcją rozwoju Nowej Francji. Widział ją jako kraj zarządzany przez kolonistów francuskich, ale zamieszkały przez plemiona indiańskie nawrócone na chrześcijaństwo. Myślał o zaprowadzeniu wśród Indian europejskiego stylu życia i zasymilowaniu ich z Francuzami, którzy w przeciwieństwie do Anglików nie mieli uprzedzeń rasowych wobec ludności tubylczej. W tym celu rozwinął akcję szkolenia tłumaczy, polegającą na wysyłaniu młodych Indian na naukę do Francji oraz pozostawianiu Francuzów w osiedlach indiańskich. A dla przeciwdziałania wpływom protestanckim wśród miejscowych Indian zaprosił w 1615 roku do Kanady misjonarzy rekoletów (franciszkanów bosych), którzy założyli w Quebecu klasztor i rozpoczęli proces chrystianizacji Indian.

Prowadząc działalność kolonizacyjną, Champlain nie zapominał o dalszej eksploracji Kanady. Po powrocie z Francji wyprawił się w głąb kraju, badając tereny na prawym brzegu Rzeki Świętego Wawrzyńca oraz położone wzdłuż rzeki Richelieu. Następnie ruszył indiańską łódką w górę Ottawy i dotarł w pobliże Wielkich Jezior (wciąż liczył, że uda mu się znaleźć tędy drogę do Azji). W 1615 roku odbył swoją ostatnią i zarazem największą wyprawę badawczą na obszarze Kanady. Odkrył wówczas m.in. jeziora Nipissing, Huron i Ontario. W tym czasie ponownie sprzymierzył się z Huronami kontrolującymi tereny na wschód od jeziora Huron i we wrześniu 1615 roku ruszył wraz z nimi na Irokezów Onondaga. Wyprawa zakończyła się jednak niepowodzeniem. Otoczona ostrokołem wioska Onondagów nad rzeką Oneida, w dzisiejszym stanie Nowy Jork, okazała się twierdzą zbyt trudną do zdobycia nawet dla francuskich muszkietów. Na próżno Champlain i Huroni przez tydzień oblegali wioskę: Irokezi skutecznie odpierali wszystkie ich ataki zza świetnie ufortyfikowanej palisady. Ostatecznie Champlain, zraniony

w nogę strzałami Onondagów, zrezygnował z dalszego oblężenia, co bardzo nadszarpnęło reputację Francuzów w oczach Indian.

Wprawdzie wyprawa ta nie przyniosła Francuzom sukcesu, utrwałała jednak więzi przyjaźni łączące ich z Huronami, którzy odtąd stali się ich tradycyjnymi sprzymierzeńcami. Sojusz zawarty z Huronami i plemionami Algonkinów z Krainy Wielkich Jezior, w tym także z obdarzonymi szczególnym zmysłem handlowym Ottawami, okazał się decydujący dla dalszych losów kolonii. Pozwolił również Champlainowi doskonale poznać kraj, oficjalnie nazwany wówczas Nową Francją (*La Nouvelle France*), którego został pierwszym gubernatorem.

Odkryte przez Champlaina drogi wodne w głąb Kanady wykorzystali młodzi francuscy eksploratorzy, którzy osiągnęli spore sukcesy w rozwoju francuskiego handlu futrami. Dali oni początek zupełnie nowej kategorii Kanadyjczyków, określanej mianem „gońców leśnych” (*coureurs-de-bois*). Ci dzielni wędrowcy (przez Anglików nazwani później traperami) przemierzali lasy w poszukiwaniu futer, handlowali z Indianami i pojawiali się w osadach francuskich tylko po to, żeby wydać zarobione pieniądze, zabawić się i uzupełnić wyposażenie.

Działalność wczesnych „gońców leśnych”, takich jak Étienne Brûlé i Jean Nicolet, stymulowała rozwój kolonii, ale była też dla niej poważnym zagrożeniem. Wzbudzała bowiem zainteresowanie bogatych kompanii francuskich, które zamiast na osadnictwie, koncentrowały swoją uwagę wyłącznie na rozwoju handlu. Wolny i niezależny tryb życia pociągał też wielu młodych kolonistów, którzy rezygnując ze stałego miejsca zamieszkania, wychodzili poza feudalną strukturę społeczeństwa Nowej Francji.

W rezultacie przez cały późniejszy okres swojego istnienia Nowa Francja rozwijała się głównie jako kraj energicznych, młodych pionierów owładniętych pokusą życia w lesie, prowadzących twarde życie pośród Indian, przyjmujących ich zwyczaje i chętnie zawierających małżeństwa z tubylczymi kobietami. Nic dziwnego, że pomimo wytężonej pracy Champlaina rozwój kolonii był bardzo powolny i przez wiele lat liczba Francuzów w Kanadzie ograniczała się do nielicznych rodzin osiadłych w Quebecu i jego najbliższej okolicy. W ciągu pierwszych dziesięciu lat istnienia kolonii wokół Quebecu powstało zaledwie sześćdziesiąt pięć farm zamieszkanych przez około dwustu kolonistów uprawiających ziemię.

Rozwojowi Nowej Francji nie służyła też działalność misyjna rekoletów, którzy nawracali Indian siłą, kazali im osiedlać się w jednym miejscu i uczyć uprawy roli na wzór europejski. Sam Champlain, niczym feudalny władca, próbował wybierać indiańskich wodzów i decydować o losach całych plemion.

Dla wzmocnienia administracji kolonii główny doradca króla Ludwika XIII kardynał Richelieu utworzył w 1626 roku nową organizację pod nazwą Towarzystwo Stu Wspólników (*Compagnie des Cent-Associés*). Miała ona pomóc w rozwoju kolonizacji i zasymilowaniu Indian podległych królowi Francji. Doprowadziło to do buntu Indian Montagnais, którzy wykorzystali atak brytyjskich korsarzy na francuskie posiadłości w Akadii i sprzymierzyli się z nimi przeciwko Francuzom z Quebecu.

Rozpoczęcie działań wojennych przeciwko Francji okazało się na rękę szkockim korsarzom, braciom Kirke. Wiosną 1628 roku opanowali oni Port Royal, a następnie przejęli na Rzece Świętego Wawrzyńca statki z zaopatrzeniem dla Quebecu i przy pomocy Indian zaatakowali stolicę Nowej Francji. W następnym roku ponownie pokonali flotę Towarzystwa Stu Wspólników i wezwali Champlaina do kapitulacji. Zamknięty

z nieliczną załogą w wygłodzonej twierdzy, otoczony przez zbuntowanych Indian, Champlain nie miał innego wyjścia, jak tylko się poddać. W ten sposób Quebec na trzy lata stał się posiadłością angielską, a jego dawny gubernator trafił jako jeńiec do Londynu. Dopiero w 1632 roku wskutek zabiegów dyplomatycznych zawarto pokój, w którego wyniku Champlain odzyskał wolność, a Francja władzę nad Quebeciem i Akadią.

W 1633 roku Champlain powrócił do Kanady, przywożąc ze sobą oprócz zapasów żywności i broni około dwustu nowych kolonistów, którzy podwoili liczbę stałych mieszkańców Nowej Francji. Resztę swojego życia poświęcił na rozwój i poprawę administracji kolonii. Za jego rządów miasto Quebec otoczono wałami, a pierwszy kamień pod ich budowę położono 6 maja 1624 roku. Do tego czasu Towarzystwo Stu Wspólników zrezygnowało z pomocy rekoletów, obarczając ich winą za poniesioną klęskę. W zamian sprowadzono jezuitów, przychylnych rozwojowi kontaktów z Indianami i szanujących ich styl życia.

Jezuici szybko dostosowali się do nowych warunków. Aby zdobyć zaufanie Indian, poznali ich język i mentalność, po czym – umocniwszy w ten sposób swoją pozycję – zaczęli szerzyć wśród nich katolicyzm. Tworzyli misje na szlakach i dawali strzelbę każdemu tubylcowi, który nawrócił się na ich religię. W 1637 roku utworzyli w pobliżu Quebecu pierwszy rezerwat dla Indian Montagnais, zdziesiątkowanych przez europejskie choroby i zrujnowanych przez niekontrolowane wybiecie bobrów. Dzięki ich odwadze, determinacji i poświęceniu wzrósł autorytet władzy francuskiej wśród Huronów i innych plemion kanadyjskich. Pojawienie się w Kanadzie przedstawicieli potężnego Towarzystwa Jezusowego zapoczątkowało stały napływ misjonarzy i księży jezuickich, wśród których nie brakowało ochotników do ciężkiej i niebezpiecznej pracy w kanadyjskiej puszczy. Coroczny raport z wydarzeń w kolonii,

Jesuit Relación, w istotny sposób oddziaływał na mieszkańców Francji, którym Kanadę przedstawiano jako idealny kraj do wypełniania powinności religijnych.

Kłęski poniesione przez Towarzystwo Stu Wspólników w starciach z brytyjskimi korsarzami i trzyletni okres dominacji Anglików w Quebecu spowodowały chwilowe załamanie się francuskiej ekspansji w Kanadzie. Dezorganizację pogłębiła jeszcze śmierć Champlaina w grudniu 1635 roku. Nowa Francja znalazła się wówczas w bardzo trudnej sytuacji. Zamiast obiecanych przez Towarzystwo Stu Wspólników czterech tysięcy osadników, w Quebecu mieszkało zaledwie dwustu pięćdziesięciu Francuzów, a w całej kolonii nie więcej niż pięciuset. Na dodatek, wraz z przystąpieniem Francji do wojny trzydziestoletniej w 1636 roku, Paryż stracił zainteresowanie kolonizacją Kanady. Na wiele lat ciężar utrzymania Nowej Francji w strefie wpływów francuskich spadł na jezuitów.

Praca misjonarska w Kanadzie była ściśle związana z handlem futrami, który pozostał głównym źródłem dochodów kolonii. Podróżując wspólnie z „gońcami leśnymi”, jezuici nawiązywali kontakty z licznymi plemionami indiańskimi w całym regionie Wielkich Jezior. Pokojowe misje „czarnych sukien”, jak ich nazywali Indianie, odnosiły wiele sukcesów, ale z powodu rosnącej wrogości Irokezów często kończyły się tragicznie.

Szczególnie silne wpływy uzyskali jezuici wśród Huronów, którzy zezwolili na budowę w swoim kraju stałej misji Sainte-Marie nad zatoką Georgian. Ta i inne misje utworzone później nad jeziorem Huron decydująco przyczyniły się do chrystianizacji plemienia Huronów[5]. A ponieważ Huroni od dawna pośredniczyli w handlu futrami z zachodnimi Indianami, powstawanie misji spotkało się z życzliwym przyjęciem wszystkich stron wymiany handlowej. W ten sposób jezuici nawrócili około sześciu tysięcy Indian i spowodowali, że

zarzucili oni dotychczasowy tryb życia i zajęli się uprawą roli oraz handlem futrami. Miało to jednak i ten skutek, że dotychczasowi dzicy wojownicy złagodnieli, zatarcili swoje bojowe skłonności i całkowicie uzależnili się od dostaw europejskich towarów.

Posuwanie się francuskich osad w górę Rzeki Świętego Wawrzyńca wywołało zaniepokojenie wśród mieszkających na południe od niej plemion irokeskich. Utworzenie w 1634 roku osady Trois-Rivières przy ujściu rzeki Saint Maurice, a następnie w 1642 roku kolonii Ville-Marie-de-Montréal (od 1700 roku Montreal) u zbiegu rzek Świętego Wawrzyńca, Richelieu i Ottawy, skłoniło Irokezów do rozpoczęcia wojny podjazdowej. Z właściwym sobie okrucieństwem zabili oni wielu jezuitów i kupców francuskich. W pobliżu Montrealu watahy Irokezów napadały na Huronów i Ottawów wiozących futra do Quebecu, dezorganizując handel i destabilizując finanse kolonii. Po 1640 roku Irokezi, wspierani przez Holendrów z doliny Hudsonu, rozpoczęli przygotowania do całkowitego wyeliminowania Huronów i francuskich misjonarzy w celu przejęcia kontroli nad bogatymi dostawami futer z północy.

Decydujące uderzenie plemion irokeskich rozpoczęło się w 1647 roku i trwało przez kilka następnych lat. Jezuickie misje w Huronii padły ofiarą dzikich wojowników, budynki spalono, a księży wymordowano. Na pierwszy ogień poszły misje nad jeziorem Huron. W 1648 roku duża wyprawa wojenna Irokezów zniszczyła wsie Huronów na półwyspie Ontario i starła z powierzchni ziemi misję Sainte-Marie. Prowadzący ją ojciec Jean de Brébeuf i jego dzielni towarzysze zginęli w wyjątkowo okrutny sposób, zdobywając sławę męczeńską śmiercią. Później przyszła kolej na francuskie misje nad jeziorami Michigan i Górnym. Francuzi, otoczeni w swoich

warowniach, nie mogli nawet uprawiać pól i prowadzić handlu, a tym bardziej udzielić pomocy Huronom.

Odwykli od naturalnego trybu życia Huroni nie potrafili stawić skutecznego oporu wojowniczym Irokezom (Liga Irokezów mogła w tym czasie wystawić jednorazowo ponad trzy tysiące wojowników). W 1649 roku pięć plemion Ligi ruszyło przeciwko Huronom i niemal całkowicie ich wytepiło. Niedobitki plemienia rozprzeczły się wśród innych Indian lub schroniły pod opiekę Francuzów, zakładając swoje siedziby pod samym miastem Quebec. Podobny los spotkał plemiona irokeskie sprzyjające Francuzom: Erie, Neutral, Petun i Wenro, po których pozostały tylko nazwy. Niektóre z nich przestały istnieć, inne, rozbite i wygnane z własnej ziemi, rozpoczęły prawdopodobnie pochód ku zachodowi, gdzie na skraju prerii żyły ludy utrzymujące się z polowania na bizona.

Bez wsparcia z Paryża kanadyjscy Francuzi nie mogli powstrzymać ofensywy Irokezów. A ci, po zwycięstwie nad Huronami, od razu przystąpili do organizowania napadów i łupieżczych rajdów na francuskie osiedla nad Rzeką Świętego Wawrzyńca, docierając aż do Quebecu i Trois-Rivières. Montreal stał się wysuniętym posterunkiem wojskowym żyjącym w stanie ciągłego oblężenia przez dziesięć lat. Wyposażeni w broń palną przez Holendrów, Irokezi osiągnęli taką przewagę, że Francuzi musieli ich prosić o rozejm. W zamian za zaprzestanie napadów na Nową Francję plemiona Ligi Irokezów uzyskały kontrolę nad drogą w głąb Kanady, co pozwoliło im rozwinąć handel z holenderskimi i angielskimi koloniami z południa.

Zawarty z trudem rozejm został zerwany w 1658 roku. Namawiani przez Holendrów i Anglików, którzy chcieli ich rękami pozbyć się francuskiej konkurencji w Ameryce Północnej, Irokezi wznowili najazdy na osady w Nowej Francji. Kulminacyjny moment wojny nastąpił dwa lata później. Wiosną

1660 roku kilkutysięczna wyprawa irokeska ruszyła na Montreal, broniony przez garstkę żołnierzy wspartą niewielką liczbą kolonistów i Huronów. Wydawało się, że los osiedla jest przesądzony, tym bardziej że Huroni, za cenę darowania im życia, złożyli broń i uciekli. Mimo to obrońcy Montrealu pod wodzą Adama Dollarda stawili napastnikom zacięty opór przy wodospadach Longue Sault na rzece Ottawa. Po dramatycznej walce wszyscy zostali zabici, ale straty poniesione przez Irokezów zniechęciły ich do oblężenia francuskiej placówki i dzięki temu Montreal ocalał. Irokezi, zdziwieni oporem Francuzów, zrezygnowali z kontynuowania walki, dając kolonistom czas na odbudowanie zniszczonych osad.

Ofiara życia obrońców Montrealu i dziesiątków jezuickich misjonarzy nie poszła na marne. Zbiegła się ze zwycięskim zakończeniem przez Francję wojny z Hiszpanią (1635–1659), co pozwoliło umocnić władzę królewską i scentralizować rządy Ludwika XIV. Anglia pod panowaniem sprzyjającego katolikom Karola II nie stanowiła już większego zagrożenia, także Holendrzy przestali się wkrótce liczyć w rozgrywce po utracie swych amerykańskich kolonii na rzecz Anglików. Co więcej, ambitny Ludwik XIV, zachęcony przez swojego pierwszego ministra Jeana-Baptiste'a Colberta, okazał więcej zainteresowania Kanadą i merkantylistycznym projektem imperialnej polityki wobec zamorskich kolonii. Rezultat takiego podejścia okazał się dla Nowej Francji iście rewolucyjny.

W 1663 roku zostało zlikwidowane Towarzystwo Stw Wspólników, które nie spełniło pokładanych w nim nadziei. W tym samym roku król francuski przejął bezpośrednio ster rządów w Nowej Francji. Kanada stała się oficjalnie królewską prowincją zarządzaną na wzór metropolii. W 1664 roku zjawiał się w niej królewski zarządca, Pierre Boucher. Z jego raportu wynika, że na obszarze o powierzchni dziesięciu milionów kilometrów kwadratowych, do którego rościła sobie prawa

Francja, koloniści francuscy zajmowali zaledwie trzydzieści cztery kilometry kwadratowe. Ich liczba nie przekraczała trzech tysięcy (z tego ośmiuset w samym Quebecu) i stanowiła kroplę w morzu dwustu tysięcy żyjących dookoła Indian. Wpływ kultury francuskiej na tubylców był więc znikomy i to raczej koloniści zdradzali skłonność do przejmowania zwyczajów Indian.

Pod koniec XVII wieku francuskie władztwo w Ameryce Północnej sięgnęło daleko poza dolinę Rzeki Świętego Wawrzyńca. Do tego czasu Francuzi utworzyli rozbudowaną sieć misji i posterunków handlowych, która pokryła cały region Wielkich Jezior i dolinę Missisipi, sięgając na zachodzie Wielkich Równin, a na północy Zatoki Hudsona. Na południe od Wielkich Jezior wkroczyli do doliny rzeki Ohio, ale tam na przeszkodzie ich ekspansji stanęły interesy rozwijających się powoli, acz systematycznie kolonii angielskich. Wkrótce stało się jasne, że procesy rozwoju obu sąsiadujących społeczności, francuskiej i angielskiej, muszą doprowadzić do decydującego starcia. Francuzi nie mogli pogodzić się z tym, że Anglicy próbują ich pozbawić zyskownego handlu z Indianami, Anglicy zaś buntowali się przeciwko odcinaniu ich przez Francuzów od bogatego wnętrza kraju. Jeden z ówczesnych francuskich komendantów Montrealu trafnie zauważył: „To będzie trudne, by nasza kolonia albo ich mogła przeżyć, nie niszcząc jedna drugiej”.

Przypisy

- 1 Huroni (Wyandoci) – plemię z irokeskiej grupy językowej, wrogie Lidze Pięciu Narodów, pierwotnie zamieszkałe na północny wschód od jeziora Huron. W 1609 r., gdy Huroni po raz pierwszy zetknęli się z Francuzami, liczyli około 20 tysięcy głów. W wyniku wielkiej wojny z Irokezami (1648–1650) zostali niemal całkowicie wytępieni.

- 2 Kompanię Monts założył towarzysz walki Henryka IV, hrabia Pierre de Monts (1558–1628), wraz z grupą przedsiębiorców z Rouen.
- 3 Nowa Anglia – region historyczno-geograficzny w północno-wschodniej części USA, zasiedlany przez Anglików od 1620 r. Obejmuje sześć dzisiejszych stanów: Connecticut, Maine, Massachusetts, New Hampshire, Rhode Island i Vermont.
- 4 Irokezi uzyskali tam pomoc angielskiego żeglarza Henry’ego Hudsona, działającego z ramienia Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, eksplorującej tereny dzisiejszego stanu Nowy Jork.
- 5 Tereny pomiędzy Rzeką Świętego Wawrzyńca i jeziorem Huron, zamieszkane przez ochrzczonych Indian i pozostające pod wpływem francuskich misjonarzy, nazywano Huronią.

John Smith i księżniczka Pocahontas

Trzask płonących bierwion był jedynym odgłosem słyszonym w wielkiej chacie narad we wsi plemienia Pamunkey nad rzeką James, kiedy kat wznosił maczugę nad głową skazańca. Na podłodze u jego stóp leżało bezwładne ciało białego człowieka, rozciągnięte między dwoma wielkimi kamieniami ofiarnymi. Pod ścianami chaty stała gromada wojowników i kobiet, którzy z ponurym wyrazem twarzy przyglądali się mającej nastąpić egzekucji. Nagle w migocący blask ognia wybiegła spod boku wodza młoda dziewczyna, uklękła przy ciele białego i przyłożyła w niemym geście swoją głowę do głowy mężczyzny. Kat powoli opuścił maczugę i rozejrzał się dookoła. Ludzie pod ścianami zaczęli pomrukiwać ze zdziwienia i niezadowolenia, a dziewczyna delikatnie pomogła skazańcowi wstać na równe nogi. Tak wyglądało pierwsze spotkanie angielskiego kupca i żołnierza, kapitana Johna Smitha, z Pocahontas, córką wielkiego wodza Powhatana, przywódcy algonkińskich Indian z Wirginii. Jej prawdziwe imię brzmiało Matoaka, czyli Pełna Życia, ale nie życzyła sobie, aby obcy je wymieniali, i wolała posługiwać się przydomkiem Pocahontas, czyli Ulubiona Córka. John Smith miał w tym czasie dwadzieścia siedem lat i był przystojnym mężczyzną z długimi włosami i gęstą brodą, która nadawała jego postaci władczy charakter.

Anglicy, którzy początkowo przykładali niewielką wagę do odkryć na stałym lądzie Ameryki Północnej, za panowania Elżbiety I (1558–1603) podjęli ekspansję morską na szerszą

skalę. Ponad sto lat po przybyciu do Ameryki pierwszych Europejczyków dążeniem angielskich awanturników i żądnych bogactw kupców pozostawało odkrycie nowej, krótszej drogi do bogatych Indii. W tym czasie Francuzi mocno już zaznaczyli swoją obecność w Kanadzie, a Hiszpanie na Florydzie, gdzie w 1566 roku założyli pierwszą na terenie dzisiejszych Stanów Zjednoczonych osadę o nazwie Saint Augustine.

Do pogłębienia znajomości północnych obszarów Ameryki przez Anglików przyczyniły się zwłaszcza wyprawy Martina Frobishera z lat 1576–1578 oraz Humphreya Gilberta, który w 1583 roku dotarł do Nowej Fundlandii i symbolicznie wziął ją w posiadanie dla Korony angielskiej. Wyprawa Gilberta zakończyła się jednak tragicznie. W drodze powrotnej do Anglii dowodzony przez niego statek zatonął z całą załogą w czasie sztormu u wybrzeży Wysp Azorskich.

Wysiłki Gilberta kontynuował jego przyrodni brat, słynny angielski żeglarz Walter Raleigh (ok. 1552–1618). W 1584 roku otrzymał on od Elżbiety I przywilej założenia w Ameryce, na terenach niezamieszkanym przez chrześcijan, kolonii angielskiej, która byłaby zarazem bazą do ataków na statki hiszpańskie wiozące złoto do Europy. W latach 1584–1585 Raleigh zorganizował dwie wyprawy do Ameryki Północnej. Pierwsza z nich dotarła do usianych wysepkami wybrzeży dzisiejszej Karoliny Północnej, druga zakończyła się nieudaną próbą założenia kolonii na wyspie Roanoke[1].

Podobne doświadczenia jak Raleigh mieli wcześniej Hiszpanie, którzy w 1570 roku założyli ponoć jezuicką misję nad rzeką York w Wirginii, a ich misjonarzy zabili Indianie pod wodzą niejakiego Paquiquino. Indianin ten został porwany w 1561 roku i wywieziony do Hiszpanii, gdzie przyjął chrzest i jako don Luis de Velasco otrzymał stosowne wykształcenie. Hiszpanie spodziewali się, że będzie im służył za tłumacza i przewodnika, pomagając w szerzeniu nowej wiary wśród

plemion indiańskich, ale on po powrocie do ojczyzny zapomniał o pobieranych do niedawna naukach i stanął po stronie swego ludu. Odwetowa wyprawa hiszpańska w 1572 roku, którą dowodził Pedro Menéndez de Avilés, pokonała Indian odpowiedzialnych za zniszczenie misji i pomściła zamordowanych jezuitów.

Nie wiemy jednak dokładnie, gdzie była owa misja nad rzeką York, nie mamy także bliższych informacji na temat samego don Luisa. Wiadomo natomiast, że w XVI wieku Hiszpanie, którzy przybywali do Ameryki głównie w poszukiwaniu złota i przygód, prowadzili dość energiczną eksplorację wybrzeża pomiędzy Florydą a rzeką Potomac. Plądrowali indiańskie wioski, ale nigdy nie przebywali dłużej w jednej okolicy: albo przeganiali ich nieprzyjaźni Indianie, albo nie potrafili utrzymać się na obcym terenie. Po roku 1520 w rejonie Zatoki Meksykańskiej zaczęli chwytac niewolników do pracy na karaibskich plantacjach. Wieści o tym docierały zapewne do Wirginii za pośrednictwem różnych plemion z wybrzeża. I chociaż później Hiszpanom powiodła się kolonizacja Florydy, do czego walnie przyczynili się misjonarze, to jednak Indianie pozostawali wobec nich nieufni.

W ślad za Hiszpanami u wschodnich wybrzeży Ameryki Północnej pojawili się Francuzi. W 1562 roku próbowali oni osiedlic się na południe od Wirginii, ale braki w zaopatrzeniu i wroga postawa Hiszpanów sprawiły, że nie zdołali usadowic się tam na stałe. Interesy Hiszpanów psuli także piraci grasujący po Morzu Karaibskim, którzy dobijali do wybrzeży Georgii i Karoliny i podburzali miejscowych Indian. Dopiero w 1580 roku Hiszpanie zdołali się z nimi rozprawić i ukarać buntowniczych tubylców. W ślad za tym poszły próby utrwalenia władzy Madrytu poprzez budowę misji franciszkańskich na północ od Florydy. Ta najbardziej wysunięta dała początek osadzie Santa Elena w dzisiejszej

Karolinie Południowej. W końcu powszechne powstanie plemion z Karoliny w 1597 roku przyniosło zagładę owym religijnym forpocztom i zmusiło Hiszpanów do ograniczenia strefy swego zainteresowania do Florydy i rejonu Zatoki Meksykańskiej.

Z całą pewnością więc Indianie wirginijscy mieli już wyrobiony pogląd na temat Europejczyków, zanim w 1606 roku angielska spółka handlowa, znana jako Londyńska Kompania Wirginijska (*The Virginia Company of London*), postanowiła sfinansować wyprawę przez Atlantyk w nadziei na zdobycie bogactw i odkrycie dogodnej drogi morskiej do Indii. Na jej czele stanął John Smith (1580–1631), członek kierownictwa londyńskiej spółki, weteran wojen z Turkami, człowiek przedsiębiorczy i bezwzględny, niegardzący niczym, co mogło przynieść zysk. W grudniu trzy niewielkie statki: „Susan Constant”, „Godspeed” i „Discovery”, ze stu czterdziestoma trzema ludźmi na pokładach, wypłynęły w stronę Nowego Świata, aby założyć tam angielską kolonię.

26 kwietnia 1607 roku mała flotylla Kompanii Wirginijskiej zacumowała przy ujściu wielkiej rzeki u wybrzeży nieznanego lądu, który później nazwano Wirginią. Miejscowi Indianie z licznej rodziny Algonkinów szybko rozwiali nadzieje Anglików na znalezienie bogactw oraz przesmyku łączącego Atlantyk z „wielką wodą”, przez którą biali przybysze spodziewali się dotrzeć do upragnionych Indii. Na czele tubylców stał wówczas wódz potężnej konfederacji jednoczącej trzydzieści dwa plemiona na wybrzeżu i wyżynach Wirginii. Nazywano go Powhatanem, ale naprawdę nazywał się Wahunsonacock, co znaczy Wodospady na Rwącej Rzece. Miano to zawdzięczał siedzibie, którą wzniósł przy wodospadach rzeki Pamunkey, dopływie rzeki York, niedaleko miejsca, gdzie dziś znajduje się stolica Wirginii, Richmond. Zwyczajem wielu Indian ukrywał swoje prawdziwe imię pod pseudonimem

Powhatan, aby ustrzec się przed wrogami, którzy przez poznanie jego imienia lub osobowości mogli osiąść część jego duszy.

Ojciec Powhatana (ok. 1547–1618), wyparty z północnej Florydy przez Hiszpanów w drugiej połowie XVI wieku, przybył na północ, gdzie podporządkował sobie pięć małych plemion algonkińskich z Wyżyny Wirginijskiej. Powhatan, wzorem ojca, przyłączył do nich, również drogą podboju, ponad dwadzieścia innych plemion. Łącznie wszystkie plemiona skupione w dwustu wioskach utworzyły konfederację Powhatana[2], liczącą w chwili przybycia Anglików około dziewięciu tysięcy osób, w tym dwa tysiące czterystu wojowników. Jak na standardy Indian była to znaczna siła. Indianie żyli w zgodzie z określonymi prawami i mieli dobrze zorganizowany system rządów. Mieszkali w ufortyfikowanych wioskach, w wygodnych domach z dużymi ogrodami, i posługiwali się różnymi wyrobami przeznaczonymi do celów użytkowych, religijnych i dekoracyjnych.

Wkrótce w kraju Powhatana nad rzeką James wyrosła pierwsza osada białych, od imienia panującego w Anglii króla Jakuba I nazwana Jamestown. Z dziewięciuset osadników, którzy przybyli tam w pierwszych trzech latach jej istnienia, przeżyło niespełna dwustu. Reszta zmarła z powodu chorób, głodu, ostrego klimatu i trudnych warunków życia. Ocaleni zawdzięczali życie pomocy Indian, którzy zaopatrywali ich w żywność i umożliwili przetrwanie najtrudniejszego okresu. To oni nauczyli Anglików uprawy kukurydzy i tytoniu, co stało się wkrótce podstawą gospodarki kolonii. W pewnej relacji napisano, że „bez pomocy plemienia Powhatanów angielska osada Jamestown w Wirginii, pierwsza stała kolonia Anglików w Nowym Świecie, nie przetrwałaby swojej debiutanckiej srożej zimy na przełomie lat 1607/1608”. W kolejnych latach względny spokój, umożliwiający umocnienie obecności

Anglików na tych terenach, był niezwykłym osiągnięciem dwóch wybitnych jednostek: wodza Powhatana i kapitana Johna Smitha.

Wcześniej jednak wydawało się, że kolonia nie przetrwa, a jej mieszkańcy zostaną wymordowani przez Indian. Już dwanaście godzin po wylądowaniu Anglicy stoczyli pierwszą potyczkę z mieszkańcami Wirginii, na szczęście obyło się bez ofiar. Ale osiem miesięcy po założeniu Jamestown doszło do poważnego konfliktu. Pewnego grudniowego dnia 1608 roku przywódca kolonii John Smith wyprawił się do puszczy nad rzeką Chickahominy w poszukiwaniu zwierzyny. Zamiast jednak dzikiego zwierza spotkał tam wojowników Opechancanougha, przyrodniego brata Powhatana, którzy próbowali go schwytać. W obronie własnej Smith zabił dwóch przeciwników, śmiertelnie narażając się Indianom. Spętanego zawleczono go do głównej wsi Powhatana, Werowocomco, i przekazano wodzowi. Tam odbył się sąd i nieszczęsnego jeńca skazano na śmierć. W chwili jednak gdy kat wzniósł do góry ciężką maczugę, żeby roztrzaskać mu głowę, z tłumu gapiów wybiegła trzynastoletnia córka Powhatana Pocahontas i osłoniła go własnym ciałem. W ten sposób odwołała się do starego indiańskiego zwyczaju pozwalającego kobiecie ocalić schwytanego wroga i zostawić go sobie. Wielki Powhatan musiał uszanować tradycję, zwłaszcza popartą łzami i gorącymi prośbami córki o darowanie skazańcowi życia. Odtąd Smith miał zostać niewolnikiem Pocahontas, ale niedługo potem odzyskał wolność i wrócił do swoich. Na odchodnym stary wódz, bogato odziany w płaszcz ze skór szopów i przystrojony rzędami pereł, przykazał Anglikowi, że ma wrócić z „grzmiącymi kijami” (muszkietami) jako darem za uratowanie życia i okazaną mu gościnność. Choć wielu historyków kwestionuje tę opowieść, mogło tak być naprawdę.

Przez kilka lat stosunki między osadnikami i Indianami układały się względnie dobrze. Na prośbę kolonistów król Jakub I przysłał z Londynu specjalne dary dla Powhatana, wśród nich piękną błyszczącą koronę. W 1609 roku wódz został „ukoronowany” zgodnie z europejskim ceremoniałem i uznany za wasala króla Anglii. Dla umocnienia dobrych relacji z Indianami Smith zawarł z Powhatanem sojusz, przypieczętowany wypaleniem glinianej fajki pokoju. Przymierze gwarantowało kolonii bezpieczeństwo i dostawy żywności, bez których Europejczykom trudno byłoby przetrwać. Wkrótce jednak apetyty Anglików zaczęły rosnać i żądali niemal ciągłego dostarczania żywności, co wzbudziło gniew Indian i rozsierdziło nawet pokojowo usposobionego Powhatana. W końcu doszło do tego, że dwa lata po osiedleniu się Anglików w Jamestown wódz opuścił swą tradycyjną siedzibę nad rzeką Pamunkey i przeniósł się jakieś dwadzieścia pięć kilometrów dalej na zachód od Europejczyków, zakładając nową wieś w górze rzeki Chickahominy. Zarazem przygotowywał się do wojny.

Jak na ironię, plany Powhatana zdradziła Anglikom jego własna córka, zafascynowana życiem białych. W styczniu 1610 roku, gdy Smith i jego ludzie przybyli do Werowocomco w sprawie dostaw kukurydzy, Pocahontas ostrzegła ich, dzięki czemu uniknęli zasadzki. Krótko potem kapitan odniósł w jednej z potyczek z Indianami ciężką ranę i powrócił do Anglii. Napisał tam książkę *General History of Wirginia*, będącą pierwszym opisem kolonii. W 1614 roku ponownie przybył do Ameryki Północnej i badał wybrzeże w rejonie nazwanym później Nową Anglią. Potem jeszcze dwukrotnie próbował popłynąć do Nowego Świata, ale jego wyprawy nie doszły do skutku. W latach późniejszych poświęcił się pisaniu książek i podręczników dla żeglarzy. Zmarł w Londynie 21 czerwca 1631 roku w wieku pięćdziesięciu jeden lat.

Po wyjeździe Smitha z Jamestown Powhatan, znając sympatię Pocahontas do białych, odesłał ją do sąsiedniego plemienia Potomaków, których wódz Pasptanze sprzyjał kolonistom. Przebywała tam do kwietnia 1613 roku i prawdopodobnie została wydana za mąż za wojownika o imieniu Kocoum. Przez przypadek miejsce jej pobytu odkrył angielski żeglarz Samuel Argall. Kilku przekupionych Indian życzliwych osadnikom sprowadziło dziewczynę na statek Argalla, a ten natychmiast odwiózł ją do Jamestown. Władze kolonii zatrzymały Indiankę jako zakładniczkę, żądając od Powhatana powstrzymania się od wojny i wymiany jeńców. Rozmowy w sprawie uwolnienia Pocahontas ciągnęły się blisko dwa lata. W tym czasie dziewczyna nauczyła się języka angielskiego i stopniowo przywykła do życia wśród białych. W Jamestown poznał ją młody wdowiec, plantator tytoniu John Rolfe (1585–1622), zakochał się w niej i postanowił się z nią ożenić. Pocahontas przyjęła chrzest oraz imię Rebeka, po czym 5 kwietnia 1614 roku, za zgodą gubernatora Thomasa Dale'a, poślubiła Anglika. Nie wiadomo, czy Powhatan wyraził zgodę na małżeństwo córki, niemniej wysłał na uroczystość kilku swoich krewnych. Zawarto wówczas pokój z białymi, zwany „pokojem Pocahontas”, który przetrwał aż do śmierci wodza. 30 stycznia 1615 roku na świat przyszedł jedyny syn Rolfe'a i Pocahontas, Thomas.

W 1612 roku John Rolfe, jako pierwszy biały człowiek, założył w Jamestown plantację tytoniu (tajemnicę jego uprawy przekazali mu Indianie Powhatana). Rok później wysłał do Anglii pierwszy transport liści tytoniu wyhodowanego na swej plantacji. Odkąd bowiem w 1556 roku za sprawą francuskiego posła w Lizbonie Jeana Nicota (stąd nazwa „nikotyna”) tytoń trafił na dwór króla Francji, a dziewięć lat później zawędrował do Anglii, zaczęła się w Europie moda na jego palenie. Eksperci w Londynie odnieśli się więc do cennej przesyłki Rolfe'a

z należytą uwagą. Uznali ją za niezwykle obiecującą i pożądaną. W niedługim czasie na żądanie kierownictwa Kompani Wirginijskiej tytoń zaczęto uprawiać w kolonii na większą skalę.

Wiosną 1616 roku John Rolfe ze swą egzotyczną żoną i synem Thomasem oraz kilkoma Indianami udali się jako goście Kompanii w podróż do Londynu. Popłynęli statkiem „Treasurer”, na którym kilka lat wcześniej uwięził Pocahontas kapitan Argall. W Londynie ceniony w całej Anglii plantator tytoniu oraz „księżniczka Rebeka” zostali przyjęci przez parę królewską, mimo że Jakub I, asceta o surowych zasadach, uznawał palenie za grzech i w 1614 roku zakazał tej używki swoim poddanym.

W Anglii atrakcyjna, lubiana i ceniona na dworze oraz w najwyższych sferach Pocahontas najchętniej spędzała czas w posiadłości męża w Brenford, gdzie zielone parki i lasy nad Tamizą przypominały jej rodzinne strony znad rzeki James. Czuli się tam szczęśliwi, ale na początku 1617 roku Rolfe otrzymał stanowisko sekretarza kolonii Wirginia i rodzina musiała szykować się do powrotu za ocean. Przed końcem zimy państwo Rolfe’owie byli gotowi do rejsu. Nieoczekiwanie jednak Pocahontas zachorowała na czarną ospę i w marcu 1617 roku, tuż po wypłynięciu z Londynu, zmarła w porcie Gravesend, w hrabstwie Kent. Pochowano ją w miejscowym kościele, w miejscu jak najbardziej przysługującym młodej indiańskiej „księżniczce”, która przeszła na chrześcijaństwo.

Pocahontas była pierwszą Indianką z Ameryki Północnej, która odwiedziła Europę. Jej syn pozostał w Anglii, gdzie wychowywał się pod opieką rodziny ojca do dwudziestego pierwszego roku życia. Potem wrócił do Ameryki, przejął część dziedzictwa Johna Rolfe’a i stał się pierwszym plantatorem z mieszanego małżeństwa Anglika z Indianką. Data jego śmierci pozostaje nieznana. Ostatnia wzmianka o nim pochodzi z roku

1658, ale niektóre źródła mówią, że żył do roku 1680 i zmarł na swojej plantacji w Wirginii.

Mimo zakazu Jakuba I po powrocie do Wirginii John Rolfe rozwinął produkcję tytoniu w celach eksportowych. W 1618 roku żaglowiec „George” przywiózł do Anglii dziesięć ton wonnych tytoniowych liści. Od tego czasu zaczął się prawdziwy wielki eksport tytoniu, który rozpoczął swój zadziwiający pochód po całym świecie. Popyt na tę używkę w Anglii, a potem w innych krajach europejskich wywołał w koloniach amerykańskich gwałtowny głód ziemi. Tytoń okazał się rośliną bardzo żarłoczną, szybko wyjaławiał glebę, toteż biali plantatorzy potrzebowali coraz to nowych terenów pod jego uprawę. To właśnie tytoń stał się powodem częstych starć zbrojnych i rugowania Indian z ich ziemi. W pogoni za szybkim zyskiem wielu kolonistów wołało odbierać ziemię uprawną Indianom, niż karczować i oczyszczać okoliczne lasy. Zjawisko to nasilało się wraz ze wzrostem liczby osadników. Kilka lat po śmierci Powhatana posiadłości angielskie rozciągały się między rzekami James i York, sięgając dwieście pięćdziesiąt kilometrów w głąb terytorium Wirginii. Kilka tysięcy mieszkających na tym obszarze osadników uprawiało osiemdziesiąt plantacji, przede wszystkim tytoniu. W 1631 roku uprawa tytoniu dotarła do sąsiadującej z Wirginią kolonii Maryland, a stamtąd błyskawicznie rozpowszechniła się na innych terenach.

Śmierć Pocahontas zachwiała pokojowym współistnieniem, wprowadzonym przez kapitana Smitha w celu utrzymania Jamestown, a względnie dobre wzajemne relacje skończyły się w 1618 roku, wraz z odejściem Powhatana. Brat i następca wodza, Opechancanough, czyli Ten, Który Ma Białą Duszę (ok. 1546–1646), szczerze nienawidził osadników od czasu, gdy pewnego razu Smith w poszukiwaniu żywności wtargnął do jego wioski pod pozorem zakupu kukurydzy i ujawnił go za

włosy, poprowadził pod lufą pistoletu do Jamestown. Indianie wykupili Opechancanougha za ogromną ilość żywności, ale odtąd wódz, choć nabrał szacunku dla siły i sprytu Anglików, stał się śmiertelnym wrogiem wszystkich białych. Uczucia te skrywał głęboko, czekając chwili, kiedy trafi się okazja wytępienia intruzów, słusznie bowiem przewidywał, że z czasem przyniosą oni Indianom zagładę. Dopóki jednak wodzem był Powhatan, który niezmiennie lekceważąco powtarzał, że biali „zajmują tylko kawałek nieuprawnej ziemi”, w Wirginii trwał kruchy pokój.

Przez cztery lata Opechancanough kontynuował pokojową politykę swojego poprzednika, choć stosunki między Indianami i Europejczykami znów się pogorszyły. Na terenach obfitujących w jagody i dziką zwierzynę pojawiły się plantacje tytoniu, ale koloniści woleli nie dostrzegać wzburzenia Indian. Opechancanough wiedział, że prawdziwym zagrożeniem dla jego ludzi nie są wewnętrzne spory ani nawet indiańscy nieprzyjaciele, lecz ciągły napływ Europejczyków. Potrafił przekonać o tym swoich współplemieńców i uzyskać wkrótce ich szerokie poparcie.

Do wojny doszło 22 marca 1622 roku, kiedy wojownicy Opechancanougha zaatakowali osiedla i plantacje białych nad rzeką James. W ciągu dwóch dni zginęło trzystu czterdziestu siedmiu kolonistów, wśród nich John Rolfe, wdowiec po Pocahontas. Anglicy utracili jedną trzecią potencjalnej siły kolonii. Ocalało tylko sześć z osiemdziesięciu plantacji. Samo Jamestown uniknęło zniszczenia dzięki ostrzeżeniu ochrzczonego Indianina imieniem Chanco. Dla Anglików był to prawdziwy szok. Wstrząsnęły nimi nie tyle poniesione straty, ile fakt, że niedoceniani przez nich Indianie zdobyli się na jedność w zbrojnym działaniu, że stanęli do walki ramię w ramię. Opechancanough zdołał zjednoczyć plemiona konfederacji, czego nie potrafił albo nie chciał wcześniej zrobić Powhatan.

Niedługo potem upokorzeni i pokonani Anglicy zaprosili Indian na rokowania pokojowe i podczas wspólnej uczy wytruli blisko dwustu gości. Wódz jednak zdołał ująć z życiem.

Bez wątpienia Opechancanough liczył się z odwetem, ale był absolutnie nieprzygotowany na wyjątkowo bezwzględną zemstę białych. Koloniści bowiem pustoszyli jego kraj i bezlitośnie mordowali Indian. Plemiona ratowały się ucieczką; niektóre uszły bardzo daleko od rodzinnych stron. Kilka mniejszych odłamów uległo całkowitej zagładzie. Okrutna wojna, naznaczona licznymi masakrami, trwała czternaście lat. W końcu obie strony, wyczerpane walkami, zawarły pokój w 1636 roku. Pozostali przy życiu Indianie wrócili do swoich dawnych siedzib na północy Wirginii, a biali osadnicy odgradzili się od nich łańcuchem fortyfikacji pomiędzy osadami Chesiac oraz Jamestown i skupili się na południu Wirginii, rzadko zapuszczając się na północ i zachód. Opechancanough osiągnął więc pewien sukces. Została ustanowiona granica pomiędzy Indianami i Europejczykami, ale była ona tymczasowa, a jej powstanie Indianie okupili straszliwą ceną.

Pokój przetrwał do 18 kwietnia 1644 roku, kiedy to zgrzybiały starzec, o którym mówiono, że miał już sto lat i na pole bitwy trzeba go było nosić w lektyce, uderzył znowu. Powstanie okazało się zaskakująco skuteczne. Opechancanough, choć dysponował znacznie mniejszą liczbą wojowników, potrafił zadać białym tyle samo strat, co podczas pierwszej rebelii w 1622 roku: w pogranicznych osadach między rzekami York i Pamunkey zginęło czterysta osób. Ale w czasie pokoju liczba białej ludności Wirginii wzrosła do ośmiu tysięcy osób i po dwóch latach walki Indianie ponieśli klęskę. Opechancanough, zbyt osłabiony, żeby uciekać z pola bitwy, dostał się do niewoli. Prawie ociemniałego i rannego wodza zawleczono do Jamestown, gdzie „to krwawe monstrum” wystawiono na pośmiewisko gawiedzi. Poruszony widokiem

poniżonego starca gubernator William Berkeley polecił strażnikom zaopiekować się jeńcem, lecz ci przy pierwszej sposobności zabili go strzałem w plecy, mszcząc się za wcześniejsze klęski zadane im przez Indian.

Następca zamordowanego wodza, Nectowance, został zmuszony do zawarcia pokoju z Berkeleyem w październiku 1646 roku. Chociaż wciąż tytułowano go „królem Indian”, uznał zwierzchność angielskiego gubernatora i zgodził się składać mu co roku lenną daninę w postaci dwudziestu skór bobrowych. Ustalono nową granicę między angielskim osadnictwem a terenami indiańskimi, zapewniono także Indianom pewne prawa i ochronę. Nie powstrzymało to jednak białych przed zdobywaniem nowych siedlisk oraz ziem niewyjałowionych jeszcze przez żarłoczny tytoń dla kolejnych fal osadników. Tej ekspansji nie mogli się przeciwstawić następni przywódcy Powhatanów: Totopotomoi, a potem jego żona, „królowa” Cockacoeske, wnuczka Opechancanougha. Do roku 1665 roku wirginijscy Indianie byli już tylko cieniem dawnej konfederacji z czasów Powhatana, a po traktacie z Albany, zawartym w 1684 roku przez różne plemiona Indian z gubernatorem Wirginii lordem Charlesem Howardem, konfederacja całkowicie upadła. Wraz z postępującą ekspansją białych kolonizatorów skończyła się potęga wschodnich Indian. Powstał system rezerwatów, a zarazem nastąpił ekonomiczny wzrost regionu i umocnienie angielskiego osadnictwa na południu dzisiejszych Stanów Zjednoczonych.

A Pocahontas? Już za swego krótkiego dwudziestojednoletniego życia stała się legendą i do dziś pozostaje najlepiej znaną Indianką w Europie. Mało kto jednak zna ją jako córkę, żonę i matkę prawdziwych tytoniowych królów.

Przypisy

- 1 Na cześć „królowej dziewicy” Elżbiety I Raleigh nadał kolonii nazwę Wirginia (*Virginia* – Dziewica).
- 2 Była to tzw. konfederacja Tsenacommacah, grupująca algonkińskie plemiona z południowo-wschodniej Wirginii i części atlantyckiego wybrzeża Karoliny Północnej. Związek ten jest bardziej znany pod nazwą konfederacji Powhatan (*Powhatan Confederacy*). Każde z plemion konfederacji było niezależne i miało swojego wodza, ale naczelne przywództwo należało do głównego wodza (*mamanatowick*), czyli Powhatana.

Ojcowie pielgrzymi z „Mayflowera”

Kiedy na świątecznym stole w purytańskiej kolonii Plymouth pojawił się ciepły kukurydziany chleb z pierwszego zbioru na amerykańskiej ziemi, osadnicy zaczęli klaskać w dłonie i modlić się do Boga w podziękowanie za opiekę i dary. Zaprzyjaźnieni z nimi Indianie z plemienia Pokanoket, należący do wielkiej rodziny Wampanoagów, których biali zaprosili na swoją ucztę, siedzieli lekko uśmiechnięci, nie wiedząc, co mają robić w tej uroczystej chwili.

Przez trzy dni wódz Massasoit i dziewięćdziesięciu jego współplemieńców byli gośćmi ucztujących i bawiących się przybyszów z obcych stron. W rewanżu Indianie podarowali im pięć jeleni i wiele ptactwa wodnego jako wykwintny dodatek do uczty. A gdy pierwsze Święto Dziękczynienia dobiegło końca, osadnicy wzięli się do roboty i rozpoczęli przygotowania do spędzenia w Nowym Świecie swojej drugiej zimy.

Szesnastowieczne próby założenia przez Anglików kolonii w Ameryce Północnej zakończyły się niepowodzeniem. Dopiero wyprawa Johna Smitha z 1607 roku zapoczątkowała systematyczną akcję osiedleńczą. Z inicjatywy specjalnie w tym celu utworzonej Londyńskiej Kompanii Wirginijskiej na malarycznym półwyspie w zatoce Chesapeake założono osadę Jamestown, nazwaną tak na cześć króla Jakuba I. Jej los stał się straszliwym przykładem ceny, jaką przyszło zapłacić Anglikom, zanim nabrali doświadczenia w kolonizowaniu Ameryki.

W latach 1608–1609 przybyły do Jamestown następne statki z osadnikami, ale większość z nich zmarła z powodu chorób, głodu i zabójczego klimatu. Z ponad dziewięciuset ludzi, którzy tam dotarli, do zimy 1609 roku przetrwało zaledwie stu pięćdziesięciu. Na marginesie warto wspomnieć, że wśród pierwszych mieszkańców Jamestown, którzy przyплыли do Ameryki w 1608 roku na statku „Mary and Margaret”, było kilku Polaków[1]. W 1619 roku w Jamestown mieszkało już około pięćdziesięciu naszych rodaków, którzy uruchomili tam pierwsze smolarnie oraz wytwórnie szkła i mydła (z tego powodu niektórzy uważają ich za pionierów przemysłu amerykańskiego). Wraz z Holendrami uchodzili oni za „najbardziej przytecznych ludzi w kolonii”.

Następną udaną próbą osiedleńczą podjęła grupa stu dwóch angielskich kolonistów z Williamem Brewsterem na czele, która założyła pierwszą osadę w Nowej Anglii. Koloniści ci przybyli do Ameryki w listopadzie 1620 roku. Wszyscy byli purytanami, członkami radykalnego ruchu religijnego, którego wyznawcy postawili sobie za cel uzyskanie całkowitej niezależności od Kościoła i Korony angielskiej. Prześladowani w Anglii pod rządami Jakuba I, który widział w nich zagrożenie dla królewskiej kontroli nad Kościołem, w 1608 roku postanowili przenieść się do słynących z tolerancji Niderlandów. Dwanaście lat później z powodu obcej kultury, braku pełnej samodzielności i trudnej sytuacji ekonomicznej zdecydowali się opuścić dzisiejszą Holandię i szukać szczęścia na niedawno odkrytej ziemi Nowego Świata. Mieli nadzieję rozpocząć nowe życie w dolinie rzeki Hudson, gdzie Brewster, zgodnie z otrzymanym przywilejem, zamierzał założyć kolonię.

Cała wspólnota wypłynęła z angielskiego portu Southampton w sierpniu 1620 roku na dwóch statkach: „Speedwell” i „Mayflower”. Wkrótce po wyjściu z portu okazało się, że „Speedwell” jest niezdolny do dalszej żeglugi, toteż przyszli

koloniści postanowili kontynuować podróż wyłącznie na „Mayflowerze”. 16 września na dobre opuścili Anglię i obrali kurs na Amerykę. Żegluga przebiegała w bardzo ciężkich jesiennych warunkach. Statek musiał pomieścić trzydziestoosobową załogę i ponad stu pasażerów, a ponadto dużą ilość zapasów i narzędzi oraz liczne zwierzęta gospodarskie. Wysokie fale nadwerężyły konstrukcję niewielkiego statku i wywoływały u ludzi chorobę morską, a wdzierająca się do ładowni woda psuła żywność. Mimo to zmarła tylko jedna osoba. Po dwóch miesiącach żeglugi przez ocean w grupie zaczęło dochodzić do konfliktów grożących podziałami. W tej sytuacji purytanie zawarli porozumienie, zobowiązując się do zrzeczenia własności prywatnej i wspólnej pracy na rzecz społeczności. Wreszcie 9 października, po sześćdziesięciu czterech dniach podróży i ponad trzech tygodniach zmaganiań ze sztormami, dostrzeżono ląd. Nie było to jednak wyczekiwane wybrzeże przy ujściu rzeki Hudson, lecz położony znacznie dalej na północ przylądek Cod. Głodni i zmęczeni „pielgrzymi” postanowili przybić do brzegu i wkrótce statek zarzucił kotwicę w naturalnym porcie na samym krańcu przylądka, w pobliżu dzisiejszego miasta Provincetown w stanie Massachusetts[2]. Jednakże przed zejściem na ląd, 11 listopada, czterdziestu jeden mężczyzn podpisało na pokładzie „Mayflowera” tzw. układ z „Mayflower” (*Mayflower Compact*), zwięzły dokument zawierający zasady życia i współpracy w nowej kolonii. Sygnatariuszy tego porozumienia nazywa się dziś „ojcami pielgrzymami” (*The Pilgrim Fathers*), a podpisany przez nich układ należy do najważniejszych dokumentów w historii USA. W powszechnej świadomości Amerykanów stanowi on zapowiedź i podstawę ducha wspólnoty, równości i braterstwa, czyli idei, które miały stać się kamieniem węgielnym pod budowę Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Z powodu licznych mializn w zatoce Provincetown i wyczerpania załogi postanowiono znaleźć dogodniejsze miejsce lądowania bardziej na zachód, na brzegu Nowej Anglii. Po zbadaniu skalistego wybrzeża i zorganizowaniu kilku wypraw w głąb lądu przybysze zdecydowali się założyć kolonię w okolicy, która w ich mniemaniu „była prześliczna i zdatna pod uprawę różnego rodzaju zbóż”. Wybrawszy odpowiednie miejsce, wybudowali ufortyfikowaną osadę, którą nazwali New Plymouth (późniejsze Plymouth)[3], złożoną z prymitywnych jednoizbowych chat krytych trzcina o powierzchni około dwudziestu metrów kwadratowych. Skromne zapasy żywności szybko się wyczerpały i osadnicy musieli je uzupełniać dzikim ptactwem wodnym oraz małżami, ponieważ haczyki do wędek, które przywieźli ze sobą z Anglii, nie nadawały się do połowu ryb. Rychło szlachetne postanowienia zawarte w układzie podpisanym na pokładzie „Mayflowera” okazały się niemożliwe do spełnienia. Wspólna praca nie przynosiła spodziewanych efektów i kolonistom zagroziła śmierć głodowa. Niedostatek żywności w połączeniu z ciężką zimą sprawił, że ludzie zaczęli chorować i umierać. Bywały dni, kiedy umierały po dwie–trzy osoby. Z pierwotnej liczby stu dwóch osadników, którzy przybyli na pokładzie „Mayflowera”, do lata 1621 roku dotrwało mniej niż sześćdziesięcioro.

Od samego początku osadnicy z Plymouth nie mieli problemów z miejscowymi Indianami z licznej rodziny Wampanoagów, którym przewodził Massasoit (ok. 1581–1661). Jego rodzime imię brzmiało Ousamequin, czyli Żółte Pióro albo Żółty Wódz. Pochodził z plemienia Pokanoketów[4] i był wielkim wodzem wszystkich Wampanoagów, dlatego przysługiwał mu tytuł massasoita, czyli właśnie wielkiego wodza. Indianie okazali się bardzo przyjaźni i w najtrudniejszym okresie pomogli przybyszom przetrwać głodowe miesiące.

22 marca 1621 roku Massasoit w otoczeniu kilku wojowników odwiedził Plymouth wraz z bratem Quadequina i drugim wodzem Samosetem, jednym z przywódców wschodnich Abenaków, który już parę dni wcześniej złożył kolonistom wizytę i wprowadził ich w zdumienie, witając się kilkoma słowami w łamanym angielskim. Poprosił o piwo i coś do zjedzenia, a potem wyjaśnił, że nauczył się trochę języka od angielskich rybaków, którzy prowadzili połowy u wybrzeży dzisiejszego Maine. „Pielgrzymi” powitali Massasoita biciem w bębny i fanfarami, a pierwszy gubernator kolonii i prawdopodobny autor układu z „Mayflower” John Carver potraktował wodza niczym udzielnego monarchę, całując go w rękę i częstując kieliszkiem słodkiego wina. Drugi wódz, Samoset, przyprowadził także swojego przyjaciela Squanto, który zamieszkał wśród kolonistów i został ich tłumaczem.

Jak mówi historia, Squanto albo Tisquantum, czyli Drzwi, bo tak brzmiało jego prawdziwe indiańskie imię, pochodził z plemienia Patuxet należącego do konfederacji Wampanoagów. Jako młody człowiek w 1614 roku wraz z dwudziestoma czterema współplemieńcami został zdradziecko porwany przez angielskiego kapitana Thomasa Hunta, wspólnika Johna Smitha, nie bez powodu określanego w dokumentach z epoki jako „bezwartościowy przedstawiciel naszej rasy”. Sprzedany na targu niewolników w hiszpańskiej Madrycie, jakimś sposobem zdołał zbiec z niewoli i dotrzeć do Anglii. Tam znalazł schronienie u bogatego kupca Johna Slany’ego, oficjalnego przedstawiciela handlowej Kompanii Nowofundlandzkiej. Służąc mu, Squanto nauczył się języka angielskiego i poznał bliżej siłę oraz mentalność białych. W latach 1617–1619 towarzyszył angielskim wyprawom badawczym do brzegów Nowej Anglii jako pośrednik w kontaktach z miejscowymi Indianami. Dowiedziawszy się o wielkiej epidemii, prawdopodobnie czarnej ospy, która zdziesiątkowała

Patuxetów i inne plemiona tego regionu, porzucił białych i wyruszył na poszukiwanie resztek swojego plemienia. Kiedy stwierdził, że przestało ono istnieć, zamieszkał wśród Abenaków w Maine i został bliskim doradcą ich wodza, Samoseta. Po przybyciu „pielgrzymów” stał się ich głównym łącznikiem z Wampanoagami, ale jego bliskie kontakty z kolonistami szybko wzbudziły podejrzania Massasoita. Jesienią 1622 roku, wracając z kolejnej narady osadników z Wampanoagami, Squanto nagle zachorował i 30 listopada zmarł w dzisiejszym Chatham na półwyspie Cod. Niektórzy historycy uważają, że mógł zostać otruty przez Pokanoketów, którzy zaczęli go podejrzewać o nielojalność wobec ich wodza. Drugi gubernator kolonii Plymouth, William Bradford, tak opisał okoliczności jego śmierci:

„Biedny Squanto zaniemógł i zaczął mocno krwawić z nosa, co Indianie uważają za oznakę śmierci, i po paru dniach umarł. Błagał gubernatora, by się za niego modlił, aby mógł pójść do angielskiego Boga w niebie. Potem przekazał trochę swoich rzeczy angielskim przyjaciołom jako pamiątki po sobie. Jego śmierć była dla nas wielką stratą”.

Gubernator Bradford uważał także za celowe wspomnieć o ostrzeżeniu, które otrzymał przed wypłynięciem ze Starego Kraju do Nowego Świata w związku z nikczemną działalnością kapitana Thomasa Hunta i innych awanturników najeżdżających wybrzeże Nowej Anglii na długo przed przybyciem purytanów, co odbiło się szerokim echem w całej Anglii:

„Indianie Pokanoket, którzy żyją na zachód od Plymouth, żywią zadawnioną urazę do Anglików i są najsilniejszym z dzikich plemion od tego miejsca aż do zatoki Penobscot [w Maine]. Ich poczucie zemsty wywołał pewien Anglik, który zaprosił wielu z nich na pokład swego statku, a potem razem ze

swoimi mordercami pozabijał tych Indian, którzy mu nic złego nie uczynili”.

Wbrew obawom Bradforda Pokanoketowie i reszta Wampanoagów szybko zapomnieli o dawnych krzywdach i nawiązali pokojowe stosunki z przybyszami. Korzyści płynące z przyjaznego współistnienia i handlu wymiennego doceniali zarówno biali, jak i Indianie. Od Samoseta i Squanto osadnicy nauczyli się uprawy kukurydzy i różnych roślin warzywnych. Szczególnie wydajna okazała się indiańska metoda wspólnego sadzenia nasion kukurydzy, fasoli i dyni w taki sposób, aby po wyrośnięciu fasola i dynia wykorzystywały łodygę kukurydzy w charakterze tyczki. Indianie pokazali także kolonistom starą metodę użyźniania ziemi, polegającą na zakopywaniu ryb obok świeżo posadzonych nasion. Jak napisał amerykański historyk, „kolonia ojców pielgrzymów w Plymouth na terenie Massachusetts prawdopodobnie by upadła, gdyby nie wsparcie plemienia Wampanoagów”.

Dzięki pomocy Indian koloniści z Plymouth nie tylko przetrwali pierwszy trudny okres głodu i chorób, lecz także zdołali się umocnić w nowym, nieznanym im kraju, tworząc przyczółek Nowej Anglii. Udało się im nawet pozyskać przyjaźń nieprzychylnego Wampanoagom potężnego plemienia Narragansettów z Rhode Island. Ich wódz Qunnoune, znany białym jako Canonicus, w 1622 roku rzucił wyzwanie mieszkańcom Plymouth, wysyłając im symboliczną wiązkę strzał zawiniętą w skórę grzechotnika. Purytanie odpowiedzieli przesłaniem woreczka z kulami na znak, że są gotowi do walki. Na szczęście obie strony przejrzały na oczy i zamiast wojny zapanował długotrwały pokój oparty na wzajemnym poszanowaniu, chociaż Canonicus podejrzewał Anglików o „wysłanie” czarnej ospy, która w 1633 roku zabrała siedmiuset jego współplemieńców. Nie przeszkodziło mu to

jednak doceniać przyjaźń przybyszów, choć jego plemię od lat toczyło wojny z bliskimi purytanom Wampanoagami.

Przywrócenie własności prywatnej oraz obfite plony w lecie 1621 roku znacznie poprawiły sytuację w kolonii. Osadnicy, dysponując nadwyżką żywności, postanowili podzielić się nią z ludźmi Massasoita. Dzięki przyjaznym stosunkom z Indianami oraz zapasom jedzenia purytańscy mieszkańcy Plymouth przetrwali także dwie kolejne ostre zimy i w lipcu 1623 roku przyjęli dziewięćdziesięciu sześciu współwyznawców, którzy przed trzema laty nie odważyli się na wyprawę do Nowego Świata i pozostali w Holandii. Dwa lata później osadnicy gospodarowali już na obszarze osiemdziesięciu sześciu hektarów ziemi darowanej im przez Indian. Pod koniec 1628 roku w Nowej Anglii istniało kilka angielskich osad, w tym Taunton, Deerfield, Chatham, Salem, Middleborough i Marblehead, które stanowiły podstawę do dalszej emigracji purytańskiej. W ciągu dwunastu lat w sąsiedniej kolonii Massachusetts Bay osiedliło się ponad dziesięć tysięcy Anglików, skupionych wokół miasta Boston. Wysoki przyrost naturalny i napływ kolejnych osadników sprawiły, że samo Plymouth, w 1623 roku zasiedlone przez stu osiemdziesięciu ludzi, dwadzieścia lat później liczyło już dwa tysiące mieszkańców, w tym sześciuset mężczyzn zdolnych do noszenia broni, a w 1690 roku, w przededniu likwidacji kolonii, prawie siedem tysięcy osób.

W amerykańskiej tradycji założenie przez purytanów osady Plymouth uważa się za początek kolonizacji angielskiej w Ameryce Północnej. Nie jest to do końca prawda, ponieważ w chwili przybycia „Mayflowera” do brzegów Nowej Anglii kolonia Jamestown w Wirginii liczyła już ponad tysiąc mieszkańców. W 1676 roku doszło tam jednak do rebelii niejakiego Nathaniela Bacona przeciwko królewskiemu gubernatorowi Williamowi Berkeleyowi, oskarżanemu

o zbytnią łagodność wobec Indian. W wyniku tego buntu Jamestown zostało doszczętnie spalone, a resztki mieszkańców rozproszyły się po sąsiednich plantacjach. Ten fakt czyni Plymouth najstarszym istniejącym do dziś pomnikiem angielskiego osadnictwa w Ameryce.

Przez wszystkie lata osadnicy z Plymouth niezmiennie cenili sobie przyjaźń Massasoita. Kiedy wódz zachorował w 1623 roku, przysłali mu swoich lekarzy, a chorego doglądał sam późniejszy gubernator kolonii, zaprzyjaźniony z nim Edward Winslow. Za swoją przyjaźń i troskę o kolonistów Massasoit otrzymywał od nich broń, narzędzia i europejskie towary, co jeszcze bardziej umacniało jego pozycję wśród Indian. Gdy w 1632 roku doszło do wojny Wampanoagów z Narragansettami, osadnicy z Plymouth udzielili Massasoitowi schronienia, a trzy lata później wymusili na jego wrogach zawarcie z nim pokoju. Pokój między Wampanoagami a białymi utrzymał się do końca życia wodza, który był na tyle potężny, że potrafił trzymać w ryzach swoich ludzi, zaniepokojonych wdzieraniem się Anglików na ich ziemię. Umierając w 1661 roku, Massasoit pozostawił dwóch synów, którym Anglicy na jego prośbę nadali imiona wielkich władców starożytnej Macedonii – Aleksander i Filip, jak najbardziej odpowiadające ich wysokiej pozycji wśród Wampanoagów.

Na pamiątkę wspólnej uczyty, którą wdzięczni purytanie z Plymouth wydali jesienią 1621 roku dla wielkiego indiańskiego wodza i jego ludzi w podzięcie za ich pomoc, w Stanach Zjednoczonych obchodzi się co roku w czwarty czwartek listopada Święto Dziękczynienia (*Thanksgiving Day*). Jego symbolem stał się jeden z największych amerykańskich ptaków – indyk, który dla Amerykanów jest tym, czym dla Polaków wigilijny karp[5].

Przypisy

- 1 Byli to polscy wyznawcy religii protestanckiej, którzy uciekli przed prześladowaniami do Niderlandów i Anglii.
- 2 W 1910 r. w Provincetown wzniesiono okazały pomnik (*Pilgrim Monument*) upamiętniający przybycie ojców pielgrzymów do Ameryki.
- 3 W 1643 r. Plymouth wraz z Massachusetts Bay, Connecticut i New Haven zawiązało purytańską konfederację zwaną Zjednoczonymi Koloniami Nowej Anglii (*United Colonies of New England*) w celu wspólnej obrony przed Indianami i holenderską kolonią Nowe Niderlandy. W 1691 r. Plymouth zakończyło samodzielny żywot i przyłączyło się do kolonii Massachusetts.
- 4 O Indianach Pokanoket wspominał już Giovanni Verrazzano, który zawinął do zatoki Narragansett w 1524 r. Widok jego żagli sprowadził na brzeg wielu zaciekawionych Indian, o których słynny żeglarz pisał: „Ludzie ci są najpiękniejsi i mają najbardziej cywilizowane zwyczaje ze wszystkich, jakich spotkaliśmy podczas naszej podróży”.
- 5 Indyka docenił swego czasu jeden z założycieli Stanów Zjednoczonych, Benjamin Franklin, który postulował nawet, aby uhonorować go w godle narodowym. Zamiast szlachetnego indyka Amerykanie wybrali jednak rybożernego bielika amerykańskiego. Wprawdzie nosi on nazwę *Bald Eagle* (dosłownie: łysy orzeł) i jako symbol narodowy USA jest najbardziej rozpoznawalnym północnoamerykańskim ptakiem, ale orłem nie jest i bliżej mu do jastrzębia.

Wojna „króla Filipa”

Przez jakiś czas w 1675 roku wydawało się, że młode angielskie kolonie w Nowej Anglii zostaną zmiecione z powierzchni ziemi, a ich mieszkańcy zepchnięci do morza. Tego roku silne wyprawy wojenne Indian uczyniły z Nowej Anglii krwawe pole bitwy. Na swoim szlaku bojowym wojownicy pozostawili dwadzieścia splądrowanych i spalonych osiedli, ośmiuset zabitych białych i setki hektarów zdewastowanych pól uprawnych. Wojna trwała ponad rok i skończyła się tylko dlatego, że na pomoc osadnikom z Nowej Anglii przybyły siły angielskie z innych kolonii.

Przywódca walczących Indian, Metacomet, nazywany przez angielskich kolonistów „królem Filipem”, był synem Massasoita, wielkiego wodza Wampanoagów, przyjaciela i opiekuna białych. Od śmierci ojca minęło już jednak wiele lat i dużo się zmieniło we wzajemnych relacjach. Młodego wodza niepokoiło i oburzało stałe wdzieranie się białych na ziemie Indian. W wielkiej tajemnicy opracował więc plan wybicia osadników i wyrzucenia ich ze swego kraju raz na zawsze. Ale jeden z jego współplemieńców okazał się zdrajcą i wyjawił Anglikom plan wodza. Filip wpadł we wściekłość i kazał zabić zdrajcę. Anglicy odpowiedzieli egzekucją trzech Indian oskarżonych o zgładzenie donosiciela. W odwecie wojownicy Filipa zamordowali paru białych i tak wzajemna eskalacja doprowadziła do wybuchu wojny.

W 1621 roku Anglicy zgłosili pretensje do Akadii i ziem leżących dalej na zachód, aż do Rzeki Świętego Wawrzyńca

(dzisiejsza prowincja Nowy Brunzwik)[1]. W 1629 roku zainteresowali się terenami obydwu obecnych Karolin. Od 1634 roku zaczęły powstawać angielskie kolonie na wielkich obszarach nad rzeką Delaware, obejmujące dzisiejsze terytoria Long Island, New Jersey, wschodniej Pensylwanii oraz częściowo Delaware i Maryland.

Wcześniej jednak, w okresie gdy John Smith zakładał Jamestown, a Samuel de Champlain budował pierwszy fort w Quebecu, u wybrzeży Kanady pojawił się angielski odkrywca Henry Hudson (ok. 1550–1611). Działając z polecenia angielskiej kompanii poszukującej północno-zachodniej drogi do Azji, w 1607 roku dotarł on do Grenlandii, a rok później do wybrzeży Nowej Ziemi na Morzu Arktycznym. W 1609 roku, tym razem w służbie holenderskiej, dopłynął do Nowej Fundlandii, a następnie odkrył ujście rzeki nazwanej potem Hudson River. W latach 1610–1611, znowu w służbie angielskiej, dopłynął do cieśniny i zatoki nazwanych jego imieniem.

We wrześniu 1609 roku popłynął swoim statkiem „The Half Moon”, czyli „Półksiężyc”, w górę wielkiej rzeki, którą uważał za północną drogę do Indii. Podczas tej podróży dokonał pierwszej wymiany handlowej z Indianami z plemienia Mohikanów. Pomyślna transakcja i przyjazne nastawienie Indian sprawiły, że od 1610 roku Holendrzy zaczęli wysyłać w ten rejon swoje statki, które w zamian za broń palną, narzędzia i inne wyroby europejskie przywoziły skóry bobrów, borsuków, szopów i lisów. W 1613 roku kupcy holenderscy założyli w kraju Mohikanów pierwszą stałą faktorię.

W latach następnych Holendrzy, wykorzystując dogodność rzeki Hudson jako drogi wodnej, założyli nad jej brzegami swoją kolonię Nowe Niderlandy. Na jej obszarze powstało kilka faktorii handlowych, z których największą rolę odgrywała wybudowana w 1614 roku na wyspie Manhattan osada, od roku 1625 nosząca nazwę Nowy Amsterdam. W 1621 roku rząd

holenderski powołał Kompanię Zachodnioindyjską i przyznał jej zwierzchnictwo nad Nowymi Niderlandami oraz monopol na prowadzony tam handel. Trzy lata później na zachodnim brzegu rzeki Hudson powstał fort Orange (dzisiejsze Albany). Dalsza eksploracja prowadzona przez Holendrów w dolinie rzeki Hudson pozwoliła im nawiązać kontakty handlowe z mieszkającymi tam Mohawkami, wypędzonymi przez Indian Montagnais i Francuzów z terenów nad Rzeką Świętego Wawrzyńca. Wskutek tego Irokezi szybko opanowali sztukę posługiwania się bronią palną i pomni klęski zadanej im przez Champlaina, napadali odtąd na Francuzów, gdzie tylko się dało. W krótkim czasie stali się największym przekleństwem Nowej Francji i plemion zaprzyjaźnionych z francuskimi osadnikami.

W odróżnieniu od Anglików, Holendrzy byli nastawieni głównie na handel i nie zamierzali rozszerzać swoich terenów rolniczych. Tym samym nie narażali się raczej Indianom i utrzymywali z nimi na ogół przyjazne relacje. Chętnie zaopatrywali ich w muszkiety, proch i kule, tkaniny oraz artykuły codziennego użytku w zamian za ryby i skóry zwierząt, których nie brakowało w okolicznych lasach. Dążyli do zaprowadzenia pokoju między zwaśnionymi sąsiadami: Mohikanami, Mohawkami i północnymi Algonkinami znad Rzeki Świętego Wawrzyńca, uważając, że dobre stosunki międzyplemienne otworzą im drogę do bogatych w zwierzynę lasów nad Wielkimi Jeziorami. W rezultacie w całym regionie nastąpiło znaczne ożywienie wymiany handlowej, zwiększyła się liczba faktorii, między innymi powstały pierwsze placówki białych kupców nad rzeką Connecticut, które dały początek nowej kolonii o tej samej nazwie. Nie obyło się jednak bez dramatycznych incydentów. W 1633 roku Holendrzy zabili w pobliżu Hartford pierwszego znanego białym wodza Pekotów, Wapigwooita. Kilka lat później doszło do wielkiej wojny z białymi, w której na czele plemienia stanął syn

Wapigwoita Sassacus, czyli Gwałtowny Człowiek (ok. 1560–1637). Był on potężnym wodzem, któremu podlegało dwudziestu sześciu mniejszych wodzów (sachemów) z kraju rozciągającego się od zatoki Narragansett do rzeki Hudson oraz dzisiejszej nowojorskiej Long Island (Długiej Wyspy).

Chociaż polityka kolonialna Holendrów nie zachęcała większej liczby osób do osiedlenia się w Nowych Niderlandach, to jednak w pięćdziesiąt lat po założeniu kolonii, gdy zdobyli ją Anglicy, zamieszkiwało tam już ponad dziesięć tysięcy ludzi różnych narodowości. Większość z nich osiadła w Nowym Amsterdamie (od 1664 roku Nowy Jork), który zachował swój kosmopolityczny charakter także pod rządami angielskimi[2]. W Albany żyło w tym czasie ponad półtora tysiąca białych. W Delaware oprócz Holendrów, którym Anglicy wydarli Nowe Niderlandy w 1664 roku, osiedlili się Szwedzi, Finowie i Niemcy. W 1674 roku ziemie dawnych Nowych Niderlandów ostatecznie przyznano Anglii i odtąd stały się one ich kolonią jako Nowy Jork.

Już wiele lat wcześniej zaczęły się jednak nasilać spory i konflikty między Indianami i białymi, głównie z powodu ziemi. Indianie nie znali pojęcia prywatnej własności i nie rozumieli pazerności przybyszów. Gwałtowny rozwój kolonii angielskich na wybrzeżu Nowej Anglii dotknął wkrótce plemię Pekotów, zamieszkujące w dolinie rzeki Connecticut w dzisiejszym Rhode Island. To potężne niegdyś plemię, liczące przed przybyciem białych około trzynastu tysięcy osób, zostało przetrzebione przez choroby przywleczone przez kolonistów do trzech tysięcy głów. Mimo to należało do najsilniejszych i najwaleczniejszych w Nowej Anglii. Na co dzień Pekotowie łowili ryby i polowali na zwierzęta futerkowe – bobry, niedźwiedzie i lisy. Podobnie jak większość osiadłych plemion ze Wschodniego Wybrzeża, uprawiali kukurydzę, dynię i fasolę, które stanowiły podstawę ich wyżywienia, oraz zbierali syrop

klonowy. Trudnili się również zbieraniem muszelek służących do wyrobu kolorowych wampumów, używanych także jako środek płatniczy. Fakt, że miejsca obfitujące w cenne muszelki znajdowały się właśnie na ich terytorium, niewątpliwie przyczynił się do ich potęgi. Z tego powodu Pekotowie byli tradycyjnymi wrogami sąsiadujących z nimi Wampanoagów na północy, Narragansettów na wschodzie i Moheganów na zachodzie. Jako dominujące plemię w regionie pobierali daninę (w postaci wampumów) od pozostałych plemion, które musiały im ulec.

Od roku 1632 ziemie Pekotów zaczęli penetrować Holendrzy, a już w następnym roku doszło do zatargów z białymi, którzy osiedli w nowej kolonii Hartford przy ujściu rzeki Connecticut. W ich wyniku w czerwcu tego roku Pekotowie stracili swojego wodza, wspomnianego już Wapigwoita. W październiku 1633 roku wyzwanie Holendrom z Hartford rzucił William Holmes z Plymouth, który pożegłował w górę Connecticut i wybudował tam ufortyfikowaną osadę, licząc na współpracę i wymianę handlową z Indianami. W ślad za Holmesem przybyli inni koloniści angielscy i wkrótce obok jego faktorii powstało miasto Windsor. W 1636 roku Pekotowie zrozumieli, że zostali ściśnięci na obszarze pomiędzy Anglikami z Massachusetts a Holendrami z Nowych Niderlandów w dolinie rzeki Hudson.

Bezpośrednim powodem wojny stało się zamordowanie przez sprzymierzonych z Pekotami Indian Niantic dwóch angielskich kupców, którzy przyплыnęli do Connecticut w nadziei na zyskowny handel z miejscowymi Indianami: w roku 1633 kapitana Johna Stone'a, a w lipcu 1636 roku kapitana Johna Oldhama. Niantikowie chcieli w ten sposób zemścić się za doznane wcześniej krzywdy, Stone bowiem porwał kilku ich ludzi, Oldham zaś handlował z wrogimi im plemionami.

Anglicy zareagowali na to we właściwy sobie sposób. Purytański gubernator Massachusetts Henry Vane wysłał dziewięćdziesięciu uzbrojonych ludzi z Johnem Endecottem na czele, aby ukarali plemię, „zabijając wszystkich mężczyzn i biorąc do niewoli kobiety z dziećmi”. W sierpniu 1636 roku oddział Endecotta zaatakował wieś Niantików na wyspie Block Island u wybrzeży Connecticut i doszczętnie ją zniszczył. Zginęło siedemnastu Indian, ale większość mieszkańców zdołała uciec i szukała ochrony u Pekotów. Ci zaś, choć nie brali udziału w zabójstwie obu Anglików, udzielili zbiegom schronienia, czym narazili się na zemstę białych. Wkrótce potem Endecott zaatakował wioskę Pekotów przy ujściu rzeki Thames. Jej mieszkańcy uciekli i skryli się w lasach, wskutek czego Anglicy „nie zabili ani jednego człowieka”. Spalili jednak domy Indian i zniszczyli zbiory, po czym odpłynęli do Bostonu, zostawiając na miejscu niewielki oddział pod wodzą wytrawnego żołnierza Liona Gardinera, aby dokończył dzieła zniszczenia. Pekotowie zebrali siły, wrócili do wioski i zaatakowali ludzi Gardinera. Anglicy wyszli cało z opresji tylko dzięki pancerzom chroniącym ich przed strzałami Indian.

Akcja pacyfikacyjna Endecotta, przez niektórych historyków określona jako „dokonana ciężką ręką prowokacja, która doprowadziła do wybuchu wojny z Indianami”, spotkała się z oburzeniem wszystkich sąsiednich kolonii. Pekotowie, którzy dotąd pozostawali w relatywnie dobrych stosunkach z białymi, zostali sprowokowani do walki. W kwietniu 1637 roku Indianie oblegli bronioną przez Gardinera osadę Saybrook przy ujściu Connecticut i zniszczyli Weathersfield oraz kilka innych odosobnionych osad purytańskich położonych w górze rzeki, zabijając łącznie ponad trzydzieści osób. Potem, wobec odwetu Anglików, wyprowadzili w pole tysiąc wojowników. Endecott nie odegrał już w wojnie żadnej roli, a konsekwencje jego działania musieli ponieść inni. Zagrożona kolonia Connecticut

zwróciła się o pomoc do Massachusetts. W maju na czele posiłków z Bostonu stanął stary żołnierz John Mason, weteran wojny trzydziestoletniej w Niderlandach i kapitan milicji kolonialnej z Windsoru, pokrojem przypominający Johna Smitha.

Szczęściem dla białych, ludzi Masona wspierali Indianie z plemienia Moheganów, których wodzem był wojowniczy Unkas, czyli Lis (1606–1683). Jako młody wojownik poślubił on córkę wodza Pektów Sassacusa i przez jakiś czas mieszkał z tym plemieniem. Z powodu buntu przeciwko teściowi został skazany na wygnanie i udał się do sąsiednich Narragansettów. Od tej pory pałał żądzą zemsty i gdy tylko nadarzyła się okazja do rewanzu, ochoczo stanął u boku Anglików w ich rozgrywce z Pektami. Na dowód swojego oddania zabił czterech ludzi Sassacusa i dostarczył ich głowy swoim białym przyjaciołom.

Pomocy kolonistom udzielili także Narragansettowie z Rhode Island, którym przewodził Miantonomo (ok. 1600–1643). Chociaż od dawna byli wrogami Pektów, rywalizując z nimi o pozycję najpotężniejszego ludu w regionie, długo się wahali, po której stronie stanąć. W końcu poparli Anglików, a namówił ich do tego angielski duchowny Roger Williams, wypędzony z kolonii Massachusetts za głoszenie zbyt radykalnych poglądów religijnych i nawoływanie do tolerancji wobec Indian. Kiedy w 1636 roku Williams musiał się udać na banicję, stryj Miantonomo Canonicus obdarował go ziemią przy ujściu rzeki Providence do zatoki Narragansett, gdzie z czasem wyrosło miasto Providence, dając początek kolonii Rhode Island.

26 maja 1637 roku stu dziesięciu ludzi Masona, wspieranych przez siedemdziesięciu wojowników Unkasa i ponad dwustu Narragansettów, zaatakowało główną osadę Pektów nad rzeką Mystic, w pobliżu współczesnego Groton w Connecticut. Wieś była otoczona trudnym do pokonania czterometrowym

ostrokołem, a jej mieszkańcy – mimo dużo gorszego uzbrojenia – bronili się z wyjątkową zaciekłością. Trwały zażarte walki, aż w końcu kilku Anglikom udało się sforsować obronną palisadę i wdrzeć do środka. Wtedy Mason ujął płonącą głównię, zakręcił nią dokoła i z okrzykiem: „Bóg jest z nami! On okryje hańbą swoich wrogów i uczyni ich niczym płonące pochodnie”, rzucił ją w najbliższą chatę. To samo zrobili jego zastępca kapitan John Underhill i kilku innych. Dym i ogień pomieszały szyki obronne Pekotów i odcięły im drogi ucieczki. Tymczasem Anglicy, wykorzystując pożar, wtargnęli do wsi i dokonali straszliwej rzezi jej mieszkańców, bez względu na wiek i płeć. Ci, którzy próbowali przeskoczyć palisadę, zostali zastrzeleni, a jeśli już komuś się to udało, ginął z rąk wężących dookoła Narragansettów i Moheganów. Nikt nie wie, ilu Pekotów wtedy zginęło. Niektórzy mówią, że tysiąc, ale bardziej prawdopodobna jest liczba od czterystu do siedmiuset. Wśród zamordowanych było wiele kobiet i dzieci, bo liczni wojownicy przebywali wówczas na wyprawie wojennej poza domem.

Straty po stronie białych wyniosły tylko dwóch zabitych i dwudziestu rannych, Mason więc osiągnął znaczące zwycięstwo. Nic dziwnego, że znany purytański teolog Cotton Mather napisał później: „Nie mniej niż sześćset dusz Pekotów zostało wysłanych tego dnia do piekła”. A gubernator Massachusetts William Bradford donosił w swoim raporcie: „Smażyli się w ogniu, a potoki krwi gasiły pożary. Zwycięstwo było słodkim błogosławieństwem i zwycięzcy wznosili za to podziękowania do Boga”. Ta pierwsza z wielkich krwawych rozpraw z Indianami przeszła do historii jako „masakra w Mystic” (*Mystic Massacre*). Dla purytanów stała się ciężkim orzechem do zgryzienia, bo przelew krwi niewinnych był w ich rozumieniu wielkim grzechem. Dlatego purytańscy kaznodzieje szukali usprawiedliwienia w różnych przypowieściach z Biblii,

które zezwalały na przelewanie krwi kobiet i dzieci dla ratowania wiary.

Kłeska nad rzeką Mystic na zawsze złamała potęgę plemienia Pekotów. Mason ścigał ocalałych Indian przez kolejny rok. Tych, których nie zabił, uwięził w Massachusetts lub Connecticut, a innych odesłał jako niewolników na Bermudy. Sassacus i wielu jego zwolenników uciekli na ziemie małego plemienia Wangunk, którego wódz Sowheag był sprzymierzeńcem Pekotów i razem z nimi brał wcześniej udział w napadzie na Weathersfield. Ale i tam Pekotowie nie zaznali spokoju. W lipcu zostali osaczeni przez stu sześćdziesięciu ludzi Masona i czterdziestu wojowników Unkasa na bagnach Sasqua w dolinie rzeki Mattabeset, która wpada do Connecticut w okolicach dzisiejszego miasta Middletown. Sassacus zgodził się oddać w niewolę Anglikom i ich indiańskim sprzymierzeńcom około dwustu kobiet, dzieci i starców, sam zaś z setką wojowników postanowił walczyć do końca. Większość jego ludzi zginęła w trakcie odrażającego polowania na bagnach, ale wódz uszedł z trzydziestoma wojownikami do kraju Mohawków w dzisiejszym stanie Nowy Jork. Ci jednak zdradziecko go zabili, a jego głowę razem z głowami brata i pięciu innych wodzów odesłali gubernatorowi Bradfordowi, podkreślając w ten swoją przyjaźń z białymi i wyrażając dystans wobec wojny Pekotów. Purytanie uważali Sassacusa za człowieka „podstępnego i zawziętego”, ale istnieje wiele dowodów na to, że był wielkim wojownikiem i szlachetnym, nieustraszonym wodzem.

Wojna Pekotów zakończyła się oficjalnie 21 września 1638 roku podpisaniem trójstronnego porozumienia między kolonistami z Connecticut, Moheganami i Narragansettami, znanego jako traktat z Hartford (*Treaty of Hartford*). Piętnastomiesięczny konflikt kosztował życie co najmniej siedmiuset Pekotów. Drugie tyle, w tym rodzinę Sassacusa,

wysłano do niewolniczej pracy w kolonii Massachusetts albo na Karaiby. Ci, którzy przeżyli i uniknęli niewoli, zostali na zawsze wygnani ze swojej ojczyzny. Ich resztki wtopiły się w plemiona Moheganów oraz Narragansettów i Pekotowie przestali istnieć jako odrębny szczep. W 1683 roku władze Connecticut utworzyły dwa rezerwaty, jeden dla Pekotów zachodnich w Ledyard, drugi dla Pekotów wschodnich w North Stonington, przy granicy z Rhode Island. W 1910 roku mieszkało tam już tylko sześćdziesięciu sześciu Pekotów. Znacznie później, bo dopiero w 1975 roku, rzekomi potomkowie Pekotów z Ledyard, członkowie właściwie jednej rodziny, odtworzyli na nowo swój rozproszony lud i w październiku 1983 roku, uznani przez rząd amerykański, otrzymali prawo do ponownego zasiedlenia rezerwatu na skraju bezludnych bagien Mashantucket, na dawnych terenach plemiennych szczepu[3]. Ich wschodni pobratymcy zyskali takie samo uznanie w rezerwacie Lantern Hill dopiero w 2002 roku.

Po złamaniu potęgi Pekotów na czoło indiańskich plemion Nowej Anglii wysunęli się Narragansettowie i wkrótce stało się jasne, że prędzej czy później to oni będą musieli stanąć do konfrontacji z białymi osadnikami. Na początku lat czterdziestych Miantonomo czynił podobno przygotowania do wojny z Anglikami, próbując zawiązać sojusz różnych plemion z południa Nowej Anglii. W 1642 roku, podczas wizyty u wojowniczych Montauków ze wschodniego wybrzeża Long Island, tak przekonywał ich wielkiego sachema Wyandanka:

„Bracia, musimy tak jak oni [Anglicy] stanowić jedno, bo w przeciwnym razie wkrótce już nas nie będzie. Wiecie przecież, że nasi ojcowie mieli mnóstwo skór, indyków i zwierzyny płowej, w którą obfitowały nasze równiny i lasy, a ryby i ptactwo licznie zamieszkiwało nasze zatoki. Ale ci Anglicy zagarnęli naszą ziemię, skosili łąki, toporami ścięli

drzewa, ich krowy i konie jedzą trawę, a wieprze pustoszą nasze zasoby mięczaków. Wszyscy pomrzemy z głodu”.

Na nic się jednak zdały wysiłki Miantonomo. Pamiętając o losie Pekotów, ostrożny Wyandank powstrzymał go przed natychmiastowym atakiem na angielskie osiedla. W oczekiwaniu na lepszy moment wódz Narragansettów włączył się w wewnętrzny konflikt wśród Moheganów, który skończył się dla niego tragicznie.

W 1643 roku doszło do krwawego sporu między ambitnym i żądnym władzy Unkasem a Sequassonem, pokojowym sachemem żyjącym nad rzeką Connecticut. Miantonomo stanął po stronie tego drugiego, z którym był zaprzyjaźniony. Tysięczny zastęp Narragansettów zaatakował wieś Unkasa nad rzeką Thames koło dzisiejszego Norwich. W bitwie mniej liczni, ale bitni i uzbrojeni w muszkiety otrzymane od Anglików Moheganie pokonali napastników. Miantonomo, obciążony pancerzem podarowanym mu przez białych w nagrodę za udział w wojnie z Pekotami, nie miał swobody ucieczki i dostał się do niewoli. Chociaż Narragansettowie zapłacili za niego duży okup, Moheganie zatrzymali jeńca i jako buntownika przekazali Anglikom w Hartford. Purytanie nie mieli podstaw prawnych, aby go skazać, ale wiedzieli, że Miantonomo nie będzie w ich rękach bezwolnym narzędziem. Obawiając się jego wpływów i zdolności, postanowili się go pozbyć. Nie chcąc jednak obciążać swoich sumień śmiercią wodza, oddali go jego zażartemu wrogowi Unkasowi, który od dawna rywalizował z nim o kontrolę nad dawnymi ziemiami Pekotów. Egzekucji dokonał tomahawkiem brat Unkasa, Wawequa. Jak pisze kanadyjski historyk Ian K. Steele: „Komisarze, nie mogąc zgładzić [Miantonomo], który nie podlegał jurysdykcji żadnej kolonii, posłużyli się w tym celu Unkasem, a Anglicy wystąpili w roli świadków egzekucji”.

Śmierć wybitnego wodza wzbudziła gniew Narragansettów, którzy widzieli w tym podstępną intrygę Anglików. Przy najbliższej okazji pomścili na zwolennikach Unkasa pogwałcenie obyczaju wykupu jeńców, lecz główni winowajcy pozostali bezkarni. W 1656 roku, kiedy doszło do kolejnej wojny z Unkasem, zapewne wytępiliby zdradzieckich Moheganów, gdyby nie interwencja Anglików. Zwycięscy biali zagrozili Narragansettom atakiem na ich terytorium, zmuszając ich do zawarcia pokoju, który z trudem przetrwał dwie dekady.

Przykład ten świadczy nie tylko o ciągłych konfliktach między Europejczykami i miejscową ludnością, lecz także o tym, że jeszcze zanim w Ameryce Północnej pojawili się biali ludzie, poszczególne plemiona prowadziły ze sobą zgubne, zdradzieckie walki. W późniejszych wojnach Brytyjczyków z Francuzami o dominację kolonialną na tym kontynencie część plemion poparła jedną, a część druga stronę. Bez względu jednak na to, kto wygrywał lub przegrywał, zawsze tracili Indianie.

Około roku 1670 Narragansettowie, którzy jeszcze na początku XVII wieku liczyli trzydzieści tysięcy głów, teraz już tylko w liczbie czterech tysięcy stanowili jedną czwartą wszystkich Indian żyjących na południu Nowej Anglii. Natomiast białych osadników było dwadzieścia pięć tysięcy, a ich stale rosnąca populacja zagrażała istnieniu wszystkich plemion w tym regionie. Unkas, który miał niewielu wojowników, ale w sercu krył wielkie ambicje i żądę zemsty, udawał mediatora, w rzeczywistości zaś sącył jad do uszu Anglików, starając się ich przekonać, że Narragansettowie dążą do sojuszu z Wampanoagami, aby wspólnie wyrzucić białych ze swojej ojczyzny i w ten sposób ochronić swą ziemię, odwieczny styl życia, kulturę i religię przodków.

Po śmierci Massasoita, który zmarł zimą 1661 roku w wieku osiemdziesięciu jeden lat, władzę nad Wampanoagami przejął

jego starszy syn Wamsutta (ok. 1634–1662), nazywany przez Anglików Aleksandrem. Pozostawał on w dobrych stosunkach z białymi z Nowej Anglii, nie tylko purytanami, i często sprzedawał im ziemię. Postępowanie Wamsutty budziło sprzeciw osadników z Plymouth, którym nie podobała się zbyt niezależna polityka młodego wodza. W 1662 roku wezwali go do siebie na przesłuchanie, a gdy nie chciał przybyć z własnej woli, wysłali po niego liczny oddział zbrojnych. Potem więzili go przez kilka dni, być może nawet stosując brutalne tortury, żeby zmusić go do złożenia wiernopoddańczej przysięgi. Przymuszenie poprawy złożyła w imieniu wodza jego żona Namumpam z plemienia Pokassetów, znana potem jako Wetamoo, kobieta wódz (*sunksquaw*). Wamsuttę zwolniono, ale w drodze do domu zachorował i zmarł. Jego młodszy brat Metacomet, który przejął po nim władzę, podejrzewał otrucie, ale nie podjął żadnych kroków odwetowych. Niektórzy historycy twierdzą, że sprawcą śmierci wodza Wampanaogów był gubernator Josiah Winslow, który widział w nim zagrożenie dla kolonii, ale nie ma na to przekonujących dowodów.

W czasie kiedy Plymouth i inne kolonie purytańskie zacieśniały współpracę w celu zwiększenia swojej siły, Indianie z południa Nowej Anglii słabli, a ich wpływy ciągle malały. Praktyka sprzedawania ziemi białym, zapoczątkowana przez Massasoita i kontynuowana przez jego następców, szybko obróciła się przeciwko Wampanoagom. Biali osadnicy coraz bardziej zbliżali się do siedzib Indian, zagrażając ich wioskom. Na początku lat siedemdziesiątych nieufności purytanie zaczęli podejrzewać Metacometa, że knuje przeciwko nim z Francuzami z Kanady albo Holendrami z Nowych Niderlandów. We wrześniu 1671 roku zmusili go do podpisania nowego traktatu, w którym deklarował przyjaźń z Anglikami i poddawał swoich ludzi prawu kolonii Plymouth oraz władzy angielskiego króla. A dla podkreślenia podległości zażądali od

Wampanoagów rocznego trybutu w postaci skór i wampumów o wartości stu funtów oraz wydania posiadanej broni palnej. Nie wszyscy wojownicy zastosowali się do tego polecenia, co purytańskie władze Plymouth potraktowały jako kolejną groźbę wojny.

Wielu uważa, że Metacomet (ok. 1638–1676) przez pierwsze dziewięć lat po objęciu władzy nad Wampanoagami przygotowywał się do starcia z białymi i kolejnymi układami starał się zyskać na czasie, dopóki nie zbierze wystarczających sił i uzbrojenia. Wydaje się jednak, że niezadowolenie wodza rosło w miarę nasilania się nieporozumień z osadnikami. Indian i białych dzieliła przepaść niezrozumienia. Osadnicy „kupowali” od nich ziemię na podstawie niepojętych dla tubylców układów lub podstępnie zajmowali tereny, uważane przez indiańskich wodzów za wspólną własność. Nie chcieli uznać prawa plemion do polowania i łowienia ryb na „odsprzedanych” ziemiach i traktowali ich jak intruzów. Nie rozumieli, że według Indian prawo do użytkowania ziemi przysługuje wszystkim, tak samo jak do korzystania z powietrza i wody. Sami Indianie nie uważali swojej cywilizacji za gorszą, lecz po prostu za inną, opartą na zupełnie odmiennej hierarchii wartości, czego najlepszym dowodem może być właśnie pojęcie własności ziemi. Na pogorszenie wzajemnych stosunków wpłynęła także ingerencja białych w życie plemion. Purytańscy misjonarze nawracali Indian, osadnicy wykorzystywali ich jako tanią siłę roboczą, a handlarze usiłowali uzależnić ich od swoich towarów. Najważniejsze jednak było to, że Indianie z Nowej Anglii poczuli się zagrożeni z jednej strony przez Anglików, a z drugiej przez Holendrów i wrogi im plemiona Irokezów.

W 1674 roku Metacomet, zdając sobie sprawę, że siłami Wampanoagów, liczących w tym czasie około tysiąca ludzi, nie zdoła pokonać białych, rozesłał wici do sąsiednich plemion

z prośbą o pomoc. „Filip rozumiał, że musi pozyskać jednomyślne i pełne entuzjazmu poparcie innych plemion, jeżeli ma je poprowadzić na zwycięską wojnę” – pisał amerykański historyk.

Bezpośrednim powodem wojny, która przeszła do historii jako wojna „króla Filipa” albo rebelia Filipa, była śmierć jednego z „rozmodlonych Indian” (*Praying Indians*) Wassausmona, znanego wśród białych jako John Sassamon, którego ciało znaleziono zimą 1675 roku pod lodem w kolonii Plymouth. Był on neofitą z plemienia Wampanoagów, kształconym w misyjnej szkole i na słynnym Harvardzie. Jako człowiek inteligentny i biegle władający językiem angielskim pełnił u purytanów funkcję tłumacza i mediatora w kontaktach z Indianami, a po powrocie do swoich był także tłumaczem i doradcą Metacometa. W styczniu 1675 roku Sassamon, rzekomo w obawie o własne życie, ostrzegł gubernatora Winslowa o planach wojennych Metacometa, ale ten nie chciał mu uwierzyć. Niedługo potem Indianin zniknął i nikt nie wiedział, co się z nim stało. Anglicy wezwali Metacometa do Plymouth i zagrozili, że jeśli plotki się potwierdzą, skonfiskują Wampanoagom ziemię i odbiorą im całą broń. Jednocześnie narzucili wodzowi obowiązek uzyskiwania zgody ich głównego sądu na każdą transakcję sprzedaży ziemi należącej do plemienia.

29 stycznia znaleziono zamrożone zwłoki Sassamona w skutym lodem jeziorze Assawompset (w języku Wampanoagów – Miejsce Białych Kamieni) niedaleko osady Middleborough, założonej na terenie dawnej indiańskiej wsi Nemasket (Miejsce Połowu Ryb). Jezioro to, położone w południowo-wschodniej części Massachusetts, jest największym naturalnym zbiornikiem wodnym w tym stanie. Początkowo purytanie myśleli, że Sassamon utonął, łowiąc ryby, ale potem odkryto, że ktoś skrzył mu kark i ukrył ciało pod

lodem. W czerwcu koloniści na podstawie zeznań pewnego Indianina aresztowali i powiesili w Plymouth trzech Wampanoagów z wioski Metacometa oskarżonych o zabicie zdrajcy. Dwóch z nich zawisło na szubienicy, ale pod ciężarem trzeciego, imieniem Wampapaquan, pękł stryczek założony mu na szyję, pozwalając skazańcowi chwilowo ujść śmierci. Biorąc to za dobry znak i licząc na łaskę purytanów, Wampapaquan przyznał się do zabójstwa Sassamona i potwierdził, że zostało ono dokonane z rozkazu Metacometa. Wyznaniem tym przedłużył sobie życie zaledwie o kilka dni. Rychło bowiem stanął przed plutonem egzekucyjnym i został rozstrzelany w Plymouth.

Na wieść o egzekucji zabójców Sassamona wódz Metacomet zmobilizował swoich ludzi i opuścił dotychczasową siedzibę w rodzinnej wsi Sowams koło dzisiejszego Warren w Rhode Island. Przygotowując się do wojny, odesłał kobiety i dzieci w bezpieczne miejsce po drugiej stronie zatoki Narragansett, wykonał wraz z wojownikami taniec wojenny i przeniósł się do wioski Pokanoket (Miejsce na Polanie), leżącej na krańcu Półwyspu Bristolskiego. Swoją nową bazę ulokował w trudno dostępnym miejscu u stóp szarego, skalistego wzgórza Montaup (angielskie Mount Hope, czyli Wzgórze Nadziei, w dzisiejszym Bristolu), tam gdzie rzeka Sakonnet łagodnie wlewa swoje wody do zalewu Mount Hope Bay, będącego częścią wielkiej zatoki Narragansett.

Długo oczekiwana wojna zaczęła się 18 czerwca od zabicia paru sztuk bydła należącego do osadników z małego purytańskiego osiedla Swansea, wyrosłego w pobliżu Sowams i Pokanoket, wioski Wampanoagów. Była to zemsta za wydeptywanie indiańskich pól kukurydzy przez krowy kolonistów. Dwa dni później Indianie wrócili w większej grupie i podpalili dwa budynki, zmuszając mieszkańców do zamknięcia się w ufortyfikowanym blokhauzie. 23 czerwca

młody angielski chłopiec śmiertelnie zranił Indianina, który w poszukiwaniu zdobyczy wdarł się do jego domu, rozlewając pierwszą krew w tej wojnie. Nazajutrz rozsierzzeni Indianie zaatakowali Swansea pełną siłą, wskutek czego osada doszczętnie spłonęła. Zginęło jedenaście osób, w tym chłopak, który oddał pierwszy strzał, a wielu mieszkańców odniosło rany. Pozostali w popłochu uciekli do Providence. Jest mało prawdopodobne, aby do tego napadu doszło za zgodą i wiedzą Metacometa, wódz bowiem nie był jeszcze przygotowany do wojny, a budowany przez niego sojusz międzyplemienny nie został przypieczętowany. Tak czy inaczej, poląła się pierwsza krew i Metacomet nie miał już drogi odwrotu: musiał się włączyć do walki bez wypracowanej strategii.

Koloniści odpowiedzieli ekspedycją karną, którą poprowadził z Bostonu do Pokanoket kapitan Samuel Mosley. Metacomet z dwustoma wojownikami próbował zatrzymać marsz ponadstuosobowego oddziału w pobliżu Mount Hope, ale pod naporem białych musiał się cofnąć. Ewakuował swoich ludzi przez bagna na wschód, do kraju Pokassetów, którymi władała Wetamoo (ok. 1640–1676), wdowa po Wamsutcie, w owym czasie żona Quinnapina, syna wodza Niantików Ninigreta i wnuka wielkiego Canoncheta. Chociaż sami Niantikowie mieli zachować w tej wojnie neutralność, Wetamoo i jej Pokassetowie natychmiast stanęli po stronie Metacometa i udzielili mu pomocy. 28 czerwca wyprawa Mosleya wkroczyła do opuszczonej bazy Filipa i spaliła jego wioskę pod Wzgórzem Nadziei, w której Anglicy znaleźli tylko nadziane na pale głowy zabitych osadników ze Swansea.

W pościg za Metacometem i jego Wampanoagami ruszył mały oddział trzydziestu sześciu kolonialnych milicjantów z Rhode Island pod komendą kapitanów Benjamina Churcha i Matthew Fullera. Anglicy próbowali osaczyć Indian w bagnistym lesie Pocasset niedaleko ujścia rzeki Taunton do

zatoki Mount Hope, ale ci uciekli, zanim ludzie Churcha i Fullera zdążyli ich dopaść. Wkrótce Metacomet sam zaatakował swoich prześladowców, spychając ich na brzeg zatoki. Przyparciu do plaży milicjanci Churcha bronili się pod osłoną nadbrzeżnych głązów przez kilka godzin, aż przypłynął im na pomoc łodziami patrol milicji z Rhode Island. Church dziękował później Bogu za ocalenie od niechybnej śmierci.

W czasie gdy koloniści z Plymouth i Massachusetts organizowali siły do dalszej walki, Metacomet ze swoimi wojownikami atakował sąsiednie niebronione osady białych w pobliżu Swansea. Na początku lipca Indianie nagłymi wypadami zniszczyli Taunton, Middleborough i Dartmouth, zabijając dziesiątki osadników i paląc ich domy. Zaskoczenie i szybkość, z jaką działali, wprawiały kolonistów w panikę i siały terror na południu Nowej Anglii.

19 lipca Church ze swoimi ludźmi powrócił na bagna Pocasset i licząc na pojmanie Metacometa, stoczył desperacki bój z Indianami. Sprytny wódz jednak i jego wojownicy fortem wciągnęli białych w głąb bagnistego lasu i zadali im straty. Kapitan wycofał się, zostawiając na placu boju siedmiu lub ośmiu zabitych i przełykając gorycz ponownej porażki. Dziesięć dni później milicjanci Churcha otoczyli bagna i próbowali głodem zmusić Metacometa do kapitulacji, ale Indianie zgromadzili odpowiednią liczbę czółen i prześlizgnęli się przez pierścień okrążenia. Potem rozplynęli się w gęstych lasach, nie pozostawiając po sobie śladu. „Walka w tych posępnych lasach, gdzie opadłe liście wyciszały kroki, grube konary drzew krępowały ramiona, a korzenie pętały nogi i stopy, była niezwykle niebezpieczna. To było tak, jakby zwalczać dziką bestię w jej własnym legowisku” – skarżył się później jeden z żołnierzy Churcha.

Ucieczka Metacometa z kleszczy kapitana Churcha i kolonialnej milicji oznaczała, że wojna nie ograniczy się do

stosunkowo niewielkiego terenu w rejonie Mount Hope, Swansea i bagien Pocasset. Latem 1675 roku konflikt wybuchł z całą siłą i ogarnął większą część południowej Nowej Anglii. Wydawało się, że Metacomet przejął naczelne dowództwo nad armią sprzymierzonych Indian i prowadzi ich do totalnej wojny z białymi. W rzeczywistości jednak, choć był on czołową postacią w tym starciu, nigdy nie miał pod sobą więcej niż trzystu wojowników, w większości Wampanoagów i należących do plemion, które żyły w pobliżu Pokanoket.

W końcu lipca Metacomet opuścił terytorium Wampanoagów i przeniósł się do środkowego Massachusetts, gdzie zamierzał połączyć się z Nimpukami. Biali nie przejęli się zbyt jego ucieczką, przekonani, że prędzej czy później i tak wpadnie w ich ręce lub sprzymierzonych z nimi Indian. I rzeczywiście, płynąc w górę Connecticut, wódz wpadł w zasadzkę Moheganów i stracił paru wojowników. Przez kilka następných tygodni nie było wiadomo, gdzie się znajduje i co się z nim dzieje. W sierpniu raporty docierające do Plymouth i Bostonu donosiły, że widziano go w Massachusetts albo w Connecticut, ale większość z nich nie miała potwierdzenia lub nie zawierała żadnych szczegółów. Białym wydawało się, że Metacomet jest wszędzie. Albo nigdzie.

W tym czasie całe pogranicze Nowej Anglii od Connecticut do Maine stanęło w ogniu i zaczęło pękać pod ciosami Indian. Przeciwno osadnikom z zachodniego Massachusetts ruszyli wojownicy Nimpuków pod wodzą swoich sachemów Matoonasa i Muttawmpa. 14 lipca ludzie Matoonasa napadli na Mendon, zabijając pięciu kolonistów. Narragansettowie, którzy ze względu na dawną wrogość z Wampanoagami początkowo odmówili włączenia się do walki, teraz wystąpili przeciwko białym z tym większym zapalem. Ich wódz Nanuntenoo, czyli Suchy Człowiek (ok. 1630–1676), bardziej znany jako Canonchet, był najmłodszym synem słynnego Miantonomo. Na początku

powstania Anglicy zmusili go do zawarcia traktatu, w którym zobowiązał się zachować neutralność w wojnie z Metacometem, ale potajemnie chronił rodziny Wampanoagów i wspomagał walczących. Po stronie rebeliantów opowiedziały się także plemiona Podunków, Sakonnetów, Pokassetów i Pokumtuków z Massachusetts, Connecticut i Rhode Island. Tylko Unkas i jego Moheganie, niedobitki Pekotów oraz grupa ochrzczonych „rozmodlonych Indian” z okolic Bostonu w liczbie najwyżej dwustu wojowników wsparli Anglików, dostarczając im zwiadowców i służąc jako siły pomocnicze. Plemię Niantików z południa Rhode Island także poparło białych, ale przezornie wolało się nie angażować.

Początkowo zwycięstwa odnosili Indianie. 2 sierpnia w pobliżu Brookfield w Connecticut Nimpukowie prowadzeni przez Muttawmpa zwabili w zasadzkę i rozbili oddział milicjantów z Bostonu pod dowództwem kapitanów Thomasa Wheelera i Edwarda Hutchinsona. Potem oblegli samą wioskę i trzymali ją pod ogniem przez dwa dni, zanim na pomoc obleżonym nadciągnęła odsiecz majora Simona Willarda z garnizonu w Lancaster oraz wojownicy Moheganów.

Ten sam Muttawmp, wspomagany przez wodza Sancumachu i jego Pokumtuków, 18 września wciągnął w zasadzkę niedaleko Deerfield w północnym Massachusetts oddział kolonialnej milicji pod komendą kapitana Thomasa Lathropa, eskortujący wozy żniwne ze zbożem. Spośród siedemdziesięciu dziewięciu białych w walce zginęło czterdziestu milicjantów i siedemnastu woźniców. Krew zabitych zabarwiła na czerwono pobliski potok, wskutek czego starcie pod Deerfield przeszło do historii pod nazwą bitwy nad Krwawym Strumykiem (*Battle of Bloody Brook*). Jeden z amerykańskich autorów napisał później, że „był to najsmutniejszy dzień w historii Nowej Anglii”. Wkrótce Indianie zaatakowali i spalili samo Deerfield.

Dziesięć dni później ośmiuset Nimpuków Muttawmpa napadło na Northampton nad rzeką Connecticut, a następnie na Hadley, położone na drugim brzegu rzeki. Muttawmp próbował wywabić kolonistów, wzniecając ogień na przedmieściu, lecz ostrożni Anglicy wysłali tylko dziesięcioosobowy patrol. Indianie zabili dziewięciu ludzi, ale dziesiąty ostrzegł pozostałych mieszkańców i ci stawili zacięty opór. Swoje ocalenie Hadley zawdzięczało głównie nieugiętej postawie Williama Goffe'a, dawnego purytańskiego generała z czasów rewolucji angielskiej, bliskiego współpracownika Olivera Cromwella i jednego z sędziów parlamentu, którzy w 1649 roku skazali na śmierć króla Karola I. W chwili największego zagrożenia wśród osadników pojawił się nikomu nieznany długowłosy starzec z siwą brodą i trzymając w ręku stary rapier, poprowadził ich do kontrataku, w którego wyniku wyrzucono Indian z osady. Goffe, który po restauracji Stuartów uciekł do Ameryki i ukrywał się w Hadley pod przybranym nazwiskiem, nie chciał ujawnić swojej tożsamości, więc natychmiast po odparciu Indian znowu zaszył się w jakiejś dziurze. Bogobojni osadnicy uznali zatem, że przybył im na pomoc sam wysłannik niebios, i w ten oto sposób powstała legenda o „aniele z Hadley”, którą w racjonalny sposób wyjaśnił Goffe dopiero cztery lata później na łożu śmierci.

Tymczasem Metacomet zreorganizował swoje siły w środkowym Massachusetts i we wrześniu znów pojawił się na placu boju, pustosząc ze swoimi Wampanoagami oraz Pokassetami i miejscowymi Pokumtukami dolinę Connecticut. 5 października zaatakował Springfield, największą osadę angielską w dolinie. Wprawdzie Anglików uprzedził o planowanym ataku zaprzyjaźniony z nimi Indianin imieniem Toto, ale mimo to ludzie Metacometa spalili czterdzieści pięć z sześćdziesięciu budynków, w tym młyn i tartak należące do miejscowego zarządcy Johna Pynchona. Większość

mieszkańców schroniła się w ufortyfikowanym domu walijskiego osadnika Milesa Morgana i stawiała napastnikom zacięty opór. Z oblężenia wymknął się nocą indiański służący Morgana i sprowadził z Hadley odsiecz pod wodzą majora Samuela Appletona. Indianie zostali odparci, a oblężeni ludzie oswobodzeni, niemniej atak na Springfield okazał się jednym z największych indiańskich zwycięstw w wojnie „króla Filipa”. Skala zniszczeń była tak wielka, że osadnicy zastanawiali się nawet nad całkowitym opuszczeniem osiedla. Ostatecznie pomysł odrzucono i po jakimś czasie Springfield wróciło do życia

Jesienią 1675 roku wydawało się, że szala zwycięstwa przechyli się na stronę Indian. Gdyby potrafili oni ściślej ze sobą współpracować, a ich wodzowie mieli większą władzę nad wojownikami, zapewne koloniści zostaliby zepchnięci do morza. Ale brak jedności i właśnie ocaliły białych. W krótkim czasie sytuacja zmieniła się na korzyść Anglików. Kiedy zrobiło się zimniej, Indianie zaprzestali ataków, co natychmiast wykorzystali koloniści, przechodząc do ofensywy.

W październiku Narragansettowie udzielili schronienia wygnanemu ze swojej ojczyzny plemieniu Pokassetów. Osadnicy z Massachusetts, Plymouth i Connecticut odpowiedzieli na to w listopadzie wspólną ekspedycją karną pod dowództwem gubernatora Plymouth Winslowa. Jej celem było wyeliminowanie Narragansettów z wojny i danie odstrasżającego przykładu innym plemionom walczącym z Anglikami. W grudniu przekupiony indiański zdrajca poprowadził połączone siły kolonialnej milicji, liczące prawie tysiąc białych i stu pięćdziesięciu sprzymierzonych Indian, przez zaśnieżone lasy na ziemi Narragansettów na południu Rhode Island. 19 grudnia żołnierze Winslowa zaatakowali ufortyfikowaną wieś w miejscu zwanym Wielkim Bagnem (*Great Swamp*) koło dzisiejszego Kingston, w której zgromadziło

się ponad tysiąc Narragansettów i Pokassetów ze swoimi wodzami Canonchetem i Wetamoo na czele. Pierwszy atak został odparty z dużymi stratami dla Anglików i ich sprzymierzeńców. Zginęło dwóch kapitanów, Samuel Marshall z Connecticut i Isaac Johnson z Massachusetts, a prowadzący swoich ludzi do boju kapitan Church odniósł trzy rany. Wtedy napastnicy postanowili zastosować podobną taktykę jak w 1638 roku w starciu z Pekotami nad rzeką Mystic. Tak więc jeden oddział zaatakował fort od frontu, a drugi obszedł pozycje Indian przez zamarzniete bagna i uderzył od tyłu, tam gdzie umocnienia były najsłabsze. Mimo to Indianie bronili się bohatersko przez wiele godzin, aż zniecierpliwiony Winslow kazał podłożyć ogień pod ich domy, choć wcześniej zamierzał zabrać zgromadzone we wsi zapasy, ale budynki pozostawić, żeby zapewnić swoim ludziom schronienie po bitwie.

Wieczorem Narragansettowie opuścili swoje pozycje i uciekli przez bagna w okoliczne lasy, pozostawiając w opuszczonej wiosce stu zabitych i pięćdziesięciu rannych wojowników oraz co najmniej trzysta ofiar wśród kobiet i dzieci. Prawdopodobnie drugie tyle rannych Indian zmarło w czasie ucieczki w surowych zimowych warunkach. Straty Anglików wyniosły siedemdziesięciu poległych i stu pięćdziesięciu rannych, z których część potem zmarła z ran i przenikliwego zimna. Canonchet i Wetamoo z wieloma swoimi ludźmi uratowali się ucieczką, lecz mąż przywódczyni Pokassetów, Quinnapin, ranny dostał się do niewoli i został stracony. Było to pierwsze znaczące zwycięstwo białych w tej wojnie, lecz okupione ciężkimi stratami. Co więcej, ku rozczarowaniu Anglików, nie udało im się schwytać Metacometa, bo wbrew wcześniejszym meldunkom nie zastali go w forcie w czasie ataku.

Podczas gdy Canonchet i jego Narragansettowie bronili się na Wielkim Bagnie, Metacomet z Wampanoagami wędrował przez zaśnieżony kraj na zachód. Zmierzał do Mohawków nad rzeką

Hudson, aby przekonać ich do wspólnej walki z białymi. W styczniu 1676 roku obozował na wschodnim brzegu rzeki, około trzydziestu pięciu kilometrów na północ od dzisiejszego Albany, prowadząc rozmowy z Mohawkami i szczęśliwie unikając angielskich patroli, które w jego poszukiwaniu przeczesywały cały region Nowej Anglii. Wysiłki Metacometa storpedował jednak gubernator Nowego Jorku sir Edmund Andros, który nie tylko przekonał Mohawków do pozostania w sojuszu z Anglikami, ale także namówił ich do zaatakowania wódza w jego zimowym obozie nad Hudsonem.

Tymczasem wojna trwała, a każdy dzień przynosił nowe ofiary i straty. Uchodząc przed wiarołomnymi Mohawkami, Metacomet poprowadził swoich ludzi w górę doliny Connecticut. 10 lutego na czele tysiąca pięciuset Wampanoagów, Narragansettów i Nimpuków zaatakował Lancaster w Massachusetts. Indianie zabili tam ponad trzydzieści osób, a dwadzieścia cztery uprowadzili. Jedną z porwanych, Mary Rowlandson (1637–1711), żona pastora, spędziła w niewoli u Indian razem ze swoimi dziećmi prawie dwanaście tygodni, zanim 2 maja zwolniono ją za okupem wypłaconym przez męża. Swoje przeżycia opisała później w *Opowiadaniach o pobycie w niewoli i uwolnieniu Mary Rowlandson*. Wspomnienia te, wydane w 1682 roku, stały się pierwszym amerykańskim bestsellerem, wznawianym do roku 1800 aż piętnaście razy.

W marcu Wampanoagowie i ich sprzymierzeńcy zaatakowali osady białych z jeszcze większą zaciekleścią. W ciągu paru dni zniszczyli Medfield, Groton, Hingham, Weymouth, Braintree, Westfield i Northampton. 12 marca napadli na plantacje niedaleko Plymouth i chociaż samego osiedla nie udało im się zdobyć, pokazali, że są w stanie dotrzeć do serca angielskich kolonii. Tylko jednego dnia, w niedzielę 26 marca, pobili

pojedyncze oddziały kolonistów pod Longmeadow koło Springfield oraz pod Marlborough i Simsbury.

Tego samego dnia Canonchet na czele sześciuset Narragansettów zniszczył z zasadki nad rzeką Blackstone, kilka kilometrów na północ od Providence i wodospadów Pawtucket, oddział ochotników z Massachusetts pod wodzą kapitana Michaela Pierce'a. Była to jedna z najcięższych klęsk zadanych kolonistom w tej wojnie. Spośród sześćdziesięciu trzech Anglików oraz ich dwudziestu indiańskich sprzymierzeńców wojownicy Canoncheta położyli trupem aż pięćdziesięciu dwóch białych, razem z dowódcą. Dziewięciu innych wzięli do niewoli i po rytualnych torturach zarabali tomahawkami w miejscu nazwanym później Boleścią Dziewięciu Ludzi (*Nine Men's Misery*). Z pogromu udało się uciec tylko dwóm białym. Poległo także jedenastu sprzymierzonych Indian. Straty Narragansettów również były wysokie: według jeńców, których Anglicy pojмали parę dni później, wyniosły stu czterdziestu ludzi. Zachęceni sukcesem Indianie napadli następnego dnia na Rehoboth w Massachusetts i spalili czterdzieści domów. W końcu marca zaatakowali Warwick i Providence w Rhode Island, gdzie mimo zorganizowanej obrony kierowanej przez samego Rogera Williama, zniszczyli pięćdziesiąt cztery domy.

Było to ostatnie zwycięstwo wodza Narragansettów, ponieważ 4 kwietnia pojмали go Pektowie z oddziału kapitana George'a Denisona w Quinsnicket nad rzeką Pawtuxet i zawieźli do Stonington na wybrzeżu Connecticut. Tam obiecano mu wolność, jeśli namówi swoich współplemieńców do kapitulacji. W przeciwnym razie groziła mu śmierć. Wódz przyjął propozycję z drwiącym uśmiechem, a kiedy mu ją powtórzono, odparł, że „nie chce więcej tego słuchać”. Wtedy zakomunikowano mu, że będzie musiał umrzeć. „A więc dobrze – odparł. – Wolę umrzeć, zanim moje serce zmięknie albo

wypowiem słowa niegodne wodza”. Anglicy wyrazili zgodę, aby rozstrzelał go mieszany oddział starych wrogów, Moheganów, Pekotów i Niantików, pod komendą białego oficera. Razem z Canonchetem zginęli jego żona i dzieci. Poćwiartowane zwłoki wodza Narragansettów spalono, a jego głowę 8 kwietnia przekazano jako trofeum władzom Connecticut. Indianie pomścili śmierć Canoncheta 21 kwietnia atakiem na Sudbury w Massachusetts. Wysłane do miasta posiłki pod dowództwem kapitana Samuela Wadswortha wpadły w zasadzkę i straciły połowę spośród sześćdziesięciu ludzi. Zginął także dowódca.

Śmierć Canoncheta była ogromnym ciosem dla Metacometa. Po stracie głównego sojusznika wódz Wampanagów zrozumiał, że prowadzi teraz walkę z góry skazaną na klęskę. Ponieważ wojna wybuchła nagle i bez należytego przygotowania, zapasy żywności Indian szybko się wyczerpywały. Wiosną plemiona nie mogły powrócić do swoich tradycyjnych siedzib i zająć się pracami w polu lub polowaniem w lasach Nowej Anglii. Kończyły się także zapasy kul i prochu. Indianom zaczął zaglądać w oczy głód. Wielu straciło nadzieję na pokonanie białych, których mimo ponoszonych klęsk ciągle przybywało, a ich zapasy żywności i amunicji wydawały się niewyczerpane. W tej sytuacji coraz więcej Indian decydowało się na złożenie broni i poddawało się Anglikom.

W maju pewien biały chłopiec, który uciekł z niewoli u Pokumtuków, wskazał dokładne położenie ich letniej wioski Peskeompscut w górnym biegu rzeki Connecticut, w miejscu gdzie dzisiaj znajduje się miejscowość Turners Falls. 19 maja kapitan William Turner poprowadził tam stu sześćdziesięciu żołnierzy kolonialnych i ochotników z Hadley i w nagłym porannym ataku zniszczył całą wieś. Anglicy zabili wodza Sancumachu i dwustu innych Indian, głównie kobiety i dzieci, gdyż większość mężczyzn była w tym czasie zajęta połowem ryb przy niedalekim wodospadzie. Po powrocie wojownicy

położyli trupem Turnera oraz trzydziestu sześciu jego ludzi. Pozostali Anglicy pod komendą kapitana Samuela Holyoke'a zdołali wycofać się do Hatfield.

Bolesna klęska Pokumtuków przyspieszyła rozłam wśród Indian i wzrost nastrojów kapitulacyjnych. „Po masakrze w Peskeompscut – napisał amerykański historyk Russell Bourne – wodzowie sprzymierzonych plemion zaczęli otwarcie podawać w wątpliwość strategię króla Filipa i rozważać odesłanie jego głowy jako wstęp do negocjacji pokojowych”.

W lipcu poddało się Anglikom ponad czterystu Indian. 27 lipca został zdradzony wódz Matoonas. Zdrajca Horawannit, jeden z pomniejszych sachemów plemienia Nimpuków, znany białym jako Sagamore John albo Wódz John, pojmał Matoonasa i na czele stu osiemdziesięciu swoich zwolenników poprowadził go w pętach, wraz z jego synem Nehemiahem, do Bostonu. Natychmiast ich osądono i skazano na śmierć. Obaj zostali przywiązani do drzewa w miejscowym parku, po czym zastrzelił ich Sagamore John, który w ten sposób wykupił sobie życie u białych. Po egzekucji obu zabitym odcięto głowy i zatknięto na palach na głównym placu miasta. Sagamore Johna i dziewiętnastu jego ludzi puszczono wolno. Kilku innych stracono w sierpniu za zbrodnie popełnione w czasie wojny, a resztę sprzedano w niewolę albo wygnano na pustkowie, gdzie bez żywności i należytego schronienia szybko zapadli na zdrowiu i w większości wymarli.

Drugi z wielkich wodzów Nimpuków, Muttawmp, zwycięzca spod Brookfield, próbował zawrzeć pokój z Anglikami z Dover. Ich dowódca, major Richard Waldron, obiecał zapewnić mu bezpieczeństwo w czasie negocjacji, ale kiedy wódz przybył na rozmowy, Waldron złamał przyrzeczenie i wbrew honorowym zasadom odesłał go do Bostonu. Tam we wrześniu 1676 roku Muttawmpa skazano na śmierć i stracono wraz z kilkoma innymi przywódcami powstania.

Osamotniony Metacomet musiał szukać schronienia na bagnach Assowamset, w miejscu gdzie wojna się rozpoczęła. Nie mogąc go wytropić, Anglicy zorganizowali kilka grup poszukiwawczych złożonych z białych oraz tubylczych sprzymierzeńców, którzy wyłapywali Indian, aby ich sprzedać dla zysku w niewolę. Przez ponad miesiąc Metacomet i jego ludzie unikali pojmania, kryjąc się po lasach i wśród bagien, ale taka sytuacja nie mogła trwać w nieskończoność. 20 lipca kapitan Church poprowadził mieszany oddział kolonistów i pomocniczych Indian na obóz Wampanoagów koło Bridgewater. Zabito i wzięto do niewoli stu siedemdziesięciu trzech Indian, ale sam Metacomet zdołał ujść w las. Wśród jeńców była jego żona Wootonekauske, rodzona siostra Wetamoo, oraz dziewięcioletni syn. Po pewnych wahaniach Anglicy darowali im życie, ale sprzedali ich w niewolę do Indii Zachodnich po funcie za głowę. Kiedy Metacomet dowiedział się o ich losie, powiedział: „Moje serce zostało złamane, teraz jestem gotów na śmierć”.

Sposób, w jaki potraktowano rodzinę Metacometa i innych wziętych do niewoli Indian, nie był zresztą niczym niezwykłym. Odzwierciedlał sposób myślenia Europejczyków, którego kwintesencją może być następująca ocena podboju: „[Indianie] nie byli przecież ani białymi, ani chrześcijanami. Wielu uważało ich za nieokrzesanych, zezwierzęcałych dzikusów – niebezpieczny, nieczuły towar na targ niewolników”. Takie poczucie wyższości białych miało dla odczłowieczonych przez nich Indian katastrofalne skutki.

6 sierpnia indiański zdrajca doprowadził oddział Anglików do kryjówki Wetamoo nad rzeką Taunton. Biali łatwo pochwycili zaskoczonych Indian, a Wetamoo utonęła podczas próby ucieczki (tratwa, na której pływała, wywróciła się na środku rzeki). Jej martwe ciało wyłowiono, sprofanowano, a odciętą głowę wbito na pal i wystawiono na widok publiczny

w Taunton w obecności wziętych do niewoli Pokassetów. Według naocznych świadków Wetamoo była wysoką, pięknie zbudowaną i atrakcyjną kobietą. Odznaczała się wielką odwagą i dumą, nieustraszenie prowadząc swoich wojowników do walki[4].

A kapitan Church kontynuował pościg za Metacometem. W sukurs przyszedł mu indiański dezerters, obwiniający wodza o zabicie jego brata, który zdradził, że sachem wrócił do Pokanoket. Powiadomiony o tym Church poprowadził oddział osiemnastu białych i dwudziestu dwóch Indian w pobliże starej wsi Wampanoagów, gdzie jego ludzie zaczęli przeczesywać teren pod urwistym brzegiem rzeki Sakonnet. Wczesnym rankiem 12 sierpnia Anglicy i towarzyszący im Moheganie natrafili na obóz małej grupy Indian w miejscu, które potem nazwano Siedzibą Króla Filipa (*King Philip's Seat*). Indianie nie wystawili wart przy swoim obozowisku, więc Church i jego ludzie zaatakowali zniemacka uśpiony obóz, w którym oprócz wodza znajdowało się tylko dziesięciu wojowników. Na odgłos pierwszych strzałów Metacomet wyskoczył z chaty i pobiegł wprost na bagna, licząc, że wymknie się z obławy. Nie wiedział, że kapitan otoczył teren linią strzelców, którzy mieli rozkaz strzelać do każdego uciekiniera. Biegąc po życie, wódz padł od dwóch kul „rozmodlonego” indiańskiego zwiadowcy, Johna Aldermana. Jedna z nich ugodziła go prosto w serce, druga przebiła płuco powyżej serca. Śmiertelnie ranny Metacomet padł twarzą w błoto. Podobno Church, który podszedł zidentyfikować ciało, powiedział z odrazą, że oto leży przed nim „żałosna, naga i brudna bestia”. Jak wielu innych indiańskich przywódców, Metacomet zginął z ręki przedstawiciela własnej rasy.

Zabójca wielkiego wodza otrzymał w nagrodę jego głowę i prawą rękę. Resztę ciała poćwiartowano zgodnie z angielskim zwyczajem karania za zdradę i powieszono na gałęziach

czterech drzew. Alderman poniósł triumfalnie swoje trofeum do Plymouth, gdzie sprzedał głowę zabitego wodza kolonistom za standardową cenę trzydziestu szylingów. Purytanie wbili ją na pal i umieścili przy wejściu do miejscowego fortu, gdzie straszyla nagą czaszką z pustymi oczodołami przez następne dwadzieścia pięć lat. Bogobojny Alderman zaś znalazł sobie dodatkowe źródło utrzymania, pokazując potem ciekawskim za pieniądze odciętą i zakonserwowaną w słoju z rumem rękę wielkiego wodza Metacometa.

Wojna „króla Filipa” była najkrwawszym starciem białych z Indianami w historii Ameryki Północnej. Pięćdziesiąt pięć lat po przybyciu statku „Mayflower” i założeniu Plymouth zrujnowała kolonie Nowej Anglii i przypieczętowała los indiańskich plemion w tej części kraju. Spośród dziewięćdziesięciu osiedli w Nowej Anglii zaatakowano pięćdziesiąt dwa. Całkowitemu zniszczeniu uległo dwadzieścia osad, nie licząc wiosek indiańskich. Spłonęło tysiąc dwieście domów i budynków gospodarskich. Czternastomiesięczna wojna kosztowała życie około ośmiuset osadników i trzech tysięcy Indian. Pięć tysięcy tubylców trafiło do niewoli lub poszło na wygnanie. Indianie z południa Nowej Anglii nigdy już nie podźwignęli się z upadku, a niektóre plemiona, takie jak Wampanoagowie i Narragansettowie, podzielili los Pekotów i prawie całkowicie wyginęli.

Ocalałe niedobitki Indian z Nowej Anglii zbiegły na północ i zachód. Część z nich osiedliła się w wiosce Mohikanów Schaghticoke nad rzeką Hudson, w dzisiejszym stanie Nowy Jork. Mieszana grupa uciekinierów, licząca do tysiąca wojowników, pozostawała dominującą siłą w tym regionie aż do połowy XVIII wieku. Wraz z wybuchem wojny siedmioletniej ostatecznie wycofała się pod naporem białych i Irokezów do Kanady, gdzie zmieszała się z plemieniem Abenaków. Indianie z Schaghticoke odeszli później na północ lub przenieśli się dalej

na zachód, a ich ziemię zagarnęli biali osadnicy, to zaś, co pozostało, zajęli Irokezi.

Moheganie, Pekotowie i „rozmodleni Indianie”, którzy stanęli po stronie Anglików i pomogli im zwyciężyć w tej wojnie, łudzili się, że też są zwycięzcami, ale ostatecznie spotkał ich taki sam okrutny los jak innych Indian z południa Nowej Anglii. Podobnie jak wszyscy tubylcy, padli ofiarą surowej polityki i hipokryzji Europejczyków. Nie tylko zostali przetrzebieni, ale także utracili swoje terytoria, pożarte przez nienasyconych białych przybyszów, których apetyt został zaspokojony dopiero wtedy, gdy połknęli ostatni kęs indiańskiej ziemi.

Przypisy

- 1 W 1621 r. prawo do kolonizacji Akadii (jako Nowej Szkocji) otrzymał od króla Karola I szkocki arystokrata sir William Alexander, a szkocki korsarz David Kirke umocnił tam wpływy Brytyjczyków pod koniec lat 20. XVII w.
- 2 W 1664 r. Nowy Amsterdam liczył 6,5 tysiąca mieszkańców. Oprócz Holendrów osiedlali się tam także belgijscy Walonowie, Szwedzi, Anglicy, francuscy hugonoci, Żydzi, a nawet niewolnicy afrykańscy.
- 3 W 1992 r. w rezerwacie Pekotów otwarto luksusowy hotel i największe na świecie kasyno gry Foxwoods, które przez wiele lat było głównym źródłem bogactwa dla około tysiąca zarejestrowanych członków plemienia. W sierpniu 1998 r. powstało także Muzeum i Ośrodek Badawczy Pekotów, znana w USA placówka dydaktyczno-naukowa, odwiedzana przez około 200 tysięcy gości rocznie.
- 4 Wśród algonkińskich plemion Nowej Anglii władza miała charakter dziedziczny, dlatego z braku męskiego następcy wodza Pokassetów Corbitanta, który stał na czele trzystu wojowników, przywódczynią została jego najstarsza córka Wetamoo.

Powstanie Pontiaaka

W ciepły sierpniowy dzień 1763 roku pięciuset żołnierzy pułkownika Henry'ego Bouqueta przedzierało się przez lasy zachodniej Pensylwanii, z trudem starając się utrzymać zwartą kolumnę marszową. Poprzedzający ich zwiadowcy bacznie rozglądali się dookoła, ale żaden z nich nie dostrzegł jakichkolwiek oznak niebezpieczeństwa. Nagle, gdy Anglicy przekraczali wartki strumień Bushy Run, huknęły strzały i z leśnej gęstwiny lunęła na nich ulewa kul muszkietowych i strzał. A po chwili cały las rozbrzmiał okrzykami wojennymi Indian. Czerwone mundury stanowiły doskonały cel dla ukrytych wojowników, więc ogień Delawarów i ich sprzymierzeńców szybko zaczął zbierać śmiertelne żniwo. Ogłuszeni upiornym wyciem żołnierze cofnęli się w nieładzie, pozostawiając wielu poległych i rannych towarzyszy. Odsiecz zmierzająca do fortu Pitt wpadła w zasadzkę i musiała się okopać na pobliskim wzgórzu.

Zwycięstwo w wojnie siedmioletniej wyniosło Wielką Brytanię na szczyt potęgi imperialnej. Na kontynencie północnoamerykańskim przyniosło jej bogate zdobycze terytorialne w postaci Kanady, ziem położonych w dolinach rzek Missisipi i Ohio oraz Florydy. Na północy, po klęsce Francuzów i wyparciu ich z doliny Ohio oraz terenów na południe od Wielkich Jezior, plemiona indiańskie sprzyjające dotąd Francji zostały narażone na anglosaską ekspansję. Wprawdzie rząd królewski w Londynie starał się chronić Indian przed nadmierną chciwością kolonistów, wydając

oficjalne proklamacje zabraniające osiedlania się na pewnych terenach bez zgody władz, ale osadnicy niewiele sobie z tego robili. Napływ brytyjskich kupców i kolonistów zaczął się nasilać, a wraz z nim wśród Indian narastały obawy, że ich tradycyjny sposób życia zostanie zniszczony na zawsze. Skargi Indian na bezprawne wdzieranie się białych osadników na ich ziemie zmusiły komendanta fortu Pitt w Pensylwanii, pułkownika Henry'ego Bouqueta, do ogłoszenia w październiku 1761 roku proklamacji zakazującej polowania i osiedlania się na zachód od pasma górskiego Alleghenów bez zezwolenia gubernatorów prowincji lub naczelnego dowódcy wojsk brytyjskich w Ameryce. Bouquet czuwał nad przestrzeganiem tej proklamacji i starał się usuwać niechcianych osadników siłą, co jakiś pałac pobudowane bezprawnie chaty kolonistów. Podobne kroki dla uspokojenia Indian poczynili: we wrześniu 1761 roku w Detroit wpływowy pełnomocnik do spraw Indian sir William Johnson oraz w 1762 roku w pensylwańskim Lancaster jego zastępca George Croghan, odpowiedzialny za sprawy indiańskie w dolinie Ohio.

Wybór Williama Johnsona (1715–1774) na pełnomocnika do spraw Indian nie był dziełem przypadku, jako że ten pochodzący z dobrej szlacheckiej rodziny Irlandczyk związał z nimi swoje życie od chwili przybycia w 1738 roku do kolonii Nowy Jork w brytyjskiej Ameryce. Zaczynał jako zarządca dóbr swego wuja, admirała Petera Warrena, właściciela dużej posiadłości w dolinie rzeki Mohawk, w górnej części dzisiejszego stanu Nowy Jork. Szybko odnalazł się jako kupiec w handlu z miejscowymi Indianami. W ciągu roku przekroczył Mohawk i nabył duży kawał ziemi, na której wybudował swój pierwszy dom. Z czasem skromna drewniana chata zmieniła się w murowaną faktorię handlową o nazwie Fort Johnson. W 1763 roku na jej miejscu powstał okazały ufortyfikowany dwór znany jako Johnson Hall.

Prowadząc lukratywny handel z Indianami, Johnson ustanowił długie i dobre relacje z Mohawkami oraz innymi plemionami Ligi Irokezów. Jego wrodzony talent dyplomatyczny, spryt, żywy temperament i poczucie humoru, w połączeniu z uczciwością, pozwoliły mu zyskać uprzywilejowaną pozycję wśród Irokezów. W 1742 roku wdzięczni Mohawkwowie przyjęli go jako honorowego członka do swego plemienia i nadali mu dźwięczne imię Warraghijagey, czyli Ten, Który Robi Dużo Interesów.

Pozycję późniejszego pełnomocnika umacniał podziw i szacunek, jakimi darzył swych indiańskich przyjaciół. Johnson słynął z tego, że w czasie narad występował w ceremonialnym stroju indiańskim, chętnie brał udział w indiańskich tańcach, spędzał wiele czasu przy ogniskach Indian, a poznawszy język Irokezów, cierpliwie wysłuchiwał tego, co mają do powiedzenia. Poza tym zawsze miał dom otwarty dla Indian i często obdarowywał ich prezentami. Po śmierci swojej pierwszej białej żony poślubił Caroline, wnuczkę wielkiego wodza Mohawków Theyanoguina, zwanego przez Brytyjczyków „królem Hendrickiem”. Kiedy ponownie owdowiał, w 1753 roku wziął za żonę Mary (Molly) Brant, urodziwą siostrę przyszłego mówcy, męża stanu i słynnego przywódcy wojennego Mohawków, Josepha Branta. Ich małżeństwo, zawarte zgodnie z indiańskim zwyczajem, okazało się trwałym związkiem, opartym na wzajemnej miłości i szacunku, a Molly Brant, nazywana często „brązową lady Johnson”, urodziła sir Williamowi ośmioro dzieci.

Sposób, w jaki Johnson rozwijał swoje handlowe i społeczne kontakty z Irokezami, zapewnił mu nie tylko przyjaźń tubylców, ale także przyniósł mu sporą fortunę i dużą popularność wśród kolonistów. Zwróciły na niego uwagę także brytyjskie władze. W rezultacie w kwietniu 1755 roku, na krótko przed swoją letnią wyprawą w dolinę Ohio, zakończoną 9 lipca katastrofą

w bitwie nad Monongahelą, głównodowodzący wojsk brytyjskich w Ameryce Północnej generał Edward Braddock mianował go pełnomocnikiem do spraw Indian w północnych prowincjach. Od tej pory Johnson miał pełnię władzy i ponosił odpowiedzialność za całość spraw związanych z Indianami na pograniczu Nowej Anglii, Pensylwanii i Nowego Jorku. To zaś oznaczało, że w jego kompetencji znalazły się nie tylko kontakty z Ligą Irokezów, ale także ze wszystkimi innymi ludami indiańskimi w dolinie Ohio.

Wkrótce po nominacji na pełnomocnika Johnson otrzymał awans na generała armii kolonialnej i choć nie miał doświadczenia wojskowego, w amerykańskiej fazie wojny siedmioletniej stanął na czele blisko trzystu Mohawków i Oneidów prowadzonych przez „króla Hendricka” oraz tysiąca pięciuset równie niezdyscyplinowanych kolonistów z Nowej Anglii. W sierpniu 1755 roku ruszył z nimi przeciwko francuskiemu fortowi St. Frédéric nad jeziorem Champlain, który był kluczową pozycją obronną Francuzów w drodze do Kanady. 8 września jego ludzie stoczyli nad jeziorem George niezwykle trudną, lecz zwycięską bitwę z niedawno przybyłymi do Ameryki wojskami francuskimi barona Dieskaua. Irokezi „króla Hendricka” wykazali się dzielnością, a sam wódz zginął, przebity francuskim bagnietem, w chwili gdy próbował się wydostać spod zastrzelonego konia^[1]. W uznaniu roli, jaką Johnson odegrał w bitwie z Dieskauem, w 1756 roku król Jerzy II uczynił go baronetem oraz nadał mu honorowy tytuł „wyłączniego agenta i pełnomocnika do spraw północnych Indian oraz ich sprzymierzeńców”.

Wyposażony w takie prerogatywy, Johnson zaczął w 1757 roku energicznie zabiegać o lojalność Irokezów. Odbył z nimi wiele długich narad i w rezultacie udało mu się zdobyć ich wsparcie dla armii brytyjskiej w wojnie z Francuzami. W październiku 1758 roku jego bliski współpracownik George

Croghan wynegocjował w Easton nad rzeką Delaware w Pensylwanii traktat, według którego władze tej kolonii rezygnowały z roszczeń do ziemi Indian na zachód od Appalachów. Uspokoilo to na pewien czas plemiona z Ohio i odciągnęło je od sojuszu z Francją, która tym samym stanęła na skraju przepaści.

Dzięki układowi z przedstawicielami kilkunastu plemion z doliny Ohio w listopadzie tego roku gubernator Pensylwanii William Denny mógł uroczyście obwieścić swoim obywatelom, że „w Easton zapewniono powszechny pokój”, a Francuzi, pozbawieni pomocy Indian z tego regionu, musieli opuścić główny fort Duquesne u zbiegu rzek Allegheny i Monongahela. Także pułkownik Bouquet na grudniowej naradzie w zrujnowanym już forcie Duquesne uspokajał Indian, że Brytyjczycy „nie przybyli z wrogimi zamiarami, aby wziąć w posiadanie ich tereny łowieckie”.

Zabezpieczywszy pokój na zachodzie, latem 1759 roku Johnson poprowadził w ramach wielkiej wyprawy generała Johna Prideaux prawie tysiąc wojowników irokeskich – niemal całą siłę Sześciu Narodów – na potężny francuski fort Niagara, obsadzony przez silną załogę liczącą ponad pięciuset żołnierzy pod komendą kapitana Pierre’a Pouchota. Zdobycie tego fortu pozwoliłoby bowiem odciąć francuski handel skórami na zachodzie, a to miałoby bezpośredni wpływ na relacje Francuzów z wahającymi się indiańskimi sojusznikami w regionie. Kiedy po dwóch tygodniach bezskutecznego oblężenia Prideaux zginął, rażony odłamkiem własnego ładunku armatniego, dowództwo przejął Johnson. Pięć dni później, 24 lipca, na czele dwóch tysięcy trzystu żołnierzy i dziewięciuset Irokezów pobił on odsiecz tysiąca trzystu Francuzów i Indian w bitwie na polanie La Belle Famille na południe od Niagary, a nazajutrz fort skapitulował.

Upadek fortu Niagara zmusił Francuzów do opuszczenia linii Wielkich Jezior i skoncentrowania większości sił do obrony Quebecu. 13 września 1759 roku przegrali oni na Równinie Abrahama, pod samymi murami Quebecu, decydującą bitwę, w której zginęli obaj dowódcy nieprzyjacielskich armii, generałowie James Wolfe i markiz Louis-Joseph de Montcalm, i wojna została praktycznie rozstrzygnięta. Klęska Francuzów oraz ich indiańskich sprzymierzeńców pod Quebeciem przesądziła następnie o upadku Montrealu, zdobytego przez generała Jeffery'ego Amhersta we wrześniu 1760 roku. Potem w ręce Brytyjczyków dostały się, jeden po drugim, pozostałe francuskie forty w dolinie Ohio i w krainie Illinois.

Na podstawie traktatu paryskiego z 10 lutego 1763 roku, który kończył wojnę siedmioletnią, Nowa Francja przeszła pod władzę Wielkiej Brytanii i od tej chwili francuska kolonia w Kanadzie przestała istnieć. Przejęcie przez Brytyjczyków Kanady i wschodniej części Francuskiej Luizjany pomiędzy rzeką Missisipi i Appalachami raz na zawsze przekreśliło nadzieje Paryża na utrzymanie swojego imperium w Ameryce Północnej.

Jak zwykle, w traktacie pokojowym kończącym wojnę w Ameryce w 1760 roku Indianie zostali zlekceważeni. A oddanie Brytyjczykom pogranicznych fortów wzburzyło indiańskich sojuszników Francji, którzy nie chcieli się pogodzić z klęską dotychczasowych sprzymierzeńców. Kiedy więc 27 listopada tego roku na rozkaz generała Amhersta przybył na czele dwustu żołnierzy odebrać kapitulację fortu Detroit słynny major Robert Rogers, twórca zwiadowczej formacji rangersów (*Royal Americans*), napotkał na swej drodze zastęp czterystu ponurych wojowników z okolicznych plemion Ottawów, Wyandotów i Potawatomich. W imieniu Indian Anglików powitał wódz wojenny Ottawów, Pontiak. Oświadczył podobno Rogersowi, że go przepuści i podporządkuje się królowi

Wielkiej Brytanii, jeśli Anglicy „będą go traktowali z należyтым szacunkiem”. Po tej deklaracji francuski dowódca fortu kapitan François-Marie Picot de Belestre otworzył bramy i zajęcie Detroit odbyło się bez przeszkód ze strony Indian.

Pontiak (ok. 1720–1769) urodził się prawdopodobnie we wsi swojego plemienia na północnym brzegu rzeki Detroit lub nad rzeką Maumee, w pobliżu dzisiejszego Fort Wayne w Indianie. Jego ojcem był wódz Ottawów, matka zaś pochodziła z plemienia Czipewejów albo Miamisów. Są też hipotezy, że mógł być jeńcem z plemienia Katawba lub adoptowanym dzieckiem z jakiegoś innego plemienia, ale nie potwierdzają tego żadne dowody. Imię Pontiak (Pondiac, Pondiag) pochodzi od słowa *Obwandiyag* lub *Bwon-diac*, co w języku Ottawów może znaczyć „ten, który uśmierza ból”, i nawiązywać do faktu, że klan Borsuków, z którego Pontiak pochodził, był klanem szamanów. Niewiele wiadomo o młodych latach słynnego wodza, ponieważ Indianie nie znali pisma, nie ma więc żadnych dokumentów o jego wczesnym życiu. Dlatego postać Pontiaka obrosła w legendy i stała się obiektem rozmaitych spekulacji.

Na długo przed jego narodzeniem Ottawowie wyrosli na jedno z najważniejszych plemion w regionie Wielkich Jezior. Luźno skonfederowani z Czipewejami i Potawatomi w tak zwanej Radzie Trzech Ognisk, od początku XVII wieku pozostawali w przyjaznych stosunkach z Francuzami z Kanady. Każde z trzech bratnich plemion Rady opierało swój byt na innych podstawach ekonomicznych. Czipewejowie zamieszkujący tereny wokół Wielkiego Jeziora Górnego byli przede wszystkim myśliwymi; Potawatomi z półwyspu Michigan uprawiali rolę; Ottawowie, których ojczyzną były wyspy w północnej części jeziora Huron i okolice jeziora Nipissing, zajmowali się po trosze myślistwem, po trosze rolnictwem, ale głównie handlem, w czym naśladowali swoich

potężnych sąsiadów z południa, Huronów. Ci ostatni dostarczali Francuzom skóry bobrów i innych zwierząt futerkowych w zamian za europejskie towary, które rewolucjonizowały dotychczasową kulturę Indian. Pograniczni Huroni i Ottawowie sami polowali na zwierzęta futerkowe, skupowali także skóry od plemion mieszkających na terenach głębiej położonych, po czym sprzedawali je za towary europejskie, którymi następnie handlowali z bliższymi i dalszymi sąsiadami. W ten sposób stali się ważnym ogniwem w łańcuchu towarowym łączącym wybrzeże Oceanu Atlantyckiego z wnętrzem kontynentu.

Uprzywilejowana pozycja Huronów i ich partnerów handlowych była solą w oku Irokezów, pozostających w przyjaznych relacjach z Holendrami znad rzeki Hudson. Na nieszczęście dla pięciu plemion Ligi zajmowały one stosunkowo niewielki obszar pomiędzy rzekami Hudson i Niagara, wskutek czego ich zasoby zwierząt futerkowych szybko się wyczerpały. Aby więc utrzymać dotychczasowy poziom życia, Irokezi musieli poszukać nowych łowisk i wtedy spojrzeli łakomym wzrokiem na tereny położone dalej na północny zachód, należące do Huronów. Zaczęło się od napadów na łodzie Huronów wożące futra do Montrealu, na co Huroni odpowiedzieli krwawymi wyprawami odwetowymi do kraju Irokezów. Taka była w ogólnym zarysie geneza wojny Irokezów z Huronami, która w ostatecznym rozrachunku doprowadziła w połowie XVII wieku do wyniszczenia Huronów. W 1753 roku Irokezi zawarli pokój z Francuzami i zaczęli zbierać owoce swojego zwycięstwa.

Pozbawieni dotychczasowych partnerów Ottawowie musieli teraz sami wędrować z futrami do Montrealu. Rozzłoszczeni tym butni Irokezi natychmiast wysłali swoje wyprawy wojenne do ich dalekiego kraju. Ottawowie zdołali się obronić i mimo że część z nich wycofała się w okolice cieśniny Mackinac, oddzielającej jeziora Huron i Michigan, to jednak utrzymali

swoją pozycję pośredników w handlu futrami. Irokezi nie osiągnęli celu, a handel z odległymi plemionami pozostał w rękach Ottawów, którzy około 1688 roku dostarczali Francuzom dwie trzecie wszystkich kupowanych przez nich skórek bobrowych. Tym samym osiągnęli szczyt potęgi, ale ich złoty okres nie trwał długo. Wkrótce bowiem Francuzi przenieśli swoje posterunki dalej na zachód i zaczęli sami handlować z dotychczasowymi partnerami Ottawów, skutecznie eliminując wszelkich pośredników.

Dla umocnienia pozycji Nowej Francji w łańcuchu Wielkich Jezior w końcu XVII i na początku XVIII wieku Francuzi wybudowali liczne misje i forty w kraju Czipewejów, Potawatomich i Miamisów. W 1701 roku francuski oficer Antoine de la Mothe Cadillac wzniósł przy ujściu rzeki Detroit posterunek wojskowy o nazwie Fort Pontchartrain du Détroit (Fort Detroit). Wkrótce wokół fortu wyrosła mała francuska osada, a Cadillac zaprosił kilka plemion z zachodu i północy, aby się osiedliły w jej pobliżu. Zaproszenie przyjęły i założyły swoje wioski wzdłuż rzeki Detroit niektóre odłamy Ottawów, Potawatomich oraz Huronów. Wkrótce przybyły także grupy Czipewejów, Miamisów, Sauków i Lisów. W ten sposób Francuzi mogli łatwiej pozyskiwać cenne futra, a Indianie zaopatrywać się w broń i inne towary przemysłowe. W ciągu następnych lat stosunki między Indianami i Francuzami z Detroit oraz między samymi Indianami układały się różnie. Początkowa harmonia przeszła w rywalizację, która doprowadziła do walk międzyplemiennych. Musieli interweniować Francuzi, zwykle faworyzujący Ottawów. W końcu Miamisi wynieśli się nad rzekę Maumee i osiedli w dorzeczu Wabash. Część z nich ruszyła dalej na południe, nad rzekę Ohio, i zaczęła handlować z kupcami angielskimi. Saukowie i Lisy, niezbyt mile widziani przez plemiona Trzech Ognisk, także opuścili okolicę

w 1712 roku. Ostatecznie w pobliżu fortu Detroit pozostały tylko wioski Ottawów, Czipewejów, Potawatomich i Huronów.

Zanim urodził się Pontiak, Francuzi wybudowali w zachodniej części Wielkich Jezior i na południe od nich dziewięć fortów: Michilimackinac (1715), La Baye (1717) i La Pointe (1718) na północy; St. Joseph (1691) i Detroit w dolnej części półwyspu Michigan; Miami (1712) u źródeł rzeki Maumee w północnej Indianie; Quiatenon (1719) nad rzeką Wabash; St. Louis (1713) nad Illinois oraz de Chartres (1720) nad Missisipi. Ottawowie, Czipewejowie i Miamisi znad rzeki Detroit żyli w tym czasie zgodnie i mieszane małżeństwa były wówczas normalnym zjawiskiem, a członkiem plemienia zostawało się po ojcu lub matce, w zależności od tego, czy mąż zamieszkał wśród współplemieńców żony, czy żona osiadła w wiosce męża. Niezależnie od tego, kim byli rodzice Pontiaka i gdzie dokładnie przyszedł na świat, wielki wódz urodził się w wiosce Ottawów i był uważany za członka tego plemienia.

W przeciwieństwie do wielu plemion ze Wschodniego Wybrzeża, Ottawowie mieli dość luźną organizację społeczną i nie znali pojęcia naczelnego wodza. Nie istniało u nich także prawo dziedziczenia godności wodzowskich, osiągniętych osobistymi zasługami, mądrą radą i siłą charakteru. Każdy wojownik mógł zostać wodzem, jeśli swoimi czynami i zdolnościami potrafił zdobyć uznanie mieszkańców jednej lub kilku sąsiednich wiosek. W szczególności dotyczyło to wodzów wojennych, od których przywództwa i zdolności taktycznych zależało powodzenie w bitwach. Taki wódz zachowywał swoją pozycję tak długo, jak długo towarzyszyło mu szczęście wojenne.

Pontiak musiał wyróżniać się jako wojownik, skoro w stosunkowo młodym wieku został wodzem wojennym Ottawów i walczył u boku Francuzów we wszystkich wojnach z ich indiańskimi wrogami oraz z Brytyjczykami od roku

1746[2]. Nie ma jednak całkowitej pewności, że brał udział w bitwie z generałem Braddockiem nad Monongahelą 9 lipca 1755 roku, zakończonej straszliwym pogromem Anglików, chociaż uczestniczyło w niej wielu Ottawów[3]. Prawdopodobnie był w oddziale francuskiego kupca Charles'a de Langlade'a, który przewodził tysiącowi Indian z Detroit i Michilimackinac, wspierających Francuzów w forcie Duquesne, gdzie pełnili funkcję zwiadowców i atakowali pograniczne osiedla angielskie. W lipcu 1757 roku razem z Langlade'em pokonał Brytyjczyków w bitwie nad jeziorem George, która dla ponad trzystu spośród trzystu pięćdziesięciu nieprzyjaciół zakończyła się śmiercią lub niewolą. Co niewiarygodne, po stronie Ottawów został wtedy lekko ranny tylko jeden wojownik. W sierpniu Pontiak towarzyszył wraz z trzystu trzydziestoma siedmioma wojownikami Ottawów generałowi Montcalmowi w oblężeniu fortu William Henry nad jeziorem George.

Francuzi w sile ponad sześciu tysięcy żołnierzy regularnych i kanadyjskich milicjantów oraz tysiąca ośmiuset Indian oblegli fort 3 sierpnia. Sześć dni później zmusili jego załogę do kapitulacji, pozwalając Anglikom bezpiecznie wrócić do domów, pod warunkiem że powstrzymają się od walk z nimi przez następne półtora roku. Dzień po kapitulacji doszło jednak do napadu na angielskich jeńców, w czym mógł brać udział także Pontiak. Wydarzenie to, opisane barwnie przez Jamesa Fenimore'a Coopera w książce *Ostatni Mohikanin* (1826), przeszło do historii jako „masakra pod fortem William Henry”. Indianie, niezadowoleni z braku skalpów, jeńców i łupów, wbrew umowie kapitulacyjnej zabili, ranili i pojмали wówczas wielu białych. Bezskutecznie Montcalm i jego oficerowie próbowali powstrzymać rozsierzdzonych sprzymierzeńców. Na nic też zdały się ich kierowane do wodzów próśby o uwolnienie wziętych żywcem. Indianie dali krwawy upust swojej

wściekłości, wyrzynając lub porywając około dwustu z ponad dwóch tysięcy osób objętych warunkami kapitulacji. Po tej rozprawie zabrali zdobycz i odeszli, nieświadomi konsekwencji.

Pod koniec 1757 roku Pontiak wrócił do Francuzów i na spotkaniu w forcie Duquesne zapewnił ich o lojalności dla nich swojego plemienia. Doniósł, że George Croghan daremnie usiłował przeciągnąć na stronę Anglików zachodnie plemiona, po czym udowodnił swoje oddanie sprawie Francuzów, biorąc udział w zasadzce na oddział majora Jamesa Granta pod fortem Duquesne 14 września 1758 roku. Straty Brytyjczyków wyniosły wówczas w zabitych, rannych i wziętych do niewoli połowę spośród ośmiuset czterdziestu dwóch żołnierzy. Była to przednia straż armii generała Johna Forbesa, która wyruszyła latem z Filadelfii z zamiarem opanowania Detroit i innych zachodnich fortów francuskich. Wkrótce jednak Brytyjczycy przegrupowali się i jesienią ruszyli do kolejnego ataku. 24 listopada pozbawiony pomocy komendant Duquesne kapitan François-Marie Le Marchand de Lignery spalił fort i wycofał się wraz z załogą w górę rzeki Allegheny do fortu Machault (Venango), w północno-zachodniej Pensylwanii. Duquesne przeszło w ręce Brytyjczyków, dzięki czemu po raz pierwszy ustanowili oni stałą bazę po zachodniej stronie pasma Alleghenów. Zmienili nazwę osady na Pittsburgh, a nowy posterunek wojskowy wybudowany na miejscu spalonego francuskiego fortu nazwali Fort Pitt, na cześć brytyjskiego premiera Williama Pitta Starszego.

Ostatni raz Pontiak wziął udział w walce z Anglikami w lipcu 1759 roku na polanie La Belle Famille nad rzeką Niagara. Po bitwie, zakończonej klęską wspieranych Francuzów, powrócił łodzią do swojej wioski niedaleko Detroit. Angielski kolonista Charles Stuart, wzięty w 1755 roku do niewoli przez Delawarów na pograniczu Pensylwanii i przekazany potem Wyandotom

znad rzeki Detroit, pozostawił taki oto krótki opis wioski Pontiaka i jej mieszkańców:

„Okolo dwóch mil powyżej wioski Wyandotów (Huronów) leży wieś Ottawów. Pomiedzy obiema wioskami mieszkają trzy rodziny francuskie. W pobliżu znajdują się trzy plantacje należące do trzech francuskich kupców z Detroit. Wieś Ottawów składa się z okolo dziewięćdziesięciu chat, ale nie ma tam kościoła, bo Ottawowie są ludem pogańskim i nienawróconym na religię rzymskokatolicką. To barbarzyńskie, dzikie i bardzo okrutne plemię. Wkrótce po bitwie z Braddockiem rozpruli brzuch wziętej do niewoli białej kobiecie, wyjęli jej białe dziecko, ugotowali je i zjedli, a matkę pocięli na kawałki. Zabili także w najbardziej niehumanitarny sposób dwóch innych jeńców spośród ludzi Braddocka, ucinając im nogi, skalpując ich i rozłupując im głowy. Wojownicy Ottawów nie są zbyt liczni, bo stracili wielu ludzi w czasie wojen, ale mocno angażują się w wypadki i ataki na Anglików z Pensylwanii i Wirginii. Widziałem dwa ich oddziały wyruszające na wojnę z Anglikami: jeden liczył okolo dwudziestu pięciu wojowników, a drugi trzydziestu pięciu [...]. Kiedy Francuzi wysyłają ich do walki, dają im koszulę i broń, ale nie wypłacają nagród za skalpy”.

Po klęsce Francuzów Pontiak nawiązał dobre stosunki z nowym dowódcą Detroit, kapitanem Donaldem Campbellem. Szkot Campbell był gruby, niezgrabny i miał słaby wzrok, ale mówił po francusku i był kompetentny, dzięki czemu zyskał zaufanie wodza Ottawów. Szybko jednak Pontiak rozczarował się do Brytyjczyków. Niebezpiecznie. Już bowiem w czerwcu 1761 roku Campbell donosił, że sposób traktowania Indian przez władze brytyjskie budzi zastrzeżenia i „wszystkie plemiona od Nowej Szkocji do Illinois są gotowe wykopać topór wojenny przeciwko Anglikom”. Na początku września do Detroit przybył William Johnson. Komisarzowi towarzyszył

kontyngent wojska pod komendą majora Henry'ego Gładwina, który jako młody oficer wziął udział w bitwie nad Monongahelą i ranny ratował się ucieczką u boku Jerzego Waszyngtona.

Wraz z upadkiem Nowej Francji otworzył się nowy rozdział w karierze Williama Johnsona i jego asystentów. To na nich spadł trudny obowiązek negocjacji z dotychczasowymi indiańskimi sprzymierzeńcami Francji. 9 września 1761 roku Johnson zorganizował w Detroit wielką naradę z Indianami, na której zapewniał ich o dobrej woli władz brytyjskich, o poszanowaniu dla ich tradycji i chęci ustanowienia dobrych stosunków handlowych ze wszystkimi plemionami regionu. Na zakończenie obdarował Indian prezentami, chociaż miał w kieszeni list głównodowodzącego wojsk brytyjskich w Ameryce generała Amhersta zakazujący kupowania przyjaźni Indian za podarki. „Jeśli chodzi o kupowanie dobrego zachowania Indian lub kogokolwiek innego – pisał Amherst – jest to dla mnie niezrozumiałe. Jeżeli człowiek, bez względu na rasę, zachowuje się źle, powinien zostać ukarany, a nie przekupywany”. Johnson ani słowem nie wspomniał o planowanej zmianie polityki wobec Indian, ci jednak szybko zrozumieli, co się dzieje, kiedy rozkazy Amhersta zaczęły wchodzić w życie.

Wysiłki władz brytyjskich na rzecz unormowania handlu i utrzymania pokoju z Indianami po wojnie z Francuzami i ich sprzymierzeńcami załamały się z hukiem w 1763 roku. Indianie, rozgniewani łamaniem przez kolonistów traktatu z Easton oraz ograniczeniami w handlu, zawiązali wiosną tego roku luźną konfederację, w której czołową rolę odgrywał Pontiak.

Bezpośrednim powodem wybuchu powstania była więc krótkowzroczna polityka wobec Indian generała Amhersta oraz jego pochopna decyzja o wstrzymaniu dostaw zwyczajowych prezentów w postaci europejskich towarów. Stanowiło to ostry

kontrast z postępowaniem Francuzów, którzy w zamian za przyjaźń i pomoc chętnie dostarczali Indianom proch, amunicję i rum. Wstrzymanie dostaw tych towarów wzburzyło Indian znad Wielkich Jezior i górnej Missisipi. Latem 1762 roku zebrali się oni na tajnej naradzie w wiosce Ottawów nad rzeką Detroit, żeby podjąć decyzję, co robić w tej sytuacji. W naradzie wzięli także udział wysłannicy Francuzów, obiecując pomoc w walce z Anglikami. Sam Pontiak poczuł się dodatkowo urażony, kiedy 23 sierpnia cieszącego się jego zaufaniem Campbella zastąpił na stanowisku dowódcy fortu Detroit podejrzliwy wobec Indian major Gladwin. Tak więc rozzłoszczeni Indianie, podpuszczani przez Pontiąka i mamieni obietnicą pomocy francuskiej, wiosną 1763 roku zawiązali sprzysiężenie i rozpoczęli przygotowania do otwartego powstania przeciwko Brytyjczykom.

27 kwietnia Pontiak zwołał wielką naradę z udziałem ponad pięciuset Ottawów, Potawatomich, Huronów i Czipewejów nad brzegiem rzeki Ecorse, piętnaście kilometrów na południe od Detroit. Możliwe, że byli tam także przedstawiciele innych plemion z Ohio, Delawarów, Szaunisów, Miamisów i Seneków, którzy jako jedyni spośród Irokezów poczuli się zdradzeni przez Brytyjczyków. Najpierw Pontiak przedstawił listę skarg pod adresem Anglików, a potem pokazał Indianom czerwone i purpurowe pasy wampumów, otrzymane rzekomo od wysłanników króla Francji, i wezwał do wojny w obronie ziemi przodków oraz tradycyjnego sposobu życia. Na koniec, jak to często bywa w decydujących momentach historii, powołał się na proroka Delawarów Neolina, który kazał Indianom wyrzucić białych z ich ojczyzny. „Bracia! – zawołał, wznosząc tomahawk. – Wypędźmy te psy w czerwonych kubrakach!”.

Słowa wodza trafiły na podatny grunt. Jego plany poparli i oddali się pod jego dowództwo wszyscy obecni na naradzie Indianie. Wkrótce rozesłano wampumy wojny do okolicznych plemion, a te bez wahania przystąpiły do sprzysiężenia.

Ośrodek kierowania przyszłym powstaniem umieszczono w pobliżu Detroit, najsilniejszego brytyjskiego posterunku na zachód od Niagary.

1 maja Pontiak w otoczeniu czterdziestu wojowników pojawił się przed bramą fortu i poprosił, aby pozwolono mu zademonstrować lojalność wobec króla Anglii przez odtąnczenie pokojowego tańca kalumetu (fajki pokoju). W rzeczywistości jednak jego misja miała charakter zwiadowczy. Podczas gdy część wojowników skupiała na sobie uwagę Anglików tańcem, wódz z pozostałymi próbował ocenić stan gotowości garnizonu liczącego stu trzydziestu żołnierzy oraz wypatrzyć jego silne i słabe punkty.

Powstanie wybuchło 7 maja 1763 roku. Dwa dni wcześniej Pontiak z kilkoma wodzami poprowadził trzystu wojowników na fort Detroit. Próbował zająć go zniemacka, ale major Gladwin nie dał się zaskoczyć i Indianie musieli odstąpić. Romantyczna historia głosi, że w przeddzień planowanego ataku Gladwina ostrzegła zakochana w nim indiańska dziewczyna z plemienia Czipewejów. W każdym razie gdy Pontiak i jego wojownicy przybyli do fortu z bronią ukrytą pod kocami, którymi byli osłonięci, zobaczyli, że Anglicy trzymają muszkiety w pogotowiu i w każdej chwili są gotowi do obrony. Wobec takiego pokazu siły atak bez zaskoczenia byłby szaleństwem, toteż wódz z trudem pohamował wściekłość i powstrzymał się od wydania rozkazu do walki. Wycofał swoich wojowników, a następnego dnia wrócił do Detroit i usiłował przeprosić majora za „nieporozumienie”. Fajka pokoju, którą ze sobą przyniósł, pozostała jednak niewypalona. A 9 maja Pontiak otoczył garnizon od strony lądu i wody, gdy zaś Gladwin odmówił kapitulacji, rozpoczął regularne oblężenie.

Garnizon Detroit zdołał się obronić, lecz domy i składy poza obwarowaniami fortu zostały splądrowane i spalone. Indianie zabili dziewięciu angielskich kolonistów i jednego Francuza,

którego wzięli za Anglika, wielu także pojмали. W czasie oblężenia do Pontiaka dołączyło kolejnych dziewięciuset Czipewejów, Potawatomic i Wyandotów oraz wojowników z innych plemion, nie tylko z regionu Wielkich Jezior, ale nawet tak odległych jak Abenakowie ze wschodniego wybrzeża Kanady.

Oblegając Detroit, Pontiak starał się też pozyskać poparcie francuskich osadników, którzy w liczbie dwóch tysięcy mieszkali w okolicy fortu. 18 maja zwołał ich na naradę i przypomniał im o pomocy, jakiej Ottawowie udzielili Francuzom w 1746 roku, odpierając najazd północnych plemion:

„Jako dowód na to, że nie zamierzam na was napadać, przypomnę tylko wojnę z Lisami i sposób, w jaki zachowałem się wobec was siedemnaście lat temu. Kiedy Czipewejowie i Ottawowie z Michilimackinac oraz wszystkie plemiona z północy przyszły z Saukami i Lisami, aby was pozabijać, kto was wtedy obronił? Czyż nie byłem to ja i moi ludzie? [...]. Czy to nie ja pomogłem wam się ich pozbyć i przegonić ich stąd? [...]. Tak, moi bracia, jestem tym samym francuskim Pontiakiem co siedemnaście lat temu”.

Potem kazał im napisać list do francuskiego komendanta fortu de Chartres w Illinois majora Pierre'a-Josepha Neyona de Villiers'a z żądaniem przysłania wojska na pomoc.

W pierwszych tygodniach powstania, od 16 maja do 21 czerwca, sprzymierzonym Indianom udało się zdobyć większość pogranicznych fortów angielskich i wygnać Brytyjczyków z zajmowanych terenów. 16 maja Wyandoci podstępem opanowali fort Sandusky na brzegu jeziora Erie w Ohio. Wzięli do niewoli chorążego Christophera Paulego i zabili piętnastu jego żołnierzy, nie licząc kupców i handlarzy. Ofiary rytualnie oskalpowano, a fort doszczętnie spalono. 25 maja Potawatomi, którymi dowodził Washee, w podobny

sposób zdobyli fort St. Joseph. Zginęło dwunastu spośród piętnastu Anglików, a dowódca fortu, chorąży Francis Schlosser, oraz dwaj żołnierze zostali odesłani do Detroit. Dwa dni później padł fort Miami. Jego dowódcę, chorążego Roberta Holmesa, wojownicy Miamisów wywabili na zewnątrz przy pomocy jego indiańskiej kochanki i zastrzelili razem z trzema innymi żołnierzami. Reszta pozbawionej komendanta załogi natychmiast się poddała. Siedmiu żołnierzy od razu zabito, czterech odesłano Pontiakowi do Detroit, trzech zatrzymano w niewoli, a czwartego zamordowano i po ugotowaniu rytualnie zjedzono. 1 czerwca w ręce Miamisów, Wea, Kikapu i Mascoutenów wpadł Quiatenon, a cała jego dwudziestoosobowa załoga z dowódcą porucznikiem Edwardem Jenkinsem dostała się do niewoli. Dzień później Czipewejowie i Saukowie zdobyli warowny, wyposażony w działa fort Michilimackinac z trzydziestopięciosobową załogą, którą dowodził kapitan George Etherington. Ten trudny do opanowania obiekt zdobyto podstępem: wódz Czipewejów Matchekewis przyciągnął uwagę Anglików tradycyjną grą w lacrosse. Żołnierze wyszli na wały, aby przyrzeć się ich grze, a wtedy indiańscy wojownicy wpadli do środka przez otwartą bramę i wzięli ludzi Etheringtona przez zaskoczenie. Zginęło szesnastu żołnierzy, potem wskutek rytualnych tortur zamordowano jeszcze pięciu innych. Etherington, jego zastępca porucznik William Leslye i reszta trafili do niewoli. Dwa dni później Brytyjczycy opuścili najbardziej wysunięty na zachód fort Edward Augustus (dawny francuski Le Baye) w Green Bay w Wisconsin. 16 czerwca Indianie wzięli fort Le Boeuf w Ohio, lecz jego załoga, dowodzona przez chorążego George'a Price'a, w większości zdołała zbiec do Pittsburgha. Na koniec, 21 czerwca, dwustu pięćdziesięciu Ottawów, Potawatomic, Wyandotów i Seneków po dwudniowym oblężeniu zmusiło do kapitulacji pensylwański fort Presque Isle i wzięło do niewoli

prawie całą dwudziestosiedmioosobową załogę z chorążym Johnem Christie'em na czele. W czasie oblężenia Indianie zastosowali nietypową metodę walki, kryjąc się za drewnianymi barykadami, które przesuwali w miarę zbliżania się do fortu.

A zatem do powstania przyłączyli się nawet Senekowie, najliczniejsze plemię sprzymierzonej z Anglikami Ligi Irokezów, wzburzone nadmierną zachłannością kolonistów i osadzeniem brytyjskich weteranów na ziemiach plemienia w pobliżu fortu Niagara. To właśnie oni, pod wodzą Starego Dymu i Siewcy Kukurydzy, dotąd lojalnych wobec Brytyjczyków, w połowie czerwca sprawili krwawą rzeź garnizonowi fortu Venango, wyrzynając do nogi całą piętnastoosobową załogę. Najprawdopodobniej doszło do tego 16 czerwca; tego samego dnia, kiedy padł pobliski fort Le Boeuf. Komendanta Venango, porucznika Francisa Gordona, Indianie zachowali przy życiu, aby spisał na papierze wszystkie skargi Seneków, a potem rytualnie spalili go żywcem na stosie. Wszystkie forty zdobyte przez powstańców miały nieliczne załogi, które w większości zabito lub wzięto do niewoli. Tylko najbardziej wysunięte na wschód forty Ligonier i Bedford oraz dwa najmocniejsze posterunki Detroit i Pitt oparły się atakom Indian.

Tymczasem otoczony w Detroit Gladwin zwrócił się do generała Amhersta z rozpacziwą prośbą o posiłki: „Nieprzyjaciel całkowicie panuje nad okolicznym krajem i na pewno tak będzie, dopóki Wasza Ekscelencja nie przyśle wojsk, które zdołają go rozproszyć” – napisał.

Zbiegiem okoliczności 13 maja wyruszyła łodziami z fortu Niagara z zapasami i wzmocnieniem dla Detroit wyprawa dziewięćdziesięciu sześciu ludzi porucznika Abrahama Cuylera. 28 maja nieświadomi wybuchu wojny żołnierze zatrzymali się obozem w Point Pelee w Ontario, ale zanim ruszyli w dalszą

drogę, zostali zaatakowani przez Wyandotów i stracili ponad połowę ludzi. W ręce Indian wpadło osiem z dziesięciu łodzi z prowiantem. Niedobitki uciekły na dwóch pozostałych łodziach do fortu Sandusky, a kiedy się okazało, że został on spalony, wróciły do Niagary.

Tego samego dnia rozpoczęło się oblężenie fortu Pitt, głównie przez wojowników Delawarów, Szaunisów, Wyandotów i Mingów (Irokezów z Ohio). Po wybuchu powstania schroniło się tam wielu osadników z zachodniej Pensylwanii; w maju było ich już około pięciuset pięćdziesięciu, w tym dwieście kobiet z dziećmi. Dowódca fortu, szwajcarski kapitan Simeon Ecuyer, pisał później, że obawiał się nawet wybuchu epidemii ospy z powodu przepełnienia. Najpierw jednak Delawarowie zaatakowali osiedle West Newton w Pensylwanii, piętnaście kilometrów na południowy wschód od fortu Pitt. Pozabijali ludzi, konie i krowy w całej okolicy, a potem otoczyli luźnym pierścieniem oblężenia samą fortecę, zasypując ją co jakiś czas kulami i płonącymi strzałami. Przez cały czerwiec i lipiec trwały indiańskie ataki na fort, skutecznie odpierane przez załogę za pomocą dział, wobec których Indianie byli bezsilni. Kiedy zawiodły próby wzięcia fortu siłą, napastnicy próbowali skłonić Ecuyera do kapitulacji, przynosząc coraz to nowe wieści o kolejnych zwycięstwach Indian. Twardy Szwajcar jednak, choć sam dwukrotnie ranny indiańskimi strzałami i zaniepokojony występującą już ospą i innymi chorobami, nie ustępował, pewny, że wkrótce przybędzie odsiecz. „Nigdy nie opuścimy [fortu Pitt], dopóki choć jeden biały człowiek będzie żył w Ameryce” – oświadczył.

W lipcu Pontiak wzmógł nacisk na Detroit. Aby zastraszyć brytyjską załogę, 4 lipca Wesson, wódz Czipewejów znad zatoki Saginaw, w odwecie za śmierć bratanka, zastrzelonego przez Anglików, zarąbał tomahawkami kapitana Campbella, zatrzymanego wcześniej przez Indian podczas negocjacji

pokojowych. Kiedy wiadomość o tej zbrodni dotarła do generała Amhersta, wyznaczył on za głowę Pontiaka nagrodę w wysokości stu funtów. 6 lipca Indianie próbowali bez większego powodzenia spalić za pomocą płonących tratw angielskie łodzie zacumowane pod fortem na rzece Detroit. Wreszcie, po blisko trzech miesiącach oblężenia, Gladwin doczekał się długo wypatrywanych posiłków.

29 lipca do Detroit przybyło z Niagary dwustu sześćdziesięciu żołnierzy kapitana Johna Dalyella, prawej ręki Amhersta, oraz dwudziestu zwiadowców majora Rogersa z zapasami żywności i amunicji. Pewny siebie Dalyell szybko zapragnął zorganizować wycieczkę i poprowadzić swoich ludzi przeciwko Indianom. Major Gladwin wspominał później:

„31 [lipca] kapitan Dalyell poprosił, abym uczynił mu szczególny zaszczyt i pozwolił poprowadzić oddział żołnierzy na uśpiony obóz Pontiaka, aby zaskoczyć go nocnym atakiem. Wyraziłem wówczas opinię, że Pontiak jest zbyt ostrożny, aby taka akcja mogła się powieść. Wtedy [Dalyell] powiedział, że jego zdaniem mamy dość siły, aby zadać mu cios, i że jeśli nie spróbujemy tego teraz, [Pontiak] ucieknie i druga taka okazja już się nie trafi. To sprawiło, że wbrew swemu przekonaniu pozwoliłem mu na realizację jego planu”.

31 lipca o drugiej trzydzieści nad ranem Dalyell wyprowadził cichaczem z Detroit dwustu czterdziestu siedmiu ludzi, żeby zaatakować obóz Pontiaka. Kiedy jego oddział zbliżał się do mostku nad rzeczką Parent niedaleko fortu, żołnierzy zaatakowali nagle z trzech stron czyhający w zasadzce wojownicy Ottawów, Czipewejów i Wyandotów, uprzedzeni o planowanej wyprawie przez swoich francuskich przyjaciół. Sześciogodzinna bitwa zakończyła się śmiercią stu pięćdziesięciu Anglików, wśród nich niefortunnego dowódcy, kapitana Dalyella. Wielu białych dostało się do niewoli. Tylko nieliczni, wstrząśnięci i ranni, zdołali wycofać się do Detroit.

Zwycięstwo w bitwie nad rzeką Parent, od tego czasu nazywaną Krwawym Potokiem (*Bloody Run*), było jednym z największych triumfów Pontiaka i miało podwójny efekt: przysporzyło mu dodatkowych sojuszników wśród Indian oraz wzmogło jego wolę walki z Brytyjczykami.

Oprócz posiłków Dalyella wysłanych do Detroit, na początku lipca generał Amherst pchnął dodatkowe siły na pomoc oblężonemu fortowi Pitt. Odsiecz prowadzona przez pułkownika Henry'ego Bouqueta, szwajcarskiego najemnika w służbie króla Jerzego II, składała się z pięciuset pięćdziesięciu ludzi, w tym dwustu czterdziestu dwóch piechurów ze słynnego 42. Królewskiego Pułku Górali Szkockich zwanego Czarną Strażą (*Black Watch*), od koloru kraty na spódniczkach (kiltach), które nosili żołnierze. Większość ludzi Bouqueta przybyła niedawno z Indii Zachodnich w tak złej formie, że aż sześćdziesięciu chorych trzeba było wieźć na wozach. Amherst jednak, po wyekspediowaniu Dalyella do Detroit, nie miał w tej części kraju innych sił i mógł liczyć tylko na odwagę i doświadczenie Bouqueta, swojego najlepszego żołnierza w Ameryce. Tak więc 18 lipca pułkownik wyruszył z bazy w Carlisle we wschodniej Pensylwanii na zachód, do odległego o dwieście dziewięćdziesiąt kilometrów fortu Pitt drogą wybudowaną przez generała Forbesa w 1758 roku, którą sam wtedy wytyczał i znał jak własną kieszeń. 25 lipca jego ludzie minęli fort Bedford, a 2 sierpnia dotarli do Ligonier, gdzie czekał na niego posłaniec od Ecuyera.

„Sytuacja jest tragiczna – meldował młody oficer. – Kończy się żywność i amunicja. Wśród cywilów i żołnierzy szerzą się choroby. Liczba rannych i zabitych rośnie każdego dnia. Krótko mówiąc, fort Pitt potrzebuje odsieczy tak szybko, jak tylko się da”.

„Maszerujemy z Carlisle dwa tygodnie prawie bez wypoczynku. Muszę dać odpocząć ludziom dzień lub dwa” –

odpowiedział Bouquet.

I rzeczywiście, po przeładowaniu wiezionych zapasów z wozów na trzysta czterdzieści jucznych koni, dwa dni później jego oddział ruszył w dalszą drogę. Kolejny postój wyznaczył pułkownik 5 sierpnia nad strumieniem Bushy Run, czterdzieści kilometrów na południowy wschód od fortu Pitt, aby dać wypocząć ludziom i koniom przed ostatnim etapem podróży.

1 sierpnia w południe kapitan Ecuyer i jego ludzie – dwustu trzydziestu żołnierzy regularnych i kolonialnych milicjantów – ze zdziwieniem zauważyli, że Indianie oblegający fort Pitt nagle zniknęli. Dopiero gdy nadbiegli gońcy, zrozumieli, że ich główne siły wyruszyły przeciwko nadciągającej odsieczy. Indianie zostawili na razie fort w spokoju, licząc, że wznowią oblężenie, jak tylko zniszczą oddział Bouqueta, tak jak zniszczyli wyprawę Braddocka w tej samej okolicy przed ośmioma laty.

Krótko po południu 5 sierpnia rozpoczęła się bitwa nad Bushy Run. Dobrze ukryci w zasadzce wojownicy Delawarów, Szaunisów, Mingów i Wyandotów, prowadzeni przez słynnego wodza Seneków Guyasutę, zatrzymali pochód Bouqueta i po parogodzinnej walce zmusili go do odwrotu. Pułkownik okopał się na pobliskim wzniesieniu Edge Hill ciasnym kręgiem umocnionym workami z mąką, za którymi umieścił rannych i wystraszone konie juczne, a ludziom kazał skryć się za drzewami, skałami i pakunkami. Tak doczekano ranka. Pierwszy dzień bitwy okazał się zwycięski dla Indian, a przebieg walki pokazał, że zapowiada się druga Monongahela.

Następnego dnia jednak Bouquet zastosował podstęp. Kazał dwóm kompaniom majora Johna Campbella cofnąć się, udając odwrot. Fortel się powiódł: Indianie wychynęli z ukrycia i rzucili się w pościg za ludźmi Campbella, wpadając w sam środek ugrupowania, pod ogień krzyżowy przyczajonych strzelców Bouqueta. Jednocześnie lekka piechota obeszała ich

z boku i zaatakowała bagnetami. Zaskoczeni Indianie, którzy panicznie bali się walki na bagnety, poszli w rozsypkę i w ten sposób droga do fortu Pitt stała otworem. 10 sierpnia Bouquet dotarł do celu i oficjalnie zniósł trwające ponad dwa miesiące oblężenie.

Bitwa nad Bushy Run kosztowała życie pięćdziesięciu Brytyjczyków; rannych zostało sześćdziesięciu, a piętnastu zaginęło. Straty Indian wyniosły co najmniej dwudziestu zabitych (choć niektóre szacunki mówią nawet o sześćdziesięciu poległych) oraz wielu rannych. Bouquet oszacował siły Indian, z którymi się zmierzył, na około czterystu ludzi, ale słynny wódz Delawarów Zabójca Jeleni, uczestnik bitwy, powiedział później Williamowi Johnsonowi, że po stronie Indian walczyło tylko stu dziesięciu wojowników. W sensie taktycznym starcie pozostało nierozstrzygnięte, ale fakt, że Bouquet zdołał rozproszyć Indian i dotrzeć na czas z posiłkami do fortu Pitt, oznaczał porażkę sprzymierzonych plemion. Po raz pierwszy Anglicy stoczyli walkę z Indianami ich sposobem i osiągnęli zwycięstwo.

Wkrótce po odblokowaniu fortu Pitt generał Amherst zasugerował pułkownikowi Bouquetowi, aby „zaszczepił ospę pomiędzy niezadowolone plemiona Indian”. „Jeżeli to możliwe – pisał – dobrze byłoby, żebyśmy porozdawali Indianom [zarażone] koce albo użyli każdej innej metody, aby wyplenić tę ohydłą rasę”.

Nie wiadomo, czy Bouquet zastosował się do tej sugestii, niemniej zaraza, która niedługo potem dotknęła Delawarów i niektóre inne plemiona w zachodniej Pensylwanii, mogła być skutkiem rozdania Indianom koców pozostawionych przez chorych Anglików w forcie Pitt.

Chociaż Bushy Run nie oznaczało jeszcze klęski Indian, był to początek końca powstania. Ataki Indian straciły impet, a nadchodząca zima zmusiła ich wkrótce do przerwania walk

i wycofania się do zimowych siedzib. Zanim jednak do tego doszło, 3 września, po wielu dniach względnego spokoju, wojownicy Pontiaka zaatakowali szkuner „Huron”, wiozący zaopatrzenie z Niagary dla Detroit. Chociaż wódz poprowadził do ataku trzystu czterdziestu Ottawów i Czipewejów w dwudziestu pięciu kanu, a załoga „Hurona” składała się tylko z dwunastu ludzi, nie licząc sześciu irokeskich przewodników, statku nie udało się opanować. Straty powstańców wyniosły piętnastu zabitych i śmiertelnie rannych oraz sześćdziesiąt muszkietów (wpadły do wody i utonęły). W tej sytuacji Indian nie mógł cieszyć fakt, że jednym z dwóch Anglików zabitych na pokładzie statku był jego kapitan, Walter Horsey. Pod wrażeniem bohaterskiej postawy załogi „Hurona” Gładwin rozdysponował między jej członków sto funtów, Amherst zaś kazał wybić specjalny medal dla marynarzy i rodzin ich poległych towarzyszy.

Dużo lepiej poszło Senekom, którzy zaatakowali oddział kapitana Benjamina Johnstona w gęstych lasach nad Diabelską Przepaścią (*Devil's Hole*) przy wodospadzie Niagara. Do zasadzki na konwój dwudziestu pięciu krytych wozów ciągniętych przez setkę koni i wołów, zdążający pod silną eskortą do fortu Niagara, doszło 14 września. W jej wyniku zginęło stu jedenastu białych, w tym dwudziestu dwóch cywilnych woźniców i osiemdziesięciu dziewięciu żołnierzy, a dziewięciu zostało ciężko rannych. Była to jedna z najcięższych klęsk, jakie armia brytyjska poniosła w całej wojnie. Jak przyznał później pewien indiański uczestnik bitwy, w zasadzce na konwój wzięło udział ponad trzystu wojowników, z których tylko jeden został ranny. Klęska ta na kilka tygodni wstrzymała dostawy zaopatrzenia dla Detroit.

Za radą Williama Johnsona rząd brytyjski odpowiedział na powstanie Pontiaka 7 października 1763 roku królewską proklamacją (*Royal Proclamation of 1763*) zakazującą

kolonistom osiedlania się na zachód od Appalachów. Ogłoszono, że ziemie pomiędzy Appalachami i rzeką Missisipi są krajem Indian wolnym od ingerencji białego człowieka, a jedynymi białymi uprawnionymi do wstępu na nie mogą być tylko koncesjonowani kupcy i żołnierze garnizonów królewskich.

Podejmowane latem i jesienią 1763 roku pokojowe wysiłki komisarza Johnsona, w połączeniu z porażką powstańców w dwudniowej bitwie z wojskami pułkownika Bouqueta nad Bushy Run oraz zniesieniem przez niego oblężenia fortu Pitt, osłabiły wolę walki Indian. Do tego doszły nieudane oblężenie przez wojowników Pontiaaka fortu Detroit oraz druzgocąca wiadomość o zawarciu przez Anglię i Francję pokoju w Paryżu kończącego wojnę siedmioletnią. Wieść ta, przyniesiona Pontiakowi do obozu pod Detroit 29 października z fortu de Chartres, pozbawiła Indian ostatniej nadziei na pomoc Francuzów.

„Moje Drogie Dzieci – pisał Neyon de Villiers – oto nadszedł wielki dzień [...]. Pan Życia natchnął Wielkiego Króla Francji, zasmuconego tak długim rozlewem krwi, do zawarcia pokoju z Anglikami. Cóż to będzie dla Was za radość widzieć, jak Francuzi i Anglicy palą tę samą fajkę pokoju, jedzą tę samą łyżką i w końcu żyją ze sobą jak bracia [...]. Powstrzymajcie się, Drogie Dzieci, przed dalszym rozlewem krwi Waszych braci, Anglików. Nasze serca są odtąd jednym, którego nie możecie już odtąd ranić”.

W dwa dni po otrzymaniu tej wiadomości Pontiak zwinął oblężenie i wycofał się spod Detroit. Gdy zaś wiosną 1764 roku nowe armie brytyjskie pułkownika Bouqueta i generała Johna Bradstreeta najechały ojczyznę Delawarów, Seneków i Szaunisów w Ohio, wódz znalazł schronienie w krainie Illinois, a Indianie zakończyli działania wojenne bez dalszej walki.

Powstanie Pontiaka w Illinois, Ohio i nad Wielkimi Jeziorami było gwałtowne i krwawe. Kosztowało życie czterystu żołnierzy, około stu handlarzy oraz setek osadników brytyjskich. Na początku Anglicy utracili osiem fortów, jeden musieli opuścić, a cztery inne znalazły się w stanie oblężenia. Indianie pozbawili ich przejściowo wszystkiego, co zdobyli na Francuzach podczas wojny siedmioletniej. Gniew tubylców poczuło na własnej skórze tysiące angielskich osadników z Pensylwanii, Marylandu i Wirginii. Wielu z nich zginęło. Dopiero kiedy zniechęceni wojownicy wrócili do swoich wiosek, aby zająć się polowaniem i zaopiekować rodzinami, Brytyjczycy ściągnęli z metropolii następne posiłki i umocnili swoją pozycję w regionie.

W lipcu 1764 roku, po wyjeździe generała Amhersta do Anglii, William Johnson doprowadził do wynegocjowania traktatu w forcie Niagara z udziałem ponad dwóch tysięcy Indian z regionu Wielkich Jezior. Brytyjczycy zobowiązali się przywrócić handel z plemionami i rozpatrzyć ich skargi, zaczęli też inaczej prowadzić swoje interesy w regionie i likwidować własne posterunki wojskowe na zachód od Appalachów, z wyjątkiem fortów Michilimackinac, Detroit i Niagara. Pontiak początkowo odmawiał zawarcia pokoju, ale wreszcie, zmęczony wojną, 17 sierpnia 1765 roku w towarzystwie Croghana i z udziałem władz wojskowych oraz przedstawicieli plemion irokeskich podpisał w Detroit formalne porozumienie pokojowe. Latem 1766 roku wraz z czterdziestoma innymi wodzami przyjął zaproszenie Johnsona na naradę w forcie Ontario w Oswego, w dzisiejszym stanie Nowy Jork. Obdarowany licznymi prezentami, 25 lipca uściśnął dłoń Johnsona i przyrzekł posłuszeństwo władzom brytyjskim. Podobno otrzymał wówczas pensję równą poborom kapitana armii brytyjskiej, a w każdym razie zerwał z Francuzami i zaniechał dalszego oporu przeciwko Anglikom. Ta zmiana

postawy wodza Ottawów zraziła wielu jego zwolenników i być może przyczyniła się do jego przedwczesnej śmierci.

Pontiak zginął 20 kwietnia 1769 roku w pobliżu francuskiej osady Cahokia w Illinois nad Missisipi z rąk Indianina z plemienia Peoriów. Według jednych został zamordowany na mocy wyroku rady plemiennej w odwecie za zranienie nożem w maju 1766 roku wodza Peoriów Czarnego Psa, według innych – z poduszczenia białego kupca, który chciał w ten sposób zapobiec kolejnemu powstaniu przeciwko Anglikom. Nie wiadomo, gdzie spoczęły szczątki wielkiego wodza Ottawów. Podobno Francuzi na rozkaz brytyjskiego komendanta fortu Cavendish (dawnego de Chartres), podpułkownika Johna Wilkinsa, pochowali je w okolicach Cahokii lub w St. Louis. Wielu Indian obwiniąło białych o śmierć wodza i zapowiadało srogą zemstę, ale skończyło się na groźbach i przez następne lata panował pokój między Indianami i Brytyjczykami.

Być może uwaga, jaką poświęcili Pontiakowi niektórzy badacze, wśród nich słynny amerykański historyk Francis Parkman (autor dzieła *Konspiracja Pontiaka*, wydanego w 1851 roku), wyolbrzymiła jego rolę w historii Zachodu i uczyniła go bohaterem romantycznej legendy. Niektórzy dowodzą, że w istocie wódz Ottawów przewodził tylko trzem wioskom w pobliżu Detroit i z jego zdaniem liczyli się jedynie wspierający go Czipewejowie i Potawatomi. Są i tacy, którzy nazywają go „notorycznym kłamcą i tchórzem”. Trzeba jednak pamiętać, że ci, którzy go znali i o nim pisali, byli w większości jego wrogami: brytyjskimi oficerami, agentami indiańskimi i kupcami poszkodowanymi w wyniku prowadzonej przez niego wojny. Nie zmienia to wszakże faktu, że legenda Pontiaka wyrosła już przed jego śmiercią i umocniła się zaraz po niej, a zdolności i inteligencja wodza, jego dar przewidywania i konsekwencja w działaniu stawiają go w rzędzie najwybitniejszych Indian Ameryki Północnej.

Przypisy

- 1 W 1758 r. Johnson wybudował na południowym brzegu rzeki Mohawk, w pobliżu irokeskiej wsi Canajoharie (koło dzisiejszego Little Falls) fort, który na cześć poległego przyjaciela nazwał Fort Hendrick.
- 2 Niektórzy Czipewejowie oraz Saukowie i Lisy nie zapomnieli Francuzom z Detroit, że w walkach międzyplemiennych w 1712 r. stali po stronie Ottawów oraz ich sprzymierzeńców, Potawatomic i Huronów. W 1746 r. Indianie ci ruszyli na Detroit, które obroniło się tylko dzięki pomocy wojowników Pontiaaka.
- 3 Brytyjczycy pozostawili wtedy na polu bitwy 456 zabitych i 421 rannych, dwie trzecie całego oddziału, a niedobitki uszły z życiem głównie dzięki skutecznej osłonie odwrotu przez dowódcę wojsk kolonialnych z Wirginii, pułkownika Jerzego Waszyngtona. Straty Francuzów i Indian wyniosły tylko 30 zabitych i drugie tyle rannych.

Joseph Brant z plemienia Mohawków

W 1776 roku Joseph Brant, wódz plemienia Mohawków, odwiedził Londyn, gdzie podjęto go z honorami należnymi kapitanowi armii brytyjskiej, przedstawiono na dworze królewskim i goszczono na salonach londyńskiej socjety. Sportretował go nawet jeden z czołowych angielskich artystów tego okresu, George Romney.

W następnym roku, gdy Brant wrócił do domu, amerykańska rewolucja była już w pełnym toku. Po krótkim wahaniu wódz wybrał walkę po stronie Brytyjczyków. Podobnie jak wielu innych, dobrze rozumiał, że zwycięstwo Amerykanów doprowadzi do zniszczenia wszystkich Indian, zaczął więc żarliwie namawiać Mohawków i innych Irokezów, aby się do niego przyłączyli.

Pod jego przywództwem Irokezi spustoszyli pograniczne amerykańskie osiedla w kolonii Nowy Jork. Palili, łupili, torturowali wziętych do niewoli ludzi i siali przerażenie w całym regionie. Do dziś w wielu miejscach stoją pomniki upamiętniające najbardziej krwawe masakry w dolinach Cherry i Wyoming, a z figurujących na nich napisów wynika, że towarzyszący Irokezom Brytyjczycy zachowywali się z jeszcze większą brutalnością niż Indianie.

Joseph Brant (1742–1807), którego irokeskie imię brzmiało Thayendanega, czyli Ten, Który Zakłada Się Dwa Razy, należał do najważniejszych wodzów plemienia Mohawków. Jego ojcem był Tehowaghwengaraghkwin, przywódca klanu Wilków,

a matką nieznaną bliżej Indianka pełnej lub mieszanej krwi. Ponieważ nie pochodziła ona z plemienia Mohawków, będących, jak wszyscy Irokezi społeczeństwem matrylinearnym, Joseph nigdy nie został naczelnym przywódcą swego plemienia, lecz jedynie wodzem wojennym. Nazwisko Brant zawdzięczał drugiemu mężowi matki, Indianinowi zwanemu przez Anglików Nicklausem Brantem, z którym związała się ona po przedwczesnej śmierci pierwszego męża. Joseph wychował się we wsi Canajoharie w dolinie rzeki Mohawk. Jego starsza siostra Molly wyszła za Williama Johnsona, angielskiego kupca i późniejszego komisarza rządowego do spraw Indian, co nie pozostało bez wpływu na postawę i wybory Josepha. Już jako trzynastolatek towarzyszył on szwagrowi w kampaniach przeciwko Francuzom i sprzymierzonym z nimi Indianom, wziął udział w bitwie z baronem Dieskauem nad jeziorem George i wykazał się wielką odwagą w czasie oblężenia fortu Niagara. Z pomocą Johnsona wstąpił do szkoły dla Indian wielebnego Eliazara Wheelocke'a w Lebanon w Connecticut, gdzie zdobył podstawowe wykształcenie i przeszedł na chrześcijaństwo. W 1763 roku, zaraz po ukończeniu szkoły, walczył z powstańcami Pontiaaka. Dwa lata później ożenił się z córką ważnego wodza Oneidów i osiadł w Canajoharie. Dzięki swym talentom, inteligencji, wiedzy, elokwencji i poparciu Anglików wkrótce stał się ich głównym rzecznikiem i około roku 1770 wyrósł na czołową postać Ligi Irokezów.

Okres rządów kolonialnych na pograniczu po powstaniu Pontiaaka charakteryzował się narastającym chaosem, spowodowanym brakiem wypracowanych zasad w kontaktach z Indianami i niekontrolowanym wdzieraniem się na ziemie Indian kupców, osadników i spekulantów w handlu ziemią. Proklamacja królewska z 1763 roku, zakazująca białym osiedlania się na zachód od Appalachów, oraz traktaty

wynegocjowane przez Williama Johnsona w 1764 i 1766 roku nie powstrzymały fali osadnictwa, która szybko przetoczyła się przez Pensylwanię i wschodnie Kentucky, docierając aż do brzegów Ohio. Względny spokój i bezpieczne warunki życia na zachodnim pograniczu po 1765 roku zachęciły kolonistów do poszukiwania nowych terenów pod farmy i pola uprawne. Korzystając z okresu pokoju, biali osadnicy założyli wiele nowych farm i osiedli nad rzeką Monongahelą oraz jej dopływami, a także w dolinie rzeki Ohio, w dzisiejszej zachodniej Pensylwanii. Osiedla te stanowiły coś w rodzaju pierwszej linii obrony, osłaniającej wewnątrz kolonii przed ewentualnymi atakami Indian. Wkrótce napłynęło do nich wielu osadników z różnych części Marylandu, Pensylwanii i Wirginii, powiększając stale rosnącą liczbę białych na pograniczu z krajem Indian.

Licząc na złagodzenie napięcia pomiędzy białymi i plemionami z doliny Ohio, rząd Wielkiej Brytanii postanowił zrewidować dotychczasowe stosunki z Indianami i wynegocjować traktat, który ustanowiłby nową granicę brytyjskiego osadnictwa. Do jego zawarcia doszło 5 listopada 1768 roku w forcie Stanwix, niedaleko dzisiejszego miasta Rome w stanie Nowy Jork, po prawie dwóch tygodniach obrad, które rozpoczęły się 24 października z udziałem ponad trzech tysięcy Indian. Stronę brytyjską reprezentowali William Johnson i George Croghan. Wodzowie Irokezów, w zamian za zagwarantowanie ich praw do ojczystych ziem w zachodniej części obecnego stanu Nowy Jork i obietnicę ustanowienia stałej granicy na rzece Ohio, zgodzili się odstąpić Anglikom rozległe tereny na południe i wschód od rzek Susquehanna i Ohio, o które przez całe dziesięciolecia walczyli z plemionami Algonkinów zamieszkującymi ziemie na zachodzie, aż do rzeki Missisipi. Zdecydowali ponad głowami zachodnich plemion,

powołując się na to, że zdobyli te ziemie zbrojnie w poprzednim stuleciu, a żyjące tam ludy są ich wasalami.

Traktat zawarty w formie Stanwix dał Irokezom złudne poczucie bezpieczeństwa przed ewentualną agresją białych, a Brytyjczykom zapewnił ich neutralność w przyszłych wojnach z Indianami z Ohio. Jednakże główne plemiona tego regionu: Szaunisi, Delawarowie i Mingowie, które jeszcze niedawno walczyły przeciwko Anglii w powstaniu Pontiaaka i nie były stronami układu, poczuły się nim głęboko oburzone. Nie uznały prawa Irokezów, którzy nawet tam nie mieszkali, do cesji tych obszarów na rzecz białych i nie zamierzali z nich zrezygnować.

Zaniepokojony konfliktami na pograniczu William Johnson zorganizował w latach 1770–1773 kilka długich narad z Indianami, ale jego prestiż wśród plemion z doliny Ohio, których ziemie znalazły się w największym niebezpieczeństwie, znacznie osłabł wskutek roli, jaką odegrał on w podpisaniu traktatu ze Stanwix. We wrześniu 1773 roku delegacja Szaunisów ostrzegła go, że przekroczenie przez białych linii rzeki Ohio pociągnie za sobą „niedobre konsekwencje”. Mimo to niedługo potem biali podjęli próby nielegalnego przekraczania tej granicy, co – zgodnie z zapowiedzią – spowodowało pierwsze wyprawy wojenne Indian przeciwko osadnikom w Kentucky.

W latach 1763–1775 rząd brytyjski starał się kontrolować sytuację na pograniczu i zniechęcał kolonistów do migracji na zachód. Ale terytoria zamieszkałe przez nieliczne plemiona Indian i perspektywa ich szybkiego zagospodarowania przyciągały osadników jak magnes. Wybuch wojny i skupienie w początkowym jej okresie wojsk królewskich na wybrzeżu atlantyckim ułatwiły Amerykanom realizację ich planów, ograniczanych dotąd przez irytującą dla nich politykę kolonialną Londynu, powstrzymującego zachodnią migrację.

I w ten oto sposób rewolucja amerykańska na Zachodzie przekształciła się w kolejną wojnę z Indianami.

Wybuch amerykańskiej wojny o niepodległość w 1775 roku całkowicie zmienił nastawienie władz brytyjskich do kwestii Indian. Dotychczasowe wysiłki rządu kolonialnego ukierunkowane na kontrolę plemion i łagodzenie ich niezadowolenia ustąpiły miejsca planowej i ostrożnej akcji pozyskiwania ich do walki ze zbuntowanymi kolonistami. Początkowo jednak Indianie zajęli pozycję wyczekującą i rozsądnie próbowali nie opowiadać się po żadnej ze stron w konflikcie, który wyglądał na „kłótnię rodzinną”. Kiedy jednak działania wojenne nie przynosiły rozstrzygnięcia, przywódcy obu stron zaczęli gorliwiej zabiegać o ich wsparcie, nie szczędząc darów i alkoholu. Przekupstwem i namowami nakłaniali Indian do zerwania pokoju i wstępowania w szeregi oddziałów pomocniczych.

W rezultacie kilka wschodnich plemion poparło patriotów, ale większość włączyła się do walki u boku Brytyjczyków, dla nich bowiem przyjacielem był król angielski, a nie koloniści. To Brytyjczycy tradycyjnie zaopatrywali ich w europejskie towary i zabraniali białym osiedlać się na ich ziemiach. Dotyczyło to także plemion Ligi Irokezów, które na długo przed rewolucją nawiązały z Anglikami bliskie stosunki, oparte na handlu, wojnie, a czasem i więzach małżeńskich. Nic więc dziwnego, że nowy dowódca wojsk brytyjskich w Bostonie, generał Thomas Gage, powiedział: „Indianie dobrze wiedzą, że we wszystkich sporach o ziemię to Korona była zawsze po ich stronie”.

Przez setki lat plemiona Mohawków, Seneków, Kajugów, Onondagów, Oneidów i Tuskarorów – „ludzie długich domów” (*Haudenosaunee*) – jak sami siebie nazywali, zamieszkiwały większość ziem w dzisiejszym stanie Nowy Jork. Ich terytorium obejmowało dolinę rzeki Mohawk i rozległe tereny w jej dorzeczu. Dolina Mohawk stanowiła jednak naturalne wrota

prowadzące na Zachód i wraz z napływem białych nieuchronnie musiała stać się jednym z najważniejszych terenów rywalizacji w całej Ameryce Północnej.

Kiedy nad koloniami brytyjskimi w Ameryce zawisło widmo wojny, Irokezi początkowo zachowali neutralność. Wkrótce jednak wódz Mohawków Joseph Brant został sekretarzem Guya Johnsona, nowego komisarza do spraw Indian, i w 1775 roku wybrał się z nim do Anglii. Po powrocie uległ namowom Anglików i poparł przywódców wojennych Seneków, którzy pierwsi opowiedzieli się po stronie poddanych króla Jerzego. Wspólnie z nimi zaczął przekonywać Irokezów, aby stanęli do walki u boku Brytyjczyków. We wrześniu 1776 roku, po licznych wewnętrznych sporach, plemiona irokeskie zawarły formalne i tajne porozumienie w sprawie sojuszu z Wielką Brytanią. Za Amerykanami opowiedzieli się tylko Oneidowie i część Tuskarorów.

Anglicy szybko zauważyli, że ich indiańscy sojusznicy nie sprawdzają się w wojnie toczonej na wzór europejski i trudno jest nimi kierować. Dlatego po krwawej, nierozstrzygniętej bitwie pod Oriskany w sierpniu 1777 roku i klęsce generała Johna Burgoyne'a pod Saratogą w październiku tego roku postanowili zmienić strategię w regionie. Od roku 1778 zaczęli zachęcać sprzymierzonych z nimi Indian do organizowania wspólnie z brytyjskimi lojalistami niszczycielskich wypraw na pograniczne osady amerykańskie w zachodniej części stanów Pensylwania i Nowy Jork. Najbardziej osławionym oddziałem wspieranym przez indiańskich sojuszników byli zwiadowcy Butlera (*Butler's Rangers*) – pułk partyzancki zorganizowany we wrześniu 1777 roku przez lojalistę z doliny Mohawk podpułkownika Johna Butlera. Działali oni nie tylko na pogranicznych terenach Nowego Jorku i Pensylwanii, lecz także na znacznie szerszym froncie, od Wirginii po Michigan.

Cechowała ich duża efektywność i wielka brutalność, z której słynął zwłaszcza syn dowódcy, kapitan Walter Butler.

W kwietniu 1778 roku Senekowie prowadzeni przez sławnych wodzów Stary Dym i Siewcę Kukurydzy zaczęli atakować osady amerykańskie w górze rzek Allegheny i Susquehanna. Wkrótce do walki ruszyli Mohawkowie Branta i rangersi Butlera. 30 maja Brant, mianowany tymczasem brytyjskim pułkownikiem, na czele dwustu lub trzystu wojowników i lojalistów wybił z zasadzki połowę pięćdziesięcioosobowego oddziału żołnierzy i lokalnych milicjantów kapitana Williama Patricka. Potem zniszczył pograniczną osadę Cobleskill niedaleko Albany, ważny punkt zaopatrzenia dla armii patriotów w stanie Nowy Jork. Na początku czerwca wszystkie grupy połączyły się we wsi Seneków Tioga (dzisiejsze Athens w Pensylwanii) u zbiegu Susquehanny i rzeki Cayuga, na granicy Pensylwanii i stanu Nowy Jork. Stąd Butler i Senekowie wyprawili się na osadników w północno-wschodniej Pensylwanii, a Brant z Mohawkami ruszył przeciwko nowojorskim osiedlom na północy.

1 lipca siły brytyjsko-indiańskie liczące ośmiuset ludzi wkroczyły do żyznej doliny Wyoming nad Susquehanną, odebranej Indianom po wojnie siedmioletniej i zasiedlonej przez osadników z kolonii Connecticut. Jeszcze tego samego dnia zajęły amerykańskie forty Wintermoot i Jenkins na prawym brzegu rzeki, koło dzisiejszej miejscowości Wilkes-Barre. Nazajutrz blisko sześciuset Indian i Brytyjczyków pomaszerowało dalej na południe i zażądało poddania pobliskiej warowni Fortu Fort, gdzie pułkownik Zebulon Butler, czołowy pionier z Connecticut i oficer walczącej z Anglikami Armii Kontynentalnej Jerzego Waszyngtona, zgromadził ponad czterystu ludzi do obrony trzech tysięcy osadników z doliny Wyoming.

3 lipca pułkownik Butler wyprowadził z fortu sześćdziesięciu żołnierzy regularnych i ponad trzystu milicjantów, aby zmierzyć się z przeciwnikiem w polu. Na ten widok Brytyjczycy podpalili forty Jenkins i Wintermoot. Amerykanie, przekonani, że wróg szykuje się do odwrotu, gwałtownie ruszyli do przodu i w pobliżu płonącego fortu Wintermoot wpadli w zasadzkę, zastawioną przez Anglików i Indian. Zaatakowani nagle przez ukrytych w lesie Seneków, wspartych ogniem rangersów Butlera, zostali otoczeni i w panice rzucili się do ucieczki. W ciągu pół godziny bitwa w dolinie Wyoming dobiegła końca i zaczęła się masakra. Indianie odcięli uciekinierom drogę odwrotu do Fortu Fort i zepchnęli ich pod krzyżowy ogień brytyjskich zwiadowców. Do końca dnia żołnierzy i milicjantów Butlera wyłapywano, mordowano i torturowano. Z matni udało się wydostać zaledwie sześćdziesięciu ludziom z dowódcą i jednym z jego zastępców podpułkownikiem Nathanem Dennisonem. Pięciu dostało się do niewoli, a pozostali, z drugim zastępcą Butlera podpułkownikiem George'em Dorrance'em, oddali swoje skalpy zwycięskim Irokezom. Wielu milicjantów „z nadzieją na ucieczkę wskakiwało do Susquehanny tylko po to, aby zginąć od indiańskich włóczy”. Przed świtem ich „szczątki spłynęły w dół rzeki, zanieczyszczając brzegi [...]”. Paru niedobitków ukrytych w zaroślach ze zgrozą i bezsilnością obserwowało w świetle ognisk los swoich towarzyszy. Później tak opisano ich przeżycia:

„[...] Kilku nagich ludzi popędzono wśród płomieni wokół płonącego stosu. Pośród wrzasków i wycia tańczących dzikusów słychać było żalosne jęki i krzyki nieszczęśników, poganianych ostrzami włóczy tak, że ledwo wytrzymywali tę straszną torturę. Ci, którzy na to patrzyli, nie mieli siły, aby im pomóc lub ich pomścić, więc wycofali się z sercami zbolalymi od widoku strasznej orgii, radzi, że nie dostrzegli, kim były ofiary”.

Nazajutrz Amerykanie poddali Forty Fort i dwa inne forty w dolinie. Załogi zwolniono pod warunkiem, że do końca wojny nie wezmą już udziału w walce (oczywiście Amerykanie nie dotrzymani tego warunku i brali potem udział w kolejnych ekspedycjach przeciwko Irokezom). Większość cywilów, którzy schronili się w fortach, także ocalała i po kapitulacji nie doznała krzywdy.

Bitwa w dolinie Wyoming, nazywana niekiedy „przekraczającym wyobrażenie horrorem amerykańskiej rewolucji”, kosztowała rangersów Butlera i Irokezów zaledwie jedenastu zabitych i rannych. Nagrodą dla Indian były krwawe skalpy podpułkownika Dorrance’a oraz dwustu dwudziestu sześciu mężczyzn, chłopców, kobiet i dzieci, którzy zginęli razem z nim. Napastnicy spalili tysiąc domów i uprowadzili tysiąc sztuk bydła, nie licząc owiec i świń. Ciała ofiar masakry leżały niepogrzebane przez kilka miesięcy. Dopiero 22 października ich szczątki zebrano i pochowano we wspólnym grobie. Zanim jednak do tego doszło, 24 września pułkownik Thomas Hartley poprowadził odwetową wyprawę dwustu żołnierzy kontynentalnych przeciwko Indianom, niszcząc dziesięć osiedli Seneków, Kajugów i Delawarów nad Susquehanną w północno-wschodniej Pensylwanii, w tym bazę wypadową w wiosce Tioga. Jednocześnie gubernator Nowego Jorku George Clinton zorganizował serię najazdów na wioski Irokezów w dolinie górnej Susquehanny na pograniczu Nowego Jorku. A na początku października żołnierze kontynentalni i milicjanci pułkownika Williama Butlera zniszczyli wioski Irokezów Unadilla i Onaquaga, które były bazą Josepha Branta do wypadów na nowojorskie osady.

Odpowiedź Irokezów i lojalistów na wyprawy Hartleya i Clintona była szybka i zdecydowana, a sytuacja stała się krytyczna w listopadzie. Wtedy to lojalistyczni rangersi Waltera Butlera oraz trzystu dwudziestu Irokezów prowadzonych przez

Siewcę Kukurydzy i Josepha Branta okrutnie spustoszyli gęsto zaludnioną dolinę Cherry w stanie Nowy Jork. 11 listopada w wyniku ich ataków zginęło tam pięćdziesięciu żołnierzy i osadników, osiemdziesiąt osób wzięto do niewoli, a ponad dwieście pozbawiono dachu nad głową. Kapitan Benjamin Warren, który wieczorem tego dnia przybył z oddziałem żołnierzy na miejsce tragedii, napisał później: „Moje oczy nigdy wcześniej nie oglądały tak szokującego obrazu dzikości i barbarzyńskiej brutalności”. Po spustoszeniu doliny Cherry Joseph Brant stał się najbardziej znienawidzonym wrogiem Amerykanów. Patrioci przezwali go „potworem Brantem” (*Monster Brant*), chociaż wiele wskazuje na to, że inspiratorem dokonanych tam aktów barbarzyństwa był okrutny Walter Butler, a sam Brant często okazywał miłosierdzie pokonanym i starał się ocalić życie jeńcom. „Masakra w dolinie Wiśniowego Potoku” ostatecznie przekonała generała Waszyngtona, że dalsze ataki może powstrzymać tylko zdecydowana akcja, która raz na zawsze złamie siłę bojową Sześciu Narodów.

Od początku 1779 roku Waszyngton pracował w swojej kwaterze w New Jersey nad planem odwetowego uderzenia na terytorium Irokezów. Za radą zaufanego doradcy generała Nathaniela Greene’a zaplanował operację na początek lata, w czasie najmniej dogodnym dla Indian. „Żeby ich [Indian] porządnie ukarać – radził Greene – trzeba wysłać do ich kraju odpowiednio dużo ludzi, którzy pójną różnymi drogami w porze, kiedy ich kukurydza jest w połowie dojrzała, najlepiej w czerwcu”. Początkowo Waszyngton zamierzał powierzyć dowództwo ekspedycji doświadczonemu generałowi Horatio Gatesowi, ale ten zřęcznie odmówił: „Człowiek, który staje do walki z Indianami, musi być silny i młody, a ja tych przymiotów nie mam”. W tej sytuacji Waszyngton postawił na młodego i energicznego generała Johna Sullivana z New Hampshire.

Zgodnie z radą Greene'a atak na siedziby Irokezów w zachodniej części Nowego Jorku miał nastąpić z kilku kierunków. Do udziału w kampanii Waszyngton przeznaczył łącznie ponad pięć tysięcy ludzi, w tym cztery i pół tysiąca żołnierzy regularnych. Wojsko podzielono na cztery brygady. Pierwszą, złożoną z żołnierzy z New Hampshire i Massachusetts, dowodził generał Enoch Poor. Sullivan określił ich jako „samych strzelców wyborowych przyzwyczajonych do indiańskiego sposobu walki”. Na czele brygady z New Jersey stanął generał William Maxwell, a lekką brygadę z Pensylwanii podporządkowano generałowi Edwardowi Handowi. Czwartą brygadę, generała Jamesa Clintona, tworzyli żołnierze z Nowego Jorku. Oprócz wojsk kontynentalnych Sullivan miał do dyspozycji dziesięć dział, kompanię ochotników z Wirginii, oddział milicji z Pensylwanii i niewielką grupę irokeskich zwiadowców z plemienia Oneidów.

Plan operacji był prosty. Przewidywał, co następuje: Generał Sullivan prowadzi trzy tysiące ludzi na północ wzdłuż rzeki Susquehanna do wioski Tioga na granicy Pensylwanii z Nowym Jorkiem. Tam dołącza do niego brygada generała Clintona, która wychodzi z rodzinnej wsi Josepha Branta w Canajoharie nad rzeką Mohawk, oraz oddział dwustu ludzi podpułkownika Alberta Pawlinga z doliny rzeki Hudson. Połączone siły Sullivana, Clintona i Pawlinga ruszają do serca krainy Irokezów w środkowej części stanu Nowy Jork. Po spustoszeniu ziem Sześciu Narodów uderzają na brytyjski fort Niagara, aby zyskać dla Armii Kontynentalnej silną bazę nad jeziorem Ontario. W tym czasie dowódca amerykańskich sił na Zachodzie pułkownik Daniel Brodhead prowadzi z fortu Pitt oddział sześciuset ludzi do kraju wrogich Delawarów i Seneków w północno-zachodniej Pensylwanii i południowo-zachodniej części stanu Nowy Jork. Dla ukarania Irokezów wojsko niszczy

przede wszystkim ich domy i zapasy żywności, a nie samych ludzi. Waszyngton tak o tym pisał w maju 1779 roku:

„Głównym celem wypraw będzie poskromienie i zastraszenie wrogich plemion, podniesienie na duchu i dodanie odwagi plemionom nam przyjaznym oraz uwolnienie naszych granic od niszczycielskich najazdów, na które w przeciwnym razie będą narażone. Dlatego trzeba przenieść wojnę do serca kraju Sześciu Narodów, zrównać z ziemią ich osiedla, zniszczyć ich przyszłoroczne zasiewy i uczynić im tyle innej szkody, na ile pozwolą czas i okoliczności”.

Pozbawiając plemiona Irokezów podstaw egzystencji, Waszyngton zamierzał osłabić ich sojusz z Koroną brytyjską i samych Anglików. Liczył na to, że większość bezdomnych i głodnych Irokezów ucieknie do najbliższych placówek brytyjskich, zwłaszcza do fortów Niagara i Oswego nad jeziorami Ontario i Erie, dysponujących bardzo ograniczonymi zapasami żywności. W ten sposób chciał za jednym zamachem pozbawić Brytyjczyków ich indiańskich sojuszników oraz zasiać zamęt w angielskich bazach na granicy z Pensylwanią i stanem Nowy Jork. Wysyłając Sullivana przeciwko Irokezom, ostrzegł go, aby nie przyjmował żadnych propozycji pokojowych, „dopóki nie porazi ich terrorem i całkowicie nie zniszczy ich osad”.

Na początku maja Sullivan przybył do Easton we wschodniej Pensylwanii, gdzie założył swoją kwaterę. W ramach energicznych przygotowań do ekspedycji wysłał przodem część sił, żeby wybudowały drogę leśną do nowej bazy w dolinie Wyoming. 18 czerwca trzyipółtysięczna armia amerykańska wyruszyła z Easton na północny zachód i po sześciu dniach trudnego marszu przez lasy i moczary wschodniej Pensylwanii dotarła do odległego o ponad sto kilometrów Wyomingu. Tam okazało się jednak, że z braku dostatecznych zapasów żywności i wyposażenia termin rozpoczęcia wyprawy trzeba przesunąć.

Ponaglany ostro przez Waszyngtona, Sullivan ostatecznie wyruszył z Wyomingu dopiero 31 lipca. Artylerię i ciężkie zaopatrzenie przewieziono łodziami do punktu koncentracji w wiosce Tioga, a pozostałe zapasy załadowano na tysiąc dwieście jucznych koni. Sullivan z brygadami Poora, Handa i Maxwella pomaszerował starym indiańskim szlakiem w górę Susquehanny długą na prawie dziesięć kilometrów kolumną, którą zwiadowcy Irokezów porównali do „długiego niebieskiego węża”. 11 sierpnia, po przejściu stu trzydziestu kilometrów brzegiem krętej rzeki, armia Sullivana przybyła do Tiogi. Tam 22 sierpnia doszło do jej połączenia z brygadą Clintona, która spłynęła na jezioro Otsego potężną flotyllą dwustu dwudziestu łodzi z góry rzeki Susquehanna. W wyznaczonym miejscu spotkania w dawnej wsi Irokezów Onaquaga (dzisiejsze Windsor w stanie Nowy Jork) nie pojawił się tylko oddział Pawlinga. 26 sierpnia, dwa miesiące po planowanym terminie, armia Sullivana ruszyła na północ, rozpoczynając właściwą kampanię przeciwko Irokezom.

Początkowo Brytyjczycy w Kanadzie nie wierzyli, że Amerykanie zgromadzili armię żołnierzy kontynentalnych do wyprawy na terytorium Irokezów, i nie podjęli żadnych przygotowań obronnych. Kiedy w końcu zdali sobie sprawę z niebezpieczeństwa i posłali po posiłki, było już za późno. Dowódca brytyjskich lojalistów pułkownik John Butler zdołał zebrać tylko trzystu prowincjonalnych rangersów i czterystu Irokezów pod wodzą Josepha Branta. Dysponując tak nielicznymi siłami, zamierzał prowadzić typową wojnę partyzancką, szarpiąc i niepokojąc amerykańską kolumnę, ale wielu Indian domagało się stawienia przeciwnikowi czoła w bezpośrednim starciu.

Wojsko Sullivana szło marszem ubezpieczonym, którego organizacja zaskoczyła nawet Brytyjczyków. Pułkownik Butler pisał do fortu Niagara, że wbrew początkowym informacjom

ma przed sobą nie słabo wyszkoloną milicję, ale „najlepsze oddziały wojsk kontynentalnych, dowodzone przez doświadczonych rebelianckich generałów”. Mimo wielokrotnej przewagi wroga Butler i Brant zdecydowali się stawić opór żołnierzom Sullivana z dobrze przygotowanej zasadzki na wąskiej nadrzecznej drodze w pobliżu indiańskiej wsi Newtown niedaleko dzisiejszego miasta Elmira i osłabić ich morale, zanim wkroczą głębiej do kraju Irokezów.

Na nieszczęście dla Brytyjczyków i Irokezów rankiem 29 sierpnia zwiadowcy amerykańscy odkryli starannie ukrytą w lesie linię umocnień Butlera na przedpolu Newtown. W południe generał Sullivan wysłał brygady Clintona, Maxwella i Poora z zadaniem oskrzydlenia przeciwnika, a następnie związania go ogniem artylerii i natarciem brygady Handa od czoła. Początkowo Amerykanie napotkali silny opór, ale ogień dział i śmiały atak na bagnety zmusiły obrońców do opuszczenia pozycji i szybkiej ucieczki na północ. Większość ludzi Butlera i Branta zdołała wymknąć się z pułapki, zanim Sullivan zdążył zamknąć pierścień okrążenia. Straty po stronie Indian i Brytyjczyków wyniosły trzydziestu pięciu zabitych, rannych i jeńców. Amerykanów poległo jedenastu, a około trzydziestu zostało rannych. Bitwa pod Newtown okazała się jedynym większym starciem w całej kampanii. Amerykański historyk Allan W. Eckert tak o niej napisał:

„W porównaniu z innymi bitwa pod Newtown nie była szczególnie krwawa, ale bez wątpienia należała do szczególnie ważnych. Złamała kręgosłup Ligi Irokezów i osłabiła serca ludzi Sześciu Narodów”.

Od tej pory żołnierze Sullivana toczyli tylko drobne potyczki w marszu na zachód, niszcząc wszystkie opuszczone wioski Irokezów, jakie napotykali na swej drodze. Pułkownik Butler próbował zebrać Indian i jeszcze raz stanąć do walki w obronie dużej wsi Seneków Kanadesaga (dzisiejsza Geneva), bazy

lojalistycznych oddziałów, ale Irokezi byli już tak zdemoralizowani, że nie chcieli walczyć i myśleli tylko o zapewnieniu bezpieczeństwa swoim rodzinom. W połowie września Sullivan dotarł do rzeki Genesee, gdzie jeden z jego oddziałów zwiadowczych wpadł w zasadzkę i został doszczętnie zniszczony. Dowódca oddziału porucznik Thomas Boyd i dwudziestu sześciu jego ludzi byli właściwie jedynymi ofiarami drugiego etapu kampanii. 15 września, po zniszczeniu stu trzydziestu domów oraz znacznych zapasów kukurydzy i fasoli na wschodnim brzegu rzeki, Sullivan przerwał marsz i zawrócił na wschód. W drodze powrotnej rozdzielił swoje siły na kilka mniejszych kolumn, które zgodnie z taktyką spalonej ziemi metodycznie niszczyły kolejne wioski oraz sady i pola uprawne Indian. Przed końcem września wszystkie kolumny połączyły się i cała armia powróciła bezpiecznie do Wyomingu. 30 września ekspedycja dobiegła końca.

Sullivan uznał swoją wyprawę za wielki sukces. Chełpił się, że „w poszukiwaniu siedzib Indian przeszukał każdy strumień, każdą rzekę i cały kraj, nie zostawiając w kraju Irokezów ani jednej całej wioski”. Stracił tylko czterdziestu ludzi, a spalił ponad czterdzieści indiańskich wsi i zniszczył ogromne ilości kukurydzy oraz innej żywności. Do 21 września przeszło pięć tysięcy indiańskich uchodźców zbiegło do fortu Niagara, gdzie zgodnie z przewidywaniami Waszyngtona Brytyjczycy mieli poważny problem, jak ich przez zimę wyżywić.

Podobnie jak Sullivan w Wyomingu, z brakami zaopatrzenia borykał się w forcie Pitt pułkownik Brodhead. Z tego powodu Waszyngton rozważał nawet odwołanie wyprawy. Ostatecznie jednak 21 lipca zdecydował się na podjęcie akcji, którą określił jako „dywersyjną” pomoc dla ekspedycji Sullivana i Clintona. Uzyskawszy zgodę, Brodhead zadziałał szybko i zdecydowanie. 11 sierpnia wyruszył z fortu Pitt w górę rzeki Allegheny, mając ze sobą sześćdziesiąt łodzi z zaopatrzeniem, ponad dwieście

jucznych koni oraz sześciuset żołnierzy regularnych i pensylwańskich milicjantów, zwabionych obietnicą udziału w łupach. Wyprawie towarzyszyło kilkudziesięciu delawarskich zwiadowców, których prowadzili kapitan Samuel Brady i porucznik John Hardin w indiańskich strojach i barwach wojennych.

W drodze na północ przednia straż pod wodzą Hardina stoczyła w pobliżu wsi Delawarów Buckaloons w górze rzeki Allegheny ostrą potyczkę z grupą trzydziestu myśliwych z plemienia zachodnich Seneków wodza Czerwone Oko. Walka trwała zaledwie dziesięć minut i zakończyła się szybkim odwrotem Indian, którzy stracili ponoć pięciu wojowników. Anonimowy świadek napisał później, że Hardin ruszył do walki, ustawiając swoich ludzi „w półkolistą linię i rozpoczął atak z tak niepowstrzymaną furją, z tomahawkiem w ręku, że dzikusy nie wytrzymały długo tej szarży i uciekły w najwyższym przerażeniu i pośpiechu”. Starcie to, do którego doszło 18 sierpnia, jest nazywane w historii wojny rewolucyjnej bitwą na Wyspie Thompsona, od nazwy niewielkiej wyspy na Allegheny.

Po tej chaotycznej potyczce Brodhead powędrował dalej na północ i wkroczył do kraju Seneków z zamiarem zniszczenia ich siedzib w zespole siedmiu wiosek Yoghroonwago w górze Allegheny. Większość wojowników wyruszyła na wojnę z Sullivanem, a pozostali mieszkańcy nawet nie podjęli walki, więc ludzie Brodheada bez przeszkód spalili ponad sto domów, niektóre tak duże, że mogły pomieścić trzy albo cztery rodziny, zniszczyli też wiele pól kukurydzy, o której pułkownik napisał z podziwem: „Nigdy nie widziałem bardziej dorodnej kukurydzy, chociaż była posiana rzadziej, niż zwykli to czynić nasi farmerzy”. W planie ekspedycji było połączenie się z oddziałami Sullivana i Clintona, a następnie wspólne uderzenie na fort Niagara, ale Brodhead uznał, że dalsza droga

przez wrogi kraj Irokezów jest zbyt niebezpieczna. Jego ludzie w ciągu trzech dni splądrowali wioski Seneków i 14 września, po załadowaniu bogatej zdobyczy, wrócili do fortu Pitt. Łupy z wyprawy w postaci skór, koni, bydła i kukurydzy sprzedali z zyskiem w Pittsburghu za ponad trzydzieści tysięcy dolarów. Oceniając udział Brodheada w wojnie z Irokezami, Waszyngton napisał w rozkazie generalnym z 18 października 1779 roku:

„Aktywność, wytrwałość i stanowczość, które cechowały działania pułkownika Brodheada oraz wszystkich oficerów i żołnierzy biorących udział w tej ekspedycji, przynoszą im najwyższy zaszczyt, a ich służba uprawnia do szczególnych podziękowań, czego świadectwem niech będą powyższe słowa uznania naczelnego dowódcy”.

W wyniku niszczyielskiej kampanii Brodheada na obszarze od doliny Mohawk do dzikich ostępów krainy Ohio uległy całkowitemu zniszczeniu pozostałości kultury zachodnich Seneków.

Wprawdzie amerykańskie wyprawy z 1779 roku nie złamały zdolności plemion indiańskich do prowadzenia wojny, ale poważnie osłabiły potęgę Ligi Irokezów. Niemniej dały zachodniemu pograniczu moment wytchnienia. Ataki Indian na tym obszarze ustały, lecz w ciągu roku Irokezi okrzepli i wznowili napady. Jak to określił uczestnik wyprawy Sullivana major Jeremiah Frogg: „Gniazda zostały zniszczone, ale ptaszki wciąż latają”. Wiosną 1780 roku setki wojowników Siewcy Kukurydzy i Josepha Branta oraz rangersów Butlera najechały pograniczne osiedla, w tym także po raz drugi nieszczęsną dolinę Cherry. W ich wyniku strona amerykańska utraciła dziesiątki ludzi, dwa tysiące domów i zabudowań gospodarczych oraz tony zboża. Sami Irokezi „pojмали czternaście rebelianckich oficerów i trzystu szesnastu żołnierzy, zniszczyli siedemset czternaście domów i spichlerzy wypełnionych ziarnem, sześć małych fortów i kilkanaście

młynów, które zapewniały rebeliantom bardzo wygodne zaopatrzenie”. Podobne ataki podejmowane na zachodzie przy wsparciu garnizonów brytyjskich trwały prawie do końca wojny. Dopiero traktat pokojowy zawarty w Paryżu w 1783 roku uwolnił Stany Zjednoczone od irokeskiego zagrożenia.

Jak zauważa amerykański historyk Alvin M. Josephy, za wierność sprawie Wielkiej Brytanii Irokezom odpłacono tylko zdradą i zniewagami. Brytyjczycy, „okazując im zupełne lekceważenie, przekazali prawo do ich ziemi Stanom Zjednoczonym”. Nawet ci Irokezi, którzy poparli kolonistów, a nie Brytyjczyków, „padli ofiarą zachłannych towarzystw i spekulantów handlujących gruntem oraz samego rządu amerykańskiego”. W 1784 roku, podczas rokowań pokojowych w forcie Stanwix, James Duane, były przedstawiciel Komisji do spraw Indian przy Kongresie Kontynentalnym, zalecił komisarzom rządowym, aby „świadomie poniżali Irokezów, pozbawiając ich w ten sposób resztki wiary w siebie”. Te aroganckie, pełne pogardy zalecenia gorliwie wcielano w życie. Część Irokezów wzięto jako zakładników i prowadzono z nimi „negocjacje” pod lufami muszkietów. Plemiona, które dotąd uważały się za niezwyciężone, musiały oddać całą swoją ziemię na zachód od stanów Nowy Jork i Pensylwania i przenieść się do niewielkiego rezerwatu w stanie Nowy Jork. Cesja większości terytorium rozwiązała marzenia Ligi Sześciu Narodów o scaleniu plemion w jeden organizm.

Podobną taktykę stosowano w odniesieniu do większości plemion indiańskich. Jak podaje Josephy, amerykańscy urzędnicy „usiłujący zagarnąć ziemię ludów zamieszkujących Ohio, między innymi Delawarów, Wyandotów, Ottawów, Czipewejów i Szaunisów, posługiwali się łapownictwem, groźbami, alkoholem oraz intrygami wysłanników pozbawionych uprawnień”. Nic więc dziwnego, że Indianie

przestali wkrótce wierzyć białemu człowiekowi i jego czczym obietnicom.

Kiedy w końcu między Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi zapanował pokój, Josephowi Brantowi pozwolono zatrzymać stopień pułkownika nieregularnych formacji angielskich oraz połowę zwykłej pensji oficerskiej, obliczanej na pięćset funtów rocznie. Wraz ze swoimi Mohawkami i innymi Irokezami osiedlił się on we wsi Anaquaqua, na przyznanej mu przez króla Jerzego ziemi nad rzeką Grand w kanadyjskiej prowincji Ontario. Żył do śmierci w powstałym tam rezerwacie Sześciu Narodów jako niekwestionowany przywódca Irokezów. Na arenie politycznej pojawił się po raz ostatni w 1793 roku, kiedy na prośbę Jerzego Waszyngtona pośredniczył w pokojowych rozmowach Miamisów z Amerykanami. Na starość strasznie się rozpił i wycieńczony przewlekłą chorobą oraz alkoholem, zmarł 24 listopada 1807 roku. Pochowano go koło kościółka, który wybudował na terenie swojej siedziby w dzisiejszym Burlington, na zachodnim brzegu jeziora Ontario. W 1850 roku jego szczątki przeniesiono uroczyście do grobowca w kaplicy Mohawków w Brantford. W 1886 roku przetopiono trzynaście dział z brązu – prezent od rządu kanadyjskiego – i z otrzymanego stopu wzniesiono wodzowi okazały pomnik na głównym placu miasta.

Daniel Boone, pionier z Kentucky

W roku 1775 Daniel Boone i grupa trzydziestu jego towarzyszy wyrąbała i oczyściła drogę górską przez Appalachy. Pokonawszy przełęcz Cumberland, naturalne przejście przez to pasmo, wędrowcy wyszli na wyżynę, skąd rozpościerał się widok na dolinę Kentucky, pełną jeleni, niedźwiedzi i dzikiego ptactwa. Ludziom, którzy widzieli to bogactwo natury, rzeczywistość wydała się rajem, o którym od dawna śnili.

Wyprawa Boone'a była jego drugą próbą zasiedlenia dziewiczych terenów Kentucky, gdzie dotychczas nie zapuścił korzeni żaden inny biały. Dwa lata wcześniej słynny odkrywca poprowadził do tej krainy pierwszą grupę pionierów, ale gdy wskutek ataku Indian z plemienia Czirokezów zginęło kilku jego ludzi, przerażona reszta czym prędzej czmychnęła. Jednakże głód ziemi trawiącej ludzi na wschód od Appalachów był nie do pokonania i wkrótce Boone powiodł na zachód następną grupę śmiałków.

A zaczęło się tak: w maju 1769 roku nieznanemu szerzej myśliwy z doliny Yadkin w Pensylwanii Daniel Boone razem z czterema towarzyszami i starym traperem Johnem Finleyem jako przewodnikiem przekroczył słynną przełęcz Cumberland we wschodnim Kentucky i podążył dalej na zachód, do krainy, w której tylko raz przed nim stanęła stopa białego człowieka. Cztery lata później, we wrześniu 1773 roku, Boone poprowadził w głąb Kentucky pierwszą grupę osadników. W tym czasie najmował się jako przewodnik różnych grup mierniczych, które

zmierzały do Kentucky. Podczas jednej z takich wypraw dotarł do ujścia rzeki Kentucky i spenetrował całą krainę, aż do malowniczych progów wodnych na rzece Ohio, w miejscu gdzie dziś leży miasto Louisville. Nad strumieniem Big Spring zbudował chatę, a już w czerwcu 1774 roku inny pionier z Pensylwanii, James Harrod, wraz z grupą trzydziestu siedmiu osób przybyłych znaną Monongaheli założył w jej pobliżu ufortyfikowaną osadę Harrodstown (obecnie Harrodsburg).

10 października 1773 roku, wkrótce po przybyciu Boone'a i jego ludzi do doliny Powella w Kentucky, zaalarmowani nadejściem białych Szaunisi i Czirokezi napadli na kolumnę osadników. Zabili sześć osób i rozpędzili bydło przybyszów. Tego dnia Boone stracił najstarszego syna, siedemnastoletniego Jamesa. Ranny chłopak trafił do indiańskiej niewoli i został zamordowany razem ze swoim przyjacielem Henrym Russellem po wymyślnych torturach ku przestrodze niechcianych białych intruzów. Wieść o tym okrutnym czynie rozniosła się po całym pograniczu i spowodowała, że większość przestraszonych i pozbawionych zapasów ludzi z grupy Boone'a, w obawie o bezpieczeństwo kobiet i dzieci, wycofała się z Kentucky na zamieszkałe tereny w Tennessee.

Ośmieleni sukcesem Indianie postanowili kontrolować drogę, którą przybyła grupa Boone'a, aby powstrzymać każdą następną próbę wtargnięcia białych na ich ziemie. Ale gdy skupili uwagę na tym jednym szlaku, osadnicy odkryli inne drogi prowadzące do Kentucky z różnych kierunków. Część z nich, w nadziei na obiecane przydziały ziemi na Zachodzie, jesienią 1773 roku przybyła do fortu Pitt. Niektórzy zaczęli penetrować dolinę Ohio aż do wodospadów w Louisville, a stamtąd ruszali dalej w poszukiwaniu odpowiednich terenów pod osadnictwo. W odpowiedzi na to rząd brytyjski wydał 10 marca 1774 roku kolejną proklamację, zabraniającą nielegalnego osadnictwa na Zachodzie i potwierdzającą

wyłączne prawo Indian do kraju na północ od Ohio. Ogłosił także, że wszystkie zakupy indiańskiej ziemi dokonane po roku 1763 bez sankcji królewskiej będą traktowane jako „oszukańcze i nieważne”.

Jakiegokolwiek były intencje władz brytyjskich, nie zahamowały one migracji na Zachód i nie zapobiegły wybuchowi nowej wojny. Śmierć syna Boone'a i jego pięciu towarzyszy była właściwym wstępem do tak zwanej wojny lorda Dunmore'a, nazwanej tak dla upamiętnienia ostatniego brytyjskiego gubernatora Wirginii Johna Murraya, 4. lorda Dunmore, który popierał osadnictwo na Zachodzie i zorganizował kilka ekspedycji przeciwko Indianom z doliny Ohio. Daniel Boone, który po ataku Indian w dolinie Powella spędził wraz z rodziną zimę nad rzeką Clinch, zaledwie sześćdziesiąt pięć kilometrów od miejsca tragedii, awansowany na oficera milicji, wziął w niej aktywny udział, żeby zemścić się za śmierć syna.

Wojna wybuchła wiosną 1774 roku. Zapoczątkowała ją 27 kwietnia potyczka grupy mierniczych i spekulantów ziemskich z Indianami nad strumieniem Pipe, dopływem rzeki Ohio, sto sześćdziesiąt kilometrów poniżej Pittsburgha. Koloniści prowadzeni przez wybitnego pioniera kapitana Michaela Cresapa, kupca i szefa zespołu mierniczych z fortu Redstone nad Monangahelą (dzisiejsze Brownsville w Pensylwanii), zabili dwóch Szaunisów, którzy próbowali im przeszkodzić w pracach nad wytyczaniem nowych działek dla osadników. 30 kwietnia grupa trzydziestu dwóch kolonistów z Wirginii pod przywództwem niejakiego Daniela Greathouse'a z zimną krwią zamordowała kilkunastu Indian z obozu popularnego wodza Mingów, Logana. Indianie ci przyплыnęli z wizytą handlową do tawerny białego kupca Joshui Bakera niedaleko dzisiejszego Steubenville w Ohio, osiemdziesiąt kilometrów w górę rzeki. Biali prawdopodobnie najpierw upoiли swoje ofiary alkoholem,

a potem je zastrzelili. Ciała zamordowanych wrzucili do kanu i puścili z prądem rzeki. Wśród zabitych byli: brat Logana, jego żona, brzemienna córka i dziesięciu innych członków rodziny wodza. Nieobecny przy tym Logan odpowiedzialnością za zbrodnię obarczył znanego z wrogości wobec Indian kapitana Cresapa.

Morderstwa Indian w tym regionie zdarzały się już wcześniej, w okresie względnego spokoju, jaki nastąpił po roku 1765, ale z reguły dotyczyły pojedynczych osób i kończyły się zazwyczaj wypłaceniem odszkodowania przez władze Wirginii oraz symboliczną karą dla sprawców. Niekiedy Indianie mścili się na niewinnych osadnikach, na przykład w czerwcu 1772 roku nad rzeką Elk Szaunisi zamordowali żonę i siedmioro dzieci Adama Strouda. Wydarzenie to odbiło się szerokim echem na całym pograniczu i wywołało akcję odwetową kolonistów. W jej wyniku bezlitośnie wymordowano pięć indiańskich rodzin w wiosce Bulltown nad rzeką Mała Kanawha.

Bezmyślne zabójstwo Mingów z grupy Logana rozpałiło żądzę zemsty w sercach Indian z Ohio, podsycaną przez brytyjskich emisariuszy i kanadyjskich kupców. Wpływowi wodzowie tego regionu, tacy jak przywódca Szaunisów Kaczan Kukurydzy, nazywany przez białych Cornstalkiem, naczelnik Delawarów Białe Oczy oraz przewodzący zachodnim Senekom słynny Guyasuta, próbowali powstrzymać wybuch wojny, ale zgodnie z indiańską tradycją Logan miał prawo do zemsty. Delawarowie pozostający pod wpływem głoszących pokój białych misjonarzy w większości zachowali neutralność, lecz małe oddziały Mingów, Wyandotów, Seneków i Szaunisów, którzy solidarnie ujęli się za Loganem, w odwecie zaczęły atakować pograniczne farmy i osiedla kolonistów w zachodniej Pensylwanii. Podobno sam tylko Logan zabił i oskalpował trzynastu białych, mszcząc się w ten sposób za śmierć swoich

bliskich. W rezultacie wielu osadników uciekło w głąb kraju, część schroniła się w fortach Pitt i Redstone, a jeszcze inni w obawie przed Indianami zamknęli się w umocnionych blokhauzach i tymczasowych fortecach, przezornie wybudowanych przed nastaniem wojny.

Wśród bojowo nastawionych Indian znaleźli się także Senekowie, co zaniepokoiło sir Williama Johnsona. Aby zapobiec zaangażowaniu się w konflikt pozostałych Irokezów, zorganizował on w lipcu 1774 roku w Johnson Hall wielką naradę z udziałem przedstawicieli Sześciu Narodów. 11 lipca, po wygłoszeniu długiej, czterogodzinnej przemowy, która miała wyciszyć wojownicze nastroje wśród zaproszonych gości i zagwarantować ich neutralność w wojnie, sir William doznał niespodziewanie udaru mózgu i zmarł. Wieści o śmierci brytyjskiego pełnomocnika rozeszły się po całym indiańskim świecie i wywołały powszechny lament. 13 lipca w jego pogrzebie, uznanym za wydarzenie dekady, uczestniczyło ponad dwa tysiące osób, w tym wielu Indian. Nazajutrz wodzowie Irokezów odprawili własne ceremonie pogrzebowe, a następcą Johnsona ogłosili jego asystenta i zarazem zięcia, Guya Johnsona. Wiele jednak wskazuje na to, że na krótko przed śmiercią sir William użył wszelkich wpływów, aby nakłonić Mohawków do wyboru na wojennego wodza plemienia swego szwagra Josepha Branta. Potwierdza to obecność Branta w wielkiej naradzie we wsi Onondagów w październiku 1774 roku, gdzie jako „oczy i uszy” Guya Johnsona starał się on zacieśnić związki Irokezów z interesami Korony brytyjskiej i nakłonić ich do odrzucenia prośby Szaunisów, którzy za pośrednictwem Seneków i Kajugów zwrócili się do Sześciu Narodów o pomoc w wojnie z białymi.

Na wieść o napadach Indian latem 1774 roku gubernator Dunmore postanowił wspólnie z komendantem fortu Pitt majorem Johnem Connolym zorganizować ekspedycję

przeciwko Mingom i Szaunisom, z zamiarem ostatecznego usunięcia Indian z terenów leżących na południe i wschód od rzeki Ohio. Wojska ekspedycyjne liczące dwa tysiące czterystu ludzi, złożone głównie z ochotników i milicji z zachodnich rejonów Wirginii oraz z okolic Pittsburgha, zostały podzielone na dwie dywizje. Na czele dywizji północnej, sformowanej w czerwcu–lipcu w forcie Pitt, stanął sam lord Dunmore, a południową dowodził pułkownik Andrew Lewis. Obie dywizje, idąc różnymi drogami z fortu Pitt oraz z Camp Union (dzisiejszy Lewisburg w Wirginii Zachodniej), miały się połączyć u ujścia rzeki Wielka Kanawha, a następnie spenetrować kraj na północ i zachód od rzeki Ohio w celu zniszczenia wszystkich napotkanych wiosek Indian.

W końcu sierpnia oddział czterystu milicjantów z Pensylwanii pod wodzą majora Angusa McDonalda, zebrany w Fort Henry w Wheeling nad Ohio, na południowy zachód od Pittsburgha, jako pierwszy wkroczył do krainy Ohio i spalił wioskę Szaunisów Wapatomica oraz kilka opuszczonych siedlisk Mingów nad rzeką Muskingum. 11 września ruszyła z Camp Union w dół Ohio dywizja Andrew Lewisa w sile tysiąca stu ludzi, złożona z dwóch pułków pod komendą Williama Fleminga i Charlesa Lewisa oraz samodzielnej kompanii ochotników pułkownika Johna Fielda. Przy ujściu Wielkiej Kanawhy miała ona wybudować fort, z którego połączone siły Dunmore'a planowały zaatakować wioski Szaunisów na zachodnim brzegu Ohio. Lewis dotarł na miejsce zbiórki 6 października, ale zamiast spóźnionej dywizji Dunmore'a czekały tam na niego rozkazy gubernatora przywiezione przez młodego zwiadowcę z Wirginii Simona Kentona. Zgodnie z nimi dywizja Lewisa miała samodzielnie zaatakować wioski Szaunisów na drugim brzegu rzeki. Trzy dni później pułkownik rozpoczął przygotowania do przeprawy przez Ohio.

Na wschodni brzeg Ohio przeprawił się także Kaczan Kukurydzy, który zrezygnował z prób pokojowego uregulowania konfliktu po wkroczeniu białych żołnierzy do doliny tej rzeki. Prowadził ze sobą ośmiuset wojowników, głównie Szaunisów, wspieranych przez Delawarów pod wodzą Czerwonego Jastrzębia, Mingów z wodzem Scoppathusem oraz Wyandotów z Chiyawee. Obie wrogie siły spotkały się 10 października przy ujściu Wielkiej Kanawhy na półwyspie Point Pleasant. Plan Indian był prosty. Zamierzali zamknąć żołnierzy Lewisa w widłach Ohio i Wielkiej Kanawhy, zepchnąć ich do wody i tam dobić. Biali nie dali się jednak zaskoczyć. Po całodniowym boju, w czasie którego Kaczan Kukurydzy wielokrotnie zagrzewał swych wojowników do walki gromkim okrzykiem: „Bądźcie silni! Bądźcie silni!”, wieczorem Indianie ustąpili pola.

Bitwa pozostała właściwie nierozstrzygnięta, ale przerywając walkę, Indianie uznali swoją porażkę i w nocy odeszli na zachód, za rzekę Ohio. Zadali jednak białym duże straty w liczbie osiemdziesięciu zabitych i stu czterdziestu rannych. Zginęli pułkownicy Charles Lewis i John Field oraz kilkunastu innych oficerów, a pułkownik Fleming został ranny. Straty Indian oszacowano na dwustu trzydziestu trzech zabitych i rannych. Poległ między innymi wódz Szaunisów Puckshinwa, którego syn Tecumseh przejdzie potem do historii jako najwybitniejszy Indianin Ameryki Północnej. Większość zabitych po obu stronach zginęła od kuli w głowę i w piersi, co dowodzi wysokiego kunsztu strzeleckiego uczestników bitwy.

Bitwa pod Point Pleasant była największą bitwą tej wojny i zarazem najbardziej zaciętym starciem na pograniczu od zakończenia wojny z Francuzami i Indianami. Nieudana próba zniszczenia oddziału Lewisa pozbawiła Indian szansy na ostateczne zwycięstwo. Spóźniona dywizja Dunmore'a nie zdążyła wziąć udziału w walce, ponieważ wyszła z fortu Pitt

dopiero 29 września i straciła kilka dni w forcie Henry, czekając na posiłki majora Connolly'ego. O losach bitwy Dunmore dowiedział się 13 października i nie czekając na Andrew Lewisa, przekroczył Ohio i podążył za Indianami w głąb ich kraju, do doliny rzeki Scioto. Wstrzymał pościg w pobliżu wioski Szaunisów Chillicothe i po założeniu 17 października na równinie Pickaway tymczasowego obozu Camp Charlotte zaproponował Indianom rokowania. Tego samego dnia pułkownik Lewis ruszył spod Point Pleasant, przeprowił się przez Ohio i nazajutrz spalił parę indiańskich wsi na drugim brzegu rzeki. Szaunisi, którzy nie mieli dostatecznych sił do przeciwstawienia się połączonym wojskom białych, 19 października zawarli z Dunmore'em układ pokojowy w Camp Charlotte. Zgodzili się uznać warunki traktatu z fortu Stanwix z 1768 roku, zwrócili wziętych do niewoli jeńców i oddali Brytyjczykom bogate tereny łowieckie w Kentucky. W zamian biali zobowiązali się nie przekraczać rzeki Ohio. W ten sposób Indianie ostatecznie utracili prawo do polowań na terenach położonych na południe od Ohio i uznali linię rzeki za stałą granicę pomiędzy swoim krajem a koloniami brytyjskimi.

Traktat z Camp Charlotte praktycznie zakończył wojnę, ale Logan i jego Mingowie nie chcieli go zaakceptować. Odrzucając propozycję zawarcia pokoju z Dunmore'em, wódz oświadczył, że „jest wojownikiem, nie negocjatorem, i na żadne rozmowy nie przybędzie”. Zaprzestał walki dopiero wtedy, gdy 27 października oddział trzystu wirginijskich milicjantów majora Williama Crawforda zniszczył Seekunk, wioskę Mingów nad rzeką Scioto. Swoje stanowisko w sprawie konfliktu Logan przedstawił w słynnej mowie do wysłannika lorda Dunmore'a, kupca Johna Gibsona, który za pośrednictwem białego wychowanka Seneków Simona Girty'ego spisał ją dla gubernatora i potomności. Mowa ta, którą Thomas Jefferson zaliczył do szczytowych osiągnięć indiańskiej retoryki, przeszła

do historii pod nazwą „skargi Logana” (*Logan’s Lament*). Wódz Mingów powiedział między innymi:

„Zwracam się do każdego białego człowieka. Niech powie, czy kiedykolwiek, gdy przyszedł do domu Logana głodny, nie dostał od niego mięsa? Albo gdy zjawił się nagi i zziębnięty, nie otrzymał od niego okrycia? W czasie ostatniej długiej i krwawej wojny [z Francuzami i Indianami] Logan pozostał bezczynny w swojej chacie i nawoływał do pokoju. Moja miłość do białych ludzi była tak wielka, że współplemieńcy wytykali mnie palcami i mówili: «Patrzcie, Logan jest przyjacielem białych!». Zastanawiałem się nawet, czy nie zamieszkać pośród was, ale nie doszło do tego z powodu krzywdy zadanej Loganowi przez jednego człowieka, pułkownika Cresapa, który zeszłej wiosny z zimną krwią, niesprovokowany, zamordował wszystkich moich krewnych, nie oszczędzając nawet kobiet i dzieci. Teraz już ani jedna kropla krwi Logana nie płynie w żyłach żadnego żyjącego stworzenia. To skłoniło mnie do szukania zemsty. Znalazłem ją, zabiłem wielu ludzi i zaspokoilem w całości swoją żądzę odwetu. Teraz dla dobra mego kraju przychodzi mi radować się promykami pokoju. Ale nich wam nawet na myśl nie przyjdzie, że radość moja wynika ze strachu. Logan nigdy nie czuł strachu. I nigdy nie odwróci się na pięcie, aby ratować swoje życie. Bo nie ma już nikogo, kto mógłby go oplakiwać. Wszyscy moi bliscy nie żyją”.

Na krótko przed wybuchem amerykańskiej rewolucji, w marcu 1775 roku, założyciel nowo powstałej Kompanii Transylwańskiej Richard Henderson, który dopiero co nabył od Czirokezów kawał ziemi w trójkącie rzek Ohio, Kentucky i Cumberland, wyznaczył zwolnionego kilka miesięcy wcześniej ze służby w milicji Daniela Boone’a do poprowadzenia grupy trzydziestu doświadczonych i dobrze uzbrojonych drwali, aby wyrąbali nową drogę na zachód przez przełęcz Cumberland. Ludzie Boone’a wyruszyli 10 marca i na miejscu nie szczędzili

sił, aby dobrze wykonać zadanie. Mimo dwukrotnych ataków Indian, którzy zabili i ranili dziewięciu z nich, pozostali już w końcu marca dotarli do południowego brzegu rzeki Kentucky. Tam wybrali miejsce pod nową osadę i 1 kwietnia rozpoczęli budowę kilku drewnianych chat, które wkrótce nazwali „fortem Boone’a” – Boonesborough.

Nazwany później „ścieżką Boone’a” lub „drogą w dziczy”, liczący trzysta sześćdziesiąt kilometrów puszczański szlak wytyczony przez ekipę Daniela Boone’a był uważany za najtrudniejszą i najbardziej nieprzyjemną drogę na kontynencie, ale stał się jednym z najważniejszych czynników amerykańskiego osadnictwa na Zachodzie. Niedługo po jego wytyczeniu, 19 kwietnia 1775 roku, potyczka w Lexington i Concord rozpoczęła amerykańską wojnę o niepodległość. niespełna rok później, w lipcu 1776 roku, Wirginia utworzyła swój własny rząd stanowy z Patrickiem Henrym jako pierwszym gubernatorem, a zbuntowane kolonie przyjęły *Deklarację niepodległości*.

W końcu 1775 roku Boonesborough był jedną z trzech największych osad w środkowym Kentucky, obok fortu Jamesa Harroda i warownej stacji Benjamina Logana – Logan’s Station. Obaj sąsiedzi w niczym nie ustępowali Boone’owi. Harrod już jako nastolatek brał udział w wojnie z Francuzami i Indianami. W powstaniu Pontiaka służył jako zwiadowca pod rozkazami pułkownika Bouqueta. Potem zasłynął jako jeden z pierwszych samotnych myśliwych w Kentucky. W czerwcu 1774 roku nad Salt Spring założył wczesną osadę w Kentucky, znaną jako fort Harroda (Fort Harrod) albo Harrodstown. Benjamin Logan pochodził z rodziny irlandzkich kolonistów z Wirginii. Podobnie jak Harrod, uczestniczył pod rozkazami Bouqueta w kampanii przeciwko powstańcom Pontiaka. Dziesięć lat później walczył w stopniu porucznika milicji pod Point Pleasant. W 1775 roku przybył do Kentucky i wybudował fort

własnego imienia w odległości pięćdziesięciu kilometrów na południowy zachód od Boonesborough i trzydziestu kilometrów na południowy wschód od Harrodstown. W późniejszych latach zrobił świetną karierę wojskową, wyróżniając się w prawie wszystkich wojnach z wrogimi Indianami z Północnego Zachodu.

We wrześniu 1775 roku Daniel Boone sprowadził do Boonesborough z Tennessee swoją rodzinę i sąsiadów. Tym samym jego żona Rebeka i szesnastoletnia córka Jemima jako pierwsze białe kobiety postawiły stopy na brzegu rzeki Kentucky. Trzy miesiące później, 23 grudnia, fort Boone'a stał się po raz pierwszy celem ataku Szaunisów, którzy chcieli w ten sposób przestraszyć białych i wygnać ich ze swojej ziemi. 14 lipca 1776 roku krążący wokół Boonesborough wojownicy Szaunisów porwali Jemimę i dwie inne dziewczyny z zamiarem uprowadzenia ich do swoich wiosek w Ohio. Boone zorganizował pościg i wraz z ośmioma ludźmi dogonił porywaczy, gdy obozowali nad dopływem rzeki Licking, w pobliżu dzisiejszego Winchesteru. Członkowie grupy pościgowej zaatakowali Indian z zaskoczenia, przegonili ich, uwolnili dziewczyny i szczęśliwie powrócili z nimi do domu. Zdarzenie to stało się głośne i rozślawiło imię Boone'a na całym pograniczu. Wiele lat później James Fenimore Cooper wykorzystał ten epizod w swojej powieści *Ostatni Mohikanin*. Dzięki tej i podobnym przygodom ze swojego życia Daniel Boone stał się pierwowzorem powieściowego bohatera Sokole Oko.

W historii pogranicza Wirginii i Kentucky rok 1777 jest nazywany „trzema krwawymi siódmkami”. W całym regionie mieszkało wtedy tylko dwustu pięćdziesięciu białych osadników ze swoimi czarnymi niewolnikami. Prawie wszyscy mężczyźni byli doświadczonymi myśliwymi, biegłymi w posługiwaniu się długimi strzelbami. Żyjące na pograniczu

Ohio plemiona indiańskie mogły wystawić znacznie więcej wojowników, ale tradycyjne niesnaski i brak jedności uniemożliwiały im działanie większymi siłami. Indianie preferowali małe lotne oddziały, które mogły szybko zaatakować wroga, także ze względu na taktykę walki podjazdowej oraz wymogi logistyki. Tuż przed Nowym Rokiem Mingowie pod wodzą Pluggy'ego, najbliższego sojusznika Logana w wojnie z lordem Dunmore'em, napadli Harrodstown. 29 grudnia zaatakowali małą stację Johna McClellanda nad Royal Spring, jedyną wysuniętą osadę amerykańską na północ od rzeki Kentucky. Stację udało się obronić, a Pluggy został zastrzelony w czasie odwrotu. Po śmierci wodza Mingów biali, w obawie o własne życie, przenieśli się w styczniu do Boonesborough. W krótkim czasie osadnicy porzucili wszystkie siedem mniejszych osad, a większość z nich uciekła z Kentucky do bezpieczniejszych osiedli na wschodzie kraju.

W listopadzie 1776 roku nowe władze Wirginii unieważniły prawo Kompanii Transylwańskiej do obszaru kupionego od Czirokezów z naruszeniem proklamacji z 1763 roku i rozciągnęły formalne zwierzchnictwo nad spornymi ziemiami w Kentucky. Na początku marca 1777 roku osadnicy z Kentucky zorganizowali się w milicję, do której z małymi wyjątkami należeli wszyscy mężczyźni w wieku od osiemnastu do pięćdziesięciu lat. Zgodnie z prawem stanu Wirginia każdy milicjant musiał się stawić z własną bronią, własnym odzieniem i często własnym prowiantem. Czasami milicja ruszała do walki pieszo, ale najczęściej walczyła konno (każdy milicjant na własnym koniu). Posterunki milicji znajdowały się w ostatnich trzech fortach, jakie jeszcze pozostały w Kentucky: Boonesborough, Harrodstown i stacji Logana. Zwierzchnikiem milicji z ramienia władz Wirginii został wczesny pionier i oficer kolonialnej samoobrony pułkownik John Bowman, a dowodził nią młody mierniczy z Wirginii w stopniu majora, weteran

wojny lorda Dunmore'a, George Rogers Clark. Daniel Boone, James Harrod, John Logan i ich towarzysz John Todd, chociaż starsi wiekiem i bardziej doświadczeni od Clarka, wybrali go na swego przywódcę i służyli pod nim w stopniu kapitanów.

W tym czasie nie było w Kentucky ani jednej stałej wioski indiańskiej. Indianie uważali ten region za „mroczną i krwawą ziemię”, na której polowali i toczyli wojny. Zobowiązani wcześniejszymi traktatami Czirokezi przestali już się o nią upominać, ale dumne plemiona z północy: Delawarowie, Wyandoci, Mingowie i Szaunisi, nie chcieli całkowicie zrezygnować z Kentucky. Mimo pokoju z Wirginijczykami, który nastąpił po bitwie pod Point Pleasant, Szaunisi z Ohio nie zamierzali ustępować białym ulubionych terenów łowieckich. Nękanymi przez osadników i podburzani przez Brytyjczyków, byli gotowi do nowej wojny. Ich złość wzrosła jeszcze po zabiciu popularnego wodza Mingów, Pluggy'ego. Wbrew radom starającego się zachować pokój Kaczana Kukurydzy w marcu 1777 roku do Kentucky ruszyła wyprawa wojenna dwustu Szaunisów, prowadzona przez znanego wodza Czarną Rybę. Indianie, dobrze zaopatrzeni w broń i amunicję przez Brytyjczyków, zamierzali ostatecznie wyrzucić z Kentucky amerykańskich osadników.

6 marca myszkujący Szaunisi zabili w pobliżu fortu Harroda niejakiego Williama Raya. Nazajutrz zaatakowali sam fort i zabili dwóch innych ludzi. Mimo zaskoczenia otoczony wysoką palisadą fort bronił się tak zaciekle, że Indianie szybko odstąpili i ruszyli na Boonesborough. Obfite opady mokrego śniegu spowolniły jednak ich marsz, toteż w liczbie około stu pojawili się pod fortem Boone'a dopiero 24 kwietnia. Tego dnia Daniel Boone wspólnie ze swoim młodym przyjacielem Simonem Kentonem i dwudziestoma innymi ludźmi zdołali obronić Boonesborough. W walce stracili jednego człowieka, a czterech zostało rannych, wśród nich sam Boone, trafiony kulą w kostkę

u nogi podczas wypadu na zewnątrz. Od śmierci uratował go Kenton, który zabił ze swojej myśliwskiej strzelby trzech Indian i osłonił odwrót przyjaciela. 23 i 24 maja napastnicy wrócili i tym razem usiłowali podłożyć ogień pod palisadę fortu. Ranny Boone nie mógł wziąć udziału w walce, więc dowodził obroną z łóżka. Chociaż atak znów się nie powiódł, Czarna Ryba nie dawał za wygraną. Ruszył szukać szczęścia dalej, do stacji Logana, najsłabszej placówki białych, w której przebywało tylko trzynastu ludzi. obrońcy stacji wiedzieli już o atakach na dwa pozostałe forty i poczynili przygotowania do odparcia Indian, ale było ich niewielu i mieli skromne zapasy żywności i amunicji.

Wojownicy Czarnej Ryby sprytnie odczekali, aż ludzie Logana nabiorą przekonania, że Indianie zeszli ze ścieżki wojennej i wrócili do swoich domów w Ohio. Zaatakowali dopiero 30 maja, miesiąc po uderzeniu na Boonesborough. Zabili jednego i ciężko ranili dwóch mężczyzn, których zaskoczyli na zewnątrz palisady, ale reszta zabarykadowała się w forcie i nie dała się wziąć przez ponad trzy tygodnie. 26 czerwca na odsiecz oblężonym przybył oddział stu wirginijskich milicjantów pułkownika Bowmana. Tak zakończyło się jedno z najdłuższych oblężeń w historii wojen indiańskich.

4 lipca Szaunisi uderzyli jeszcze raz na Boonesborough. Trzymali fort pod ogniem przez dwa dni i dwie noce, ostrzeliwując go płonącymi strzałami i obrzucając pochodniami. Wreszcie zniechęceni ustąpili 6 lipca rano. Wielka wyprawa Czarnej Ryby do Kentucky w 1777 roku nie przyniosła pożądanego sukcesu. Harrodstown, Boonesborough i stacja Logana zdołały się obronić, ale Szaunisi, Delawarowie i Mingowie nie przestali ich obserwować. Kilka miesięcy później brytyjski wicegubernator Kanady podpułkownik Henry Hamilton donosił z Detroit swoim przełożonym, że „wyprawy wysłane na pogranicze zakończyły się ogólnie powodzeniem,

choć Indianie stracili wystarczająco dużo ludzi, aby to zaostrzyło ich rozżalenie”.

W lecie 1777 roku Hamilton wysłał z Detroit na pogranicze Ohio piętnaście różnych wypraw wojennych w łącznej sile około trzystu wojowników i trzydziestu białych oficerów, nie licząc sprzymierzonych Indian z Ohio. Chodziło o rozproszenie uwagi Amerykanów i odciążenie od Armii Kontynentalnej Waszyngtona ludzi Zachodu, zaprawionych w bojach z Francuzami i Indianami. We wrześniu wicegubernator informował królewskiego sekretarza do spraw kolonii w Londynie, że „na pograniczu działa teraz tysiąc stu pięćdziesięciu wojowników” i że sam wyekwipował siedmiuset z nich.

Jedną z większych wypraw obrała za cel osiedle Wheeling w górach Ohio, w dzisiejszej Wirginii Zachodniej. Wcześniej tę pograniczną osadę, założoną w 1769 roku jako Zanesburg przez pionierów z Wirginii, braci Ebenezera, Silasa i Jonathana Zane'ów, niepokoił Indianie z Ohio. Podczas wojny lorda Dunmore'a major William Crawford wybudował tam silny fort (Fort Fincastle), który dwa lata później na cześć gubernatora Wirginii przemianowano na Fort Henry. Odtąd fort ten, razem z fortem Randolph w Point Pleasant i fortem Pitt, gdzie mieściło się dowództwo wojskowe na pograniczu indiańskim, miały stanowić główną linię obrony Amerykanów w górnym biegu Ohio.

Wszystko zmieniło się po wybuchu wojny w roku 1775. Większość Indian z Ohio i sąsiedniej Indiany sprzymierzyła się z Brytyjczykami w nadziei, że zdołają obronić swój kraj przed zalewem amerykańskich osadników. 1 sierpnia jeden z zaprzyjaźnionych Delawarów ostrzegł Amerykanów z Wheeling o planowanym na nich napadzie. Gdyby Indianie zaatakowali od razu, mogliby wziąć białych z zaskoczenia, ale oni zwlekali z uderzeniem. Kiedy wreszcie nadciągnęli w końcu

sierpnia, osadnicy z Wheeling byli już dobrze przygotowani do obrony. W forcie Henry schroniło się około trzydziestu rodzin osadników wspartych przez przybyły im na pomoc oddziały wirginijskich milicjantów podpułkownika Davida Shepherd'a.

31 sierpnia w nocy mieszany oddział trzystu Wyandotów, Mingów i Szaunisów pod wodzą Dunquata oraz białego renegata Simona Girty'ego, przeprawił się sprytnie poniżej fortyfikacji i zajął pozycje do ulubionego porannego ataku na fort i chronioną przez niego osadę[1]. Indianie byli dobrze wyposażeni w broń i amunicję przez Brytyjczyków z Detroit. Wywabiwszy rankiem część załogi z fortu, skryci we mgle wojownicy dowodzeni przez Girty'ego zabili, ranili i pojmali dwudziestu czterech ludzi. Reszta białych, trzydziestu mężczyzn oraz dwukrotnie większa liczba kobiet i dzieci, znalazła schronienie za grubymi, wysokimi na ponad pięć metrów ścianami fortu.

Chociaż Indianie śmiało zaatakowali, bijąc w bębny i niosąc dla zmylenia białych brytyjskie flagi (aby stworzyć wrażenie, że wspomagają ich regularne oddziały angielskie), obrońcy odparli trzy groźne ataki, mimo iż napastnicy próbowali rozbić drewnianą palisadę za pomocą taranów. Następnego dnia przybyła rzeką pomoc z fortu Holliday, położonego czterdzieści kilometrów dalej w górę Ohio, oraz posiłki z sąsiednich miejscowości, prowadzone przez majora Samuela McCollocha. W czasie próby przebicia się do oblężonego fortu McColloch został odcięty od reszty oddziału. Zaczął uciekać konno przed ścigającymi go Indianami, trzymając uzdę w jednej ręce i strzelbę w drugiej, a gdy dotarł do stromej nadbrzeżnej skarpy, spiął konia ostrogami i desperacko skoczył. Indianie spodziewali się zobaczyć w dole pogruchotane zwłoki majora i jego konia, a tymczasem ujrzeli, jak niedoszły samobójca cały i zdrowy odjeżdża w dal na swym białym wierzchowcu. Ten niebywały wyczyn przeszedł do legendy pogranicza jako „skok

McCollocha” (*McColloch’s Leap*). Nadejście odsieczy i brawurowa ucieczka McCollocha zniechęciły Indian do dalszych ataków. Po dwudziestu trzech godzinach bezskutecznego oblężenia wojownicy spalili Wheeling, ze złości wybili wszystkie zwierzęta gospodarskie, a zanim na dobre odeszli, Dunquat na czele swoich Wyandotów spustoszył jeszcze całą okolicę. 15 września załogę fortu Henry wzmocniła kompania milicji kapitana Williama Foremana i pod opieką nowego garnizonu mieszkańcy przystąpili do odbudowy swoich domów.

26 września zauważono z fortu Henry zastanawiający dym w okolicach małego fortu Tomlinson, położonego przy zwężeniu Ohio zwanym Parowem McMechena (*McMechen’s Narrows*), około dwudziestu kilometrów na południe od Wheeling. Przypuszczając, że to sprawka Indian, w dół rzeki wyruszył czterdziestopięciosobowy oddział zwiadowczy z kapitanem Foremanem na czele. Na ślady Indian nie natrafiono, ale nazajutrz, w drodze powrotnej do fortu Henry, oddział Foremana wpadł w zasadzkę zastawioną przez wojowników Dunquata przy ujściu niewielkiej rzeczki nazwanej potem Grobowym Strumieniem (*Grave Creek*). Od kul Indian zginęły wtedy dwadzieścia dwie osoby, w tym dowódca, a kilka innych odniosło ciężkie rany. Parę dni później na miejsce zasadzki przybył pułkownik Ebenezer Zane z ludźmi z Wheeling oraz oddziałem milicji z fortu Pitt i pochowali poległych we wspólnym grobie nad strumieniem, przy którym padli.

Późnym latem 1777 roku Amerykanie rozpoczęli przygotowania do wielkiej wyprawy odwetowej do kraju Indian na zachód od Alleghenów i rzeki Ohio. Na czele dwóch tysięcy milicjantów z Pensylwanii i Wirginii stanął generał Edward Hand, który 1 czerwca objął komendę nad wojskami na Zachodzie. Milicja z Pensylwanii w liczbie pięciuset ludzi

organizowała się w forcie Pitt, a tysiąc pięciuset ochotników z pogranicznych hrabstw północno-zachodniej Wirginii pod wodzą pułkowników George'a Skillera i Johna Dickinsona zbierało się w dolinie Ohio dalej na południe. Obie grupy miały się połączyć w forcie Randolph przy ujściu Wielkiej Kanawhy, który stanowił bazę wyjściową do operacji w Ohio.

Na wieść o planowanej ekspedycji Handa sprzeciwiający się wojnie Kaczan Kukurydzy udał się 7 listopada z misją dyplomatyczną do fortu Randolph, aby porozmawiać o pokoju z jego dowódcą, kapitanem Matthew Arbuckle'em. Wprawdzie wyprawa do Ohio została odwołana z braku ludzi i później pory roku, ale Arbuckle zatrzymał Kaczana Kukurydzy i dwóch towarzyszących mu wodzów jako zakładników, aby w ten sposób zmusić Szaunisów do zachowania neutralności. Taki sam los spotkał syna Kaczana, Elinipsico, który przybył do fortu sprawdzić, co się stało z ojcem i jego towarzyszami. Pech chciał, że podczas polowania w pobliżu fortu zginął z rąk nieznanych Indian jeden z wirginijskich milicjantów. Jego rozwścieczeni kompani z oddziału kapitana Jamesa Halla oskarżyli o to wojowników Elinipsico i postanowili zemścić się na bezbronnych jeńcach. Z bronią w ręku wdarli się do celi, w której przetrzymywano Indian, i bestialsko ich zamordowali. Gubernator Henry ostro potępił mord i postawił później jego sprawców przed sądem. 28 kwietnia 1778 roku doszło do parodii procesu, po której Halla i trzech jego ludzi uwolniono od zarzutów, bo nie znalazł się nikt, kto chciałby przeciwko nim świadczyć. Na skutek zabójstwa Kaczana Kukurydzy i pozostałych Indian Szaunisi połączyli się z innymi plemionami i nie ustawiali w najazdach na osiedla amerykańskie przez następne osiemnaście lat.

Rok 1777 omal nie przyniósł katastrofy amerykańskim osadnikom na pograniczu Kentucky. Napady Indian nie tylko nie pozwoliły zgromadzić większych zapasów żywności, ale też

spowodowały zniszczenie większości tego, co zdołano zgromadzić. W grudniu mieszkańcom Boonesborough, Harrodstown i stacji Logana zagroziło widmo zagłady. Jedzenia zostało bardzo niewiele, a sól i proch, bez których nie sposób było przetrwać zimy, kompletnie się wyczerpały. Długa zimowa wyprawa do najbliższych składów nad rzeką Holston nie wchodziła w rachubę. Pewną ilość prochu udało się wprowadzić wyprodukować ze starych zapasów siarki i saletry znalezionych w Boonesborough, ale sól trzeba było koniecznie zdobyć. 1 stycznia 1778 roku Daniel Boone poprowadził grupę trzydziestu osób ze wszystkich trzech osiedli po sól do Sinej Lizawki (*Blue Licks*). Były to ulubione przez Indian i zwierzęta naturalne słone źródła nad rzeką Licking w północno-wschodnim Kentucky, około sześćdziesięciu pięciu kilometrów od Boonesborough. Boone i jego ludzie, wiedząc, że w środku zimy Indianie unikają walki, czuli się całkiem bezpiecznie i bez pośpiechu ścinali drzewa na opał i odparowywali wodę z solanek w przywiezionych ze sobą żelaznych kotłach. Nie wiedzieli, że do Kentucky weszła nowa wyprawa ponad stu Szaunisów z Czarną Rybą na czele, którzy pragnęli pomścić śmierć Kaczana Kukurydzy, zamordowanego w forcie Randolph.

7 lutego myszkujący nad rzeką Licking Indianie schwytali polującego samotnie Daniela Boone'a i pod groźbą wymordowania wszystkich jego towarzyszy zmusili go, aby kazał się poddać pozostałym dwudziestu sześciu mężczyznom zajęтым warzeniem soli nad Blue Licks (dwóch myśliwych uniknęło pojmania, a dwóch ludzi wróciło do Boonesborough z pierwszą partią soli dla osadników). Wziąwszy jeńców, Szaunisi zrezygnowali z dalszej wyprawy i triumfalnie powrócili do swoich siedzib w Ohio. Czarna Ryba zabrał jeńców do wioski Stara Chillicothe nad rzeką Little Miami, a stamtąd poprowadził część z nich do fortu Detroit, aby sprzedać ich

gubernatorowi Hamiltonowi. Zapowiadał się znakomity interes, wszyscy bowiem wiedzieli, że Hamilton płaci po sto dolarów za każdego amerykańskiego jeńca i skalpy wrogów[2]. Był za to powszechnie znienawidzony przez Amerykanów z pogranicza, którzy przezywali go pogardliwie „kupcem włosów” (*Hair Buyer*). Boone’a jednak, który przekonał Anglików, że jest lojalnym poddanym króla, powołując się na swój stopień oficerski w brytyjskiej milicji oraz udział w wojnie lorda Dunmore’a, wódz Szaunisów zatrzymał dla siebie i adoptował w miejsce niedawno poległego syna.

W Starej Chillicothe Boone, nazwany przez Szaunisów ze względu na słuszny wzrost i silną budowę ciała Wielkim Żółwiem, dostrzegł po jakimś czasie przygotowania do kolejnego wypadu na Kentucky. 16 czerwca zmylił na polowaniu czujność swych opiekunów, porwał konia i uciekł z wioski Czarnej Ryby, żeby ostrzec swoich bliskich. Przebył puszcę, najpierw konno, a potem na piechotę, przepłynął znalezionym na brzegu starym kanu rzekę Ohio i wreszcie, po czterech dniach wędrówki i pokonaniu dwustu kilometrów bezdroży, głodny i wyczerpany dotarł do Boonesborough. Na miejscu zastał tylko swego brata Squire’a i córkę Jemimę, której nie widział od niemal pół roku. Żona natomiast, przekonana, że on nie żyje, w maju 1778 roku wraz z resztą rodziny wróciła do swego ojca w Karolinie Północnej.

Do oczekiwanego napadu na Boonesborough doszło dopiero 7 września. Imponujący oddział ponad czterystu pięćdziesięciu Indian i francuskich Kanadyjczyków z Montrealu szedł otwarcie pod flagami Wielkiej Brytanii i Francji. Indian prowadzili Czarna Ryba, który przyszedł po swojego „niewdzięcznego białego syna”, sławny wódz wojenny Szaunisów Czarne Kopyto oraz stary Moluntha, następca Kaczana Kukurydzy. Towarzyszyli im wódz Czipewejów Czarny Ptak oraz Egushawa, krewny i spadkobierca wielkiego Pontiaka,

wódz wojenny Ottawów, którzy specjalnie w tym celu przybyli spod Detroit. Załoga Boonesborough liczyła sześćdziesięciu ludzi, w tym około czterdziestu dobrych strzelców. Zgodnie ze zwyczajem obrońcom złożono najpierw propozycję kapitulacji, a gdy została odrzucona, po dwóch dniach Indianie i Francuzi przystąpili do regularnego oblężenia. „Nie boimy się waszych pomalowanych barwami wojny twarzy – miał ponoć powiedzieć Daniel Boone. – Nigdy nie wejdziecie w bramy naszego fortu”.

Po nieudanych rokowaniach i podstępnej próbie pojmania amerykańskich parlamentariuszy zaczęło się oblężenie. Przez dziewięć dni napastnicy nie mogli zdobyć dobrze przygotowanego do obrony Boonesborough. Wreszcie, gdy zawiodły ataki frontalne, Indianie pod kierunkiem Kanadyjczyków wykopali długi tunel, którym zamierzali dostać się pod palisadę, wysadzić jej fragment ładunkiem prochu i przez powstałą wyrwę wdrzeć się do środka. W odpowiedzi obrońcy zrobili własny rów, przerzucając ziemię do tunelu wroga. W dodatku na nieszczęście dla Indian spadł ulewny deszcz i zalał ich wykop. W tej sytuacji zniechęceni i nieprzyzwyczajeni do ciężkiej pracy wojownicy zaniechali dalszych prób zdobycia fortu i 20 września odeszli. W czasie oblężenia stracili około czterdziestu ludzi, a wielu zostało rannych. Straty wśród obrońców wyniosły czterech zabitych i dwóch rannych. Oblężenie to było ostatnią próbą zdobycia „fortu Boone’a”. Odtąd Szaunisi na zawsze zrezygnowali z zamiaru odbicia Wielkiego Żółwia, choć nigdy nie przestali go szanować jako godnego ich przeciwnika.

Pod koniec 1778 roku Daniela Boone’a oskarżono o zdradę i „działanie na korzyść władz brytyjskich”, na co miały wskazywać poddanie w lutym bez walki grupy ludzi nad Blue Licks oraz rzekoma obietnica wydania Brytyjczykom Boonesborough, złożona jakoby w niewoli u Szaunisów. Proces

przed sądem wojennym odbywał się w stacji Logana, który był zresztą głównym oskarżycielem. Po rozpatrzeniu sprawy sąd nie tylko uznał Boone'a za niewinnego, ale także zarekomendował jego awans na majora wirginijskiej milicji.

W odwecie za najazd na Boonesborough we wrześniu 1778 roku John Bowman i John Logan z oddziałem trzystu milicjantów z Kentucky przekroczyli Ohio i 29 maja 1779 roku napadli na Starą Chillicothe. Czarna Ryba zadał Amerykanom straty i obronił wioskę, ale został ranny w kolano i zmarł wskutek zakażenia kilka tygodni później. Niedługo potem Daniel Boone wyjechał do Karoliny Północnej, aby odszukać żonę i resztę rodziny. Wszyscy wrócili do Boonesborough w 1780 roku. Dwa lata później, 19 sierpnia 1782 roku, Boone wziął udział w słynnej bitwie z Indianami nad Blue Licks, w której zginął jego syn Israel. W starciu tym, nazwanym „ostatnią bitwą rewolucji amerykańskiej”, trzystu pięćdziesięciu Indian i kanadyjskich lojalistów kapitana Williama Caldwell'a pobiło na głowę liczący stu osiemdziesięciu dwóch ludzi oddział amerykańskiej milicji pułkownika Johna Todda.

Po zakończeniu wojny o niepodległość Boone pracował jako mierniczy nad rzeką Ohio. W 1788 roku, gdy zrobiło się „zbyt tłoczno”, opuścił Kentucky i przeniósł się do Point Pleasant w Wirginii. W roku 1795 wrócił z Rebeką do Kentucky, które trzy lata wcześniej zostało piętnastym stanem Unii. W 1799 roku porzucił spokojne życie i jeszcze raz podążył w stronę zachodzącego słońca, tym razem do znajdującej się pod rządami Hiszpanii krainy Missouri, gdzie gospodarował już jego syn, Daniel Morgan Boone. Tam dostał kawał dobrej ziemi w St. Charles i z ramienia władz hiszpańskich pełnił funkcję urzędową. Gdy w 1803 roku Missouri przeszło pod administrację Stanów Zjednoczonych jako część francuskiej Luizjany, znowu utracił swoją ziemię. Resztę życia spędził

z synem Nathanem w Charette Village koło Marthasville w Missouri. Przebywał tam do końca swoich dni, chociaż dwukrotnie jeszcze wrócił do Kentucky, aby spłacić stare długi z czasów, gdy zajmował się handlem ziemią. Zmarł 26 września 1820 roku w wieku osiemdziesięciu sześciu lat. Pochowano go w Missouri obok ukochanej Rebeki, która odeszła siedem lat wcześniej. Ćwierć wieku później szczątki Daniela Boone'a i jego żony przewieziono do Kentucky i pogrzebano na cmentarzu we Frankforcie.

Przypisy

- 1 Simon Girty (1741–1818) był jednym z czterech synów irlandzkiego osadnika Simona Girty'ego i Angielki Mary Newton, wziętych do niewoli przez Indian w lipcu 1756 r. w forcie Granville nad rzeką Juniata koło dzisiejszego Harrisburga w Pensylwanii. Razem z braćmi Thomasem, Jamesem i George'em trafił do wsi Delawarów Kittaning. 8 września pułkownik John Armstrong z 300 żołnierzami zniszczył wieś i odbił Thomasa, ale pozostałych braci Indianie zdolali ukryć i rozdzielić. Simon trafił do Seneków, George do Delawarów, a James do Szaunisów. Po zawarciu traktatu z Easton w 1759 r. bracia wrócili do białych i pracowali jako zwiadowcy oraz tłumacze. Gdy wybuchła rewolucja amerykańska, wiosną 1778 r. zdezerterowali i przeszli na stronę Brytyjczyków. Odtąd działali wśród Indian na rzecz Korony brytyjskiej.
- 2 W styczniu 1778 r. Hamilton meldował, że dostarczono mu do Detroit 73 jeńców i 129 skalpów. Od czerwca 1777 do października 1778 r. do Detroit trafiło łącznie 129 amerykańskich jeńców.

Generał „Szalony” Anthony Wayne i bitwa pod Zaporą z Pni

Ładowali muszkiety, robili krótkie przerwy za osłoną ze zwalonych pni, żeby załadować broń ponownie, i po oddaniu salwy ruszali dalej. W ten sposób żołnierze amerykańscy posuwali się do przodu, spychając przed sobą ustępującego nieprzyjaciela. Ich dowódca, generał Anthony Wayne, ze wszystkich znanych pól bitewnych wybrał chyba najbardziej niezwykle – kawał opustoszałego lasu nad rzeką Maumee, gdzie niedawne tornado zważyło drzewa. To tam w 1794 roku armia trzech tysięcy regularnych piechurów i kawalerzystów Legionu Amerykańskiego oraz ochotników śmiało zaatakowała dwa tysiące indiańskich wojowników z plemion Szaunisów, Miamisów i Irokezów oraz siedemdziesięciu kanadyjskich zwiadowców, którzy czekali na nich wśród powalonych drzew. Amerykanie zdecydowanym atakiem wyparli ich i zmusili do wycofania się pod osłonę pobliskiego brytyjskiego fortu Meigs. Bitwa pod Zaporą z Pni była jeszcze jednym z głośnych zwycięstw w karierze Anthony’ego Wayne’a. Tym razem jednak generał zwlekał z natarciem aż trzy dni, żeby zaatakować wroga, który był już głodny i zmęczony oczekiwaniem.

W latach 1790–1791 rząd federalny Stanów Zjednoczonych stanął w obliczu pierwszego wielkiego kryzysu. Na początku prezydentury Jerzego Waszyngtona i krótko po uchwaleniu konstytucji w 1789 roku władza młodego państwa

amerykańskiego zaczęła się chwiać pod atakami Indian w regionie, który dziś tworzą stany Ohio i Indiana. Od zdobycia kontroli nad terytorium pomiędzy rzeką Ohio i Wielkimi Jeziorami zależała przyszłość Amerykanów na zachód od Appalachów. Rząd amerykański mógł te ziemie od Indian kupić albo odebrać im je siłą, a to oznaczałoby wojnę ze sprzymierzonymi plemionami Szaunisów, Miamisów, Potawatomic i Czipewejów, skonfederowanych przez wybitnego wodza plemienia Miamisów znad rzeki Maumee (Miami), Małego Żółwia.

Nieliczna armia amerykańska pozostała po wojnie o niepodległość była zbyt słaba, aby pokonać Indian z Ohio, mających silne wsparcie Brytyjczyków z Kanady. Aby zebrać dostateczne siły, rząd amerykański musiał zwerbować żołnierzy z całych Stanów Zjednoczonych, musiał też znaleźć dobrych dowódców z doświadczeniem wojennym, którzy poprowadziliby ich do walk na odległym zachodnim pograniczu. Dlatego prezydent Waszyngton postanowił wezwać z cywila dawnych, sprawdzonych oficerów Armii Kontynentalnej, z którymi wywalczył niepodległość kraju przed paroma laty.

Pierwsza wyprawa przeciwko Indianom z Ohio, którą jesienią 1790 roku poprowadził generał Joshiah Harmar, zakończyła się bolesną porażką w lasach nad rzeką Maumee. W następnym roku niepowodzenie Harmara postanowił przekuć w zwycięstwo generał Arthur St. Clair, jeden z najbardziej zaufanych dowódców Waszyngtona. Zebrał on w Cincinnati ponad dwa tysiące słabo wyszkolonych i źle wyekwipowanych żołnierzy i we wrześniu 1791 roku wyruszył z nimi w gęste, pozbawione dróg lasy na północy Ohio. 4 listopada prawie trzy tysiące Amerykanów i Indian starło się w puszczy nad rzeką Wabash w jednej z najbardziej dramatycznych bitew w historii Stanów Zjednoczonych.

Naprzeciwko siebie stanęli po jednej stronie uznani bohaterowie wojny o niepodległość, legendarni odkrywcy i myśliwi z pogranicza, a po drugiej najsłynniejsi wodzowie i wojownicy indiańscy tej epoki. W morderczym pojedynku zwały się dwie całkiem odmienne armie: skoncentrowani Amerykanie oraz walczący w szyku rozproszonym Indianie. Amerykańska artyleria i bagnety zmierzyły się z indiańskimi muszkietami, łukami i tomahawkami. Indianie rozegrali bitwę w sposób mistrzowski. Ich strzelcy od początku starali się celować przede wszystkim do oficerów i artylerzystów, paraliżując system dowodzenia i potencjalnie najgroźniejszą broń przeciwnika. W rezultacie po trzech godzinach walki z około tysiąca czterystu żołnierzy St. Claira sześciuset czterdziestu siedmiu zostało zabitych, a dwustu siedemnastu rannych, podczas gdy po stronie Indian poległo i odniosło rany tylko sześćdziesięciu wojowników.

Była to najcięższa porażka, jaką kiedykolwiek poniosło wojsko amerykańskie w starciu z Indianami. Jeden z uratowanych Amerykanów powiedział później: „Ziemia była dosłownie usłana trupami w makabrycznych pozycjach”. Nic dziwnego, że Indianie nazwali starcie nad Wabash „bitwą tysiąca zabitych”. Za jednym zamachem zmiotli jedną czwartą całej amerykańskiej armii. Po bitwie rozgoryczony Waszyngton nazwał nieudolnego St. Claira „najgorszym mordercą” i trudno się temu dziwić, skoro nad Wabash poległo więcej Amerykanów niż w jakiegokolwiek innej bitwie wojny rewolucyjnej i więcej, niż miało paść w jakiegokolwiek innej bitwie przed wojną secesyjną.

Po klęsce generała St. Claira rząd amerykański próbował wynegocjować traktat pokojowy z Indianami, jednocześnie – na wypadek niepowodzenia rozmów – budując nową armię, która w razie potrzeby mogłaby ich pokonać. Prezydent Waszyngton podjął intensywne wysiłki, aby znaleźć lepsze rozwiązanie

problemu indiańskiego niż nieustający konflikt zbrojny, starając się w ramach „rozsądnego eksperymentu” przygotować grunt pod wchłonięcie tubylczych ludów przez białe społeczeństwo amerykańskie. W tym celu przekonywał Kongres i władze poszczególnych stanów o znaczeniu sprawiedliwości w stosunkach z Indianami. Tłumaczył, że Indianie powinni być traktowani tak samo jak biali, a ich własność musi być chroniona, gdyby zaś stwierdzono, że stare traktaty zostały zawarte niesprawiedliwie, Indianie mają otrzymać rekompensatę pieniężną na zakup innych terenów lub odzyskać stare.

W toku negocjacji Amerykanie zaproponowali plemionom indiańskim w zamian za odstąpione ziemie „znaczłą sumę pieniędzy albo dóbr, nie licząc rocznych dostaw towarów, jakich będą sobie życzyć”. Pieniądze nie zrobiły na wodzach żadnego wrażenia, większość Indian bowiem nie znała ich wartości i nic dla nich nie znaczyły. „Pieniądze nie mają dla nas żadnej wartości – mówili. – Powiadacie, że oczekujecie od nas zrzeczenia się ziemi. To dziwne, że tego chcecie, chociaż dobrze wiecie, że bronimy tylko należnych nam praw wobec waszej inwazji. Pragniemy pokoju. Przywróćcie nam naszą ojczyznę, a nigdy więcej nie będziemy wrogami”.

Najbardziej wojowniczy przywódcy indiańskiej konfederacji: Mały Żółw, Niebieski Kaftan z plemienia Szaunisów i wódz Delawarów Buckongahela, nie chcieli nawet słyszeć o sprzedaży ziemi w Ohio. Po zwycięstwach odniesionych nad dwiema ekspedycjami amerykańskimi w 1790 i 1791 roku czuli się pewnie i nabrali przekonania, że w razie potrzeby poradzą sobie także z następnymi. W dodatku na przerwanie rozmów nalegali wysłannicy południowych plemion Czirokezów i Krików, którzy przybyli z wieścią, że Brytyjczycy planują dostarczyć konfederacji nowe transporty broni i amunicji, a zatem żaden kompromis nie powinien wchodzić w rachubę.

Brak przełomu w negocjacjach z Indianami zmusił Waszyngtona do zmiany polityki. Uchwalono odpowiednie fundusze i ujednolicono standardy prawne dotyczące organizacji, wyposażenia oraz wyszkolenia milicji i sił regularnych. Zarzucono tradycyjny system organizacji pułkowej na rzecz bardziej elastycznej legionowej organizacji wojska, złożonego ze wszystkich znanych wówczas rodzajów sił lądowych: lekkiej i ciężkiej piechoty, kawalerii oraz artylerii. Ta nowa struktura wojska miała bardziej pasować do warunków amerykańskich w ogóle, a do wymagań wojny indiańskiej w szczególności. I w ten oto sposób w marcu 1792 roku powołano do życia nową armię federalną, która przeszła do historii jako Legion Stanów Zjednoczonych (*Legion of the United States*). Nadanie nowej formacji nazwy „legion” odzwierciedlało sentyment przywódców młodej republiki amerykańskiej do dawnej Republiki Rzymskiej.

Pozostawała jeszcze kwestia dowodzenia Legionem. Waszyngton rozważał kilka kandydatur na dowódcę spośród ważniejszych wodzów Armii Kontynentalnej z okresu wojny o niepodległość; tych, którzy nie zostali odrzuceni na samym początku ze względu na podeszły wiek, chorobę, brak udokumentowanych zdolności dowódczych lub inne ważne powody. Ostatecznie wybór padł na czterdziestosiedmioletniego generała Anthony’ego Wayne’a z Pensylwanii.

Przed wojną o niepodległość Anthony Wayne (1745–1796) pracował jako mierniczy, farmer i przedsiębiorca. Po wybuchu rewolucji wstąpił do Armii Kontynentalnej i wślawił się w walkach o niepodległość Stanów Zjednoczonych jako żołnierz i dowódca. Zyskał w wojsku wielką popularność, a podwładni nazywali go „Szalonym Antonim” (*Mad Anthony*), ponieważ w bitwach potrafił atakować z szaleńczą brawurą nawet te pozycje, które wydawały się nie do zdobycia. Poprowadził żołnierzy do zwycięstwa pod Brandywine, Germantown, Stony

Point i Yorktown. W 1782 roku trafił do armii generała Nathaniela Greene'a i wziął udział w kampanii przeciwko Czirokezom i Krikom w Georgii. We wrześniu 1783 roku został awansowany do stopnia generała majora, ale dwa miesiące później wystąpił z armii i zajął się polityką w rodzinnej Pensylwanii. W 1785 roku przeniósł się do Georgii, gdzie dorobił się majątku, który zresztą szybko stracił. W 1791 roku przez kilka miesięcy zasiadał jako reprezentant Georgii w amerykańskim Senacie. Waszyngton uważał, że „aktywność i przedsiębiorczość Wayne'a brały górę nad trzeźwym osądem i ostrożnością”, ale mimo to cenił go jako dowódcę polowego. 3 kwietnia 1792 roku odwołał go z cywila i powierzył mu zadanie odbudowania armii jako sprawnej siły zbrojnej zdolnej zaprowadzić pokój na Północnym Zachodzie albo w drodze negocjacji, albo za pomocą bagnatów.

Generał Wayne objął dowództwo 13 kwietnia 1792 roku. Twardy i zdecydowany w działaniu, żelazną ręką opanował plagę pijaństwa i symulactwa w zdemoralizowanym kłęskami wojsku pozostawionym przez St. Claira. We wrześniu rozpoczął szkolenie legionistów w nowym forcie Lafayette w Pittsburghu nad rzeką Ohio, który zastąpił starą brytyjską placówkę w forcie Pitt, pochodzącą jeszcze z okresu wojny z Francuzami i Indianami. Wyposażył wszystkich oficerów w kopie podręcznika do ćwiczeń autorstwa pruskiego oficera barona Friedricha Wilhelma von Steubena, który położył wielkie zasługi w wyszkoleniu Armii Kontynentalnej, i polecił używać go aż do całkowitego i bezbłędnego wyszkolenia żołnierzy. Pod jego czujnym okiem ludzie uczyli się posługiwać muszkietem i bagnetem. Dużą wagę przykładał Wayne do indywidualnego szkolenia ogniowego, mocno zaniedbanego w poprzednich latach z powodu wysokich kosztów prochu, szczególny zaś nacisk kładł na umiejętność budowy fortyfikacji polowych oraz redut i zasieków chroniących obozowiska.

Do jesieni Legion Wayne'a zaczął przypominać dobrze zorganizowaną armię, a jej dowódca mógł z dumą napisać, że „dyscyplina wreszcie przyniosła [pożądany] efekt”. Ze względu na bliskość miasta, które generał nazywał „pograniczną Gomorą”, i związane z tym trudne do opanowania pokusy w październiku Wayne zaczął myśleć o bardziej izolowanym miejscu dla swego wojska. Ostatecznie 28 listopada bazę Legionu przeniesiono z fortu Lafayette do zimowego obozu szkoleniowego w zachodniej Pensylwanii, trzydzieści pięć kilometrów poniżej Pittsburgha. Tam na pięknej równinie na wschodnim brzegu rzeki Ohio wybudowano fort i obszerny plac ćwiczeń, któremu nadano nazwę Legionville. Obóz, otoczony bastionami i rowem obronnym, zajmował powierzchnię około czternastu hektarów i składał się z pięciuset drewnianych chat przeznaczonych na kwatery dla wojska. W Legionville żołnierze Wayne'a przez prawie pięć miesięcy codziennie ćwiczyli musztrę, walkę wręcz i strzelanie do celu, odbywali też niekończące się marsze i toczyli pozorowane bitwy.

Przedłużające się negocjacje pokojowe z wrogimi Indianami dały Wayne'owi czas na wyszkolenie żołnierzy i zgromadzenie w Legionville dostatecznych zapasów na przeprowadzenie skutecznej kampanii przeciwko plemionom z północnego Ohio. Generał bowiem, podobnie jak wielu ludzi z pogranicza, nie wierzył w wysiłki pokojowe rządu i traktował rozmowy z Indianami jako rodzaj farsy. Uważał, że żaden traktat z plemionami z Ohio nie ma sensu, dopóki „jego podstawa nie zostanie oparta na strachu i przerażeniu po stronie Indian”. Zamiast więc układać się z tubylcami, należało jego zdaniem po prostu wysłać „około dwóch i pół tysiąca żołnierzy regularnych wyposażonych w siłę zdolną narzucić swoje warunki tym wyniosłym dzikusom albo zwyczajnie ich wytępić”.

Na początku 1793 roku zaostrzyły się nagle stosunki angielsko-amerykańskie. 10 lutego brytyjski gubernator Kanady lord Dorchester na spotkaniu z Indianami w Quebecu zasygnalizował możliwość wybuchu nowej wojny z Amerykanami, po której Indianie i Brytyjczycy podzielą między siebie terytoria na Północnym Zachodzie tak, jak im się spodoba. W kwietniu żołnierze angielscy przekroczyli granicę kanadyjską i po naradzie z Indianami wybudowali w sercu ich kraju, nad porohami rzeki Maumee, fort Miami. Nowa forteca miała powstrzymać ewentualny marsz wojsk amerykańskich do Detroit i zachęcić Indian z Północnego Zachodu, aby stawili opór amerykańskiej penetracji ziem na północ i zachód od rzeki Ohio. Było to zatem pogwałcenie postanowień traktatu paryskiego z 1783 roku w odniesieniu do terytorium przekazanego Stanom Zjednoczonym

Perspektywa wojny angielsko-amerykańskiej zelektryzowała Indian. Obietnice gubernatora Kanady, wybudowanie fortu Miami oraz nowe dostawy prochu i zaopatrzenia mocno podniosły indiańskich wodzów na duchu. Przekonani o prawdziwości słów Brytyjczyków, Indianie przekazywali komendantowi fortu Miami majorowi Williamowi Campbellowi dane o liczebności armii amerykańskiej, nie kryjąc przy tym determinacji w zamiarze wyrzucenia Amerykanów z Ohio i domagając się zwiększenia dostaw broni i amunicji. W połowie 1794 roku siły brytyjskie i indiańskie były już w pełni zorganizowane i przygotowane do odparcia nowej inwazji Amerykanów.

Tymczasem generał Wayne zakończył szkolenie swoich ludzi w Legionville i 30 kwietnia wielka flotylla wojskowych barek zbudowanych zimą opuściła obóz i spłynęła osiemset kilometrów w dół Ohio do Cincinnati. Na początku maja ponad tysięczna armia zeszła na brzeg poniżej fortu Washington w Cincinnati i rozbiła namioty w obozie nad Ohio. Latem siły

Legionu sukcesywnie rosły, zasilane kolejnymi oddziałami regularnymi. Wraz z nowymi żołnierzami docierały pogłoski, że rokowania z Indianami prowadzą donikąd, istnieje zatem „prawdopodobieństwo, że pokój nigdy nie zapanuje”. Chodziły słuchy, że Legion wyruszy w pole w ciągu dwudziestu czterech godzin po otrzymaniu wiadomości o zerwaniu negocjacji.

I faktycznie: tak jak przewidział Wayne, rozmowy z Indianami załamały się całkowicie na początku września, a 11 września generał otrzymał zakodowaną zgodę na rozpoczęcie kampanii. Rozkaz, który dostał, był prosty i jednoznaczny: „Wyrzucić Indian z Ohio”. Późna pora roku stawiała pod znakiem zapytania zorganizowanie ekspedycji jeszcze tego lata, więc Wayne miał sam zdecydować, kiedy jego armia „będzie mogła dać poczuć tym beczelnym dzikusom wyższość naszej broni”. Generał jednak nie zamierzał czekać i 12 września poinstruował swoich oficerów: „nasz marsz musi być pewny, szybki i musimy uderzyć skutecznie”.

Legion Wayne’a opuścił Cincinnati 7 października. Blisko dwa tysiące pięciuset świetnie wyszkolonych, dowodzonych i wyekwipowanych żołnierzy w niczym nie przypominało armii Harmara i St. Claira, które kiedyś szły przed nimi tą samą drogą na północ. Legionistom towarzyszyła grupa około stu zwiadowców indiańskich, głównie Czoktawów i Czikasawów z Tennessee, którym Wayne „dał szansę ukarania” ich tradycyjnych indiańskich wrogów z Ohio.

W połowie października Legion zatrzymał się na zachodnim brzegu Maumee i tam w miejscu dawnego obozowiska St. Claira generał kazał wybudować ufortyfikowany obóz. Był to już siódmy posterunek na linii od Ohio, któremu na cześć generała Nathaniela Greene’a nadano nazwę Fort Greenville. Wkrótce Wayne poniósł pierwsze straty: w chłodny poranek 17 października około pięćdziesięciu Ottawów prowadzonych przez Małą Wydrę zaatakowało z ukrycia nadciągający

z Cincinnati tabor z zaopatrzeniem dla legionistów. Wojownicy zabili dwudziestu żołnierzy, a jedenastu wzięli do niewoli. Reszta eskorty uciekła, pozostawiając w rękach Indian ponad siedemdziesiąt jucznych koni oraz dużą ilość zapasów i wyposażenia. Pozbawiony znacznej części zaopatrzenia, na początku listopada Wayne zrezygnował z dalszego marszu na północ i kazał przygotować zimowe kwatery w forcie Greenville.

W Wigilię 24 grudnia generał wyprawił się na miejsce klęski nad Wabash, gdzie jego żołnierze pozbierali resztę bielejących kości ludzi St. Claira. Odszukali też i złożyli trzy działa, które po bitwie w 1791 roku Indianie ukryli w spróchniałych pniach drzew. A zaraz po świętach Bożego Narodzenia na oczyszczonym terenie pobojowiska legioniści rozpoczęli budowę nowego fortu. Dla podkreślenia faktu odnalezienia dział St. Claira placówce nadano dumną nazwę Fort Recovery (Fort Odzyskanie). W ten sposób Wayne utworzył całą linię fortów, odległych od siebie o dzień marszu, które miały zabezpieczać drogi zaopatrzenia jego armii, od bazy w forcie Washington na południu do najdalej wysuniętego na północ fortu Recovery w górnym biegu Wabash. Na zimę generał pozostawił w nowym forcie załogę dwustu ludzi, a siły główne stanęły w forcie Greenville.

Wiosną 1794 roku, po ciężkiej zimie spędzonej głównie na wzmacnianiu dyscypliny i szkoleniu do walki w lesistym terenie, część legionistów opuściła bazę w Greenville i pomaszerowała do fortu Recovery. Przez całą zimę wodzowie Indian z niepokojem obserwowali bastiony nowego fortu wyrastające w sercu ich kraju, dobrze wiedząc, że pilnuje ich energiczny generał o żelaznej woli, którego oczy rzadko zamykają się do snu. Wszystko wskazywało na to, że z nadejściem lata nastąpi inwazja Amerykanów na siedziby Indian rozmieszczone na brzegach rzek Maumee i Auglaize.

Wprawdzie Indianie nadal czuli się pewnie i patrzyli z pogardą na białych żołnierzy, ale starcie z Wayne'em napawało ich lękiem. Potwierdził to w czerwcu 1794 roku sierżant Lent Munson, jeden z żołnierzy pojmanych przez Ottawów Małej Wydry w potyczce pod fortem Greenville, który zbiegł z niewoli:

„Indianie mówili z wielką pewnością o tym, jak górują nad nami liczbą i odwagą. Przechwalali się, że nie boją się stanąć nawet jeden przeciwko czterem. Twierdzili, że armia amerykańska składa się z tchórzy i chłopców. Mimo to odczuwali trwogę przed Wayne'em, chociaż pogardzali jego ludźmi”.

Ten sam żołnierz dostarczył wielu ciekawych informacji o przygotowaniach Indian do wojny i scharakteryzował ich wojenną taktykę: „Sposób prowadzenia kampanii będzie polegał na atakowaniu taborów z zaopatrzeniem i mniejszych oddziałów. Nie dojdzie do ataku na siły główne, dopóki nie zostaną osłabione lub wyczerpane”.

Wiosną 1794 roku niepokój Niebieskiego Kaftana tak się nasilił, że zaczął on nawoływać młodych wojowników do uprzedzenia ataku Amerykanów. 15 czerwca do obozu wojennego Indian nad Maumee przybyło z północy sześciuset sprzymierzeńców: Czipewejów, Ottawów i Potawatomic, witanych przez pobratymców z Ohio dzikimi okrzykami i palbą z muszkietów. Nazajutrz odbyła się wielka narada wodzów w celu omówienia planów wojennych. Przybycie tylu nowych ludzi oznaczało dla Indian znad Ohio konieczność wyżywienia paru setek dodatkowych gąb, a zapasy w wioskach powoli się wyczerpywały. Niebieski Kaftan wiedział, że nie może dłużej czekać. Tak więc 19 czerwca, wzmocniony przez setki nowych wojowników, wyruszył na czele tysiąca pięciuset ludzi przeciwko armii Wayne'a. Indianom towarzyszyło kilku angielskich oficerów z fortu Miami oraz „pewna liczba

Francuzów i innych białych działających w interesie Brytyjczyków”.

29 czerwca indiański zwiadowca doniósł, że „na zewnątrz fortu Recovery obozuje liczny oddział Amerykanów, a obok pasie się duże stado jucznych koni”. Wodzowie Ottawów, popierani przez Czipewejów, zaczęli zachęcać do natychmiastowego ataku. Inni przywódcy niechętnie na to przystali, niemniej w nocy oddział ponad tysiąca stu wojowników, większy od tego, który zniszczył armię St. Claira nad Wabash, wyruszył na miejsce porannej zasadzki w lasach koło fortu Recovery.

Wczesnym rankiem 30 czerwca, dokładnie na poboju St. Claira z 1791 roku, wojownicy Niebieskiego Kaftana napadli na rozciągnięty w marszu powrotnym do fortu Greenville amerykański konwój majora Williama McMahona. W walce poległ dowódca, trzech innych oficerów i szesnastu żołnierzy oraz dwóch cywilnych taborytów, a trzech innych dostało się do niewoli. Rany odniosło dwóch oficerów i dwudziestu ośmiu żołnierzy. Amerykanie stracili także trzysta dwadzieścia pięć koni kawaleryjskich i jucznych. Po stronie Indian poległo tylko trzech wojowników.

Rozgrzani sukcesem Indianie z marszu zaatakowali fort Recovery, którego załogę stanowiło dwustu pięćdziesięciu artylerzystów, piechurów i strzelców pod dowództwem kapitana Alexandra Gibsona. Strzelcy byli uzbrojeni w długie strzelby pensylwańskie, a obronę fortu dodatkowo wzmacniały trzy odnalezione działa St. Claira. obrońcy, dobrze ukryci za drewnianą palisadą, zadali duże straty nieosłoniętym wojownikom, którzy próbowali przedostać się pod wały i sforsować umocnienia. „Do tego czasu dzikusy całkowicie otoczyli garnizon i zaczęli go ostrzeliwać ze wszystkich stron, a potem ruszyli do przodu tak daleko, jak tylko pozwalały wykroty i drzewa, za którymi mogli się ukryć, niektórzy na 60

czy 70 jardów” – pisał Gibson. Ottawowie i Czipewejowie „byli tak głupio ożywieni”, że „zaatakowali fort z wielką furją, zamierzając siekierami i toporami zarąbać jego załogę, ale napotkali gęsty ogień z fortu, który powstrzymał ich zapędy” i zmusił do odwrotu. Przez resztę dnia i ciemnej, mglistej nocy obie strony ostrzeliwały się wzajemnie bez wyraźnego efektu. Nazajutrz obrońcy fortu zauważyli wśród Indian brytyjskich oficerów z fortu Miami, którzy przywieźli zapas kul i prochu do ukrytych dział St. Claira, nie wiedząc, że działa te zostały odnalezione przez Amerykanów i znajdują się na wałach Recovery.

Dwudniowe ataki Indian na fort nie przyniosły powodzenia. 1 lipca w nocy zniechęceni napastnicy zabrali większość swoich poległych i wycofali się do obozów nad Maumee i Auglaize. Po powrocie do fortu Miami stwierdzili, że „żaden człowiek nie walczył nigdy lepiej niż oni pod fortem Recovery”. Zarazem przyznali, że stracili dwa razy więcej ludzi niż w bitwie z St. Clairem. Straty amerykańskie poniesione w dwóch bitwach pod fortem Recovery też były duże. Zginęło i odniosło rany ponad sześćdziesięciu ludzi, ale odparcie ataku przeszło tysiąca Indian i Brytyjczyków pokazało determinację i dobre przygotowanie bojowe żołnierzy Wayne’a.

Niepowodzenie ataku na fort Recovery zniechęciło wielu wojowników znad Wielkich Jezior tak bardzo, że opuścili wioski Indian z Ohio i powrócili do swoich odległych domów na północ i zachód od jezior Huron i Górnego. Jeden z brytyjskich agentów biorących udział w przegranej bitwie napisał:

„Zamiast około dwóch tysięcy ludzi, tak jak tego oczekiwaliśmy, mamy teraz nie więcej niż pięciuset. Rozczarowanie tym większe, że Indianie nigdy przedtem nie mieli tyle siły, aby zrobić tak wiele, a zrobili tak mało”.

Nigdy już Indianom z Północnego Zachodu nie udało się zebrać większych sił do walki z Amerykanami. Jeden

z angielskich oficerów meldował, że skutkiem ataku „są wszystkie najgorsze konsekwencje klęski, bez materialnego uszczerbku dla Amerykanów”. Nawet Mały Żółw uznał, że prowadzenie wojny ze Stanami Zjednoczonymi nie ma sensu. „Dalsza walka z nimi byłaby samobójstwem dla mojego ludu” – powiedział. Wielu historyków uważa, że atak na fort Recovery był „początkiem końca konfederacji, która zawiodła”.

W następstwie porażki pod fortem Recovery i spowodowanej nią dezercji Indian znad Wielkich Jezior pogłębił się kryzys indiańskiej konfederacji i osłabła jedność plemion. Początkowy entuzjazm do wojny z lata 1794 roku gwałtownie zmalął. Mały Żółw próbował ratować sytuację i w tym celu udał się do Detroit po pomoc i zachętę do dalszej walki. Prosił Brytyjczyków o dwa działa i dwudziestu artylerzystów potrzebnych do ponownego ataku na Recovery. „Bez waszej pomocy – powiedział – Indianie będą zmuszeni zrezygnować z próby powstrzymania armii amerykańskiej”. Komendant Detroit podpułkownik Richard England zapewnił wodza o przyjaźni i obiecał pomoc, ale przyznał, że będzie ona możliwa dopiero po „otrzymaniu rozkazów od króla”. Aby jednak okazać indiańskim sojusznikom dobrą wolę, 9 sierpnia wzmocnił załogę fortu Miami kompanią pięćdziesięciu żołnierzy, oddziałem rangersów, kilkoma artylerzystami z dwoma działami oraz setką kanadyjskich milicjantów. Niezależnie od tego Brytyjczycy z Detroit przysłali do fortu pół tony prochu strzelniczego, utwierdzając Indian w przekonaniu, że otrzymają dosyć prochu i amunicji, kiedy tylko będą ich potrzebować.

28 lipca armia Wayne’a licząca dwa tysiące legionistów i tysiąc pięciuset milicjantów z Kentucky wyszła z fortu Greenville. Prowadzona przez indiańskich zwiadowców z południowych plemion Czoktawów i Czikasawów, ruszyła

szybkim marszem przez ciemne bory na północ w poszukiwaniu wrogich Indian.

Przed wyruszeniem w pole Waszyngton przestrzegł Wayne'a, że trzecia klęska „byłaby niewymownie rujnująca dla reputacji rządu”. Pamiętając o tym, generał zastosował nadzwyczajne środki ostrożności. Jego wojsko szło w szyku ubezpieczonym, na przodzie legionieści, za nimi w pewnej odległości milicja, a na końcu tabor z zaopatrzeniem. 29 lipca amerykańska kolumna minęła fort Recovery i po wyjściu z lasów niespodziewanie znalazła się na otwartej równinie. Wyjście z lasów dodało animuszu żołnierzom Wayne'a, którzy mogli wreszcie objąć wzrokiem całą potęgę armii. Ułatwiło także dalszy marsz, ale za to naraziło ludzi na brak wody i żar bijący z bezchmurnego nieba. 6 sierpnia wieczorem wojsko stanęło obozem w odległości dziesięciu kilometrów od kompleksu indiańskich wiosek u zbiegu rzek Maumee i Auglaize.

Tak szybkie pojawienie się Amerykanów w samym sercu ich kraju było dla Indian sporym zaskoczeniem. Zaniepokojeni, w nocy z 6 na 7 sierpnia pośpiesznie opuścili swoje wioski oraz pola dojrzewającej kukurydzy i przenieśli się w dół Maumee, w sąsiedztwo fortu Miami. Nad ranem 8 sierpnia wojsko Wayne'a wkroczyło do wyludnionych wiosek. Oficerowie namawiali generała do natychmiastowego ataku i szybkiego zakończenia wojny, ale on się nie spieszył. Zamiast palić opuszczone wioski i uganiać się za małymi grupkami wojowników, wolał poczekać, aż Indianie zbiorą większe siły, żeby rozbić je w jednej decydującej bitwie. Tego dnia po raz pierwszy od wyruszenia z fortu Greenville spadł rzęsisty deszcz, który rozmył ziemię, prawie uniemożliwiając przejazd wozom taborowym.

9 sierpnia w miejscu opuszczonej indiańskiej osady żołnierze Wayne'a rozpoczęli budowę ostatniego z serii ufortyfikowanych posterunków, który otrzymał nazwę Fort Defiance (Fort

Wyzwanie)[1]. Po spaleniu wszystkich opustoszałych wiosek i zniszczeniu pól kukurydzy generał wysłał 13 sierpnia do Indian znad Maumee list, w którym w dość przyjaznym tonie przestrzegał skonfederowane plemiona, aby nie dały się zwieść pustym obietnicom Brytyjczyków i zawarły pokój z Amerykanami:

„[...] Ramię Stanów Zjednoczonych jest silne i ma dostateczną moc, ale bardziej nam zależy na miłosierdziu i uprzejmości niż na wojnie i zniszczeniu. [...] Bracia! Nie dajcie się dłużej oszukiwać i zwodzić fałszywym obietnicom i słowom złych białych ludzi znad wodospadów Maumee [Brytyjczyków z fortu Miami], którzy nigdy nie mieli siły ani zamiaru ich bronić. Nie zamykajcie dłużej oczu na wasze prawdziwe interesy i szczęście ani waszych uszu na ostatnie dźwięki propozycji zawarcia pokoju”.

Przesłanie generała trafiło do przekonania Małemu Żółwiowi. Po porażce pod fortem Recovery wódz stracił pewność zwycięstwa, nie bardzo też dowierzał mętnym obietnicom Brytyjczyków z Detroit. Wiedział, że energiczny Wayne jest zupełnie innym typem dowódcy niż Harmar i St. Clair, a jego ludzie są dużo lepiej uzbrojeni i liczniejsi od Indian. Obserwując przez ostatnie dwa lata działania generała, którego nazwał „Wodzem, Który Nigdy Nie Śpi”, Mały Żółw doceniał jego ostrożność i twardego charakter. Z tego względu zaproponował Indianom podjęcie rozmów z Wayne'em i zawarcie pokoju z Amerykanami.

„Pobiliśmy wroga dwukrotnie, kiedy dowodzili nim dwaj różni ludzie – przekonywał. – Nie możemy oczekiwać, że fortuna będzie nam zawsze sprzyjać. Teraz Amerykanów prowadzi Wódz, Który Nigdy Nie Śpi. Dzień i noc nie robią mu różnicy, przez cały czas maszeruje przez nasze wioski. Mimo czujności naszych młodych wojowników nigdy nie zdołamy go

zaskoczyć. Zastanówcie się. Coś mi podpowiada, że lepiej będzie, jeśli się z nim ułożymy”.

Słowami tymi naraził się pozostałym wodzom. Po burzliwych obradach nad pokojową propozycją Wayne'a odrzucili ją, a Małego Żółwia pozbawili funkcji i powierzyli naczelne dowództwo bardziej wojowniczo nastawionemu Niebieskiemu Kaftanowi. Wodzowie nie zamierzali pertraktować, chcieli tylko zyskać na czasie, aby zebrać większą liczbę wojowników. Dlatego nie udzielili Wayne'owi konkretnej odpowiedzi, lecz dali jedynie wykrętną obietnicę, że w ciągu dziesięciu dni wysłuchają opinii poszczególnych plemion i podejmą decyzję w sprawie wojny lub pokoju.

16 sierpnia cała armia Wayne'a przepłynęła na północny brzeg Maumee i ruszyła dalej w dół rzeki w kierunku fortu Miami. Żołnierze byli pewni siebie i przekonani, że „nieprzyjaciel zniknie, jak tylko nadejdziemy”. Tego samego dnia posłaniec dostarczył generałowi odpowiedź Indian, która nie mogła już niczego zmienić. A dwa dni później amerykańskie wojsko ostrożnym marszem dotarło w pobliże obozu wojennego Indian koło fortu Miami.

Na wieść o zbliżaniu się Amerykanów indiańscy mężczyźni wyprawili swoje kobiety i dzieci dalej w dół Maumee, do obozów usytuowanych na tyłach fortu Miami aż do jeziora Erie. 17 sierpnia wojownicy odprawili plemienne ceremonie wojenne i już wieczorem rozpoczęli tradycyjną głódówkę, ponieważ postrzał w brzuch z pełnym żołądkiem oznaczał pewny wyrok śmierci. Nazajutrz o świcie Niebieski Kaftan poprowadził wszystkich zdolnych do walki mężczyzn parę kilometrów na południe od fortu i przygotował ich do stawienia czoła nadciągającej armii Wayne'a.

Wódz Szaunisów ustawił swoich wojowników na północnym skraju niewielkiej równiny w wąskiej dolinie rzeki Maumee, w pobliżu dzisiejszego Toledo w północno-zachodnim Ohio.

Indianie, częściowo ukryci za barykadą z pni drzew przewróconych kilka lat wcześniej przez potężne tornado, mieli nadzieję, że wciągną nieprzyjaciela w zasadzkę, a powalone drzewa spowolnią jego natarcie i utrudnią mu prowadzenie celnego ognia. Liczyli też na pomoc i zaopatrzenie z fortu Miami, obsadzonego przez brytyjską załogę. Siły sprzymierzonych Indian w liczbie około tysiąca pięciuset wojowników składały się w większości z weteranów wcześniejszych bojów. Spektakularne zwycięstwo nad Wabash i wcześniejsze sukcesy w wojnie na pograniczu Ohio utwierdziły ich w przekonaniu o wyższości wojownika indiańskiego nad białym żołnierzem. Wielu z nich wierzyło nawet, że Indianie są w stanie pokonać każdą liczbę Amerykanów, bez względu na to, jak będą uzbrojeni i w jakich warunkach przyjdzie im się zmierzyć. Wiedząc, że armia Wayne'a jest bogata „w konie, koce i odzież”, liczyli na bogate łupy po „łatwym zwycięstwie, odniesionym w krótkim czasie”.

Skonfederowani Indianie nie mieli jednolitego dowództwa, tak jak Amerykanie. Przywództwo spoczywało w rękach rady najwybitniejszych wodzów, którzy wypracowali ogólną strategię i założenia taktyczne. W nadchodzącej bitwie poszczególni wodzowie mieli prowadzić oddziały swojego plemienia bardzo różnie uzbrojone: w muszkiety, karabiny, strzelby, a nawet lekkie fuzje myśliwskie. Tylko co dziesiąty wojownik używał jeszcze łuku i strzał, jako że w dobie powszechnego dostępu do broni palnej stopniowo zanikała umiejętność posługiwania się tą tradycyjną bronią.

Indianie spodziewali się przeciwnika już 18 sierpnia, ale ku ich zaskoczeniu Amerykanie nie nadeszli. Ostrożny Wayne nie spieszył się z opuszczeniem obozu i przed wyruszeniem do boju chciał zdobyć jak więcej informacji o nieprzyjacielu. Jego zwiadowcy donieśli, że wśród zwałowiska powalonych pni, nazwanego później Fallen Timbers, czyli Powalonymi

Drzewami, dostrzegli wielu ukrytych Indian, co utwierdziło go w przekonaniu, że właśnie to miejsce wróg wybrał na pole walki. Ucieszył się, że po dwu i pół roku oczekiwania jego żołnierze znaleźli się wreszcie w bezpośredniej bliskości nieprzyjaciela, który gotował się do decydującej bitwy.

Wobec niepojawienia się Amerykanów zgłodniaли Indianie wrócili do swoich obozów na wieczorny posiłek, a wtedy zwiadowcy Wayne'a mogli bezpiecznie wysledzić miejsce opuszczonej przez nich zasadzki. Nazajutrz amerykańscy żołnierze zajmowali się budową prostej ziemno-drewnianej fortyfikacji nazwanej Camp Deposit (Obóz Składowisko), a indiańscy wojownicy kontynuowali całodniowy post. Wciąż „silni duchem” czekali na „drugie zwycięstwo nad St. Clairem”. Zaalarmowani pojawieniem się amerykańskich zwiadowców, pozostawali w gotowości do walki aż do nocy.

Dwa dni nerwowego oczekiwania o jednym posiłku dziennie nadwerężyło ich siły. Ludzie byli źli, osłabieni i głodni. Na nocnej naradzie wojennej wodzowie uznali, że Wayne może zwlekać z atakiem jeszcze wiele dni, i ulegając skargom głodnych wojowników, wyrazili zgodę, aby rano zjedli śniadanie. Rankiem 20 sierpnia padał deszcz, co pozwalało sądzić, że i tego dnia nie dojdzie do bitwy. Około jednej czwartej wojowników pozostało więc w obozie i wałęsało się w oczekiwaniu na pierwsze od trzech dni śniadanie. Tylko najbardziej zdyscyplinowani Wyandoci w towarzystwie kanadyjskich milicjantów udali się prosto na stanowiska obronne. Za nimi podążyły luźne grupy wojowników z innych plemion. I wtedy nadciągnęło ponad trzy tysiące Amerykanów i ich indiańskich sojuszników. A naprzeciw nich stanęło zaledwie tysiąc stu przymierzonych Indian i Kanadyjczyków.

Około siódmej rano przestało padać i niebo się przejaśniło. Kwadrans później Wayne kazał dobozom bić w bębny sygnał na zbiórkę, zwyczajowo wzywający poszczególne oddziały do

zajmowania swojego miejsca w szyku marszowym. Ale bębny zamokły i powstało lekkie zamieszanie. Na szczęście generał wyznaczył wcześniej grupę oficerów, którzy mieli roznosić w czasie bitwy jego rozkazy dowódcom oddziałów. Teraz nakazali oni poderwać ludzi i ustawić ich w gotowości do marszu.

Okolo ósmej armia wyruszyła z obozu w formie Deposit, podzielona na trzy duże kolumny maszerujące równolegle w niewielkiej od siebie odległości lewym brzegiem Maumee. Legioniści szli lekko, pozostawiając wszystkie zbędne rzeczy, nawet plecaki, „niosąc tylko koc i dwudniową rację żywności”. W tyle za wojskiem regularnym maszerowała konna milicja z Kentucky. A gdy pogoda się poprawiła i wilgotny poranek nabrał ciepła, ponad trzy tysiące żołnierzy rozwinęło się jak na paradzie i ruszyło do przodu szerokim frontem.

Szyk obronny Indian i Kanadyjczyków przypominał lekko zakrzywioną linię o szerokości do tysiąca metrów, w której rozproszeni wojownicy stali na głębokość sześciu szeregów. Na skraju lewego skrzydła, tuż nad opadającą ku rzece skarpią, czuwał mały oddziałek Czipewejów z okolic Detroit. Na prawo od niego stanęły siły Ottawów z wybitnymi wodzami wojennymi Egushawą, Stopą Indyka i Małą Wydrą na czele. Po prawej stronie Ottawów ulokowała się niewielka grupa Potawatomicz z wioski przy ujściu rzeki St. Joseph do jeziora Michigan. Centrum indiańskiego szyku zajęli Szaunisi pod wodzą Niebieskiego Kaftana, a na prawo od nich usytuowali się Delawarowie z Buckongahelą, Kapitanem Fajką i Wielkim Kotem. Środek linii uzupełniało osiemdziesięciu Miamisów, zaledwie resztkę zwycięskiego plemienia, które jeszcze niedawno pod przywództwem Małego Żółwia prowadziło skonfederowane plemiona do zwycięstwa nad Harmarem i St. Clairem. Na prawym skrzydle Indian czuwali Wyandoci prowadzeni przez kilku bitnych wodzów, wśród których

wyróżniał się Żuraw. U boku mówiących irokeskim narzeczem Wyandotów przycupnęła garstka Mingów i Mohawków, którzy jako jedyni z Irokezów stanęli przeciw Amerykanom razem z Algonkinami. Na prawym skrzydle Indian wspierało siedemdziesięciu kanadyjskich milicjantów z okolic Detroit. Wszyscy oni byli ochotnikami – doświadczonymi myśliwymi lub lojalistycznymi uchodźcami, którzy uciekli do Kanady po rewolucji. Wielu z nich walczyło wcześniej w Ohio w szeregach rangersów Butlera. Nominalne dowództwo nad Indianami spoczywało w rękach Niebieskiego Kaftana, a ogólną komendę nad Kanadyjczykami sprawował podpułkownik William Caldwell. Milicjanci Caldwell, „sami biali ludzie uzbrojeni w brytyjskie muszkiety i bagnety”, nosili indiańskie stroje.

Nikt nie miał wątpliwości, że i tym razem Indianie wyjdą z walki zwycięsko. „Jestem pewny jak zawsze – napisał jeden z oficerów kanadyjskiej milicji przed bitwą – że i tym razem [Indianie] pokonają swoich wrogów”.

Po mniej więcej dwóch godzinach od wyjścia z fortu Deposit straż przednia Wayne’a zatrzymała się niedaleko miejsca, gdzie wcześniej zauważono Indian. Krótco potem dwaj najbardziej wysunięci do przodu szperacze wjechali w leśną gęstwinę, uważnie przyglądając się każdemu mijanemu krzakowi i drzewu. Nagle huknęły strzały i obaj szperacze zwalili się z koni na ziemię. Ogień przyczajonych za drzewami Indian przybierał na sile, więc Amerykanie zaczęli się wycofywać. Na ten widok gromada Indian wyskoczyła z ukrycia i ostrzelała zwiadowców „z ogromnym rykiem z niewielkiej odległości”. Inna grupa, prowadzona przez paru konnych wojowników, wyłoniła się z boku i próbowała odciąć kawalerzystom drogę odwrotu. Amerykanie powstrzymali ich na chwilę nierówną salwą, ale Indianie nie zrezygnowali i znowu otworzyli „bardzo ciężki ogień”. W tej sytuacji odwrót zwiadowców szybko przekształcił się w bezładną ucieczkę. Wielu Indian z centrum

i lewej flanki pognało za nimi i ścigało ich „z wielką gwałtownością przez prawie dwie mile”.

Amerykanie skupili całą uwagę na lewej flance Indian w pobliżu rzeki, prawdopodobnie dlatego, że mieli tam znacznie lepszy widok niż w innych częściach pola walki. Widząc, co się dzieje, Wayne natychmiast rzucił do ataku na bagnety pierwszą linię piechoty, spychając zaskoczonych Indian z powrotem do lasu. Zamierzał wyrzucić wroga zza barykady z pni, a potem pozbawionego osłony zdziesiątkować ogniem muszkietów podczas ucieczki.

W tym krytycznym momencie, kiedy środek ugrupowania Indian cofnął się, zaskoczony widokiem piechoty nacierającej z wysuniętymi bagnetami Wayne posłał do boju regularną kawalerię. Była to jedna z najbardziej dramatycznych szarży w historii amerykańskiej kawalerii. Dragoni, skacząc w pełnym galopie przez powalone pnie niczym dżokeje w wyścigu z przeszkodami, cięli ciężkimi szablami i gonili wszystkich, którzy stanęli im na drodze. Próbujący nadążyć za kawalerzystami piechurzy co i rusz napotykali ciała Indian „pocięte i porąbane w straszny sposób”. Nie minęło parę minut, a przerażeni błyskiem szabel i dudnieniem setek końskich kopyt Indianie na lewej flance zapomnieli o walce i poszli w rozsypkę, przemykając między drzewami lub ratując się ucieczką na brzeg rzeki. Według legendy dowodzący skrajnym lewym skrzydłem wódz Ottawów Stopa Indyka wskoczył na duży głaz wystający z grząskiej ziemi nieopodal rzeki i próbował powstrzymać uciekających. Rażony kulą, runął martwy u stóp kamienia, który nazwano potem Skałą Stopy Indyka (*Turkey Foot Rock*). Podjęta przez niego próba zorganizowania obrony zawiodła, a jego wojownicy czmychnęli tak szybko, że nie mogli ich doścignąć nawet rozpędzeni dragoni.

Po drugiej stronie pola bitwy natarcie Amerykanów od początku rozwijało się z trudem, bo dzielnych Wyandotów wspierali tam zaprawieni w bojach kanadyjscy milicjanci, a i warunki terenowe były znacznie gorsze. Przez krótki czas wydawało się nawet, że Wyandoci i Kanadyjczycy zdołają oskrzydlić nieprzyjaciela, ale zatrzymał ich zdecydowany kontratak legionistów. Amerykańscy żołnierze zepchnęli przeciwnika w głąb lasu, zabijając przy tym kilku wodzów Wyandotów.

Podczas gdy główny ciężar walki skupił się na obu skrzydłach, Indianie w środku linii – ci, którzy pogonili za zwiadowcami – stanęli naprzeciwko kontratakującej piechoty Wayne'a. W grupie tej znajdował się młody i nieznany jeszcze wódz Szaunisów Tecumseh. Nie odegrał znaczącej roli w walce, ale poprowadził do boju grupkę wojowników, w której byli także dwaj jego młodsi bracia. To jego oddziałek razem z innymi wojownikami na samym początku bitwy zaatakował przednią straż Amerykanów. W ferworze walki Tecumseh, po oddaniu kilku strzałów, popełnił błąd: zapomniał wsypać proch do lufy muszkietu i wcisnął na jej dno kulę, wskutek czego broń stała się niezdatna do użytku. Naciskani przez nieprzyjacielską piechotę jego wojownicy zaczęli się cofać. Wtedy młody wódz zawołał, że pokaże im, jak się walczy, jeśli ktoś pożyczy mu broń. Dostał nowy muszkiet i jego Szaunisi znowu stanęli do walki, ale pod naciskiem wrogich bagnatów musieli ustąpić i cofnęli się spory kawałek, za osłonę ze zwalonych pni. Wkrótce nadeszła równo maszerująca w takt werbli amerykańska piechota. Bezustannymi salwami i śmiałymi atakami na bagnety zaczęła spychać Indian krok za krokiem, nie dając im nawet czasu na załadowanie muszkietów. W końcu Szaunisi oddali ostatnią, nierówną salwę i wzięli nogi za pas, pozostawiając na polu bitwy ciało Sauwausekau, jednego

z braci Tecumseha, zabitego prawdopodobnie odłamkiem kuli armatniej.

W zamieszaniu bitewnym jeden z oddziałów amerykańskich strzelców przedarł się na tyły Indian i celnym ogniem zaczął ich spychać wprost pod bagnety nacierającej piechoty. Tego już Indianie nie wytrzymali. Po niespełna dwóch godzinach walki całkowicie ustąpili pola i wycofali się pod osłonę fortu Miami, w którym mieli nadzieję znaleźć schronienie. Sukces Amerykanów w centrum i na prawym skrzydle przesądził o wyniku bitwy. Zanim rzuceni do walki z Wyandotami kawalerzyści z Kentucky zdążyli dokończyć manewr okrążający na lewym skrzydle, walki już wygasły.

Ostatni wycofali się Wyandoci i Kanadyjczycy, którzy dzielnie osłaniali odwrót pozostałych sił, ponosząc przy tym dalsze straty. Ale rozgrzany sukcesem Legion atakował nadal. Dopiero trzy i pół kilometra dalej w dół rzeki, kiedy zorganizowany opór Indian całkiem ustał, a nacierające oddziały przemieszały się i ogarnął je chaos, Wayne rozkazał przerwać walkę. Bicie bębnow i sygnał trąbek dały żołnierzom sygnał do zatrzymania się tam, gdzie stali. Generał jeździł wśród szeregów swoich legionistów i odgrażał się, że „da nauczkę Indianom i Brytyjczykom, dokądkolwiek pójdzie”.

„Wszystkie te hordy dzikusów, razem ze swoimi sojusznikami, rzuciły się do ucieczki. Rozbiegły się w przerażeniu i konsternacji, pozostawiając w pełne i spokojne posiadanie naszej zwycięskiej armii całe pole bitwy, która zakończyła się dopiero pod lufami armat brytyjskiego garnizonu” – donosił 28 sierpnia w meldunku do sekretarza wojny, Henry’ego Knoxa.

Dowódca fortu Miami major Campbell słyszał odgłosy bitwy dochodzące spod Fallen Timbers, ale kiedy 20 sierpnia rano pierwsi indiańscy uciekinierzy pojawili się u jego bram, przestraszony kazał je zatrzasnąć. „W końcu sytuacja stała się

tak poważna – meldował dowódcy fortu Detroit – że pomyślałem, iż najwyższy czas chwycić za broń, pozamykać wszystkie bramy fortu i przerwać wszelką komunikację ze światem zewnętrznym”.

Bezradni Indianie natychmiast zrozumieli, co się stało. Ten symboliczny „akt izolacji” Brytyjczyków wywołał w nich rozgoryczenie i niepohamowaną wściekłość. Anglicy ich zdradzili, opuścili w godzinie decydującej próby! Pomimo lat obietnic i zapewnień o przyjaźni, pomimo gorących słów zachęty do walki z Amerykanami, pomimo wybudowania w ich kraju fortu Miami oraz dziesiątków ton zaopatrzenia i prochu przysłanych z Detroit! Chociaż Campbell rozsądnie realizował oficjalną politykę Londynu, nie występując otwarcie po stronie Indian toczących wojnę ze Stanami Zjednoczonymi, decyzja o zamknięciu bram fortu Miami w połączeniu ze zwycięstwem Wayne’a doprowadziła do zerwania sojuszu indiańsko-brytyjskiego i zakończyła na zawsze walkę o dolinę Ohio.

Bój pod Fallen Timbers należał do najkrótszych starć o decydującym znaczeniu w historii Stanów Zjednoczonych. Sama bitwa nie była zbyt krwawa i kosztowała każdą ze stron prawdopodobnie po około stu ludzi. W oficjalnym raporcie Wayne podał liczbę dwudziestu sześciu poległych i osiemdziesięciu siedmiu rannych legionistów oraz siedmiu zabitych i trzynastu rannych milicjantów z Kentucky. Według brytyjskich obserwatorów straty Amerykanów wyniosły ponad trzystu zabitych i rannych. Amerykanie uważali, że z ich rąk zginęły setki Indian, ale na polu bitwy znaleźli ciała co najwyżej czterdziestu wojowników i jednego Kanadyjczyka. Wayne podejrzewał, że większość swoich poległych Indianie zdołali wynieść: „Straty nieprzyjaciela są ponad dwukrotnie większe niż Armii Federalnej – meldował Knoxowi. – Okoliczny las był pokryty na znacznym odcinku ciałami zabitych Indian i ich

białych pomocników, przy czym ci ostatni byli uzbrojeni w brytyjskie muszkiety z bagnetami”.

Faktyczne straty po obu stronach nie miały większego znaczenia. Dla Amerykanów ważne było to, że bitwa pod Zaporą z Pni pokazała, iż świetnie wyszkolony i zdyscyplinowany Legion Wayne’a i jego dowódca są niezwyciężeni. Indianie boleśniej niż straty w ludziach odczuli upadek morale i zdradę Brytyjczyków, którzy obawiali się sprowokować neutralny naród w czasie, gdy prowadzili wojnę z rewolucyjną Francją.

Nazajutrz po bitwie Wayne planował wziąć szturmem fort Miami, ale zrezygnował z tego zamiaru. Zdobycie fortyfikacji z ponadtrzyosobową załogą i licznymi działami wymagałoby użycia ciężkiej artylerii i długiego oblężenia, a na to generał nie miał ani czasu, ani wystarczających zapasów żywności. Zapropował majorowi Campbellowi kapitulację, a kiedy ten odmówił, kazał konnym ochotnikom z Kentucky zniszczyć wszystkie indiańskie obozy i spustoszyć całą okolicę w promieniu osiemdziesięciu kilometrów. Aby jeszcze bardziej zastraszyć Indian, żołnierze zbezczeszcili ich cmentarze, wykopując z grobów stare kości i świeżo pochowane ciała. Na znak zwycięstwa generał Wayne wzniósł na miejscu indiańskich wiosek u zbiegu trzech rzek: St. Joseph, St. Mary’s i Maumee, nowy fort, który na jego cześć nazwano Fort Wayne[2].

Bitwa pod Fallen Timbers kończyła pewną epokę w historii stosunków amerykańsko-indiańskich. Dla Indian w sensie politycznym była to druzgocąca klęska, z której plemiona z Północnego Zachodu nie podźwignęły się przez kilkanaście lat. Bitwę tę uważa się za jedną z trzech najważniejszych bitew okresu budowy Stanów Zjednoczonych (obok Saratogi i Yorktown). Po zwycięstwie Wayne’a podpisano 3 sierpnia 1795 roku w forcie Greenville traktat pokojowy. Na jego mocy

Indianie utracili na rzecz Stanów Zjednoczonych dolinę Ohio, większość Indiany oraz okolice Chicago i Detroit. W 1796 roku Brytyjczycy ewakuowali tkwiący niczym cierń w ciele zachodnich terytoriów garnizon wojskowy z Detroit. W 1803 roku ta część kraju weszła pod nazwą Ohio w skład Stanów Zjednoczonych jako siedemnasty stan Unii.

Traktat z Greenville, nazywany często „początkiem nowoczesnej historii Ohio”, tylko częściowo rozwiązał problem i nie przetrwał próby czasu. Wielu Indian nigdy go nie uznało i nadal sprzeciwiało się osadnictwu białych w krainie Ohio, co parę lat później doprowadziło do nowej wojny. Z kolei osadnicy amerykańscy nie przestrzegali granic wyznaczonych układem i ustawicznie wdzierali się na ziemie Indian. W następnych latach trzeba było podpisać wiele nowych traktatów, które zastąpiły porozumienie z Greenville i pozbawiły plemiona indiańskie kolejnych ziem na Północnym Zachodzie. Gdy w 1812 roku wybuchła wojna amerykańsko-angielska, Terytorium Północno-Zachodnie było już właściwie wolne od Indian.

Po zakończeniu wojny z Indianami z Ohio generał Wayne pozostał w armii i nadzorował proces wycofywania się Brytyjczyków z Terytorium Północno-Zachodniego. Anglicy przystąpili do ewakuacji fortów Ontario, Miami, Niagara, Detroit i Michilimackinac 1 czerwca 1796 roku, a w sierpniu przekazali Amerykanom ostatni posterunek. Cały proces odbywał się sprawnie i bez incydentów. Wayne triumfował, ale jesienią tego roku dały o sobie znać dawne rany i trudy wojenne. Nim nadeszła zima, generał ciężko zachorował i 15 grudnia zmarł niespodziewanie w forcie Presque Isle w Pensylwanii. Smagani podmuchami zimnego wiatru towarzysze zmarłego złożyli jego ciało w zmrożonej ziemi tuż obok masztu flagowego na środku fortowego dziedzińca.

Główny oponent generała, wódz Niebieski Kaftan, w lipcu 1805 roku podpisał traktat w forcie Industry (Ohio), który otworzył dla osadnictwa Stanów Zjednoczonych następne tereny Terytorium Północno-Zachodniego. Jego dalsze losy pozostają nieznane. Prawdopodobnie resztę życia spędził w okolicach Sandwich w Ontario i zmarł nad rzeką Detroit około 1810 roku. Do dziś jest uważany, obok Kaczana Kukurydzy, za najwybitniejszego przywódcę Szaunisów w ostatnich latach ich wolności.

Wódz Miamisów Mały Żółw doradzał mądrze swoim współplemieńcom, jak utrwalić pokojowe współżycie z białymi. W latach 1797 i 1798 był w Filadelfii, gdzie spotkał się z Jerzym Waszyngtonem i jego następcą, Johnem Adamsem. W latach 1803–1809 podpisał jeszcze kilka traktatów ze Stanami Zjednoczonymi, co nie przysporzyło mu popularności wśród zwolenników zbrojnego oporu przeciwko ekspansji Amerykanów. Zmarł 14 lipca 1812 roku w swojej wiosce Turtletown w pobliżu fortu Wayne, gdzie rząd amerykański, doceniając wysiłki wodza dla utrwalenia pokoju, wybudował dla niego wygodny dom. Pochowano go zgodnie z plemiennym obyczajem, ale także z honorami wojskowymi.

Przypisy

- 1 Nazwa fortu nawiązuje do słów znanego z gorącej krwi dowódcy milicji z Kentucky generała Charlesa Scotta, który powiedział: „Wyzywam Anglików, Indian, i niech to wszyscy diabli wezmą!”.
- 2 Nazwa „Fort Wayne” została wcześniej uzgodniona w korespondencji generała Wayne’a z Departamentem Wojny. Fort służył jako posterunek wojskowy do 1819 r., kiedy to Indiana stała się samodzielnym stanem. W forcie zainstalowano faktorię indiańską i agencję Miamisów. Dziś Fort Wayne jest drugim największym ośrodkiem miejskim w stanie Indiana.

Tecumseh i konflikt dwóch kultur

Po przybyciu w pobliże Miasta Proroka generał Harrison ostrzegł swoich ludzi przed możliwością zdrady ze strony Indian. Jego wojsko rozłożyło się umocnionym obozem w kształcie dużego prostokąta, a każdy żołnierz miał spać w ubraniu i z bronią gotową do strzału. W środku obozowiska rozpalono wielkie ogniska, które miały chronić ludzi przed przenikliwym zimnem i wilgocią nocy, a dookoła rozstawiono silne straże.

Wódz Szaunisów Tecumseh przestrzegwał swojego młodszego brata Tenskwatawę, zwanego Prorokiem, aby nie wdawał się w walkę z Amerykanami, dopóki indiańska konfederacja nie zespoli się na dobre i nie nabierze siły, ale rozsierzony wizjoner nie słuchał go i podburzył Indian ognistym przemówieniem. Zapewniając wojowników, że kule białych nie wyrządzą im żadnej krzywdy, nocą poprowadził ich prosto na obozowisko Harrisona. Rankiem zajął miejsce na wysokiej skale na zachód od szanca amerykańskich żołnierzy i wydał rozkaz do ataku. Dwie godziny później na polu bitwy leżało blisko dwustu zabitych i rannych Amerykanów, ale atak został odparty i pobici Indianie uciekli, a ich dotychczasowy sojusz rozpadł się na dobre. Rozgniewani oszustwem Proroka wojownicy indiańscy odebrali mu przywództwo i zagrozili śmiercią, a Harrison, obawiając się, że wróci Tecumseh z nowymi siłami, spalił Miasto Proroka ze wszystkimi jego zapasami i ruszył w drogę powrotną do Vincennes.

Wodzowie indiańscy, pokonani przez Legion Wayne'a pod Fallen Timbers, podpisali traktaty pokojowe i sprzeciwiali się dalszej walce z Amerykanami. Inaczej myśleli młodszy przywódcy, którzy nigdy nie pogodzili się z klęską. W 1805 roku tysiące Indian z Ohio znalazło się pod wpływem nowej religii powstałej wskutek wizji młodego proroka Szaunisów Tenskwatawy, co w indiańskim narzeczu oznacza Otwarte Drzwi. Mieli oni zaniechać zawierania małżeństw z białymi, odrzucić ich religię, narzędzia, ubiór, alkohol i powrócić do dawnego sposobu życia, zepsutego w wyniku kontaktów z białymi.

Z klęską przysiężenia Małego Żółwia i rozstrzygnięciami traktatu z Greenville nie pogodził się przede wszystkim sam Tecumseh, czyli Puma Gotowa do Skoku.

Tecumseh (1768–1813) urodził się jako piąte dziecko Puckeshinwy, naczelnika Szaunisów z wioski Stara Piqua w Ohio, i Methoataske, kobiety z plemienia Krików znad rzeki Tallapoosa we wschodniej Alabamie. Jako młody wojownik brał udział w walkach z oddziałami generałów Harmara i St. Claira w lasach Ohio i wyróżnił się w przegranej bitwie pod Zaporą z Pni. Nie uczestniczył w obradach w Greenville i nigdy nie podpisał traktatu, który odbierał Indianom ziemie w Ohio. Całe swoje dorosłe życie poświęcił na zjednoczenie Indian i walkę z falą amerykańskiego osadnictwa. Na kartach historii pojawił się wyraźniej w 1805 roku, kiedy opierając się na wizjach i naukach religijnych swego brata Proroka, przy poparciu Brytyjczyków zaczął działać na rzecz utworzenia wielkiej konfederacji plemion indiańskich, zdolnych przeciwstawić się naporowi Amerykanów. W tym celu wzywał Indian do zaprzestania walk międzyplemiennych, do zerwania z praktyką sprzedaży tradycyjnych łowisk indiańskich białym ludziom bez zgody wszystkich zainteresowanych plemion, do uznania swoich ziem za wspólną własność. Przemierzał kraj od Missisipi

do Nowego Jorku i od Wielkich Jezior do Florydy, przekonując poszczególne plemiona do swych racji, do zjednoczenia, do powstrzymania się od picia alkoholu i zajęcia się wspólną uprawą roli, aby odebrać białym pretekst do oskarżania Indian o marnotrawstwo ziemi i uchronić ich przed zagładą.

Ten żarliwy patriota, świetny dyplomata i wybitny mówca założył w 1805 roku razem ze swoim bratem wioskę zwaną Miastem Proroka (*Prophet's Town*), która chociaż nie była żadnym plemiennym centrum, liczyła więcej mieszkańców niż jakakolwiek inna indiańska wieś w regionie. Położone w pobliżu Greenville w Ohio Miasto Proroka miało w planach Tecumseha stanowić załóżek nowego indiańskiego państwa na północ od rzeki Ohio, oddzielającego posiadłości brytyjskie i amerykańskie. To tam Tecumseh i jego brat ogłosili się wysłannikami boskiego Pana Życia, powołanymi do zjednoczenia wszystkich plemion i powstrzymania inwazji białych ludzi, usiłujących odebrać Indianom tereny łowieckie, zmienić ich tradycyjny styl życia i pozbawić ich kulturowej tożsamości.

Hasła te znalazły oddźwięk wśród Indian i wkrótce zgromadzili się oni licznie wokół Tecumseha i Tenskwatawy. Przebiegły Prorok, chcąc pokazać im swoją siłę, przygotował dla nich pokaz „nadprzyrodzonych mocy”. Dowiedziawszy się prawdopodobnie od chrześcijańskich kwakrów o zbliżającym się zaćmieniu Słońca, 16 czerwca 1806 roku zwołał Indian na wielkie show. Ubrany w długi czarny płaszcz ze skóry bizona i przystrojony w pióropusz z kruczych piór, tuż przed południem wskazał palcem w niebo i ogłosił, że zaraz zgaśnie słońce. Zgodnie z zapowiedzią, wkrótce Księżyc przesłonił tarczę słoneczną, a zabobonnych Indian ogarnął nieopisany strach. Kiedy w wyniku modłów i prośb Proroka Pan Życia przywrócił po jakimś czasie światłość dnia, wszyscy byli pod wrażeniem mocy wizjonera, przekonani, że może on zrobić

wszystko, o co poprosi. Wieści o potędze Proroka rozeszły się po okolicznych puszczech jak pożar i z wielokrotnionym echem, urosły do niebotycznej rangi, zyskując obu braciom rzesze oddanych zwolenników.

Pod wpływem fanatyzmu religijnego wyznawcy nowej wiary napadli i zabili kilku starych wodzów, oskarżanych o sprzyjanie białym. W maju 1808 roku wrogość Amerykanów i niechęć niektórych plemion z Ohio zmusiły braci do przeniesienia się i założenia nowego Miasta Proroka, na ziemi Potawatomic i Kikapu, w miejscu nieistniejącej od siedemnastu lat osady Keth-tip-pet-can-nunk na północnym brzegu rzeki Wabash, niedaleko jej zbiegu z Tippecanoe w dzisiejszej Indianie. Był to żyzny region zdolny wyżywić znaczną liczbę ludzi. Rozległe pola kukurydzy, uprawiane przez kobiety i dzieci, ciągnęły się na północ i zachód, granicząc z trudnymi do przebycia mokradłami pokrywającymi tę część doliny Wabash. Sama wieś składała się z ponad stu wygodnych chat (wigwamów) wykonanych z drewnianych prętów pokrytych korą drzew i wysłanych wewnątrz skórami zwierząt, ustawionych w regularnych rzędach odgradzonych od siebie ulicami, „na których stało wiele koni należących do mieszkańców”. Miasto Proroka miało doskonałą komunikację ze światem. Latem rzeka Wabash i jej liczne odgałęzienia umożliwiały dotarcie łodziami kanu do najdalszych zakątków regionu, zimą sprawnie funkcjonowały dwa główne szlaki: jeden, często nazywany szlakiem Tecumseha, wiódł na południe wzdłuż biegu Wabash, a drugi prowadził na północ zachodnim brzegiem Tippecanoe do ujścia rzeki Monon. Oba były łatwe do przebycia i nadawały się do podróżowania wypróbowanymi sposobami Indian, konno lub pieszo. W tak położonym Mieście Proroka Tecumseh i Tenskwatawa przygotowywali swoich wyznawców do nowej wojny z Amerykanami w sojuszu z Anglikami z Kanady, po

wybuchu spodziewanego konfliktu pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Wielką Brytanią.

W planach obu braci nowa stolica rodzącej się konfederacji Indian miała być odpowiednikiem amerykańskiego Waszyngtonu i centrum przyszłego państwa indiańskiego. To do niej z bliska i z daleka ściągaly tłumy niezadowolonych Indian, którzy pragnęli osobiście poznać nauki wizjonera Tenskwatawy i dzielić swój los z wielkim Tecumsehem. To tu znajdowało się centrum dyplomacji wodza Szaunisów, tu rodziły się jego koncepcje polityczne i tu powstawała baza zaopatrzeniowa i szkoleniowa przeznaczona dla członków zjednoczonych plemion. W szczytowym momencie w Mieście Proroka przebywało tysiąc wojowników z różnych plemion, poddawanych rygorystycznemu szkoleniu religijnemu i wojennemu, oraz około trzystu kobiet i dzieci, które troszczyły się o ich wyżywienie i wygodę. Zakres ćwiczeń przygotowanych dla wojowników przez Tecumseha i Tenskwatawę obejmował zbiorowe modły i tańce połączone z takimi wojennymi sportami, jak: strzelanie z łuku, rzut tomahawkiem, zadawanie ciosów maczugą wojenną, bieganie, pływanie i zapasy. Wszystkie te ćwiczenia przenikała niezachwiana wiara w magiczną moc Proroka jako zbawcy Indian.

Paradoksalnie, jedną z głównych przyczyn niezadowolenia Indian z Ohio było wstrzymanie przez Amerykanów corocznych dostaw soli. Sól, której Indianie nauczyli się używać głównie do utrwalania zapasów żywności, należała w tym czasie do najcenniejszych towarów handlowych. Władze amerykańskie zobowiązały się do jej dostaw w zamian za indiańską ziemię, ale nie zawsze dotrzymywały słowa. Dostawy soli docierały zwykle z dużym opóźnieniem, trafiały nie tam gdzie trzeba lub nie docierały wcale. To lekceważenie tak wściekało Indian, że nieraz na znak protestu odmawiali przyjęcia „renty solnej” lub grozili białym wybuchem wrogości.

Bardziej bezpośrednim powodem groźnego napięcia we wzajemnych stosunkach był jednak traktat zawarty 30 września 1809 roku w forcie Wayne z plemionami Delawarów, Potawatomich, Miamisów, Wea, Kikapu oraz Indian znad Rzeki Węgorzy (*Eel River*). Na jego mocy Indianie sprzedali Stanom Zjednoczonym szmat ziemi w dolnym biegu Wabash, na północ od miasta Vincennes. Tym samym od 1802 do końca 1809 roku Ameryka weszła w łączne posiadanie terytorium o powierzchni ponad stu dwudziestu tysięcy kilometrów kwadratowych, pozbawiając plemiona z Indiany ulubionych terenów łowieckich.

Tecumseh i Tenskwatawa konsekwentnie oponowali przeciwko zawieraniu takich traktatów przez poszczególne plemiona bez zgody wszystkich i odmawiali ich uznania, uważając je za nieważne. Tecumseh, przekonany, że odstąpione ziemie powinny być oddane Indianom, w lipcu 1810 roku ostro zażądał ich zwrotu od gubernatora Indiany w Vincennes, Williama Henry'ego Harrisona. Nic nie wskórawszy, w sierpniu 1811 roku ostrzegł Harrisona, że jeśli biali wyślą na sporny obszar swoich ludzi, którzy zaczną mierzyć ziemię nabytą traktatem z fortu Wayne, Indianie stawią zbrojny opór. Odtąd napięcie narastało, w każdej chwili grożąc wybuchem wojny. Wrogość Indian odbiła się na posłańcach przynoszących listy od Harrisona do Tecumseha w Mieście Proroka. Jeden z nich, Joseph Barron, francuski kupiec z Vincennes i wieloletni tłumacz gubernatora, poliglota władający ponoć siedemnastoma narzeczami indiańskimi, omal nie zginął pewnego razu z ręki rozsierzonego Proroka. Tylko szybka interwencja Tecumseha pozwoliła mu wyjść z opresji cało.

Wkrótce po nieudanej próbie wymuszenia na Harrisonie zwrotu ziem nabytych podstępnie od Indian w forcie Wayne, Tecumseh wyruszył na południe, aby przekonać do swoich racji potężnych Krików, Czikasawów, Czoktawów i Osagów. Jego

dalekowzrocne plany zjednoczenia wszystkich Indian i utworzenia państwa indiańskiego na północ od Ohio zaniepokoiły zarówno amerykańskich osadników z Indiany, jak i rząd Stanów Zjednoczonych. Uznano, że trzeba położyć temu kres. W tym celu późnym latem 1811 roku generał Harrison ściągnął do Vincennes pułk regularnej piechoty, wzmocnił go milicją terytorialną oraz ochotnikami z Kentucky, tworząc niewielką armię tysiąca żołnierzy. Jej zadaniem było rozprawić się z indiańską konfederacją.

Wojsko Harrisona wyruszyło z Vincennes 26 września i 6 listopada wieczorem dotarło w pobliże Miasta Proroka. Tam gubernator spotkał się z indiańskimi emisariuszami, którzy zaproponowali mu przeprowadzenie nazajutrz rozmów pokojowych z udziałem Proroka i jego wodzów, po czym wskazali białym dogodne miejsce na obozowisko. Obawiając się podstępny i zdrady Indian, Harrison uformował szyk bojowy na skrawku suchej polany otoczonej podmokłym lasem porastającym brzegi strumienia Burnet's Creek wpadającego do pobliskiej Wabash i nakazał żołnierzom spać w ubraniu i z bronią gotową do strzału na wyznaczonym stanowisku obronnym. Bezpieczeństwa strzegły silne warty, a w środku obozowiska rozpalono ogromne ogniska, które miały rozjaśniać mroki nocy i ogrzewać zziębniętych listopadowym chłodem ludzi, w większości pozbawionych namiotów i ciepłych okryć.

I faktycznie, nad ranem 7 listopada wojownicy indiańscy, zachęceni gorącymi słowami Proroka, który przepasany magicznym pasem z ziaren fasoli obiecał im odporność na kule wroga, zaatakowali obóz Amerykanów. Ci jednak nie dali się zaskoczyć i po krótkiej walce zmusili Indian do odwrotu.

„Indianie zostali odparci przez piechotę atakiem na bagnety, a dragoni pogonili ich i zapędzili w bagna, gdzie nie mogli już kontynuować pościgu – donosił Harrison w meldunku do sekretarza wojny Williama Eustisa [...]. – Żołnierze sformowali

się pod ogniem wroga i zaatakowali Indian, zabijając wielu z nich i zmuszając resztę do pospiesznego odwrotu”.

Kiedy w czasie walki okazało się, że kule białych zabijają i ranią Indian, wojownicy wściekłą gromadą otoczyli fałszywego proroka, który stał na wysokiej skale, skąd nimi dowodził, i chcieli go zabić. Przestraszony Tenskwatawa poskarżył się wówczas, że jego „czary” zepsuła żona, profanując bez jego wiedzy magiczne przedmioty, które zapewniały mu nadprzyrodzoną moc. W ten chytry sposób, zrzucając winę na swoją kobietę, wyłgał się od niechybnej śmierci. Niemniej nie udało już mu się zebrać ponownie ludzi do obrony miasta, toteż żołnierze Harrisona wzięli je nazajutrz bez walki.

Według oficjalnych danych straty Amerykanów w bitwie nad Tippecanoe wyniosły ponad sześćdziesięciu zabitych i zmarłych z ran oraz stu dwudziestu sześciu rannych. Przyjmuje się, że wzięło w niej udział od pięciuset do siedmiuset Indian, głównie Potawatomich, Szaunisów, Kikapu, Delawarów, Winnebagów, Wea, Wyandotów, z udziałem drobniejszych grup Ottawów, Czipewejów, Menominich, Sauków, Lisów i Krików. Miamisi nie walczyli jako oddzielna grupa, lecz wśród innych wojowników. Nie wiadomo też, ilu ich zginęło. Na polu walki Amerykanie znaleźli ciała trzydziestu sześciu zabitych Indian, lecz prawdopodobnie poległo ich nie mniej niż pięćdziesięciu. Co najmniej drugie tyle odniosło rany.

Bitwa nad Tippecanoe była dla Indian wielką porażką psychologiczną, która obniżyła ich morale i podkopała autorytet obu braci. Harrison spalił Miasto Proroka i zniszczył zgromadzone tam zapasy wojenne, a w dalszej perspektywie zapewnił bezpieczeństwo Terytorium Indiany, na które wkrótce zaczęły napływać następne fale osadników z południa i ze wschodu. Sukces pozwolił Harrisonowi skłonić Indian do podpisania kolejnych traktatów i nabyć od nich nowe ziemie, a dwadzieścia dziewięć lat później doprowadził go do

stanowiska prezydenta Stanów Zjednoczonych[1]. Tworzony z wielkim trudem związek Tecumseha upadł i nigdy już nie dało się go odbudować.

Bitwa nad Tippecanoe, niewielkie starcie w sensie militarnym, znalazła poczesne miejsce w historii Stanów Zjednoczonych. Amerykańscy historycy podkreślają, że została okupiona ogromnym wysiłkiem ludzi Harrisona i przyniosła dalekosiężne efekty polityczne. Jego armia przebyła pieszo – podążając śladem przewodników, którzy nie zawsze byli pewni, gdzie się znajdują – ponad sto sześćdziesiąt kilometrów. Musiała wyrąbywać sobie drogę przez bezludną lesistą krainę, poprzecinaną tylko ścieżkami dzikiej zwierzyny, pokonywać liczne rzeczki i strumienie, znosić niewyobrażalne niewygody we wrogim kraju, pod stałą groźbą ataku. Mogła polegać wyłącznie na własnym zaopatrzeniu, toteż wszystkie zapasy wieziono na wozach ciągniętych przez woły i pędzono ze sobą stado bydła rzeźnego.

W czasie bitwy z Harrisonem Tecumseh przemierzał ziemie na południu i zachodzie, nadaremnie próbując wciągnąć do swojego sojuszu południowe plemiona. Wrócił do swej bazy nad Tippecanoe trzy miesiące później i ze zgrozą stwierdził, że jego marzenie legło w gruzach. Odcięty od kontaktów z Miastem Proroka, nie miał pojęcia, co się wydarzyło w czasie jego nieobecności. Na widok poczerniałych zgliszcz, które zastał, dał wyraz swoim uczuciom w następujących słowach:

„Stałem na popiołach mojego własnego domu, gdzie ze swego wigwamu posyłałem dym do Wielkiego Ducha i wzywałem duchy wojowników, którzy polegli w próżnych próbach obronienia swoich domów przed zachłannymi najeźdźcami. A kiedy wciągałem w nozdrza zapach ich rozlanej krwi, raz jeszcze poprzysiągłem sobie wieczną nienawiść, nienawiść godną mściciela”.

Przede wszystkim jednak Tecumseh skierował swój gniew przeciwko bratu, którego bezpośrednio obwinił za to, co się stało. Najpierw ostro go skarcił, potem wytargał za włosy, a na koniec zagroził, że go zabije. Wyśmiany przez Indian, zlekceważony przez Tecumseha i opuszczony przez zwolenników Prorok zaszył się w samotni nad pobliskim strumieniem Wild Cat. Niemniej została przy nim garstka wiernych wyznawców, którzy towarzyszyli mu potem w wędrówce po Północnym Zachodzie i Kanadzie podczas wojny angielsko-amerykańskiej (1812–1814). Tenskwatawa wziął nawet udział w nieudanym oblężeniu fortu Harrison w Indianie we wrześniu 1812 roku, co jednak nie zmieniło zasadniczo jego pozycji. Oblężenie to przyniosło za to sławę amerykańskiemu dowódcy kapitanowi Zachary'emu Taylorowi, który podobnie jak Harrison został w przyszłości prezydentem Stanów Zjednoczonych[2]. Po zakończeniu wojny pozbawiony prestiżu Prorok zamieszkał w Kanadzie, gdzie utrzymywał się z pensji wypłacanej mu przez rząd angielski. Przebywał tam do 1826 roku, po czym wrócił do Stanów Zjednoczonych i najpierw osiadł w Ohio, potem przeniósł się do Missouri, a na koniec osiedlił się w rezerwacie Wyandotów w Kansas, gdzie zmarł w listopadzie 1836 roku.

Tecumseh nie należał do ludzi, którzy łatwo popadają w rozpacz i szybko się poddają. W sytuacji gdy nie powiódł się jego plan zorganizowania niezależnej indiańskiej domeny, uznał, że odbudowa klecanej z takim trudem konfederacji jest niemożliwa, i nie zamierzał więcej ryzykować. Rozważył szanse przeżycia indiańskich plemion pod rządami Amerykanów oraz Brytyjczyków i złożył swój los w ręce poddanych angielskiego króla. Wiosną 1812 roku część Indian wróciła na gruzy Miasta Proroka, posadziła kukurydzę i częściowo odbudowała wieś, stawiając czterdzieści nowych chat. Osada przetrwała do listopada, kiedy to wraz z paroma innymi wioskami padła

ofiara najazdu amerykańskich żołnierzy z Kentucky pod dowództwem generała Samuela Hopkinsa. Potyczka stoczona kilka dni później, 22 listopada, nad strumieniem Wild Cat przeszła do historii pod nazwą „porażki ostróg” (*Spurs' Defeat*) ze względu na szybkość ucieczki Amerykanów z pola bitwy. Rozwścieczeni Indianie wciągnęli bowiem konnych żołnierzy z Kentucky w zasadzkę, żeby wziąć odwet za swoje zniszczone wioski. Czasami starcie to jest także nazywane „drugą bitwą nad Tippecanoe”. Wprawdzie „porażka ostróg” była gorzką pigułką dla Amerykanów na Zachodzie, ale nie zrekompensowała Indianom utraty wiosek z zapasami. Pozbawione żywności plemiona musiały przenieść się dalej na północ i szukać schronienia w Kanadzie lub poddać się Stanom Zjednoczonym.

Po wybuchu wojny amerykańsko-angielskiej w 1812 roku Tecumseh próbował jeszcze walczyć o sprawę indiańską u boku Brytyjczyków, od których otrzymał stopień generała. Na czele wojowników z wielu plemion brał udział w wielu bitwach, ale jego wysiłki przerwała bohaterska śmierć w starciu nad rzeką Thames w kanadyjskiej prowincji Ontario 5 października 1813 roku. Miał wówczas czterdzieści pięć lat.

Nikt nie wie, co się stało z jego ciałem i gdzie spoczęło. Według legendy biali wycięli z niego paski skóry na pamiątkę po znienawidzonym wrogu, ale nawet jeśli coś takiego się zdarzyło, dotyczyło zapewne innego Indianina. Najprawdopodobniej wojownicy zabrali zwłoki swojego wodza z pola bitwy i pochowali w sekretnym miejscu. Nie wiadomo także, kto go zabił, chociaż wielu to sobie przypisywało[3]. W miarę upływu lat wrodzy mu Amerykanie zaczęli doceniać jego próbę zjednoczenia plemion i dostrzegać w nim cechy przynależne najbardziej czczonym bohaterom narodowym: patriotyzm, wierność sprawie, prawość, wiarygodność, odwagę i miłosierdzie[4]. I nic dziwnego, bo centralizacja władzy

i polityczna jedność były zgodne z ich własną tradycją i sami dokonali tego w procesie tworzenia swojego państwa. Również Harrison docenił wielkość wodza, nazwał go geniuszem i napisał o nim, że „gdyby działał poza granicami Stanów Zjednoczonych, mógłby być założycielem imperium konkurującego z Meksykiem lub Peru”.

Bohaterska śmierć Tecumseha w bitwie nad Thames ostatecznie zakończyła wieloletnią wojnę na pograniczu Ohio. Kraina ta przeszła w całkowite władanie Stanów Zjednoczonych, sojusz brytyjsko-indiański przestał istnieć, a cały Środkowy i Północny Zachód, od Ohio do Minnesoty, zajęli Amerykanie, tworząc kolejno nowe stany Indiana (1816), Illinois (1818) oraz Terytorium Wisconsin (1836). Tecumseh zaś na zawsze przeszedł do historii jako najwybitniejszy wódz indiański w Ameryce Północnej. Ci, którzy go znali, zarówno przyjaciele, jak i wrogowie, podziwiali jego wybitne zdolności organizatorskie, talent dowódczy, dar wymowy, odwagę w walce i wspaniałomyślność okazywaną pokonanym. W ten sposób przyczynili się do powstania legendy, która jest żywa do dziś.

Przypisy

- 1 Podczas kampanii prezydenckiej w 1840 r. Harrison i jego kandydat na wiceprezydenta John Tyler głosili hasło: „Tippecanoe, a także Tyler” (*Tippecanoe and Tyler too*). Harrison został wybrany, ale po miesiącu urzędowania zmarł, co niektórzy tłumaczyli indiańską klątwą rzuconą przez Tecumseha. Jego następcą został automatycznie Tyler.
- 2 Ponieważ dowódcami fortu Harrison byli w swoim czasie obaj przyszli prezydenci USA, William Harrison i Zachary Taylor, niektórzy historycy nazwali później posterunek „Fortem Dwóch Prezydentów”.
- 3 Najczęściej przyjmuje się, że Tecumseh zginął od kuli pułkownika Richarda Mentora Johnsona z Kentucky, co być może przyczyniło się do jego wyboru na

wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych w administracji Martina Van Burena (1837–1841).

- 4 Tecumseh słynął z tego, że wszędzie gdzie mógł, oszczędzał jeńców. Najbardziej znany jest fakt uratowania przez niego wielu amerykańskich jeńców wziętych podczas oblężenia fortu Meigs w maju 1813 r., kiedy to przerwał egzekucję dokonywaną przez Indian pod okiem angielskiego dowódcy, generała Henry'ego Proctera.

Czerowny Orzeł i „cywilizowane plemiona” z Południowego Zachodu

Kiedy wojownicy Krików wdarli się do środka przez otwartą bramę fortu Mimms w Alabamie, mężczyźni, kobiety i dzieci zgromadzeni za palisadą rzucili się do panicznej ucieczki we wszystkich kierunkach. Indianie nie mieli broni palnej, więc zaatakowali białych tomahawkami i nożami do skalpowania. Płonącymi strzałami podpalili dachy budynków, a blask pożarów spotęgował grozę krwawej łaźni. Tego feralnego sierpniego dnia 1814 roku z rąk Indian padło ponad pięciuset białych i ich murzyńskich niewolników. Mimo iż wódz Krików Czerwony Orzeł powstrzymał się od udziału w decydującej walce przerażony widokiem mordowanych kobiet i dzieci, to jemu przypisuje się czołową rolę w tej rzezi, jednej z największych w historii amerykańskiego pogranicza.

Zwycięstwo Stanów Zjednoczonych w wojnie 1812 roku i klęska Tecumseha stały się pierwszym sygnałem zagłady Indian. Podczas gdy potęga Amerykanów wciąż rosła, siła czerwonych plemion z roku na rok słabła. Głód ziemi coraz liczniejszej populacji białych na wschodzie kraju zmuszał Indian do ciągłego cofania się na zachód. Tych, którzy próbowali przeciwstawić się pochodowi kolonistów, zmuszano do odejścia siłą. Ci, którzy starali się żyć z białymi w zgodzie i w nadziei na utrzymanie swojej dotychczasowej domeny

przyjęli ich styl życia, zostali wyrzuci z ziemi za pomocą gwałtów i oszustw.

Na pierwszy ogień poszli potężni Krikowie z Alabamy. Lud Krików był w tym czasie mocno podzielony. Tak zwani Krikowie Dolni, mieszkający na wschód i w dolinie rzeki Chattahoochee, byli stronnikami Amerykanów. Wielu z nich zmieszało swoją krew z krwią białych i zasymilowało się z ich kulturą. Na zachód od Krików Dolnych mieszkali Krikowie Górni. Ich oddalenie od głównych dróg handlowych ograniczało kontakty z białymi, dzięki czemu zachowali więcej z tradycji swoich przodków.

Napięcie w stosunkach pomiędzy obiema grupami Krików spotęgowała wizyta Tecumseha w ich ogólnoplemiennej stolicy Tuckabatchee w połowie października 1811 roku. Przyjazd wodza Szaunisów miał swoje podstawy. Jego matka pochodziła z matrylinearnego plemienia Krików, zatem w oczach przedstawicieli tego ludu był on Krikiem, ich bratem z północnych terenów. Wezwanie Tecumseha do zachowania tradycji i zjednoczenia wszystkich plemion w celu utworzenia niezależnego państwa skonfederowanych Indian i przeciwstawienia się hegemonii białych znalazło zrozumienie u wielu młodych i buntowniczych Krików Górnych z frakcji Czerwonych Pałek (*Red Sticks*), umacniając ich radykalne nastroje. Jednakże starsi i bardziej ugodowi przywódcy Krików Górnych, z Wielkim Wojownikiem na czele, uważnie wysłuchali Tecumseha, rozmyślnie odrzucili jego propozycję i grzecznie go poprosili o opuszczenie ich terytorium. Jak mówi legenda, opuszczając stolicę Krików, rozzłoszczony Tecumseh zawołał: „Kiedy przybędę do Detroit, tupnę nogą i ziemia zadrży!”. Przypadek zrządził, że 11 grudnia 1811 roku dolinę Missisipi nawiedziło silne trzęsienie ziemi, które spowodowało ogromne szkody we wsiach i na polach Krików. Przesądni Indianie,

pamiętając groźbę wodza Szaunisów, uciekali przed żywiołem krzycząc: „Tecumseh przybył do Detroit!”.

Niewielka grupa Czerwonych Pałek z Małym Wojownikiem na czele udała się jednak z Tecumsehem na północ, a potem, w drodze powrotnej do domu, dokonała kilku napadów na amerykańskich osadników nad rzeką Duck w Tennessee. W tym samym czasie Krików zszokowała seria skrytobójczych morderstw w obrębie plemienia. Masakry białych w Tennessee oraz zabójstwa wśród Indian wzbudziły żądzę odwetu zarówno u osadników, jak i niektórych przywódców Krików. Za namową rady plemiennej i amerykańskich agentów Wielki Wojownik wydał rozkaz stracenia winnych, w tym Małego Wojownika. Rozkaz został wykonany, a fakt „zabicia Krików przez Krików” utwierdził Czerwone Pałki w przekonaniu, że niektórzy przywódcy działają na szkodę plemienia. Wczesnym latem 1813 roku liczny oddział Czerwonych Pałek wtargnął do Tuckabatchee i zażądał wydania Wielkiego Wojownika jako winnego śmierci ich towarzyszy. Odmowa doprowadziła do bratobójczej walki, zakończonej ucieczką mieszkańców Tuckabatchee i spaleniem wsi. Zwolennicy Wielkiego Wojownika schronili się w niedalekiej wiosce Coweta u Krików Dolnych, a wściekłe Czerwone Pałki pustoszyły okolicę, zabijając na swej drodze wszystkich: sprzymierzeńców Wielkiego Wojownika, Krików Dolnych, białych i należące do nich bydło. Upojeni zwycięstwem wojownicy w liczbie czterech tysięcy byli gotowi wydać wojnę domową swoim ugodowym pobratymcom, których w przeciwieństwie do nich nazywano Białymi Pałkami. Musieli tylko zdobyć więcej broni i amunicji od Brytyjczyków albo Hiszpanów z Florydy.

Wojna z Krikami rozpoczęła się w lipcu 1813 roku, a doprowadziło do niej rosnące napięcie między białymi osadnikami i różnymi frakcjami tego plemienia. Już kilka lat wcześniej u wielu Krików wywoływała niepokój coraz większa

liczba osadników i handlarzy ciągnących nowo otwartą drogą na Terytorium Missisipi, którego część stanowiła wówczas Alabama. Na początku lipca wódz Czerwonych Pałek Peter McQueen, typowy przedstawiciel mieszanej rasy indiańsko-europejskiej z ówczesnego Południowego Zachodu, poprowadził wyprawę trzystu pięćdziesięciu wojowników do Pensacoli na zachodzie hiszpańskiej Florydy, aby szukać broni u tamtejszego gubernatora, Gonzáleza Manrique'a. Przy okazji jego ludzie złupili dwie plantacje Krików z frakcji Białych Pałek, a ci od razu poskarżyli się Amerykanom.

Zaalarmowany napadem na plantacje zaprzyjaźnionych Krików dowódca milicji terytorialnej z Missisipi pułkownik James Caller postanowił przechwycić Czerwone Pałki McQueena w drodze powrotnej z Pensacoli. 27 lipca na czele blisko dwustu ludzi zaatakował obóz Indian w zakolu strumienia Burnt Corn w Alabamie, około stu trzydziestu kilometrów na północ od Pensacoli, i wyrzucił ich z obozu. Jednakże niezdiscyplinowani ludzie Callera, zamiast gonić Krików, rzucili się do łapania jucznych koni obciążonych otrzymanym od Hiszpanów prochem i ołowiem do produkcji kul. Wojownicy McQueena wykorzystali sytuację, powrócili i szaleńczym kontratakiem zmusili milicjantów do ucieczki. Wprawdzie Amerykanie zdołali uprowadzić znaczną część zdobyczy, ale w zamieszaniu Caller i jeden z jego oficerów zgubili drogę w bagnistym lesie i odnaleźli się dopiero dwa tygodnie po bitwie, głodni i wyczerpani. Porażka milicji była ostrzeżeniem dla osadników z pogranicza Missisipi. Niektórzy z nich zaczęli umacniać swoje domostwa, wiele rodzin schroniło się w otoczonej wysoką palisadą siedzibie zamożnego plantatora Samuela Mimmsa w dolinie rzeki Alabama, w pobliżu współczesnego Tensaw, na północ od miasta Mobile.

Bezpośrednim skutkiem napadu Callera na Czerwone Pałki nad Burnt Corn był rajd odwetowy Krików na fort Mimms.

W końcu sierpnia siedmiuset pięćdziesięciu wojowników z trzynastu wiosek Krików Górnych ruszyło na fort, w którym oprócz liczącej stu dwudziestu ludzi załogi pod dowództwem majora Daniela Beasleya i kapitana Dixona Baileya schroniło się ponad czterystu białych osadników, Krików Dolnych i Metysów wraz z murzyńskimi niewolnikami.

Krików prowadziło kilku wybitnych wodzów Czerwonych Pałek, wśród nich Lamochatte, czyli Czerwony Orzeł, Daleki Wojownik, Peter McQueen oraz młody prorok Paddy Walsh, który zapewnił wojowników, że będą niewidzialni dla wrogów. Prawie wszyscy pochodzili z mieszanych rodzin i mieli za ojców białych mężczyzn, którzy wzięli sobie za żony wysoko urodzone indiańskie kobiety. Angielskie nazwisko Czerwonego Orła brzmiało William Weatherford. Urodził się on w 1780 roku w pobliżu miejscowości Coosada w południowej Alabamie jako syn szkockiego kupca Charlesa Weatherforda i Indianki z klanu Wiatru, spokrewnionej z innym wielkim wodzem Krików, Alexandrem McGillivrayem. Wyrósł na przystojnego mężczyznę o jasnej cerze i władczej postawie, który szybko zdobył wysoką pozycję wśród współplemieńców matki jako świetny jeździec i doskonały myśliwy, biegły w sztuce wojennej, a przy tym obdarzony odziedziczoną po ojcu smykałką do handlu skórami dzikich zwierząt i bydłem. Po wybuchu wojny jako jeden z nielicznych członków rodziny stanął po stronie Czerwonych Pałek i wkrótce wysunął się na czoło we frakcji wojennej Krików.

30 sierpnia atak Krików, którzy wdarli się do środka fortu Mimms przez otwartą bramę, całkowicie zaskoczył jego amerykańską załogę. W krótkim czasie zginęła ponad połowa garnizonu z majorem Beasleyem na czele. Przez następne cztery godziny kapitan Bailey, Krik z pochodzenia, oraz jego oddział czterdziestu pięciu amerykańskich i indiańskich milicjantów bronili setek cywilów, którzy chronili się za

palisadą, i dopiero ogień wzniecony przez napastników za pomocą płonących strzał zakończył zorganizowany opór. Przerażeni ludzie zgromadzili się w ostatnich ocalałych budynkach, aż w końcu ścisk był taki, że nie mogli już ładować muszkietów. Nieliczni zdecydowali się ratować życie, przeskakując przez palisadę i uciekając w las. Pozostali schowali się w różnych zakamarkach fortu, ale szybko zostali wykryci i wycięci. Czerwone Pałki zabiły większość obrońców i wzięły do niewoli blisko dwustu jeńców, głównie mieszanów, czarnych niewolników i dzieci. Z ogólnej liczby pięciuset pięćdziesięciu trzech osób znajdujących się w forcie z życiem uszło tylko trzydzieści sześć. Sami Indianie, wbrew zapewnieniom swojego proroka, także ponieśli ciężkie straty. Kiedy kilka tygodni po bitwie do fortu wkroczyła amerykańska odsiecz, na miejscu znalazła szczątki dwustu czterdziestu siedmiu białych – mężczyzn, kobiet i dzieci – oraz około stu Indian.

Masakra białych w forcie Mimms wstrząsnęła amerykańską opinią publiczną i skłoniła rząd do zorganizowania kampanii przeciwko Krikom. Wzięło w niej udział pięciu generałów oraz kilka tysięcy ochotników i sprzymierzonych Indian. Czerwonym Pałkom przewodził Czerwony Orzeł, a bazą Krików stała się ufortyfikowana wieś Econochaca (Święte Miejsce) na wysokim brzegu Alabamy.

29 listopada 1813 roku dziewięciuset pięćdziesięciu milicjantów z Georgii pod dowództwem generała Johna Floyda, wzmocnionych przez czterystu Krików Dolnych prowadzonych przez Metysa Williama McIntosha, zaatakowało Autosse, wioskę Czerwonych Pałek na południowym brzegu Tallapoosy, powyżej jej ujścia do rzeki Coosa. Indianie stracili dwustu wojowników i musieli opuścić wieś razem z jej zapasami, ale Floyd także poniósł straty, a braki w zaopatrzeniu zmusiły go wkrótce do przerwania kampanii. 23 grudnia inna armia amerykańska,

generała Ferdinanda Clairborne'a, złożona z tysiąca żołnierzy regularnej piechoty, ochotniczej milicji z Missisipi oraz indiańskich zwiadowców z plemienia Czoktawów, wkroczyła do serca kraju Krików i zaatakowała Econochacę, bronioną przez trzystu dwudziestu ludzi Czerwonego Orła.

Indiańscy obrońcy najpierw ewakuowali kobiety i dzieci, a następnie przy pomocy dawnych murzyńskich niewolników umiejętnie stawili Amerykanom opór. Potem jednak, wobec nieustępliwości atakujących, opuścili wioskę i uciekli. Wódz, osłaniając odwrót, wycofał się jako jeden z ostatnich. Na wspaniałym koniu o imieniu Strzała wykonał słynny skok z wysokiej na dziesięć metrów skarpy w nurty Alabamy i pod gradem kul przedostał się na drugi brzeg rzeki. Krikowie stracili trzydziestu trzech wojowników i wszystkie zapasy, ale zachowali potencjał do dalszej walki. Po stronie amerykańskiej był tylko jeden poległy i dwudziestu rannych. Clairborne nie wykorzystał zwycięstwa, ponieważ kończył się trzymiesięczny okres służby jego milicjantów i musiał ich zwolnić do domów. A sposób, w jaki Czerwony Orzeł uciekł Amerykanom spod Econochaki, przeszedł do historii amerykańskiego pogranicza pod nazwą „skoku Weatherforda” (*Weatherford's Leap*).

Wkrótce obie grupy Krików otrząsnęły się z porażki i połączyły siły w ufortyfikowanej wsi Hoithlewalee w Missisipi, znów gotowe do walki z białymi. W styczniu 1814 roku ruszyły przeciwko nim dwie nowe armie: generałów Floyda z Georgii i Andrew Jacksona z zachodniego Tennessee. Czerwony Orzeł, jako urodzony przywódca wojenny, szybko zorientował się w zamiarach wroga i postanowił rozprawić się z obiema armiami po kolei, zanim zdążą się połączyć. W końcu stycznia na czele tysiąca ośmiuset bitnych wojowników najpierw powstrzymał marsz Jacksona w dwóch potyczkach nad strumieniami Emuckfau i Enitachopco w środkowej Alabamie, a potem zaatakował obóz milicji Floyda nad strumieniem

Calabee. W bitwie obie strony poniosły ciężkie straty. Po stronie Krików wyniosły one ponad dwustu zabitych i rannych, a po stronie amerykańskiej stu siedemdziesięciu poległych i rannych. Z powodu licznych rannych i z braku zapasów Floyd wycofał się do swojej bazy w forcie Mitchell nad rzeką Chattahoochee, a nie niepokojeni już Krikowie wrócili do Hoithlewalee.

Rozstrzygnięcie w wojnie z Krikami nastąpiło dopiero wtedy, kiedy ogólne dowództwo nad wojskiem amerykańskim objął generał Andrew Jackson. W marcu 1814 roku zgromadził on w forcie Williams nad rzeką Coosa w Alabamie blisko trzytysięczną armię złożoną z żołnierzy regularnych oraz milicjantów z Tennessee, wspieranych przez sześciuset indiańskich sprzymierzeńców z plemion Czirokezów, Czoktawów i Krików Dolnych. W decydującej bitwie, stoczonej 27 marca w pobliżu wioski Czerwonych Pałek Tehopeka nad zakolem Horseshoe Bend (Zakole Końskiej Podkowy) rzeki Tallapoosa, zabrakło Czerwonego Orła. Indian poprowadził do boju inny wybitny wódz Krików Górnych, Menewa, jeden z najwaleczniejszych wodzów, jakich kiedykolwiek mieli Krikowie. Menewa należał do wąskiego grona przywódców swego plemienia, którzy poparli Tecumseha, kiedy ten pojawił się na Południowym Wschodzie. Potem wyruszył wraz z nim na północ i z grupą swoich wojowników walczył u jego boku w wojnie 1812 roku. Po śmierci Tecumseha wrócił na południe i gdy wybuchły walki Krików, wyrósł na jednego z najważniejszych wodzów. 27 marca, polegając na radach proroka imieniem Monahée, ucznia Tenskwatawy, Menewa niewłaściwie rozmieścił ponad tysiąc swoich wojowników, ukrywając ich za drewniano-ziemnymi umocnieniami przylegającymi do brzegów rzeki. Kiedy żołnierze Jacksona ostrzelali ich ogniem dział i zdecydowanym atakiem na bagnety przełamali linię obrony, a inni uderzyli na nich od tyłu zza

rzeki, przerażeni wojownicy Menewy znaleźli się w śmiertelnej pułapce i szybko zostali wycięci. W pięciogodzinnej bitwie zginęło ich wtedy ośmiuset pięćdziesięciu, a wściekły Menewa własną ręką zabił fałszywego proroka. Mimo iż ciężko ranny, walczył do końca i został dosłownie podziurawiony kulami. Cudem przeżył i wraz z dwustu wojownikami uszedł z rzezi, a potem schronił się u Seminolów na Florydzie. Dla kontrastu: straty Jacksona wyniosły tylko pięćdziesięciu zabitych i stu pięćdziesięciu rannych, a jego indiańscy sprzymierzeńcy utracili siedemdziesięciu ludzi. Po tak sromotnej klęsce Krikowie całkiem stracili serce do walki i koniec wojny był odtąd już tylko kwestią czasu.

W sierpniu 1814 roku pobici Krikowie podpisali w forcie Jackson traktat, na którego mocy oddali białym osadnikom rozległe tereny w Georgii i Alabamie. Nieco wcześniej poddał się Jacksonowi Czerwony Orzeł. Generał uznał, że wódz jest godnym zaufania człowiekiem, i przyjął jego kapitulację, pod warunkiem że będzie on odtąd respektował pokój. Wiedząc jednak, jaką nienawiścią darzą Czerwonego Orła osadnicy z Alabamy z powodu masakry w forcie Mimms, Jackson ukrył go w bezpiecznym miejscu, a potem przez jakiś czas gościł w swojej posiadłości w Tennessee. Po zakończeniu wojny z Krikami wódz wrócił do Alabamy i osiadł na plantacji. Resztę życia spędził pod nazwiskiem William Weatherford jako ogólnie szanowany obywatel i ojciec wielu dzieci, które były pożądaną partią dla białych sąsiadów. Zmarł 9 marca 1824 roku i został pochowany w wybranym miejscu na brzegu ukochanej Alabamy.

Kolejne traktaty z lat 1818 i 1825, wynegocjowane z ugodową frakcją McIntosha, spowodowały odebranie Krikom reszty ziem w Georgii i przygotowały grunt pod ich przesiedlenie na zachód, chociaż zgodnie z prawem tego plemienia uchwalonym w 1811 roku sprzedaż ziemi była karana śmiercią na równi ze

zdradą. Przypomniano sobie o tym w stosownym momencie i w maju 1825 roku Krikowie rękami Menewy ukarali McIntosha śmiercią. Wojna domowa rozgorzała na nowo, przenosząc się na osiedla białych, co dało Amerykanom dodatkowy pretekst do spacyfikowania Indian raz na zawsze. Krikowie przegrali walkę o ziemię, ale w przeciwieństwie do wielu innych plemion zachowali swoją kulturową tradycję, którą szczycą się do dziś.

W 1829 roku nowy prezydent Stanów Zjednoczonych Andrew Jackson uznał, że biali i Indianie nigdy nie będą żyć razem w pokoju i dlatego obie rasy muszą być od siebie odseparowane. W swoim wystąpieniu do Kongresu oświadczył, że wszyscy Indianie powinni być przeniesieni na zachód, za rzekę Missisipi: „Sądzę, że słuszne będzie wydzielić duży obszar na zachód od Missisipi i zagwarantować go Indianom na tak długo, jak długo zechcą go zamieszkiwać” – powiedział.

28 maja 1830 roku propozycja Jacksona została przyjęta i Kongres uchwalił ustawę o przesiedleniu Indian (*Indian Removal Act*). Na jej mocy cała część Stanów Zjednoczonych na zachód od Missisipi, a „nie w granicach stanów Missouri, Luizjany i Terytorium Arkansas lub innego zorganizowanego terytorium”, miała być odtąd wyłącznym krajem Indian „tak długo, jak długo zechcą go zamieszkiwać”. W 1835 roku obszar ten zaczęto nazywać Terytorium Indiańskim (*Indian Territory*), a dwa lata później oddano go w wieczyste użytkowanie Indianom. Ustawa o przesiedleniu Indian była długo oczekiwanym aktem prawnym, mającym usunąć największą przeszkodę na drodze rozwoju państwa amerykańskiego. U jej podstaw legła popularna teza, że „intencją Stwórcy było wydobycie ziemi ze stanu natury i jej uprawianie”. Uznano, że Indianie jako myśliwi, a nie rolnicy, nie potrafią zrobić właściwego użytku z ziemi, zatem nie mają prawa do jej

posiadania. Doprowadziło to do masowego przymusowego exodusu wschodnich plemion.

Postanowiono, że wszyscy Indianie jako kłopotliwy relikw przeszłości i przeszkoda na drodze dalszego postępu zostaną przesiedleni na zachód od Missisipi, gdzie ich marnotrawny w oczach białych tryb życia nikomu nie będzie przeszkadzał. Nie miało znaczenia, że niektóre plemiona z Południowego Wschodu, takie jak Czirokezi, Krikowie, Czoktawowie, Czikasawowie i Seminole, już dawno wkroczyły na „drogę białego człowieka”, bo od końca XVIII wieku angielscy kupcy i myśliwi żenili się z indiańskimi kobietami i rodziły się dzieci mające w żyłach krew białych.

Czirokezi, największe z plemion tego regionu, zamieszkiwało rozległe ziemie nad rzeką Tennessee. Indianie ci z powodzeniem uprawiali ziemię, zakładali farmy, prowadzili hodowlę bydła i koni, budowali bite drogi i przeprawy promowe, mieli młyny, sklepy, kościoły i niewielkie warsztaty rzemieślnicze. Mieszkali w dużych drewnianych chatach, a najbogatsi z nich, wzorem białych plantatorów z Południa, trzymali wielu czarnych niewolników. Jako jedyni spośród Indian, oprócz Czoktawów, Czirokezi mieli spisany po angielsku własny kodeks prawny i konstytucję. Posługiwali się też praktycznym alfabetem wymyślonym na własne potrzeby przez ich słynnego współplemieńca Sekwoję. W ciągu paru miesięcy wielu Czirokezów nauczyło się czytać i pisać, dzięki czemu od 1822 roku czytali już oni książki w swoim języku oraz zakładali szkoły i biblioteki. W 1828 roku wydawali nawet własną gazetę o nazwie „Cherokee Phoenix”, zlikwidowaną jednak przez władze Georgii, kiedy zaczęła występować w obronie praw plemienia do swojej ziemi. Nawet Amerykanie w uznaniu postępu kulturowego Indian z Południowego Wschodu zaczęli używać określenia „pięć cywilizowanych plemion” (*Five Civilized Tribes*). Nie minęło jednak pięć lat od przyjęcia ustawy

o przesiedleniu Indian, a Czirokezi zostali zmuszeni do opuszczenia swoich pokojowych, wysoko rozwiniętych osad na pograniczu Georgii i Tennessee. Bo choć żyli we względnie dobrych stosunkach z białymi mieszkańcami Georgii, nie wzięli pod uwagę żądzy bogactwa i posiadania nowych ziem tak charakterystycznej dla białego człowieka.

W 1835 roku władze Georgii nakłoniły część Indian z ugodowej frakcji plemienia do zawarcia traktatu, na którego mocy Czirokezi zrzekli się wszystkich swoich ziem w zamian za rekompensatę pieniężną i nowe tereny na Terytorium Indiańskim. Po ratyfikowaniu traktatu przez amerykański Senat ostateczny termin przesiedlenia wyznaczono na maj 1838 roku. Za akcję przesiedleńczą ponad szesnastu tysięcy Czirokezów odpowiadali generałowie Winfield Scott i John Wool. Obaj byli bardzo zawstydzeni rolą, jaką im wyznaczono, i ze swojej strony zrobili wszystko, aby ochronić Indian przed „białymi, którzy jak sępy obserwowali ich, gotowi spaść na ofiarę i ograbić ją ze wszystkiego, co posiada”. Tak jak to było do przewidzenia, gdy tylko Czirokezi opuścili swoje domy, ich majątki splądrowali i rozkradli biali osadnicy. Indianie, wyrugowani ze swoich dawnych terenów plemiennych, musieli ruszyć w daleką drogę na zachód, pozostawiając nowym właścicielom swoją ziemię, uprawy, farmy, większość dobytku i inwentarz.

Pierwsza grupa czterystu pięćdziesięciu Czirokezów, którzy zgodzili się dobrowolnie wyjechać na zachód, przybyła na Terytorium Indiańskie w marcu 1837 roku. Potem przyszła kolej na tych, którzy sprzeciwiali się opuszczeniu swego kraju i ustąpili dopiero pod presją wojska. Jesienią 1838 roku ruszyli oni pod eskortą siedmiu tysięcy żołnierzy w długą podróż do dzisiejszej Oklahomy kilkoma drogami o długości od tysiąca stu do tysiąca dziewięciuset kilometrów. Około dwóch tysięcy Indian posuwało się „dobrowolnie” przodem. Pierwsze grupy

odbyły wędrówkę wśród tak nieludzkich cierpień, że naczelnny wódz Czirokezów Czapla, znany białym jako John Ross, poprosił generała Scotta o osobisty nadzór nad pozostałymi współplemieńcami, których podzielił na tysięcosobowe grupy i sam poprowadził na zachód. Mimo wysiłków generała Scotta i Johna Rossa po drodze zdarzały się akty przemocy wobec Indian, przypadki grabieży, gwałtów, a nawet morderstw. W trakcie tej zimowej wędrówki z Georgii na Terytorium Indiańskie wyginęła jedna czwarta Czirokezów, czyli blisko cztery tysiące ludzi. Dlatego tę straszną drogę, którą kazano im przebyć, nazwano „Szlakiem Łez” (*Trail of Tears*).

Terytorium Indiańskie zaczęło się kojarzyć z cierpieniami i krzywdą Indian. Cztery z pięciu „cywilizowanych plemion”, z wyjątkiem części Seminolów, przyjęły europejski styl życia jako sposób na przetrwanie wobec agresji białych. Mimo to groźbą, zdradą i siłą wyzuto je z ziemi, zmuszono do pozostawienia domów oraz większości dobytku, po czym kazano im przebyć setki kilometrów na zachód, do rezerwatów na terenie dzisiejszej Oklahomy i Kansas. Wypędzenie sześćdziesięciu tysięcy ludzi w ciągu nieco ponad dziesięciu lat nie ma precedensu w całej historii Stanów Zjednoczonych. Wielu wygnańców nigdy nie dotarło na miejsce przeznaczenia, znacząc smutny „Szlak Łez” naprędce wykopanymi grobami. Pozostałych – głodnych, zziębniętych, ze stopami krwawiącymi od długich marszów – bezlitośnie pędzono pod strażą. Ci, którzy odmówili przymusowej emigracji, byli często ścigani i bez litości zabijani. Setki Krików i Seminolów, którzy uciekli na bagna Alabamy i Florydy, padło ofiarą brutalnego polowania na ludzi. Ocalałych zakuto w kajdany i przetransportowano na Terytorium Indiańskie.

Jim Bridger i „ludzie z gór”

Jim Bridger, jak mało kto, stał się jednym z najbardziej znanych ludzi z Gór Skalistych. Na wędrówkach po bezkresnej dzicy spędził prawie połowę stulecia. Nawet pod koniec swojego życia, gdy był już niemal ślepy, objeżdżał konno najbliższą okolicę, kierując się tylko szczekaniem towarzyszących mu psów.

Na początku lat dwudziestych XIX wieku nastąpił gwałtowny rozwój handlu futrami. Przyczynił się do tego ogromny popyt na futra bobrowe, z których wyrabiano czapki, cylindry i płaszcze w Ameryce i Europie. Wysokie ceny oferowane przez producentów za bobrowe skóry stwarzały okazję zarobienia szybkich pieniędzy, a to była stawka warta zachodu. Szacuje się, że zyskownym połowem bobrów i innych zwierząt futerkowych w Górach Skalistych zajmowało się wówczas trzy tysiące traperów, popularnie zwanych „ludźmi z gór” (*Mountain Men*), w tym około sześciuset Amerykanów. Resztę stanowili doświadczeni Francuzi z Kanady i Luizjany, Brytyjczycy, hiszpańscy Kreole, Metysi, ucywilizowani wschodni Indianie, a także Murzyni i Meksykanie.

Początek amerykańskim „ludziom z gór” dał uczestnik słynnej ekspedycji badawczej Lewisa i Clarka, John Colter. W sierpniu 1806 roku razem z dwoma przygodnie poznanymi nad górną Missouri traperami z Illinois wrócił on w Góry Skaliste, aby łowić bobry w górnym biegu rzeki Yellowstone. Zimą 1807 roku jako pierwszy biały człowiek trafił na tereny, które obecnie wchodzą w skład parków narodowych

Yellowstone i Grand Teton. Latem 1808 roku wspólnie ze swym towarzyszem Johnem Pottsem bronił obozu zaprzyjaźnionych Indian z plemienia Wron przed napadem Czarnych Stóp. Obaj traperzy polowali właśnie na terenach Czarnych Stóp, którzy od czasu wyprawy Lewisa i Clarka byli śmiertelnymi wrogami Amerykanów, i dlatego musieli mieć się na baczności.

Jesienią 1808 roku Coltera i Potts'a schwycił liczny oddział Czarnych Stóp, gdy płynęli oni rzeką Jefferson z ładunkiem futer. Nieostrożny Potts próbował się bronić i ranił jednego z Indian. Natychmiast padł, trafiony kilkoma strzałami, a jego ciało wojownicy porąbali tomahawkami. Natomiast odartemu z ubrania Colterowi Indianie dali szansę w słynnym w dziejach Zachodu „biegu o życie”. Młody i silny, wykorzystał okazję, skacząc przez zarośla i kalecząc gołe stopy o skały i kolczaste krzewy. W trakcie ponaddziesięciokilometrowego dramatycznego pościgu zabił najszybszego ze ścigających go Indian jego własną włócznią, a następnie, kryjąc się w lodowatej wodzie pod stosem zwalonych pni na brzegu rzeki Madison, zdołał zmylić pogoń. W nocy wydostał się z kryjówki i uciekł, wspinając się na urwisko i biegnąc przez odkrytą prerię jak najdalej od swoich prześladowców. Ostatecznie, po jedenastu dniach morderczej ucieczki, podczas której półnagi i bosi przebył pieszo przeszło trzysta dwadzieścia kilometrów, żywiąc się korzonkami, larwami i korą drzew, dotarł bezpiecznie do bazy myśliwych nad rzeką Bighorn i ocalił życie. Kiedy tylko wydobrzeał, wrócił po swoją zdobycz, ale niedługo potem znów dopadli go Indianie. Kolejne spotkanie z budzącymi grozę Czarnymi Stopami przeraziło Coltera do tego stopnia, że postanowił rzucić niebezpieczny zawód traperza. „Jeśli tylko Bóg wybaczy mi tym razem – przyrzekł sobie, uciekając przed czerwonoskórymi – opuszczę ten kraj i nich będę przeklęty, jeśli kiedykolwiek jeszcze tu wrócę”. Dotrzymał słowa i po sześciu latach spędzonych z dala od cywilizacji

w 1810 roku wyjechał do St. Louis, gdzie pędził już znacznie bezpieczniejsze życie na farmie w Missouri.

Wprawdzie John Colter uciekł na wschód, ale szybko pojawiło się wielu jego naśladowców. Ci odważni i przedsiębiorczy ludzie, którzy nie bali się Indian, groźnej przyrody i dzikich zwierząt, ruszali w niezbadane ostępy, aby czerpać pełnymi garściami z mitycznych bogactw nieodkrytej jeszcze Luizjany. Wbrew powszechnemu mniemaniu przeciętny „człowiek z gór” nie był pustelnikiem, samotnie zmagającym się z naturą i walczącym o przeżycie w dziczy. Najczęściej traperzy wędrowali w dobrze zorganizowanych i uzbrojonych grupach zwanych brygadami, liczących od trzydziestu do pięćdziesięciu, a czasem nawet ponad stu ludzi. Nierzadko prawie połowę grupy stanowiły rodziny „ludzi z gór” – ich indiańskie żony i dzieci. Po przybyciu w wyznaczony rejon polowania brygada dzieliła się na mniejsze grupki, a te na jeszcze mniejsze zespoły, liczące po dwóch–trzech ludzi, albo nawet na pojedynczych myśliwych, którzy zasadzali się na bobry w wybranych strumieniach lub wyruszali samotnie na dzień lub dwa, po czym wracali do wspólnego obozowiska. Najczęściej jednak traperzy pracowali w parach, aby nawzajem sobie pomagać lub wzajemnie się ratować w razie potrzeby. Poza tym mniejszej grupce łatwiej było ukryć się przed wzrokiem Indian.

Pierwszy śladem Coltera podążył hiszpański handlarz Manuel Lisa. Już w kwietniu 1807 roku ten przedsiębiorczy Hiszpan wyruszył z St. Louis na czele czterdziestu dwóch ludzi do kraju Indian nad górną Missouri i dotarł do ujścia Yellowstone. Idąc dalej w górę rzeki, w listopadzie wybudował u ujścia rzeki Bighorn w dzisiejszej Montanie pierwszy posterunek handlowy w dorzeczu górnej Missouri, któremu nadano nazwę Fort Raymond. W sierpniu 1808 roku, po powrocie do St. Louis z pierwszej zakończonej sukcesem wyprawy, Lisa doprowadził do założenia Kompanii Futrzarskiej

Missouri i dzięki zyskownemu handlowi futrami stał się jednym z prominentnych obywateli miasta. Wojna z Brytyjczykami, która wybuchła w 1812 roku, przejściowo zahamowała handel skórami po obu stronach granicy kanadyjskiej, ale w latach późniejszych Lisa odbudował swoją pozycję, a reputacja i dobre kontakty z Indianami pozwoliły mu nawet przez jakiś czas pełnić funkcję agenta różnych plemion indiańskich żyjących pomiędzy rzekami Missisipi i Missouri.

Widoki na zrobienie fortuny na Zachodzie zwabiły także grubsze ryby niż Lisa. Znany nowojorski potentat handlowy i jeden z najbogatszych ludzi w Ameryce, John Jacob Astor, szybko dostrzegł szansę na powiększenie tam swego majątku. Jego celem był kraj zwany Oregonem, rozległa kraina rozciągająca się pomiędzy Górami Skalistymi i Oceanem Spokojnym oraz od meksykańskiej Kalifornii do rosyjskiej Alaski, do której pretensje zgłaszała także Wielka Brytania. W latach 1808–1810 Astor zorganizował dwie kompanie handlowe i wysłał z Nowego Jorku statek dookoła przylądka Horn. W połowie 1811 roku otworzył u ujścia rzeki Kolumbia własną placówkę handlową znaną jako Fort Astoria.

W ciągu dziesięciu lat wszystkie przedsięwzięcia Amerykanów na Dalekim Zachodzie upadły z powodu wrogości Indian oraz Brytyjczyków, pretendujących do objęcia swym władztwem całego Oregonu. Ludzi Manuela Lisy zdziesiątkowali i przegnali z Montany rozwścieczeni Arikarowie i Czarne Stopy, którzy nie rozumieli chciwości białych i bezmyślnej rzezi bobrów. Placówka Astora przy ujściu Kolumbii nie przetrwała z powodu wojny 1812 roku. Zaraz po jej wybuchu brytyjski gubernator Kanady skierował do Oregonu ekspedycję, która groźbami i demonstracją siły zmusiła Amerykanów w październiku 1813 roku do sprzedania Astorii Kanadyjczykom i przeniesienia interesów na wschodnią stronę Gór Skalistych.

Warunki geograficzne, polityka i zmagania wojenne zdecydowały o niepowodzeniu pierwszych prób opanowania Dalekiego Zachodu. Ale bobrów wciąż było tam zatręśienie, a beztroscy „ludzie z gór” nie chcieli rezygnować z ich cennych futer. Kompania Manuela Lisy zmieniła strukturę i przeniosła się dalej na południe. W 1821 roku, pod nowym kierownictwem Williama Henry’ego Ashleya i Andrew Henry’ego, przekształciła się w Kompanię Futrzarską Gór Skalistych, rywalizującą w lukratywnym handlu futrami bobrów ze słynną Kompanią Zatoki Hudsona (*Hudson’s Bay Company*) oraz kompanią Astora. Sam Astor także opuścił północne terytorium Oregonu i przeniósł swoją nową Amerykańską Kompanię Futrzarską do St. Louis, rozpoczynając konkurencję z Ashleyem na bezpieczniejszym południowym terenie. „Ludzie z gór”, naciskani przez ambitnych i przedsiębiorczych handlarzy, którzy albo zatrudniali traperów bezpośrednio, albo skupowali od nich futra indywidualnie, brali swoje narzędzia oraz pułapki i ciągnąc z trudem konie, pchali się coraz dalej w głąb nieznanego kraju. Pędzili żywot w skrajnie trudnych warunkach, codziennie narażali życie, a w zamian otrzymywali niewiele, zyski bowiem trafiały do spółek futrzarskich. Oni sami byli często jedynie wyrobnikami i dłużnikami wielkich przedsiębiorców. Ale to ich właśnie historia nagrodziła nieprzemijającą sławą i to ich wytrwałe i pokryte odciskami stopy otworzyły wrota do Gór Skalistych.

Pierwsze posterunki handlowe, w których można było uzupełnić zapasy i sprzedać zgromadzone futra, zostały zmiecione przez Czarne Stopy i Arikarów. Wówczas Ashley wpadł na praktyczniejszy pomysł zaopatrywania traperów z Gór Skalistych. Po roku 1822 zrezygnował z budowy drógich w utrzymaniu i często odległych od terenów łowieckich fortów i faktorii handlowych i zaczął wyznaczać miejsca spotkań w jakiejś bezpiecznej dolinie lub na górskiej łące. Tam

o określonej porze ściągali traperów z ich całoroczną zdobyczą oraz zaprzyjaźnionych Indian zainteresowanych handlem. Wczesnym latem długie karawany jucznych mułów i koni ciągnęły do dolin rzek spływających ze wschodnich stoków Gór Skalistych, aby zdążyć na doroczne spotkanie traperów zwane *rendezvous*. „Ludzie z gór” mogli się tam zaopatrzyć we wszystko, czego potrzebowali do życia i polowania.

Zainaugurowane w 1825 roku nad widłami potoku Henry w południowo-wschodnim Idaho, dopływem rzeki Snake, *rendezvous* okazały się wielkim sukcesem i z czasem stały się jednym z najważniejszych wydarzeń sezonu. Traperzy z zadowoleniem przyjęli nowe rozwiązanie, które zastąpiło dotychczasową praktykę corocznego powrotu do zatłoczonego i rozkrzyczanego St. Louis w celu sprzedaży skór i odnowienia zapasów. Spotkania traperów stały się też okazją do odpoczynku i zabawy po długim okresie samotności w górach. Popularność *rendezvous* z każdym rokiem rosła, przyciągając nie tylko amerykańskich traperów, ale także Indian, Kanadyjczyków i przybyszów z Nowego Meksyku, a czas ich trwania wydłużył się z początkowych dwóch tygodni do prawie dwóch miesięcy. W niektórych latach liczba uczestników spotkań przekraczała dwa tysiące. W sumie odbyło się trzynaście takich zgromadzeń, ostatnie w roku 1840. Zbiegło się ono z drastycznym spadkiem populacji bobrów, zmniejszeniem się popytu na futra i obniżką cen na ten surowiec oraz napływem osadników i zbliżaniem się cywilizacji. Choć handel futrami i skórą trwał nadal w różnej formie do końca XIX wieku, czas traperów wyraźnie się kończył. Spotkanie w 1840 roku można uznać za początek końca ery „ludzi z gór”.

Łowca bobrów wymieniał swoją ciężko zapracowaną całoroczną zdobyczą na towary, które ledwo wystarczały do przeżycia, po czym wracał do swej odległej samotni, gdzie czekały na niego nowe śmiertelne zagrożenia. Szczególne

niebezpieczeństwo groziło ze strony Indian. Oszukiwani i wykorzystywani przez handlarzy, wyniszczeni ospą przywleczoną przez białego człowieka, bywali oni całkowicie nieprzewidywalni, podstępni i bezlitośni. Tylko w 1823 roku kompania Ashleya utraciła w starciu z Indianami dwudziestu ludzi. W maju z rąk Czarnych Stóp zginęło nad górną Missouri czterech z dwudziestu jeden traperów towarzyszących Andrew Henry'emu w wyprawie do ujścia rzeki Yellowstone. Samego Ashleya napadli i otoczyli Arikarowie, gdy spieszył im na pomoc z grupą dziewięćdziesięciu ludzi. Incydent ten urósł do rangi „najgorszej katastrofy w historii zachodniego handlu skórami” i bezpośrednio doprowadził do konfliktu zbrojnego zwanego wojną z Arikarami. Wojna ta, choć krótka i właściwie nierozstrzygnięta, jest warta odnotowania jako pierwszy konflikt zbrojny Stanów Zjednoczonych z Indianami na Zachodzie.

Zanim jednak do tego doszło, 13 lutego 1822 roku Ashley i Henry w imieniu Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych zamieścili w gazetach w St. Louis krótkie ogłoszenie, że zatrudnią „stu przedsiębiorczych młodych ludzi na wyprawę w górę rzeki Missouri, do jej źródeł, na okres jednego, dwóch lub trzech lat”. Ludzi, którzy odpowiedzieli na ich apel, nazwano później „setką Ashleya” (*Ashley's Hundred*). W grupie tej znaleźli się tak znani potem traperzy, jak: Jedediah Smith, William Sublette, Jim Beckwourth, Thomas Fitzpatrick, David Jackson, Jim Bridger, Hugh Glass i Moses Harris.

Ogłoszenie Ashleya i Henry'ego było odpowiedzią na wydany w 1822 roku zakaz sprzedaży alkoholu Indianom, na których do tej pory w zasadzie opierał się handel skórami. Indianie dostarczali futra upolowanych zwierząt do wyznaczonych punktów handlowych, gdzie oprócz innych przydatnych towarów otrzymywali w zamian także znaczne ilości alkoholu, głównie po to, żeby osłabiać ich upór i łatwiej ich oszukiwać.

Metoda ta stała się tak powszechna, że właściwie trudno było prowadzić handel skórami bez dużych ilości „wody ognistej”. Plan wysyłania w góry białych myśliwych eliminował udział Indian i czynił niepotrzebnym system placówek handlowych. Ich miejsce mieli zająć odpowiednio wyszkoleni i regularnie zaopatrywani podczas corocznych *renedezvous* młodzi biali traperzy.

Ashley i Henry z łatwością zebrali chętnych do udziału w swoim przedsięwzięciu. W większości byli to twardzi, prymitywni poszukiwacze przygód, silni i pewni siebie, ale także żądni szybkiego zarobku egoiści skorzy do awantur i przesiąknięci alkoholem. Ludzie ci mieli na uwadze tylko własny interes, reszta świata ich nie obchodziła. Ale ogłoszenie Ashleya zainteresowało również ludzi innego pokroju – też twardych i złąknionych przygód, zarazem jednak bystrych i ciekawych świata. Pragnienie poznawania, ciekawość, żądza wiedzy zawsze pchały ich za kolejne wzgórze, które przesłaniało im widok, a żywość umysłu pozwalała im łączyć te cechy z doświadczeniem nabytym w dziczy dla pożytku własnego i innych. Ludzie ci w istocie mieli mentalność pionierów, a przed takimi jak oni nawet dziki i trudno dostępny Zachód nie mógł się obronić. Najbardziej chyba znanymi śmiałkami, którzy odpowiedzieli na apel Ashleya, byli Jedediah Smith i James Bridger, najwybitniejsi „ludzie z gór”.

Jed Smith (1799–1831) pochodził ze stanu Nowy Jork. Był cichy, spokojny i bardzo religijny. Jako zdeklarowany metodysta miał opinię człowieka, którego nieodłącznymi towarzyszami są Biblia i strzelba. Gdy w 1822 roku dołączył do wyprawy „setki Ashleya”, wydawał się prawdziwym elegantem na tle prymitywnych, brodatych, często zapijaczonych i niechlujnych traperów z gór. Był zawsze schludnie ubrany i gładko ogolony, a na dodatek nigdy nie pił alkoholu i nie palił tytoniu. Obserwując na co dzień okrucieństwo i chciwość swoich

współtowarzyszy, odczuwał wyrzuty sumienia i często ubolewał nad „przewrotnością swego niegodziwego serca”. W 1824 roku, kierując się wskazówkami otrzymanymi od Indian z plemienia Wron, poprowadził niewielką grupkę traperów na południe od rzeki Yellowstone, aby odszukać przejście przez Góry Skaliste i znaleźć nowe tereny łowieckie po zachodniej stronie kontynentalnego działu wód. W czasie tej podróży odkrył słynną Przełęcz Południową w Wyomingu i dotarł do rzeki Green. Po drodze omal nie stracił życia wskutek spotkania z niedźwiedziem grizzly, który zdarł mu z głowy część skóry, tak że do końca życia zaczesywał włosy do przodu, aby zakryć okropną bliznę, jaką pozostawiły pazury zwierza. Mimo tej dramatycznej przygody wyprawa okazała się wielkim sukcesem i w 1825 roku Smith wrócił do St. Louis z czterema tonami bobrowych skór. Sam ustanowił rekord w historii „ludzi z gór”, pozyskując w sezonie 1824/1825 sześćset sześćdziesiąt osiem skórek.

W 1825 roku Jed Smith został współnikiem Ashleya w miejsce Andrew Henry’ego, który dorobiwszy się znacznego majątku, wycofał się z interesu. Rok później, w lipcu 1826 roku, przed powrotem do St. Louis z kolejnego *rendezvous*, Ashley sprzedał swój udział w Kompanii Futrzarskiej Gór Skalistych Smithowi oraz Davidowi Jacksonowi i Williamowi Sublette’owi. Nowi właściciele mieli do pomocy paru wytrawnych traperów: Roberta Campbella, Toma Fitzpatricka, Jima Bridgera, Mosea Harrisa i Jima Beckwourtha.

Podczas gdy Jackson i Sublette wspomagani przez Bridgera i Campbella nadal łowili bobry w środkowej części Gór Skalistych, Jed Smith postanowił poszukać nowych łowisk na nieznanym Południowym Zachodzie. W sierpniu 1826 roku wyruszył z paroma ludźmi na południe, do meksykańskiej Kalifornii, i dotarł w pobliże dzisiejszego Los Angeles, pokonując przy okazji jako pierwszy Amerykanin słoń

pustynię Mojave. Tereny te znajdowały się pod kontrolą władz meksykańskich, więc niemiłe tam widziani Amerykanie zostali aresztowani i do stycznia 1827 roku przebywali w więzieniu. Po uwolnieniu Smith poprowadził w maju swoich ludzi z powrotem do basenu Wielkiego Jeziora Słonego przez góry Sierra Nevada. Droga przez góry i pustynie Nevady była niezwykle uciążliwa. Zdrożeni i spragnieni wędrowcy „często podróżowali bez kropli wody, czasem przez dwa dni”, ostatecznie jednak w lipcu, z jednym zaledwie koniem i jednym mułem, dotarli na miejsce corocznego *rendezvous* nad jeziorem Bear Lake w północnym Utah, tam gdzie dziś leży miasteczko Laketown.

Latem 1827 roku Smith zebrał nową grupę dwudziestu osób i ruszył w drogę powrotną do Kalifornii. Tym razem nie miał tyle szczęścia co poprzednio: w czasie przeprawy przez rzekę Kolorado jego ludzi zaatakowali Indianie Mojave i większość z nich zabili. Smith i siedmiu pozostałych przy życiu mężczyzn dotarli w końcu sierpnia do Kalifornii, ale tam znowu go aresztowano. Został zwolniony dopiero wtedy, gdy zgodził się opuścić Kalifornię i przyrzekł, że nigdy więcej do niej nie powróci. Niepokieszony, zebrał następną grupę i powędrował na północ wzdłuż wybrzeża Oceanu Spokojnego, do ujścia rzeki Kolumbia. W lipcu 1828 roku nad rzeką Umpqua w dzisiejszym Oregonie obóz zaatakowali Indianie Kelawatset i zabili piętnastu ludzi. Smith z ocalałymi członkami grupy zdołał dotrzeć do fortu Vancouver w Kanadzie, gdzie pomocy udzielili im traperzy z Kompanii Zatoki Hudsona. W ciągu trwających trzy lata wędrówek do Kalifornii nieustraszony traper zwerbował trzydziestu trzech ludzi, z których dwudziestu sześciu zginęło.

W 1829 roku Smith oraz jego partnerzy sprzedali swój futrzany interes i w kwietniu następnego roku wspólnie poprowadzili z St. Louis pierwszą karawanę dziesięciu wozów

na doroczne *rendezvous* nad Popo Agie w dolinie rzeki Snake. Droga wzdłuż Platte i Sweetwater, którą jechali, stała się później częścią słynnego szlaku osadników zdążających do Oregonu. Po tym spotkaniu Jed wrócił do St. Louis, żeby zająć się handlem, ale wiosną 1831 roku niespokojna natura i chęć zysku skłoniły go do poprowadzenia wraz z Davidem Jacksonem karawany handlowej szlakiem Santa Fe do Kalifornii. 27 maja tego roku, w czasie postoju karawany, Smith wyruszył samotnie na poszukiwanie wody w wyschniętym korycie rzeki Cimarron, w południowo-zachodniej części dzisiejszego Kansas. Wody nie znalazł, trafił natomiast na wyprawę wojenną Komanczów i zginął, przebity indiańską włócznią. Jego towarzysze dotarli szczęśliwie do Santa Fe na początku lipca 1831 roku, gdzie przypadkiem dowiedzieli się o jego losie od meksykańskiego kupca handlującego z Komanczami.

Chociaż jego żywot trwał krótko, Jedediah Smith położył ogromne zasługi w dziele eksploracji Zachodu. Odkrywca, kierownik traperskich brygad i partner w dwóch kompaniach futrzarskich, był pierwszym Amerykaninem od czasów ludzi Astora, który przekroczył ze wschodu na zachód kontynentalny dział wód biegnący wzdłuż Gór Skalistych. Przyczynił się do odkrycia Przełęczy Południowej, pierwszy przemierzył całe Utah i dotarł łądem do Kalifornii. Był też pierwszym białym wędrowcem, który przekroczył góry Sierra Nevada oraz pustynne obszary płaskowyżu Kolumbia i Wielkiej Kotliny. Jego opowieści o cudach Kalifornii i Oregonu, poparte cennymi informacjami geograficznymi zebranymi w czasie wędrówek, przyciągnęły innych śmiałków, którzy bez reszty poświęcili się poznaniu Dalekiego Zachodu.

O ile Jed Smith był romantycznym rycerzem Gór Skalistych, o tyle pochodzący z Wirginii James Felix Bridger (1804–1881) odznaczał się większym realizmem. Daleki od idealizmu,

prawdopodobnie mniej inteligentny od Smitha, w czasie czterdziestu lat samotnych wędrówek poznał on Zachód lepiej niż jakikolwiek inny Amerykanin. Dobrze też znał i szanował Indian, wziął sobie nawet kolejno trzy indiańskie żony. „Nie ma nic szczególnego w jego stroju i sposobie życia – pisał jeden z jego admiratorów – co by wskazywało na bohaterskiego ducha, który mieszka w tym prostym, zwykłym i bezpretensjonalnym człowieku”.

Swoją karierę Jim Bridger zaczął w wieku czternastu lat jako pomocnik kowala w St. Louis. Nie były mu jednak pisane młot i kowadło. Jako osiemnastolatek za oszczędzone pieniądze kupił sobie dobrą strzelbę Hawkena i wraz z wieloma innymi odpowiedział na słynny apel Ashleya, aby wziąć udział w jego ekspedycji nad górną Missouri. W sierpniu 1823 roku znalazł się w trzynastoosobowej grupie traperów Andrew Henry’ego podążającej lądem od ujścia rzeki Grand do factorii w forcie Henry przy ujściu Yellowstone. Któregoś dnia w czasie polowania w widłach Grand w dzisiejszej Dakocie Południowej jego towarzysz Hugh Glass został ciężko poturbowany przez broniącą swoich młodych niedźwiedzicę grizzly. Nie chcąc opóźnić całej grupy, Henry zostawił Bridgera i Johna Fitzgeralda, aby zaopiekowali się ledwo żywym Glassem, a następnie oddali mu ostatnią posługę. Po trzech dniach oczekiwania Bridger i Fitzgerald, przekonani, że nieprzytomny Glass lada chwila umrze, zabrali jego broń i przykrytego skórą zdartą z zabitego niedźwiedzia pozostawili go na łaskę losu w świeżo wykopanym dole. Potem dołączyli do głównej grupy i zameldowali Henry’emu, że Glass zmarł z odniesionych ran, ale nie zdołali go pochować, spłoszeni pojawieniem się oddziału wrogich Arikarów.

Tymczasem po odejściu wiarołomnych przyjaciół Glass odzyskał przytomność i mimo ciężkich ran zdołał się wydostać z niedoszęłego grobu. Żywiąc się głównie jagodami

i korzonkami, odzyskał siły na tyle, że w ciągu sześciu tygodni dowlókł się na południe, do rzeki Cheyenne. Tam po jakimś czasie odnaleźli go zaprzyjaźnieni Indianie i pomogli mu dotrzeć do placówki handlowej w forcie Kiowa nad Missouri, w samym sercu krainy Siuksów, ponad trzysta kilometrów od miejsca, w którym rozpoczął swoją odyseję. Wyleczywszy rany, Glass wrócił na Zachód, żeby zemścić się na Bridgerze i Fitzgeraldzie za to, że pozostawili go bezbronnego na pewną śmierć. Odnalazł Jima Bridgera nad Yellowstone u ujścia rzeki Bighorn, ale w ostatniej chwili darował chłopakowi życie, prawdopodobnie ze względu na jego młody wiek. Później odszukał także Fitzgeralda, okazało się jednak, że tymczasem wstąpił on do armii, a zabicie żołnierza groziło śmiercią. Glass był więc zmuszony zaniechać zemsty, udało mu się jednak odzyskać utraconą strzelbę. Potem wrócił do życia w górach i w późniejszych latach został myśliwym zaopatrującym w mięso załogę fortu Union w górze Missouri. Zimą 1833 roku wraz z dwoma innymi traperami został zaatakowany nad Yellowstone przez Arikarów i zginął w nierównej walce. Okoliczności jego spotkania z niedźwiedziem oraz późniejsza walka o przetrwanie i powrót do cywilizacji przeszły do historii Dzikiego Zachodu, stając się kanwą dla licznych książek i filmów poświęconych życiu „ludzi z gór”.

Uniknąwszy zemsty Glassa, Jim Bridger kontynuował wędrówki po górach Zachodu. Zapewne jako jeden z pierwszych białych ludzi zobaczył słynne gejzery i inne cuda natury na terenie dzisiejszego Parku Narodowego Yellowstone w Wyomingu. 4 lipca 1824 roku, natknąwszy się nad rzeką Sweetwater, na tysiąc trzysta dziesiątym kilometrze słynnego szlaku Oregońskiego, na charakterystyczną formację skalną, nadał jej wraz ze swymi towarzyszami nazwę Skała Niepodległości (*Independence Rock*). Jako pierwsi wyryli oni na ciemnych ścianach ogromnej skały swoje imiona, czym

zapoczątkowali „wielki pustynny rejestr” na tym najbardziej znanym punkcie orientacyjnym szlaku Oregońskiego. W tym samym roku, podczas wędrówki do ujścia rzeki Bear w Utah, Bridger dotarł do Wielkiego Jeziora Słonego (*Great Salt Lake*), morza kontynentu amerykańskiego, które błędnie zidentyfikował jako zatokę Oceanu Spokojnego.

Nie poszedł jednak dalej na południe; wolał łowić bobry z Jedem Smithem, Davidem Jacksonem i innymi w górach Wasatch na północy Utah. Wiele lat później, w 1842 roku, gdy skończył się popyt na bobrowe futra i zaczął się napływ osadników, Bridger razem ze swoim współnikiem Louistem Vasquezem wybudował za Przełęczą Południową nad jednym z dopływów rzeki Green w południowo-zachodnim rogu Wyomingu placówkę handlową, którą nazwał Fort Bridger. Złożony z kilku prostych drewnianych chat otoczonych palisadą, fort ten stał się ważnym punktem etapowym w wędrówce pionierów na Daleki Zachód, oferując emigrantom odpoczynek, kuźnię, stolarnię i możliwość uzupełnienia zapasów. Tu kończył się pierwszy odcinek znanego szlaku Oregońskiego i rozpoczynał nie mniej znany szlak Kalifornijski. W lipcu 1847 roku w pobliże fortu Bridgera zawitała pierwsza grupa mormonów, którzy pod przewodnictwem Brigham Younga wyruszyli na zachód w poszukiwaniu swojej ziemi obiecanej. Właściciel fortu, chcąc się pozbyć z okolicy nieproszonych przybyszów, poradził podobno Youngowi, aby skręcili na południowy zachód i osiedlili się w należącej wówczas do Meksyku dolinie Salt Lake w Utah. Po piętnastu miesiącach powolnej wędrówki, niesieni religijnym zapalem, mormoni dotarli grupami do wymarzonego miejsca na pustyni Utah. Krótco potem, w 1850 roku, podczas jednej ze swoich wędrówek Bridger odkrył przejście przez góry alternatywne dla Przełęczy Południowej. Wiodło ono przez przełęcz nazwaną od jego nazwiska Przełęczą Bridgera (*Bridger Pass*) i skracало szlak

Oregoński o prawie sto kilometrów. Stało się ono później korytarzem dla pacyficznej linii kolejowej.

Pojawienie się mormonów w pobliżu fortu Bridgera nie podobało się jego właścicielowi i zaogniło wzajemne stosunki. Mormoni, niechętni obcym osadnikom, chcieli ograniczyć ich napływ, oskarżyli więc Bridgera o podburzanie Indian i sprzedawanie im alkoholu oraz amunicji, co było naruszeniem prawa federalnego. W czerwcu 1853 roku wyruszył z Salt Lake City do fortu Bridgera uzbrojony oddział czterdziestu ośmiu mormonów. Uprzedzony o tym Jim uciekł w ostatniej chwili, a ludzie Younga zajęli opuszczony fort i zniszczyli znalezione w nim zapasy alkoholu. Niektóre źródła podają, że puścili fort z dymem, ale to nieprawda. Żoną Bridgera była wówczas córka słynnego wodza Szoszonów Washakie i mormoni obawiali się, że może on w akcie zemsty wysłać przeciwko nim swoich wojowników. Po zajęciu fortu okupowali go przez dwa lata, do roku 1855, przekształcając go razem z wybudowanym w pobliżu fortem Supply w bazę zaopatrzeniową dla emigrantów mormońskich zdążających do Utah. A gdy w tymże roku Bridger powrócił, zmusili go do sprzedaży fortu. W tej sytuacji stary traper zrezygnował z handlu i wstąpił do służby rządowej jako przewodnik i zwiadowca wojskowy. Po upływie dwu lat rząd wysłał do Utah siły wojskowe pod dowództwem pułkownika Alberta Sidneya Johnstona w celu przywrócenia porządku na terenach zamieszkałych przez mormonów. Poprowadził je pałający żądzą rewanżu Jim Bridger. Na wieść o zbliżaniu się oddziałów federalnych mormoni spalili swoje forty w Wyomingu i wycofali się do Salt Lake City.

Zanim jednak doszło do ostatecznej rozprawy z mormonami, w 1854 roku Bridger został przewodnikiem bogatego, ekscentrycznego irlandzkiego arystokraty sir George'a Gore'a, który zorganizował słynną w dziejach Zachodu ekspedycję na

północnoamerykańskie prerie. Uzyskawszy w St. Louis zgodę na wjazd do kraju Indian, Gore dotarł na prerie Nebraski i skompletował wyprawę, dobierając sobie czterdziestu wytrawnych pomocników. W czerwcu karawana dotarła do fortu Laramie, gdzie Gore wynajął na przewodnika właśnie Jima Bridgera, który poprowadził ekspedycję dalej na zachód szlakiem Oregońskim. Jej dalsze losy nie są dokładnie znane, ponieważ przed powrotem do Europy Gore zniszczył swój pamiętnik. Wiadomo jednak, że w ciągu dwóch lat wędrówek przez prerie i góry Kolorado, Wyomingu, Montany i Dakoty irlandzki arystokrata dokonał prawdziwej masakry wśród dzikich zwierząt. Według jego własnych słów zabił w tym czasie sto pięć niedźwiedzi, ponad dwa tysiące bizonów oraz tysiąc sześćset łosi i jeleni, nie licząc mniejszej zwierzyny. Ot tak, dla czystego sportu... Wiele wskazuje na to, że znacznie więcej zwierząt ranił, niż uśmiercił na miejscu. Ta rzeź bizonów rozwścieczyła Indian do tego stopnia, że skarżyli się agentom rządowym na szalonego cudzoziemca, który zabija ich zwierzęta dla niezrozumiałej przyjemności zabijania. Z tego właśnie powodu tubylcy nadali mu mało pochlebny przydomek „zabójcy bizonów”. Sir George jednak ignorował wszystkie skargi i niepowodzenia, a wieczorami zapraszał do swego namiotu Jima Bridgera, który nigdy nie nauczył się czytać i pisać, i dla relaksu czytał mu na głos dzieła Szekspira lub sir Waltera Scotta albo dawał koncert gry na skrzypcach.

Wiosną 1856 roku Irlandczyk niechętnie zakończył swoją ekspedycję myśliwską i ruszył w drogę powrotną nad Missouri. W forcie Union chciał sprzedać posiadany sprzęt za rozsądną cenę handlarzom z Amerykańskiej Kompanii Futrzarskiej, ale ich pazerność doprowadziła go do takiej pasji, że kazał wszystko spalić pod bramą fortu: wozy, zapasy, podarki dla Indian, prywatne zapiski i rzeczy osobiste. Wolał się ich pozbyć, niż oddać je za bezcen chciwym ludziom. Zachował tylko broń,

trochę indiańskich pamiątek, siodła, uprząż i swoje trofea myśliwskie. Z fortu Union spłynął Missouri do St. Louis, gdzie pożegnał się z Jimem Bridgerem i zapłacił mu za usługi. Potem udał się do Nowego Orleanu, skąd odpłynął statkiem do Anglii. Do końca życia nie przestał polować, wskutek czego zabrakło mu czasu nawet na ożenek.

W 1864 roku starzejący się Jim Bridger przetaił nowy szlak – drogę z Wyomingu do złotonośnych pól Montany, która pozwalała ominąć niebezpieczny ze względu na wrogo nastawionych Indian szlak Bozemana, gdzie w latach 1866–1868 toczyły się walki z Siuksami pod wodzą Czerwonej Chmury. Latem 1865 roku, w ramach zorganizowanej z rozmachem ekspedycji Powder River, poprowadził wojsko generała Patricka Connora przeciwko Siuksom i Czejenom z północnych prerii. W tymże roku zakończył służbę i schorowany osiadł w Westport w Missouri. Legendarny traper i odkrywca zmarł 17 lipca 1881 roku na swojej farmie niedaleko Kansas City w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat.

Rzadko kiedy ważne odkrycia dokonywane przez „ludzi z gór”

były efektem zaplanowanych i przemyślanych działań. Gdy w 1806 roku Colter wyruszał nad górną Missouri w poszukiwaniu bobrów, nie miał najmniejszego pojęcia, że w istocie jest zwiadowcą i prekursorem potężnego pochodu na zachód, w kierunku Oceanu Spokojnego. W ciągu pięćdziesięciu lat, do czasu gdy Jim Bridger zawiesił na kołku swoje pułapki na bobry i osiadł na farmie w Kansas, zostały odkryte i spenetrowane przez „poszukiwaczy ścieżek” prawie wszystkie większe przełęcze, doliny i rzeki w Górach Skalistych.

Wcześni biali badacze kontynentu, traperzy i odkrywcy, wykonali dobrą robotę. Co więcej, nigdy nie uważali się za zdobywców nowych terenów. Ziemia znaczyła dla nich tyle samo co dla Indian. Lasy i równiny Dalekiego Zachodu

zapewniały im pożywienie, odzienie, budulec na domy oraz cenne futra, za które w odległych faktoriach mogli odnowić zapasy prochu i amunicji, a także kupić to, czego nie mogli sami zdobyć na odludziu. Kiedy zmuszała ich do tego sytuacja, walczyli z plemionami indiańskimi o dostęp do łowisk, ale nigdy nie podważali ich praw do tych terenów i ani myśleli ich stamtąd wyganiać. Często zawierali z tubylcami przyjaźnie, żenili się z ich kobietami i brali udział w międzyplemiennych walkach u boku krewnych swoich indiańskich żon. Gdy pod koniec lat trzydziestych XIX wieku skończył się popyt na futra bobrów i dotychczasowe zajęcie przestało się opłacać, wielu z nich wybrało życie osiadłe. Inni zajęli się zyskownym handlem z Indianami, zakładając umocnione punkty handlowe po obu stronach Gór Skalistych. Jeszcze inni zostali zwiadowcami i przewodnikami rządowych wypraw badawczych i karawan emigrantów zdążających w poprzek kontynentu.

Czarny Jastrząb i ostatnia wojna wschodnich Indian

Gromada indiańskich mężczyzn, kobiet i dzieci próbowała właśnie przepłynąć na skleconych naprędcie tratwach i czółnach na drugi brzeg Missisipi, kiedy z góry rzeki nadpłynął dymiący parowiec o groźnej nazwie „Warrior” (Wojownik) z wielkim działem i żołnierzami. Zanim przerażeni Indianie zdążyli dotrzeć do zbawczego brzegu, „ognista łódź” ostrzelała ich z armaty. Wkrótce lądem nadeszli żołnierze i otworzyli do nieszczęśników ogień, nie zważając, że próbują oni się poddać. Nie była to walka, tylko bezsensowna i niepotrzebna masakra. Tratwy i łodzie, jedna po drugiej, zatoniły pod gradem kul. Wódz pobitej gromady zdołał uciec, ale niebawem złapano go, zakuto w kajdany i wleczono od miasta do miasta, aby mógł się przekonać o potędze Stanów Zjednoczonych. Nazywał się Czarny Jastrząb i był przywódcą w ostatniej wojnie wschodnich Indian, tragiczną i romantyczną zarazem postacią ginącego świata amerykańskiego pogranicza.

Pierwszym regionem Północnego Zachodu oddanym pod osadnictwo Amerykanom była południowo-zachodnia część dzisiejszego stanu Wisconsin. Odkryte jeszcze przez Francuzów w XVIII wieku w pobliżu dzisiejszego miasta Dubuque, na terenach należących do Winnebagów oraz Czipewejów, Ottawaów i Potawatomic, złoża ołowiu, jedne z najbogatszych w świecie, stały się przedmiotem rywalizacji wrogich stron podczas amerykańskiej wojny o niepodległość. W pierwszej połowie XIX wieku zaczęły jak magnes przyciągać ludzi ze

Wschodu, wskutek czego przez wiele lat w tej części Wisconsin skupiała się prawie cała biała ludność zamieszkująca granice obecnego stanu.

Podczas gdy Amerykanie siłą przesiedlali Indian z Południowego Wschodu na osławione Terytorium Indiańskie, na północy i Środkowym Wschodzie panował względny spokój. Ziemie zamieszkane przez plemiona ze wschodnich prerii i regionu Wielkich Jezior były jednak zbyt cenne, aby zostawić je wyłącznie Indianom i nielicznym białym traperom. Bogate złoża ołowiu w południowo-zachodniej części Wisconsin, gwałtownie rosnąca populacja białych w Illinois po rozwiązaniu tam problemu niewolnictwa w 1824 roku, rozwój żeglugi parowej na Wielkich Jeziorach na początku lat trzydziestych XIX wieku oraz żyzne ziemie porośnięte gęstymi lasami wzdłuż górnego biegu Missisipi i jej dopływów – wszystko to przyczyniło się do błyskawicznego zasiedlenia tych terenów kosztem leśnych plemion Winnebagów, Czipewejów, Potawatomich, Ottawów, Kikapu, Menominich oraz Sauków i Lisów.

Większy napływ Amerykanów na te tereny rozpoczął się w 1819 roku, kiedy niejaki Jesse W. Shull z Pensylwanii i jego wspólnik doktor Samuel C. Muir założyli faktorię handlową January Point nad rzeką Galeną w północnym Illinois i przy pomocy Indian zajęli się wydobywaniem ołowiu, który następnie sprzedawali do Kanady. Trzy lata później uczestnik wojny z Anglią 1812 roku James Johnson z Kentucky sprowadził do osady Galena murzyńskich niewolników, otworzył kopalnię i zaczął wydobywać ołów na niespotykaną dotąd skalę. Przed 1825 rokiem w Galenie było stu górników, a już rok później ich liczba wzrosła do czterystu pięćdziesięciu. Do końca 1826 roku „gorączka ołowiu” zwabiła nad górną Missisipi tłumy górników z Missouri, Kentucky, Tennessee i południowego Illinois. W krótkim czasie osiedliło się tam pięć tysięcy ludzi, co

doprowadziło do konfliktów z Indianami i wybuchu latem 1827 roku krótkiej wojny z Winnebagami, dowodzonej przez Czerwonego Ptaka. W jej wyniku Indianie zostali pokonani, a Czerwony Ptak trafił do więzienia w Prairie du Chien nad Missisipi i zmarł krótko potem, nie doczekawszy wyroku. Po wojnie z Winnebagami wielu białych zaczęło twierdzić, że pokojowe współzycie z Indianami jest niemożliwe i że należy przesiedlić ich na zachód. Z pewnością przyczynił się do tego fakt, że do końca stycznia 1828 roku na ziemiach Winnebagów zamieszkiwało już dziesięć tysięcy nielegalnych osadników, wśród nich znany amerykański polityk i wojskowy, pułkownik Henry Dodge.

W sierpniu 1829 roku plemię Winnebagów, któremu po śmierci Czerwonego Ptaka przewodził pokojowo nastawiony Chodzący Żółw, podpisało pod presją traktat w Prairie du Chien, godząc się na sprzedaż Stanom Zjednoczonym całego regionu obfitującego w ołów. Podobnie postąpiły sąsiadujące z nimi na południu i zachodzie plemiona Czipewejów, Ottawów i Potawatomich, które oddały białym północną część Illinois wraz z całym brzegiem Missisipi, aż do ujścia rzeki Wisconsin. Dla ochrony swoich zdobyczy terytorialnych Amerykanie wybudowali w październiku 1828 roku w Portage nad Wisconsin fort Winnebago. Fort ten, razem z fortem Howard w Green Bay i fortem Crawford w Prairie du Chien, stał się częścią łańcucha placówek wzniesionych na rzekach Fox i Wisconsin wzdłuż drogi wodnej wiodącej z Wielkich Jezior do Missisipi w celu odgrożenia osiedli białych w południowym Wisconsin od terenów indiańskich. Konflikt z Winnebagami poprzedził znacznie poważniejszą wojnę z Saukami i Lisami, w której uczestniczyło wielu tych samych ludzi i która miała podobny charakter. W tych dramatycznych chwilach ujawniła się osobowość wybitnego wodza Sauków, Czarnego Jastrzębia (1767–1838), towarzysza walki wielkiego Tecumseha w wojnie

1812 roku, który najostrzej sprzeciwiał się zabieraniu Indianom ziemi i przesiedlaniu ich na zachód.

Na początku kwietnia 1832 roku przeszło dwa tysiące Indian, w tym około pięciuset Sauków i Lisów pod wodzą Czarnego Jastrzębia oraz Białej Chmury, czarownika Winnebagów i półkrwi Sauka, opuściło Terytorium Iowa, dokąd wygnano ich z północno-zachodniego Illinois, i powróciło do swoich domów nad rzeką Rock na wschodnim brzegu Missisipi. Ich powrót do Illinois oraz kategoryczna odmowa opuszczenia dawnych ziem plemiennych, które utracili na mocy spornego traktatu podpisanego w St. Louis w 1804 roku, wywołały strach wśród białych osadników. Panikę Amerykanów spotęgowały wieści o zawarciu przez grupę Czarnego Jastrzębia sojuszu z częścią plemion Winnebagów, Kikapów, Ottawów i Potawatomich oraz o rozmowach prowadzonych z Brytyjczykami z Kanady (dlatego zwolenników Czarnego Jastrzębia zaczęto nazywać *British Band* – „grupą angielską”).

Wiosną 1832 roku gubernator Illinois John Reynolds zwołał milicję stanową w sile tysiąca siedmiuset ludzi pod dowództwem generała Samuela Whiteside'a, w której służył także młody Abraham Lincoln, i w maju skierował ją przeciwko Czarnemu Jastrzębiowi oraz jego zwolennikom. Na początku władze zamierzały aresztować Indian i odesłać ich z powrotem za rzekę Missisipi, ale zbieg niefortunnych okoliczności spowodował otwarty konflikt. Pierwsza bitwa z niezdyscyplinowaną milicją, do której doszło 14 maja nad potokiem Sycamore, dopływem rzeki Rock, skończyła się porażką dwustu siedemdziesięciu pięciu konnych ochotników majora Isaiaha Stillmana. Później jednak pozbawieni pomocy Anglików Indianie wycofali się na północ do Wisconsin, pałac po drodze farmy i zabijając wielu osadników.

Pod presją prezydenta Andrew Jacksona domagającego się „szybkiego i honorowego zakończenia wojny, które

odstraszyłoby innych Indian przed wywoływaniem takich niesprowokowanych aktów wrogości na naszej granicy”, w pościg za Czarnym Jastrzębiem ruszyła milicja i sprowadzone z pogranicznych fortów wojsko generała Henry’ego Atkinsona, złożone z ponad trzech tysięcy konnych milicjantów i sześciuset trzydziestu regularnych piechurów. 16 czerwca pułkownik Dodge na czele oddziału ochotników wciągnął w zasadzkę i wybił do nogi kilkunastoosobową wyprawę wojenną Indian nad Horseshoe Bend, w zakolu rzeki Pecatonica w południowym Wisconsin. To krótkie starcie było pierwszym realnym sukcesem Amerykanów w wojnie i przywróciło zaufanie opinii publicznej do cywilnych ochotników. Zaufanie to utwierdził kolejny sukces milicji Dodge’a, odniesiony nad uciekającym Czarnym Jastrzębiem 21 lipca pod Wisconsin Heights, przy przeprawie przez rzekę Wisconsin.

1 sierpnia wojsko generała Atkinsona złożone z tysiąca trzystu milicjantów i żołnierzy regularnych dopadło resztek uciekającej „grupy angielskiej”, zredukowanej w wyniku dezercji i głodu do około pięciuset osób, w tym stu pięćdziesięciu wojowników, przy ujściu rzeki Bad Axe do Missisipi. W chwili gdy część Indian próbowała przepłynąć się na drugi brzeg Missisipi, pojawił się parowiec „Warrior” wracający do Prairie du Chien z misji w górze rzeki, której celem było zawarcie sojuszu z Siuksami z Minnesoty. Na widok statku Czarny Jastrząb z grupą wojowników wyszedł na brzeg i machając białą flagą, chciał się poddać, ale dowódca parowca kapitan Joseph Throckmorton, podejrzewając podstęp niezidentyfikowanych Indian, dał rozkaz do odpalenia działa. Pociski zdziesiątkowały czerwonoskórych wojowników, a ci, którzy ocaleli, ukryli się na brzegu i odpowiedzieli ogniem z karabinów. Po dwóch godzinach „Warrior” wycofał się z braku paliwa i odpłynął do fortu Crawford w Prairie du Chien

z jednym rannym żołnierzem na pokładzie. Czarny Jastrząb stracił dwudziestu trzech ludzi.

Potyczka z „Warriorem” przekonała wodza, że sytuacja jego ludzi jest beznadziejna i ocalenia trzeba szukać nie na drugim brzegu rzeki, lecz w szybkiej ucieczce na północ, do krainy zaprzyjaźnionych Czipewejów. Zrobił to jeszcze tej nocy, uchodząc z paroma tuzinami swoich zwolenników wzdłuż Missisipi. Większość wojowników jednak nie chciała go posłuchać i wraz z rodzinami pozostała na noc na wschodnim brzegu, żeby o świcie przepłynąć na skleconych naprędce tratwach i czółnach do Iowy. Ale rankiem 2 sierpnia, gdy Indianie przygotowywali się do przeprawy, zaatakowało ich wojsko Atkinsona. Starcy, kobiety i dzieci próbowali pokonać rzekę, a osłaniający ich wojownicy za wszelką cenę starali się powstrzymać napór białych. Udawało się im to przez godzinę, do czasu gdy z Prairie du Chien wrócił „Warrior” z zapasem paliwa i żołnierzami na pokładzie. Wywiązała się walka trwająca osiem godzin. Indianie byli bez szans: mimo desperackiego oporu zostali zepchnięci do rzeki i zmasakrowani. Wprawdzie regularni żołnierze starali się unikać niepotrzebnego rozlewu krwi, ale wielu cywilnych ochotników nie oszczędzało nikogo, a zwłaszcza bezbronnych kobiet i dzieci. Zabito wszystkich, którzy próbowali przepłynąć rzekę lub ukryć się na jej brzegu. Spośród około czterystu Sauków i Lisów zginęło i utonęło ponad stu siedemdziesięciu mężczyzn, kobiet i dzieci, a trzydzieści dziewięć osób dostało się do niewoli. Straty Atkinsona wyniosły sześciu zabitych i osiemnastu rannych. Według amerykańskiego historyka Patricka Junga, autora obszernej monografii tego konfliktu, była to „bardziej masakra niż bitwa”.

Nie poszczęściło się też większości z blisko dwustu ludzi Czarnego Jastrzębia, którzy zdołali przepłynąć na zachodni brzeg Missisipi i znaleźli tam schronienie, ale jak się okazało,

tylko tymczasowe. Tydzień później bowiem nad rzeką Red Cedar w Iowie prawie siedemdziesięciu z nich zabili, a dwudziestu dwóch pojмали Siuksowie wodza Wabashy, nakłonieni do wojny przeciwko starym wrogom przez Amerykanów. Około sześćdziesięciu uciekinierów oddało swoje skalpy sprzymierzonym z Amerykanami Menominim i Winnebagom. Tylko nielicznym udało się połączyć w Iowie z resztą plemienia, pozostającą pod wpływem przyjaznego białym wodza Koekuka, rywala Czarnego Jastrzębia.

Czarny Jastrząb, Biała Chmura i inni przywódcy „grupy angielskiej” z garstką zwolenników uciekli na północ, ku źródłom rzeki La Crosse. Obozując w pobliżu obecnego miasta Tomah w Wisconsin, świadomi tragizmu swojego położenia uciekinierzy postanowili poddać się Winnebagom. W drodze do ich wioski zostali jednak przy ujściu La Crosse schwytani przez dwóch przekupnych Winnebagów, Jednookiego Dekaurego i Oszusta. 27 sierpnia zdrajcy wydali ich Amerykanom w Prairie du Chien za cenę dwudziestu koni i stu dolarów w gotówce. Czarnego Jastrzębia z dwoma synami, Nashashukiem i Gamesettem, Białą Chmurę, jego brata i dwóch synów oraz paru innych wodzów przewieziono pod eskortą do fortu Armstrong w Rock Island w Illinois. Tam 21 września w obecności głównodowodzącego armii amerykańskiej generała Winfielda Scotta oraz gubernatora Reynoldsa podpisano nowy traktat z Saukami i Lisami, na którego mocy Indianie ostatecznie odstąpili swoją ziemię Stanom Zjednoczonym. W ten sposób zakończyła się trwająca piętnaście tygodni wojna z Czarnym Jastrzębiem, która kosztowała życie siedemdziesięciu siedmiu białych i prawdopodobnie ponad pięciuset Indian.

Czarnego Jastrzębia i dziewiętnastu jego towarzyszy osadzono w areszcie wojskowym w Jefferson Barracks koło St. Louis, a wiosną 1833 roku odesłano go wraz z pięcioma innymi

wojownikami do fortu Monroe w Wirginii, który bardziej nadawał się na więzienie. Nie przebywali tam jednak długo, bo już w czerwcu niepokornego wodza i jego ludzi zabrano w objazd po wielkich miastach Wschodu, aby mogli się przekonać o potęgze Stanów Zjednoczonych i wrócić do życia w pokoju (wcześniej, 26 kwietnia, doszło do spotkania z prezydentem Jacksonem). W czasie podróży przez Baltimore, Filadelfię, Nowy Jork i Albany Indianie zauważyli, że Amerykanie na wschodzie kraju są zupełnie inni niż ci na zachodzie, którzy zwykle odmawiają im człowieczeństwa. Wszędzie przyjmowano ich z sympatią i honorami, ale im dalej na zachód, tym mniej przyjazne były reakcje ludzi. W Albany wrogi tłum obrzucił Indian kamieniami, a w Detroit powiesił i spalił ich kukły. Ostatecznie Czarny Jastrząb wraz z innymi został zesłany do rezerwatu nad rzeką Des Moines w Iowie, gdzie zmarł w październiku 1838 roku. W lipcu 1839 roku szkielet wodza wykradziono z grobu i spreparowano w celu wystawienia go na widok publiczny. W wyniku interwencji synów Czarnego Jastrzębia gubernator Iowy Robert Lucas odzyskał szczątki i umieścił je na widocznym miejscu w swoim biurze w Burlington, a następnie przekazał miejscowemu Towarzystwu Geologicznemu i Historycznemu. Szkielet wodza Sauków uległ zniszczeniu w czasie pożaru budynku Towarzystwa w 1855 roku. Jego symboliczny grób znajduje się na cmentarzu w Iowaville.

Osceola, „Wąż z Everglades”

Późnym popołudniem 28 grudnia 1835 roku generał Wiley Thompson, indiański agent plemienia Seminolów, oraz porucznik Constantine Smyth, który jadł z nim obiad w jego siedzibie niedaleko fortu King na Florydzie, wyszli na poobiedni spacer. Uszli nie dalej niż trzysta metrów, kiedy zniemacka ostrzelała ich grupa Indian ukrytych w pobliskich krzakach. Obaj padli: Thompson trafiony czternastoma kulami, a Smyth dwiema. Indianie zdarli z nich skalpy, po czym pobiegli do domu kupca Erastusa Rogersa i jego także zabili razem z dwoma pomocnikami. Dokonawszy mordu, wydali przeraźliwy okrzyk wojenny i zniknęli w gąszczu bujnej roślinności pokrywającej środkową Florydę. W ten sposób wódz Seminolów Osceola pomścił zniewagę i zdradę, jakich dopuścił się kilka miesięcy wcześniej generał Thompson, który kazał go uwięzić podczas pokojowych rozmów w forcie King i wymusił na nim podpisanie krzywdzącej umowy dotyczącej przesiedlenia Indian z Florydy na Terytorium Indiańskie.

Osceola (1803–1838) urodził się nad rzeką Tallapoosa, w kraju Krików Dolnych w Georgii. Jego matka była córką wodza Krików, który został naczelnikiem jednej ze wsi Seminolów. Ojciec był czystej krwi Indianinem, chociaż niektóre źródła sugerują, że mógł nim być szkocki kupiec o nazwisku Powell. Jako chłopiec Osceola towarzyszył swemu bliskiemu krewnemu wodzowi Peterowi McQueenowi, który walczył z Amerykanami w wojnie 1813 roku i brał udział w bitwie nad Horseshoe Bend. Po klęsce Krików przeniósł się

z rodziną na Florydę, w pobliże późniejszego fortu King w dzisiejszym mieście Ocala, i poślubił Che-cho-ter, córkę murzyńskiej niewolnicy i jednego z wodzów Seminolów. Podobno podczas wizyty handlowej w forcie King Che-cho-ter została porwana i sprzedana w niewolę, gdzie zmarła, co sprawiło, że Osceola stał się nieprzejednanym wrogiem białych.

Seminole byli odłamem Krików i posługiwali się tym samym co oni językiem. Ich nazwa pochodzi właśnie z języka Krików i oznacza uciekinierów lub odszczepieńców. Trzonem Seminolów była grupa Ocone, która w końcu XVII wieku żyła nad rzeką Oconee w Georgii. To właśnie wtedy Seminole oddzielili się od Krików i poszli na południe, gdzie stali się głównym ludem zamieszkującym Florydę. Tam plemię znacznie urosło, przyjmując zbiegłych niewolników murzyńskich oraz Indian, którzy uciekli po wojnie z Krikami w latach 1813–1814. Na początku XIX wieku składało się z co najmniej dwunastu różnych grup, z których najważniejszymi były: Alachua, Apalachee, Apalachicola, Ocone i Mikasuki. Wszystkie utrzymywały się z polowania i połowu ryb oraz częściowo z rolnictwa i hodowli bydła.

W 1817 roku Floryda była formalnie posiadłością hiszpańską, ale chrapkę na nią miały wciąż żadne ziemi Stany Zjednoczone. Zwłaszcza Floryda północna, piękny i żyzny kraj o wspaniałym łagodnym klimacie, nęciła amerykańskich osadników, którzy od dawna naciskali na rząd w Waszyngtonie, aby „ten ziemski raj odebrać dzikusom”. Od dawna także panowało napięcie pomiędzy białymi i Seminolami na granicy Georgii i Alabamy z Florydą. Jednym z powodów tych napiętych stosunków było udzielanie przez Indian schronienia zbiegłym niewolnikom murzyńskim. Negocjacje w sprawie zakupu Florydy ciągnęły się latami i dopiero incydent z udziałem Seminolów dał prezydentowi Jamesowi Monroemu, sekretarzowi wojny Johnowi Calhounowi i ich ulubionemu generałowi Andrew

Jacksonowi pretekst do wprowadzenia wojska na terytorium, do którego Amerykanie otwarcie rościli sobie pretensje.

Już wcześniej na pograniczu z Florydą dochodziło do utarczek Amerykanów z Indianami. W lipcu 1816 roku żołnierze amerykańscy pod dowództwem podpułkownika Duncana Clincha, wspomagani przez Krików Dolnych, w pogoni za zbiegłymi Murzynami przekroczyli granicę i zniszczyli bazę ośmiuset niewolników (tzw. freedmanów) w dawnym brytyjskim forcie Negro Fort (późniejszy fort Gadsden) w Prospect Bluff nad rzeką Apalachicola. W listopadzie 1817 roku wojsko generała Edmunda Gainesa z fortu Scott w południowej Georgii zaatakowało wioskę Fowltown na północno-zachodniej Florydzie, należącą do Seminolów Mikasuki wodza Neamathli, zabijając wielu Indian i Murzynów. Stało się to bezpośrednią przyczyną wybuchu pierwszej wojny z Seminolami (1817–1819). W odwecie bowiem za napaść na Fowltown Seminole zaatakowali na rzece Apalachicola łódź transportową porucznika Richarda Scotta, wiozącą zaopatrzenie i żołnierzy z rodzinami do fortu Scott. Większość pasażerów zginęła, tylko dwóch żołnierzy udało się dotrzeć do fortu. Amerykanie okrzyknęli to zdarzenie masakrą (*Scott Massacre*) i uznali, że nie mogą puścić jej płazem. Generał Jackson zebrał w forcie Scott armię złożoną z ośmiuset żołnierzy regularnych, dziewięciuset milicjantów z Georgii i ponad tysiąca Krików Dolnych pod wodzą Williama McIntosha i 15 marca 1818 roku bez zgody rządu dokonał inwazji Florydy. Jego ludzie pomaszerowali na południe, 31 marca spalili wioskę Tallahassee należącą do Seminolów Apalachee i na początku kwietnia zdobyli opuszczony przez Indian dawny hiszpański fort St. Marks. W ich ręce wpadli tylko: stary szkocki kupiec Alexander Arbuthnot, oskarżany o sprzedawanie Indianom broni, oraz dwóch ukrywających się na Florydzie wodzów Krików z frakcji Czerwonych Pałek – Hillis Hadjo, zwany

Francisem Prorokiem, i Homathlemico. Arbuthnota Jackson zatrzymał, aby postawić go przed sądem, a obu Krików kazał od razu powiesić bez sądu. 12 kwietnia wojsko generała zniszczyło wioskę uchodźców z frakcji Czerwonych Pałek nad rzeką Econfina, a następnie wioskę wodza Billy'ego Bowlegsa nad rzeką Suwannee, zamieszkaną głównie przez Seminolów, dawnych murzyńskich niewolników oraz żyjących pośród Indian paru Anglików. Po zniszczeniu głównych siedlisk Seminolów i czarnych niewolników Jackson ogłosił zwycięstwo. Wróciwszy do fortu St. Marks, postawił przed sądem Arbuthnota i wziętego do niewoli w wiosce nad Suwannee byłego oficera brytyjskiej marynarki Roberta Ambristera. W kwietniu obu skazano na śmierć za pomaganie wrogom Stanów Zjednoczonych i stracono.

W pierwszych dniach maja generał pomaszerował ze swoim wojskiem na zachód i 28 maja, po trzydniowym oblężeniu, zdobył hiszpański fort w Pensacoli. W wyniku dziewięciomiesięcznej kampanii Amerykanie opanowali praktycznie całą hiszpańską Florydę i pod koniec roku Jackson mógł ogłosić przyłączenie jej do Stanów Zjednoczonych. Rządy Wielkiej Brytanii i Hiszpanii potępiły agresję i barbarzyńską egzekucję obywateli brytyjskich, ale Hiszpanie nie byli w stanie obronić swojego terytorium. A nowa administracja prezydenta Monroego poparła niezgodne z prawem międzynarodowym działania Jacksona i wysłała władzom hiszpańskim ultimatum: albo powstrzymają Seminolów i nie pozwolą, aby nadal udzielali pomocy zbiegłym niewolnikom, albo odstąpią Florydę Amerykanom. 22 lutego 1819 roku przedstawiciele obu państw, John Quincy Adams i Luis de Onis, podpisali w Waszyngtonie traktat (*Adams-Onis Treaty*), na którego mocy Hiszpania odsprzedała Florydę Stanom Zjednoczonym.

Oficjalna okupacja Florydy zaczęła się w lipcu 1821 roku, a w następnym roku ukonstytuowało się Terytorium Floryda

z generałem Jacksonem jako gubernatorem wojskowym, co zapoczątkowało gwałtowny napływ osadników amerykańskich. Po bitwie z Krikami nad Horseshoe Bend w 1814 roku Andrew Jackson został bohaterem narodowym, zwyciężając zaś Seminolów z Florydy i przyczyniając się do opanowania tego terytorium przez Stany Zjednoczone, zrobił kolejny krok w stronę Białego Domu. Dla Seminolów, którzy nazywali go teraz Oстрыm Nożem, przejęcie Florydy oznaczało kolejną erę w ich dziejach: okres ciągłej niesprawiedliwości i brutalnej wojny pod rządami nowego, silnego i pozbawionego skrupułów pana.

Od pierwszej chwili Indianie z Florydy stanowili problem dla władz amerykańskich. Na początku 1822 roku indiański agent John Bell donosił, że na północy Terytorium żyje dwadzieścia dwa tysiące Indian, z czego ponad dwie trzecie stanowią uchodźcy z wojny Krików bez prawa zamieszkania na Florydzie, oraz pięć tysięcy Mulatów i murzyńskich niewolników. Skupiają się oni głównie w wioskach nad rzekami Apalachicola i Suwannee oraz w okolicach zatoki Tampa. Wielu Indian, nie wyłączając Krików, mieszka w drewnianych chatach, ich kobiety ubierają się w „halki i krótkie sukienki, jak białe kobiety”, a mężczyźni noszą bawełniane koszule „ozdobione frędzlami poniżej kolan” i ściśnięte pasem.

W 1823 roku rząd postanowił osiedlić Seminolów w środkowej części Terytorium. 18 września zostali oni zmuszeni do podpisania traktatu w Camp Moultrie, na południe od starego hiszpańskiego osiedla St. Augustine. W negocjacjach poprzedzających jego podpisanie wziął udział pierwszy cywilny gubernator Terytorium Florydy William Pope Duval oraz ponad czterystu Seminolów z wodzem Neamathlą, którego Indianie wybrali na swojego rzecznika. Ostatecznie Seminole zgodzili się oddać pod opiekę Stanów Zjednoczonych i zrzekli się prawa do ziemi na Florydzie w zamian za duży rezerwat o powierzchni

szesnastu tysięcy kilometrów kwadratowych w środkowej części półwyspu Floryda, bez dostępu do wybrzeża[1]. Sam Neamathla i pięciu jego wodzów z grupą dwustu czternastu zwolenników mogli pozostać na małym skrawku ziemi nad Apalachicolą, w pobliżu dawnego Negro Fort. W traktacie rząd amerykański zobowiązywał się pomóc Indianom w zagospodarowaniu się na nowym terenie, wypłacać im rentę pieniężną przez dwadzieścia lat i bronić ich tak długo, jak długo zachowają pokój i będą przestrzegać prawa. Za zgodą Neamathli w pobliżu jego wioski Tallahassee gubernator Duval rozpoczął w maju 1824 roku budowę swojej terytorialnej siedziby, która dała początek obecnej stolicy stanu Floryda.

W 1830 roku Kongres, na wniosek nowego prezydenta Andrew Jacksona, uchwalił osławioną ustawę o przesiedleniu Indian, która miała rozwiązać problem Seminolów i innych plemion żyjących na wschód od Missisipi. Najpierw, w roku 1831, przesiedlono na Terytorium Indiańskie plemię Czoktawów z Missisipi. Rok później przemieszczono pierwszych Krików z Georgii i Alabamy, a plany deportacji objęły także Czikasawów z Missisipi.

Dla Amerykanów pierwsza wojna z Seminolami była tylko wstępem do usunięcia wszystkich Indian z Florydy. Wiosną 1832 roku wezwano Seminolów z rezerwatu do Payne's Landing nad Oklawahą w celu wynegocjowania traktatu, który pozwoliłby przenieść ich w pokojowy sposób na Terytorium Indiańskie, gdzie mieli zamieszkać wspólnie z Krikami i stać się ich częścią. 9 maja podpisano porozumienie w tej sprawie, a w październiku wyjechała na zachód delegacja siedmiu wodzów, żeby obejrzeć nowe tereny przeznaczone przez rząd dla Seminolów. W marcu 1833 roku, po trwającej kilka miesięcy inspekcji i rozmowach z mieszkającymi już tam Krikami, wodzowie zaakceptowali propozycję władz amerykańskich i zgodzili się przesiedlić swoich ludzi na Terytorium Indiańskie.

Traktat z Payne's Landing został ratyfikowany w 1834 roku i Seminolom dano trzy lata na przygotowanie się do przeprowadzki. Amerykanie jednak liczyli ten okres od 1832 roku i mieli nadzieję, że Indianie zdążą się wynieść z Florydy do 1835 roku.

W 1834 roku dobiegła końca dwunastoletnia kariera Duvala jako gubernatora Florydy i prezydent Jackson mianował na jego miejsce swojego przyjaciela z Karoliny Północnej, Johna Eatona. Pierwszym agentem Seminolów w administracji terytorialnej Eatona został Wiley Thompson, dawny generał milicji z Georgii i demokratyczny kongresman, postrzegany jako gorący zwolennik Jacksona. Dowództwo wojskowe objął generał Duncan Clinch, który osiemnaście lat wcześniej dowodził amerykańskim atakiem na Negro Fort nad Apalachicolą i był odpowiedzialny za rzeź mieszkających tam Murzynów.

Thompsonowi powierzono zadanie przekonania Seminolów do szybkiego opuszczenia rezerwatu i zorganizowania ich przesiedlenia statkami z zatoki Tampa przez Zatokę Meksykańską do Nowego Orleanu i dalej parowcami w górę Missisipi, a potem już wozami na Terytorium Indiańskie. W tym celu w październiku 1834 roku wezwał on wodzów na naradę do fortu King. Zaskoczeni szybkością wydarzeń Seminole poinformowali go wówczas, że nie mają zamiaru opuszczać ojczyzny i nie czują się związani traktatem z Payne's Landing. Thompson odpowiedział wezwaniem do wysłania na Florydę dodatkowych sił wojskowych i w kwietniu 1835 roku ponownie zwołał w forcie King naradę z udziałem wodzów i generała Clincha. W czasie tego spotkania odczytał Indianom list Jacksona, który pisał: „Jeśli odmówicie wyjazdu, wówczas polecę dowódcy wojskowemu [Clinchowi], aby usunął was siłą”. Wodzowie poprosili o miesiąc do namysłu, a potem oświadczyli, że i tak nie zgodzą się na przesiedlenie. Zaczęły się przepychanki, padły groźby sprowadzenia wojska, wreszcie

ośmiu wodzów uległo i przystało na wyjazd pod warunkiem pozostawienia ich w spokoju do końca roku. Thompson i Clinch łaskawie się na to zgodzili. Ale pięciu innych wodzów, w tym Jumper, Aligator i Micanopy, przywódca głównej grupy Seminolów i potomek dziedzicznych wodzów odłamu Ocone, do którego należał także Osceola, odmówiło[2]. W rewanżu Thompson zagroził, że pozbawi ich stanowisk, i zakazał sprzedaży Indianom broni oraz amunicji.

W czasie pierwszej wojny z Seminolami młody Osceola dostał się do niewoli w 1818 roku, wkrótce jednak został zwolniony z rozkazu samego Jacksona. Potem jako Billy Powell był zwiadowcą u następcy Jacksona, gubernatora Duvala, i pomagał tropić Indian, którzy opuszczali granice rezerwatu Seminolów i wyprawiali się na północ, aby polować lub grabić amerykańskich osadników. Od 1826 roku związał się z agencją, którą władze wybudowały przy granicy z rezerwatem, w miejscu współczesnego miasta Ocala, gdzie rok później wzniesiono placówkę wojskową Fort King.

Podczas pierwszych burzliwych narad z Thompsonem Osceola, nie będąc wodzem, lecz jedynie wyróżniającym się wojownikiem, nie miał prawa głosu i mógł co najwyżej doradzać staremu Mikanopy'emu. Kiedy jednak na spotkaniu 23 kwietnia 1835 roku agent zaszantażował Indian wstrzymaniem rządowych pieniędzy i pod presją kazał im podpisać zgodę na przesiedlenie, wzburzony Osceola nie wytrzymał. Według tradycji, być może trochę udramatyzowanej, podniósł się z miejsca i wykrzyknął, że Indianie są u siebie i nie potrzebują agenta ani pieniędzy od „wielkiego ojca”, jak nazywali prezydenta. Potem wyciągnął z pochwy nóż i wbił jego ostrze w leżący na stole dokument, mówiąc: „To jest jedyny traktat, jaki kiedykolwiek zawrę z białymi!”. Tym czynem wzbudził podziw swoich współplemieńców i został ich przywódcą.

Od tej chwili Osceola wielokroć odwiedzał Thompsona w forcie King i zachowywał się wobec niego ostentacyjnie wyzywająco. Któregoś lipcowego dnia 1835 roku agent kazał go aresztować i przetrzymać tak długo, aż butny Indianin obieca poprawę i zgodzi się na deportację Seminolów na zachód. Wkrótce po zwolnieniu Osceola ukrył w bezpiecznym miejscu kobiety i dzieci, po czym przyprowadził do fortu siedemdziesięciu wojowników, rzekomo gotowych do wyjazdu. Przez jakiś czas on i jego ludzie przebywali w pobliżu fortu, żywiąc się racjami otrzymywanymi od Thompsona, ale w pewnym momencie zniknęli na bagnach, gdzie przebywały już ich rodziny, ani myśląc dotrzymać wymuszonej obietnicy. 26 listopada Osceola zabił ugodowego wodza Charleya Emathlę, który przygotowywał się do opuszczenia Florydy i w tym celu sprzedał białym całe swoje bydło. Znalezione przy zabitym złote monety dumny wódz rozsypał pogardliwie na jego ciele i nie pozwolił, aby ktokolwiek je zabrał. Niedługo potem do Thompsona dotarła wiadomość, że Osceola wstąpił na wojenną ścieżkę, a grupa czterystu zwolenników zabitego Emathli uciekła pod ochronę wojska do fortu Brooke w zatoce Tampa. 18 grudnia Osceola na czele osiemdziesięciu wojowników, w miejscu zwanym Black Point, przechwycił tabor z zaopatrzeniem dla załogi fortu King, zabijając sześciu i raniąc ośmiu białych. Pięć dni później z fortu Brooke wyruszyło stu siedemnastu żołnierzy majora Francisa Langhorne'a Dade'a, aby wzmocnić załogę fortu King.

Osceola nigdy nie zapomniał Thompsonowi aresztowania i czekał tylko na odpowiednią chwilę, aby się zemścić. Przez wiele dni czyhał w zasadzce koło fortu King, który wcześniej dokładnie rozpoznał. Okazja nadarzyła się dziesięć dni po napadzie w Black Point, kiedy Thompson w towarzystwie porucznika Smytha nieopatrznie oddalił się od posterunku. Wódz obu ich skrytobójczo zgładził, a potem zabił jeszcze kupca

i dwóch jego pomocników, po czym podpalił skład. Zostawiwszy oskaldowane trupy oraz zgliszcza, Osceola i jego wojownicy z okrzykami triumfu wrócili do swojej kryjówki na rozległych mokradłach nad rzeką Whitlacochee.

Tego samego dnia rano oddział stu osiemdziesięciu wojowników pod wodzą Micanopy'ego, Jumpera i Aligatora wciągnął w zasadzkę na podmokłej równinie w pobliżu współczesnego miasta Bushnell dwie kompanie majora Dade'a, które maszerowały z fortu Brooke do fortu King. Wiele wskazuje na to, że w zмовie z Seminolami był murzyński przewodnik Dade'a, Luis Pacheco, chociaż wysłedzenie kolumny wojska nie nastęrczało trudności, Indianie bowiem informowali się nawzajem o ruchach wojsk i miejscu ich przebywania. Seminole, gotowi do ataku na maszerujących żołnierzy, czekali na powrót Osceoli i jego wojowników, a kiedy ci nie wrócili na czas, zaatakowali bez ich udziału.

Dobrze ukryci w zaroślach, strzelali z niewielkiej odległości i mogli dokładnie wybierać cele. Już od pierwszej salwy padła połowa amerykańskich żołnierzy razem z dowódcą i jego zastępcą, kapitanem Uptonem Frazerem. Niektórzy uważają, że majora Dade'a zabił Micanopy, a kapitana Frazera Jumper. Szybko jednak poległych zastąpił kapitan George Gardiner. Zebrał ocalałych ludzi i rozkazał im ukryć się za prowizoryczną barykadą ze ściętych pni sosen. Gdy więc Indianie ruszyli do ataku, napotkali zaciętą obronę. Amerykanie walczyli z wielką determinacją. Zamykający kolumnę artylerzyści podporucznika Williama Basingera strzelali z sześćofuntowego działka tak długo, aż wszyscy padli. A gdy ucichła „wielka strzelba”, wojownicy rzucili się na pozostałych przy życiu żołnierzy i dokończyli masakry. Z całego oddziału Dade'a ocalało tylko trzech ludzi, którzy mimo ran zdołali ukryć się na drzewach. Dwóch zmarło wkrótce po powrocie do fortu Brooke. Trzeci, szeregowy Ransom Clark, po pięciodniowej tułaczce przez

puszczę dotarł do fortu ledwie żywy i opowiedział, co się stało z oddziałem. Z życiem uszedł także Luis Pacheco, którego Seminole zabrali ze sobą i który potem przeniósł się z nimi na zachód. Straty Indian wyniosły tylko trzech poległych i pięciu rannych. Szczątki zabitych Amerykanów zebrał dopiero dwa miesiące później oddział generała Gainesa w liczbie tysiąca stu żołnierzy. Odnaleźli oni ciała na polu bitwy i przewieźli je do St. Augustine, gdzie zostały pochowane na miejscowym cmentarzu. Oba te wydarzenia: śmierć Thompsona i klęska majora Dade'a, są uważane za początek drugiej wojny z Seminolami (1835–1842).

Dwa dni po bitwie przeciwko niepokornym Indianom wyprawił się z fortu Brooke na czele siedmiuset pięćdziesięciu żołnierzy sam generał Clinch. Przy brodzie na Whitlacochee czekał na niego Osceola z dwustu pięćdziesięcioma wojownikami. 31 grudnia, po godzinnej walce, straty Clincha wyniosły sześćdziesięciu trzech ludzi, zabitych i rannych. Jeden z żołnierzy jednak ranił też Osceolę, pozbawiając Indian dowództwa. W tej sytuacji Seminole wycofali się i wkrótce rozpoczęli wojnę partyzancką wśród mokradeł i bagien Florydy. To jej właśnie Osceola zawdzięcza przydomek „Wąż z Everglades”. Siły Seminolów obliczano na ponad tysiąc sześciuset wojowników i dwustu pięćdziesięciu czarnych wyzwolenców, ale Indianie byli mocno rozproszeni i tylko część z nich stanęła do walki.

Po pierwszych niepowodzeniach rząd wysłał na Florydę parotysięczną armię, żołnierzy regularnych i ochotników z Florydy, Georgii oraz Karoliny Południowej, i rozpoczęło się polowanie na Indian. W 1836 roku generałowie Winfield Scott i Richard Call przeprowadzili przeciwko Seminolom liczne, lecz mało skuteczne kampanie. Nie powiodła się także podjęta przez Amerykanów próba wykorzystania w wojnie zaprzyjaźnionych Krików, kiedy bowiem jeden z ich oddziałów wpadł w zasadzkę

zastawioną przez Osceolę i poniósł duże straty, zniechęceni pozostali wojownicy wrócili do domów. Walki ciągnęły się miesiącami, a prowadzone przez Scotta i Calla nieefektywne działania spotykały się z powszechną krytyką opinii publicznej. W końcu amerykański Departament Wojny wysłał na Florydę generała Thomasa Jesupa. Pod koniec 1836 roku miał on już pod swoimi rozkazami ponad osiem tysięcy żołnierzy, największe zgrupowanie wojska w kraju. Na początku 1837 roku armia Jesupa wypchnęła Indian z mokradeł nad Whitlacooshee dalej na południe, w kierunku bagien Everglades. Niektórzy wodzowie w trosce o swoich ludzi zaczęli prosić o pokój. W marcu Mikanopy, Aligator i paru innych zgodzili się zakończyć wojnę. Przyprawdzili swoich ludzi do fortu Brooke i na potwierdzenie dobrej woli wydali Amerykanom zakładników.

Jesup był przekonany, że Seminole ponieśli ostateczną klęskę, i 26 marca triumfalnie ogłosił zakończenie wojny. Ale Osceola ani myślał się poddać. 2 czerwca na czele dwustu wojowników przekradł się w pobliże fortu Brooke i w nocy, w towarzystwie wodza Mikasukich Arpeiki, wślizgnął się do obozu zgromadzonych tam Seminolów. Groźbą i perswazją nakłonił siedmiuset z nich do powrotu na bagna i kontynuowania wojny, zabrał nawet ze sobą zakładników wydanych w marcu generałowi Jesupowi. Było to już jednak jego ostatnie zwycięstwo. Wkrótce, zmęczony ciągłymi walkami i osłabiony malarią, której nabawił się latem na bagnach, przestał wierzyć w możliwość pokonania Amerykanów, tym bardziej że pozostało mu już tylko stu wojowników.

Jesup za pośrednictwem zwolnionego jeńca zawiadomił Osceolę, że jeśli zgodzi się na rozmowy i pod osłoną białej flagi przybędzie do nowego fortu Jupiter, poniżej St. Augustine, będą mogli omówić warunki zawarcia honorowego pokoju. 21 października wódz z grupą swoich ludzi przybył

w dobrej wierze do fortu. Tam jednak żołnierze Jesupa otoczyli Indian, rzucili na ziemię białą flagę i zakuli ich w kajdany. Mimo protestów opinii publicznej, oburzonej znieważeniem białej flagi przez oficera armii amerykańskiej, więźniów przewieziono do fortu Marion w St. Augustine. Po paru tygodniach uznano, że Osceola jest zbyt charyzmatyczną postacią i Indianie mogą spróbować go odbić, dlatego wraz z Mikanopym, Aligatorem oraz grupą dwustu mężczyzn, kobiet i dzieci przetransportowano go morzem do więzienia w forcie Moultrie w Charleston, w Karolinie Południowej. Przygnębionego zdradą Jesupa i wycieńczonego malarią Osceolę próbował leczyć więzienny lekarz, doktor Frederick Weedon. Wódz jednak czuł, że zbliża się śmierć. Poprosił o widzenie ze swoimi dwiema żonami oraz dziećmi, pożegnał się z nimi i wyraził życzenie, aby ubrać go w najpiękniejszy strój. Pomimo troskliwej opieki „Wąż z Everglades” zmarł w ciemnej celi więzienia Moultrie 30 stycznia 1838 roku, mając zaledwie trzydzieści pięć lat. Pochowano go w grobie pod kamienną płytą, na której wyryto słowa „patriota i wojownik”. Taki był kres wielkiego wodza Seminolów, który już za życia stał się postacią niemal legendarną. Dziś zalicza się go do grona najślawniejszych Indian na kontynencie i uważa za symbol indiańskiej dumy i bohaterskiego oporu.

Po śmierci wodza Seminole nadal odmawiali zgody na przesiedlenie i kontynuowali opór przez kilka kolejnych lat. Dopiero gdy wskutek nieustannych obław w ręce żołnierzy generała Zachary’ego Taylora, który w maju 1838 roku zastąpił Jesupa, wpadli ostatni wodzowie, trzy tysiące dziewięciuset trzydziestu spośród czterech tysięcy dwustu trzydziestu Indian tego plemienia deportowano na Terytorium Indiańskie. Nieliczni, którym udało się uniknąć wysiedlenia, przetrwali na Florydzie na tyle długo, aby wykorzystując jako bazę trudne do

przebycia i pełne aligatorów mokradła południowej Florydy, wziąć udział w trzeciej wojnie z białymi (1855–1858).

Wojna z Seminolami kosztowała Stany Zjednoczone więcej niż jakakolwiek inna wojna z Indianami i była najdłuższym konfliktem zbrojnym w amerykańskiej historii, nie licząc wojny w Wietnamie. Poległo w niej tysiąc pięciuset żołnierzy oraz dwa tysiące cywilnych ochotników i osadników, a wydatki i straty materialne wyniosły trzydzieści milionów dolarów. Liczba zabitych Indian jest nieznana i dokładne straty Seminolów do dziś pozostają jedynie w sferze przypuszczeń. Teoretycznie wojna nie została nigdy zakończona, ponieważ Seminole jako jedyni spośród Indian nie zgodzili się na zawarcie pokoju. Część ich potomków ukryła się w trudno dostępnej bagnistej krainie Everglades na południu Florydy i doczekała chwili, gdy rząd amerykański przestał się nimi interesować. Ich potomkowie żyją do dziś na bagnach i rozlewiskach Florydy, chociaż sposób ich życia zmienił się nie do poznania.

Przypisy

- 1 Liczbę mieszkańców rezerwatu Seminolów (bez Murzynów) szacowano na 4833 osoby.
- 2 Głównymi powodami odmowy była obawa wodzów przed utratą swoich wpływów na rzecz Krików i odebraniem im przez silniejszych sąsiadów murzyńskich niewolników, których posiadali wzorem Amerykanów z Południa.

Kit Carson i „długi marsz Nawahów”

Tego straszego lata 1863 roku żaden Nawaho nie mógł się czuć bezpieczny. Amerykańscy żołnierze bez ustanku przeczesywali terytorium tego plemienia w Nowym Meksyku i Arizonie, bezwzględnie zmiatając wszystkie napotkane po drodze osady Indian. Wszędzie ginęli ludzie i zwierzęta; niszczone wszystko, co popadło, w tym ponad tysiąc ton zgromadzonego z wielkim trudem ziarna kukurydzy. Kawalerzyści pułkownika Kita Carsona atakowali jedną wioskę po drugiej, palili niedojrzałe zboże na polach, porywali lub wybijali stada owiec i bydła, puszczali z dymem domy Nawahów i chwyтали tych, którzy nie byli na tyle szybcy, żeby przed nimi uciec. Carson z całą bezwzględnością wykonywał rozkaz, który brzmiał jednoznacznie: „Zniszczyć Nawahów raz na zawsze!”.

Nawahowie należeli do grupy ludów tubylczych, które do połowy XVIII stulecia zajmowały obszerne połacie północnego Meksyku i amerykańskiego Południowego Zachodu, od Arizony po Teksas. Wszyscy mówili tym samym językiem, często różniącym się jedynie dialektami, i reprezentowali wielką rodzinę językową Atapasków, której przedstawiciele zamieszkiwali głównie Alaskę i północną część Kanady. Część Atapasków wyspecjalizowała się w polowaniu na wielkie stada karibu, jelenie, łosie, owce górskie i antylopy. Kiedy jednak w pierwszym tysiącleciu naszej ery klimat się ocieplił i w drastyczny sposób zmalały niezliczone stada karibu, pogarszając warunki życia mieszkańców, niektórzy

Atapaskowie wyruszyli na południe i zawędrowali w granice dzisiejszych Stanów Zjednoczonych, stając się przyszłymi Apaczami i Nawahami.

Pierwszą ojczyzną Nawahów było miejsce zwane Dinetaħ, co w ich języku oznacza właśnie ojczyznę, położone w północno-zachodnim Nowym Meksyku, w pobliżu miejscowości Bloomfield. Miejsce to, stwarzające warunki do naturalnej obrony, Nawahowie uważali za święte. Budowali tam swoje domy i pokojowo współżyli z Pueblami, którzy osiedli na ich ziemiach pod koniec XVII wieku, uciekając przed Hiszpanami. Z położonych strategicznie osad strzegli poszczególnych części swego kraju przed wrogimi plemionami Komanczów i Ute oraz Hiszpanami. Ostatecznie nacisk nieprzyjaciół zmusił ich do opuszczenia ukochanej ojczyzny i przeniesienia się dalej na zachód. W drugiej połowie XVIII wieku w Dinetaħ nie było już ani jednego Nawaho.

Na początku Nawahowie utrzymywali się z myślistwa i zbieractwa. Potem, pod wpływem rolniczych Indian Pueblo, ich dieta wzbogaciła się o kukurydzę, którą uznali za rośliną świętą. Oprócz kukurydzy uprawiali fasolę i bawełnę. Ziemię pod uprawy kopali kijami i prawdopodobnie nawadniali rowami irygacyjnymi. Później, gdy do krainy Dinetaħ dotarli Hiszpanie, Nawahowie przejęli od nich sztukę zakładania sadów brzoskwińowych i wypasania stad owiec. Około roku 1680, znowu dzięki Pueblom, nauczyli się obróbki wełny i tkania koców. Na początku XVIII stulecia powszechnym wśród nich zajęciem stała się hodowla owiec, a sto lat później gospodarka Nawahów była już całkowicie uzależniona od owiec, ich największego bogactwa.

W ciągu lat Nawahowie tracili setki, a nawet tysiące owiec, uprowadzanych przez wrogie plemiona. Sami też kradli owce i bydło sąsiadom, najpierw Hiszpanom, a potem Meksykanom i Amerykanom. Hiszpanie, którzy często mylili ich z Apaczami,

mieli z nimi ogromne kłopoty. Przekonani, że Nawahowie stanowią część tego plemienia, nazywali ich *Apaches del Navajó*, co stworzyło mylne wrażenie, że byli oni nielicznym, słabym ludem, który nie odegrał znaczącej roli w historii podboju Nowego Meksyku. W rzeczywistości jednak Nawahowie byli plemieniem licznym i wojowniczym. Po przybyciu do Nowego Meksyku wymieszali się z sąsiadami, wskutek czego z wyglądu zaczęli bardziej przypominać Pueblów niż swoich bliskich kuzynów, Apaczów. W sojuszu z Apaczami przez dziesiątki lat bezlitośnie łupili Nowy Meksyk aż do początku XVIII stulecia, kiedy to wiele grup zawarło z Hiszpanami pokój, osiedliło się w wyznaczonych im miejscach i zajęło uprawą roli oraz hodowlą owiec. Nie wynikało to bynajmniej z nagłej miłości do białych, lecz z kalkulacji i konieczności. Po roku 1700 bowiem Nawahowie stali się celem ataków Ute i Komanczów, którzy uprowadzali im całe stada. Mając do wyboru poprawę stosunków z Hiszpanami lub narażanie się na straty powodowane najazdami wrogich Indian, uznali, że przyjaźń z białymi jest dla nich korzystniejsza. Pod koniec okresu kolonialnego Nawahowie wykształcili swoją kulturę materialną, która w niezmienionej formie przetrwała do dziś.

Około 1720 roku plemię to na ogół pozostawało w przyjaznych stosunkach z Hiszpanami. Stan taki utrzymywał się blisko pięćdziesiąt lat, do czasu gdy Hiszpanie zaczęli zacieśniać więzi z Ute i Komanczami. Wówczas urażeni Nawahowie podjęli na nowo najazdy na posiadłości hiszpańskie w Meksyku i Nowym Meksyku. Niszcząca dla obu stron wojna skończyła się w 1788 roku, a zawarty wtedy pokój przetrwał ponad dwadzieścia lat. Potem stosunki z Hiszpanami znowu się popsęły. Po roku 1821 Nawahowie skierowali swoją nienawiść przeciwko Meksykanom i zaczęli napadać ich odosobnione osiedla i rancza. Meksykanie odpłacali im się,

zabijając mężczyzn i uprowadzając kobiety oraz dzieci, które były cennym towarem na rynku niewolników po obu stronach Rio Grande. Po wojnie meksykańskiej w 1846 roku, kiedy władzę w Nowym Meksyku przejęli Amerykanie, problem Nawahów bynajmniej nie zniknął i stał się dotkliwą bolączką Stanów Zjednoczonych. Aż do roku 1864 Indianie ci toczyli nieustającą wojnę ze wszystkimi białymi mieszkańcami Arizony i Nowego Meksyku.

W latach 1846–1860 Amerykanie zawarli z Nawahami sześć traktatów, z których żaden nie został dotrzymany do chwili ich ratyfikacji przez amerykański Senat. Najbardziej wymownym tego przykładem był traktat wynegocjowany przez pierwszego wojskowego gubernatora Nowego Meksyku, pułkownika Johna MacRae Washingtona w 1849 roku. We wrześniu Washington spotkał się z wodzami Nawahów na wielkiej naradzie w świętym dla plemienia kanionie de Chelly, w północno-wschodniej Arizonie. Uzyskał wówczas od nich obietnicę pokoju oraz zgodę na budowę fortów w ich kraju. Zanim jednak Amerykanie zdążyli wrócić do Santa Fe, doszło do sprzeczki o ukradzione konie i niektórzy Nawahowie uczestniczący w spotkaniu napadli na ludzi Washingtona. Zginęło siedmiu Indian z wodzem Narboną, a pozostali uciekli, unosząc ze sobą nienawiść do nowych gospodarzy regionu i burząc ledwo zawarty pokój. W odwecie za śmierć Narbony Nawahowie porwali stado koni spod samego nosa gubernatora w Santa Fe i triumfalnie popędzili je do swojej „warowni” w kanionie de Chelly. Konsekwencją ich nagłego wybuchu wrogości była ekspedycja pułkownika Edwina Vossa Sumnera w 1851 roku, w której wyniku Amerykanie wybudowali pierwszą placówkę wojskową w kraju Nawahów, w trawiastej dolinie u wylotu kanionu Bonito. Żołnierze nadali jej nazwę Fort Defiance (Fort Wyzwanie).

Pierwszymi Amerykanami, którzy zetknęli się z Apaczami i Nawahami z Południowego Zachodu w latach dwudziestych i trzydziestych XIX wieku, byli prawdopodobnie traperzy polujący na futra zwierząt w dolinach rzek Verde, Salt i Gila w górach środkowej i środkowo-południowej Arizony. Spotkania takie nie zawsze kończyły się walką. Na początku Indianie żądali od myśliwych, którzy zapuszczali się na ich terytorium, aby występowali do nich o zgodę na pobyt, czasem w złości odbierali im zdobycz. Aroganccy amerykańscy traperzy zwykle lekceważyli żądania Indian, narażając się na ich ataki. Latem 1824 roku ojciec i syn, Sylvester i James Pattie, traperzy i handlarze z Kentucky osiadli w Missouri, w drodze z Santa Fe do San Diego w Kalifornii poprowadzili pierwszą grupę myśliwych i handlarzy wzdłuż rzek Gila i Salt na Zachód. Podczas tej wyprawy zostali zaatakowani przez Indian i James omal nie stracił życia. Rok później poprowadzili kolejną ekspedycję do Arizony. W końcu 1825 roku wynajęli podupadłą meksykańską kopalnię w Santa Rita na południu Nowego Meksyku i próbowali zrekompensować sobie niepowodzenie w połowie bobrów wydobywaniem miedzi. W 1827 roku porzucili jednak górnictwo i na powrót zajęli się traperką w dolinie Gila, a gdy Indianie ukradli im konie, udali się na północ Arizony, spłynęli rzeką Kolorado i pokonując Wielki Kanon, dowieźli swoje skóry do Kalifornii. Po zakończeniu wyprawy James Pattie zanotował w dzienniku, że spośród stu szesnastu ludzi, którzy wyruszyli z nimi z Santa Fe, tylko szesnastu przeżyło trudy wyprawy, choroby, walki z Indianami i spotkania z dzikimi bestiami.

W 1828 roku Richard Campbell, kupiec z Santa Fe, poprowadził konwój trzydziestu pięciu ludzi przez pustynie Nowego Meksyku i północnej Arizony do San Diego. Latem 1829 roku ruszyła śladami Jamesa Pattiego wzdłuż rzek Gila i Salt grupa traperów Ewinga Younga, w której był pewien

młokos nazwiskiem Christopher Carson. Nękani przez zachodnich Apaczów, w sierpniu uczestnicy wyprawy napadli na ich obóz i zabili piętnastu lub dwudziestu Indian. Młody Carson miał wtedy zdobyć swój pierwszy skalp, który pozwolił mu rozpocząć wielką karierę na Zachodzie i zyskać z czasem mało zaszczytne miano „pogromcy Indian” (*Indian Fighter*).

Christopher „Kit” Carson (1809–1868), legendarny traper, zwiadowca, agent indiański i żołnierz, urodził się w Kentucky, ale młodość spędził w Missouri na kawałku ziemi kupionym od Hiszpanów przez synów Daniela Boone’a. Osierocony przez ojca w młodym wieku, szybko musiał pójść do pracy i nie zdążył zdobyć wykształcenia. Zaczynał w wieku czternastu lat jako pomocnik siodlarza, ale rychło porzucił to zajęcie i w 1826 roku udał się z grupą traperów w okolice Santa Fe w Nowym Meksyku. W latach 1828–1831 wyprawiał się z bazy w Taos u boku Ewinga Younga na poszukiwanie futer bobrowych, docierając aż do Arizony i Kalifornii. W końcu lat trzydziestych łowił bobry w Górach Skalistych, walczył z Czarnymi Stopami, a potem zajmował się handlem z Indianami w Kolorado i Nowym Meksyku. Jak wielu innych traperów na Zachodzie, szybko zintegrował się ze światem Indian i znalazł sobie wśród nich dwie pierwsze żony – jedną z plemienia Arapahów, a drugą z Czejenów. Indianie szanowali go za przyjaźń, jaką im okazywał, oraz za odwagę i uczciwość, z której powszechnie słynął. „Jego słowo jest tak pewne jak to, że wszędzie słońce” – mawiali.

W 1842 roku Carson spotkał słynnego podróżnika Johna Charlesa Fremonta, z którym następnie przez pięć lat przemierzał jako przewodnik tereny Kalifornii, Oregonu oraz rozległe połacie środkowych Gór Skalistych i Wielkiej Kotliny. Jego służbę, skrupulatnie odnotowaną w raportach „wielkiego poszukiwacza ścieżek” (*Great Pathfinder*), jak nazywano Fremonta, nagłośniła prasa, kreując go na bohatera

narodowego. Wkrótce Carson stał się czołową postacią popularnych opowieści, które przedstawiały go jako twardego „człowieka Zachodu” o nadzwyczajnych cechach i umiejętnościach.

Towarzysząc Fremontowi w jego wyprawach, Kit Carson bezpośrednio uczestniczył w kilku wydarzeniach związanych z ekspansją Amerykanów na Daleki Zachód. W 1846 roku widział, jak Fremont, gorący zwolennik aneksji Kalifornii przez Stany Zjednoczone, podburzył mieszkających tam amerykańskich osadników, przyczyniając się do wybuchu rewolty przeciwko Meksykowi i proklamowania krótkotrwałej Republiki Niedźwiedziej Flagi. Potem, już w czasie wojny amerykańsko-meksykańskiej, poprowadził w stronę Oceanu Spokojnego wyprawę generała Stephena Wattsa Kearny’ego, który ostatecznie wywalczył Kalifornię dla Amerykanów. W 1848 roku dostarczył do Waszyngtonu wiadomość o odkryciu złota w Kalifornii. Po zakończeniu wojny meksykańskiej wrócił do Nowego Meksyku, ożenił się z córką meksykańskiego kupca Josefą Jaramillo i osiadł na farmie. W 1853 roku wraz ze swoim partnerem popędził jeszcze wielkie stado owiec do Kalifornii, gdzie trwała słynna „gorączka złota”, co umocniło jego pozycję jako zamożnego i ogólnie szanowanego obywatela. Po powrocie został agentem indiańskim Ute i Apaczów w Taos w północnym Nowym Meksyku i piastował tę funkcję do wybuchu wojny secesyjnej.

W połowie lat pięćdziesiątych brał udział w pokonaniu i rozproszeniu Apaczów Jicarilla na północy Nowego Meksyku. Potem uczestniczył w rozprawie wojska z Apaczami Mescalero zamieszkującymi w luźnych grupach środkowe i południowo-wschodnie obszary tego terytorium. Mescalero byli dzielnymi wojownikami, którzy od niepamiętnych czasów walczyli z Hiszpanami i Meksykanami, ale ich plemię liczyło mniej niż tysiąc głów, nie mogli więc długo stawiać oporu dobrze

zorganizowanym i świetnie uzbrojonym żołnierzom amerykańskim. Oba plemiona Apaczów zgodziły się zawrzeć pokój i osiąść w rezerwatach w zamian za obietnicę rządowych dostaw bydła i żywności. Kiedy jednak rząd dostarczał im za mało jedzenia, musieli kraść bydło, aby nie zginąć z głodu.

W 1860 roku Amerykanie i Meksykanie z Nowego Meksyku przy wsparciu Indian Ute i Zuni najechali kraj Nawahów na zachód od Rio Grande. W odwecie w sierpniu tego roku Nawahowie napadli na fort Defiance i zaczęli porywać owce w okolicach Santa Fe. W październiku dowódca fortu major Edward Canby, weteran drugiej wojny z Seminolami na Florydzie, zorganizował przeciwko nim niezbyt skuteczną kampanię: siedem ekspedycji wojskowych zdołało zabić tylko dwudziestu trzech Indian i wybić parę stad owiec. Obie strony poczuły się zmęczone wojną i w lutym 1861 roku zawarto kolejny układ pokojowy w nowym forcie Wingate przy granicy Nowego Meksyku z Arizoną.

Wybuch wojny secesyjnej (1861–1865) zmusił żołnierzy regularnej armii do opuszczenia Regionu Południowo-Zachodniego i wyruszenia przeciwko armiom konfederackim na wschodzie kraju. Przekonani, że to oni przegnali żołnierzy, Apacze i Nawahowie zaczęli najeżdżać amerykańskie i meksykańskie osiedla w dolinie Rio Grande z zamiarem oczyszczenia swoich ziem ze wszystkich białych. W tej trudnej chwili Kit Carson, mianowany pułkownikiem lokalnej milicji, pomógł zorganizować siły ochotnicze, które w bitwie pod Valverde stawily dzielny opór konfederatom z Teksasu, a potem skutecznie odpierały najazdy Indian.

W kwietniu 1862 roku przeciwko konfederatom w Nowym Meksyku wyruszyła z Kalifornii federalna brygada ochotników zwana „kolumną kalifornijską” (*California Column*) pod dowództwem pułkownika Jamesa Carletona. Po kilku potyczkach na terenie Arizony konfederaci odeszli do Teksasu,

co uratowało przed całkowitym zniszczeniem okupacyjną armię generała Henry'ego Hopkinsa Sibleya. 4 lipca, w Dzień Niepodległości, czołowe siły „kolumny kalifornijskiej” dotarły do opuszczonego przez konfederatów fortu Thorn nad Rio Grande, a nazajutrz Kalifornijczycy wciągnęli gwiazdzisty sztandar Unii na maszt, dokonując symbolicznego aktu odbicia południowego Nowego Meksyku po prawie rocznej okupacji konfederackiej.

Uporawszy się z konfederatami, Carleton, mianowany generałem i dowódcą sił zbrojnych Nowego Meksyku, zwrócił uwagę na uciążliwych Apaczów Mescalero i Nawahów. W 1863 roku przygotował plan, który miał doprowadzić do rozwiązania problemu Indian raz na zawsze, a następnie rozpoczął brutalną kampanię wymierzoną najpierw przeciwko Mescalerom. Bezwzględność Carletona, o którym mówiono, że „psychopatycznie nienawidzi Apaczów”, szybko doprowadziła głodnych Mescalerów do kapitulacji. Pokonani zdradą i siłą, zdziesiątkowani oddali się pod protekcję Kita Carsona, a ten umieścił ich w odludnym rezerwacie Bosque Redondo na nieurodzajnym skrawku ziemi niedaleko fortu Sumner nad rzeką Pecos i kazał im ją uprawiać. Do marca 1863 roku osadzono tam ponad czterystu Mescalerów, którzy latem zaczęli pierwsze prace w polu. Ci, którzy nie chcieli się ugiąć, uciekli na zachód i przyłączyli się do wojowniczych Chiricahuów oraz innych grup wolnych Apaczów, drwiących sobie z poleceń białych i słabości swoich pobratymców ze wschodniego Nowego Meksyku.

Po ujarzmieniu Mescalerów Carson zrezygnował ze służby i zamierzał wrócić do życia w cywilu, ale Carleton nie przyjął jego rezygnacji i powierzył mu poprowadzenie oddziału ochotników przeciwko Nawahom. 15 czerwca generał wydał rozkaz operacyjny, w którym pisał:

„Od dawna Indianie Nawaho mordowali i rabowali mieszkańców Nowego Meksyku [...] i nie zaprzestali tych mordów i rabunków mimo ostrzeżeń, że spotka ich za to surowa kara. Dlatego rozkazałem pułkownikowi Christopherowi Carsonowi, aby z odpowiednim oddziałem wojska wyruszył bez zwłoki do kraju Nawahów i w punkcie zwanym Pueblo Colorado założył bazę operacyjną dla swoich magazynów z zaopatrzeniem i szpitala, a potem rozpoczął energiczną wojnę z ludźmi z tego szczepu, aż tutejsze dowództwo uzna, że zostali dostatecznie ukarani za swoje tak długo trwające okrucieństwa”.

Carsonowi powierzono oddział złożony z dwudziestu siedmiu oficerów, czterystu siedemdziesięciu sześciu kawalerzystów oraz dwustu sześćdziesięciu piechurów. Znalazła się w nim niewielka grupa Kalifornijczyków, którzy przybyli do Nowego Meksyku z Carletonem, ale większość stanowili miejscowi ochotnicy, ludzie dobrze znający teren i przeciwnika, chętni do służby pod wodzą legendarnego trapera, pogromcy Indian i żołnierza wsławionego w bitwie z Tekszańczykami pod Valverde. Carson otrzymał takie same rozkazy jak w przypadku Apaczów: „Zastrzelić wszystkich mężczyzn i pojąć kobiety oraz dzieci. Nie zawierać żadnych traktatów pokojowych, dopóki Nawahowie nie znajdą się w rezerwacie”. Wziętych do niewoli Indian należało odprowadzić pięćset kilometrów na wschód do rezerwatu Bosque Redondo, gdzie mieli odtąd żyć razem z obcymi Apaczami.

Kampania przeciwko Nawahom rozpoczęła się 7 lipca, a bazę operacyjną założył Carson 20 lipca w dawnym forcie Defiance, który nosił teraz nazwę Fort Canby, na cześć byłego dowódcy wojsk federalnych w Nowym Meksyku. Tam do Amerykanów dołączył oddział Ute, gotowych walczyć ze starymi wrogami Nawahami w nadziei zdobycia bogatych łupów i jeńców. Wielu

z nich jednak szybko opuściło swojego dawnego agenta, dowiedziawszy się, że nie będą mogli zatrzymać większości zdobyczy oraz wziętych do niewoli kobiet i dzieci. Ute byli dobrymi wojownikami, zwiadowcami i przewodnikami, aby więc ich utrzymać przy sobie i jakoś zrekompensować im rozczarowanie, Carson obiecał w imieniu Carletona, że otrzymają nagrody za każdego przyprowadzonego konia, muła i owcę Nawahów.

Oddział Carsona ruszył na zachód i odnalazł siedziby Nawahów z ich polami, zwierzętami i brzoskwiniowymi sadami, ale bez mieszkańców. Nawahowie bowiem byli specjalistami od błyskawicznego znikania i ukrywania się w odludnych zakątkach swojej krainy. Zmęczony ciągłą pogonią za nieuchwytnym wrogiem, jesienią Carson zaczął palić domy i pola Nawahów, żeby złamać ich ducha oporu. Po raz pierwszy też zdziesiątkował należące do nich stada owiec. Pozbawieni dobytku Nawahowie zaczęli głodować i pod koniec roku poddała się pierwsza grupa stu osiemdziesięciu ośmiu osób z wodzem Delgado, którą natychmiast odesłano z fortu Wingate do Bosque Redondo.

Carson chciał przerwać kampanię na okres zimowy ze względu na brak mułów do przewozu zapasów, ale Carleton zdecydowanie się temu sprzeciwił. „Nie będziesz opóźniał wyprawy z braku transportu – pisał. – Twoi ludzie sami poniosą swoje koce, a jeśli będzie trzeba, zabiorą w plecakach racje żywnościowe na trzy lub cztery dni”.

Tak więc Carson otrzymał rozkaz kontynuowania kampanii i odszukania reszty Nawahów w pięknym i urodzajnym kanionie de Chelly, uważanym przez nich za sanktuarium i niezdobytą twierdzą. Indianie bronili się przed żołnierzami, wspinając się na skaliste ściany kanionu za pomocą sznurowych drabin, przerzucali też pomosty nad trudnymi do pokonania jarami i przepaściami. W tej sytuacji Carson

postanowił wziąć ich głodem i zastosować taktykę spalonej ziemi. W styczniu 1864 roku poprowadził swój oddział w pięćdziesięciosześcioletni rajd przez zaśnieżony kanion, niszcząc wszystko po drodze. Żołnierze wybijali stada owiec, główne źródło utrzymania Nawahów, i wycinali drzewa brzoskwińskie (łącznie ponad pięć tysięcy). Sąsiednie plemiona: Ute, Pueblo, Hopi i Zuni, które przez parę stuleci były ofiarą łupieżczych rajdów Nawahów, wykorzystały słabość swoich odwiecznych wrogów i także zwróciły się przeciwko nim. A przed tak zmasowaną siłą Nawahowie nie byli już w stanie się obronić.

Zima położyła kres ich oporowi. Biedni, głodni, zmarznięci i obdarci stanęli w obliczu śmierci głodowej. Po utracie stad i zapasów kukurydzy przez jakiś czas żywili się orzeszkami piniowymi, ale one też już się kończyły. Z obawy przed wykryciem nie rozpalali ognia i straszliwie marzli, co tylko potęgowało ich cierpienie. Trzystu najbardziej nieprzejednanych ukryło się w zakamarkach kanionu de Chelly lub uciekło dalej w głąb Arizony, gdzie znaleźli schronienie nad rzeką Małe Kolorado (*Little Colorado*). Pozostałych wódzowie Barboncito i Armijo przyprowadzili do fortu Canby na znak kapitulacji. Do marca poddało się trzy tysiące Indian. Wkrótce dołączyło do nich kolejne pięć tysięcy. Ostatnia grupa dwudziestu czterech głodnych Nawahów z wodzem Manuelito ukrywała się do września 1866 roku, ale nie miało to już większego znaczenia. Era wojen z Nawahami dobiegła końca. W lutym 1864 roku generał Carleton zameldował dowództwu armii w Waszyngtonie: „Jesteśmy bez wątpienia świadkami ostatniej wojny z Nawahami. Wojny, która z paroma okresami przerwy trwała sto osiemdziesiąt lat”.

Po zakończeniu kampanii Carson zmusił osiem tysięcy Indian, mężczyzn, kobiety i dzieci, do odbycia upiornego „długiego marszu” do fortu Sumner w rezerwacie Bosque

Redondo. Pierwsza grupa ponad tysiąca czterystu osób dotarła na miejsce 13 marca. W marcu też opuściła fort Canby druga grupa, złożona z dwóch tysięcy czterystu Indian, a po niej następne. W sprawozdaniu z tej koszmarnej wędrówki czytamy: „Było przeraźliwie zimno i wielu słabo ubranych, niedożywionych wygnańców zmarło po drodze”. W relacji nie wspomina się jednak o tych, których eskortujący żołnierze dobijali, ponieważ z wycieńczenia zostawali w tyle za upiorną kolumną wygnańców.

W Bosque Redondo Nawahów stłoczono razem z Apaczami Mescalero, mimo niedopasowania i wzajemnej wrogości. Przed rokiem 1865 osadzono tam w przerażających warunkach około dziewięć tysięcy Nawahów i pięciuset Mescalerów. Z braku domów Nawahowie chronili się w jamach, które sami kopali w ziemi. Okropne warunki życia i ciągłe sprzeczki z Nawahami sprawiły, że Mescalero zaczęli wymykać się na swoje stare ziemie, a Carleton próbował bez powodzenia osadzić w rezerwacie jeszcze więcej plemion.

W końcu rząd zrozumiał swoje rażące błędy. We wrześniu 1866 roku Carletona odwołano, a Kongres wszczął śledztwo. W jego wyniku wiosną 1868 roku prezydent Andrew Johnson wysłał do Nowego Meksyku generała Williama Tecumseha Shermana, a 1 czerwca podpisano w forcie Sumner nowy traktat z wodzami Nawahów. Na jego podstawie rząd oddał Indianom czternaście tysięcy kilometrów kwadratowych (milion czterysta tysięcy hektarów) ziemi ich przodków w Arizonie i Nowym Meksyku. Po ratyfikacji układu w sierpniu 1868 roku Bosque Redondo zostało zamknięte, a Nawahowie znów ruszyli w „długi marsz”, tym razem radosny, z powrotem do własnego kraju. Wrócili tam, skąd ich wygnano, ale cena, jaką zapłacili, była niezwykle wysoka.

W następnych latach odbudowali swoje stada i rekultywowali pola kukurydzy. Udało się im także powiększyć

obszar rezerwatu do siedemdziesięciu jeden tysięcy kilometrów kwadratowych. Obecnie rezerwat Nawahów leżący w granicach Arizony, Nowego Meksyku i Utah jest największym rezerwatem indiańskim w Stanach Zjednoczonych, zamieszkanym przez sto siedemdziesiąt tysięcy Indian. Łącznie z tymi, którzy żyją poza rezerwatem, naród Nawahów liczy dziś ponad trzysta tysięcy osób, co czyni z niego drugie po Czirokezach najliczniejsze plemię w Stanach Zjednoczonych.

Cochise, wódz Apaczów Chiricahua

W latach 1863–1872 Apacze Chiricahua budzili nieopisaną grozę wśród białych osadników na terenie Arizony i Nowego Meksyku. Wodzem tych groźnych wojowników był Cochise, początkowo życzliwie nastawiony do białych i gotów żyć z nimi w pokoju. Bardzo szybko jednak rozczarował się do Amerykanów, a wpłynęły na to dwa dramatyczne wydarzenia. Pierwszym było brutalne wychłostanie jego teścia przez górników z Nowego Meksyku, a drugim niesprawiedliwe oskarżenie o porwanie białego chłopca.

W 1861 roku Apacze spotkali się z przedstawicielami amerykańskiej armii, aby wyjaśnić nabrzmiałe nieporozumienia. Niestety, spotkanie skończyło się tym, że postrzelony w nogę Cochise musiał nożem wyciąć sobie drogę ucieczki z wojskowego namiotu. Apacze nie darowali Amerykanom zdrady. Zemsta rozpałała wojnę, która trwała jedenaście lat, zanim Cochise zgodził się wreszcie zawrzeć z białymi pokój i osadzić swoich ludzi w rezerwacie w dzikich górach Arizony.

Cochise (ok. 1805–1874) urodził się w plemienu Chiricahua w górach o tej samej nazwie w południowo-wschodniej Arizonie albo w północnej Sonorze, w rodzinie wodzów odłamu Apaczów zwanych Chokonenami. Imię „Cochise” pochodzi od apackiego słowa *goci* i znaczy dosłownie „jego nos”, a nadano mu je ze względu na wydatny zakrzywiony organ powonienia wyróżniający jego oblicze. Karierę wojownika zaczął Cochise

od wypraw do meksykańskich prowincji Chihuahua i Sonora, a pierwszą bitwę z Meksykanami stoczył w 1832 roku nad rzeką Gila w Arizonie. Przez wiele lat walczył tam jako prawa ręka słynnego wodza Chiricahuów, Miguela Narbony. Jego pozycja wzrosła w końcu lat trzydziestych, gdy poślubił Dos-teh-seh, córkę powszechnie szanowanego Mangasa Coloradas, wodza Apaczów Mimbrenio, silnego, sprytnego i budzącego powszechną grozę wojownika, prawdopodobnie najwybitniejszego przywódcy w historii tego narodu.

W czerwcu 1848 roku Cochise stał się przypadkowym bohaterem wydarzeń, do których doszło w czasie walk o meksykański fort (*presidio*) Fronteras w Sonorze. Meksykanie wystrzelili wówczas do atakujących Apaczów z działa, co spłoszyło konie i wywołało wielki zamęt wśród Indian. Ranny został Miguel Narbona, a w zamieszaniu Meksykanom udało się schwytać Cochise'a. *Capitancillo Cucchisle*, jak nazwali go w swoich raportach, został zakuty w kajdany i osadzony w więziennej celi. Dwaj pozostali wodzowie, Miguel Narbona i Posito Moraga, zarządzili oblężenie fortu i zacisnęli pierścień wokół miasta tak, że nikt nie mógł go opuścić. Po sześciu tygodniach, gdy mieszkańcom zaczął grozić głód, Meksykanie zgodzili się na negocjacje i 11 sierpnia wymienili indiańskiego więźnia na pięciu meksykańskich żołnierzy i sześciu cywilów. Doświadczenia tego Cochise nie zapomniał i już nigdy więcej nikomu nie udało się go uwięzić. Po śmierci Miguela Narbony w 1856 roku stanął na czele najbardziej wojowniczego odłamu środkowych Chiricahuów, chociaż żyło jeszcze paru wodzów ze starej generacji przywódców Chokonenów, lecz Apacze woleli kogoś młodszego i silniejszego. W tej sytuacji starzy wodzowie usunęli się w cień, a władzę przejął pełen siły fizycznej i duchowej Cochise.

Okolo roku 1800 Apacze z Nowego Meksyku i Arizony tworzyli kilka dużych zgrupowań, z których każde

zamieszkiwało w wielu wioskach zwanych przez Hiszpanów ranczeriami (*rancherías*). Najdalej na wschód żyli Apacze Chihenne, określane przez Hiszpanów jako Mimbrenio i Mogollones. W źródłach amerykańskich natomiast przynajmniej część z nich nazywa się Apaczami z Gorących Źródeł i Apaczami z Kopalni Miedzi. Terytorium Chihenne rozciągało się od rzeki Gila przez góry Mogollon aż do Rio Grande w Nowym Meksyku. Trzy bardziej wysunięte na zachód zgrupowania Apaczów, zwykle określane ogólną nazwą Chiricahua, tworzyli: Indianie Chokonen, czyli Chiricahua środkowi, którzy zamieszkiwali góry Chiricahua i których terytorium biegło wzdłuż rzeki Gila i wrzynało się w granice Arizony; Bedonkohe, czyli Chiricahua wschodni, zamieszkali na północ od Chokononów, od źródeł Gila do siedzib Chihenne na wschodzie; oraz Nedni, często nazywani Chiricahua południowymi, mieszkający całkowicie w północnym Meksyku, w górach Sierra Madre. Najdalej na zachód żyli Apacze Tonto, Coyotero, Pinaleño oraz Apacze Białych Gór, których ojczyznę tworzyły: kotlina Tonto (*Tonto Basin*), okolice dzisiejszego miasta Flagstaff oraz góry Pinal i Białe Góry (*White Mountains*). Apacze Zachodni byli prawdopodobnie liczniejsi niż wszystkie pozostałe zgrupowania Apaczów razem wzięte.

Z Apaczami Zachodnimi blisko sąsiedowali Indianie Yavapai, czyli Słoneczni Ludzie albo Ludzie ze Wschodu, wszyscy mówiący tym samym językiem yuman. Słabo zorientowani w skomplikowanych podziałach plemiennych Hiszpanie, a za nimi także osadnicy amerykańscy, mieli skłonność do nazywania Yavapai oraz Apaczów Zachodnich jednym mianem: Tonto.

Wojna z Meksykiem spowodowała w 1846 roku do kraju Apaczów amerykańskie oddziały, które szykując się do podboju Kalifornii, zatrzymały się w Santa Fe i w Tucson. Dla wielu Chiricahuów było to pierwsze spotkanie z Amerykanami,

których – jako wrogów znienawidzonych Meksykanów – uznali za sprzymierzeńców i przyjęli życzliwie. Dla Amerykanów zaś pierwsze kontakty z Apaczami nie zapowiadały walk, które przyszło im potem stoczyć, aby ten lud ujarzmić. Notowali swoje spostrzeżenia:

„Są biedni i brudni, ale na ogół odziani w bawełniane koszule. Często też noszą spodnie, piękne mokasyny do kolan o podwiniętych do góry noskach, a na głowach skórzane hełmy przybrane piórami i wisiorami. Dosiadają świetnych koni, które wolą od mułów, i są uzbrojeni we wspaniałe włócznie, strzelby i łuki. Mają długie włosy opadające swobodnie na ramiona. Zdaje się, że rozumieją po hiszpańsku”.

W 1848 roku na mocy traktatu z Guadalupe Hidalgo Stany Zjednoczone zobowiązały się powstrzymać najazdy Indian w głąb Meksyku, ale okazało się to niemożliwe, ponieważ Apacze nie rozumieli istoty stosunków pomiędzy ich starymi wrogami Meksykanami a ludźmi, których uważali za swoich sprzymierzeńców. Problemy Indian z Amerykanami zaczęły się już w roku 1849, po odkryciu złota w Kalifornii, gdy rozpoczął się niespotykany dotąd masowy ruch ludności w całych Stanach Zjednoczonych, który przeszedł do historii pod nazwą „wielkiej gorączki złota w Kalifornii”. Sytuacja pogorszyła się na wiosnę 1851 roku, kiedy komisja graniczna Johna Russella Bartletta wkroczyła do kraju Apaczów w asyście oddziału dragonów pułkownika Louisa Craiga i rozbiła obóz w pobliżu kopalni miedzi w świętych dla Mimbreniów górach Santa Rita na południowym krańcu Terytorium Nowego Meksyku. Reakcja Mangasa Coloradas nie była jednoznaczna. Najpierw wódz wybuchnął gniewem, ale wkrótce zrozumiał, że jego wojownicy, uzbrojeni w łuki i strzały, nie sprostają żołnierzom z karabinami, i powściągnął emocje. Prawdziwe kłopoty zaczęły się dopiero wtedy, gdy do Santa Rita napłynęły gromady górników, a Mimbrenio zaczęli kraść stada koni i bydła

należące do białych. Rozeźlony pułkownik Craig nazwał Mangasa „największym złodziejem i mordercą wśród Apaczów” i wezwał na pomoc dodatkowe siły wojskowe. Napięcie sięgnęło szczytu, kiedy w kwietniu 1851 roku podejrzliwi górnicy z Santa Rita publicznie znieważyli i wychłostali Mangasa do nieprzytomności, czego wódz nigdy im nie zapomniał.

Do roku 1854 ziemie Chokononów należały do Meksyku. Były to tereny Indian prawie całkowicie niezamieszkane i Meksykanom nie bardzo na nich zależało. Sytuacja zmieniła się po tak zwanym zakupie Gadsdena (*Gadsden Purchase*), czyli transakcji, w której wyniku Stany Zjednoczone nabyły od Meksyku duży pas ziemi w dzisiejszym południowym Nowym Meksyku i Arizonie. W ten sposób ziemie Chokononów w południowo-wschodniej Arizonie przeszły w ręce Amerykanów i zostały poddane stopniowej kolonizacji. W 1858 roku Amerykanie przeprowadzili przez tereny Apaczów linię dylizansów obsługiwaną przez spółkę Johna Butterfielda, a następnie w krótkim czasie wybudowali na trasie sieć stacji postojowych. Jedna z takich stacji powstała w pobliżu źródła na północnym krańcu gór Chiricahua, na dzikiej i odludnej Przełęczy Apaczów, przez którą jadący ze wschodu biali osadnicy przedostawali się do Tucson i dalej do San Francisco.

Znawcy Apaczów podkreślają harmonijne współzycie grupy Cochise'a z obsługą stacji dylizansów na Przełęczy Apaczów. Jako przykład podają umowę, którą Cochise zawarł z Amerykanami na dostawę drewna do stacji. Takie przyjazne na ogół stosunki utrzymywały się do roku 1861, chociaż czasami dochodziło do drobnych utarczek i kradzieży stad koni i bydła. Dla Apaczów incydenty te nie były aktami wrogimi, w ich przekonaniu bowiem zręczne uprowadzanie zwierząt w żaden sposób nie naruszało pokojowego traktatu. Jak zresztą uczciwie stwierdzono w jednym z amerykańskich raportów,

Indianie rabowali bydło, bo przymierali głodem. Gorzej, że broniąc swego dobytku, biali osadnicy zabili najpierw kilku Indian, a potem ofiar zaczęło przybywać. W tej sytuacji Apacze zagrozili, że wygonią Amerykanów ze wszystkich stacji na swoim terytorium.

Na początku lat sześćdziesiątych wzajemne stosunki się zaostrzyły. Gazety w Arizonie, niechętne pokojowym relacjom z Apaczami, zaczęły głosić, że jedyną skuteczną polityką wobec Indian jest polityka wojny. Podobne stanowisko wyrażali napływający osadnicy. Komendant fortu Buchanan, pierwszej amerykańskiej placówki wybudowanej w kraju Chokonenów, na terenie zakupionym w 1856 roku, napisał w raporcie, że odpowiedzialnością na kradzież bydła w Arizonie może być albo uczciwe karmienie Apaczów, albo ich eksterminacja. Problem ten został wkrótce rozwiązany, gdy wydarzył się incydent, który na jedenaście lat naznaczył stosunki między Amerykanami i Indianami. Za rozpętanie wojny z Apaczami, do której niebawem doszło, tradycyjnie uważa się tak zwane zajście z Bascomem na Przełęczy Apaczów w lutym 1861 roku.

Zaczął się banalnie. 27 stycznia 1861 roku dwie grupy Apaczów Zachodnich napadły na ranczo niejakiego Johna Warda położone dwadzieścia kilometrów na południe od fortu Buchanana w dolinie Sonoita. Jedna z nich uprowadziła dwadzieścia sztuk bydła, druga dwunastoletniego meksykańskiego chłopca Feliksa Tellesa. Na miejsce zajścia wysłano oddział sześćdziesięciu sześciu konnych piechurów z 7. Pułku Piechoty USA pod dowództwem młodego podporucznika George'a Bascoma, pełnego zapału, ale bez żadnego doświadczenia w postępowaniu z Indianami. Amerykanie uznali, że ślady odkryte w pobliżu rancza prowadzą w głąb kraju Chokonenów, i to wystarczyło, aby podejrzenie padło na grupę Cochise'a obozującą na Przełęczy Apaczów.

4 lutego Cochise został zaproszony do namiotu Bascoma. Nie podejrzewając podstępów, przybył na spotkanie ze swoim bratem Coyunturą, dwoma bratankami i paroma innymi osobami. Na zarzut o uprowadzenie chłopca odpowiedział za pośrednictwem Warda, który występował w roli tłumacza, że prawdopodobnie młodego Tellesa porwali Apacze Coyotero, i zaoferował swoją pomoc w jego odzyskaniu. Arogancki Bascom jednak nie dał temu wiary. Bezpodstawnie przypisał porwanie Cochise'owi i zagroził, że zatrzyma go jako więźnia, dopóki chłopiec nie zostanie zwrócony. Zaniepokojony i rozeźlony wódz natychmiast wyciągnął nóż, przeciął ścianę namiotu i wyrwał się żołnierzom.

Choć Bascom napisał w swoim raporcie, że pozwolił Cochise'owi odejść wolno, świadectwa wszystkich obecnych przy tym zajściu Amerykanów oraz relacje Indian są jednomyślne. Cochise po prostu uciekł. Ward nie skończył jeszcze tłumaczyć groźby Bascoma, gdy Cochise i Coyuntura „szybsi od błyskawic, wyciągnęli ukryte w ubraniach noże, rozcięli płótno namiotu i wyskoczyli na zewnątrz, Cochise z przodu namiotu, Coyuntura z tyłu, ale potknął się, upadł i został schwytany”. Wódz przedarł się przez kordon zaskoczonych żołnierzy, którzy wcześniej na rozkaz Bascoma otoczyli namiot, i pognął przed siebie. Natychmiast na sygnał porucznika posłano za nim pół setki kul, ale Cochise, choć ranny w nogę, zdołał dobiec na pobliskie wzgórze. Tam stanął, podniósł rękę i poprzysiągł zemstę za niesłuszne oskarżenie. Pozostali Indianie zostali zatrzymani jako zakładnicy, a jeden wojownik zginął.

Wkrótce Cochise powrócił z Mangasem Coloradasem i białymi zakładnikami, którymi byli schwytani pracownicy poczty dyliżansowej Butterfielda, i zaproponował ich wymianę na swoich ludzi. W atmosferze wzajemnej nieufności 8 lutego wojownicy Cochise'a, „nadzy i pomalowani, z pieśnią wojenną

na ustach”, oraz żołnierze Bascoma wdali się w krótką walkę, w której wyniku obie strony zabiły swoich zakładników. W sprawie tej jest wiele niejasności, ale wszystko wskazuje na to, że powieszenie sześciu indiańskich zakładników, przypisywane porucznikowi Bascomowi, nastąpiło w odwecie za zabicie przez Cochise’a amerykańskich jeńców. W każdym razie nadzieje na porozumienie zostały pogrzebane, a dla południowo-wschodniej Arizony skończył się czas pokojowego współżycia. Podporucznik Bascom, chociaż mocno krytykowany przez większość historyków za arogancję i niewłaściwą postawę wobec Indian, dostał od dowództwa pochwałę i awans. Zginął rok później podczas wojny secesyjnej, zabity przez konfederatów z Teksasu w bitwie pod Valverde. W 1863 roku jego imieniem nazwano nowy fort nad rzeką Canadian w Nowym Meksyku, przy granicy z Teksasem (Fort Bascom).

Po wypadkach na Przełęczy Apaczów wojownicy Mangasa Coloradas odeszli na północ w kierunku rzeki Gila, a Cochise ze swoimi ludźmi ruszył na południe, do meksykańskiej Sonory. A wiosną 1861 roku na ziemiach Apaczów rozgorzała okrutna wojna pod hasłem „śmierć obcym” (*netdahe*). Cochise stał się „najzagorzalszym, najbardziej nieprzejednanym wrogiem Amerykanów” i przez z górą dziesięć lat siał trwogę i spustoszenie w Arizonie. Dla Indian była to święta wojna w obronie własnej ziemi i tożsamości. Apacze napadali na dyliżanse i konwoje (z tego powodu już w marcu ustała działalność linii dyliżansów), na rancza i kopalnie, atakowali oddziały wojsk stacjonujące w przygranicznych fortach. Cochise wykorzystał okazję, że po wybuchu wojny secesyjnej wycofano wojska amerykańskie z kraju Apaczów do walki z konfederatami, pozbawiając białych osadników ochrony, i z pomocą Mangasa Coloradas zaczął ich nękać nieustannymi napadami. Obaj wodzowie znajdowali się zawsze na czele walczących. To w tym okresie Cochise wyłonił się jako wódz

całego odłamu Chiricahua, a biorąc pod uwagę podeszły wiek Mangasa, stał się niekwestionowanym przywódcą zjednoczonych plemion Apaczów. Amerykański historyk James McClintock odnotował, że „Cochise był zdolny skupić wokół siebie więcej wojowników niż jakikolwiek wódz Apaczów czasów nowożytnych”.

W maju 1862 roku ochotnicy z Kalifornii pod wodzą pułkownika Carletona wyparli konfederatów z Arizony i latem ruszyli do Nowego Meksyku. 15 lipca oddział kapitana Thomasa Robertsa, wysłany szlakiem przez Przełęcz Apaczów, wpadł w doskonale przygotowaną zasadzkę, w której czekali Cochise i Mangas Coloradas na czele połączonych sił pięciuset Chiricahuów i Mimbreniów. Tylko działa, którymi dysponowali Amerykanie, uchroniły oddział przed zniszczeniem. W czasie walki jednak żołnierz nazwiskiem John Teal postrzelił Mangasa w pierś. Apacze zawieźli rannego wodza do meksykańskiej osady Janos i nakazali lekarzom wyleczyć go pod groźbą zniszczenia miasta. Mangas Coloradas przeżył, ale w styczniu 1863 roku zdecydował się na negocjacje pokojowe z górnikami i żołnierzami i w tym celu udał się z flagą rozejmową do obozu ochotników kalifornijskich kapitana Edmonda Shirlanda. Zdradzieccy Amerykanie wzięli go do niewoli i osadzili w forcie McLane w Arizonie. Co więcej, nowy dowódca żołnierzy z Kalifornii, generał Joseph West, na rozkaz swego przełożonego Carletona, aby srogo ukarać „bandę morderców” Mangasa Coloradas, kazał go potajemnie zgładzić. W nocy 18 stycznia widziano, jak strażnicy rozgrzewali w ogniu bagnety i przykładali je do nóg starego wodza, a gdy zaczął robić im wyrzuty, po prostu go zastrzelili. Potem zdjęli mu skalp, obcięli głowę i wygotowali ją w dużym czarnym garncu. Nagą czaszkę przesłali do celów badawczych znanemu frenologowi z Bostonu, profesorowi Orsonowi Fowlerowi. Oficjalny raport

wyjaśniał, że Mangas Coloradas został zabity „podczas próby ucieczki”.

Po śmierci teścia Cochise nadal prowadził wojnę z Amerykanami i Meksykanami. Podczas jednej z potyczek koło Fronteras został ranny w nogę, a parę lat później postrzelony w szyję i były to jedyne poważniejsze obrażenia, jakich doznał w ciągu tylu lat wojen. Apacze nie widzieli w tym nic dziwnego, bo według nich Cochise miał nadprzyrodzoną moc, która chroniła go przed kulami i ciosami wroga. W nielicznych przerwach pomiędzy walkami wódz Chiricahuów potrafił się jednak zdobyć na pokój. W 1867 roku zawarł prywatny pakt z rudobrodym Tomem Jeffordsem nadzorującym linię pocztową między Arizoną i Nowym Meksykiem. Jeffords przybył samotnie do jego obozu i w czasie spotkania wynegocjował z nim wolny przejazd dla swoich kurierów przez niebezpieczną Przełęcz Apaczów. Od tego czasu ani Jeffords, ani jego jeźdźcy nigdy nie napotkali żadnej zasadzki na swojej drodze, a odwaga Toma tak zaimponowała wodzowi Chiricahuów, że szybko zostali przyjaciółmi. Być może za radą Jeffordsa w następnych latach Cochise kilkakrotnie spotykał się z przedstawicielami wojska, proponując zakończenie wojny w zamian za pozostawienie go w spokoju w ojczystych górach Chiricahua, od których jego plemię wzięło nazwę. Rozmowy te jednak nie dały spodziewanych efektów, ponieważ miejscowi dowódcy nie byli upoważnieni do takich negocjacji i spełniania żądań wodza Apaczów.

Dopiero we wrześniu 1872 roku prezydent Grant wysłał do Arizony bohatera wojny secesyjnej, jednorękiego generała Olivera Otisa Howarda, z zadaniem zakończenia wojny z Apaczami i wynegocjowania trwałego pokoju. W październiku Howard odwiedził Cochise'a w jego warowni w górach Dagoon i w honorowy sposób skłonił Chiricahuów do zamieszkania w rezerwacie w ich własnym kraju przy granicy meksykańskiej.

Zgodnie z życzeniem wodza na agenta tej grupy Indian Howard wyznaczył jego przyjaciela Toma Jeffordsa, jedyne białego, któremu Cochise ufał, i przekazał mu całkowitą kontrolę nad Apaczami. Odtąd wódz nie chwycił już za broń i do końca życia wytrwał w pokoju. Dopóki żył Cochise, obaj z Jeffordsem potrafili utrzymać w ryzach Chiricahuów, chociaż nie splamili się oni uprawą roli i od czasu do czasu wyprawiali się z innymi wojownikami przeciwko Meksykanom, z którymi wódz nigdy nie zawarł pokoju.

Przyjacielskie kontakty Jeffordsa z Apaczami były solą w oku osadników, którzy nazywali go „miłośnikiem Indian” i słali przeciwko niemu raporty do władz. W rezultacie w 1875 roku Jeffordsa odwołano, a Apaczów Chiricahua przeniesiono dalej na północ, do rezerwatu San Carlos, łamiąc traktat zawarty z Cochise'em przez Howarda. Sam wódz nie dożył tego wygnania. Zmarł 8 czerwca 1874 roku w swojej ranczerii w górach Dragoon na terytorium Chiricahuów w wieku około siedemdziesięciu lat. Należał do najwybitniejszych wodzów Apaczów obok Miguela Narbony, Mangasa Coloradas, Victoria i Juha. Przez czterdzieści lat walczył z armiami dwóch krajów, nie pozwalając żadnemu obcemu dowódcy zatriumfować nad sobą i uparcie odrzucając wszystkie niesprawiedliwe propozycje pokoju. Dopiero gdy uznał, że walka z przeciwnikiem coraz liczniejszym i dużo lepiej uzbrojonym grozi samozagładą, zgodził się na zakończenie wojny i przystał na rezerwat, na określonych przez siebie warunkach.

Cochise był wyższy niż większość jego współplemieńców, miał potężne ramiona, szeroką pierś, inteligentną twarz z czarnymi oczami, duży garbaty nos, wysokie czoło i gęste czarne włosy. Nie zachowała się żadna fotografia charyzmatycznego wodza. Zastępuje ją opis, który w 1859 roku pozostawił James Travis, pracownik stacji dyliżansów na Przełęczu Apaczów: „Najpiękniejszy Indianin, jakiego

kiedykolwiek widziałem. Miał sześć stóp (183 cm) wzrostu, był prosty jak strzała, od stóp do głów zbudowany tak doskonale, jak tylko jest to możliwe”.

Czarny Kocioł i masakra nad Sand Creek

Spadał na nich deszcz kul, ale Indianie powstrzymywali się od walki, wciąż wierząc, że wojny nie ma i że wojsko zaatakowało ich przez pomyłkę. Zdezorientowany wódz Czejenów Czarny Kocioł wyciągnął podarowaną mu kiedyś przez białych amerykańską flagę, zatknął ją na długą tyczkę wraz z kawałkiem białej materii podwiązany u dołu na znak poddania i stanął przed namiotem. Trzymając powiewający na wietrze gwiazdzisty sztandar, wołał, że to nieporozumienie, i wzywał ludzi, aby gromadzili się wokół flagi i zachowali spokój. Ale ogień dział i karabinów nie ustawał ani na chwilę. W końcu ostrzelany tłum Indian w panice rzucił się do ucieczki. Mężczyźni, kobiety i dzieci popędzili ku południowym wzgórzom i w górę wyschniętego koryta potoku Sand.

Tę masakrę Indian obserwował z pobliskiego wzgórza pułkownik John Chivington, zwany „Walczącym Pastorem”, dawny kaznodzieja metodystów, który porzucił kapłaństwo, aby walczyć z konfederatami i Indianami. Był zadowolony, bo tego dnia jego żołnierze zabili co najmniej stu pięćdziesięciu czerwonoskórych.

Ci, którzy zdołali uciec, po jakimś czasie znaleźli bezpieczne schronienie i ocalili. Mróz był wówczas tak wielki, że krew zamarzała wokół ran pokrywających półnagie ciała ludzi. Mężczyźni, kobiety i dzieci, tłumiąc ból, w największej ciszy wycofali się powoli w górę strumienia, wspierając się nawzajem w marszu. Wielu Indian, którzy stracili krewnych

lub przyjaciół, następnego ranka wróciło na pobojuwisko, aby odszukać ich pomiędzy nagimi i zmasakrowanymi ciałami. Wśród tych, którzy poszli w dół Sand Creek do opuszczonego obozu, był także Czarny Kocioł. Szczęśliwie odnalazł żonę, i to żywą, mimo dziewięciu ran od kul wystrzelonych z bliskiej odległości. Wziął ją na plecy i zaniósł w bezpieczne miejsce, a potem, spotkawszy w górze potoku konnego wojownika, posadził ją z jego pomocą na koniu i odwiózł do swoich.

Pod koniec lat pięćdziesiątych XIX wieku coraz liczniejsze rzesze górników i osadników zaczęły płoszyć stada bizonów wędrujące przez Wielkie Równiny. Wzdłuż rzek, nad którymi Indianie tradycyjnie polowali na bizony i antylopy, pionierzy wycinali nieliczne tam drzewa i systematycznie wybijali zwierzynę, stanowiącą podstawę utrzymania tubylców. W rezultacie w 1860 roku Indianie ze środkowych Równin stanęli w obliczu głodu.

Wiosną 1861 roku konfederaci zmusili oddziały federalne do opuszczenia garnizonów w Teksasie i na Terytorium Indiańskim. Wybuchła wojna, ochotnicy teksascy zajęli forty federalne i ogłosili powstanie skonfederowanego Terytorium Arizony. W odpowiedzi zwolennicy Unii w Nowym Meksyku zorganizowali własne oddziały ochotnicze, w czym duży udział miał Kit Carson. Groźba inwazji zmusiła dowódcę wojsk federalnych na tym obszarze, pułkownika Edwarda Canby'ego, do szukania pomocy w sąsiednim Kolorado. W efekcie we wrześniu Kolorado wystawiło pierwsze oddziały ochotnicze pod komendą pułkownika Johna Slougha i wysłało je do Nowego Meksyku.

W lutym 1862 roku generał Henry Hopkins Sibley poprowadził z El Paso wyprawę trzech i pół tysiąca ludzi w górę Rio Grande z zamiarem dokonania inwazji na południową Kalifornię, gdzie Konfederacja miała wielu zwolenników. 21 lutego pokonał siły Canby'ego w bitwie pod Valverde, w której

wyróżnili się ochotnicy z Nowego Meksyku dowodzeni przez Carsona, a następnie zajął Albuquerque i Santa Fe. Jednakże dalszy marsz Teksańczyków zatrzymały oddziały ochotników Slougha. 10 marca żołnierze z Kolorado dotarli z odsieczą do fortu Union w Nowym Meksyku, a 26 marca część sił Slougha, prowadzona przez majora Chivingtona, pobiła przednią straż konfederatów w Kanionie Apaczów, na drodze do Santa Fe. Dwa dni później doszło do decydującego starcia na przełęczy Glorietta, na wschód od Santa Fe. 28 marca stoczono tam bitwę, która zadecydowała o losach terytoriów zachodnich. W bitwie tej znowu wyróżnił się Chivington. Dowodzony bezpośrednio przez niego oddział obszedł górską ścieżką pozycje Teksańczyków i zaatakował ich słabo strzeżony tabor. Ludzie Chivingtona zniszczyli wozy z zapasami i zabili kilkaset pociągowych koni i mułów. Utrata zapasów amunicji i żywności zmusiła Sibleya do porzucenia planów inwazji, a seria ataków wojsk Canby'ego i zbliżanie się „kolumny kalifornijskiej” pułkownika Carletona sprawiły, że Sibley ewakuował swoje siły do Teksasu.

Za akcję na przełęczy Glorietta Chivingtona okrzyknięto bohaterem. W kwietniu 1862 roku dostał on awans na pułkownika i zastąpił Slougha, który musiał odejść z wojska. W listopadzie tego roku, gdy piesze oddziały ochotników z Kolorado wycofano z Nowego Meksyku i przeformowano na jednostki kawalerii bardziej nadające się do walk z Indianami, Chivingtonowi powierzono komendę nad nowym pułkiem jazdy oraz dowództwo sił zbrojnych Terytorium Kolorado.

Wybuch wojny secesyjnej nie wpłynął zasadniczo na zmianę dotychczasowego sposobu życia plemion z Wielkich Równin. Wiosną 1862 roku Indianie tak jak przedtem wędrowali po swych dawnych łowiskach w poszukiwaniu bizonów, a czasami, gdy wyprawa się nie powiodła, rekompensowali sobie niepowodzenie, kradnąc konie i bydło z rancz mijanych po

drodze. Niekiedy małe oddziały wojowników napadały w poszukiwaniu żywności na pojedyncze farmy lub niepokoiły dyliżanse i furgony przewożące towary szlakiem Santa Fe. Generalnie jednak, mimo trudności ze zdobyciem pożywienia, wodzowie Czejenów i Arapahów starali się trzymać swoich ludzi z dala od szlaków komunikacyjnych i osiedli, chociaż czasami nie potrafili ukryć gniewu spowodowanego napływem białych na ich tereny łowieckie i rzucali pod ich adresem groźby. Ale gdy osadnicy przetrzebili stada bizonów i wśród Indian zapanował głód, pokojowo nastawieni wodzowie nie mogli już powstrzymać młodych wojowników przed wkroczeniem na ścieżkę wojenną. W poszukiwaniu żywności Indianie coraz częściej napadali na karawany transportowe i rancza, choć na ogół nie wyrządzali ludziom krzywdy. Nie było tygodnia, aby do posterunków wojskowych na szlaku Santa Fe nie zgłaszali się przewoźnicy ze skargami na rabunki dokonane przez Indian. Żołnierze w fortach lekceważyli jednak zagrożenie, pokątnie sprzedając Indianom alkohol i napastując ich kobiety.

Wiosną 1864 roku, gdy tylko na równinach Kolorado i Kansas zazieleniła się trawa, małe wyprawy łowieckie Czejenów i Arapahów wyruszyły na poszukiwanie dawno niewidzianych bizonów, odbywających po zimowej przerwie swoją doroczną wędrówkę na północ. Zamiast nich jednak Indianie coraz częściej napotykali stada bydła, wypasane przez białych ranczerów na dawnych pastwiskach bizonów. Czejenowie, wściekli za przepłoszenie dzikiej zwierzyny, zaczęli w różnych miejscach uprowadzać bydło, aby choć trochę zaopatrzyć swoje rodziny w świeże mięso. Związane z tym konflikty i nieporozumienia doprowadziły wiosną 1864 roku do wybuchu nowej wojny. W kwietniu pułkownik Chivington rzucił żołnierzy z Kolorado przeciwko Indianom z wyraźnym

rozkazem, aby „zabijać Czejenów, kiedykolwiek i gdziekolwiek ich spotkają”.

Wojna na środkowych Równinach nie obfitowała w wielkie bitwy, lecz jedynie w drobne potyczki i napady na pojedyncze cele. Ich intensywność była jednak na tyle duża, że w istotny sposób paraliżowały one komunikację między wschodem kraju a Kolorado i Nowym Meksykiem. Duża aktywność wojenna Indian na początku lata wywołała głośne reakcje zachodniej prasy, która domagała się ich pacyfikacji i zapewnienia spokoju. Pod naciskiem opinii publicznej dowództwo wojskowe na Zachodzie zorganizowało kampanię, której celem była ochrona dróg i osad położonych wzdłuż szlaku Santa Fe i zastraszenie wojujących Indian. Stało się to koniecznością militarną, gdyż szlak ten był linią życia dla Nowego Meksyku.

Podczas gdy wojsko dokładało starań, aby zabezpieczyć komunikację między Wschodem i Zachodem, Indianie nasilili napady w Nebrasce na szlaku wzdłuż rzeki Platte. Od pierwszych dni sierpnia z ogromną zaciętością atakowali dyliżanse, konwoje z zaopatrzeniem, wozy emigrantów, stacje komunikacyjne i rancza na odcinku ponad trzystu kilometrów od osiedla Julesburg w kierunku wschodnim. W wyniku tych ataków latem 1864 roku na równinach Kansas, Nebraski i Kolorado zginęło ponad dwustu białych, z dymem poszły dziesiątki rancz i stacji dyliżansów, a straty materialne wyniosły dwieście do trzystu tysięcy dolarów. Migracja do Kolorado i Kalifornii drogami wzdłuż Platte została praktycznie wstrzymana, a niektóre rejony osadnictwa całkowicie się wyludniły. Raporty donosiły, że Indianie zamierzają usunąć ze swoich ziem wszystkich białych, co wzmagало jeszcze poczucie zagrożenia. 10 sierpnia któraś z gazet w Denver napisała, że istnieje tylko jeden sposób na rozwiązanie sprawy Indian: ich eksterminacja. A już następnego dnia gubernator Terytorium Kolorado John Evans wydał proklamację, w której upoważnił

„wszystkich obywateli Kolorado, pojedynczo lub w zorganizowanych grupach, do ścigania wrogo nastawionych Indian z Równin, lecz oszczędzania tych, którzy odpowiedzieli na [...] wezwanie do stawienia się w wyznaczonych miejscach, a także do zabijania i niszczenia wszystkich Indian jako wrogów kraju, gdziekolwiek uda się ich napotkać”.

Latem 1864 roku słynący z pokojowego usposobienia wódz Czarny Kocioł i jego zwolennicy przebywali w obozie nad strumieniem Medicine Lodge w Kansas, nie biorąc udziału w walkach. W tym czasie w obozach u źródeł rzeki Smoky Hill zebrało się ponad dwa tysiące Czejenów, Arapahów i Siuksów, którzy połączyli się dla zwiększenia własnego bezpieczeństwa. Pod koniec sierpnia dołączył do nich Czarny Kocioł ze swoimi ludźmi, żeby rozważyć otrzymaną od białych propozycję zawarcia pokoju. Wszyscy wodzowie zgodzili się, że należy przywrócić pokój i powiadomić o tym agenta Samuela Colleya oraz dowódcę fortu Lyon w południowo-wschodnim Kolorado, majora Edwarda Wynkoopa.

Na naradzie z Wynkoopem 10 września postanowiono, że Indianie pozostaną w swoich obozach nad Smoky Hill, Wynkoop zaś weźmie ze sobą kilku wodzów Czejenów i Arapahów do fortu Lyon, a potem zawiezie ich do Denver na rozmowy z gubernatorem Evansem i pułkownikiem Chivingtonem. 18 września Wynkoop wysłał do gubernatora Evansa wiadomość o wynikach swojej misji, lecz jego pokojowa inicjatywa wyraźnie nie przypadła do gustu cywilnym i wojskowym władzom Kolorado, które latem zorganizowały przeznaczony specjalnie do walki z Indianami nowy pułk ochotniczej kawalerii. 26 września Chivington telegrafował do swojego przełożonego, generała Samuela Curtisa w forcie Leavenworth w Kansas:

„Zostałem poinformowany, że E.W. Wynkoop, dowódca fortu Lyon, jest w drodze do nas z wodzami Czejenów i Arapahów

oraz czterema białymi jeńcami, których mu wydano. Nadchodzi zima. Trzeci pułk jest gotowy i oni [Czejenowie] wiedzą, że będą ścigani za swoje grabieże, dlatego teraz chcą pokoju. Mam nadzieję, że Pan Generał rozkaże, by zwrócili wszystko, co zrabowali, i odeszli do swojego rezerwatu, gdzie już pozostaną”.

Narada odbyła się 28 września w Camp Weld, obozie szkoleniowym ochotników z Kolorado na zachodnim brzegu Platte, naprzeciwko południowych przedmieść Denver. Nie postanowiono na niej nic konkretnego, więc Indianie pozostali w niepewności, czy zawarto z nimi pokój, czy nie. Pięć lub sześć dni później wodzowie Czejenów i Arapahów wrócili razem z Wynkoopem do fortu Lyon, gdzie otrzymali zapewnienie, że jeśli sprowadzą swoich ludzi bliżej fortu, będą oni pod jego opieką.

Wielu Czejenów i Arapahów uwierzyło majorowi Wynkoopowi, zwinęło swoje obozowiska nad Smoky Hill i stanęło obozem nad wyschniętym potokiem Sand Creek. W oczekiwaniu na trwały pokój Indianie rozbili namioty około sześćdziesięciu pięciu kilometrów na północny wschód od fortu Lyon, w miejscu niezbyt odległym, lecz pozwalającym uniknąć ewentualnych konfliktów z załogą fortu i podróżnymi na szlaku Santa Fe. Jednakże przyjazny stosunek Wynkoopa do Indian nie podobał się pułkownikowi Chivingtonowi i niektórym wojskowym w Kansas, którzy od dawna zamierzali rozwiązać problem siłą. Dowódca fortu Lyon zaczęto wypominać, że bez pozwolenia sprowadził do Denver indiańskich wodzów i w ogóle utrzymuje zbyt bliskie kontakty z Indianami. W rezultacie 4 listopada Wynkoop został odwołany ze stanowiska, a jego miejsce zajął major Scott Anthony.

Czejenowie nie byli z tego zadowoleni. Niski, nerwowy Anthony, świdrujący Indian zaczerwienionymi od skorbutu oczami, wydał im się podejrzliwy i nieszczerzy. Nie wierzyli w jego dobre intencje i nie spodziewali się po nim niczego

dobrego. Ufali jednak majorowi Wynkoopowi, a ten przekonywał ich do swojego następcy. Przyjęli więc za dobrą monetę zapewnienia Anthony'ego o jego pokojowych zamiarach i obietnicę, że jeśli powrócą do obozu nad Sand Creek, pozostaną pod ochroną fortu Lyon. Ucieszyli się również, że do czasu uzyskania zgody na wydanie Indianom zimowych racji żywnościowych młodzi wojownicy będą mogli ruszyć na poszukiwanie bizonów w kierunku Smoky Hill. Czarny Kocioł, uspokojony przebiegiem rozmowy z Anthonym, przyznał, że po odwołaniu Wynkoopa on i inni wodzowie zamierzali udać się za rzekę Arkansas, z dala od żołnierzy, ale teraz zmienili zdanie i pozostaną nad Sand Creek, bo tu będą się czuć bezpieczni.

Tak więc Czejenowie wrócili nad Sand Creek, przekonani, że sprawa pokoju zostanie wkrótce rozstrzygnięta i Anthony poinformuje ich o decyzjach swoich przełożonych. Późniejsze wydarzenia dowiodły jednak, że byłoby dla nich lepiej, gdyby pokierowali się pierwszym wrażeniem i nie dali się zwieść przyjaznym gestom majora, który od początku prowadził podwójną grę.

W połowie października 1864 roku, gdy większość Indian odeszła na południe od Platte i zaległa w zimowych obozach nad rzekami Republican, Smoky Hill i Arkansas, pułkownik Chivington postanowił wykorzystać niesprzyjającą dla Indian porę roku i ostatecznie się z nimi rozprawić. W tym celu przyspieszył koncentrację sił i zebrał łącznie pięciuset pięćdziesięciu oficerów i żołnierzy 3. Ochotniczego Pułku Kawalerii z Kolorado oraz stu dwudziestu pięciu ludzi 1. Pułku Kawalerii z Kolorado. Ekspedycji miał towarzyszyć tabor pięćdziesięciu wozów ciągniętych przez muły.

20 listopada 1864 roku poprowadził swoich żołnierzy na obóz zimowy Czejenów nad Sand Creek w południowo-wschodnim rogu Kolorado, dwieście sześćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Denver, z którego wyruszył. Nie

zważał, że Indianie ci już dawno poddali się żołnierzom z fortu Lyon i obozowali nad Sand Creek w przekonaniu, iż są pod ochroną wojska. Kiedy paru trzeźwiej myślących oficerów próbowało powstrzymać go przed tą wyprawą, dowodząc, że atak na ludzi Czarnego Kotła, uważanych za jeńców wojennych, byłby przestępstwem, obrzucił ich obelgami i wściekły wrzasnął: „Niech będzie przeklęty każdy, kto sympatyzuje z Indianami! Wielkie nieba! Jestem przekonany, że stosowanie wszelkich możliwych środków przeciwko mordercom kobiet i dzieci jest słuszne i zgodne z honorem. Do diabła z każdym, kto sympatyzuje z Indianami!”.

Na ranem 29 listopada blisko siedmiuset żołnierzy Chivingtona zaatakowało uśpiony i pozbawiony straży obóz Czarnego Kotła nad Sand Creek, lewym dopływem Arkansas. Obóz, rozciągnięty na przestrzeni półtora kilometra wzdłuż północnego brzegu potoku, liczył prawie sto dwadzieścia tipi. Znajdowało się w nim około sześciuset Indian, z czego mniej więcej dwie trzecie stanowiły kobiety, dzieci i starcy. Mimo zaskoczenia i przewagi białych walka trwała ponad osiem godzin. Zdyscyplinowany i dobrze wyćwiczony oddział wojska mógł zniszczyć prawie wszystkich Czejenów i Arapahów obozujących nad Sand Creek. Brak dyscypliny, słabe wyszkolenie strzeleckie i duża ilość alkoholu wypitego przed walką sprawiły, że większość z nich uciekła. Reszta zginęła, choć nigdy nie ustalono dokładnie ich liczby. Pyszałkowaty Chivington nazwał bitwę nad Sand Creek „jedną z najkrwawszych bitew, jakie kiedykolwiek stoczono na Równinach”, i zaraz po walce chełpił się, że jego ludzie zabili pięciuset Indian, w tym Czarnego Kotła i wielu innych wodzów. W raporcie z 16 grudnia podał, że poległo od pięciuset do sześciuset Indian. Późniejsze badania wykazały jednak, że najbardziej prawdopodobna jest liczba około stu pięćdziesięciu osób, w tym sześćdziesięciu mężczyzn w różnym wieku oraz

dziewięćdziesięciu kobiet z dziećmi. Straty Amerykanów wyniosły dziesięciu zabitych i czterdziestu siedmiu rannych.

Żołnierzy powracających z wyprawy nad Sand Creek powitano w Denver jak bohaterów. Przy dźwiękach orkiestry wojskowej „krwawy” 3. Ochotniczy Pułk Kawalerii z Kolorado przemaszerował w glorii chwały ulicami miasta. Na jego czele jechał sam Chivington, który niczym rzymski wódz trzymał w ręku tyczkę z przywiązanym do niej żywym orłem. Gazeta „Rocky Mountains News” z dumą pisała: „Wśród wszystkich wspaniałych czynów wojennych, jakich dokonano w walkach z Indianami, niewiele jest takich, które w historii mogą dorównać ostatniej kampanii naszych ochotników z Kolorado, a żadna nie przewyższa jej pod względem ostatecznych rezultatów. Żołnierze z Kolorado znowu okryli się chwałą”. Jakiś czas potem niewielkie miasteczko powstałe w pobliżu pola bitwy nad Sand Creek nazwano na cześć sprawcy masakry Chivington.

Nie wszyscy jednak dzielali ten entuzjazm. Już kilka dni po powrocie wojska z wyprawy rozeszły się pogłoski, że nad Sand Creek żołnierze z Kolorado zmasakrowali bezbronne kobiety i dzieci. To zmieniło nastawienie opinii publicznej do akcji Chivingtona. Uznano, że dobrze rokujące perspektywy pokojowego załatwienia sprawy Indian zostały przekreślone, z chwilą gdy „żołnierze Chivingtona napadli na pokojowy obóz Indian koło fortu Lyon, zabili połowę z nich, same kobiety i dzieci, a potem wrócili do Denver”.

Na wschodzie kraju wiadomość o masakrze wywołała furję, a napad na pokojową wioskę Czarnego Kotła i wymordowanie niewinnych kobiet i dzieci stały się przedmiotem oficjalnego śledztwa Kongresu. Nie czekając na jego wynik, w styczniu 1865 roku Chivington odszedł ze służby dobrowolnie i z pełnymi honorami, co uratowało go przed procesem i karą.

Jako cywil „Walczący Pastor” przestał podlegać jurysdykcji wojskowej.

W marcu 1865 roku rozpoczęły się przesłuchania w Kongresie. W lutym wszczęły śledztwo także władze wojskowe. Zeznania świadków potwierdziły fakt mordowania bezbronnych kobiet, dzieci i starców oraz skalpowania i okaleczania zwłok poległych. Opis bestialskich czynów ochotników z Kolorado potwierdzili również niektórzy oficerowie. W oświadczeniu złożonym pod przysięgą 16 stycznia jeden z nich zeznał:

„Następnego dnia, kiedy szedłem przez pole bitwy, nie widziałem ani jednego ciała mężczyzny, kobiety czy dziecka, które nie byłoby oskalpowane. W wielu wypadkach zwłoki mężczyzn, kobiet i dzieci nosiły ślady bestialskiego okaleczenia. Słyszałem, jak jeden mężczyzna opowiadał, że wyciął kobiecie intymne części ciała, a następnie przywiązał je do kija i obnosił publicznie. Inny chwalił się tym, że odciął Indianinowi palce, aby mu zabrać pierścienie. J. M. Chivington zdawał sobie sprawę z popełnianych okrucieństw, nie słyszałem jednak, aby starał się im zapobiec [...]. Słyszałem natomiast o wielu przypadkach pozbawienia kobiet intymnych części, które rozpinano na łąkach siodła lub noszono przy kapeluszach w czasie jazdy”.

Inny oficer zeznał, że wielu Indian zostało zastrzelonych, kiedy próbowali się poddać i wyszli do wojska z podniesionymi rękami. Później ich ciała zostały oskalpowane i okaleczone, bez żadnej reakcji ze strony dowódców. Wielu zabitym zdjęto z głów po kilka skalpów, gdyż nie dla wszystkich chętnych starczyło krwawych trofeów. Jeszcze inny przysięgł, że był świadkiem, jak pewien podporucznik z zimną krwią zastrzelił i oskalpował po kolei trzy kobiety i pięcioro dzieci przyprowadzone do obozu przez żołnierzy, których widok ten „napełnił zgrozą i wyraźnym niesmakiem”.

Ostatecznie prowadząca przesłuchania specjalna komisja Kongresu uznała, że Sand Creek był „miejszem mordu i barbarzyństwa”, i potępiła akcję Chivingtona jako akt „najgorszego zdziczenia”. Dowództwo wojskowe zdecydowało jednak, że nie można nikogo postawić przed sądem, bo w armii jest zbyt wiele podziałów personalnych i politycznych, aby istniały warunki do uczciwego i obiektywnego wyjaśnienia faktów. Mimo to naczelny dowódca generał Ulysses Simpson Grant określił działania podwładnych Chivingtona jako „czyste morderstwo”, a generalny prokurator wojskowy generał Joseph Holt stwierdził, że była to „tchórzliwa i dokonana z zimną krwią rzeź, wystarczająca, by jej wykonawców okryć niesławą, a oblicza wszystkich Amerykanów rumieńcem wstydu i oburzenia”.

Wiść o masakrze nad Sand Creek rozniosła się lotem błyskawicy po Równinach i przeraziła wszystkie plemiona. Wkrótce jednak szok ustąpił miejsca pragnieniu zemsty. Wściekłość Czejenów za zdradziecką i barbarzyńską rzeź ich współpracownicy była tak wielka, że natychmiast posłali do innych plemion gońców z wezwaniem do wojny. W grudniu 1864 roku wszystkie plemiona, które wypaliły fajkę wojny i odpowiedziały na apel Czejenów, wystawiły ponad trzy tysiące wojowników gotowych pomścić zabitych nad Sand Creek. Jak obrazowo określił to jeden z wodzów Siuksów imieniem Wielkie Usta, Sand Creek „rozpało na preriach ogień”. Miał on kosztować białych życie trzystu ludzi, a rząd Stanów Zjednoczonych sumę trzydziestu milionów dolarów.

Zimowa kampania 1865 roku przyniosła białym ogromne straty materialne. W dzikiej furii Indianie spalili wiele rancz i osiedli, zniszczyli liczne magazyny z zaopatrzeniem, napadli na wiele karawan z towarami, zerwali setki kilometrów drutów telegraficznych. Zaskoczone wojsko poniosło kilka bolesnych porażek i nie było w stanie powstrzymać dalszych napadów. Na

koniec, chcąc osłonić swój odwrót przed żołnierzami, Indianie podpalili wyschniętą prerię. W końcu stycznia 1865 roku potężny wał ognia przetoczył się przez Równiny, docierając po trzech dniach do brzegów rzeki Arkansas. W wielu innych miejscach Indianie chronili się, wypalając trawę przed sobą, wskutek czego cała zwierzyna uciekła z okolicy, zostawiając kraj pomiędzy Platte i Arkansas martwy i całkowicie opuszczony. Dopiero na wiosnę dowództwo ściągnęło posiłki zwolnione z pól bitewnych wojny secesyjnej. Walki zostały wznowione i miały się toczyć jeszcze latami. Nigdy więcej jednak Indianie nie zdołali sprawić armii takiego kłopotu i przeprowadzić działań ofensywnych z udziałem tak wielkiej liczby wojowników.

Po Sand Creek i zakończeniu wojny secesyjnej stosunki z Indianami na Zachodzie osiągnęły stan permanentnego kryzysu. Specjalna komisja Kongresu, która w roku 1867 badała sytuację plemion, donosiła, że wszystkie poważne problemy z Indianami wynikają z napływem dużej liczby białych na ich tereny. Wiązały się z tym: wyniszczające ludność indiańską choroby, rozpijanie młodzieży, odwetowe akcje wojska i wszechobecny głód. Tereny łowieckie Indian na Wielkich Równinach najeżdżały hordy białych osadników, dla których eksterminacja tubylczych plemion była środkiem do nowego życia. Przesuwające się coraz dalej na zachód linie kolejowe przecinały tradycyjne szlaki wędrówek stad bizonów, które przy każdej okazji dziesiątkowali bezlitośni biali łowcy, skuszeni atrakcyjnością finansową handlu skórami. Niekończące się stada bizonów, od których jeszcze do niedawna „równiny były czarne”, zaczęły znikać w zastraszającym tempie. W tej sytuacji naiwna polityka Biura do spraw Indian, polegająca na próbach uspokajania plemion podarkami i doroczną rentą albo nakłaniania ich, by w pokojowy sposób przechodzili do rezerwatów, zawiodła na całej linii. Zresztą nie

mogło być inaczej, bo jak niechętnie przyznała wspomniana komisja, rozwiązaniu problemu indiańskiego przeszkadzał „niedający się opanować konflikt między rasą wyższą i rasą niższą”.

Rzymski Nos i Żołnierze Psy

Na początku Rzymski Nos powstrzymał się od udziału w walce z żołnierzami otoczonymi na Wyspie Beechera. Wielki wojownik czuł, że jego „czary”, które chroniły go przed kulami wroga, straciły swoją moc i nieprędko zdoła je odzyskać. Kiedy jednak młodzi wojownicy zaczęli go oskarżać o tchórzostwo, przestał się wahać. Włożył na głowę swój wojenny pióropusz z jednym rogiem bizona nad czołem, wskoczył na bojowego konia i kazał ludziom ruszać swoim śladem. Potem poprowadził wściekłą szarżę na małą wyspę, gdzie za barykadą z żywych i martwych koni czekali na nich major George Forsyth i pięćdziesięciu jego żołnierzy.

Gromada Siuksów i Czejenów runęła do przodu, strzelając i wydając dzikie okrzyki wojenne. Odpowiedział im gęsty ogień z powtarzalnych karabinów Spencera, w które byli uzbrojeni żołnierze Forsytha. Sześć szybkich salw rozproszyło Indian i zmusiło ich do objechania wyspy. W czasie ostatniego ataku Rzymski Nos wyjechał prosto na ukrytych w krzakach strzelców wyborowych i trafiony w plecy, spadł z konia przed szeregiem swoich wojowników.

Rzymski Nos (1830–1868) urodził się w północnym odłamie Czejenów, w rodzinie pochodzącej z wchłoniętego przez nich plemienia Sutaio. Zasłynął jako największy w swoim czasie wojownik plemienia. Jego indiańskie imię Nietoperz (Sautie) wzięło się stąd, że w bitwie poruszał się lekko i szybko „jak nietoperz szybujący na tle wieczornego nieba”. Biali nadali mu imię Rzymski Nos ze względu na duży orli nos, nadający jego

twarży charakterystyczny wygląd. Mimo że formalnie należał do militarne go stowarzyszenia Wygiętych Włóczy, w latach sześćdziesiątych XIX wieku związał się z grupą Żołnierzy Psów wodza Siwej Brody i szybko stał się ulubionym przywódcą młodych wojowników. Chociaż oficjalnie nie był wodzem, biali, którzy go znali, twierdzili, że dowodził we wszystkich bitwach z udziałem Czejenów. Do walki wkładał zawsze swój sławny pióropusz, sporządzony przez słynnego z tajemnych mocy szamana Czejenów Północnych Białego Byka, znanego także pod imieniem Lód. W młodości Rzymski Nos doznał ponoć wizji na wyspie pewnego jeziora w Montanie, w czasie której ujrzał węża z rogami na głowie. Dlatego pióropusz miał pojedynczy róg bizona nad czołem, a jego ogon z orlich piór ciągnął się aż do ziemi. Był wykonany z materiału nie pochodzącego od białych, bez użycia nici i metalowych elementów. Zgodnie z przepowiednią szamana magiczna moc pióropusza miała chronić jego właściciela przed niebezpieczeństwem tak długo, jak długo powstrzyma się on od jedzenia metalowymi sztućcami i gotowania w metalowych naczyniach.

Stowarzyszenia lub związki wojowników odgrywały ważną rolę wśród Indian z Równin, stając się osią ich codziennego życia. Te najbardziej znane spełniały różne funkcje o charakterze policyjnym i militarnym. Kształtowały ducha współzawodnictwa wśród mężczyzn i mobilizowały do międzyplemiennej rywalizacji w brawurowych wyczynach. Członkowie stowarzyszeń pomagali wprowadzać w życie decyzje rady starszych oraz pilnowali porządku i bezpieczeństwa w obozie, podczas wędrówek, polowań i uroczystości plemiennych. A na wojnie brali udział w najbardziej niebezpiecznych akcjach wojskowych. Każde stowarzyszenie, grupujące najczęściej mężczyzn w tym samym wieku, miało swoją wewnętrzną organizację, prawa, kodeksy honorowe, pieśni, tańce, zawołania wojenne i znaki

rozpoznawcze. Jego członkowie wspólnie wyruszyli na wojnę, wspólnie walczyli, a potem chowali i opłakiwali swoich poległych. Wojownicy poszczególnych związków szli do walki razem, ze swymi przywódcami w roli oficerów. Jeśli w bitwie uczestniczyli członkowie różnych stowarzyszeń, rywalizowali ze sobą, starając się wykazać większą odwagę i zdobyć więcej trofeów. Rzadko zdarzało się jednak, aby do walki szli wszyscy naraz. Oprócz walki bowiem głównymi obowiązkami wojownika były ochrona obozu i polowanie. Poszczególne stowarzyszenia musiały zatem dzielić się zadaniami, aby nie narażać na niebezpieczeństwo całej grupy lub plemienia. Należący do militarnych związków wojownicy tworzyli elitę swoich plemion.

Zwyczaje niektórych stowarzyszeń nie pozwalały ich członkom na wycofanie się z pola walki, nawet w obliczu śmierci, i nakładały na nich obowiązek ratowania zagrożonych towarzyszy niezależnie od niebezpieczeństwa, na jakie sami się narażali. W niektórych plemionach, oprócz stowarzyszeń męskich, istniały także stowarzyszenia kobiece, a nawet dziecięce. Kobiety pełniły również funkcje pomocnicze w niektórych związkach militarnych.

Czejenowie mieli sześć związków wojennych: Związek Napiętej Cięciwy, Wygięte Włócznie, Związek Lisów, Czerwone Tarcze, Szalone Psy i najliczniejsze, stojące najwyżej w hierarchii związków, wojenne stowarzyszenie Żołnierzy Psów (*Hotamitaneo*). To ostatnie od lat trzydziestych XIX wieku skupiało prawie połowę dorosłych mężczyzn i było uważane za najważniejsze i najbardziej wojownicze w całym plemieniu.

Zanim przystąpiono do ostatecznej rozprawy z Indianami na zachodzie Stanów Zjednoczonych, władze w Waszyngtonie próbowały rozwiązać konflikt środkami pokojowymi. Wiele osób w sferach rządzących sympatyzowało z czerwonoskórymi i przed spuszczeniem ze smyczy wojska zamierzało się z nimi

dogadać. Wojna secesyjna dobiegała końca i rząd spodziewał się gwałtownego napływu osadników na Zachód. Potrzebny był zatem nowy traktat pokojowy, który zapewniłby bezpieczeństwo na zachodnich szlakach i raz na zawsze załatwił sporną sprawę ziemi na środkowych Równinach. Komisarze rządowi łudzili się, że nowe porozumienie skłoni łowców bizonów do porzucenia dzikiego trybu życia i spowoduje, że z czasem przekształcą się oni w cywilizowanych rolników.

W październiku 1865 roku przedstawiciele rządu spotkali się nad rzeką Mała Arkansas (*Little Arkansas*) w Kansas z przedstawicielami plemion Komanczów, Kiowów, Kiowa-Apaczów, Arapahów i Czejenów. Rozmowy toczyły się w ciężkiej, lecz przyjaznej i szczerzej atmosferze. Wodzom Czejenów i Arapahów wyjaśniono, że na zawsze będą musieli opuścić ziemię w Kolorado i krainę pomiędzy rzekami Arkansas i Platte, przez którą już biegł szlak dylizansów, a wkrótce dodatkowo miała przechodzić linia kolejowa. Ostatecznie wątpliwości zostały rozwiane i 14 października uroczyście podpisano traktat (*Little Arkansas Treaty*). W ten oto sposób wodzowie Czejenów Południowych oraz Arapahowie Południowi zrzekli się wszelkich roszczeń do Terytorium Kolorado w zamian za rezerwat na południe od Arkansas, na obszarze Kansas przylegającym do Terytorium Indiańskiego, oraz za prawo do wędrówek i polowań na swoich dawnych, niezasiedlonych terenach łowieckich pomiędzy Platte i Arkansas.

Traktat znad Małej Arkansas okazał się jednak mało przydatny jako środek zapobiegający przyszłym wojnom z Indianami. W wyniku poprawki Senatu, który uznał, że żaden rezerwat indiański nie może leżeć w granicach stanu Kansas, Czejenowie i Arapahowie z południa kraju pozostali praktycznie bez konkretnego rezerwatu, a przyznane im prawo

do swobodnego wędrowania po terenach leżących pomiędzy Platte i Arkansas nadal stwarzało groźbę konfliktów z białymi, tym bardziej że zobowiązanie trzymania się z dala od głównych szlaków komunikacyjnych nie mogło być przez nikogo wyegzekwowane. Na domiar złego układu nie zaakceptowało żadne z czejeńskich stowarzyszeń wojennych, szczególnie zaś sprzeciw wyrazili Żołnierze Psy, ze swoimi sławnymi przywódcami: Wysokim Bykiem, Białym Koniem i Bykiem Niedźwiedziem.

Indianom nie podobały się zwłaszcza plany przeprowadzenia linii kolejowej Kansas Pacific do Denver. Czejenowie pragnęli zatrzymać swój kraj nad rzekami Smoky Hill i Republican, gdzie żyli od dawien dawna, i nie chcieli żadnej kolei przecinającej ich tereny łowieckie. Niemniej jesienią i zimą, kiedy zmęczeni walką wojownicy szukali odpoczynku w ciepłych namiotach, przyszłość rysowała się jeszcze dość optymistycznie. Rok 1866 także upłynął pod znakiem względnego spokoju i wbrew groźbom Żołnierzy Psów, prace związane z wytyczeniem nowej linii kolejowej wzdłuż Smoky Hill przebiegały bez zakłóceń. Dopiero rok następny przyniósł nową wojnę i nowe nieszczęścia dla Czejenów Południowych. Ich zwiastunem było pojawienie się na Równinach świeżo utworzonego 7. Pułku Kawalerii USA do ochrony budowanej w Kansas kolei, a człowiekiem, który już wkrótce miał przesądzić o losie plemienia, okazał się niedawny bohater wojny secesyjnej podpułkownik George Armstrong Custer.

W październiku 1867 roku przedstawiciele obu stron spotkali się ponownie, tym razem koło fortu Larned w Kansas, aby podpisać następny traktat (*Medicine Lodge Treaty*). Specjalnie na tę okazję wybudowano wielką wioskę złożoną z ośmiuset pięćdziesięciu tipi, w której rozbiło swe obozy pięć tysięcy Komanczów, Kiowów, Kiowa-Apaczów, Arapahów i Czejenów. Zgromadzenie to opisano jako jedno z „największych

i najbarwniejszych spotkań Indian oraz osób urzędowych, jakie kiedykolwiek odbyło się na Równinach”. Traktat z Medicine Lodge, w którym obie strony zapewniały o swej woli utrzymania pokoju, przewidywał utworzenie dla południowych plemion wielkiego rezerwatu na południe od rzeki Arkansas, na obszarze Kansas przylegającym do Terytorium Indiańskiego.

Samo podpisanie traktatu niczego jeszcze nie oznaczało. Rząd wypełniał warunki porozumienia powoli, a Indianie często nie do końca rozumieli sens swoich zobowiązań, a nawet jeśli je rozumieli, ich wodzowie nie byli w stanie powstrzymać młodych wojowników przed wkraczaniem na wojenną ścieżkę. Ponadto w skomplikowanym świecie kochających niezależność Indian traktaty zawierane przez jednych wodzów nie obowiązywały innych, którzy ich nie podpisali i nie zaakceptowali. Wiele grup Komanczów, Kiowów, Arapahów i Czejenów Południowych nie chciało się wyrzec praw plemiennych do polowań na swoich dawnych łowiskach. Co więcej, niektóre plemiona pielęgnowały zadawnione urazy i nienawiść do białych. Wojowniczy Komancze od lat toczyli bezlitosną wojnę z Teksaszczykami i polowali na nich jak na dzikie zwierzęta, a Czejenowie i Arapahowie wciąż nie mogli zapomnieć o masakrze swoich braci nad Sand Creek. Przez cały rok 1868 na granicach rezerwatu w Kansas trwała wojna podjazdowa. Rozgoryczeni utratą dawnych terenów i coraz powszechniejszym głodem młodzi wojownicy z południowych plemion najeżdżali i palili pojedyncze osady, zabijali też białych, gdziekolwiek ich spotkali. Wojsko próbowało utrzymać porządek w terenie, ale brak doświadczonych żołnierzy, którzy po zakończeniu wojny domowej masowo wracali do życia w cywilu, nie pozwalał na szybkie rozwiązanie problemu.

W tej trudnej sytuacji na oryginalny pomysł wpadł generał Philip Sheridan, dowódca sił zbrojnych na Wielkich Równinach. W sierpniu 1868 roku polecił swojemu adiutantowi z czasów

wojny secesyjnej, trzydziestojednoletniemu majorowi George'owi „Sandy'emu” Forsythowi, zorganizować specjalny pięćdziesięcioosobowy oddział doświadczonych zwiadowców, „pierwszorzędných i twardych ludzi pogranicza”, do wykrywania indiańskich obozów na równinach Kansas, Nebraska i Kolorado. W krótkim czasie Forsyth zebrał grupę typowych łowców bizonów i cywilnych zwiadowców z fortów w Kansas, z których połowę stanowili weterani wojny secesyjnej. Wyznaczył na swojego zastępcę znającego Równiny porucznika Fredericka Beechera i zaangażował jako przewodników dwóch znakomitych pogranicznych zwiadowców: starego Abnera „Sharpa” Grovera i młodego Simpsona „Jacka” Stillwella, po czym zameldował Sheridanowi gotowość do akcji. Wszyscy ochotnicy zostali świetnie wyekwipowani i uzbrojeni w siedmiostrzałowe karabinki Spencera oraz kapiszonowe rewolwery Colta, zaliczane do najlepszej broni tamtej epoki. Ponadto każdy żołnierz miał do dyspozycji sto siedemdziesiąt sztuk amunicji i jeden koc przy siodle. Namiotów nie było. Transport zapasów zapewniały cztery juczne muły, które dźwigały minimalną ilość żywności, w tym trochę kawy i soli, oraz dodatkowe cztery tysiące sztuk amunicji. Młody dowódca oddziału bowiem, chociaż niezbyt doświadczony w walkach na Równinach, zdawał sobie sprawę, że chcąc doścignąć Indian, musi podróżować z jak najmniejszym obciążeniem.

Oddział Forsytha wyruszył z fortu Hayes w środkowym Kansas 29 sierpnia. 5 września, po ośmiu dniach bezowocnego zwiadu, żołnierze wrócili do fortu Wallace przy granicy z Kolorado. Pięć dni później doszły ich słuchy o napadzie Indian na przejeżdżający w pobliżu emigrancki konwój, ruszyli więc ich tropem na północ i 16 września dotarli w pobliże rzeki Arickaree, dopływu górnej Republican w północno-wschodnim Kolorado. Racje żywnościowe były na ukończeniu, a konie

mocno wyczerpane, mimo to Forsyth postanowił „znaleźć wroga i walczyć z czerwonoskórymi bez względu na trudności”. Ślady pozostawione przez wyprawę Indian wskazywały, że w pobliżu znajduje się duża wioska, a może nawet kilka wsi.

Zwiadowcy rozbili obóz w wąskiej piaszczystej dolinie Arickaree na południowym brzegu prawie wyschniętej rzeki, niemal naprzeciwko długiej i wąskiej wysepki porośniętej wysoką trawą i krzakami. Sprawne oczy Grovera i Stillwella szybko oceniły, że ta mała wyspa jest jedynym miejscem w okolicy nadającym się do ewentualnej obrony. Żołnierze Forsytha nie wiedzieli, że niedaleko ich obozowiska, w dole Arickaree, znajdują się dwie wioski Siuksów oraz jedna Czejenów i Arapahów. Większość namiotów w obozie Czejenów należała do wojowniczych i agresywnych Żołnierzy Psów pod wodzą Wysokiego Byka i Białego Konia. Znajdował się wśród nich także Rzymski Nos, który choć nie był członkiem stowarzyszenia, podzielał jego wojownicze nastawienie i od czasu Sand Creek często gościł u Żołnierzy Psów.

Rankiem 16 września kilku Siuksów wytropiło nadjeżdżającą kolumnę Forsytha i szybko powiadomiło obozy o pojawieniu się żołnierzy. Jeszcze tego samego dnia na spotkanie białym wyruszyło około sześciuset wojowników. Plany Indian pokrzyżowało jednak ośmiu młodych zapaleńców, którzy nocą wymknęli się z wojennego obozu i nad ranem 17 września spadli na stado wojskowych koni na brzegu Arickaree. Udało im się porwać parę sztuk zwierząt, ale swoim nieodpowiedzialnym wybrykiem zaalarmowali żołnierzy, którzy przenieśli się na wyspę i napędce zorganizowali obronę. Dwóch lub trzech, wśród nich Jack Stillwell, pozostało na brzegu rzeki, kryjąc się wśród wysokich traw, skąd mieli lepsze pole ostrzału.

Kiedy niedługo potem nadciągnęły siły główne Indian, Forsyth i jego ludzie, ukryci w wykopanych dziurach lub za ciałami swoich koni, byli gotowi do walki. Wojownicy ruszyli

ławą od południa wzdłuż wyschniętego koryta rzeki, ale deszcz kul z powtarzalnych spencerów ostudził nieco ich odwagę. Szarża ominęła wyspę z obu stron, a kilku największych śmiałków spadło z koni tuż przed pozycjami zwiadowców. Część Indian zsiadła z koni i ukryła się na obu brzegach rzeki, ostrzeliwując wyspę z łuków i karabinów. Pozostali krążyli konno dookoła poza zasięgiem strzałów i raz po raz próbowali gwałtownie atakować. Żołnierze strzelali nieustannie, ale co jakiś czas któryś z nich padał ranny lub zabity. Tu i ówdzie dały się słyszeć krzyki zdesperowanych ludzi: „Uciekajmy stąd i nie dajmy się zabić jak psy!”, lecz major Forsyth wyjął rewolwer i zagroził, że zabije każdego, kto opuści swoją pozycję. Z bronią w ręku obchodził poszczególne stanowiska, aż indiańska kula zraniła go w prawe ramię. Chwilę później druga kula zgruchotała mu lewą nogę. Wtedy lekarz oddziału doktor John Mooers odciągnął go w bezpieczne miejsce i opiekował się nim, dopóki sam nie padł, śmiertelnie ranny w głowę.

Kolejne szarże Indian załamywały się w ogniu spencerów, straty rosły, więc wodzowie kazali wojownikom zsiąść z koni i nacierać pieszo, strzelając z bliska. Walka przerodziła się niemal w pojedynkę snajperów, a sytuacja zwiadowców zdawała się śmiertelną pułapką. Jeden z nich zapamiętał słowa majora Forsytha, który po otrzymaniu trzeciego postrzału, tym razem w głowę, zawołał: „Nie możemy liczyć na żadną ludzką pomoc, więc jeśli Bóg nam nie pomoże, nie ma dla nas ratunku!”. Niedługo potem Indianie zastrzelili ostatniego konia na wyspie i któryś z nich krzyknął po angielsku: „Zabiliśmy wam ostatniego konia, teraz pozabijamy was wszystkich!”.

Rzymski Nos pozostał w obozie i początkowo nie uczestniczył w walce, ponieważ znaki były dla niego niepomyślne. Kilka dni wcześniej gościł w wiosce Siuksów i przez nieuwagę zjadł chleb upieczony na żelaznej patelni, co oznaczało, że jego wojenny pióropusz stracił magiczną moc, która chroniła go w wielu

poprzednich bitwach. Bał się więc, że jeśli pójdzie teraz do walki, niechybnie zginie, a na długotrwałe obrzędy mające przywrócić moc pióropuszowi nie było czasu. Kiedy jednak zaczęły do niego dochodzić wieści o rosnących stratach wśród Indian, zwyciężył instynkt wojownika i w połowie dnia Rzymski Nos pojawił się na wysokim brzegu Arickaree. Wkrótce podjechali do niego Wysoki Byk oraz Biały Koń i zaczęli go namawiać, aby poprowadził wojowników do decydującej szarży. A towarzyszący im młody Żołnierz Pies o imieniu Biały Odwrotny zaczął drwić: „Oto Rzymski Nos, człowiek, na którego wszyscy liczymy, kryje się na brzegu rzeki! Czy nie widzisz, jak giną twoi ludzie? Wszyscy oni wierzą, że należą do ciebie, i zrobią wszystko, co im karzesz. A ty tu siedzisz i kryjesz się za wzgórzem!”.

Usłyszawszy to Rzymski Nos, który już czuł się martwym człowiekiem, zawiązał pod brodą rzemyki pióropusza i ruszył do swej ostatniej szarży. Ukryci w trawie strzelcy Stillwella usłyszeli narastający tętent koni i kiedy gromada Indian mijała ich stanowisko, jeden z nich oddał z bliska strzał do wojownika jadącego na czele. Rzymski Nos zachwiał się w siodle i spadł ciężko na nadrzeczny piach. Znalazł jeszcze na tyle siły, aby odczołgać się w krzaki, skąd wzięli go wojownicy na ręce i zanieśli do obozu. Wieczorem Rzymski Nos zmarł. Był jednym z dziewięciu Indian, którzy padli w bitwie.

Czejenowie zaprzestali dalszych ataków, ale Siuksowie z Arapahami nie chcieli dać za wygraną. Żołnierze Forsytha zdołali jakoś doczekać zmroku, lecz bilans dnia wyglądał niewesoło. Dowódca oddziału leżał ciężko ranny. Czterech innych ludzi, wśród nich doktor Mooers i porucznik Beecher, zginęło lub dogorywało. Dziewiętnastu było rannych, w tym dwóch śmiertelnie, a kilku bardzo ciężko. Straty stanowiły więc czterdzieści pięć procent spośród pięćdziesięciu jeden żołnierzy. Najbliższy posterunek wojskowy znajdował się w formie

Wallace odległym o dwieście kilometrów i ludzie Forsytha stracili wiarę w jakąkolwiek pomoc. W końcu zgłosiło się dwóch ochotników, Stillwell i stary traper Pierre Trudeau, którzy dobrze znali okolicę, i oświadczyli, że spróbują sprowadzić odsiecz. Szczęście im sprzyjało. Nocą przekradli się przez linie Indian i po pięciu dniach morderczy, poruszając się głównie nocami, dotarli do fortu Wallace i zawiadomili jego dowódcę, podpułkownika Henry'ego Bankheada, o losie swoich towarzyszy.

Po śmierci Rzymskiego Nosa ataki Indian na wyspę zdecydowanie osłabły. Wojownicy, nie chcąc ryzykować dalszych strat, postanowili wziąć białych głodem i nękali ich tylko strzałami z ukrycia, często celnymi. Otoczeni niedobitkowo cierpieli katusze, bo brakowało wody i żywności, a mięso zabitych koni szybko zgniło i nie nadawało się do jedzenia. Wreszcie dziewiątego dnia oblężenia przybył im na pomoc sprowadzony przez Stillwella oddział czarnych żołnierzy z 10. Pułku Kawalerii USA, których Indianie ze względu na kręcone włosy nazywali „bizonimi żołnierzami” (*Buffalo Soldiers*), z kapitanem Louistem Carpenterem na czele. Męczarnie ludzi Forsytha dobiegły końca. Wyspę, na której Indianie oblegali żołnierzy, nazwano później na cześć poległego młodego oficera Wyspą Beechera (*Beecher Island*), a sama bitwa przeszła do historii wojen indiańskich jako „bitwa na wyspie Beechera”.

Chociaż żołnierze majora Forsytha nie dali się wybić do nogi przeważającym siłom Indian, eksperyment z doborową, acz nieliczną grupą „pogromców Indian” uznano za chybiony i oddział rozwiązano. Z pięćdziesięciu jeden ludzi zginęło lub odniosło rany dwudziestu ośmiu, a ich dowódca przeleżał w szpitalu dwa lata. „Ci Indianie zasługują na porządne baty – stwierdził potem wściekły Sheridan. – Ich przywódców należy

powywieszać, konie powystrzelać, a wszelkie dobra zniszczyć tak, aby stali się nędzarami!”.

Po wyleczeniu ran major Forsyth wrócił do służby i awansował do stopnia honorowego generała brygady. Indianie nie znali takich zaszczytów i uhonorowali swego poległego wodza zgodnie z własnym obyczajem. Kiedy Rzymski Nos wyruszył do Krainy Wiecznych Łowów, umieścili jego ciało na drewnianym rusztowaniu pośród innych zmarłych na indiańskim cmentarzu na brzegu rzeki Republican. Prawdopodobnie jego szczątki obrabowali i zbeczcęcili szukający pamiątek żołnierze Carpentera w drodze powrotnej do fortu Wallace. Ludzkie hieny zostawiły ciało „dobrego Indianina” na gołej prerii, a gdy nadeszła zima, ptaki ścierwojady dokładnie je oczyściły, pozostawiając kości do wyblaknięcia na słońcu i deszczu.

W czasie bitwy na Wyspie Beechera podpułkownik George Custer był w swoim domu w Michigan, gdzie odbywał karę rocznego zawieszenia za wykroczenia służbowe popełnione w czasie kampanii 1867 roku. Tydzień po bitwie Forsytha pilny telegram generała Sheridana wezwał go z powrotem do służby na Równinach. Nie czekając na formalne rozkazy z Waszyngtonu odwołujące go z przymusowego urlopu, Custer wskoczył do najbliższego pociągu i ruszył do Kansas. 30 września przy śniadaniu w forcie Hayes Sheridan dał mu wyraźnie do zrozumienia, co ma zrobić: „Custer, polegam na tobie we wszystkich sprawach. Zamierzam wysłać cię na ekspedycję bez wyraźnych rozkazów, pozostawiając ci całkowicie wolną rękę”.

W końcu listopada 1868 roku Custer poprowadził 7. Pułk Kawalerii USA przez zaśnieżone pustkowie dzisiejszej Oklahomy na obozy południowych plemion w dolinie rzeki Washita. Wiódł ze sobą duży tabor z zaopatrzeniem, jedenaście kompanii kawalerzystów, oddział zwiadowców z legendarnym

„California Joe” Milnerem oraz grupę zaprzyjaźnionych Indian z plemienia Osagów, razem ponad dziewięciuset ludzi, świetnie wyposażonych i uzbrojonych po zęby. O świcie 27 listopada żołnierze wynurzyli się ze śnieżnej zamieci i przy dźwiękach hymnu bojowego swojego pułku, skocznego marszu *Garry Owen*, spadli niespodziewanie na obóz Czejenów Południowych wodza Czarnego Kotła. W ciągu kilku minut zabili stu trzech Indian, w tym zaledwie jedenastu wojowników, i wzięli do niewoli ponad pięćdziesiąt kobiet z dziećmi. Wśród zabitych byli Czarny Kocioł i jego żona ocalała z napadu Chivingtona nad Sand Creek, zastrzeleni gdy na jednym koniu próbowali przedostać się przez rzekę. W krwawej rzezi żołnierze Custer wybili stado ośmiuset siedemdziesięciu pięciu koni znajdujących się w zagrodzie i spalili cały dobytek Indian. Wycofali się dopiero wtedy, gdy na pomoc Czejenom przybyli Indianie z innych obozów w dole rzeki.

Wiosną 1869 roku większość Czejenów Południowych, porażonych klęską Czarnego Kotła nad Washitą i bezwzględnością Custer, poddała się i osiadła w rezerwacie. Tylko Wysoki Byk i jego Żołnierze Psy odmówili kapitulacji i odeszli na północ od Republican, gdzie dołączyli do wojujących Siuksów. W maju Wysoki Byk stoczył kilka nierozstrzygniętych potyczek ze ścigającym go wojskiem. 28 maja na linii kolejowej Kansas Pacific koło Fossil Creek w Kansas jego wojownicy zerwali ponad trzy kilometry torów, a gdy pociąg się wykoleił, zabili dwóch i ranili czterech ludzi z obsługi. Latem Wysoki Byk zamierzał udać się ze swoimi Żołnierzami Psami na północ do kraju Siuksów, ale 11 lipca jego obóz nad Summit Springs w Kolorado zaatakowało znienacka trzystu kawalerzystów i zwiadowców z plemienia Paunisów pod wodzą majora Eugene’a Carra. W bitwie zginęło pięćdziesięciu trzech Czejenów i Siuksów, w tym ośmiu wodzów, wśród nich Wysoki Byk. Jedni twierdzą, że zabił go

dowodzący Paunisami major Frank North, inni przypisują jego śmierć słynnemu później zwiadowcy Williamowi „Dzikiemu Billowi” Cody’emu, a zwiadowcy Paunisów zaprzeczają i jednym, i drugim.

Ta porażka zakończyła wojnę Czejenów z białymi na środkowych Równinach. Wprawdzie małe grupy Żołnierzy Psów wciąż powracały na swoje dawne tereny łowieckie pomiędzy rzekami Platte i Arkansas i każdego lata najeżdżały Teksas aż do Rio Grande, ale ich opór na południu dobiegł końca i do 1874 roku na tym obszarze panował względny spokój.

Wojna Czerwonej Chmury

Przybycie pułkownika Henry'ego Carringtona i jego siedmiuset żołnierzy zburzyło radosny nastrój czerwcowego dnia w forcie Laramie. Czerwona Chmura, wódz Siuksów Oglala, powitał pułkownika wybuchem wściekłości. Wybitny wojownik i świetny mówca zakrzyknął potężnym głosem, że oto przybył wódz białych, który „ukradł jego kraj, zanim czerwony człowiek zdążył powiedzieć tak lub nie”.

Wzburzenie Czerwonej Chmury dotyczyło niedawno wynegocjowanego z Siuksami traktatu o poprowadzeniu przez ich kraj szlaku Bozemana, wiodącego przez Wyoming do Virginia City i złotodajnych pól Montany. Region, przez który miał wieść nowy szlak, znany jako kraj nad rzeką Powder, był ostatnim obfitującym w zwierzynę łowną terenem polowań dla północnych plemion Siuksów, Czejenów i Arapahów, nic więc dziwnego, że Czerwona Chmura nie chciał zaakceptować układu. Rzuciwszy swoje gniewne oskarżenie, dosiadł konia i w milczeniu opuścił fort. Jeszcze tej nocy on i jego wojownicy zwinęli obóz i zniknęli w drodze na północ, odmawiając zgody na dalsze ustępstwa.

W 1865 roku, po klęsce Konfederacji, na zachód kraju przerzucono tysiące żołnierzy, którzy do niedawna jeszcze doświadczali wszystkich okropności wojny domowej. Zarówno wojskowi, jak i cywile ze zgrozą patrzyli na nowe krwawe ślady pozostawione przez wojujących Indian. „W ciągu paru najbliższych lat – stwierdził w 1866 roku jeden z wyższych oficerów armii – staniemy wobec alternatywy: albo całkowite

wyniszczenie Indian, albo prowadzenie z nimi nieustannej walki”. Dla wojskowych kwestia Indian na Zachodzie miała wymiar wyłącznie militarny i należało rozwiązać ją w jedyny możliwy sposób, ale to wymagało swobody działania. Zgodnie z takim podejściem dowodzący armią na obszarze Wielkich Równin generał Sherman wydał swojemu podwładnemu, generałowi Sheridanowi, rozkaz, aby doprowadził „problem indiański do ostatecznego rozwiązania”.

Dla osiągnięcia tego celu Sherman planował utworzenie na preriach wolnego od Indian pasa ziemi o szerokości sześciuset kilometrów pomiędzy rzekami Platte i Arkansas oraz wybudowanie linii posterunków wojskowych od fortu Laramie we wschodnim Wyomingu do złotodajnych pól Virginia City w Montanie. Stary przyjaciel Indian Jim Bridger wytyczył szlak, który omijał najcenniejsze tereny łowieckie w kraju nad rzeką Powder, na wschód od gór Bighorn, ale poszukiwacz złota i handlarz John Bozeman znalazł krótszą i wygodniejszą drogę. Ten nowo odkryty szlak Bozemana (*Bozeman Trail*) prowadził przez obfitujące w świeżą wodę i bujną trawę tereny zagwarantowane Indianom traktatem podpisanym w forcie Laramie w 1851 roku, na które żaden biały nie miał wstępu.

W marcu 1865 roku Kongres oficjalnie zdecydował o budowie dróg w kraju północnych Indian i upoważnił armię do objęcia ich ochroną wojskową. Jedną z tych dróg był właśnie szlak Bozemana. Wielka ofensywa Indian na początku 1865 roku, będąca następstwem masakry Czejenów nad Sand Creek, skłoniła dowództwo armii do zorganizowania serii ekspedycji karnych przeciwko plemionom z Równin. W działaniach na wschód od Gór Skalistych i na południe od Arkansas miało wziąć udział dwanaście tysięcy żołnierzy uformowanych w osiem samodzielnych kolumn. Plan przewidywał, że trzy z nich, pod dowództwem generała Patricka Connora, wyruszą do samego serca kraju północnych

plemion, aby uspokoić Indian i zakończyć ich niszczycielskie najazdy na szlaku Bozemana.

Zanim kampania ruszyła, skapitulowały główne siły konfederatów i wojna secesyjna wkrótce dobiegła końca. Ogromne trudności z zaopatrzeniem, zła pogoda, ciężkie warunki terenowe, brak dostatecznej liczby mostów pontonowych i bunty oddziałów ochotniczych domagających się demobilizacji zredukowały liczebność żołnierzy biorących udział w operacji do mniej niż sześciu tysięcy. Ostatecznie w lecie udało się wysłać w pole tylko trzy kolumny generała Connora, liczące łącznie dwa tysiące sześciuset ludzi, w tym prawie dwustu indiańskich zwiadowców z plemion Paunisów, Winnebagów i Omahów. Dwie z nich, jedna pod dowództwem samego Connora, druga pod komendą podpułkownika Samuela Walkera, nacierały z fortu Laramie w górę rzeki Powder, a trzecia, pułkownika Nelsona Cole'a, z Omaha w górę rzeki Loup. Wszystkie one miały się spotkać około 1 września nad strumieniem Rosebud w Montanie, po zachodniej stronie słynnych Czarnych Wzgórz (*Black Hills*). Wydając swoim dowódcom rozkaz do wymarszu, generał Connor nakazał im „nie przyjmować od Indian żadnych propozycji pokoju lub poddania się, lecz atakować i zabijać wszystkich płci męskiej powyżej dwunastego roku życia”.

Przeprowadzona z wielkim wysiłkiem w okresie od 20 czerwca do 7 października ekspedycja Powder River (*Powder River Expedition*) zakończyła się porażką. Co prawda Paunisom Connora udało się wybić 16 sierpnia nad rzeką Powder oddział dwudziestu czterech Czejenów, a 29 sierpnia jego żołnierze zniszczyli nad rzeką Tongue duży obóz Arapahów Północnych wodza Czarnego Niedźwiedzia, zabijając ponad pięćdziesięciu Indian i siedemset pięćdziesiąt koni, ale pozostałe dwie kolumny Cole'a i Walkera zawiodły na całej linii. Nie mając żadnego doświadczenia w walkach z Indianami, pozbawione

dobrych przewodników, straciły one większość koni, sprzętu i zapasów, ledwo unikając katastrofy. Connor został odwołany do Utah, a jego sława mocno ucierpiała, gdy okazało się, że nadmierne koszty operacji niemal doprowadziły armię do bankructwa.

Jednocześnie z Connorem latem 1865 roku wyruszyła na północ pod dowództwem emerytowanego podpułkownika Jamesa Sawyera ekspedycja, której celem było opisanie szlaku i dokonanie pomiarów potrzebnych do budowy nowej drogi z Missouri do Montany. Grupa dotarła do rzeki Tongue, gdzie w okresie od 31 sierpnia do 13 września stała się obiektem ataków Arapahów Północnych, którzy chcieli sobie zrekompensować straty poniesione w niedawnej walce z Connorem. Po dwóch tygodniach potyczek i negocjacji Indianie w końcu odeszli, a wyprawa, straciwszy tylko sześciu ludzi, dotarła 12 października do Virginia City. Raport Sawyera, oparty na dokładnych pomiarach głównego mierniczego ekspedycji Lewisa Smitha, trafił pod obrady Kongresu i stał się podstawą dalszych działań na szlaku Bozemana.

Wiosną 1866 roku rząd wysłał swojego komisarza Edwarda Taylora do fortu Laramie, aby wynegocjował z Siuksami i Czejenami Północnymi nowy traktat, który dałby białym prawo swobodnego przejazdu szlakiem Bozemana. Nie czekając jednak na zgodę Indian, w maju Waszyngton skierował kolumnę wojska pod dowództwem pułkownika Henry'ego Carringtona do kraju nad rzeką Powder z zadaniem wybudowania łańcucha czterech fortów mających ochraniać podróżnych na tym szlaku. Kolumna składała się z około siedmiuset żołnierzy, w większości z 18. Pułku Piechoty USA, dwustu sześćdziesięciu cywilów, w tym żon i dzieci wojskowych, oraz dwustu dwudziestu wozów zaprzężonych w muły.

Siły Carringtona dotarły do fortu Laramie 13 czerwca, w możliwie najgorszym dla nich terminie. Poinformowany o celu ich przybycia wódz Siuksów Czerwona Chmura natychmiast zerwał układy prowadzone z Taylorem i razem ze swoimi wojownikami w gniewie opuścił fort, grożąc, że nigdy nie odda białym kraju nad Powder i nie pozwoli im tamtędy podróżować. Czerwona Chmura był głównym rzecznikiem kilku plemion Siuksów i większość Indian opowiedziała się za nim. Nie poparł go natomiast jego główny konkurent Cętkowany Ogon, wódz Siuksów Brulé, zwolennik pokoju i swobodnego przemieszczania się białych szlakiem Bozemana. Po odjeździe przedstawicieli frakcji wojennej obrady w forcie Laramie toczyły się nadal, ale już w znacznie mniejszym gronie. A w następnych miesiącach większość młodych wojowników Brulé, którzy nie podzielali kapitulanczej postawy Cętkowanego Ogona, i tak przyłączyła się do Czerwonej Chmury.

Wódz Czerwona Chmura, czyli Makhpiya-luta (1822–1909), urodził się w widłach rzeki Platte w Nebrasce jako członek najpotężniejszego w plemieniu Oglala klanu Węza. Choć nie pochodził z rodu dziedzicznych wodzów, wybił się na czoło Oglalów dzięki swoim zdolnościom i sukcesom wojennym. Z powodzeniem walczył z wrogimi plemionami Paunisów, Wron, Arikarów i Ute. Opowiadano, że kiedy pewien Ute topił się w rzece, Czerwona Chmura wskoczył do wody i wyciągnął go za włosy na brzeg, a potem z zimną krwią oskalpował. Słynął z odwagi, ale też wyjątkowego okrucieństwa, wskutek czego stał się postrachem sąsiednich plemion. W sierpniu 1854 roku, już jako uznany wódz wojenny, wziął ze swoimi Oglalami udział w bitwie z porucznikiem Grattanem w pobliżu fortu Laramie. W lipcu 1865 roku walczył z żołnierzami porucznika Caspara Collinsa o most na Platte, a potem z ekspedycją generała Connora w kraju nad rzeką Powder.

Wyprawa Carringtona, prowadzona przez starego Jima Bridgera, po krótkim postoju opuściła 17 czerwca fort Laramie i ruszyła dalej w kierunku szlaku Bozemana. W okresie od lipca do końca 1866 roku ludzie Carringtona wybudowali dla ochrony podróżujących na Zachód osadników trzy forty: Reno, Phil Kearny i C.F. Smith. To poważne naruszenie terytorium Indian bezpośrednio doprowadziło do konfliktu nazwanego później wojną Czerwonej Chmury. Siuksowie i ich sprzymierzeńcy byli skłonni przepuszczać zmierzających do Idaho i Oregonu emigrantów, którzy nie czynili większych szkód, ale nie mogli tolerować stałej obecności wojska na swoich ulubionych łowiskach wzdłuż szlaku Bozemana.

Solą w oku Indian stał się przede wszystkim fort Phil Kearny wybudowany nad strumieniem Big Piney w Wyomingu, i to przeciwko niemu skierowali większość swoich ataków. Już na początku lipca, parę dni po wkroczeniu ludzi Carringtona do doliny Powder, Siuksowie Oglala dali wojsku ostrzeżenie, zabijając kilku żołnierzy nad strumieniem Crazy Women, dopływem Powder. Od tego czasu wojownicy Czerwonej Chmury byli stałymi gośćmi w okolicach fortu Phil Kearny. Do końca roku w jego pobliżu stoczono pięćdziesiąt jeden walk i potyczek. Indianie atakowali mniejsze oddziały wojska i prawie wszystkie karawany wędrujące szlakiem Bozemana, trzymając fort w stanie oblężenia. Tylko od 1 sierpnia do 1 grudnia 1866 roku w pobliżu tej placówki Siuksowie zabili sto pięćdziesiąt cztery osoby i ranili dwadzieścia, poza tym uprowadzili trzysta sześć sztuk bydła, trzysta cztery muły i sto sześćdziesiąt jeden koni. W ciągu dwóch lat w rejonie Phil Kearny stoczono więcej walk niż w okolicy jakiegokolwiek innego posterunku wojskowego na pograniczu indiańskim.

W grudniu 1866 roku, po kilku miesiącach nękania przez Indian wojska i podróżnych, poprowadził przeciwko nim większy oddział kapitan William Fetterman. Podobno już

wcześniej wyśmiewał on ostrożność Carringtona i wypowiadał się pogardliwie o Siuksach. A kiedy w końcu sam ruszył z osiemdziesięcioma ludźmi na pomoc grupie drwali zaatakowanej przez Indian w pobliżu fortu Phil Kearny, 21 grudnia Siuksowie i ich sprzymierzeńcy wciągnęli jego żołnierzy w zasadzkę i wszystkich zabili.

Wkrótce po rozpoczęciu budowy fortu Phil Kearny, w sierpniu 1866 roku, pułkownik Carrington wyekspediował dalej na północ oddział kapitana Nathaniela Kinneya z zadaniem wzniesienia fortu C.F. Smith, który miał być najbardziej wysuniętą na północ i najbardziej oddaloną od siedzib białych placówką na szlaku Bozemana. Fort stanął w samym sercu kraju plemienia Wron, na wysokim brzegu rzeki Bighorn, w pobliżu przeprawy promowej na drodze wiodącej do osiedla górników w Virginia City. Podobnie jak Phil Kearny, niemal od początku znalazł się pod obserwacją Siuksów i ich sojuszników, chociaż początkowo Indianie nie podejmowali poważniejszych akcji przeciwko jego załodze. Po wtargnięciu żołnierzy Carringtona do kraju nad Powder Siuksowie i Czejenowie, od niepamiętnych czasów wrogowie Wron, zawarli z nimi rozejm, aby skoncentrować wysiłki na wspólnej walce z białymi.

Wiosna i początek lata 1867 roku upłynęły załodze fortu C.F. Smith we względnym spokoju, który przerwała tylko wiadomość o śmierci Johna Bozemana, zabitego przez wyprawę Czarnych Stóp 20 kwietnia nad rzeką Yellowstone w drodze do fortu z osiedli górniczych w Montanie. W czerwcu kapitan Kinney wrócił do Phil Kearny, a jego miejsce zajął kapitan Thomas Burrows, pod którego okiem zaczęto przygotowania do koszenia trawy i zbiórki drewna na zimę. Nie było to zadanie całkiem bezpieczne, o czym może świadczyć fakt, że w roku poprzednim, wkrótce po rozpoczęciu budowy fortu, Indianie zabili przy koszeniu trawy dwóch żołnierzy Kinneya.

Załogi fortów na szlaku Bozemana nie wiedziały, że po zorganizowanym w końcu lipca nad rzeką Little Bighorn dorocznym Tańcu Słońca Siuksowie i Czejenowie Północni postanowili zniszczyć forty Phil Kearny i C.F. Smith, ale nie mogli się zdecydować, od którego zacząć. Ostatecznie wybrali kompromis i 31 lipca około pięciuset do sześciuset wojowników, w większości Czejenów i Siuksów Minneconjou, wyruszyło przeciwko fortowi C.F. Smith, a tysiąc innych, głównie Oglalów z Czerwoną Chmurą na czele, wyprawilo się na fort Phil Kearny.

W lipcu oba posterunki otrzymały silne wzmocnienie i nowych dowódców. Komendę w forcie Phil Kearny objął pułkownik John Smith z 27. Pułku Piechoty USA, a fortem C.F. Smith miał zawiadować jego zastępca, podpułkownik Luther Bradley. Bradley przybył nad rzekę Bighorn 23 lipca z posiłkami, które podniosły stan garnizonu do trzystu pięćdziesięciu ludzi, i co ważniejsze – przywiózł ze sobą nowe, odtylcowe karabiny Springfielda oraz metalowe naboje. Umożliwiło to szybkie dozbrojenie żołnierzy starej załogi fortu.

Wojownicy indiańscy, którzy wybrali za cel ataku fort C.F. Smith, mieli do przebycia zaledwie czterdzieści kilometrów, dotarli więc w jego pobliże już rankiem 1 sierpnia. Tego dnia grupa dwunastu cywilnych kosiarzy i ochraniający ją oddział dziewiętnastu żołnierzy pod komendą podporucznika Sigismunda Sternberga wyruszyły na ulubioną łąkę, oddaloną o cztery kilometry na północny wschód od posterunku. Żołnierze byli dobrze uzbrojeni w nowe springfieldy i zaopatrzeni w amunicję, niektórzy dysponowali także kapiszonowymi rewolwerami. Większość cywilów miała powtarzalne spencery i karabiny Henry'ego oraz rewolwery. Dla bezpieczeństwa kosiarze i żołnierze już wcześniej wznieśli czworokątne drewniane ogrodzenie z pni drzew i gałęzi wierzbowych o bokach około trzydziestu metrów na wypadek niespodziewanego ataku Indian.

Indianie pozwolili białym skosić trawę i dopiero gdy zaczęli oni ładować ją na wozy, ostrzelali ich i zaatakowali małymi grupami. Cywile i ich wojskowa eskorta schronili się w zagrodzie i zajęli mocne pozycje obronne za barykadą z pni. Postąpili tak wszyscy z wyjątkiem porucznika Sternberga, który uważał, że dowódca nie powinien się kryć, i stanął wyprostowany za plecami swoich ludzi. Długo nie wytrzymał w tej pozycji, bo już na początku walki przyplącił nieostrożność życiem (trafiła go w głowę indiańska kula). Po jego śmierci dowództwo przejął jeden z cywilów, Al Colvin, były kapitan unionistów podczas wojny secesyjnej. Swoim doświadczeniem i opanowaniem szybko przywrócił porządek wśród obrońców, przydały się także jego celne oko i szybkostrzelny karabin Henry'ego.

Nieprzerwany ogień z nowych karabinów nie tylko ogromnie zaskoczył Indian, ale też nie pozwalał im zbliżyć się do obrońców na odległość szturmową. Przez większość dnia trzymali zagrodę pod ciągłym ostrzałem, głównie z łuków, trzykrotnie także ruszali do ataku, dwa razy konno i raz pieszo, ale za każdym razem zatrzymywała ich nieprzekraczalna ściana kul. Dopiero późnym popołudniem, kiedy z fortu nadciągnęła odsiecz z działem, dali za wygraną i odjechali na wschód.

Bitwa pod fortem C.F. Smith, nazwana „walką na polu siana” (*Hayfield Fight*), odbiła się głośnym echem wśród białych. Grupa trzydziestu cywilów i żołnierzy Ala Colvina zwyciężyła przeciwnika dwadzieścia razy liczniejszego, broniąc się zażarcie przez sześć godzin i ponosząc niewielkie straty (trzech zabitych i trzech rannych). Straty Indian, być może zaniżone, oszacowano na ośmiu zabitych i trzydziestu rannych. Wszystkich poległych, z wyjątkiem jednego, ich towarzysze zabrali z pola walki i odwieźli do obozu nad Little Bighorn.

Następnego dnia, 2 sierpnia, podobną bitwę stoczyli w pobliżu fortu Phil Kearny Siuksowie Czerwonej Chmury, którzy zaatakowali oddział żołnierzy kapitana Jamesa Powella i cywilnych woźniców zwożących drewno do fortu. Biali bronili się zza barykady z czternastu skrzyń wozów, które zdjęli z trakcji jezdnych i ustawili w formie przestronnego czworokąta, dającego schronienie ludziom i mułom pociągowym. Podobnie jak żołnierze z fortu C.F. Smith, piechurzy Powella byli uzbrojeni w nowe odtylcowe karabiny Springfielda i sześciostrzałowe kapiszonowe rewolwery, mieli także dużo amunicji.

Atak Siuksów zaczął się od odpędzenia stada mułów i rozproszenia białych na kilka mniejszych grup. Niektórzy z nich uciekli do fortu, ale Powell, jego zastępca porucznik John Jennes oraz dwudziestu sześciu żołnierzy i czterech cywilów skryli się za barykadą z wozów. Wojownicy Czerwonej Chmury zastosowali taką samą taktykę jak Czejenowie i Siuksowie Minneconjou dzień wcześniej na „polu siana”: najpierw ostrzelali obrońców z łuków i nielicznych karabinów, a potem przypuścili zmasowaną szarżę konną. Powtarzali ten manewr kilkakrotnie, ale wszystkie ich ataki załamywały się w ogniu nowych springfieldów. Bitwa, nazwana potem „bitwą na barykadzie z wozów” (*Wagon Box Fight*), trwała cztery i pół godziny. Zginął w niej porucznik Jennes i pięciu szeregowców, a dwóch odniosło rany. Powell oszacował straty Indian na nie mniej niż sześćdziesięciu zabitych i stu dwudziestu rannych. Walkę zakończyło przybycie oddziału ratunkowego z haubicą, która wypłoszyła Siuksów i zmusiła ich do odwrotu.

Indianie nie uznali obu tych sierpniowych bitew za porażki, a ich wynik nie wpłynął negatywnie na ich morale i stosunek do wojny. Chociaż ponieśli większe straty niż zwykle, zdobyli wiele koni i mułów, a przede wszystkim wystraszyli żołnierzy z fortów na szlaku Bozemana. Białych skuteczna obrona w obu

przypadkach także podniosła na duchu. Pokazała, że mimo wybicia oddziału Fettermana Siuksowie i Czejenowie nie są niezwyciężeni i że nawet walka z przeważającą liczbą Indian może zakończyć się sukcesem, jeśli żołnierze są odpowiednio uzbrojeni i zdyscyplinowani.

Wojna, w której po obu stronach przelano wiele krwi, trwała ze zmiennym szczęściem ponad dwa lata. Zakończył ją ostatecznie traktat zawarty w forcie Laramie, wynegocjowany w kwietniu, ale sfinalizowany w listopadzie 1868 roku. Rząd uznał, że utrzymywanie dużych i kosztownych sił wojskowych na szlaku Bozemana nie opłaca się w sytuacji, gdy Indianie są ciągle wystarczająco silni, aby blokować swobodne korzystanie z tej drogi. Czerwona Chmura i popierający go wodzowie nie wykazali najmniejszej woli ustępstw i twardo obstawali przy likwidacji fortów. W rezultacie 19 maja 1868 roku dowództwo podjęło decyzję o wycofaniu wojska ze szlaku Bozemana, a w czerwcu–lipcu żołnierze opuścili posterunki C.F. Smith, Phil Kearny i Reno.

Czerwona Chmura okazał się nie tylko skutecznym dowódcą, ale i zręcznym politykiem. Podpisał traktat dopiero 6 listopada 1868 roku, gdy armia opuściła forty, a jego wojownicy triumfalnie je spalili. W myśl traktatu z Laramie Stany Zjednoczone zgodziły się, aby kraj nad rzeką Powder na północ od Platte Północnej i na wschód od gór Bighorn stał się „niepodzielnym i nieodstępownym terytorium indiańskim”, na które bez pozwolenia Indian nie ma wstępu żaden biały. Tak więc w traktacie uwzględniono wszystkie warunki Czerwonej Chmury, a on sam stał się dzięki temu jedynym wodzem indiańskim, który wygrał wojnę ze Stanami Zjednoczonymi.

Odtąd Czerwona Chmura porzucił ścieżkę wojenną i został rzecznikiem pokoju i dyplomatą. W późniejszych latach kilka razy odwiedził Waszyngton, gdzie poznał smak dobrej whisky, dym kubańskich cygar i dyskretny urok nastrojowych domów

uciech. Być może z powodu wyjątkowego traktowania i „szczodrości” białych nie wziął udziału w wielkiej wojnie Siuksów w latach 1876–1877, wskutek czego stał się z czasem postacią kontrowersyjną wśród współplemieńców. Zmarł w 1909 roku w przyznanym Oglalom rezerwacie Pine Ridge, spokojnie dożywszy starości.

Szalony Koń i masakra Fettermana

Mroźący krew w żyłach okrzyk wojenny młodego wodza Siuksów Szalonego Konia był sygnałem do walki. Jak jeden mąż dwa tysiące indiańskich wojowników wyskoczyło z ukryć nad strumieniem i spadło na zaskoczony oddział kapitana Fettermana. Okrzyki bitewne, niosące się daleko w zimowym powietrzu, zmieszały się z gorączkowymi rozkazami dowódców i krzykami przerażenia ich podwładnych. Zasypani deszczem strzał i kul żołnierze w niebieskich mundurach padali jeden po drugim. W ciągu dwudziestu minut zginęła połowa z nich, a w miarę jak topniały ich szeregi, coraz bardziej zbliżali się indiańscy wojownicy z włóczniami i maczugami w rękach. W odruchu desperacji kapitan Fetterman i jeszcze jeden oficer, chcąc uniknąć niewoli i tortur, wymierzyli do siebie z rewolwerów i nacisnęli spusty. Tak skończyła się bitwa, którą Indianie nazwali „bitwą stu poległych”, a biali „masakrą Fettermana” (*Fetterman's Massacre*).

Na cztery dni przed świętami Bożego Narodzenia 1866 roku wódz Czerwona Chmura urządził dobrze zaplanowaną zasadzkę na żołnierzy z fortu Phil Kearny na szlaku Bozemana w Wyomingu. Tak się złożyło, że tego samego dnia odbywał się ostatni przed zimową przerwą kurs taboru, którym załoga transportowała drewno do fortu z pobliskiego lasu. Atak Indian nastąpił dosłownie w ostatnim momencie, chociaż garnizon fortu Phil Kearny znajdował się w stanie ciągłego oblężenia od wielu miesięcy.

Szalony Koń, czyli Tashunka Witko (1840–1877), urodził się w plemienu Siuksów Oglala. Jego ojcem był szaman plemienny, prawdopodobnie o tym samym imieniu. We wczesnej młodości Szalonego Konia nazywano Kędzierzawym i dopiero kiedy wyróżnił się w bitwie, mógł przyjąć imię ojca. Matka pochodziła z południowego odłamu Siuksów Brulé i była siostrą znanego wodza Cętkowanego Ogona, który zasłynął w walkach z największymi wrogami Siuksów Paunisami i odegrał czołową rolę w wybiciu oddziału podporucznika Johna Grattana 19 sierpnia 1854 roku w pobliżu fortu Laramie. Nie wiadomo dokładnie, gdzie się urodził i co robił później, ale jako młody chłopak był w obozie Oglalów Czerwonej Chmury w dolinie Platte Północnej, kiedy niepotrzebna kłótnia o zabita krowę mormońskiego osadnika doprowadziła do wspomnianej bitwy z żołnierzami Grattana.

Pierwszą walkę z białymi Szalony Koń stoczył 26 lipca 1865 roku na szlaku Oregońskim, kiedy to ponad dwa tysiące wojowników z połączonych plemion Siuksów, Czejenów i Arapahów starło się z żołnierzami w pobliżu najbardziej wysuniętego na północ posterunku wojskowego Platte Bridge Station. Posterunek ten strzegł ważnego mostu na północnej odnodze Platte, przy którym zbiegały się wszystkie najważniejsze szlaki prowadzące na Zachód. W walce poległ podporucznik Caspar Collins i czterech żołnierzy^[1]. Kilka godzin później Indianie zaatakowali i zniszczyli pod Red Buttes, kilka kilometrów na zachód od Platte Bridge Station, powracający do fortu konwój z zaopatrzeniem. Zginął dowodzący konwojem sierżant Amos Custard i dwudziestu kawalerzystów. W obu tych bitwach oprócz Czejenów Północnych pod wodzą Rzymskiego Nosa uczestniczyła także grupa czejeńskich Żołnierzy Psów prowadzona przez Białego Byka, a młody Szalony Koń wystąpił w roli wabika, który miał wyciągnąć żołnierzy zza barykady. Ta rola widać przypadła mu

do gustu, bo gdy w 1866 roku Czerwona Chmura prowadził wojnę z żołnierzami pułkownika Carringtona na szlaku Bozemana i miesiącami oblegał fort Phil Kearny, właśnie Szalonemu Koniowi powierzył zadanie wciągnięcia w zasadzkę oddziału kapitana Fettermana.

Odkąd wiosną 1864 roku John Bozeman zdołał przeprowadzić konwój z zaopatrzeniem z Missouri do regionu wydobywania złota w Montanie przez ulubione tereny łowieckie Siuksów w kraju nad rzeką Powder po wschodniej stronie gór Bighorn w Wyomingu, jego śladem podążyli także inni. W rezultacie jeszcze przed upływem roku szlak ten stał się ulubioną drogą wiodącą z Missouri do obozów górników w Montanie. Co więcej, w maju 1866 roku rząd skierował do jego ochrony żołnierzy pułkownika Carringtona.

W połowie lipca ludzie Carringtona przystąpili do budowy nad strumieniem Big Piney, dopływem Powder, fortu Phil Kearny w samym środku krainy Indian rozciągającej się na przestrzeni prawie tysiąca kilometrów pomiędzy fortem Laramie a złotodajnymi polami Montany, w odległości trzystu sześćdziesięciu kilometrów od Laramie. Nowy fort miał kształt prostokąta o wymiarach sto osiemdziesiąt pięć na dwieście czterdzieści pięć metrów i był otoczony metrowej głębokości fosą oraz wysokim na ponad trzy metry ostrokołem. Swoją nazwę zawdzięczał generałowi Philipowi Kearny'emu, który poległ 1 czerwca 1862 roku w bitwie pod Chantilly w Wirginii podczas wojny secesyjnej.

Nie mogąc zdobyć silnie obwarowanego fortu, późną jesienią Indianie zaczęli atakować konwoje transportujące do niego drewno z pobliskich lasów. Wszystkie transporty były silnie ochraniane, bo powtarzające się ataki wyraźnie wskazywały, co się może zdarzyć, jeśli żołnierze nie zachowają ostrożności lub pozwolą sobie na brawurę. Pierwsze poważne ostrzeżenie przyszło 6 grudnia, kiedy Indianie zaatakowali drwali podczas

wycinki drzew. Wysłani na odsiecz żołnierze Carringtona zagalopowali się w pościgu za napastnikami, przypłacając nieroztropność życiem dwóch i ranami pięciu ludzi. Przed większymi stratami uchroniło ich tylko szybkie przybycie posiłków. Z kolei 19 grudnia rozważa kapitał Jamesa Powella, chłodnego i ostrożnego weterana wojny secesyjnej, który nie podjął pogoni za napastnikami, uratowała inny transport z drewnem i zapobiegła stratom. Tego dnia spadł pierwszy śnieg i pułkownik Carrington zdecydował, że kolejny transport drewna, zaplanowany na 21 grudnia, będzie już ostatnim przed zimową przerwą. Później żołnierze mieli rozpocząć przygotowania do świąt i spędzić nadchodzącą mroźną i śnieżną zimę we względnie komfortowych warunkach.

Jesienią 1866 roku różne grupy Siuksów zgromadziły się w wielkim obozie nad rzeką Tongue, około sześćdziesięciu pięciu kilometrów na północny wschód od fortu Phil Kearny. W grudniu dołączyło do nich kilkuset Czejenów Północnych oraz grupa Arapahów, co dało Indianom poczucie siły i nasunęło im pomysł wciągnięcia żołnierzy Carringtona w pułapkę. Już wcześniej, w czasie ataków na transporty drewna, Siuksom udało się parę razy wyprowadzić pościg żołnierzy poza pasmo wzgórz Lodge Trail oddzielające dolinę potoku Big Piney od małej doliny strumienia Peno, osiem lub dziesięć kilometrów na północ od fortu. Teraz postanowili, że grupa wojowników jak zwykle zaatakuje transport drewna i wyciągnie odsiecz z fortu aż za Lodge Trail, a tam w dolinie Peno będą na nią czekać w zasadzce pozostałe siły Indian.

Według niektórych źródeł, na kilka dni przed planowanym atakiem Indianie przeprowadzili próbę generalną. Przybyli potajemnie do doliny Peno, obrali sobie kryjówki w krzakach i wśród skał po obu stronach szlaku Bozemana u podnóża Lodge Trail Ridge, po czym przećwiczyli rolę wabików i sposób przekazywania sygnałów o zbliżaniu się przeciwnika.

Wojownicy, pouczeni dodatkowo, że mają nie atakować małych grup żołnierzy, lecz muszą poczekać na większy oddział, zakończyli próbę i powrócili do swojego obozu nad Tongue.

Rankiem 21 grudnia masa Indian opuściła obozowisko i ruszyła na miejsce zasadzki. Większość z nich była uzbrojona we włócznie, łuki ze strzałami i maczugi wojenne; tylko nieliczni mieli karabiny. Grupa dziesięciu młodych wojowników, którym wyznaczono rolę wabików: dwóch Czejenów, dwóch Arapahów i sześciu Siuksów z Szalonym Koniem, udała się w pobliże fortu, a reszta przyczała się w wybranych wcześniej kryjówkach i czekała, aż wysłani przodem towarzysze ściągną żołnierzy w pułapkę.

W tym czasie siły pułkownika Carringtona zgromadzone w forcie Phil Kearny liczyły około czterystu żołnierzy piechoty i kawalerii, z czego trzystu ośmiu zdolnych do służby. Kawalerzyści byli uzbrojeni w powtarzalne karabiny Spencera i dysponowali pięćdziesięcioma końmi, z których tylko trzydzieści siedem nadawało się do jazdy, a pozostali żołnierze musieli się zadowolić starymi odprzodowymi springfieldami z wojny secesyjnej. Poza tym garnizon miał na wyposażeniu cztery działa.

Zgodnie z planem przed południem 21 grudnia mała grupa wojowników Szalonego Konia zaczęła niepokoić ostatni, osiemdziesięcioosobowy konwój z drewnem. Pułkownik Carrington natychmiast nakazał kapitanowi Powellowi ruszyć z odsieczą, tak jak dwa dni wcześniej, ale o „przywilej” ten zaczął usilnie zabiegać kapitan William Judd Fetterman. Carrington niechętnie przystał na jego nalegania i oddał mu pod rozkazy czterdziestu dziewięciu piechurów z 18. Pułku Piechoty USA oraz dwudziestu siedmiu kawalerzystów z 2. Pułku Kawalerii USA, którymi dowodził podporucznik George Grummond. Do kompletu zgłosili się na ochotnika: kapitan Frederick Brown, pułkowy kwatermistrz, który miał wkrótce

opuścić fort i chciał jeszcze przed wyjazdem „zabić Indianina”, oraz dwaj cywilni przewodnicy, James Wheatley i Isaac Fisher. Ci dwaj ostatni zamierzali wypróbować swoje nowe szesnastostrzałowe karabiny Henry’ego. Łącznie z dowódcą oddział Fettermana liczył osiemdziesięciu jeden ludzi.

Wysyłając Fettermana do akcji, pułkownik Carrington dał mu wyraźny rozkaz: „Wesprzyj transport z drewnem, uwolnij go i zamelduj się u mnie. Za żadną cenę nie wdawaj się w walkę z Indianami i nie próbuj ich ścigać. Pod żadnym pozorem nie przekraczaj pasma wzgórz [Lodge Trail Ridge]”. Wydając tak wyraźny rozkaz, Carrington miał na uwadze pogardliwy stosunek Fettermana do Indian, który podobno już wcześniej wyśmiewał ostrożność dowódcy i przechwalał się, że „mając osiemdziesięciu kawalerzystów, przejechałby przez cały kraj Siuksów”.

Fetterman poprowadził swój oddział na zachód w kierunku atakowanego konwoju, ale nigdy do niego nie dotarł. Ostatni raz widziano go, jak posuwał się w górę strumienia Big Piney u podnóża południowego stoku pasma Lodge Trail. Tymczasem Indianie przerwali atak na drwali i konwój z drewnem wraz z eskortą wrócił do Phil Fearnby. Około południa ludzie w forcie usłyszeli gwałtowną palbę dochodzącą z doliny strumienia Peno. Carrington natychmiast wysłał tam kapitana Tenodora Ten Eycka z pięćdziesięcioma czterema ludźmi, a zaraz potem dodatkowo czterdziestu żołnierzy. Ludzie Ten Eycka nie natrafili na ślad Fettermana, ale po wyjściu na grzbiet Lodge Trail zobaczyli w dole na szlaku Bozemana masę Indian, którzy usiłowali zwabić ich w dół i sprowokować do walki. Ogarnięty jak najgorszymi przeczuciami kapitan przyjął postawę obronną i cierpliwie odczekał, aż Indianie, zniechęceni brakiem odzewu, znikną mu z pola widzenia. Dopiero późnym popołudniem poprowadził swój oddział ostrożnie do doliny Peno i tam natknął się na ciała Fettermana, Browna i czterdziestu siedmiu

ich ludzi. Wstrząśnięty, załadował zwłoki na dwa wozy i przed zapadnięciem zmroku wrócił do fortu.

Nigdy nie dowiedziano się, jak naprawdę wyglądała ostatnia walka kapitana Fettermana i jego żołnierzy, bo żaden z białych nie przeżył. Informacje o jej przebiegu pochodzą wyłącznie z późniejszych relacji Indian oraz śladów odnalezionych na polu bitwy. Prawdopodobnie wyglądało to tak:

Kiedy tylko wojownicy Szalonego Konia zauważyli wymarsz dużego oddziału Fettermana z fortu, przerwali demonstracyjne zaczepki wobec konwoju z drewnem i podążyli ku wzgórzom Lodge Trail. Widząc to, Fetterman, wbrew rozkazowi Carringtona, ruszył za nimi w górę stoku. Szalony Koń i jego wojownicy zjechali ze szczytu wzgórza ku szlakowi Bozemana, a Fetterman zatrzymał swoich ludzi na grani i prawdopodobnie zastanawiał się, czy powinien zastosować się do rozkazu dowódcy, zabraniającego mu przecież pościgu za Indianami.

Obawiając się, że plan może nie wypalić, jeden z Czejenów wrócił i przypuścił szarżę na ludzi Fettermana. Według ukrytych w zasadzce wojowników „dosłownie wjechał pomiędzy żołnierzy stojących na grzbiecie Lodge Trail Ridge”. Kapitan dał się sprowokować i widząc tylko małą grupkę Indian, sprowadził swoich ludzi ze wzgórza do doliny Peno, gdzie w zasadzce czekało dwa tysiące Siuksów, Czejenów i Arapahów pod wodzą zastępców Czerwonej Chmury: Wysokiego Kręgosłupa oraz Człowieka, Którego Konia Boją Się Wrogowie.

A kiedy już żołnierze znaleźli się w pułapce, wabiki Szalonego Konia rozdzieliły się na dwie grupki, co było prawdopodobnie sygnałem do ataku. Wojownicy ukryci w wysokiej trawie i za kamieniami wzdłuż szlaku rzucili się na białych i odcięli im odwrót. Potem szybko rozprawili się z piechurami. Niektórzy żołnierze byli podobno tak przerażeni mrowiem otaczających ich Indian, że nie stawiali żadnego

oporu. Najdłużej bronili się Wheatley i Fisher, którzy zanim polegli, zrobili dobry użytek ze swoich powtarzalnych karabinów Henry'ego. Fetterman i Brown zginęli prawdopodobnie jako jedni z ostatnich, strzelając sobie nawzajem z rewolwerów w skroń, aby w ten sposób uniknąć niewoli i tortur. Potem przyszła kolej na kawalerzystów Grummonda, którzy poprzedzali piechurów i jechali na czele kolumny. Przypuszczalnie porucznik i jego żołnierze próbowali zawrócić i przebić się do fortu, ale wobec mrowia Indian zsiadli z koni i bronili się samodzielnie w pewnej odległości od grupy Fettermana.

Mniej więcej w tym samym czasie czujki Indian na wzgórzu Lodge Trail dały znać o wyjściu z fortu oddziału ratunkowego Ten Eycka. Wówczas wojownicy przypuścili decydujący szturm i zabili lub pojmali wszystkich pozostałych przy życiu żołnierzy, którym zapewne do tego czasu wyczerpała się amunicja. Niedługo potem Indianie próbowali sprowokować do walki Ten Eycka, ale ten nie przyjął wyzwania. Podejrzewając, że może on mieć ze sobą ukryte w wozie działko, wojownicy woleli nie kusić losu. Zabrali swoich zabitych i rannych i odeszli, aby świętować swe wielkie zwycięstwo.

Przez kilka godzin pułkownik Carrington i stu dziewiętnastu żołnierzy, pozostałych w forcie do ochrony placówki oraz kobiet i dzieci, nie wiedzieli, co się stało z resztą ich towarzyszy. Odległa strzelanina w dolinie Peno skończyła się po upływie około pół godziny, po czym nad okolicą zaległa złowroga cisza. Ludzie w forcie trwali w niepewności do wieczora, do powrotu Ten Eycka z ciałami poległych żołnierzy Fettermana. Wtedy wszystkich ogarnęło przerażenie i obawa, że w nocy lub rankiem masy Indian zaatakują posterunek i wyrzną ich do nogi.

W tej sytuacji Carrington postanowił wysłać nocą konnego posłańca do fortu Laramie z meldunkiem o losie Fettermana

i żądaniem natychmiastowej pomocy. Zadania tego podjął się cywilny ochotnik John „Portugee” Phillips[2], a ruszył w drogę na najlepszym koniu, jaki był w forcie, czyli należącym do pułkownika pełnej krwi wierzchowcu z Kentucky o imieniu Szary Orzeł. „Portugalczyk” Phillips, w mrozie i śnieżnej zamieci, parokrotnie unikając spotkania z Indianami, przejechał w ciągu trzech dni i nocy trzysta osiemdziesiąt kilometrów i w stanie całkowitego wyczerpania dotarł do Laramie wieczorem 25 grudnia. Było Boże Narodzenie i wszyscy w forcie bawili się akurat na świątecznym balu. Skrajnie wycieńczonego posłańca żołnierze musieli zdjąć z konia, bo przymarzył do siodła i nie miał siły się ruszyć. Zdołał tylko wykrztusić, że „fort Phil Kearny jest otoczony przez dwa tysiące Indian”, i próbując wyciągnąć z kieszeni pisemny meldunek Carringtona, padł na ziemię zemdlony. Jego dzielnego wierzchowca odprowadzono do stajni, gdzie po godzinie wydał ostatnie tchnienie. Niebywały wyczyn Phillipsa przeszedł na stałe do legendy Zachodu, a zdobyta sława pozwoliła mu później uzyskać stanowisko rządowego kuriera na trasie z Laramie do fortu Phil Kearny, które pełnił aż do wycofania wojska ze szlaku Bozemana w 1868 roku.

Kiedy spodziewany atak Indian na fort Phil Kearny nie nastąpił, 22 grudnia wczesnym popołudniem pułkownik Carrington wziął osiemdziesięciu ludzi i pomaszerował sprawdzić, co się stało z kawalerzystami Grummonda. Szybko odnalazł ciała porucznika i jego żołnierzy, a „pole bitwy samo opowiedziało swoją historię”. Wokół zwłok Wheatleya i Fishera piętrzyły się stosy łusek z ich powtarzalnych karabinów Henry’ego. Do wieczora ludzie Carringtona odszukali ciała wszystkich poległych i wrócili do fortu.

3 stycznia 1867 roku, trzynaście dni po bitwie, pułkownik napisał oficjalny raport o bitwie Fettermana. Znalazł się w nim taki między innymi opis okaleczonych ciał zabitych żołnierzy:

„Oczy wydłubane i położone na kamieniach, mózgi wyjęte i rozłożone na skałach, razem z odciętymi członkami ciała, odcięte dłonie i stopy, ramiona powyrywane ze stawów, czaszki uszkodzone na wszystkie możliwe sposoby, od brody do czubka głowy, rany we wszystkich wrażliwych miejscach ciała”. Większość zwłok była naszpikowana strzałami, co nastąpiło zapewne już po zakończeniu walki. W samym ciele Wheatleya naliczono ich aż sto pięć. Po opisanu tych wszystkich okropności Carrington podsumował: „To jeszcze niecała prawda [...]. Bezspornym faktem jest, że ci Indianie starali się wziąć naszych ludzi żywcem, a potem poddali ich powolnym torturom [...]. Co najwyżej sześciu zginęło od kul. Z każdego ciała wyciągnęliśmy pęki strzał, których najprawdopodobniej użyto już po zdjęciu ubrań”.

Wstrząśnięci pogromem Fettermana biali okrzyknęli bitwę masakrą, a generał Sherman wezwał w imieniu armii do srogiej zemsty, mówiąc: „Przeciwko Siuksom musimy działać z mściwą powagą, nawet do ich całkowitej eksterminacji”. W rzeczywistości nie była to masakra, lecz regularna bitwa, w której Indianie mieli dużą przewagę liczebną. Wiemy, że zginęło w niej osiemdziesięciu jeden białych, nie wiemy jednak, ilu Indian straciło życie i ilu odniosło rany. Według relacji niektórych indiańskich uczestników bitwy, zginęło w niej dwóch Czejenów i pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu Siuksów. Inna relacja mówi o jednym poległym Arapaho, dwóch Czejenach i jedenastu Siuksach. Wiele lat później wódz Ogłalów Czerwona Chmura, który był świadkiem bitwy z Fettermanem, chociaż osobiście nie brał w niej udziału, powiedział, że na miejscu zginęło tylko jedenastu wojowników, ale wielu ciężko rannych zmarło potem w obozie.

Pierwszą reakcją dowództwa armii na Równinach na wiadomość o pogromie Fettermana było natychmiastowe odwołanie pułkownika Carringtona. Zastąpił go podpułkownik

Henry Wessells, który przybył z posiłkami do fortu Phil Kearny 17 stycznia. Carrington wyjechał sześć dni później, 23 stycznia. Chociaż nie był bezpośrednio odpowiedzialny za klęskę i zrobił wszystko, aby jej uniknąć, próbowano zrzucić na niego winę i wiele czasu minęło, zanim zdołał oczyścić swoje dobre imię. Jego kariera wojskowa legła jednak w gruzach i w 1870 roku wystąpił ze służby. Jako ciekawostkę można podać, że w 1871 roku ożenił się z Frances Grummond, wdową po poruczniku Grummondzie poległym w masakrze Fettermana.

Szalony Koń, który w decydującym stopniu przyczynił się do zwycięstwa Indian w starciu z Fettermanem, kontynuował walkę z białymi, uczestnicząc w wojnie Czerwonej Chmury i w każdej bitwie na północnych Równinach aż do roku 1876. Kiedy w 1868 roku wojsko opuściło forty na szlaku Bozemana, a Czerwona Chmura zawarł pokój z Amerykanami, nie zgodził się na osiedlenie w rezerwacie i wędrował ze swoimi Siuksami po starych łowiskach w pogoni za bizonami, z dala od siedzib i szlaków białych ludzi, dla których stał się uosobieniem wrogiego Indianina. W tym czasie dołączył do Siedzącego Byka, duchowego przywódcy plemienia Siuksów Hunkpapa, i wspólnie wystąpili w obronie świętych dla Indian Czarnych Wzgórz w Dakocie, w których biali, wbrew obowiązującym traktatom, zaczęli wydobywać złoto. I tak oto, dziesięć lat po bitwie z Fettermanem, Szalony Koń znów poprowadził wojowników do walki, tym razem przeciwko generałowi George'owi Crookowi.

W maju 1876 roku, w ramach wielkiej operacji przeciwko zbuntowanym Indianom, Crook powiódł ponad tysiąc żołnierzy i dwustu sześćdziesięciu sprzymierzonych Szoszonów i Wron na północ, do doliny Rosebud w Montanie. 17 czerwca doszło tam do starcia z równymi liczebnie siłami Siuksów i Czejenów pod wodzą Szalonego Konia i Siedzącego Byka. Bitwa obfitowała w ekscytujące momenty, jak choćby ten, kiedy

kobieta wojownik z plemienia Czejenów o imieniu Ścieżka Cielęcia Bizona uratowała swojego brata spod ognia żołnierzy i wywiozła go na koniu z pola bitwy. Dlatego Czejenowie nazwali starcie z Crookiem „bitwą, w której dziewczyna uratowała swojego brata”. Po sześciu godzinach zmagania i wystrzelaniu prawie całej amunicji Indianie przerwali walkę i odeszli do swoich obozów. Crook donosił, że stracił dziesięciu zabitych i dwudziestu jeden rannych, ale prawdopodobnie jego straty wynosiły ponad pięćdziesięciu ludzi. Straty Indian były porównywalne. Generał uznał bitwę za wygraną, ponieważ Indianie ustąpili z pola, ale jego wiara jest pozbawiona podstaw. W rzeczywistości pozostała ona nierozstrzygnięta, a jeśli już, to raczej Indianie odnieśli sukces, bo mocno poturbowana kolumna Crooka przerwała kampanię na całe dwa miesiące i wycofała się do swojej bazy nad strumieniem Goose, w pobliżu współczesnego Sheridan w Wyomingu.

Niektórzy uważają, że bitwa nad Rosebud otworzyła Indianom drogę do wielkiego zwycięstwa nad podpułkownikiem Custerem nad Little Bighorn osiem dni później i pięćdziesiąt kilometrów dalej. Wycofując bowiem swoich żołnierzy, Crook osłabił siły przeznaczone do walki z Indianami, a nie informując o wyniku bitwy przełożonego Custera, generała Alfreda Terry'ego, spowodował, że ten nie mógł udzielić mu dodatkowego wsparcia. Tak czy inaczej, bitwa nad Rosebud dodała Indianom wiary w siebie.

Po bitwie nad Little Bighorn Amerykanie skierowali na front posiłki, a Crook i Terry połączyli swoje siły w poszukiwaniu Indian. We wrześniu część oddziału Crooka zaskoczyła wioskę Siuksów Oglala pod wodzą Amerykańskiego Konia koło Slim Buttes, na północnym krańcu Czarnych Wzgórz, a w październiku generał Nelson Miles przechwycił grupę Siedzącego Byka i po dwudniowych walkach zmusił pięciu głównych wodzów i dwa tysiące ich zwolenników do kapitulacji

i powrotu do rezerwatu. W listopadzie pułkownik Ranałd Mackenzie, weteran wojny z Komanczami i Kiowami nad Rzeką Czerwoną w 1874 roku, zniszczył wioskę Czejenów Północnych wodza Tępego Noża w górach Bighorn. Był to cios, po którym Czejenowie stracili ochotę do dalszej walki i poddali się wiosną następnego roku.

Kiedy Crook i Terry wycofali się na przerwę zimową, Miles został ze swoim oddziałem na preriach Montany i kontynuował kampanię. Indianie, którzy nigdy nie lubili walczyć w zimie, uznali jego taktykę poszukiwania ich zimowych obozów za naruszenie dotychczasowych obyczajów wojennych, ale nic nie mogli zrobić. W styczniu 1877 roku żołnierze Milesa zaatakowali obóz Oglalów w górach Wolfe nad rzeką Tongue i w dwudniowej bitwie 7 i 8 stycznia, toczonyj w głębokim śniegu i przy szalejącej śnieżycy, pokonali pięciuset Siuksów Szalonego Konia. Miles nie zaprzestał walki nawet w największe mrozy i ścigał Indian od jednego obozu zimowego do drugiego, aż swoimi niespodziewanymi atakami z użyciem artylerii osłabił wolę oporu Siuksów i zmusił ich do zamieszkania w rezerwacie. Jako jeden z ostatnich zaprzestał walki Szalony Koń. Zdecydował się na to 19 lutego, kiedy odwiedził go wuj Cętkowany Ogon, który obiecał w imieniu wojska amnestię dla walczących Siuksów i pozostawienie ich we własnym kraju. Ostatecznie 6 maja wódz poddał się wraz z tysiącem pięciuset swoich ludzi w agencji Czerwonej Chmury w Pine Ridge i osiadł w rezerwacie koło fortu Robinson w Nebrasce. Do lata 1877 roku walki z Indianami na północnych Równinach całkowicie ustały.

W tym czasie zaczęły krążyć pogłoski, że Szalony Koń zamierza wszcząć nową wojnę z białymi, i postanowiono go aresztować. Na rozkaz generała Crooka sprowadzono go podstępem do fortu Robinson, gdzie 7 września podczas próby zatrzymania został śmiertelnie ranny. Niektórzy świadkowie

twierdzili, że miał ukryte pod kocem dwa noże, które wyciągnął, gdy chciano go zatrzymać, aby zapewnić sobie drogę ucieczki. Oficjalna wersja głosi, że pchnął go bagnetem w okolicy nerek szeregowiec William Gentles, ale faktycznym sprawcą mógł być indiański policjant, stary przyjaciel wodza Mały Wielki Człowiek, który w zamieszaniu zadał mu przypadkowo cios jego własnym nożem. Jak było naprawdę, nie wiadomo, ale rana okazała się śmiertelna. W ten sposób zszedł jeden z najsłynniejszych wodzów wojennych (*blotahunksa*) Siuksów.

Szalony Koń nigdy nie pozwolił się sfotografować, toteż nie wiadomo dokładnie, jak wyglądał. Zachował się jednak jego opis, pozostawiony przez adiutanta generała Crooka, kapitana Johna Bourke'a: „Ujrzałem przed sobą młodego jeszcze mężczyznę, mającego nie więcej niż trzydzieści lat, wysokiego na 175 centymetrów, smukłego i muskularnego, z blizną na policzku. Wyraz jego twarzy był pełen dostojnej powagi, lecz jednocześnie przygnębienia, nieustępliwości i smutku. Zachowywał się ze spokojną rezygnacją, jak ktoś, kto poddał się losowi i postanowił uczynić to z godnością [...]. Wszyscy Indianie szanowali go niezmiernie za waleczność i hojność. W walce z wrogami nie dał się przewyższyć nikomu [...]. Nie słyszałem, aby jakiś Indianin nie wymawiał jego imienia z najwyższym podziwem”.

W czerwcu 1948 roku amerykański rzeźbiarz polskiego pochodzenia Korczak Ziółkowski i jego rodzina rozpoczęli w Czarnych Wzgórzach pracę nad największym pomnikiem na świecie przedstawiającym wykutą w skale Thunderhead postać Szalonego Konia na pędzącym wierzchowcu[3]. Zapytany, dlaczego to robi, odparł: „Tych czterech wieńczących Mount Rushmore to tylko część amerykańskiej prawdy. Trzeba, by inna góra przypominała Ameryce resztę”[4]. Ziółkowski zmagął się z rzeźbą do roku 1982, kiedy to nagle zmarł na zawał serca.

Ambitną pracę kontynuują do dziś jego dzieci i wnukowie, wspierani przez prywatną fundację i życzliwych Indian z plemienia Siuksów, dla których monument jest ikoną upamiętniającą tradycje i dziedzictwo kulturowe Indian Ameryki Północnej.

Przypisy

- 1 W uznaniu odwagi podporucznika Collinsa w listopadzie 1865 r. zmieniono nazwę Platte Bridge Station na Fort Caspar, od imienia młodego oficera, ponieważ w Kolorado istniał już Fort Collins, którego patronem był ojciec porucznika, podpułkownik William Collins.
- 2 Przydomek „Portugee” wziął się stąd, że Phillips był w istocie Portugalczykiem. Urodził się w 1832 r. jako Manuel Felipe Cardoso na Azorach, a do Ameryki przybył w wieku 18 lat w okresie słynnej kalifornijskiej „gorączki złota”. Do Phil Kearny trafił wraz z grupą poszukiwaczy we wrześniu 1866 r., w drodze do złotodajnych pól w Montanie.
- 3 W założeniu rzeźba ma mieć 172 m wysokości i 195 m długości. Samą głowę jeźdźca zaprojektowano na około 25 m, a wyciągnięte w kierunku ziemi przodków ramię na prawie 100 m.
- 4 Ziółkowski miał na myśli gigantyczne wizerunki czterech prezydentów USA wykute w górze Mount Rushmore w Dakocie Południowej, które są symbolem amerykańskiej demokracji i przy których tworzeniu asystował sławnemu rzeźbiarzowi Gutzonowi Borglumowi w latach 1939–1941.

Generał George Crook i bitwa przy Jaskini Szkieletów

Z wysokiego wierzchołka skały górującej nad Jaskinią Szkieletów oddział żołnierzy, podkomendnych generała Crooka, obserwował znajdujących się w dole Indian. Po drugiej stronie kanionu, naprzeciwko skalnej półki przed wejściem do pieczary, wzdłuż wąskiego górskiego szlaku rozłożyła się cienką linią druga grupa żołnierzy. Prowadzili oni gęsty ogień do Indian, którzy schronili się w głębi jaskini, ufni, że skalna twierdza zapewni im bezpieczeństwo. Nagle kule z karabinów zaczęły odbijać się od sklepienia i ścian jaskini i rykoszetem ranić stłoczonych wewnątrz mężczyzn, kobiety i dzieci. Przerażeni ludzie wypęzli na zewnątrz, próbując znaleźć osłonę za niską barykadą z odłamków skalnych, ale wkrótce na ich głowy posypały się rzucane z góry głazy i kamienie, miażdżąc i druzgocząc zaskoczonych Indian. Kiedy w końcu opadł gęsty kurz przesłaniający wejście do jaskini, żołnierze z naprzeciwka ujrzeli obraz krwawej jatki: stos ciał zabitych, rannych i umierających ludzi wydających jęki bólu. W ten sposób oddział Crooka zniszczył grupę wrogich Indian, którzy schronili się w – wydawać by się mogło – bezpiecznej i niedostępnej pieczarze, usytuowanej w połowie wysokiej na czterysta metrów ściany kanionu rzeki Salt w Arizonie.

W roku 1863, po utworzeniu odrębnego od Nowego Meksyku Terytorium Arizony, odkryto złoto w samym sercu gór Tonto, w miejscu gdzie wkrótce wyrosło miasto Prescott, co niemal natychmiast wywołało konflikty z Apaczami Zachodnimi.

Żołnierze z fortu Whipple w dolinie Chino, którzy mieli zapewnić bezpieczeństwo górnikom, strzelali do Indian bez ostrzeżenia, a cywilni obywatele wespół z Meksykanami organizowali specjalne „oddziały do polowań” na czerwonoskórych. Któregoś razu bezwzględny ranczer King Woolsey, który podzielał pogląd wielu ludzi z pogranicza, że w wojnie z Indianami wszystkie chwytaki są dozwolone, podrzucił Apaczom zatrutą żywność. Innym razem zaprosił grupę wojowników na „naradę pokojową” do swojego obozu, a potem zdradziecko ich wymordował. W odpowiedzi straszliwi Tonto i Yavapai masowo kradli konie, krowy i zwierzęta juczne białych, masakrując przy tym wielu górników i ranczerów. Przez pewien czas wydawało się nawet, że Amerykanie będą musieli opuścić centralną Arizonę. Wojna toczyła się tak długo, aż na Wschodzie zrozumiano, że walki z Apaczami są zbyt kosztowne i nie przynoszą pożądanych rezultatów.

W czerwcu 1871 roku do kraju Apaczów w Arizonie przybył nowy dowódca, podpułkownik George Crook (1828–1890), z misją zakończenia dziesięcioletnich obopólnych walk możliwie pokojowymi środkami. W praktyce oznaczało to ujarzmienie Indian i osadzenie ich w wyznaczonych rezerwatach. Na początku lat pięćdziesiątych, gdy Crook był jeszcze młodym porucznikiem w Kalifornii, nie podobał mu się sposób traktowania Indian i oburzało go, że Senat odrzucił osiemnaście traktatów wynegocjowanych ze stu trzydziestoma dziewięcioma grupami kalifornijskich Indian, pozbawiając ich wszelkich praw. Mimo to z powodzeniem walczył z Indianami na Terytorium Waszyngtonu, Oregonu i w Kalifornii, okazał się także bardzo efektywny w kontaktach z plemionami Szoszonów i Nez Perce. Jako człowiek głęboko humanitarny widział jednak w Indianach ludzi i uważał, że należy traktować ich po ludzku.

Po wojnie secesyjnej, podczas której awansował na generała ochotników, Crook otrzymał stopień podpułkownika regularnej

armii i ponownie został wysłany na Północny Zachód, tym razem z zadaniem ujarznienia wojowniczych Pajutów, należących do najbitniejszych plemion Płaskowyżu i Wielkiej Kotliny. W wyniku dwuletniej wojny udało mu się pobić Pajutów, ale potem próbował zawrzeć z nimi uczciwy układ pokojowy, czym zyskał sobie ich wdzięczność i szacunek. Dostawszy rozkaz udania się do Arizony, pojechał do San Francisco, a stamtąd ruszył w tysiącsetkilometrową podróż do Tucson, gdzie – jak się spodziewał – czekało go największe wyzwanie w życiu.

Filozofia Crooka była bardzo niepopularna wśród białych mieszkańców Arizony i wydawało się, że nigdy nie uda jej się wprowadzić w życie. Zaraz po przyjeździe uznał on, że źródłem wszystkich niepokojów na podległym mu terenie jest kotlina Tonto (*Tonto Basin*) w południowo-środkowej Arizonie oraz otaczające ją góry, od razu też zaplanował kampanię przeciwko mieszkającym tam Apaczom i Yavapai. Kilka tygodni później do jego kwatery w forcie Camp Grant przybył Vincent Colyer, pokojowy wysłannik Biura do spraw Indian, aby zapoznać się z sytuacją miejscowych plemion. Crook natychmiast zawiesił swoją kampanię, niechętnie dając Colyerowi czas na pokojowe negocjacje, chociaż nie miał wątpliwości, że nic z tego nie będzie. Zastanawiał się tylko, kiedy rozmowy z Indianami zawiodą i ilu białych straci w tym czasie życie.

5 listopada 1871 roku w pobliżu górniczej osady Wickenburg doszło do napadu na dyliżans zmierzający z Prescott do San Bernardino w Kalifornii. Spośród ośmiu osób, które nim jechały, zginął woźnica i pięciu pasażerów. Crook natychmiast wszczął śledztwo, które wykazało, że ataku dokonali wojownicy Yavapai z tymczasowego rezerwatu Date Creek, utworzonego dla tego plemienia na południowy zachód od Prescott. To wystarczyło, aby biała ludność Arizony zażądała „ostatecznego rozwiązania kwestii indiańskiej”. W ciągu następnego miesiąca Crook

wprowadził w życie nowy plan walki z wrogimi Indianami na wschodzie Arizony. Używając mieszanych oddziałów wojska i indiańskich zwiadowców, zmusił Yavapai do ustawicznej ucieczki i nękał ich tak długo, aż większość z nich, zmarznięta, głodna i niepewna jutra, złożyła broń i dała się zamknąć w rezerwatach.

Po spacyfikowaniu głównej części plemienia Yavapai najpoważniejszym wyzwaniem dla wojska w Arizonie stał się wódz wojenny Apaczów Tonto Delshay, czyli Czerwona Mrówka, i jego wojownicy. Delshay był starym wrogiem białych, który już w końcu 1867 roku zmusił armię do wzniesienia posterunku Camp Reno w kotlinie Tonto dla powstrzymania jego regularnych najazdów na okolicznych osadników, górników i ranczerów. Pod koniec lat sześćdziesiątych zgromadził wokół siebie grupę około dwustu ludzi, częściowo Apaczów Tonto oraz Indian Yavapai.

11 grudnia 1871 roku kolumna stu żołnierzy z 5. Pułku Kawalerii USA, dowodzonych przez kapitana Alfreda Taylora i porucznika Jacoba Almy'ego, pod ogólną komendą majora Williama Browna, opuściła obóz Camp Grant w środkowej Arizonie i ruszyła na północny zachód wzdłuż rzeki San Pedro na wyprawę przeciwko wrogim Indianom. Żołnierzom Browna towarzyszyli dwaj doradcy ze sztabu George'a Crooka: kapitan John Bourke i porucznik William Ross, oddział trzydziestu apackich zwiadowców prowadzonych przez wodza Esquimisquina oraz półkrwi Apacza Archiego McIntosha, dwaj cywilni przewodnicy, Joe Felmer i Antonio Besias, oraz karawana sześćdziesięciu jucznych mułów z miesięcznymi zapasami żywności. Głównym celem wyprawy było odnalezienie i zniszczenie grup renegatów Delshaya i Chunza, dwóch największych i najbardziej nieuchwytnych wodzów Apaczów Tonto.

Pierwszy z nich, Delshay, prawdopodobnie mieszanej krwi Tonto i Yavapai o „diabelskim obliczu”, budził podziw samym swoim wyglądem, „będąc wyjątkowo postawnym Indianinem o szerokich, wysoko osadzonych ramionach, które sprawiały wrażenie, jakby się garbił”. Jego charakterystyczny wygląd podkreślał jeszcze perłowy guzik osadzony w małżowinie lewego ucha, ponieważ – jak mówił wódz – „drugi taki sam w prawym uchu przeszkadzałby w strzelaniu z łuku albo karabinu”. Do roku 1872 Delshay zyskał reputację „najgorszego ze wszystkich Indian ze względu na swoją nikczemność i diabelski charakter”, któremu przypisywano każdy napad i każde morderstwo dokonane w kotlinie Tonto. Drugi z poszukiwanych, Chunz, miał nie lepszą reputację. Uchodził za zdradliwego łotra i notorycznego kłamcę, obdarzonego okrutną naturą zabójcy. Z tej to racji na krótko przed wyprawą oskarżono go o zamordowanie z zimną krwią meksykańskiego chłopca w pobliżu Camp Grant.

Oddział majora Browna pomaszerował na północny wschód do górzystej krainy w samym sercu ojczyzny Apaczów na południowym obrzeżu kotliny Tonto. 15 grudnia wysłany na rekonesans patrol wykrył w jednym z zielonych kanionów po zachodniej stronie gór Pinal niewielkie obozowisko Apaczów i ranił jednego wojownika, który jednak po wymianie strzałów uciekł w gęste krzewy u podnóża gór. Rankiem następnego dnia zwiadowcy uderzyli na większy obóz Chunza w trawiastej dolinie potoku Pinal, ale Apacze „zbiegli, pozostawiając cały swój dobytek”. Zwiadowcy ścigali ich przez kilka kilometrów na południowy zachód w kierunku rzeki Gila, lecz nie zdołali ich dopaść.

22 grudnia, w drodze na zachód, ludzie Browna stoczyli kolejną potyczkę z wrogimi Apaczami nad potokiem Racoon, dopływem rzeki Salt, po południowej stronie łańcucha Sierra Anchas, i wzięli do niewoli dwie kobiety i dziecko. Wciąż mając

przed sobą decydujące starcie, oddział wkroczył do doliny Salt i na koniec wspiął się w zaśnieżone góry Superstition. Tam w Boże Narodzenie 25 grudnia dołączyło do niego kolejnych czterdziestu kawalerzystów z Camp McDowell pod wodzą kapitana Jamesa Burnsa oraz dziewięćdziesięciu ośmiu zwiadowców z wrogiego Apaczom plemienia Pima. Kilka dni wcześniej w okolicy zwanej Four Peaks, niedaleko dzisiejszego centrum rekreacyjnego Tortilla Flat w górach Superstition, na zachód od Phoenix, patrol Burnsa napotkał dwoje Indian Yavapai prowadzących małego chłopca. Kiedy żołnierze rzucili się za nimi w pogoń, mężczyzna ukrył kobietę i dziecko pośród skał, a sam uciekł. Indiankę i chłopca, kilkuletniego brzdąca, schwytano i przekazano w ręce kapitana Burnsa. Mocno przestraszony mały Yavapai o imieniu Hoomoohyah, czyli Mokry Nos, niechętnie ujawnił, że poprzedniego dnia na prośbę ojca opuścił razem ze swoim wujem i ciotką trudno dostępną kryjówkę w kanionie rzeki Salt, gdzie znajdowali się jego rodzice i gdzie – jak podejrzewali żołnierze – ukrywał się zapewne poszukiwany przez nich Delshay.

27 grudnia major Brown podzielił oddział na dwie części i zaczął przeczesywać okolicę. Wkrótce zwiadowcy natrafili na szlak, który mógł ich zaprowadzić do kryjówki Indian. Cała grupa Browna, licząca teraz dwustu dwudziestu kawalerzystów i zwiadowców, niezwłocznie ruszyła w górę kanionu rzeki Salt. Noc z 27 na 28 grudnia spędziła na zboczu góry przy ujściu potoku Cottonwood do Salt, w odległości paru kilometrów od celu, który umownie nazwano „warownią Delshaya”. Brown pozwolił swoim Indianom upiec mięso muła, który padł wcześniej tego dnia, podczas gdy żołnierze czyścili broń, liczyli zapasową amunicję i sprawdzali ekwipunek. Aby dostać się do obozowiska wrogich Indian, trzeba było zejść pieszo na dno kanionu, a potem wspiąć się po stromym zboczu do ukrytej wysoko w górze kryjówki. Całą drogę wiodącą wąskim górskim

szlakiem należało pokonać w całkowitych ciemnościach. Do udziału w akcji wybrano stu trzydziestu najsprawniejszych żołnierzy i zwiadowców; reszta miała pozostać na miejscu i chronić konie oraz tabor mułów z zapasami żywności.

Grupa uderzeniowa prowadzona przez Felmera, McIntosha i zwiadowcę imieniem Nantaje opuściła obóz o ósmej wieczorem. Każdy żołnierz dźwigał tylko broń z amunicją oraz jednodniową rację żywności, manierkę i zrolowany koc. Wielu włożyło wysokie apackie mokasyny wypchane suchą trawą, aby zachować ciszę w czasie wędrówki górskim szlakiem. Po kilkugodzinnej wspinaczce w mroźnym, przeszywającym do szpiku kości wietrze żołnierze dotarli do skraju urwistego klifu górującego nad północnym brzegiem kanionu rzeki Salt. Spoglądając w mroczną ponaddwustumetrową przepaść, wielu miało wrażenie, że przed nimi leży biblijna ciemna dolina^[1].

Wczesnym rankiem 28 grudnia, pod osłoną panujących ciemności, żołnierze i zwiadowcy Browna zbliżyli się do indiańskiej warowni w wielkiej jaskini, około stu sześćdziesięciu metrów od wierzchołka klifu graniczącego z głębokim na czterysta metrów kanionem rzeki Salt. Wydawała się nie do zdobycia, ponieważ chronił ją naturalny wał obronny z gładkich kamieni i odłamków skalnych, które spadły z wysokiego klifu. Podczas gdy żołnierze zajmowali stanowiska poniżej skalnego progu, za którym znajdowała się jaskinia, zwiadowcy wspięli się wyżej, żeby wypatrzeć wejście do niej. Niedługo potem donieśli, że szlak zaprowadził ich na małą polankę, na której pasło się niewielkie stado koni i mułów, co mogło wskazywać, że jaskinia jest gdzieś niedaleko.

Major Brown wysłał przodem porucznika Rossa, aby poprowadził pierwszą grupę dwunastu najlepszych strzelców spośród żołnierzy, mulników i zwiadowców. Wkrótce po ich odejściu czekający w tyle żołnierze usłyszeli „potworny hałas równy jednoczesnej salwie wystrzałów baterii

sześciofuntówek”. Zaniepokojony Brown natychmiast rozkazał, aby kapitan Bourke wziął oddział żołnierzy i sprawdził źródło hałasu. Zbiegając w dół śliskiej górskiej ścieżki, Bourke minął ostry zakręt i wkrótce zorientował się, co było przyczyną niepokojącego alarmu.

Otóż porucznik Ross, będąc już w pobliżu jaskini, niespodziewanie natknął się na grupę wojowników, którzy na płaszczyźnie skalnej przed wejściem palili ognisko i tańczyli. Żołnierze uznali, że albo Indianie świętują powrót z udanej wyprawy, albo tańczą dla rozgrzewki w mroźny poranek. W pobliżu ogniska widać było także kilka kobiet, które najwyraźniej gotowały posiłek. Ross, bojąc się, że Indianie mogą zaatakować jego dobrze widocznych na odkrytym szlaku ludzi, dał rozkaz do salwy, od której padło sześciu wojowników. To właśnie echo tej salwy, odbite od ścian kanionu, zabrzmiało jak armatni wystrzał, wzbudzając niepokój majora Browna i żołnierzy oczekujących na skraju przepaści.

„Porucznik William J. Ross z 21. Pułku Piechoty został wyznaczony do poprowadzenia pierwszego oddziału żołnierzy – wspominał potem kapitan Bourke. – Ja miałem objąć komendę nad drugim oddziałem. Nasza czołówka, posuwając się wzdłuż szlaku, na którym jeden nieostrożny krok mógł skończyć się roztrzaskaniem na drobne kawałki, podeszła do skraju przepaści bez kłopotów. Po kilkuset krokach droga doprowadziła naszych dokładnie naprzeciwko jaskini, nie dalej jak na odległość dwustu stóp. Przed wejściem do pieczary znajdowała się grupa rabusiów, którzy właśnie wrócili z udanej wyprawy, podczas której dokonali mordów i grabieży w osiedlach koło Florence nad rzeką Gila. Urządzili sobie tańce, żeby się rozgrzać i uczcić szczęśliwy powrót. Pół tuzina albo i więcej kobiet wstało ze swych posłań i kręciło się przy ogniu, przygotowując śniadanie dla swoich walecznych współplemieńców. Indianie, mężczyźni i kobiety, byli

w doskonałych nastrojach, bo i dlaczego mieliby nie być, mając schronienie w głębokiej przepaści, gdzie tylko orzeł, jastrząb, sęp albo kozica górską mogłyby zmącić im spokój? Ale co to? Cóż to za hałas? Za chwilę się przekonacie wy biedne, nieświadome, czerwonoskóre łotry, kiedy huk karabinowych wystrzałów bang! i boom! rozniesie się jak ryk działa po szczytach gór, kiedy sześciu z was padnie trupem w skalny kurz”.

Indianie, osłupiali z powodu niespodziewanego ataku w miejscu, które wydawało im się całkowicie bezpieczne i niedostępne, przez dłuższą chwilę nie wiedzieli, co zrobić. Zanim ochłonęli, żołnierze Bourke’a zdążyli zająć pozycje obok czołowego oddziału Rossa i utworzyć linię ogniową, odcinając oblężonym możliwość odwrotu. Wreszcie pierwszy szok minął i wojownicy, kryjąc się za niskim skalnym parapetem zasłaniającym wejście do jaskini, odpowiedzieli dzikimi okrzykami oraz strzałami z łuków i karabinów. Brown, pamiętając o rozkazie generała Crooka, aby w miarę możliwości oszczędzać kobiety i dzieci, zaproponował Indianom kapitulację, na co odpowiedzieli „okrzykami wrogości i nienawistnymi groźbami”.

„Pokonując szarość chłodnego grudniowego poranka, pierwsze promienie słońca zabłysły ponad horyzontem i oświetliły jedną z najgorszych band Apaczów w Arizonie, schwytaną niczym wilki w pułapkę – kontynuował swą opowieść Bourke. – [Indianie] odrzucili z pogardą naszą propozycję kapitulacji i wyzywająco wrzeszczeli, że nikt z nas nie wyjdzie żywy z tego kanionu. Usłyszeliśmy, jak wojownicy zaczęli nucić swoją pieśń śmierci, a potem wychynęli z czeluści jaskini i zza barykady kamieni, która chroniła wejście do niej niczym parapet. Ale nas było trzy razy więcej i zasypaliśmy ich deszczem ołowiu. Kule, odbijając się od stropu i wejścia do pieczary, wpadały pomiędzy dzikusów znajdujących się poza

parapetem i raniły niektóre kobiety i dzieci, których żalosne lamentsy wypełniły zaraz powietrze. Podczas najgorętszej wymiany strzałów mały chłopiec, mający najwyżej cztery lata, wybiegł na drugą stronę barykady i stanął bezradnie pomiędzy dwiema liniami ognia. Wtedy bez chwili wahania wyskoczył Nantaje, chwycił malca w ramiona i uciekł bezpiecznie na naszą stronę. Kula, która prawdopodobnie rykoszetowała od stropu, trafiła chłopca w czubek głowy i rozorała mu kark, zostawiając głęboką bruzdę, ale nie wyrządziła mu większej krzywdy. Nasi ludzie przerwali na chwilę ogień, aby wydać okrzyk na cześć Nantaje i powitać nowego gościa”[2].

W krótkiej chwili przerwy major Brown ponowił propozycję kapitulacji, dając Indianom możliwość wyprowadzenia z pola walki ich rodzin, ale i tym razem obrońcy odpowiedzieli na nią szyderstwami. Pogardliwie klepali się po tyłkach i miotali groźby pod adresem wrogów. Czując, że zrobił wszystko, aby przerwać rozlew krwi, Brown kazał żołnierzom wznowić ostrzał. Jego skutki okazały się straszne. W bitewnym szale każdy strzelec po stronie wojska „otwierał zamek swojego karabinu tak szybko, jak tylko mogły nadążyć jego ręce, i strzelał w sklepienie jaskini z takim zamiarem, aby kule padały między ludzi, którzy kryli się w tyle za kamiennym szańcem”.

Ostrzał prowadzony w taki sposób odniósł zamierzony skutek. Rykoszetujące kule zmusiły Indian do opuszczenia kryjówek i odważnej wymiany strzałów z żołnierzami. Do walki włączyły się także kobiety, ładując karabiny poległych wojowników. W tym czasie pozostawiony w odwodzie oddział kapitana Burnsa przedostał się niezauważony na sam szczyt klifu górującego nad jaskinią i zaczął strącać z góry kamienie, a także ostrzeliwać ukrytych w dole Indian.

„Znowu wezwaliśmy Apaczów, żeby się poddali – ciągnął Bourke – [...] albo przynajmniej pozwolili przejść linię frontu

swoim kobietom i dzieciom, ale oni znów odpowiedzieli wyzywającym wrzaskiem. Wreszcie nadszedł ich koniec. Oddział pozostawiony przez majora Browna na skraju przepaści, aby w razie potrzeby osłaniać nasz odwrót, otworzył sobie drogę na skalną półkę znajdującą się ponad kryjówką wroga i zaczął zrzucać wielkie głazy, które zmiażdżyły większość Apaczów”.

W końcu został tylko jeden żywy obrońca, dobrze ukryty w skalnej dziurze. Około południa zabił jednego ze zwiadowców Pimów, ale gdy się wychylił z jamy, aby sięgnąć po woreczek z amunicją, trafiła go jedna lub dwie kule. Rannego wojownika wkrótce wykończono. „To był mój szwagier – napisał wiele lat później w swojej biografii Hoomoothyah. – Wszyscy znali go z tego, że nigdy nie chybiał. Był ostatnim, którego zabito, i zginął jak prawdziwy mężczyzna”. Po czterech godzinach krwawej walki nad polem bitwy w kanionie rzeki Salt zapanowała cisza, przerywana tylko jękami umierających i płaczem poranionych kobiet i dzieci.

„Wszyscy wojownicy polegali na swoich stanowiskach – wspominał Bourke. – Kobiety i dzieci, które ukryły się wewnątrz niezbyt głębokiej pieczary, zostały pojmane i zabrane do Camp McDowell. Wiele z nich odniosło rany od rykoszetów i kawałków spadających skał. Kiedy tylko przyprawiono konie i muły, załadowaliśmy na nie naszych jeńców i pospieszyliśmy do wspomnianego posterunku wojskowego, który znajdował się ponad pięćdziesiąt mil od nas”.

W bitwie przy jaskini w kanionie rzeki Salt, której nadano potem złowrogą nazwę Jaskini Szkieletów (*Skeleton Cave*), zginęło co najmniej pięćdziesięciu czterech Indian – mężczyzn, kobiet i dzieci, a trzydzieści sześć osób wzięto do niewoli. Wśród zabitych była także cała rodzina Hoomoothyaha. Wielu jeńców miało ciężkie rany, które przy braku dostatecznej ilości leków, środków opatrunkowych i noszy uniemożliwiły ich

konny transport. Tych pozostawiono na pastwę losu i krwiożerczych Pimów, którzy po odejściu wojska wrócili i porozbijali im głowy uderzeniami kamieni i ciosami pałek. Zabrano jedynie osiemnaście zdrowych i najlżej rannych kobiet i dzieci. Po stronie wojska zginął tylko jeden zwiadowca Pimów. Dopiero po bitwie wyszło na jaw, że Indianie w jaskini nie byli poszukiwanymi Apaczami, lecz należeli do innej, liczącej około stu osób grupy Yavapai wodza Nanni-Chaddi. Z całej grupy uratował się prawdopodobnie tylko jeden mężczyzna, ukryty wśród martwych ciał i odłamków skał, oraz jedna starsza kobieta i sześć młodych dziewczyn, które tuż przed walką opuściły kryjówkę w poszukiwaniu liści agawy, dziko rosnącej na dnie kanionu.

„Tak zakończyła się bitwa, w której zadano największy cios Apaczom w Arizonie. Nie tylko zniszczyliśmy całą bandę, ale na dodatek bandę, która brała aktywny udział w napadach na osiedla nad rzeką Gila i która odrzuciła wszystkie pokojowe propozycje naszego rządu. Do dziś Indianie z [rezerwatu] San Carlos opłakują siedemdziesięciu sześciu swoich krewnych, których pozbawiliśmy ducha w Jaskini Szkieletów” – podsumował swą relację Bourke.

29 grudnia kolumna majora Browna powróciła z jeńcami do Camp Verde. Po tygodniowym odpoczynku została wzmocniona trzema nowymi kompaniami 5. Pułku Kawalerii USA i od 6 stycznia 1872 roku kontynuowała pościg za wrogimi Apaczami w dół rzeki Salt. 15 stycznia zwiadowcy Browna trafili na kolejne dobrze ukryte obozowisko Apaczów w dzikich górach Superstition, niedaleko dzisiejszego Apache Junction. Żołnierze wspięli się tam nocą i zaatakowali siedlisko Indian, ale jak przyznał kapitan Bourke, tym razem jego mieszkańcy okazali się „za sprytni dla nas i uciekli, pozostawiając w naszych rękach trzech zabitych i trzynaścioro jeńców, same kobiety i dzieci”.

Wojsko pojmało także starego wodza grupy, „który, podobnie jak jego ludzie, wydawał się wyjątkowo biedny”.

Bitwa w kanionie rzeki Salt oraz potyczka w górach Superstition, chociaż nie doprowadziły do wytopienia i zniszczenia obu poszukiwanych wodzów, Delshaya i Chunza, pokazały wrogim Apaczom, że armia może spenetrować nawet najbardziej odległe i niedostępne rejony ich kraju. Były zatem groźnym ostrzeżeniem dla wszystkich wojujących Indian w Arizonie.

We wrześniu 1873 roku Delshay ze swoją grupą przepadł w dzikich górach, gdzie ukrywali się już inni zbuntowani wodzowie Tonto. Wysłane za nimi oddziały wojska i indiańskich zwiadowców przez dziewięć miesięcy przeczesywały trudno dostępne góry Mazatzal, Mogollon i Pine. W rezultacie zdołały wytropić i zabić większość przywódców buntowników. W czerwcu zwiadowca z rezerwatu San Carlos imieniem Desalin wytropił i zabił Chunza oraz sześciu innych renegatów ukrytych w górach Santa Catalina, niedaleko Tucson. Przyniósł ze sobą wszystkie siedem głów, które następnie wystawiono na placu apelowym w San Carlos. Nikomu jednak nie udało się znaleźć Delshaya. Pułkownik Crook wielokrotnie nakazywał swoim oficerom, aby wysłedzili jego grupę i wybili do ostatniego, bo „im szybciej zostaną przyniesione ich głowy, tym mniej chętnie inni będą narażać swoje”. Znowu podjęto kilka wypraw z udziałem kilkuset indiańskich zwiadowców, zabito ponad pięćdziesięciu wrogich Apaczów i pojmano wiele kobiet, ale Delshay jakimś cudem wciąż pozostawał na wolności.

Wczesną wiosną 1874 roku wielu zmęczonych mroźną zimą i wygłodniałych Tonto poddało się żołnierzom, prosząc o łaskę i pozwolenie na powrót do San Carlos. Crook, zgodnie ze swoją polityką, zgodził się, ale pod warunkiem, że odszukają resztę swoich przywódców i przyniosą ich głowy. Zagroził, że jeśli tego nie zrobią, wyśle przeciwko nim wojsko, które ich pozabija.

W ciągu kilku następnych miesięcy przyniesiono do agencji San Carlos i wystawiono na widok publiczny kilka okrwawionych głów, ale żadna z nich nie była głową Delshaya. W końcu zniecierpliwiony Crook zdecydował, że wojsko nie może w nieskończoność ścigać jednego Indianina po całej kotlinie Tonto. Uznał, że „tylko Apacz może wytropić Apacza”, i wyznaczył za głowę Delshaya nagrodę w wysokości pięćdziesięciu dolarów. A potem czekał, jaki rezultat przyniesie jego „polityka dekapitacji”.

Tymczasem w lipcu Delshay wrócił potajemnie do rezerwatu Tontów koło Camp Verde i znowu zaczął podburzać Indian, przekonując, że ich ziemie zostaną zabrane, a oni sami wygnani na pustynię, gdzie wszyscy powymierają. Zaniepokojony tym agent, porucznik Walter Schuyler, wysłał za nim w góry trzech zwiadowców Tonto, którzy wiedzieli, gdzie się wódz ukrywa. Zwiadowcy wrócili do Rio Verde i pod nieobecność Schuylera wręczyli obozowemu lekarzowi, doktorowi Williamowi Corbusierowi, pomięty i okrwawiony worek, mówiąc tylko: „De-che-ae”. W swoim raporcie Corbusier napisał: „Po otworzeniu pakunku znalazłem w nim skalp ze zwisającym lewym uchem, do którego był przyczepiony perłowy guzik od koszuli”.

Głowę wodza dostarczono Crookowi do fortu Mc Dowell razem z siedemdziesięcioma sześcioma jeńcami Tonto. Zwiadowcy twierdzili, że zabili Delshaya 29 lipca w pobliżu szczytu Turret. Jednakże jakiś czas później agent John Clum z agencji San Carlos doniósł Crookowi, że jego niezmordowany zwiadowca Desalin przyniósł mu 21 sierpnia inną głowę, utrzymując, że to on zabił Delshaya na zachód od San Carlos. Obiecanej nagrody żądali zarówno Indianie z Camp Verde, jak i ci z San Carlos. Sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej, gdy pewien Apacz Tonto z San Carlos oświadczył, że głowa przyniesiona przez Desalina należy do jego syna, nie Delshaya.

Crook znalazł się w kropce, ale wybrnął z kłopotu, znajdując salomonowe wyjście. Dyplomatycznie oświadczył, że Delshay miał dwie głowy, i zapłacił obu grupom. Ostatecznie uznał, że to skalp z uchem z Camp Verde jest autentyczny, pisząc w raporcie z 31 sierpnia, że „Delshay został zabity przez własnych ludzi koło góry Turret”. Dodał jednak, że jest „zadowolony z tego, że obie grupy wierzą w to, co mówią”, i że przyniesiono mu dodatkową głowę, „co nie było bez znaczenia i obu [grupom] dałem nagrodę”.

Śmierć Delshaya była ostatnim ważniejszym wydarzeniem 1874 roku. Po stoczeniu dwudziestu bitew i potyczek, w których zabito ponad dwustu Indian, wojna z Apaczami Tonto i Indianami Yavapai dobiegła końca. Potem nastąpiło względnie spokojne lato, podczas którego poszczególne grupy Apaczów i Yavapai wykopały kanały nawadniające, skosiły trawę i zebrały siano, które mogły sprzedawać armii.

W 1873 roku George Crook otrzymał awans na generała brygady armii regularnej, a naczelny dowódca armii Stanów Zjednoczonych generał Sherman z uznaniem nazwał go „największym pogromcą Indian”. Po uspokojeniu sytuacji w Arizonie w 1875 roku Crook został przeniesiony na północne Równiny, gdzie na początek zlecono mu niemożliwe do wykonania zadanie usunięcia nielegalnych poszukiwaczy złota ze świątyn dla Siuksów Czarnych Wzgórz. W 1876 roku wziął udział w wielkiej wojnie z Siuksami i Czejenami, dowodząc jedną z amerykańskich kolumn rzuconych do walki z Indianami Szalonego Konia i Siedzącego Byka. W 1882 roku wrócił do Arizony, gdzie Apacze znowu opuścili swoje rezerwy i ruszyli do walki partyzanckiej pod wodzą nowego przywódcy, którego imię brzmiało Geronimo.

- 1 Nawiązanie do słynnego Psalmu 23. *Bóg pasterzem i gospodarzem*, który głosi: „Chciałbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękę, bo Ty jesteś ze mną”.
- 2 W marcu 1875 r. Nantaje i dziewięciu innych indiańskich zwiadowców, którzy brali udział w bitwie przy Jaskini Szkieletów, zostało na wniosek generała Crooka odznaczonych najwyższym amerykańskim odznaczeniem bojowym, Medalem Honorowym Kongresu (*Congressional Medal of Honour*).

Kapitan Jack i wojna Modoków

Do namiotu rozbitego na ziemi niczyjej, pomiędzy pierwszymi liniami wojska i Indian, generał Edward Canby wszedł w towarzystwie pięciu innych członków komisji pokojowej. Otwierając negocjacje z Modokami, wyjął pudełko cygar i poczęstował nimi Kapitana Jacka oraz czterech towarzyszących mu wojowników. A potem zaczął mówić. Oświadczył, że przybył zawrzeć pokój i że jego obietnice zostaną spełnione. Nagle przemowę Canby'ego przerwał Kapitan Jack. Zerwał się na równe nogi, wyciągnął ukryty rewolwer i skierował jego lufę w stronę generała. Nacisnął spust, ale broń nie wypaliła. Ponownie odciągnął kurek i strzelił mu prosto w twarz. Canby, dowódca wojskowego okręgu Kalifornii, opadł bezwładnie na krzesło, a obok niego zwał się, zastrzelony przez innego Modoka, pastor Eleazer Thomas. Za Canbym leżał w kałuży krwi jego sekretarz, Alfred Meacham. Pozostali członkowie komisji rzucili się do ucieczki i zdołali bezpiecznie ujść. Żołnierzy, którzy próbowali przyjść na pomoc generałowi, Indianie powstrzymali ogniem z karabinów. Zdrada i zamordowanie popularnego generała pod białą flagą ostatecznie rozwiały nadzieje na pomyślne zakończenie negocjacji z Modokami.

Wojna z Modokami zaczęła się 29 listopada 1872 roku od wystrzału z rewolweru porucznika Fraziera Boutelle'a, którego wysłano z oddziałem żołnierzy w celu aresztowania Kapitana Jacka i odprowadzenia go razem z jego zwolennikami do rezerwatu Klamasów w południowym Oregonie. A skończyła

się 1 czerwca 1873 roku kapitulacją wodza nad strumieniem Willow w północnej Kalifornii. Istnieje wiele wątpliwości, czy krwawe wydarzenia, które rozegrały się w ciągu tych sześciu miesięcy, można właściwie nazwać wojną. Jeśli tak, to – biorąc pod uwagę liczbę zaangażowanych w nią Indian, straty w ludziach i poniesione koszty – były to najdroższe działania zbrojne armii Stanów Zjednoczonych w historii wojen indiańskich.

Modokowie należeli do kilkuset małych plemion kalifornijskich. Zamieszkiwali terytorium nad rzeką Lost i wokół jezior: Klamath Dolne, Tule i Goose na pograniczu Kalifornii i Oregonu. Ich liczebność prawdopodobnie nigdy nie przekraczała ośmiuset osób. Od najdawniejszych czasów żyli z rybołówstwa, polowania na drobną zwierzynę i zbieractwa dziko rosnących roślin. W sensie kulturowym byli bliżsi ludom z Wielkiej Kotliny niż pozostałym Indianom kalifornijskim, z wyjątkiem spokrewnionych z nimi Klamasów, z którymi mieli podobny język.

Mimo niewielkiej liczebności Modokowie należeli do najbardziej wojowniczych plemion kalifornijskich. Ich złe stosunki z białymi datują się od lata 1852 roku, kiedy to rozwścieczeni napływem osadników i poszukiwaczy złota, dokonali paru napadów na imigrantów i zmasakrowali sześćdziesięciu pięciu z nich nad jeziorem Tule. Wyolbrzymione wieści o ich nieprawdopodobnym okrucieństwie i gwałtach rozniosły się po całej okolicy, wywołując żądze zemsty. Kampanię przeciwko nim zorganizował niejaki Ben Wright, znany „pogromca Indian” i dowódca kalifornijskiej milicji z górniczej osady Yreka. Łowy na Modoków ciągnęły się trzy miesiące. Milicjantom Wrighta udało się zniszczyć kilka małych grup pokojowo nastawionych Indian, ale winnych napadów nie udało się dopaść. W końcu Wright zwabił czterdziestu sześciu ważnych Modoków pod

pozorem rozmów pokojowych i zamordował czterdziestu jeden z nich, wśród nich ojca późniejszego wodza Modoków, Kapitana Jacka.

W nagrodę Wright został mianowany agentem indiańskim na południowym wybrzeżu Oregonu, co tylko zaogniło stosunki białych z Indianami. Jego kariera nie trwała zresztą długo. 23 lutego 1856 roku zamordował go przy ujściu rzeki Rogue indiański zwiadowca z plemienia Szoszonów imieniem Enos, który pomścił w ten sposób obrazę, jakiej dopuścił się po pijanemu Wright wobec swojej indiańskiej kochanki Chetcoe Jennie w oregońskim Port Orford. Według legendy Enos zjadł potem jego serce na surowo razem z Chetcoe Jennie. Dwa miesiące później jednak zabójca Wrighta sam padł ofiarą samosądu osadników, a pomszczona kochanka Wrighta zniknęła w puszczy i nigdy więcej się nie pokazała.

Dla niezbyt licznych Modoków „masakra Bena Wrighta” z listopada 1852 roku była prawdziwą katastrofą. Złamała ich siłę bojową i odtąd biali mogli bez przeszkód przejeżdżać przez ich kraj. 14 października 1864 roku rząd zawarł z Modokami traktat w miejscu zwanym Council Grove, na północ od jeziora Klamath Górne, nakazujący im porzucić swój kraj nad rzeką Lost i jeziorem Tule i osiaść w rezerwacie Klamasów w Oregonie. W naradzie wzięło udział ponad tysiąc Indian, w tym trzystu dziewiętnastu Modoków i siedmuset dziesięciu Klamasów, co świadczy o liczebnych proporcjach obu plemion. Większość Modoków ze starym wodzem Skonchesem, zwanym przez białych Starym Schonchinem, niechętnie posłuchała wezwania, ale grupa blisko siedemdziesięciu wojowników z rodzinami, w której był Kapitan Jack, niezadowolona z sąsiedztwa silniejszych Klamasów, z którymi Modokowie nie potrafili żyć w zgodzie, odmówiła podpisania traktatu.

Kapitan Jack (ok. 1839–1873), którego indiańskie imię brzmiało Kintpuash, urodził się we wsi swojego plemienia

Wa'chamshwash nad rzeką Lost, wpływającą do jeziora Tule. W młodości był pokojowo nastawiony do Amerykanów i wraz z innymi szybko przyswoił sobie ich sposób noszenia się i ubierania. Przeciwstawiał się napadom na emigrantów i bywał częstym gościem w obozie górników w Yreka, gdzie żołnierze obdarowali go wojskową kurtką z mosiężnymi guzikami, od której wzięło się jego przybrane imię: Kapitan Jack. Kiedy jednak w latach sześćdziesiątych wzmożyły się naciski na rząd, aby odebrać Modokom ziemię, zmienił swoje nastawienie do białych i stał się jednym z głównych rzeczników oporu przed oddaniem ojczystego kraju Amerykanom.

Problemy z Kapitanem Jackiem zaczęły się od chwili umieszczenia Modoków w nowym rezerwacie. Częściowo wynikały one z rywalizacji pomiędzy Starym Schonchinem a dużo młodszym od niego Kintpuashem. Ten pierwszy był bardziej ugodowy i dlatego faworyzowany przez władze agencji, kosztem młodszych i bardziej wojowniczych przywódców. W 1865 roku Kapitan Jack uznał, że sytuacja w rezerwacie stała się nie do wytrzymania, zebrał więc swoich zwolenników i na ich czele powrócił do dawnych siedzib nad rzeką Lost. Chociaż traktat z Modokami nie został ratyfikowany i formalnie nie obowiązywał, ziemie Indian zajęli już osadnicy, którzy zażądali odesłania ich z powrotem do rezerwatu. Kapitan Conor McGregor, dowódca wojskowy w forcie Klamath, miał w tym czasie pełne ręce roboty z Pajutami i nie chciał wywoływać nowej wojny z Modokami, zostawił więc problem do rozwiązania urzędnikom Biura do spraw Indian. Negocjacje w kwestii powrotu Modoków do rezerwatu trwały do grudnia 1869 roku i zakończyły się niepomyślnie dla Kapitana Jacka i jego ludzi: musieli pod presją wrócić do Oregonu.

Po powrocie do rezerwatu Modokowie próbowali zaadaptować się do nowego życia, ale okoliczności im nie sprzyjały. Rezerwat znajdował się na dawnych terenach

łowieckich Klamasów, a ci traktowali ich z niechęcią i nie pozwalali im czerpać ze swoich zasobów naturalnych. Prześladowani i zastraszeni przez silniejszych sąsiadów, nie mogli zbierać w lesie płodów dziko rosnących roślin, coraz częściej też musieli chronić swoje kobiety przed natarczywością żołnierzy z fortu Klamath. Wszystko to sprawiało, że mieli dość życia na modłę białych. Ich apele o ochronę, kierowane do agenta indiańskiego, pozostawały bez odpowiedzi, a kiedy na domiar złego w kwietniu 1871 roku obcięto im racje żywnościowe, aby zmusić ich do poszukiwania żywności na własną rękę, Kapitan Jack jeszcze raz poprowadził około stu pięćdziesięciu swoich ludzi do dawnej ojczyzny. Armia i władze agencyjne zaczęły nawzajem się oskarżać o doprowadzenie do ich ucieczki, ale nie podjęto żadnej natychmiastowej akcji, żeby sprowadzić ich z powrotem, dzięki czemu przez następne półtora roku uciekinierzy żyli dość zgodnie z białymi sąsiadami nad rzeką Lost.

Latem 1872 roku agent Modoków Thomas Odeneal otrzymał rozkaz osaczenia grupy Kapitana Jacka i sprowadzenia ich do rezerwatu za wszelką cenę, łącznie z użyciem siły. Nie zrobił jednak nic do jesieni i dopiero 27 listopada zwrócił się w tej sprawie o pomoc do komendanta fortu Klamath, majora Johna Greena. Ten zareagował bardzo szybko i następnego dnia, bez konsultacji z przełożonymi, rozkazał kapitanowi Jamesowi Jacksonowi i porucznikowi Boutelle'owi ruszyć z oddziałem trzydziestu ośmiu kawalerzystów z 1. Pułku Kawalerii USA do wioski Modoków nad rzeką Lost i odprowadzić Kapitana Jacka wraz z jego zwolennikami z powrotem do rezerwatu. Żołnierze Jacksona przybyli na miejsce 29 listopada. Podczas próby przekonania Indian do złożenia broni i dobrowolnego powrotu porucznik Boutelle odniósł wrażenie, że jeden z wojowników zamierza go zastrzelić, wyciągnął więc rewolwer i oddał pierwszy strzał, tym samym rozpoczynając wojnę z Modokami.

Wywiązała się chaotyczna strzelanina, w której wyniku stracili życie jeden żołnierz i jeden Indianin. Rany odniosło siedmiu kawalerzystów i wielu Modoków.

Po tej potyczce Kapitan Jack poprowadził swoich ludzi przez trudno dostępny powulkaniczny płaskowyż Lava Beds w północno-wschodniej Kalifornii na południe od jeziora Tule. Po drodze mały oddział pod wodzą Hooker Jima napadł na osadników nad rzeką Lost i zabił czternaście osób, co tylko dołało oliwy do ognia. Osaczenie wodza i jego małej grupy stu sześćdziesięciu trzech osób zajęło armii sześć tygodni, potrzebnych na sprowadzenie posiłków z Oregonu i Kalifornii. W połowie stycznia 1873 roku siły liczące około dwustu pięćdziesięciu żołnierzy piechoty i kawalerii pod dowództwem podpułkownika Franka Wheatona oraz stu pięćdziesięciu cywilnych ochotników i indiańskich zwiadowców były gotowe do złamania oporu Kapitana Jacka i jego pięćdziesięciu trzech wojowników. Wobec tak dużej przewagi Amerykanów wódz chciał się poddać, ale został przegłosowany przez swoich bardziej wojowniczych zastępców, Hooker Jima i Schonchina Johna, młodszego brata starego wodza o tym samym imieniu, który był jednym z pięciu Modoków uratowanych z „masakry Wrighta” w 1852 roku.

Pierwszy atak na warownię Modoków nastąpił 17 stycznia i zakończył się porażką wojska. Podczas walki w gęstej mgle, w której żołnierze w ogóle nie widzieli nieprzyjaciela, zginęło dwunastu ludzi, w tym trzech oficerów, a dwudziestu siedmiu odniosło rany. Wielu z nich, uciekając w panice, pogubiło swoje racje żywnościowe i broń. Niektórzy zdezerterowali, a część po prostu pochowała się po dziurach i za skałami. Modokowie nie stracili ani jednego człowieka. Wierzyli, że zwycięstwo zawdzięczają swojemu szamanowi, Kędzierzawogłowemu Doktorowi, który przed atakiem wojska swoim tańcem i czarami sprowadził zbawienną mgłę. Podpułkownik Wheaton,

który w czasie wojny secesyjnej w stopniu generała ochotników dowodził dywizją w armii Unii, był pod wrażeniem walki Indian i pełen podziwu dla ich niezdobytej twierdzy:

„Wiem coś o wojnie i wiem coś o fortyfikacjach – powiedział. – W czasie bitwy w Wilderness [w 1864 roku] dowodziłem 19 000 ludzi i widziałem wiele najpoważniejszych umocnień wojny domowej, ale nie wierzę, żeby sto tysięcy ludzi potrafiło w sto tysięcy lat wybudować takie fortyfikacje”.

Dowódca wojskowy na wybrzeżu Pacyfiku generał Edward Canby był przekonany, że kampania przeciwko Modokom będzie krótka i zwycięska. Porażka Wheatona, którego żołnierze przewyższali liczebnie Indian w stosunku siedem do jednego, okazała się dla niego niemiłą niespodzianką. Odwołał więc niefortunego oficera dowódcę i zastąpił go innym, pułkownikiem Alvinem Gillemem. Zanim jednak nowy dowódca zdążył przybyć z San Francisco na front i opracować plan nowej kampanii, sytuacja uległa zmianie.

W styczniu 1873 roku Alfred Meacham, dawny agent indiański, podsunął rządowi w Waszyngtonie pomysł wysłania do Modoków pokojowej komisji w celu wynegocjowania z nimi warunków ich kapitulacji. Po wielu tygodniach przygotowań, wymiany listów z Indianami i zmian w składzie komisji na jej czele stanął generał Canby. W połowie marca okazało się, że Modokowie grają na zwłokę, i Canby postanowił pchnąć sprawę do przodu. Przesunął wojsko bliżej ich warowni i otoczył Lava Beds na wypadek, gdyby Indianie chcieli uciec. Kapitan Jack był jednak na tyle mądry, żeby wiedzieć, iż nie zdoła długo opierać się armii. Wysłał więc Canby'emu wiadomość, że mógłby się poddać pod warunkiem wycofania żołnierzy i uwolnienia niektórych jego ludzi od zarzutu zamordowania osadników nad rzeką Lost. Domagał się także rezerwatu dla Modoków na dawnych terenach plemiennych w pobliżu jeziora Tule. Canby nie mógł przystać na te żądania i dał do zrozumienia, że

interesuje go tylko bezwarunkowa kapitulacja. O dalszym losie Modoków miały zdecydować władze w Waszyngtonie.

Pertraktacje Kapitana Jacka z Amerykanami naraziły go na zarzut tchórzostwa. Sytuację skomplikował dodatkowo konflikt wodza z Kędzierzawogłowym Doktorem, Hooker Jimem, Schonchinem Johnem, własnym przyrodnim bratem wojowniczym Czarnym Jimem oraz ich najbliższymi stronnikami, którzy wierzyli, że czary szamana są mocniejsze od siły białych. Utwierdzał ich w tym przekonaniu fakt, że przez kilka lat Modokowie nie dali się zapędzić do rezerwatu, odparli atak wojska na swoją twierdzę i raz za razem skutecznie odwlekali negocjacje w sprawie kapitulacji. W rezultacie nie tylko wrogo odnosili się do rozmów pokojowych, ale wręcz pragnęli doprowadzić do wznowienia walk przez zamordowanie Canby'ego i innych członków komisji. A Kapitan Jack, chcąc utrzymać pozycję wodza i oczyścić się z zarzutu tchórzostwa, uległ ich presji i obiecał zabić generała na najbliższym spotkaniu. Doszło do tego 11 kwietnia.

Tego dnia na spotkanie z Jackiem i jego czterema wodzami przybyła komisja w składzie: Canby, Meacham, Leroy Dyar, agent indiański z rezerwatu Klamasów, pastor Eleazer Thomas, duchowny metodystów z Kalifornii, oraz para tłumaczy, Frank Riddle i jego indiańska żona Tobey. Na miejscu okazało się, że Indian jest więcej, niż się spodziewano, a niektórzy z nich, wbrew ustaleniom, są uzbrojeni. Ponadto wielu innych wojowników ukrywało się wśród pobliskich skał. Canby jednak zignorował zagrożenie i rozpoczął negocjacje, które przerwał nagle Kapitan Jack, wyciągając ukryty rewolwer i strzelając generałowi prosto w twarz. Jednocześnie inny Modok, imieniem Boston Charley, zastrzelił pastora Thomasa, a Schonchin John ciężko ranił w głowę Meachama. Dyar i Riddle, którzy w momencie rozpoczęcia strzelaniny stali za

siedzącymi członkami komisji, błyskawicznie rzucili się do ucieczki i zdołali zbiec. Tłumaczka Tobey Riddle dostała cios w głowę, ale upadając, zdążyła krzyknąć, że nadchodzą żołnierze, czym zdezorientowała Indian. Przeżyła i osłoniła jeszcze przed dobieciem nieprzytomnego Meachama. A Modokowie, obrabowawszy Canby'ego i Thomasa z ubrań i butów, wycofali się do swojej twierdzy, wiedząc, że mogą się spodziewać kolejnego ataku żołnierzy. Kapitan Jack przyznał potem, że zabijając generała, wydał na siebie wyrok śmierci, ale jako przywódca swojej grupy nie mógł postąpić inaczej.

Chociaż do zabójstwa Canby'ego doszło 11 kwietnia, wojsko przystąpiło do akcji dopiero cztery dni później, wprowadzając do walki ponad pięciuset ludzi z dwoma działami, nie licząc siedemdziesięciu dwóch indiańskich zwiadowców z plemienia Warm Springs. Drugi atak na fortecę Modoków był tak samo nieudany jak pierwszy. Wykorzystując brak koordynacji poszczególnych oddziałów, w nocy Modokowie po prostu wyszli z okrążenia przez lukę w ugrupowaniu wojska i zniknęli w gąszczu wulkanicznych stożków, parowów i łóż lawy. 26 kwietnia dwudziestu czterech z nich pod wodzą Charleya Pobliznionej Twarzy wciągnęło w zasadzkę i pobiło poszukujący ich patrol sześćdziesięciu czterech żołnierzy kapitana Evana Thomasa. Zginął dowódca oddziału i dwudziestu dwóch jego ludzi, a prawie drugie tyle odniosło rany. Pozostali uciekli do obozu Gillema, ścigani szyderczym krzykiem Charleya: „Jeżeli jeszcze żyjecie, wracajcie lepiej do domu. Nie chcemy was wszystkich zabić jednego dnia”. Jak zwykle dotąd, Modokowie nie ponieśli żadnych strat. Kolejna katastrofa skończyła się odwołaniem Gillema, którego 2 maja zastąpił pułkownik Jeff Davis, trzeci już dowódca wyznaczony do rozprawienia się z niepokornymi Indianami.

10 maja Modokowie zaatakowali obóz żołnierzy, spodziewając się, że walka zakończy się tak samo jak

poprzednie starcia. Ale tym razem było inaczej. Choć Modokowie zabili i ranili paru nieprzyjaciół, kontratak wojska odrzucił ich od obozu, a w pościgu żołnierze zabili jednego z wodzów zwanego Mężem Heleny i zdobyli większość jucznych koni z zapasami żywności i amunicji. Wśród Indian zaczęły się waśnie, które doprowadziły do rozłamu i upadku ich bojowego ducha. Grupa czternastu wojowników Hooker Jima z rodzinami zdezerterowała, a kiedy zapewniono ich, że nie zostaną zastrzeleni, 22 maja oddali się w ręce żołnierzy. Aby ocalić swoje życie, zaproponowali, że namówią do kapitulacji także pozostałych, w tym Kapitana Jacka.

Od tej chwili koniec oporu Modoków był już tylko kwestią czasu. Kapitan Jack wciąż miał ze sobą trzydziestu siedmiu wojowników, ale – o czym wojsko nie wiedziało – oni również podzielili się na mniejsze grupki i rozproszyli po okolicy. Amerykanie wykorzystali schwytanych Modoków do wysłedzenia ich i nakłonienia do złożenia broni. Jako ostatni 1 czerwca poddali się żołnierzom kapitana Joela Trimble'a nad strumieniem Willow Kapitan Jack z Czarnym Jimem, Charleyem Poblížnioną Twarzą i paroma ostatnimi zwolennikami. Tym samym wojna z Modokami dobiegła końca.

W lipcu skutego łańcuchami Kapitana Jacka i pięciu innych Modoków przewieziono do fortu Klamath i postawiono przed sądem wojskowym. Sądzone ich nie za udział w wojnie, lecz za zamordowanie generała Canby'ego i pastora Thomasa. Hooker Jim, który był rzeczywistym sprawcą konfliktu i należał do najaktywniejszych uczestników wojny, teraz zdradził swoich towarzyszy i zeznawał jako główny świadek oskarżenia. Dwóch Modoków zostało skazanych na dożywocie w słynnym więzieniu Alcatraz w zatoce San Francisco, a Kapitan Jack wraz z Czarnym Jimem, Schonchinem Johnem i Bostonem Charleyem zawisli na szubienicy 3 października 1873 roku w obecności pięciuset Klamasów, których spędzono w celu obejrzenia

egzekucji. W wojnie z Modokami zginęło siedemdziesięciu trzech Amerykanów, a czterdziestu siedmiu odniosło rany. Straty Modoków wyniosły siedemnastu ludzi, łącznie z czterema straconymi w forcie Klamath.

Po śmierci Kapitana Jacka stu pięćdziesięciu trzech uwięzionych Modoków z Kędzierzawogłowym Doktorem, Charleyem Pobliznioną Twarzą i Hooker Jimem zesłano na Terytorium Indiańskie, gdzie pozostali jako jeńcy wojenni do 1909 roku. Kilku największych „złoczyńców” umieszczono w więzieniu w forcie Marion na Florydzie. W 1864 roku liczebność plemienia wynosiła prawdopodobnie około sześciuset osób. W 1890 roku na Terytorium Indiańskim żyło już tylko osiemdziesięciu czterech Modoków, a w rezerwacie Klamasów w Oregonie stu pięćdziesięciu jeden. W 1905 roku proporcje te wynosiły odpowiednio: pięćdziesięciu sześciu i dwustu dwudziestu trzech. Po uzyskaniu przez Oklahomę statusu stanu w 1909 roku części Modoków pozwolono wrócić do Oregonu; do dziś żyje ich tam około sześciuset. Większość pozostała jednak w Oklahomie, gdzie otrzymała własny kawałek ziemi i gdzie ich potomkowie w liczbie blisko dwustu mieszkają do dzisiaj.

Quanah Parker i wojna nad Rzeką Czerwoną

W chwili ataku Strażników Teksasu młody Quanah ukrył się wśród wysokich traw, ale jego matkę Cynthię Parker żołnierze wzięli na cel. Okryta skórą bizona, z krótko przyciętymi włosami, wyglądała bowiem jak wojownik Komanczów. W geście rozpaczki podniosła swoją małą córeczkę Kwiat Prerii i podstawiała ją pod nos celującego do niej kawalerzysty, aby mógł dostrzec niebieskie oczy dziecka. Zaskoczony strażnik opuścił rewolwer. Dopiero teraz rozpoznał w niej nie tylko kobietę, ale i białą kobietę.

Rodzina Quanaha obozowała razem z innymi Komanczami Nokoni nad rzeką Pease, dopływem Rzeki Czerwonej (*Red River*) w północno-zachodnim Teksasie, kiedy późną jesienią 1860 roku oddział sześćdziesięciu żołnierzy i Strażników Teksasu, dowodzony przez kapitana Lawrence'a „Sula” Rossa, wdarł się głęboko do kraju Komanczów (*Comancheria*) i 18 grudnia niespodziewanie napadł na obóz wodza Peta Nocony. Po zażartej walce Komancze uciekli. Ross i kilku jego ludzi puścili się w pogoń za wodzem i drugim towarzyszącym mu jeźdźcem. Kiedy pościg zbliżył się do uciekających Indian, drugi jeździec zwolnił i podniósł nad głowę małe dziecko. Strażnicy rozpoznali w nim kobietę i zamiast ją zastrzelić, otoczyli ją i wzięli do niewoli. Wódz nie chciał się poddać nawet wtedy, kiedy ranny spadł z konia. Jeden z ludzi Rossa wziął go na cel i dobił. Peta Nocona był jedynym wojownikiem

Komanczów, który poległ w bitwie. Oprócz niego napastnicy zabili jeszcze czternaście kobiet.

Bitwa nad rzeką Pease ugruntowała sławę Rossa, który w niedalekiej przyszłości miał zostać generałem Konfederacji, a potem dziewiętnastym gubernatorem stanu Teksas. Wiele lat po bitwie syn Peta Nocony, Quanah, oświadczył, że jego ojca nie było w obozie w chwili ataku Rossa i że umarł on dopiero kilka lat po tym zdarzeniu, a człowiekiem, którego Strażnicy Teksasu wzięli za niego, był albo wódz No-bah, albo meksykański jeńiec pełniący funkcję podręcznego sługi białej żony Peta Nocony, Cynthii Parker.

Matka Quanaha, Cynthia Ann Parker, pochodziła z dużej rodziny imigrantów z Illinois osiadłej we wschodnim Teksasie w latach trzydziestych XIX wieku. 19 maja 1836 roku, jako dziewięcioletnia dziewczynka, została porwana podczas napadu połączonych sił Komanczów, Kiowów i Kiczaich na rodzinny fort Parker nad rzeką Navasota, a następnie adoptowana przez Indian pod imieniem Naduah. Spędziła z nimi dwadzieścia cztery beztrioskie lata. Po roku 1840 wyszła za mąż za wodza Peta Noconę, przywódcę północnego odłamu Komanczów o nazwie Nokoni (Wędrowcy). Wędrowali oni po terenach pomiędzy rzekami Arkansas i Czerwoną oraz po teksańskiej równinie Llano Estacado (Staked Plains). Małżeństwo najwyraźniej było szczęśliwe, bo Peta Nocona nigdy nie skorzystał z przywileju wodza i nie wziął sobie drugiej żony. Naduah urodziła mu troje dzieci: dwóch synów, Quanaha i Pecosą, oraz córkę Topsannah (Kwiat Prerii), która razem z nią dostała się do niewoli białych. Chociaż Cynthia Ann ostatecznie trafiła pod opiekę dawnej rodziny, nigdy nie przystosowała się do życia wśród białych. Tęskniła za dziką swobodą i Indianami, stale chodziła zapłakana, parę razy próbowała ucieczki i bała się, że biali ją zabiją. Kiedy w grudniu 1863 roku zmarła na gripę jej córka, nie podniosła się już

z żalu. Załamana i wycieńczona głodówką, odeszła siedem lat później na tę samą chorobę.

Z trojga dzieci Peta Nocony i Cynthii Ann przy życiu został tylko Quanah (1845–1911), co w języku Komanczów znaczy „pachnący”, Pecos bowiem zmarł na czarną ospę w tym samym roku co jego siostra. Przyszły wódz urodził się koło obecnego Wichita Falls w Teksasie. Zasłynął z częstych wypraw przeciwko Meksykanom i amerykańskim osadnikom. Z każdej z nich wracał z licznymi jeńcami i bogatą zdobyczą w postaci stad koni, co uczyniło go sławnym wojownikiem i zyskało mu wielu zwolenników. Po traktacie z Medicine Lodge w 1867 roku, gdy część jego grupy pod wodzą starego Końskiego Grzbietu wybrała życie w pokoju z białymi i zdecydowała się przyjąć ich sposób życia, on nadal wędrował z bardziej konserwatywnymi członkami plemienia, prowadzonymi przez wodza Wielkie Czerwone Mięso. Potem przyłączył się do wojowniczego odłamu Komanczów Kwahadi (Zjadaczy Antylop), zamieszkujących teksańską Rączkę Patelni (*Panhandle*). Walcząc i polując u boku tak znanych wodzów jak Byk Niedźwiedź, Dziki Koń i Czarny Koń, z czasem sam stał się wodzem wojennym i wielkim przywódcą Kwahadi. Mimo że płynęła w nim krew białych, należał do najbardziej nieprzejednanych wodzów Indian z południowych Równin i nigdy nie zawarł z białymi pokoju, ukrywając się na Llano Estacado, z dala od amerykańskich osiedli.

Latem 1874 roku liczni Komancze, Kiowowie oraz Czejenowie Południowi i Arapahowie opuścili swoje rezerwy na Terytorium Indiańskim i kierując się wskazówkami młodego szamana Kwahadi o imieniu Isa-tai, czyli Mały Wilk, rozpoczęli wojnę z białymi. Główną przyczyną niezadowolenia Indian była malejąca liczba bizonów, wybijanych całymi tysiącami przez białych łowców skór, którzy wyruszali na łowy z centrum w Dodge City w Kansas. Otrzymywane przez mieszkańców

rezerwatów coroczne przydziały żywności kończyły się zwykle po sześciu lub siedmiu miesiącach i przez resztę roku musieli oni utrzymywać się z polowania, co jednak stawało się coraz trudniejsze ze względu na bezmyślność i niefrasobliwość białych myśliwych. Nic dziwnego, że wezwania Isa-taia trafiły na podatny grunt i wielu Indian postanowiło zrezygnować z upodlającego życia w rezerwacie.

Po wykonaniu na początku lata wielkiego religijnego Tańca Słońca przy ujściu strumienia Elk do Rzeki Czerwonej, niedaleko fortu Sill w Oklahomie, sprzymierzeni Indianie, zapewnieni przez szamana, że Wielki Duch obiecał mu odwrócić lot kul białych, ruszyli najpierw przeciwko bazie znienawidzonych łowców bizonów w dawnej faktorii handlowej Adobe Walls nad rzeką Canadian na teksańskiej Rączce Patelni. Polegając na obietnicy Isa-taia, spodziewali się, że odniosą łatwe zwycięstwo i zdobędą wspaniałe łupy w postaci skalpów, żywności, broni, amunicji i alkoholu, ale rzeczywistość okazała się zupełnie inna. W bitwie stoczonej 27 czerwca grupa dwudziestu ośmiu myśliwych i handlarzy odparła atak ponad pięciuset Komanczów, Czejenów i Kiowów. W pierwszej fazie walki zginęło dwóch Czejenów i jeden Komancz, a wielu innych odniosło rany. Quanah Parker, który prowadził do boju wojowników Kwahadi, wykazał się wielką odwagą i niewiele brakowało, aby zdobył bastion białych. „Zaatakowaliśmy o świcie, podjeżdżając pod same mury budynków – relacjonował wiele lat później jeden z indiańskich uczestników bitwy, Żółta Ryba. – Quanah Parker, przywódca Komanczów, otworzył nawet drzwi budynku swoją włócznią”.

Ostatecznie jednak atak się nie powiódł, a dalekosiężne karabiny i celne oczy myśliwych odrzuciły Indian poza zasięg strzału. „Indianie mieli w tej walce tylko kilka starych, prymitywnych karabinów o niewielkim zasięgu i marnej celności – kontynuował Żółta Ryba. – Większość była uzbrojona

we włócznie, łuki i strzały. Zabicie wroga włócznią było czynem honorowym, a zabicie go z broni palnej nie przynosiło żadnego uznania. Siła i zasięg broni łowców bizonów zaskoczyły i oszołomiły naszych ludzi”.

Bitwa trwała przez większość dnia. Straty białych wyniosły czterech zabitych i paru rannych. Po stronie Indian padło trzynastu wojowników – sześciu Komanczów i siedmiu Czejenów, a wielu odniosło rany. Poległ syn wodza Czejenów Kamiennej Łydki, Quanah Parker zaś stracił ulubionego konia bojowego i został ranny od rykoszetującej kuli. Indianie zdobyli tylko dwa skalpy. Wprawdzie zabili lub odpędzili wszystkie konie białych, ale było to marnym pocieszeniem. Czuli się oszukani, ponieważ obiecano im łatwe zwycięstwo, a stracili wielu dzielnych wojowników. Szczególny zawód spotkał Czejenów, którzy całą odpowiedzialność za niepowodzenie rzucili na Isa-taia. Młody szaman bronił się nieudolnie, że jego „czary” zniweczył wojownik czejeński, który w drodze do Adobe Walls zabił skunksa. Wprawdzie tłumaczenie to wystarczyło, żeby uniknął samosądu, ale okrył się niesławą i przez resztę życia wielu Indian wołało tłumaczyć jego imię nie jako Mały Wilk, lecz Łajno Kojota.

Bitwa pod Adobe Walls przeszła do historii wojen indiańskich także z innego powodu. Otóż w czasie oblężenia młody myśliwy Billi Dixon oddał słynny w dziejach Zachodu strzał ze swojego myśliwskiego karabinu Sharps kalibru 0,50 cala do grupy Indian, strącając z konia Czejena z odległości 1406 metrów (1538 jardów). Odległość była zbyt duża, żeby wojownika zabić, ale tak potężne „czary” białych zaimponowały Indianom i zniechęciły ich do dalszego oblężenia.

W ostatecznym jednak rachunku wielka wyprawa na Adobe Walls obróciła się na korzyść Indian. Przestraszeni łowcy bizonów uciekli z Teksasu do Dodge City, a wojownicy spalili

opuszczoną bazę i rozproszywszy się na mniejsze grupy, zaczęli atakować pojedyncze rancza, niewielkie osady i karawany w Teksasie, Nowym Meksyku, Kansas i Kolorado. W wyniku tych napadów latem 1874 roku straciło życie około osiemdziesięciu białych. We wrześniu większość grup Komanczów, Kiowów i Czejenów zaprzestała walki i pociągnęła do zimowych obozów ukrytych w wielkim kanionie Palo Duro na równinie Llano Estacado.

Ucieczka Indian z rezerwatów i wieści o ich napadzie na Adobe Walls zmusiły Sheridana do podjęcia szybkich działań. Gońcy generała ponieśli wiadomość, że jeśli zbiegli Indianie nie wrócą do rezerwatu przed 1 sierpnia, zostaną potraktowani jak wrogowie i w pościg za nimi ruszy wojsko. W rezultacie w sierpniu niektóre grupy powróciły na Terytorium Indiańskie, a że był to zwyczajowo czas wydawania racji żywnościowych, niektórzy Komancze i Kiowowie udali się po ich odbiór do agencji Wichita w Anadarko. 22 sierpnia doszło do nieporozumienia i czarni żołnierze podpułkownika Johna Davidsona z fortu Sill ostrzelali grupę Komanczów Nokoni Wielkiego Czerwonego Mięsa, za którymi zaraz ujeli się Kiowowie. Doszło do krótkiej, gwałtownej potyczki, w której obie strony poniosły straty. W końcu Indianie złupili składy agencji i wzięwszy kilka skalpów, sownie zaopatrzeni w żywność i koce, odeszli za Rzekę Czerwoną do swych pobratymców na preriach Teksasu, gdzie przyłączyli się do ataków na rancza białych i żołnierzy z fortu Sill.

Zgodnie z zapowiedzią we wrześniu generał Sheridan wyprowadził wojsko w pole. Jego kampania była dobrze pomyślana. Kolumna pułkownika Ranalda Mackenziego miała wyruszyć z fortu Concho w Teksasie na północ. Pułkownik Davidson z żołnierzami z 10. Pułku Kawalerii USA dostał rozkaz pomaszerowania z fortu Sill na zachód. Major William Price z częścią 8. Pułku Kawalerii miał ruszyć z fortu Union

w Nowym Meksyku na wschód, a pułkownik Nelson Miles z częścią 6. Pułku Kawalerii USA i 5. Pułku Piechoty USA z fortu Dodge w Kansas na południe. Każda kolumna miała działać mniej lub bardziej samodzielnie, ale ich cel był ten sam: znaleźć wrogich Indian, pokonać ich i sprowadzić z powrotem do rezerwatu.

Główna siła uderzeniowa Sheridana, kolumna 4. Pułku Kawalerii USA pułkownika Mackenziego, składała się z piętnastu oficerów, czterystu pięćdziesięciu żołnierzy kawalerii i piechoty oraz paru indiańskich zwiadowców z plemion Tonkawa i Seminolów. Pułk, którym dowodził Mackenzie, był sprawnym i szybkim oddziałem złożonym z twardych, zaprawionych w bojach weteranów, prawdopodobnie najlepszych żołnierzy, jakimi dysponowała w tym czasie na Równinach armia Stanów Zjednoczonych. Amerykanie mieli przeciwko sobie blisko pięć tysięcy sprzymierzonych Komanczów, Czejenów, Kiowów i Arapahów, którzy mogli wystawić do walki ponad tysiąc dwustu wojowników.

Po paru tygodniach poszukiwań rankiem 28 września pułk Mackenziego stanął na skraju kanionu Palo Duro. W dole, w wielkim zapadlisku Llano Estacado, kawalerzyści dostrzegli zimowe obozy Indian. Długi na dwieście kilometrów i miejscami głęboki na trzysta metrów kanion był jedną z ostatnich twierdz południowych plemion. Liczne strumienie zapewniały dostatek wody, cedry, lipy i dzikie drzewa mydlane dostarczały opału, a obfitość trawy paszę wielkim stadom koni. Jego hiszpańska nazwa Palo Duro znaczy „twarde drzewo” i odnosi się do twardych cedrowych gałęzek, z których Indianie wyrabiali drzewca strzał. Położenie kanionu poniżej poziomu otaczającej go równiny zapewniało ochronę przed mroźnymi wiatrami z północy, a łatwość dostępu do opału, wody i trawy czyniła z niego ulubione miejsce zimowego obozowania Indian.

Spokój w indiańskich obozach wskazywał, że ich mieszkańcy nie spodziewali się tak szybkiego nadejścia żołnierzy, chociaż dwa dni wcześniej, 26 września w nocy, w czasie marszu wojskowej kolumny przez wysoką prerię na południe od kanionu, liczny oddział Indian próbował spłoszyć konie kawalerzystów. Czujny Mackenzie nie dał się jednak zaskoczyć, a następnego dnia rano przy próbie ponownego ataku Indian jego ludzie zabili w walce piętnastu wojowników, wśród nich znanego wodza Kiowów Kobiece Serce, uczestnika bitwy pod Adobe Walls.

Zejscie w dół kanionu nie było łatwą sprawą. Zanim wojsko znalazło stary indiański szlak, którym można było dotrzeć w głąb zapadliska, zaalarmowani Indianie rzucili się do ucieczki w górę kanionu, starając się spędzić swoje konie. Podczas gdy część żołnierzy walczyła z wojownikami osłaniającymi odwrót swoich rodzin, pozostali zaganiali indiańskie konie i metodycznie niszczyli opuszczone namioty, rąbali tyczki i po złożeniu całego dobytku Indian w stosy spalili wszystko w wielkim ognisku. Na długości ponad trzech kilometrów wzdłuż ścian kanionu, tak jak ciągnęły się wioski indiańskie, wzbijały się w niebo słupy gęstego dymu, potęgując przerażenie bezsilnych Indian. Późnym popołudniem, kiedy płomienie zaczęły przygasać, Mackenzie dał rozkaz do odwrotu. Bitwa w kanionie Palo Duro dobiegła końca i jego kawalerzyści wycofali się na równinę ze zdobytym stadem koni. Następnego dnia pułkownik pozwolił swoim Tonkawom wybrać najlepsze wierzchowce, uzupełnił straty własne, a pozostałe konie, w liczbie od tysiąca do ponad dwóch tysięcy, kazał z zimną krwią zastrzelić. Wybicie koni było dla Indian drugą wielką klęską, po utracie czterystu pięćdziesięciu namiotów i całego dobytku.

W sensie militarnym Palo Duro stanowiło tylko drobny epizod. Straty ludzkie po obu stronach były minimalne, ale

Mackenziemu nie zależało na zabiciu większej liczby Indian i narażeniu na niebezpieczeństwo swoich ludzi. Jego taktyka i tak przyniosła zamierzony skutek. Swoim niespodziewanym atakiem zaskoczył Indian nie w obozie wojennym, ale w obozach zimowych, razem z rodzinami i całym majątkiem, na który składały się głównie konie i skóry bizonów. Błyskawiczny napad i zagarnięcie koni zmusiły Indian do ucieczki jedynie z bronią w ręku. Później pozostało już tylko spokojne puszczenie z dymem całego ich dobytku. Zima zbliżała się wielkimi krokami i pozbawieni transportu, żywności i schronienia Indianie nie mieli wyboru. Marzenia o wolnym, dzikim życiu prysły i niemal natychmiast poszczególne grupy zaczęły wracać do rezerwatu. Do 3 października, kiedy to pułk Mackenziego wrócił do Palo Duro, w kanionie nie było już ani jednego Indianina.

Wojna na południowych Równinach trwała nadal, ale po wrześniowej akcji Mackenziego były to już tylko działania oczyszczające. 2 maja 1875 roku Quanah Parker jako ostatni przyprowadził do fortu Sill swoją grupę Kwahadich, złożył broń i oddał żołnierzom stado tysiąca pięciuset koni. Tak zakończyła się wojna nad Rzeką Czerwoną.

Quanah osiadł w wyznaczonym rezerwacie nad strumieniem Cache koło fortu Sill w południowo-zachodniej Oklahomie i więcej już nie walczył. Przez następne trzydzieści lat był głównym rzecznikiem nie tylko swojego plemienia, ale także sąsiednich plemion Czejenów, Kiowów i Kiowa-Apaczów. Na kilka miesięcy przed śmiercią, w grudniu 1910 roku, po czterdziestu latach sprowadził z Teksasu prochy swojej matki, Cynthii Ann Parker. Wygłosił wtedy krótkie przemówienie łamanym angielskim. A kiedy zmarł 23 lutego 1911 roku, pochowano go obok niej na cmentarzu Post Oak niedaleko misji o tej samej nazwie, na kamieniu nagrobnym zaś poniżej błędnie podanej daty urodzenia (1852) wyryto napis: „Spoczywaj tu, aż

obudzi się dzień, opadną cienie i zniknie ciemność”. Jego imieniem nazwano miasto Quanah w Teksasie.

Podpułkownik George Custer i bitwa nad Little Bighorn

Tysiące wojowników indiańskich pod wodzą Szalonego Konia i innych przywódców wojennych czekało w gotowości, aż podpułkownik George Custer i jego pięć kompanii kawalerzystów zjedzie z wysokiego brzegu i zaatakuje ich wielki obóz nad rzeką Little Bighorn. Żołnierze, prowadzeni przez doświadczonego dowódcę, pędzili ku widocznym w dole indiańskim namiotom pewni, że rozniosą je w pył. Nagle ze wszystkich stron opadły ich gromady Indian niczym stado wściekłych os. Nie minęła godzina desperackiej walki, a zaskoczony oddział Custer'a został wybity do nogi. Na poboju nie pozostał ani jeden żywy żołnierz. Kiedy opadł bitewny kurz, Indianie zdarli z zabitych wrogów mundury, ułożyli je w wielki stos i podpalili, podkreślając swoje największe zwycięstwo głośnym tańcem wojennym.

Jesienią 1868 roku do fortu Hayes w Kansas przybył stary, dotknięty artretyzmem i powoli ślepnący Jim Bridger. Podpierając się swoim czterdziestoletnim doświadczeniem wyniesionym z życia na Zachodzie, starzec błagał wojskowych, aby zrezygnowali z planów zimowej kampanii przeciwko południowym plemionom Indian. Ale dowodzący armią na Równinach generał Sheridan nie chciał o tym nawet słyszeć.

Sheridan, niski, zarośnięty Irlandczyk z krzywymi nogami, był bezlitosnym wrogiem Indian. W czasie wojny secesyjnej zasłynął nie tylko jako wybitny dowódca kawalerii federalnej, ale także jako bezwzględny tyran, który ogniem i mieczem

spustoszył spichlerz Konfederacji, dolinę Shenandoah, czym doprowadził do śmierci głodowej tysiące niewinnych mieszkańców Wirginii. To jemu przypisuje się wypowiedzenie słynnego zdania, że „dobry Indianin to martwy Indianin”. Teraz na rozkaz głównodowodzącego armią generała Shermana kazał wybijać bizona i konie Indian, aby głodem zmusić „dzikusów” do osiedlenia się w rezerwach. Ambitni podkomendni Sheridana, tacy jak George Custer, Eugene Carr, Nelson Miles, John Davidson czy Randal Mackenzie, szukający wojennej sławy w konfrontacji z pólnagimi wojownikami z Równin, ściśle wykonali plany swego dowódcy.

Najsłynniejszy z nich, George Armstrong Custer (1839–1876), urodził się w New Rumley w Ohio, w rodzinie farmera i wiejskiego kowala, ale większość życia spędził w miasteczku Monroe w Michigan, niedaleko miejsca urodzenia słynnego wodza Ottawów Pontiaka. Nauka nie była jego mocną stroną, dużo lepiej radził sobie z prowadzeniem konia i strzelaniem do wiewiórek, szopów i lisów, więc ojciec przeznaczył go do służby wojskowej. Szkołę wojskową w West Point ukończył w czerwcu 1861 roku, już po wybuchu wojny secesyjnej, z ostatnią lokatą w klasie. Jako podporucznik otrzymał przydział do 2. Pułku Kawalerii USA i w lipcu był już obecny na polu pierwszej bitwy nad Bull Run, ale udziału w walce nie wziął. W 1862 roku przeszedł do armii ochotniczej i w stopniu kapitana służył w kawalerii Armii Potomaku. Walcząc pod rozkazami generała Alfreda Pleasontona, wyróżnił się w kilku potyczkach na przedpolu Richmond, stolicy Konfederacji. A kiedy w czerwcu 1863 roku utworzono kilka nowych oddziałów kawalerii ochotniczej, władze Michigan postawiły go na czele jednego z nich. W ten sposób Custer w wieku niespełna dwudziestu czterech lat został dowódcą brygady kawalerii w stopniu jednogwiazdkowego generała armii ochotniczej. 3 lipca, w trzecim dniu bitwy pod Gettysburgiem, poprowadził swoją

brygadę do walki z kawalerią Południa słynnego Jeba Stuarta, przyczyniając się do przegranej Armii Północnej Wirginii generała Roberta Lee. W 1864 roku powierzono mu komendę nad dywizją jazdy, z którą uczestniczył w kampanii Sheridana w dolinie Shenandoah. Dostał awans na generała majora ochotników i jednocześnie awansowano go na kapitana armii regularnej. Wiosną 1865 roku brał udział w ostatnich bojach wojny secesyjnej podczas oblężenia Petersburga i pościgu za wojskami Konfederacji wycofującymi się w kierunku Appomatox. A w kwietniu przyjął pierwszą flagę kapitulacyjną konfederatów i był obecny przy kapitulacji generała Lee.

W czasie wojny secesyjnej długowłose Custer cieszył się ogromną popularnością na Północy, zwłaszcza wśród pań, które ze względu na jego młody wiek i charakterystyczny wygląd nazywały go pieszczotliwie „chłopięcym generałem ze złotymi lokami” (*The Boy-general with golden locks*). Po wojnie służył przez jakiś czas w stopniu kapitana kawalerii nad Rio Grande, gdzie Stany Zjednoczone szykowały się do interwencji w ogarniętym chaosem Meksyku, któremu narzucono austriackiego arcyksięcia jako cesarza Maksymiliana. W 1866 roku z inicjatywy swojego przełożonego z okresu wojny generała Sheridana otrzymał w stopniu podpułkownika przydział do nowo utworzonego 7. Pułku Kawalerii USA, którego zadaniem była ochrona budowy linii kolejowej z Kansas do Kolorado. Ponieważ formalny dowódca jednostki, pułkownik Andrew Smith, pełnił jednocześnie obowiązki komendanta miejscowego okręgu wojskowego i nie mógł sprawować bezpośredniego dowództwa, prowadzenie pułku w polu powierzono jego zastępcy, czyli właśnie Custerowi. W 1869 roku dowództwo jednostki objął pułkownik Samuel Sturgis, który również zajmował się pracą administracyjną w sztabie lokalnego okręgu wojskowego, zatem dowództwo pułku w polu pozostało przy Custerze.

W listopadzie 1868 roku popularny i cieszący się zaufaniem Sheridana Custer, w pogoni za sławą i chwałą, poprowadził swój pułk przeciwko południowym plemionom odmawiającym przejścia do rezerwatu i zniszczył obóz Czarnego Kotła nad Washitą. Do roku 1875 południowe plemiona Czejenów, Arapahów, Komanczów i Kiowów zostały pobite, ich najwybitniejsi wodzowie zginęli, a pozostałych jako niebezpiecznych wichrzycieli uwięziono w starych hiszpańskich lochach na Florydzie. Nowi wodzowie, którzy zajęli ich miejsce, tacy jak półkrwi Komancz Quanah Parker, czuli powiew nowych czasów i po negocjacjach poddawali się jeden po drugim. Resztki południowych plemion wepchnięto do uboższego rezerwatu w Kansas i pozbawiono prawa do swobodnych wędrówek po Równinach. Tak się skończyło panowanie konnych Komanczów i Kiowów jako „władców południowych Równin”.

Na północy wątpliwy pokój zawarty w forcie Laramie w 1868 roku przetrwał tylko kilka lat. Większości Indian, którzy dobrowolnie przeszli do rezerwatu, w żaden sposób nie można było zmienić z wędrownych myśliwych w spokojnych amerykańskich rolników. Potężni Siuksowie nie potrafili się pogodzić z szarą rzeczywistością i pod wpływem wodzów, którzy nie chcieli osiąść w rezerwach, w szczególności wielkiego wizjonera i duchowego przywódcy plemienia Hunkpapów Siedzącego Byka, próbowali unikać białych i zachować tradycyjny sposób życia w granicach wyznaczonych im przez rząd. Ale traktaty zawierane w Waszyngtonie niewiele obchodziły ludzi na pograniczu. Emigranci, osadnicy, poszukiwacze złota, budowniczości kolei i hodowcy bydła nie widzieli najmniejszego powodu, dla którego Indianie mieliby władać najlepszymi ziemiami na Zachodzie. W latach 1872–1873 krainę północnych Indian nawiedziły ekspedycje mierniczych, które wraz z wojskową eskortą przygotowywały

grunt pod budowę linii kolejowej Northern Pacific, ale to nie oni, lecz wyprawa Custer do Czarnych Wzgórz w Dakocie w 1874 roku wywołała gwałtowny sprzeciw Indian.

Po rozprawie z Komanczami i ich sprzymierzeńcami z południowych Równin Sheridan i Custer postanowili przenieśli swoje działania na północ i zastosować taką samą taktykę wobec Siuksów i ich sojuszników. Problem tamtejszych opornych plemion miała rozwiązać prosta taktyka konwergencji, polegająca na wysłaniu kilku samodzielnych kolumn wojska do kraju Indian, aby ich wytropić i zmusić do walki.

W lipcu 1874 roku popierana przez rząd ekspedycja Custer do Czarnych Wzgórz (*Black Hills Expedition*) wtargnęła na terytorium Siuksów, które na mocy traktatu z 1868 roku prawnie im się należało i które uważali za swoje święte ziemie. Jednym z jej celów było wypróbowanie w warunkach polowych nowych karabinków kawaleryjskich Springielda z 1873 roku. Nie jest jednak do końca pewne, czy główny cel wyprawy miał charakter czysto militarny, czy też chodziło o zbadanie zasobów mineralnych Czarnych Wzgórz, gdyż Custerowi od samego początku towarzyszyła grupa geologów. W każdym razie w czasie ekspedycji odkryto ślady złota, co wywołało pogłoski o występujących tam bogatych pokładach tego kruszcu i w rezultacie w 1875 roku w Black Hills zaczęła się szaleńcza „gorączka złota”. Początkowo rząd próbował trzymać górników i poszukiwaczy z dala od Czarnych Wzgórz, ale szybko dał spokój i postanowił otworzyć ten obszar dla białych. Fala awanturników zalała świętą krainę Siuksów. Mimo protestów Indian wkrótce w pobliżu nowo odkrytych złóż powstały dwa miasta, Deadwood i Custer. Jeszcze raz okazało się, że traktaty z Indianami są tylko bezwartościowymi świstkami papieru, które łatwo podrzeć i wrzucić do kosza. Pod koniec 1875 roku Siedzący Byk, Szalony Koń i inni wodzowie po cichu

wyprowadzili swoich ludzi z terenu Wielkiego Rezerwatu przyznanego im na mocy traktatu z Laramie i powiedli ich na odległe rejony Wielkich Równin w dolinie rzeki Powder, na szeroki pas ziemi nazwany „terenami niescedowanymi”, aby tam kontynuować swój tradycyjny wędrowny tryb życia. W odpowiedzi na to na początku grudnia rząd w krótkiej nocy nakazał wszystkim Indianom zgłosić się do wyznaczonych agencji w rezerwatach najpóźniej do 31 stycznia 1876 roku. Nawet gdyby Siuksowie chcieli się dostosować do tego nakazu, byłoby im trudno dotrzymać wyznaczonego terminu z powodu ciężkiej zimy. Ale oni nie byli łagodnymi barankami, które można by zapędzić do rezerwatów jak wiele innych, mniej wojowniczych plemion, i nie zamierzali podporządkować się decyzji rządu. Tak więc Siedzący Byk i pozostali wodzowie nie posłuchali wezwania i w lutym 1876 roku wojna z Siuksami wybuchła na całego.

Pod koniec zimy armia wyruszyła w pole i powoli zaczęła zamykać wokół wolnych Indian wielki kocioł, z którego, jak się wydawało, dla ludzi Siedzącego Byka nie było żadnego wyjścia. Z pierwszych starć, stoczonych z oddziałami pułkownika Jamesa Reynoldsa 17 marca nad rzeką Powder i generała George'a Crooka 17 czerwca nad strumieniem Rosebud, Indianie prowadzeni przez Szalonego Konia wyszli zwycięsko. Obie kolumny wojska zostały zmuszone do odwrotu i zaprzestania na jakiś czas udziału w dalszych działaniach. 17 maja wyruszyła z fortu Abraham Lincoln w Dakocie główna kolumna generała Alfreda Terry'ego, opóźniona z powodu złej pogody i niezdecydowania dowództwa. W jej awangardzie szedł osławiony 7. Pułk Kawalerii USA. Prowadził go, tak jak osiem lat wcześniej nad Washitą, podpułkownik George Custer, tyle że już bez swoich słynnych loków opadających na ramiona, za to z krwistoczerwoną chustką zawiązaną na szyi przy kołnierzu skórzanej bluzy ozdobionej fantazyjnymi frędzlami.

Pułk Custer wyruszył w niepełnym składzie około siedmiuset pięćdziesięciu ludzi, łącznie z ponad setką nowych rekrutów i pułkową orkiestrą, która nie nadawała się do walki. Wszyscy byli uzbrojeni w standardową, najlepszą w swoim rodzaju broń amerykańskiej kawalerii: nowy jednostrzałowy karabinek Springfielda i sześciostrzałowy, dwutaktowy rewolwer Colta kalibru 0,45 cala z 1873 roku. Karabinek Springfielda, solidny i celny, doskonale nadawał się do walki strzeleckiej na większą odległość, nawet na pięćset metrów, ale był mało przydatny w starciu z bliska z przeciwnikiem ruchliwym, który umiał wykorzystać warunki terenowe do ukrycia się i bezpośredniego ataku. W takich warunkach dużo skuteczniejsze okazywały się indiańskie łuki, a zwłaszcza powtarzalne karabiny Henry'ego, Winchestera i Spencera, którymi dysponowali niektórzy Indianie. Natomiast, wbrew często powtarzanym opiniom, żołnierze Custer nie mieli szabli, bo choć była to w XIX wieku podstawowa broń wszystkich kawalerii na świecie, w walkach z Indianami odgrywała niewielką rolę. Użyto jej zaledwie w kilku potyczkach i jednej większej bitwie^[1]. Wyruszając na wyprawę z generałem Terrym, pułk Custer zostawił szable w forcie Lincoln jako zbędne obciążenie i źródło dodatkowego hałasu, który mógł przedwcześnie zaalarmować wroga.

Wiosną 1876 roku wiele grup Indian, które zimą przebywały poza rezerwatem, zaczęło przyłączać się do obozu cieszącego się coraz większym uznaniem wodza Hunkpapów. W czerwcu sprzymierzeni Indianie pod wodzą Siedzącego Byka obozowali nad rzeką Little Bighorn, dopływem Yellowstone w południowej Montanie. W wielkim obozie znajdowali się przeciwnicy systemu rezerwatów: Siuksowie Hunkpapa, Minneconjou, Brulé, Czarne Stopy Lakota, Dwa Kotły i Bez Łuków, Santee i Yanktonai oraz Oglala ze swoimi słynnymi wodzami: Szalonym Koniem, Żółcią, Wronim Królem, Deszczem w Twarz,

Garbem, Cętkowanym Orłem, Czerwonym Koniem, Zabić Orła, Gallem i Inkpadutą, a także wielu Czejenów Północnych i garść Arapahów, którym przewodzili tacy wodzowie, jak: Dwa Księżyce, Kulawy Biały Człowiek, Mały Wilk, Tępy Nóż, Kulawy Jeleń i Lewa Ręka. Łącznie w dolinie pięknego strumienia Little Bighorn, który Siuksowie obrazowo nazwali Rzeką Tłustej Trawy, stała się wieś niespotykanych rozmiarów, licząca z górą tysiąc tipi. Zamieszkało w niej ponad siedem tysięcy Indian, w tym co najmniej dwa tysiące wojowników.

25 czerwca, w pogoni za mijającą sławą, ambitny Custer zaatakował obóz nad Little Bighorn, nie czekając na odpowiednie wsparcie, chociaż jego marsz został przypadkowo odkryty przez myśliwską wyprawę Siuksów i chociaż indiańscy zwiadowcy z plemienia Wron ostrzegali go, że ma przed sobą „więcej nieprzyjaciół, niż siódmy pułk ma naboju”. Custer jednak nie przejmował się liczbami. Najbardziej obawiał się tego, że odnalezieni z tak wielkim trudem Indianie wymkną mu się z rąk. Tymczasem Siuksowie i Czejenowie wcale nie zamierzali uciekać, pokrzepieni na duchu przepowiednią Siedzącego Byka, który parę tygodni wcześniej, w czasie obrzędów Tańca Słońca w Medicine Deer Rock w Montanie, miał wizję, że Siuksowie odniosą wielkie zwycięstwo nad żołnierzami i zabiją wielu z nich. Tak więc, pewni sukcesu wojownicy sprzymierzonych plemion szykowali się do walki, czego ani Custer, ani żaden z jego oficerów nie mógł przewidzieć.

Podobnie jak nad Washitą w listopadzie 1868 roku, Custer podzielił swój pułk na cztery części i rzucił sześciuset siedemdziesięciu kawalerzystów oraz towarzyszących im zwiadowców na – jak stwierdził – „największy obóz indiański w Ameryce Północnej”. Jego podkomendni, kapitan Frederic Benteen, z batalionem stu dwudziestu jeden ludzi, i major Marcus Reno, ze stu siedemdziesięcioma pięcioma żołnierzami,

mieli związać siły Indian atakiem od południa i „rozbić wszystko na swojej drodze”. Złożony z pięciu kompanii batalion Custer, liczący dwustu trzydziestu jeden kawalerzystów, miał obejść Indian pod osłoną urwiska i zaatakować pozbawiony obrony obóz z drugiej strony, od północnego wschodu. Wzmocniona kompania kapitana Thomasa McDougalla pozostała w tyle jako ochrona taboru juczych mułów porucznika Edwarda Matheya, wskutek czego oddział stu trzydziestu pięciu ludzi już na samym początku został wyłączony z bezpośredniej walki.

Od pierwszej chwili działania przebiegały nie po myśli białych. Batalion Reno zostały odparty i wycofał się w nieładzie z dużymi stratami. Napotkawszy ludzi Benteena i McDougalla, żołnierze Reno okopali się następnie na pobliskim wzgórzu i skutecznie odpierali ataki Indian. Po osaczeniu kawalerzystów Reno i Benteena na wzniesieniu główne siły Siuksów pod wodzą Szalonego Konia i Galla wraz z Czejenami Kulawego Białego Człowieka zwróciły się przeciwko batalionowi Custer, atakującemu drugi kraniec obozu. Tym razem wojenne szczęście odwróciło się od Custer. Indianie rozproszyli jego oddział na mniejsze grupki i zmusili je do obrony osobno na nadrzecznych wzgórzach; w rezultacie w ciągu niespełna godziny zostały one wybite do ostatniego człowieka. Jak mówili Indianie, walka zakończyła się wcześniej, niż ktokolwiek zdołałby „wypalić fajkę”.

Przez długie dziesięciolecia po bitwie nad Little Bighorn w społeczeństwie amerykańskim funkcjonował głęboko zakorzeniony mit o „ostatnim bastionie Custer” (*Custer's Last Stand*) i przekonanie o bohaterkiej walce jego żołnierzy z hordami indiańskich dzikusów. Najnowsze badania wykazały jednak, że Custer został zaskoczony wielkością indiańskich obozów nad Rzeką Tłustej Trawy i liczbą obecnych tam wojowników. Popełnił błąd, atakując przeciwnika zbyt słabymi

siłami, nie skoordynował działań poszczególnych oddziałów i drogo za to zapłacił. Przytłoczony mnogością nieprzyjaciół i deszczem kul zasypujących jego żołnierzy, dał się pobić w ciągu niecałej godziny w boju, który nie był zorganizowaną, bohaterską obroną, lecz raczej chaotyczną, desperacką walką o życie grupy zmęczonych i przerażonych przebiegiem zdarzeń ludzi.

W warunkach, które Indianie narzucili Custerowi i jego ludziom, całkowicie zawiodły jednostrzałowe karabinki kawalerzystów. W czasie bowiem gdy strudzony i przestraszony żołnierz zdołał oddać pojedynczy strzał ze swojego springfielda, wojownik uzbrojony w łuk potrafił wypuścić kilka strzał, a posiadacz wielostrzałowego karabinu mógł wystrzelić cały magazynek naboju. O wyniku bitwy zdecydował więc deszcz strzał i kul, którymi Indianie zasypywali żołnierzy Custera z bliskiej odległości i któremu biali nie byli w stanie przeciwstawić całkiem dobrych, ale skutecznych tylko na niewielką odległość coltów. Natomiast zupełnie inny przebieg miała walka na tak zwanym wzgórzu Reno, gdzie żołnierze nie dopuścili atakujących Indian na odległość szturmową i dobrze radzili sobie z odpieraniem ich ataków za pomocą bijących z dalszej odległości springfieldów.

Wiele wskazuje na to, że Custer wcale nie ostrzeliwał się do końca z colta i nie zginął jako ostatni, jak to się często przedstawia. Po pierwsze, jego osobistą bronią były dwa angielskie rewolwery Webley Bulldog, do których miał chyba większe zaufanie niż do regulaminowych coltów, oraz sportowy karabinek Remingtona, wszystko kupione za własne pieniądze. Po drugie, jako ostatni z całego oddziału polegli prawdopodobnie ci żołnierze, którzy rzucili się do desperackiej ucieczki w dół zbocza, w kierunku zarośniętego brzegu rzeki, w poszukiwaniu schronienia. Ich dowódca zginął wcześniej, anonimowo, nierozpoznany przez Indian, którzy nie mieli

pojęcia, kto ich zaatakował i kogo ostatecznie pokonali. O tym, że był to Custer „Długie Włosy”, dowiedzieli się dopiero po bitwie. Być może z obawy o konsekwencje żaden z nich nie przyznał do zadania białemu dowódcy śmiertelnej rany.

Wielu autorów rozpisujących się o „ostatniej bitwie Custer” twierdzi, że wszyscy żołnierze polegli nad Little Bighorn zostali oskalpowani, z wyjątkiem samego Custer. Nie jest to prawdą, bo chociaż jednym ze znaków rozpoznawczych młodego Custer faktycznie były długie, falujące blond włosy, w latach późniejszych zaczął on szybko łysieć i zawsze ścinał włosy przed wyjściem w pole. Podobnie było w roku 1876. Przed opuszczeniem garnizonu w forcie Lincoln wszyscy żołnierze musieli się ostrzyć na krótko, głównie ze względów higienicznych (dla ochrony przed wszami). Skalp krótkowłosego białego człowieka nie miał dla Indianina większej wartości, dlatego chociaż ciała poległych żołnierzy rytualnie zmasakrowano, tylko niewielu oskalpowano. Na przykład łysiejącemu adiutantowi Custer, kapitanowi Williamowi Cooke’owi, wojownik z plemienia Czejenów zamiast skalpu zdarł bujne bokobrody w stylu angielskim, którymi oficer, z pochodzenia brytyjski Kanadyjczyk, nadrabiał brak włosów na głowie. Custer też nie oskalpowano ani nie sprofanowano jego ciała po prostu dlatego, że Indianie go nie rozpoznali. W dniu śmierci bowiem miał on na sobie kurtkę z jeleniej skóry, która nadawała mu cechy cywilnego zwiadowcy, i jako taki nie wzbudził zainteresowania łowców trofeów wojennych.

Z całego oddziału Custer, jak chce legenda, na placu boju pozostał żywy tylko koń jednego z poległych oficerów, imieniem Komancz[2]. Łącznie biali stracili nad Little Bighorn dwustu sześćdziesięciu pięciu ludzi, a pięćdziesięciu pięciu zostało rannych. Kto wie, czy nie zginęliby wszyscy, gdyby nazajutrz po bitwie Indianie nie wycofali się na wieść o zbliżaniu się

głównych sił generała Terry'ego i pułkownika Johna Gibbona z fortów w Montanie.

Na koniec warto wspomnieć o dowodzeniu po stronie Indian. Teza, że naczelne dowództwo nad wojownikami sprawowali Siedzący Byk i Szalony Koń, jest pozbawiona podstaw. Tak mogą twierdzić tylko ludzie, którzy nie znają taktyki i zwyczajów Indian z Równin. Wojownicy Siuksów, Czejenów i Arapahów nigdy nie znali pojęcia naczelnego dowódcy i nigdy nie nauczyli się walczyć w sposób zorganizowany, tak jak biali żołnierze. Szli do walki jak dawniej, prowadzeni przez swoich wodzów plemiennych i przywódców stowarzyszeń wojennych, takich jak wspomniani już: Szalony Koń, Gall, Wroni Król, Deszcz w Twarz, Szkarłatny Punkt – Inkpaduta, Biały Kulawy Człowiek, Dwa Księżycy i inni, których imiona na zawsze kojarzyć się będą z największym zwycięstwem Indian w walce z ekspansją białego człowieka. Siedzący Byk nie brał bezpośredniego udziału w bitwie, bo odprawiał w tym czasie czary w swoim namiocie. „Co uczyniłem? – powiedział później o bitwie z żołnierzami Custer. – Nic. To nie my wyszliśmy ze swego kraju, aby ich pozabijać. To oni przyszli, żeby zabić nas, i sami zostali zabici”.

Bitwa nad Little Bighorn była najślawniejszym zwycięstwem Indian nad armią amerykańską, ale okazała się tylko przelotnym sukcesem. Klęska 7. Pułku Kawalerii USA i śmierć „Długich Włosów” Custer. wstrząsnęła opinią publiczną i zmusiła rząd do bardziej zdecydowanych działań. Pozostawienie na wolności chociażby części Indian zagrażało całemu systemowi agencji i rezerwatów, a do tego nie można było dopuścić. Tradycyjny świat wolnych Indian musiał przestać istnieć, toteż żadna zemsty armia żwawo zabrała się do roboty. Dowództwo wojskowe wprowadziło stan wojenny na terenie rezerwatów, Indianom odebrano broń i konie oraz poddano ich ścisłej kontroli, aby nie mogli dalej wspierać

swoich pozostających na wolności pobratymców. Za karę skonfiskowano im Czarne Wzgórza, „tereny niescedowane” i część Wielkiego Rezerwatu przyznanego im na mocy traktatu z Laramie. Zimowe kampanie wojska przeciwko zwolennikom Siedzącego Byka skutecznie eliminowały poszczególne grupy zbuntowanych Siuksów i Czejenów, toteż do wiosny 1877 roku opór Indian praktycznie ustał. Jako jeden z ostatnich 6 maja poddał się Szalony Koń. Kilka miesięcy później, gdy w wyniku nieporozumienia próbowano zamknąć go w areszcie w forcie Robinson, wódz Ogłalów zginął od przypadkowego pchnięcia nożem lub bagnetem w okolice nerek. Ostatnich kilkuset Siuksów z Siedzącym Bykiem na czele w pierwszym tygodniu maja 1877 roku uciekło do Kanady. Śmierć Szalonego Konia i ucieczka wodza Hunkpapów za granicę oznaczały faktyczny koniec wielkiej wojny z Siuksami.

Przypisy

- 1 W bitwie z Czejenami nad rzeką Solomon w lipcu 1857 r., podczas tzw. wyprawy pułkownika Edwina Sumnera do Kolorado.
- 2 Komancz (*Comanche*) był własnością kapitana Milesa Keogha, a swoje imię zawdzięczał temu, że podczas jednej z potyczek z Komanczami w 1867 r. zachował godny podziwu spokój i mimo gwizdzących dookoła kul wyniósł swojego pana z wiru walki, ratując mu życie. Wbrew różnym opiniom nie był jedynym żywym wierzchowcem wojskowym na poboju. Ocalało więcej koni, ale albo pouciekały, albo zostały schwytane przez Indian, albo dobite, jeśli były ciężko ranne.

Wódz Józef i waleczny odwrót plemienia Nez Perce

Poranek 30 września zaczął się od szarży amerykańskiej kawalerii. Kawalerzyści wyjechali z pokrytego śniegiem lasu i ruszyli prosto na obozowisko Indian w górach Bear Paw. Indianie Nez Perce, choć zaskoczeni nagłym pojawieniem się żołnierzy, mieli dość czasu, aby przygotować się do walki. Wojownicy, podzieleni na kilka grup, spokojnie zajęli stanowiska obronne przed obozem i na otaczających go wzgórzach. Żołnierze nadjeżdżali w trzech szeregach, a po sformowaniu linii bojowej ruszyły ostrym kłusem do przodu tyraliery kawalerzystów. W chwili gdy czołowa kompania znalazła się w zasięgu strzału, Indianie otworzyli ogień i w ciągu zaledwie kilku minut szarża całkowicie się załamała. Nieudany początek walki nie zniechęcił bynajmniej pułkownika Milesa. Na jego rozkaz kawalerzyści zaatakowali jeszcze dwukrotnie, ale oba ataki zostały odparte z ciężkimi stratami. W tej sytuacji Miles zaprzestał dalszych działań i wydał rozkaz utworzenia szczelnego kordonu wokół obozu Nez Perce.

Kraina inteligentnego ludu Nee-mee-poo (Ludzie), dziś znanego pod nazwą Nez Perce, leży w obrębie Płaskowyżu Kolumbii, wielkiego regionu geograficznego rozciągającego się od Gór Skalistych na wschodzie do Gór Kaskadowych na zachodzie i od wielkiego zakrętu rzeki Fraser w Kolumbii Brytyjskiej do północnych krańców Wielkiej Kotliny. W Stanach Zjednoczonych obejmuje wschodnie obszary stanów Oregon i Waszyngton, północną część stanu Idaho, dalej rozszerza się

na wschód, przekracza kontynentalny dział wód i sięga aż po północno-zachodnią część stanu Montana. Powierzchnia Płaskowyżu jest bardzo urozmaicona pod względem krajobrazowym i przyrodniczym. Występują tam porośnięte lasem góry, głębokie doliny i kaniony, rwące górskie strumienie, rozległe łąki oraz przylegające do skraju Wielkiej Kotliny kamieniste równiny i pustynie. Główny system wodny tego obszaru tworzą dorzecza dwóch rzek, Fraser i Kolumbii. Czyste, chłodne wody rzek przecinających Płaskowyż obfitują w ryby, wśród których dominuje łosoś i pstrąg. W krainie tej prawie nie występowały bizona, za to pełno było łosi, jeleni, górskich owiec i zwierząt futerkowych, zwłaszcza wydr i bobrów.

Plemię Nez Perce, czyli Przekłute Nosy, zamieszkiwało ten piękny kraj od niepamiętnych czasów. Dzielilo się na kilka mniejszych, w pełni autonomicznych grup żyjących osobno. W zależności od miejsca, w którym zamieszkiwały poszczególne grupy, zaczęto je później określać mianem Nez Perce Górnych (Północnych) lub Dolnych (Południowych). Chociaż ich członkowie nigdy nie zbierali się razem, poczuli się do jedności dzięki wspólnocie kultury, historii i języka. Każda grupa miała swego przywódcę i zachowywała niezależność w działaniu. Gospodarka Nez Perce, podobnie jak niemal wszystkich plemion tego regionu, opierała się na myślistwie i zbieractwie, ale podstawą ich egzystencji i głównym bogactwem naturalnym był łosoś.

Przez kilku tysięcy lat sposób życia plemion tego regionu nie uległ większym zmianom. Przełom nastąpił w latach trzydziestych XVIII wieku, kiedy do Indian Płaskowyżu dotarły konie i sprawiły, że w ciągu zaledwie jednego pokolenia wszyscy Nez Perce przesiedli się na końskie grzbiety, a z czasem stali się typowymi konnymi Indianami, właścicielami ogromnych tabunów i najlepszymi hodowcami koni spośród wszystkich Indian Ameryki Północnej. Kraina, którą

zamieszkiwali, znakomicie nadawała się do hodowli tych zwierząt. Wysokie góry i gęste lasy zapobiegały rozpraszaniu stad i chroniły je przed drapieżnikami i złodziejami, a bogate w wodę doliny zapewniały dostatek soczystej trawy i schronienie na zimę. Staranne rozmnażanie koni pomogło plemieniu Nez Perce wyhodować niezliczone stada, które stały się ich największym bogactwem, najważniejszym wyznacznikiem pozycji społecznej, przedmiotem dumy i zyskownym towarem.

Ze względu na swoją liczebność i organizację, duży zasięg występowania, obfitość pożywienia i towarów przeznaczonych na handel oraz korzystne położenie geograficzne pomiędzy ludami Płaskowyżu i Indianami z Wielkich Równin, w przededniu nastania ery białego człowieka Nez Perce byli prawdopodobnie najbardziej wpływowym plemieniem Regionu Północno-Zachodniego. Po nabyciu broni palnej i rozbudowie stad koni ich znaczenie jeszcze bardziej wzrosło, wskutek czego musieli się z nimi poważnie liczyć zarówno indiańscy sąsiedzi, jak i wkraczający na te ziemie biali.

Nie wiadomo dokładnie, kiedy Nez Perce po raz pierwszy spotkali białych z Północnego Wschodu. Zapewne około roku 1800 zetknęli się z Brytyjczykami i Francuzami z Kanady jeńcy tego plemienia, którzy dostali się w ręce Czarnych Stóp i innych wrogich plemion z północnych prerii. Początkowo Kanadyjczycy nie szukali drogi w głąb Płaskowyżu, ale Nez Perce szybko odkryli ich obecność w swoim sąsiedztwie, gdy w 1816 roku biali wybudowali faktorię handlową o nazwie Fort Nez Perce w pobliżu ujścia rzeki Walla Walla. Nowa placówka miała być głównym punktem handlowym z Indianami Nez Perce, Cayuse, Walla Walla, Palusami (Palouse) i innymi plemionami tego regionu. W forcie Nez Perce Indianie znaleźli dogodny rynek zbytu dla swoich koni, nadwyżek żywności i wyrobów rękodzieła, ale niewielu z nich chciało dostarczać

białym skóry upolowanych zwierząt. Z konieczności więc placówka stała się także punktem wypadowym dla kanadyjskich łowców futer penetrujących bogate doliny Płaskowyżu w poszukiwaniu cennej zdobyczy.

Po Kanadyjczykach na ziemi Płaskowyżu nadciągnęli amerykańscy „ludzie z gór”. W głębi swego kraju Indianie Nez Perce nadal sprzedawali konie i żywność Brytyjczykom, ale po wschodniej stronie Gór Skalistych woleli handlować z otwartymi i szczerymi traperami, którzy w przeciwieństwie do wyrachowanych Anglików, często nie przykładali wagi do stałych cen i pozwalali się targować. Poczynając od roku 1827, zaczęli też brać udział w corocznych spotkaniach *mountain rendezvous*, wykorzystując okazje do handlu i wspólnej zabawy. Czasami także wspomagali białych w walkach z ich odwiecznymi wrogami, Czarnymi Stopami i Gros Ventre, jak choćby w lipcu 1832 roku, gdy podczas pamiętnego *rendezvous* w dolinie Pierre's Hole doszło do krwawej całodziennej bitwy Amerykanów pod dowództwem Billa Sublette'a z Indianami Gros Ventre.

W 1848 roku na ziemiach Północnego Zachodu utworzono Terytorium Oregon. Od roku 1850 władze nowego Terytorium oferowały korzystne warunki do osadnictwa, przydzielając białym za darmo ziemię do zagospodarowania. W wyniku tej polityki liczba ludności Oregonu wzrosła w 1860 roku do ponad pięćdziesięciu tysięcy. W 1853 roku z Oregonu wydzielono odrębne Terytorium Waszyngton. Jego gubernatorem, kierującym jednocześnie sprawami Indian, został energiczny polityk, weteran wojny meksykańskiej, Isaac Stevens. Młody, ambitny gubernator postawił sobie za zadanie zwiększenie populacji i zamożności terytorium, między innymi poprzez znalezienie nowych ziem pod osadnictwo i budowę linii kolejowej ze wschodu do wybrzeży Pacyfiku.

W maju 1855 roku Stevens zwołał na wielką naradę w dolinie Walla Walla, w miejscu nazwanym Camp Stevens, wszystkie plemiona regionu. Była to największa narada, jaką kiedykolwiek zwołano na całym Północnym Zachodzie. Wzięło w niej udział pięć tysięcy Indian, w tym większość plemion Nez Perce, Walla Walla, Cayuse, Umatilla, Yakima i Spokane. Nieustanne targi o ziemię i żmudne negocjacje trwały do 11 czerwca. Po długotrwałych sporach, stosując na przemian obietnice i groźby, Stevens skłonił Indian do określenia swych terytoriów plemiennych i utworzenia wydzielonych rezerwatów. Wśród wodzów plemienia Nez Perce do końca nie było jednomyślności w sprawie podpisania traktatu. Najdłużej namowom białych opierał się Tuekakas, znany z wyjątkowego przywiązania do rodzinnej ziemi wódz grupy Nez Perce z doliny Wallowa w Oregonie, znany białym jako Wódz Józef Starszy, w którego żyłach płynęła także krew Cayusów.

Nakłaniając Indian do podpisania traktatu, Stevens obiecywał wodzom, że ich ludzie nie będą musieli opuścić oddanych terenów przez co najmniej rok od daty ratyfikacji układu przez Senat. Był jednak typem kłamliwego negocjatora i oszusta, mówiącego – jak to określali Indianie – dwoma językami. Nie czekał więc na ratyfikację traktatu i prawie natychmiast podał do prasy informację o otwarciu ziem Indian dla osadnictwa białych.

Początkowo fala białego osadnictwa napływała powoli do dolin i wyżej położonych miejsc po zachodniej stronie Gór Skalistych. Kiedy jednak w lutym 1860 roku na obszarze rezerwatu Nez Perce odkryto ślady złota, liczba białych zaczęła gwałtownie wzrastać, a na początku 1861 roku fala awanturników dosłownie zalała kraj Indian. Z nastaniem wiosny w górach na północy rezerwatu szukało złota już kilkuset górników, a tysiące innych spieszyły w te strony, nie zważając na postanowienia traktatu z Camp Stevens. W połowie

1862 roku na terenie rezerwatu przebywało już ponad osiemnaście tysięcy białych, szerząc zło, którego lękali się przywódcy plemienia. Mnożyły się kłótnie i spory na tle wypasanych stad bydła i koni, prawa do ziemi, dostępu do łowisk, strumieni i innych spraw. Wśród Nez Perce zaczął się szerzyć alkoholizm i coraz więcej Indian, często celowo upijanych, stawało się ofiarami oszustw, rabunków, gwałtów i morderstw.

Żądania górników, poparte przez rosnące rzesze tych, którzy domagali się ziemi pod osadnictwo, powodowały nieustające naciski na Indian, aby odstąpili dalszą część terenów, przyznanych im traktatem z Camp Stevens. W tych warunkach kolejni agenci rządowi byli bezsilni i w żaden sposób nie mogli zapewnić Indianom bezpieczeństwa. Garnizon żołnierzy, wprowadzony w agencji Lapwai w celu powstrzymywania białych przed wkraczaniem na ziemie Indian, ograniczał się właściwie do pilnowania porządku i zapobiegania zatargom, a w istocie sprzyjał umacnianiu obecności obcych przybyszów w kraju Nez Perce, co wzmagało tylko niepokój Indian.

Wiosną 1863 roku w Lapwai zwołano naradę w sprawie podpisania nowego traktatu. Indianom zaproponowano, aby przenieśli się do mniejszego rezerwatu, obejmującego tereny w dolnym biegu rzeki Clearwater i w dolinie Lapwai. Swoją propozycję przedstawiciele władz uzasadniali chęcią skupienia wszystkich Nez Perce w jednym miejscu, rzekomo dla ich bezpieczeństwa i ochrony przed agresją poszukiwaczy złota, której rząd nie mógł zapewnić w sytuacji zbytniego rozproszenia różnych grup plemienia.

9 września 1863 roku grupa ugodowych Nez Perce z wodzem Prawnikiem (*Lawyer*) na czele postawiła swoje znaki pod traktatem, choć zgodnie z tradycyjną strukturą społeczną plemienia nie miała prawa wypowiadać się w imieniu nieobecnych wodzów innych grup. Sygnatariusze układu

reprezentowali zaledwie jedną trzecią wszystkich Nez Perce, ale komisarze rządowi zignorowali ten fakt i triumfalnie donieśli do Waszyngtonu, że Prawnik podpisał traktat w imieniu całego narodu Nez Perce, czemu wódz w przyszłości nigdy oficjalnie nie zaprzeczył. Natomiast Wódz Józef na wieść o podpisaniu porozumienia nazwał je „złodziejskim układem”.

W wyniku traktatu z 1863 roku Nez Perce zrezygnowali z większości swojej ziemi w Idaho, Oregonie i Waszyngtonie, pozostawiając dla siebie obszar stanowiący niewiele ponad jedną czwartą wielkiego rezerwatu ustanowionego traktatem z 1855 roku i zaledwie jedną dziesiątą pierwotnego terytorium plemiennego. Ponadto Indianie zgodzili się na budowę w rezerwacie dróg, przepraw promowych i innych instalacji służących dobru publicznemu. Do czasu ratyfikowania układu nie zmuszano grup żyjących poza obszarem nowego rezerwatu do przeniesienia się w jego obręb, co pogłębiło jeszcze rozdział plemienia. Z wyjątkiem indywidualnych kontaktów między członkami rodzin i przyjaciółmi oraz okazjonalnych spotkań podczas tradycyjnych polowań i połowów przestały istnieć oficjalne relacje pomiędzy grupami nietraktatowych i traktatowych Nez Perce. Członkowie wolnego odłamu plemienia ostentacyjnie ignorowali władzę Prawnika i jego wodzów, starając się iść własną drogą i na swój sposób opierać się agresywnej ekspansji Amerykanów.

Na szczęście dla grupy Wodza Józefa w bezpośredniej bliskości doliny Wallowa nie znaleziono jeszcze złota. Było w niej za to mnóstwo urodzajnej ziemi i bujnych łąk pełnych wspaniałej trawy, także budzących zachłanność białych osadników. Od czasu do czasu agenci rządowi namawiali Józefa do opuszczenia doliny i przeniesienia się do Lapwai, lecz stary wódz nieustannie ostro się temu opierał i ostrzegł białych osadników, żeby trzymali się z dala od jego terenów ojczystych.

Chociaż rząd nie podjął jeszcze ostatecznej decyzji w sprawie doliny Wallowa i terenów zajmowanych przez grupy nietraktatowych Nez Perce, biali osadnicy zaczęli otaczać ziemie Indian ciasnym kręgiem. Wypasali pastwiska należące do Indian, wykradali im konie i bydło, często do nich strzelali. Natarczywość sąsiadów, pożądliwie spoglądających na dolinę Wallowa, szczególnie oburzała ludzi Wodza Józefa. Wielu z nich pozostawało pod wpływem proroka Smohalli, duchowego przywódcy małego plemienia Wanapum żyjącego koło Priest Rapids nad rzeką Kolumbia, który głosił swoje nauki wśród ludów tego regionu. Jak wielu podobnych mu proroków, Smohalla twierdził, że po śmierci trafił przed oblicze Stwórcy, który kazał mu powrócić do świata żywych, aby przekazać Indianom instrukcje, jak mają żyć. Przepowiadał odrodzenie dawnego indiańskiego świata i zmartwychwstanie wszystkich Indian w celu połączenia się z żyjącymi i przepędzenia białych. Nawoływał do porzucenia zwyczajów oraz ubioru białych i powrotu do tradycyjnego sposobu życia. Głosił, że Stwórca powierzył mu zadanie nauczania Indian nowej religii oraz rytuałów i ceremonii, które wyznawcy powinni wykonywać dla przyspieszenia powrotu starych czasów i przywołania do życia zmarłych krewnych. Najważniejszym elementem nowej religii był sen, w którym wyznawcy mieli szukać wskazówek do dalszego postępowania. Z tego względu biali nazwali kult szerzony przez Smohallę „religią śniących” (*Dreamer religion*).

Wódz Józef zgadzał się prorokiem w wielu kwestiach, dostrzegając w głoszonej przez niego religii źródło zjednoczenia wszystkich Indian w walce o utrzymanie niezależności i terenów plemiennych, ale odrzucał nawoływania do wrogości wobec białych. Wielu jego współplemieńców, ośmielonych wizją Smohalli, krytykowało wodza za pobłażliwość wobec osadników, ten jednak nie chciał zadzierać z białymi, pomny losu, jaki wcześniej spotkał Indian Palouse, Spokane i Yakima,

którzy zbyt pochopnie wdali się w wojnę z Amerykanami. W tym samym duchu wychowywał swego syna, również zwanego Józefem, który już wkrótce miał zostać jego następcą.

Józef, a właściwie Heinmot Tooyalakekt, czyli Grom Toczący Się Po Szczytach Gór (1840–1904), urodził się w skalnej grocie koło dzisiejszego Joseph Creek w dolinie Wallowa. Jako dziecko, razem z młodszym o pięć lat przyrodnim bratem Ollikutem, pobierał nauki w szkole misyjnej w Lapwai i na chrzcie otrzymał po ojcu imię Józef. Był wysokim, dobrze zbudowanym, przystojnym mężczyzną o imponującej powierzchowności. Miał inteligentną twarz z czarnymi oczami, jasnobrązową skórę i długie włosy, które zwyczajem swojego plemienia zaczesywał nad czołem i nosił splecione w dwa warkocze. Po ojcu odziedziczył wstrzeźliwość, tolerancję i godne maniery. Słynął z umiejętności logicznego myślenia i elokwencji. Był człowiekiem łagodnym i pokojowo usposobionym, nigdy nie brał udziału w walkach, nie wyróżniał się też cechami wielkiego myśliwego. Mimo to wielu białych, zapewne z tej racji, że przewodził największej grupie nietraktatowych Nez Perce odmawiających przejścia do rezerwatu, uważało go za wyznawcę kultu Smohalli i potencjalnie niebezpiecznego wichrzyciela. Prasa na Północnym Zachodzie zarzucała mu wręcz zły wpływ na ochrzczonych Nez Perce z rezerwatu i przygotowywanie ogólnego powstania Indian.

W sierpniu 1871 roku w dolinie Wallowa zmarł Józef Starszy. Na łożu śmierci zobowiązał swego syna i następcę, Józefa Młodszego, aby strzegł ojczyściej ziemi jak największej świętości. „Pamiętaj zawsze – powiedział – że twój ojciec nigdy nie sprzedał swojego kraju. Powinieneś zatykać sobie uszy, kiedy będą cię namawiać do podpisania układu o sprzedaży ziemi. Synu, nie zapomnij nigdy moich ostatnich słów. W tej ziemi spoczną moje kości. Nigdy nie sprzedawaj ziemi, w której leżą prochy twego ojca i twojej matki!”.

Józef Młodszy miał trzydzieści jeden lat, gdy stanął na czele odłamu plemienia Nez Perce z doliny Wallowa. Wkrótce po ceremoniach pogrzebowych starego Józefa w dolinie pojawili się pierwsi osadnicy, a w dość spokojnej dotąd Wallowie zaczęły się mnożyć incydenty. Coraz więcej białych budowało tam swoje domy i zajmowało pastwiska, starając się dowieść, że dolina została kupiona od Indian i powinni się oni wynieść do rezerwatu

W czerwcu 1873 roku prezydent Grant podpisał zarządzenie o wyłączeniu większej części doliny Wallowa spod osadnictwa białych i przeznaczaniu jej na stały rezerwat dla mieszkających tam Nez Perce. Decyzja ta wywołała prawdziwą burzę wśród większości białych w Oregonie, którzy uznali ją za akt kapitulacji wobec potencjalnie wrogich Indian. Niechętnym rdzennym mieszkańcom gazety rozwinęły głośną kampanię propagandową, a lokalni politycy nie ustawiali w wysiłkach, żeby przekonać władze w Waszyngtonie o konieczności pozbycia się Indian.

Dwa lata później administracja Granta zmieniła swoją decyzję. Pod wpływem protestów osadników i presji lokalnych polityków z Oregonu w czerwcu 1875 w roku prezydent wydał nowe zarządzenie, które otwierało dolinę Wallowa oraz ziemie w Oregonie na zachód od rzeki Snake dla białych kolonistów. Wezwani do agencji Lapwai przywódcy wszystkich grup Nez Perce znajdujących się poza rezerwatem zostali poinformowani o konieczności opuszczenia swoich dotychczasowych siedzib i przeniesienia się na wydzielony obszar. Indianom dano na to „odpowiednio dużo czasu”, pod groźbą, że jeśli będą się ociągać, zmuszą ich do tego oddziały wojska.

Wódz Józef nie zamierzał oddawać białym ziemi swych przodków i postanowił wytrwać w dolinie. Poparli go inni przywódcy dolnych Nez Perce z grup należących do nietraktatowej części plemienia, wśród nich stary wódz Biały

Ptak oraz wpływowy szaman Too-hool-hool-zote. Po stronie Józefa stanęli również Świetlisty Orzeł, Czerwona Sowa i Zwierciadło Młodszy, których ziemie nad rzeką Clearwater znajdowały się w granicach rezerwatu. Wszyscy oni, zagrożeni przez białych, zaczęli porozumiewać się między sobą i na wszelki wypadek przygotowywać do obrony. Niektórzy wodzowie wojenni i rwąca się do walki młodzież Nez Perce nawoływali do połączenia sił i stawienia zbrojnego oporu, ale Józef odrzucał wezwania do walki i postanowił trwać w biernym oporze. Wśród najbardziej nieprzejednanych zrodziło to obawy, że młody wódz, podobnie jak kiedyś Prawnik, może się okazać zbyt uległy wobec białych i w rezultacie gotów do kapitulacji.

Ożywienie, które ogarnęło nietraktatowych Nez Perce, nie uszło uwagi osadników z Wallowy i skłoniło ich do wniosku, że Indianie przygotowują się do wojny. Zaczęły krążyć wśród nich przesadne wieści na ten temat, wywołując istną panikę. Do doliny kilkakrotnie wzywano wojsko z fortu Walla Walla, ale za każdym razem wojskowi meldowali swojemu dowódcy, generałowi Oliverowi Howardowi, że wieści o wrogości Indian są nieuzasadnione.

Ani jednak rzeczowe opinie oficerów, ani sympatia, jaką żywił do Indian generał Howard, człowiek uczciwy, głęboko religijny i o surowych zasadach moralnych, ani stanowisko dobrze znających sytuację w Wallowie duchownych prezbiteriańskich, którzy nie kwestionowali prawa Indian do doliny, nie mogły zahamować naporu osadników. A w miarę jak do Wallowy przybywało coraz więcej białych przekonanych o swoich racjach, sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Indianie nie mieli wątpliwości, że większość osadników, rozzuchwalona ich pokojową postawą, jest zdolna do najgorszego. Potwierdzała to zresztą rosnąca liczba rabunków, gwałtów i zabójstw popełnianych na Indianach.

Ludzi Józefa najbardziej bolała niesprawiedliwość amerykańskich sądów orzekających w sporach z białymi Indian z reguły surowo karano za najdrobniejsze nawet przewinienia, podczas gdy białym uchodziły bezkarnie o wiele cięższe winy, łącznie z zabójstwami Indian. Od początku lat sześćdziesiątych z rąk osadników i górników zginęło w różnych incydentach około trzydziestu Nez Perce. Zaledwie kilku zabójcom wytoczono procesy, a i tak wszyscy zostali uwolnieni z „braku dostatecznych dowodów winy”.

Kryzys nastąpił w czerwcu 1876 roku, gdy dwóch białych zamordowało wojownika Wilhautyaha z grupy Wodza Józefa, pod fałszywym zarzutem kradzieży koni. Śledztwo wykazało, że było to „celowe, dokonane z premedytacją morderstwo”, a mimo to przez sześć tygodni Nez Perce bezskutecznie czekali, aż zabójcy staną przed sądem. W tym czasie niecierpliwi młodzi wojownicy rozpoczęli rytualne tańce i pomalowani w barwy wojenne straszili osadników, żądając opuszczenia przez nich doliny i wydania morderców Wilhautyaha. Na początku września Józef i Ollikut ostrzegli białych, że jeśli w ciągu tygodnia nie spełnią żądań Indian, młodzi wojownicy spalą im domy i wygonią ich z Wallowy.

Sprawę śmierci Wilhautyaha wykorzystał generał Howard do nacisków na rząd, aby powołał komisję w celu rozstrzygnięcia sporów z nietraktatowymi Nez Perce. Chociaż oficjalnie chodziło o rozwiązanie konfliktu prawnego związanego z doliną Wallowa, prywatnie jej przewodniczący David Jerome otrzymał od sekretarza spraw wewnętrznych instrukcje w kwestii usunięcia Indian z tamtych terenów i przeniesienia ich do rezerwatu.

Józef zjawił się w Lapwai na naradzie z członkami komisji w listopadzie 1876 roku, w towarzystwie Ollikuta i wysłanników innych nietraktatowych grup Nez Perce. Rozmowy od samego początku utknęły w martwym punkcie.

Indianie odmówili opuszczenia doliny, uparcie dowodząc, że jest ona ich własnością. Argumenty Nez Perce wydawały się komisarzom całkowicie niezrozumiałe. Dyskusja ciągnęła się do momentu, kiedy Wódz Józef kategorycznie oświadczył, że nigdy nie sprzeda swojej ziemi. Dalsze pertraktacje nie miały sensu. W raporcie komisji, który nie pozostawia złudzeń co do intencji jej członków, napisano: „Jeśli w rozsądnym terminie Józef nie wyrazi zgody na opuszczenie Wallowy, powinien być razem ze swoimi ludźmi usunięty siłą i osadzony w rezerwacie”. Komisarze scharakteryzowali nietraktatowych Nez Perce jako pozostających pod wpływem nauk Smohalli i uznali, że głównych krzewicieli kultu należałoby aresztować lub zesłać na Terytorium Indiańskie.

W raporcie wyznaczono Indianom „rozsądny termin” na przeprowadzkę do rezerwatu, czyli do 1 kwietnia 1877 roku. Agent Nez Perce zagroził Józefowi, że jeśli Indianie nie dotrzymają tego terminu, generał Howard wyśle przeciwko niemu żołnierzy. Wódz jednak uparcie zapewniał, że jego ludzie nie chcą wojny, ale nie pójdą do rezerwatu i pozostaną na swojej ziemi. Howard, pamiętając o katastrofie, która poprzedniego roku spotkała podpułkownika Custera nad Little Bighorn, kiedy próbowano siłą złamać opór Siuksów, nie zamierzał naciskać na Indian i zgodził się na dalsze negocjacje.

Wiosną 1877 roku Howard kilkakrotnie spotkał się z Józefem, Ollikutem i innymi wodzami nietraktatowych Nez Perce, starając się ich nakłonić, aby w pokojowy sposób przeszli do rezerwatu. Ostatnie spotkanie odbyło się 14 maja w forcie Lapwai. W decydujących negocjacjach z generałem Józefowi zawsze towarzyszył Ollikut, ale byli z nim także Biały Ptak, Zwierciadło i szaman Too-hool-hool-zote, zwany przez białych z powodu wyjątkowej brzydoty i ciętego języka „uciekinierem z piekła”. Szaman, przedstawiony Howardowi jako rzecznik interesów Indian, tak nękał go kłopotliwymi pytaniami, aż

w końcu generał stracił cierpliwość, przerwał bezowocną dyskusję i kazał aresztować dokuczliwego Too-hool-hool-zote'a. A potem postawił ultimatum: „Macie trzydzieści dni na przejście do rezerwatu – oznajmił, sięgając po karabin i potrząsając nim wymownie. – Jeśli nie znajdziecie się tam na czas, uznam, że chcecie walki, i wyślę swoich żołnierzy, żeby doprowadzili was siłą”.

Gwałtowność Howarda i wymowna demonstracja siły wobec ich rzecznika zaskoczyła Indian. Przez dłuższy czas wodzowie Nez Perce siedzieli w milczeniu, dusząc w sobie gniew i rozpacz. W końcu ulegli z obawy o bezpieczeństwo swoich kobiet, dzieci i starców. Niechętnie zgodzili się na warunki Howarda, bo wiedzieli, że nie mają wyboru. Nie obroniliby swej ziemi, mając do dyspozycji mniej niż dwustu wojowników.

W końcu maja Indianie rozłożyli się obozem nad jeziorem Tule, koło świętej skały Tepahlewan, gdzie od pokoleń zbierały się na narady różne odłamy plemienia Nez Perce. To właśnie w tym szczególnym miejscu na skraju prerii Camas, na zachód od współczesnego miasteczka Grangeville, zgromadzili się prawie wszyscy nietraktatowi Nez Perce przed udaniem się do rezerwatu. W połowie czerwca w obozie było ich około sześciuset, z czego dwie trzecie stanowili kobiety, dzieci i starcy. Przybyli ludzie z grup Wodza Józefa, Ollikuta, Białego Ptaka, zwolnionego z aresztu Too-hool-hool-zote'a, a także kilka rodzin Nez Perce z grupy wodza Zwierciadło, który obozował z większością swoich ludzi nad jednym z dopływów rzeki Clearwater.

Mijały kolejne dni, a w sercach młodych wojowników narastały gniew i rozpacz. Too-hool-hool-zote powtarzał, że tylko krew może zmyć hańbę, jaka go spotkała z powodu osadzenia w areszcie. 12 czerwca, zaledwie dwa dni przed upływem terminu wyznaczonego przez Howarda, wielu mężczyzn wzięło udział w wojennej ceremonii *Tal-La-Klee-Tsa*.

Przez cały dzień i noc w obozie słyhać było bicie bębnów i dzikie pieśni sławiące czyny wojenne Nez Perce. Przy ich wtórze wojownicy przystrojeni jak do bitwy okrążali plac na spienionych koniach, strzelając w powietrze, wymachując bronią i buńczucznie wykrzykując zawołania bojowe.

Tej nocy trzech młodych wojowników postanowiło szukać zemsty. Cichaczem wymknęli się z obozu i nazajutrz zabili czterech osadników znanych z brutalności wobec Indian. Wodza Józefa i Ollikuta nie było w tym czasie w obozie, a zanim pozostali wodzowie zdecydowali, co robić dalej, do trójki zabójców dołączyło siedemnastu młodych harcowników. O świcie 14 czerwca cała gromada, dodając sobie odwagi skradzionym alkoholem, ruszyła przeciwko osadnikom z doliny rzeki Salmon. W ciągu dwóch dni młodzi wojownicy, mszcząc się za doznane krzywdy i wygnanie, splądrowali okoliczne rancza i zabili następnych czternastu białych, oszczędzając jednak dzieci i kobiety. Kiedy syci zemsty wrócili do obozu, większość Nez Perce, pewna ataku wojska, w popłochu opuściła obozowisko i zamiast ruszyć do rezerwatu, uciekła w poszukiwaniu bezpieczniejszego schronienia.

Początkowo Józef i Ollikut, zaskoczeni rozwojem wydarzeń, myśleli, że uda im się utrzymać pokój i przekonać generała Howarda, aby nie karał całego plemienia za wybryk kilkunastu zropaczonych zapaleńców. Na pospiesznie zwołanej naradzie wódz opowiedział się przeciwko wojnie i przekonywał o konieczności przejścia do rezerwatu. Jednakże zwolennicy wojny zarzucili mu tchórzostwo i zagrozili odebraniem przywództwa. W nocy kilka kul przeszło pokrycia namiotów Józefa i Ollikuta, co ostatecznie przekonało obu wodzów, że ich ludzie nieodwołalnie postanowili walczyć.

16 czerwca Indianie stanęli obozem w dzikim kanionie White Bird i tam właśnie doszło do pierwszej potyczki z oddziałem stu trzech kawalerzystów kapitana Davida Perry'ego z 1. Pułku

Kawalerii USA oraz jedenastu cywilnych ochotników. Indianie, poinformowani o marszu kawalerii przez zwiadowców, zdążyli przygotować się do walki, dzięki czemu nie tylko sprostali wojsku, ale odnieśli zdecydowane zwycięstwo. Zabili trzydziestu czterech żołnierzy i czterech ranili, nie straciwszy ani jednego własnego człowieka (trzech zostało rannych). „W ten sposób Nez Perce nie tylko udowodnili, że mają zamiar walczyć, ale także wykazali, iż potrafią walczyć z odwagą, determinacją i zdecydowaniem, jakich nie powstydzilyby się najlepsze oddziały armii federalnej” – napisał amerykański historyk.

Bitwa w kanionie White Bird dała początek legendzie o „indiańskim Napoleonie”. Późniejsze opinie wielu autorów piszących o wojnie Nez Perce bezkrytycznie przypisywały ten i następne sukcesy wojenne Indian szczególnym zdolnościom militarnym Wodza Józefa. Obiektywna ocena jednak weryfikuje ten mit. Plan bitwy był zapewne wspólnym dziełem Józefa, Ollikuta, Białego Ptaka i Too-hool-hool-zote’a, a wojownicy, zgodnie z indiańskim zwyczajem, bili się pod rozkazami swoich wodzów. Józef, choć brakowało mu doświadczenia wojennego, walczył obok innych wojowników, uzbrojony w dalekonośny karabin Sharpa, którego do tej pory używał głównie na polowaniach.

Paradoksalnie do powstania legendy Wodza Józefa najbardziej przyczyniła się niechętna mu prasa na Zachodzie, która już wcześniej kreowała go na głównego przywódcę nietraktatowych Nez Perce. Po szokującej dla opinii publicznej klęsce w kanionie White Bird, okrzykniętej kolejną „indiańską masakrą”, imię Józefa jako najbardziej znanego przywódcy zbuntowanych Nez Perce znowu pojawiło się w nagłówkach wszystkich gazet i czasopism. A w miarę niepowodzeń armii zaczęto mu przypisywać nadzwyczajne umiejętności i talenty militarne. W środowiskach opozycyjnych wobec rządu,

szczególnie na wschodzie kraju, doniesienia te przyjmowano z niekłamanym entuzjazmem i szczerą sympatią do Indian.

Kłeska w kanionie White Bird wstrząsnęła opinią publiczną Zachodu i wprawiała w osłupienie dowództwo armii. Ci z wojskowych, którzy mieli jeszcze jakikolwiek sentyment do Indian, pozbyli się go i postanowili się z nimi rozprawić. Tak zaczęła się wojna z plemieniem Nez Perce, która przerodziła się w desperacki pochód prawie ośmiuset indiańskich mężczyzn, kobiet i dzieci w kierunku granicy kanadyjskiej. Ścigani przez oddziały wojska i setki cywilnych ochotników, Indianie Nez Perce, plemienia piętnaście razy mniejszego od słynnych Siuksów, w ciągu trzech miesięcy przebyli dwa i pół tysiąca kilometrów. Przedzierając się przez wrogie i niegościnne terytoria Idaho, Wyomingu i Montany, odpierali i częstokroć bili na głowę dużo liczniejsze siły wroga, wyposażone w najnowocześniejszą broń i doskonałe środki techniczne. Ale kiedy zbliżali się już do granicy z Kanadą, na początku października zaskoczył ich w górach Bear Paw w Montanie niestrudzony pułkownik Nelson Miles.

Miles opuścił fort Keogh w Montanie 18 września na czele czterech kompanii 7. Pułku Kawalerii USA, czterech kompanii 2. Pułku Kawalerii USA oraz półtorej kompanii piechurów z 5. Pułku Piechoty USA, którzy potrafili utrzymać się w siodłach. Razem jego oddział liczył trzystu osiemdziesięciu trzech oficerów i żołnierzy oraz trzydziestu indiańskich zwiadowców z plemienia Czejenów Północnych, zwerbowanych spośród ludzi wodza Dwa Księżycy w forcie Keogh, gdzie poddali się wojsku w kwietniu 1877 roku, oraz Siuksów Oglala z agencji koło fortu Robinson w Nebrasce. Pułkownik miał też do dyspozycji jedno szybkostrzelne działko Hotchkissa, dwunastofuntową armatę i karawanę jucznych mułów z zaopatrzeniem.

29 września idący szybkim marszem oddział Milesa stanął na noc w odległości kilku kilometrów od potoku Snake, dopływu rzeki Milk, indiańscy zwiadowcy bowiem wytropili świeże ślady prowadzące w kierunku północnego skraju gór Bear Paw (Niedźwiedziej Łapy). Istotnie tego dnia Nez Perce minęli od wschodu główne pasmo tych gór i dotarli do potoku Snake, zaledwie sześćdziesiąt pięć kilometrów od granicy kanadyjskiej. Tam postanowili rozbić obóz, a nazajutrz, po krótkim odpoczynku i napełnieniu głodnych żołądków mięsem bizonów, rozpocząć ostatni etap podróży i już bez postojów dotrzeć do neutralnego „kraju Babki”, jak nazywali sąsiednią Kanadę.

Krótko po północy 30 września w obozie żołnierzy zagrały trąbki na pobudkę, a przed świtem Miles dał rozkaz do wymarszu. W nocy zwiadowcy wytropili pogrążony we śnie obóz Indian i przywieźli najnowsze wieści o jego położeniu. Wynikało z nich, że Nez Perce znajdują się niedaleko i nie spodziewają się nadejścia wojska. Miles postanowił skorzystać z okazji i bezzwłocznie zaatakować. Pchnął do przodu kawalerię, zarazem rozkazując piechocie, artylerii i taborom dołączyć tak szybko, jak tylko to będzie możliwe. Chciał bowiem zaskoczyć Indian przed brzaskiem, zanim zbudzą się ze snu i zdążą uciec.

Tego dnia o świcie w górach Bear Paw zaczął padać gęsty śnieg. A rano Indianie ujrzeli w zamieci żołnierzy, którzy posuwali się ku ich obozowi w szyku bojowym. Oddziały Milesa zbliżyły się na odległość strzału i zaatakowały. Strzelcy Nez Perce swoim zwyczajem celowali głównie do oficerów i podoficerów. W ciągu kilku minut trafili wszystkich czterech oficerów prowadzących atak i odrzucili pozbawionych dowództwa żołnierzy, zadając im duże straty.

Jednakże nieudany początek walki nie zniechęcił pułkownika Milesa. Na jego rozkaz kawalerzyści zaatakowali jeszcze dwukrotnie i za każdym razem zostali odparci. Tego dnia

poległo dwóch oficerów i dwudziestu trzech żołnierzy, a czterech oficerów i czterdziestu żołnierzy odniosło rany. Indianie stracili dwudziestu dwóch ludzi. Wśród poległych znalazło się trzech wodzów: Ollikut, trafiony kulą prosto w serce w chwili, kiedy podniósł się, zagrzewając wojowników do kontrataku, Too-hool-hool-zote oraz półkrwi Nez Perce, Szczupły Łoś. Wczesnym popołudniem, wobec zaciętego oporu Indian i strat, które spowodowały wyłączenie z walki około jednej piątej żołnierzy, Miles wycofał swoich ludzi. Zaprzestał dalszych ataków, ale wydał rozkaz utworzenia wokół obozu Nez Perce szczelnego kordonu. Zanim jednak zamknął pierścień okrążenia, prawie stuosobowa grupa wojowników, kobiet i dzieci z jucznymi końmi, wśród nich córka Józefa, wydostała się z doliny i uszła na prerię, aby dotrzeć do „magicznej linii”, jak Indianie nazywali granicę kanadyjską, i dołączyć do Siuksów Siedzącego Byka w pobliżu fortu Walsh.

4 października, w czasie oblężenia w górach Bear Paw, do oddziału Milesa dołączył bezskutecznie ścigający Nez Perce generał Howard, którego Indianie ironicznie przezwali „Generałem Dwa Dni z Tyłu” (*General Two-Day Behind*). Wraz z nim przybyło dwóch traktatowych Nez Perce, którzy mieli krewnych w obozie Józefa. Nazajutrz parlamentariusze Howarda i Milesa udali się do obozu okrążonych Indian, aby przedstawić im warunki kapitulacji. W zamian za złożenie broni Nez Perce mieli otrzymać żywność, koce i niezbędną pomoc. Zapewniono, że nie będzie procesów i egzekucji, jak to się zdarzało w przeszłości, a wszyscy wojownicy zostaną potraktowani jak jeńcy wojenni. Nie rozmawiano wprawdzie o powrocie do ojczyzny, ale dla Nez Perce było oczywiste, że przyjęcie warunków kapitulacji oznacza odesłanie ich do Idaho i umieszczenie w rezerwacie Lapwai.

Po wysłuchaniu obu parlamentariuszy w obozie Indian rozpoczęła się gorączkowa narada z udziałem pozostałych przy

życiu wodzów i starszyny. Wódz Józef wiedział, że Indianie nie mają właściwie wyboru. Wielu z nich było chorych i wygłodzonych, brakowało żywności, amunicji i ciepłych okryć. Starcy, kobiety i dzieci, wyczerpani ciągłą ucieczką, potrzebowali bezpiecznego schronienia. To przesądziło o postawie Józefa. Nie chcąc odwlekać decyzji, zaczął przekonywać, że należy przyjąć warunki białych. Ale Biały Ptak i Zwierciadło byli gotowi walczyć na śmierć i życie. Walczyli już tak długo, że nie dopuszczali myśli o kapitulacji. W końcu orzekli, że Józef może robić ze swoimi ludźmi, co mu się żywnie podoba, lecz oni spróbują wyrwać się z matni i przedostać do Kanady.

Tego popołudnia, w czasie ostatniej wymiany strzałów podczas oblężenia, zginął Zwierciadło. Ktoś zawołał, że widzi konnego Indianina nadjeżdżającego z północy. Wódz, myśląc, że to posłaniec od Siedzącego Byka, wychylił się z ukrycia i padł, trafiony kulą w głowę. Jego śmierć przyspieszyła decyzję Józefa o poddaniu się generałowi Howardowi. Ten jednak pozostawił przywilej wzięcia do niewoli słynnego wodza Nez Perce ambitnemu Milesowi.

„Piątego dnia – powiedział później Józef – poszedłem do generała Milesa i oddałem mu swoją strzelbę”.

Na godzinę przed zachodem słońca z parowu, w którym kryli się Nez Perce, wyłoniła się „barwna i żałosna grupka ludzi”. Wódz Józef jako jedyny jechał konno. Tuż za nim podążało pieszo pięciu wojowników. Zbliżywszy się do pagórka, na którym stali Howard i Miles w otoczeniu oficerów sztabu, Indianie wolno wspięli się po zboczu. W całkowitej ciszy słyhać było tylko stukot kopyt konia Józefa o zmarznąętą ziemię, pokrytą cienką warstwą świeżo spadłego śniegu.

Adiutant Howarda, porucznik Charles Wood, który zapisał po angielsku słynną mowę poddańczą Wodza Józefa, wspominał później:

„Stałem bardzo blisko Howarda z ołówkiem i notatnikiem, który w takich chwilach zawsze nosiłem przy sobie, gotowy do zapisania tego, co mogło zostać powiedziane. Józef znowu przemówił osobiście do Howarda, co było naturalne, bo spotykał się z nim wcześniej na naradach, łącznie z tą, która doprowadziła do wybuchu wojny.

– Powiedz generałowi Howardowi, że znam jego serce – zwrócił się do tłumacza. – To, co rzekł mi przedtem, mam w swoim sercu. Jestem już zmęczony walką. Nasi wodzowie nie żyją. Zwierciadło nie żyje. Too-hool-hool-zote nie żyje. Wszyscy starzy ludzie nie żyją. Teraz młodzi mówią tak lub nie. Ten, który prowadził młodych wojowników do boju (wódz nie chciał wymawiać imienia poległego Ollikuta), nie żyje. Jest zimno, a my nie mamy ognia ani koców. Małe dzieci zamarzają na śmierć lub płaczą z głodu, a my nie mamy im co dać do jedzenia. Niektórzy z moich ludzi uciekli na wzgórza. Nie wiem, gdzie się teraz znajdują. Być może zamarzają na śmierć. Chcę mieć czas, aby odszukać moje dzieci i zobaczyć, ile z nich zdołam odnaleźć. Może znajdę je między umarłymi? Słuchajcie mnie, moi wodzowie. Jestem zmęczony. Moje serce jest chore i smutne. Od tego miejsca na niebie, w którym teraz stanęło słońce, nie będę walczył nigdy więcej!”

To był koniec. Razem z Wodzem Józefem poddało się osiemdziesięciu siedmiu mężczyznom, sto osiemdziesiąt cztery kobiety i sto czterdzieścioro siedmiu dzieci. W ostatniej bitwie Nez Perce zginęło trzydziestu wojowników, wśród nich czterech wodzów, a około pięćdziesięciu zostało rannych. Straty wojska wyniosły dwudziestu pięciu zabitych i pięćdziesięciu trzech rannych oficerów i żołnierzy, w większości z 7. Pułku Kawalerii USA.

O zmroku, w zamieszaniu, które nastąpiło po kapitulacji, wódz Biały Ptak z dziewięćdziesięcioma wojownikami, kobietami i dziećmi wymknął się z okrążenia górskim parowem

i dwa dni później przekroczył granicę kanadyjską, dołączając do Siuksów Siedzącego Byka.

Wodza Józefa i jego ludzi, łącznie trzysta czterdzieści jeden osób, wbrew obietnicom osadzono na Terytorium Indiańskim. Gorący i niezdrowy klimat Oklahomy spowodował śmierć wielu z nich. Dopiero w 1885 roku, kiedy uznano, że odpokutowali za swoje winy, ostatnim pozostałym przy życiu Nez Perce pozwolono na powrót do ojczyzny w Oregonie. Nie dotyczyło to jednak Wodza Józefa, którego umieszczono w obcym rezerwacie w stanie Waszyngton. Tam, otoczony powszechnym szacunkiem, zmarł w 1904 roku, siedząc przy ognisku przed swoim tipi. Lekarz z agencji opiekujący się Indianami z ramienia rządu stwierdził, że przyczyną jego śmierci było „pęknięte serce”.

Waleczny odwrót plemienia Nez Perce w czasie wojny 1877 roku uznano za arcydzieło strategii wojennej północnoamerykańskich Indian. Prasa amerykańska chętnie porównywała go do biblijnego wyjścia Żydów z Egiptu lub słynnego odwrotu dziesięciu tysięcy zaciężnych Greków pod wodzą Ksenofonta po bitwie pod Kunaksą w 401 roku p.n.e., opisanego w dziele *Anabasis*. Nawet jeśli opinie te były przesadzone, przedsięwzięcie to nie może się równać z żadnym innym nie tylko w historii wojen indiańskich, ale i w dziejach wojen nowożytnych.

Nieujarzmiony Geronimo, „Tygrys w Ludzkiej Skórze”

Wieloletnie wojny z Apaczami zakończyły się zwycięstwem Amerykanów. Ale tym razem armia miała inne plany wobec pokonanych. Żołnierze zapakowali Indian do pociągu jadącego na wschód i wywieźli ich do odległego więzienia na Florydzie. Najsłynniejszy z Apaczów, Geronimo, znalazł się wreszcie pod kontrolą wojska. Latami on i jego zwolennicy umykali przed armią Stanów Zjednoczonych, próbując zachować swój dotychczasowy tryb życia. Przez cały ten czas siali strach i zgrozę wśród białych na Południowym Zachodzie. Teraz wreszcie mieszkańcy Arizony mogli spać spokojnie, bez obawy, że przyjdzie Geronimo i ich pozabija.

Przed rokiem 1871 władze cywilne i wojskowe na Południowym Zachodzie realizowały tylko jedną politykę wobec Apaczów: eksterminację. Rozkazy wydane armii w 1868 roku nakazywały „schwytać i wykorzenić Apaczów wszelkimi możliwymi środkami i polować na nich jak na dzikie zwierzęta”. Za skalpy Apaczów wyznaczono wysokie nagrody pieniężne. Podejście do tego plemienia zmieniło się dopiero po objęciu dowództwa armii w Arizonie przez podpułkownika George’a Crooka. Zamiast bezwzględnie tępić Indian, Crook przyjął politykę uspakajania ich środkami pokojowymi, co nie było zbyt popularne wśród białych mieszkańców Arizony.

Zgodnie ze swoją polityką Crook przede wszystkim zwerbował pewną grupę Apaczów jako zwiadowców. To pozwoliło mu nie tylko ograniczyć liczbę potencjalnych

wrogów, ale przysporzyło mu także sprzymierzeńców, którzy dobrze znali sposoby walki i kryjówek walczących współplemieńców. Crook darzył swoich Apaczów wielkim podziwem i zapewniał, że byli najlepszymi zwiadowcami, jakimi kiedykolwiek dowodził. Szczególnie cenił sobie zwiadowców z plemienia Chiricahua, ponieważ w czasie wojen z Apaczami właśnie ten odłam plemienia sprawiał armii najwięcej kłopotów. Chiricahua byli znani jako najlepsi wojownicy spośród wszystkich Apaczów i Crook dobrze wiedział, że najskuteczniejszym sposobem, aby ich zwyciężyć, jest wykorzystanie sprytu, sposobu myślenia i znajomości terenu ich pobratymców. Strategia Crooka zdała egzamin i po dwóch latach zaciętych walk udało mu się zawrzeć pokój z Chiricahuami, w którego wyniku powstał duży rezerwat obejmujący znaczną część ich dzikiego, suchego i pępego kraju. Po raz pierwszy w historii Apaczów dzicy wojownicy zwrócili większą uwagę na uprawę ziemi i hodowlę bydła.

Okres pokoju w stosunkach z Apaczami nie trwał długo. Po odwołaniu Crooka na północne Równiny w marcu 1875 roku konflikty białych z Indianami na nowo odżyły. Prawie natychmiast pozbawieni skrupułów agenci indiańscy zaczęli spiskować ze spekulantami ziemskimi w celu pozbawienia Apaczów części ich terenów. W 1877 roku rząd próbował wcisnąć wszystkie odłamy do jednego głównego rezerwatu w Arizonie, który zaczęli już nachodzić poszukiwacze cennych minerałów. Niektóre grupy jednak, wśród nich Chiricahua, opuściły rezerwat i wróciły do dawnego życia na rozległych obszarach Arizony, Nowego Meksyku i samego Meksyku.

Po śmierci mądrego wodza Cochise'a Indianie Chiricahua znaleźli się pod wpływem jednego ze swoich najbardziej wojowniczych przywódców, Geronima. Sprytny, mściwy i kłótniwy Geronimo (1823–1909) urodził się wśród Apaczów Bedonkohe, odłamu Chiricahuów, w kanionie No-doy-ohn nad

rzeką Gila w Arizonie. Jego indiańskie imię brzmiało Goyahtla, czyli Ten, Który Ziewa. Nie był dziedzicznym wodzem swego ludu, gdyż stanowisko to należało się Tazie i Naiche, synom Cochise'a, ale brakowało im siły i mądrości ojca, które legły u podstaw jego niekwestionowanego przywództwa. Geronimo został wojownikiem w wieku lat siedemnastu. W młodości należał do zwolenników Mangasa Coloradas, z którym wielokrotnie wyprawiał się do Meksyku, na przemian walcząc i handlując z mieszkańcami Sonory i Chihuahua. W marcu 1851 roku w meksykańskim Janos w Sonorze, pod nieobecność mężczyzn, którzy poszli handlować z Meksykanami, doszło do masakry indiańskich kobiet i dzieci dokonanej przez żołnierzy generała José Marii Carrasco. Geronimo stracił wówczas matkę, ukochaną żonę Alope i troje małych dzieci. Od tej chwili stał się nieprzejednanym wrogiem Meksykanów i zabił wielu, aby pomścić bolesną utratę bliskich.

Według meksykańskich raportów, podczas napadu generała Carrasco na obozowisko Apaczów w pobliżu Janos zginęło dwadzieścia jeden osób: szesnastu mężczyzn i pięć kobiet, a sześćdziesiąt dwie osoby trafiły do niewoli. Niektórzy historycy przypuszczają, że liczba zabitych kobiet i dzieci została w raportach mocno zaniżona. Geronimo nie widział ciał swoich bliskich, nie ma więc pewności, że Alope z dziećmi została zabita. Jeśli jednak przeżyła, to tylko po to, by zostać wywieziona do niewolniczej pracy w głębi Meksyku.

Spośród wielu wypraw odwetowych, w których Geronimo wziął udział, już pierwsza zaważyła na jego dalszych losach. Na zwołanej przez Mangasa Coloradas naradzie wojowników, której celem było ustalenie form zemsty na Meksykanach, właśnie jemu polecono udać się do innych grup Chiricahuów, aby zwerbować ich do walki. Geronimo wybrał się najpierw do Chokonenów, a potem do Apaczów Nedni i przekonał ich do uczestnictwa w wyprawie. Nastąpiła ona w styczniu 1852 roku,

a bitwa rozegrała się niedaleko miasta Arizpe w północno-wschodniej Sonorze. Geronimowi uczyniono wielki honor, powierzając mu poprowadzenie wojowników do walki, gdyż to on najbardziej ucierpiał z powodu masakry pod Janos. W czasie zaciętej bitwy myśl o utraconych matce, żonie i dzieciach sprawiły, że wykazał się niezwykłą brawurą. Wyrzynani przez Apaczów Meksykanie wznosili ponoć ręce do góry i błagalnym gestem wzywali na pomoc świętego Hieronima (*San Jerónimo*). A gdy rzeź dobiegła końca, Geronimo, „okryty świeżą krwią wrogów, trzymając w dłoni śmiercionośną broń, rozgrzany jeszcze uniesieniem bitwy, triumfu i zemsty, [został] otoczony przez wojowników i obwołany wodzem wszystkich Apaczów”. To ostatnie stwierdzenie jest zapewne wielką przesadą, powtarzaną za Geronimem przez niektórych jego biografów i utrwalającą jego legendę. Faktem jest jednak, że od tego dnia młody wódz wojenny przestał być Tym, Który Ziewa, i przybrał imię Geronimo.

W 1851 roku Geronimo po raz pierwszy zetknął się z Amerykanami, a pierwszą walkę z nimi stoczył prawdopodobnie na Przełęczy Apaczów 15 lipca 1862 roku jako jeden z pięciuset wojowników Cochise'a, którzy starli się tam z żołnierzami kapitana Roberta. Potem walczył zwykle pod kierownictwem Juha, słynnego wodza Apaczów Nedni, na przykład w maju 1871 roku uczestniczył w bitwie stoczonej w pobliżu fortu Huachuca w górach Whetstone z oddziałem porucznika Howarda Cushinga z 3. Pułku Kawalerii USA, w której zginął dowódca i wielu żołnierzy[1].

Wyraźniej na scenie historii Geronimo pojawił się w styczniu 1877 roku, kiedy jego obóz w górach Leitendorf, przy granicy Nowego Meksyku z Arizoną, zaatakował porucznik John Rucker z 6. Pułku Kawalerii USA, który od wielu już dni tropił indiańskich złodziei bydła. Geronimo stracił wówczas dziesięciu wojowników, co było jednym z niewielu zwycięstw

armii amerykańskiej w walkach z Chiricahuami[2]. Po porażce udał się do rezerwatu Ojo Caliente w Nowym Meksyku, utworzonego dla Apaczów Mimbrenio słynnego wodza Victoria. Tam za karę nie chciano mu wydać żywności, a gdy próbował zdobyć ją siłą, indiański agent John Clum kazał go aresztować i zesłać do rezerwatu San Carlos.

San Carlos było jałowym pustkowiem, które straszło spękaną ziemią, dusiło morowym powietrzem i nękało dokuczliwymi moskitami. Podporucznik Britton Davis, jeden z uczestników ostatniej kampanii przeciwko Chiricahuom, nazwał to miejsce „czterdziestoma akrami piekła”. Nic więc dziwnego, że już po paru miesiącach pobytu w rezerwacie, w kwietniu 1878 roku, Geronimo oraz Juh i inni niepokorni przywódcy Chiricahuów wyruszyli do Meksyku. Tam podczas wojny, którą wojska amerykańskie i meksykańskie toczyły z Apaczami Victoria w latach 1879–1880, prowadzili niezależne wyprawy, które odciągały uwagę obu armii od działań Mimbreniów. Trwało to do października 1880 roku, kiedy Victorio wpadł w górach Tres Castillos w pułapkę misternie zastawioną przez meksykańskich żołnierzy podpułkownika Joaquina Terrazasa z Chihuahua i zginął od kuli niejakiego Mauricia Corredora. Razem z nim poległo siedemdziesięciu siedmiu jego ludzi, a sześćdziesiąt osiem kobiet wraz z dziećmi Meksykanie wzięli do niewoli.

Geronimo i Juh wrócili do nieprzyjaznego San Carlos. Tam w 1881 roku Apacze Chiricahua, otoczeni przez wrogie im plemiona, również sprowadzone z odległych okolic, znowu zaczęli się burzyć. A 30 września, na wieść o niepokojach, które wybuchły w sierpniu nad strumieniem Cibecue, Geronimo i Juh wraz z trzystu siedemdziesięcioma pięcioma Chiricahuami ponownie uciekli do Meksyku, w dobrze im znane góry Sierra Madre. Sprowokowani chciwością i niesprawiedliwością białych, zaczęli się mścić w jedyny znany sobie sposób.

W kwietniu 1882 roku poprowadzili wielką wyprawę do San Carlos, zabili popularnego komendanta indiańskiej policji Alberta Sterlinga i jednego z jego ludzi, sterroryzowali przebywających tam Mimbreniów wodza Loco, który był następcą Victoria, i zmusili ich do opuszczenia rezerwatu.

Kiedy sytuacja w Arizonie dramatycznie się zaostrzyła, we wrześniu 1882 roku wrócił do kraju Apaczów generał Crook i z właściwą sobie energią przystąpił do działania. W wypróbowany sposób sprowadził do rezerwatu kilka grup uciekinierów, zreorganizował policję indiańską, poprawił administrację i siłą usunął z ziemi Apaczów białych intruzów. Przywrócił także pomoc dla Indian zainteresowanych rolnictwem i znalazł rynek zbytu dla ich produktów. Tymi skutecznymi działaniami zyskał szacunek Apaczów, którzy nadali mu imię Natan Lupan, czyli Szary Wilk, ponieważ nosił zwykły szary płaszcz wojskowy bez dystynkcji.

Jednakże większość z około czterystu Chiricahuów nie dowierzała Crookowi i wciąż pozostawała na wolności. W marcu 1883 roku wyrazili oni chęć spotkania z generałem, a ten zgodził się na to i wyruszył na spotkanie z pięćdziesięcioma kawalerzystami i dwustu apackimi zwiadowcami. Skorzystał tym samym z zawartego 29 lipca 1882 roku porozumienia między rządem amerykańskim i prezydentem Meksyku Porfirio Díazem, które dawało wojskom amerykańskim prawo prowadzenia pościgu za wrogimi Indianami na terytorium sąsiedniego kraju. Odnalazł obóz Geronima i przy pomocy tłumacza, znanego zwiadowcy Toma Horna, nakłonił go, aby złożył broń i wrócił do rezerwatu. Doszło do tego jednak dopiero w lutym 1884 roku, po przypadkowej śmierci Juha, który w listopadzie poprzedniego roku, będąc prawdopodobnie pod wpływem alkoholu, spadł z konia i utonął w rzece Casas Grandes.

I znowu pobyt Geronima w San Carlos nie trwał zbyt długo. Pozbawieni swobody poruszania się, prawa do posiadania strzelb i możliwości polowania Apacze zabijali czas hazardem i piciem przemycanego alkoholu. Na dodatek zarządzający sprawami Indian w rezerwacie kapitan Emmet Crawford na polecenie Crooka wprowadził rygorystyczny zakaz picia ulubionego trunku Indian zwanego *tiswin* (rodzaj lekkiego kukurydzianego piwa) oraz stosowania niektórych barbarzyńskich zwyczajów, takich jak bicie żon i okaleczanie niewiernych małżonek ucinaniem czubka nosa. Apacze uznali to za ingerencję w ich kulturę oraz styl życia i odpowiedzieli w wielokrotnie sprawdzony sposób. W nocy 17 maja 1885 roku kłótniwy Geronimo nakłonił do pomocy podobnie jak on niezadowolonych wodzów Chihuahuę, Naiche i Mangusa, syna Mangasa Coloradas, i raz jeszcze wyprowadził z San Carlos w góry północnego Meksyku grupę czterdziestu dwóch mężczyzn oraz dziewięćdziesięciu dwóch kobiet i dzieci. Od razu też zbiegli Apacze zaczęli popełniać napady, kradzieże i morderstwa.

Tak rozpoczęła się trudna i męcząca szesnastomiesięczna kampania generała Crooka przeciwko Geronimowi. Doświadczony i dobrze znający Apaczów Crook skorzystał z pomocy swoich apackich zwiadowców dowodzonych przez podporucznika Brittona Davisa i sierżanta Chato. Do natychmiastowego pościgu rzucił też drugą grupę zwiadowców, pod wodzą porucznika Charlesa Gatewooda, najlepszego tropiciela Apaczów, a ponadto polecił Davisowi zwerbować dodatkową setkę zwiadowców. Na apel zgłosili się jak jeden mąż wszyscy pozostali w rezerwacie Chiricahua, ale Davis wybrał tylko tych, którzy nie mieli bliskich rodzinnych związków z przywódcami buntowników.

Pościg za Geronimem był długi i kosztowny mimo pomocy niestrudzonych apackich zwiadowców. Co jakiś czas grupy

pościgowe wpadały na trop uciekinierów, ale zawsze po krótkiej potyczce szybcy ludzie Geronima znikali w górach. Crook jednak nie odpuszczał i utrzymywał swoich żołnierzy w ciągłym ruchu na bezdrożach północnego Meksyku. W końcu jego taktyka przyniosła oczekiwane rezultaty. Apacze zaczęły tracić konie, wyczerpywały się im także zapasy amunicji i żywności. Aż wreszcie na początku stycznia 1886 roku uciekinierzy zasygnalizowali chęć podjęcia rokowań z grupą zwiadowczą kapitana Crawforda. W tym krytycznym momencie jednak wojsko meksykańskie, prawdopodobnie wskutek pomyłki (zapewne wzięto apackich zwiadowców za wrogich Indian), zaatakowało oddział Crawforda. Kapitan zginął 18 stycznia w przypadkowej wymianie strzałów z ręki tego samego Mauricia Corredora, który sześć lat wcześniej zastrzelił w górach Tres Castillos wodza Mimbreniów Victoria.

Niedługo potem zmęczony ciągłą ucieczką Geronimo znów dał znać, że jest gotów do rozmów z Crookiem, jeśli ten przybędzie na spotkanie bez regularnych żołnierzy. Do narady doszło 25 marca 1886 roku w kanionie Los Embudos, około stu czterdziestu kilometrów od fortu Bowie i dwadzieścia kilometrów na południe od granicy. Po trzech dniach rozmów Geronimo, obozujący po meksykańskiej stronie, w obecności fotografa i reportera zgodził się na przedstawione przez generała warunki kapitulacji i powrót do San Carlos. „Rób ze mną, co chcesz – powiedział do Crooka. – Niegdyś byłem jak wiatr. Teraz ci się poddam”. Zgodnie z warunkami umowy wódz i jego Apacze mieli spędzić dwa lata w więzieniu na Florydzie, a potem wrócić do rezerwatu w rodzinnej Arizonie. Apacze przygotowali się do wymarszu, a Crook szybkim marszem ruszył przodem do fortu Bowie, aby przygotować się na ich przyjęcie.

Kiedy już wydawało się, że wszystkie problemy z Apaczami zostały rozwiązane, pewien francuski przemytnik z Tucson

nazwiskiem Bob Tribollet, który w drodze do fortu sprzedał Indianom „whisky wartości trzydzieści dolarów”, rozpuścił plotkę, że natychmiast po poddaniu się Geronimo i jego ludzie zostaną wymordowani. W rezultacie 29 marca w nocy, kilka kilometrów przed fortem Bowie, Geronimo, Naiche i trzydziestu ośmiu innych Apaczów: wojowników, kobiet i dzieci, wymknęło się z obozu i uciekło w góry. „Ruszyliśmy całą grupą za generałem Crookiem z powrotem do Stanów Zjednoczonych, ale obawiałem się zdrady i postanowiłem zostać w Meksyku” – tłumaczył później Geronimo.

W tej sytuacji prezydent Groover Cleveland i naczelny dowódca armii generał Sheridan zarzucili Crookowi zbytnią pobłażliwość i obwinili go o niepowodzenie kampanii. W rezultacie 2 kwietnia Sheridan odebrał mu dowództwo i powierzył je generałowi Nelsonowi Milesowi. Nowy dowódca przybył do fortu Bowie 11 kwietnia z zadaniem jak najszybszego zakończenia wojny z Apaczami. Rozkazano mu za wszelką cenę schwytać Geronima, chroniąc przy tym osadników w Arizonie i Nowym Meksyku.

W takich okolicznościach rozpoczęła się ostatnia kampania przeciwko Apaczom. Pięć tysięcy żołnierzy amerykańskich, prawie jedna czwarta armii Stanów Zjednoczonych, ruszyło w pościg za niespełna czterdziestoosobową garstką renegatów Chiricahua, wśród których było zaledwie dziewiętnastu wojowników, prowadzonych przez podstępного i przebiegłego Geronima. Działania Milesa wspierało kilkuset zwiadowców indiańskich oraz parę tysięcy żołnierzy meksykańskich i amerykańskich ochotników. Łącznie siły te liczyły około dziesięciu tysięcy ludzi. W konfrontacji z tak liczny i dobrze uzbrojony przeciwnikiem Geronimo nie miał szans, ale mimo to atakował, kradł konie, zabijał i wycofywał się góry Sierra Madre, gdzie u źródeł rzeki Bavispe znajdowała się jego trudno dostępna kryjówka.

Nelson Appleton Miles (1839–1925) nienawidził generała Crooka i zazdrościł mu sukcesów. Zamierzał więc zrobić wszystko, aby upokorzyć swojego poprzednika i poczynić następny krok na drodze własnej kariery wojskowej. Ambitny Miles zaczynał jako ubogi sprzedawca w sklepie z naczyńiami stołowymi w Bostonie, a naukę skończył w wieku siedemnastu lat w szkole wieczorowej. Przygodę z wojskiem rozpoczął jako ochotnik w stopniu porucznika we wrześniu 1861 roku. Potem brał udział we wszystkich decydujących bitwach Armii Potomaku z wyjątkiem Gettysburga i szybko awansował na generała majora ochotników. W 1866 roku został pułkownikiem w armii regularnej, a w marcu 1869 objął dowództwo 5. Pułku Piechoty USA na pograniczu indiańskim w Kansas i wkrótce zyskał sławę niezwycięzonego „pogromcy Indian”. Zaczynał od udziału w kampanii generała Sheridana przeciwko plemionom z południowych Równin w ramach wojny nad Rzeką Czerwoną w latach 1874–1875, potem walczył z Siuksami w Montanie, przegonił do Kanady Siedzącego Byka i zmusił do kapitulacji plemię Nez Perce Wodza Józefa w górach Bear Paw w 1877 roku. Służbę wojskową zakończył w 1903 roku jako trzygwiazdkowy generał porucznik i szef sztabu armii Stanów Zjednoczonych, skoligacony z naczelnym dowódcą generałem Shermanem (ożenił się z jego bratanicą). Siuksowie, których nieustępliwie ścigał zimą 1876/1877 roku, nadali mu imię Niedźwiedzi Płaszcz z powodu charakterystycznej kapoty obszytej futrem misia grizzly.

W swoim nieokiełznanym pragnieniu osiągnięcia sukcesu tam, gdzie nie udało się to Crookowi, Miles nie oszczędzał żołnierzy i w czasie liczącej blisko pięć tysięcy kilometrów morderczej pogoni za Geronimem przez góry północnego Meksyku skazywał ich na najgorsze trudy i cierpienia. Podobno pewnego razu, kiedy jego ludzie konali na pustyni z pragnienia, kazał im ponacinać nożami skórę na rękach i pić własną krew.

Końcowa oblawa na Apaczów Geronima trwała ponad trzy miesiące. Do porozumiewania się pomiędzy fortami na Południowym Zachodzie generał Miles zastosował stacje heliografów (luster sygnalizacyjnych), usytuowane nawet w górach południowo-zachodniej Arizony, łącznie z górami Chiricahua. Użycie nowoczesnych metod szybkiej komunikacji w połączeniu z wykorzystaniem indiańskich zwiadowców doprowadziło w końcu do zwycięskiego finału kampanii.

Do schwytania Geronima Miles zastosował metodę bliską sprawdzonej taktyce generała Crooka. Przyglądając się swoim zwiadowcom, wybrał dwóch zaufanych Chiricahuów, Martine'a i Kayitaha, którzy mieli krewnych w grupie renegatów, i wysłał ich razem z porucznikiem Gatewoodem do Meksyku w celu podjęcia bezpośrednich rozmów z Geronimem. Na początku września zwiadowcy Gatewooda natrafili w górach nad rzeką Bavispe na ślady obozu Apaczów. Martine i Kayitah ruszyli dalej sami, niosąc worek mąki uwiązany do tyczki w charakterze flagi rozejmowej.

Początkowo Geronimo wydawał się nieugięty, ale parlamentariusze nie dawali za wygraną, licząc na zmęczenie wodza ciągłą walką i kluczeniem w górach. I faktycznie: w końcu Geronimo dał się namówić na spotkanie z Gatewoodem. Kayitah pozostał w obozie jako zakładnik, a Martine pospieszył z powrotem do porucznika z wiadomościami. W czasie rozmowy z Gatewoodem Geronimo zgodził się spotkać z Milesem w Kanionie Szkieletów w Arizonie, niedaleko granicy z Meksykiem. Dotrzymał słowa i po dwóch dniach trudnych negocjacji, w toku których próbował wytargować lepsze warunki kapitulacji, 6 września 1886 roku poddał się Amerykanom po raz ostatni. Razem z nim broń złożyło ostatnich trzydziestu pięciu wolnych Apaczów. Tym samym dobiegł końca wieloletni konflikt z Indianami na Południowym Zachodzie.

General Myles zakończył wojnę z Apaczami, stosując dwie skuteczne metody. Najpierw deportował większość Chiricahuów, około sześciuset osób, daleko od ich ojczyzny, na Florydę, nie robiąc między nimi żadnej różnicy. Wszystkich potraktował tak samo: i wrogo, i pokojowo nastawionych, i lojalnych, jak sierżant Chato, Martine czy Kayitah, i nielojalnych, i tych z rezerwatu, i spoza niego. Chodziło po prostu o to, aby nikt nie mógł zaopatrywać w broń i żywność potencjalnych buntowników. Pod tym względem Miles był prekursorem walki z tubylczą partyzantką i jej cywilnym zapleczem w terenie (jego doświadczenia Amerykanie wykorzystali potem w czasie wojny na Filipinach w latach 1899–1902). Dopiero pozbywszy się w ten sposób wojowniczych Chiricahuów, zaproponował pokojowy plan współistnienia pozostałym Apaczom.

Jak na ironię, do schwytania Geronima przyczynili się głównie indiańscy zwiadowcy, rekrutowani przez Crooka zgodnie z zasadą, że „Apacza może wytropić tylko inny Apacz”. Miles miał ogromne szczęście, że trafił mu się do pomocy porucznik Gatewood, doświadczony weteran wielu kampanii Crooka, który dobrze znał Arizonę i zwyczaje Apaczów, trochę nawet mówił ich językiem. To on z małą grupą apackich zwiadowców przekonał Geronima do złożenia broni i poddania swoich ludzi w Kanionie Szkieletów. Mimo to niewdzięczny Miles oskarżył go o „nienależyte wykonanie rozkazów” i zminimalizował jego udział w ostatecznym zwycięstwie. Nie mógł bowiem znieść myśli, że o kapitulacji wodza Apaczów zdecydowało zastosowanie łagodnej taktyki znienawidzonego Crooka, a nie bezwzględnych metod łamania oporu Indian, które preferował on sam.

Geronimo i jego wojownicy wraz z resztą Apaczów Chiricahua zostali stłoczeni w forcie Apache, a następnie wywiezieni koleją na Florydę. Najpierw przez dwa lata

mężczyzn trzymano w wojskowym więzieniu w forcie Pickens, a ich rodziny w forcie Marion, a potem wszystkich razem przez sześć lat w Vernon Barracks w Alabamie. Dorośli wymierali w niezdrowym klimacie od przymusowej pracy i depresji. Dzieci odebrane rodzicom wysłano do osławionej indiańskiej szkoły z internatem w Carlisle w Pensylwanii, gdzie blisko połowa z nich zmarła. W 1894 roku Chiricahuów przeniesiono do Oklahoma i osadzono w rezerwacie Komanczów i Kiowów w pobliżu fortu Sill. Tam Geronimo spędził czternaście kolejnych lat jako smutny relikwiarz wolnych niegdyś Indian z Południowego Zachodu. Zmarł w 1909 roku na zapalenie płuc, którego nabawił się, leżąc przez całą noc po pijanemu na gołej ziemi. Pochowano go na pobliskim cmentarzu Apaczów, a na jego grobie wzniesiono skromny pomnik z polnych kamieni. Podobno ostatnie słowa, jakie wypowiedział wódz na łożu śmierci, brzmiały: „Nigdy nie powinienem był się poddać, powinienem był walczyć aż do końca”.

Chociaż generał Miles stwierdził, że Geronimo był „najgorszym Indianinem, jaki kiedykolwiek żył”, i nazywał go „Tygrysem w Ludzkiej Skórze”, wojenna sława i legenda, które otoczyły tego najdzielniejszego i najbardziej znanego ze wszystkich Apaczów jeszcze za życia, uczyniły go jednym z najsłynniejszych Indian w historii Ameryki. Jego imię jest powtarzane do dziś przy różnych okazjach. Do dziś też Apacze wierzą, że Geronimo miał nadprzyrodzoną moc i potrafił przewidywać przyszłość, a Wódz Niebios albo Stwórca Życia, znany jako *Usen*, boska istota, przepowiedział mu, że nigdy nie zginie od kuli i umrze w sposób naturalny.

Cztery lata po śmierci Geronima, w roku 1913, plemię Chiricahua objęto amnestią i po dwudziestu siedmiu latach więzienia i wygnania większości z nich pozwolono wrócić do Nowego Meksyku i zamieszkać w górskim rezerwacie bliskich im Apaczów Mescalero. Inni pozostali w Oklahomie, gdzie ich

potomkowie, nie doczekawszy się spełnienia przez rząd obietnicy powrotu do ojczyzny, żyją do dziś. Kiedy Apacze Chiricahua poddawali się w roku 1886, Amerykanie wzięli do niewoli pięćset piętnaście osób. W chwili uwolnienia w 1913 roku było ich tylko dwustu sześćdziesięciu jeden, chociaż niektórzy z nich urodzili się już w niewoli. Żaden jednak nie otrzymał zgody na powrót do Arizony.

Rozdmuchany mit Geronima funkcjonuje do dziś, wbrew zamierzeniom jego twórców uderzając w samych Apaczów. Jak na ironię bowiem człowiek dzielny i przebiegły, ale kontrowersyjny, egoistyczny i mściwy, a na dodatek okrutny i pozbawiony szlachetnej dumy stał się uosobieniem Apacza i ucieleśnieniem ducha narodu Chiricahuów. Co więcej, jego sława przyćmiła innych przywódców plemienia, których cechowały nie tylko odwaga i umiejętność prowadzenia wojny podjazdowej, ale także inne zalety właściwe wielkim wodzom: mądrość, prawość i szlachetność. Przywódców, którzy w swych działaniach kierowali się nie nienawiścią względem białych i osobistą zemstą, lecz dobrem współplemieńców. Amerykańska legenda Geronima jest może udanym rewanżem małego indiańskiego plemienia z gór i pustyni Arizony wobec potężnego narodu amerykańskiego, ale nie przestaje drwić z pamięci największych wodzów Apaczów, takich jak: Pisago Cabezon, Miguel Narbona, Mangas Coloradas, Cochise, Juh, Victorio i wielu innych. I będzie z nich drwić dopóty, dopóki badacze w rzetelny sposób nie dotrą do prawdy, skrywanej pod warstwami legend i mitów, i nie przywrócą historii należnego jej miejsca.

Przypisy

- 1 O Cushingu mówiono, że on i jego żołnierze zabili więcej Apaczów niż jakikolwiek inny oddział armii Stanów Zjednoczonych. Howard był najstarszym z trzech braci, którzy zasłużyli się dla amerykańskich sił zbrojnych: Alonzo, oficer artylerii, zginął w wojnie secesyjnej, a najmłodszy William był w czasie wojny oficerem marynarki i dosłużył się stopnia komandora porucznika. Napisano o nich: „Stanowili prawdopodobnie najlepszy przykład dzielnej trójki synów jednej matki spośród wszystkich, których dokonania odnotowano na kartach historii”.
- 2 Rucker był synem generała majora Daniela Henry’ego Ruckera, który był szwagrem generała Philipa Sheridana. Młody oficer nie zdążył się bardziej odznaczyć w walkach z Apaczami, gdyż utonął w rzece White, niosąc pomoc koledze w czasie wielkiej powodzi, która nawiedziła ten region w lipcu 1878 r.

Siedzący Byk i Taniec Ducha

„Wracajcie tam, skąd przybyliście” – odpowiedział Siedzący Byk amerykańskiemu wysłannikom, którzy zjawili się w kanadyjskim forcie Walsh w Saskatchewan, aby namówić go, żeby wrócił do domu. Rządowa komisja pod przewodnictwem generała Alfreda Terry’ego obiecała wodzowi pełną amnestię, jeśli przyprowadzi swoich Siuksów Hunkpapa z powrotem do Stanów Zjednoczonych. Warunkiem powrotu było oddanie żołnierzom całej broni, amunicji i koni oraz zgoda na osiedlenie się w wyznaczonym rezerwacie. Generał Terry obiecał, że pieniądze uzyskane ze sprzedaży broni i koni zostaną przeznaczone na zakup bydła dla Siuksów.

W maju 1877 roku Siedzący Byk i jego najbardziej nieprzejednani zwolennicy, naciskani przez pułkownika Milesa i jego żołnierzy, przekroczyli *chanku wakan* (świętą linię), jak nazywali granicę kanadyjską, i uciekli do „kraju Babki”, czyli kraju, w którym panowała brytyjska królowa Wiktoria. Tam w październiku dołączyły do nich niedobitki zbiegłych Nez Perce z Białym Ptakiem, którzy wyrwali się z okrażenia Milesa i Howarda w górach Bear Paw. Wiosną 1878 roku grupa Siedzącego Byka liczyła blisko osiemset tipi, w tym czterdzieści pięć tipi Nez Perce. Wszyscy Indianie zostali pokonani i dobrze o tym wiedzieli. „Zlitujcie się nade mną – prosił Siedzący Byk. – Kiedyś moje serce było mocne, ale teraz jest słabe i dlatego Amerykanie chcą lizać moją krew”. Ale nawet w Kanadzie nie było dla nich dostatecznie dużo miejsca i bizonów, aby zdołali się wyżywić. Obwiniani przez miejscowych Indian

o ograniczanie ich kurczących się zasobów pożywienia, zachęceni obietnicami amnestii ze strony rządu Stanów Zjednoczonych i gnani tęsknotą za ojczyzną, uciekinierzy powoli wracali ze wstydem do beznadziei czekającej ich w rezerwacie po drugiej stronie granicy. Jako ostatni zdecydował się na to Siedzący Byk, poddając się w lipcu 1881 roku w forcie Buford razem z grupą stu osiemdziesięciu siedmiu swoich najwierniejszych zwolenników. „Tylko nędma i głód mogły popchnąć tego człowieka do uległości – ocenił kapitan Walter Clifford, który asystował wodzowi w drodze do fortu – i to nie ze względu na własną osobę, ale na dzieci, które kocha nade wszystko”.

Siedzący Byk, Tatanka Yotanka (1831–1890), urodził się w niedużym plemienu Siuksów Hunkpapa nad rzeką Grand w Dakocie Południowej. Jego ojcem był wódz o tym samym imieniu, a matką kobieta Hunkpapów imieniem Jej Święte Drzwi. Jako dziecko nosił imię Hukesni, czyli Powolny. Szybko jednak zasłynął jako doskonały myśliwy i wojownik. Pierwszego bizona ubił w wieku dziewięciu lat, a mając lat czternaście, odznaczył się w bitwie z Wronami. Przyjęty do grona wojowników, wstąpił do *Cante Tinza*, elitarnego militarne go Stowarzyszenia Walecznych Serc, i w 1853 roku został jego przywódcą. Znakami rozpoznawczymi członków stowarzyszenia były: bizona czapa z dwoma rogami, przystrojona paskami ze skórek gronostaja i czerwonym sukiennym ogonem z czterema rzędami orlich piór, oraz upierzona włócznia, a z czasem także zdobyczna lub wyhandlowana od białych kawaleryjska szabla, noszona z dumą przez najwybitniejsze osoby na wzór oficerów amerykańskich. Zanim Siedzący Byk stanął do walki z białymi, długo zwalczał wrogie Siuksom plemiona: Wrony, Assiniboinów, Czarne Stopy, Szoszonów, Arikarów, Mandanów oraz kanadyjskich Metysów, których Siuksowie nazywali Słota.

Po raz pierwszy starł się z białymi w 1863 roku, kiedy wojsko prowadzone przez generałów Henry'ego Hastingsa Sibleya i Alfreda Sully'ego wtargnęło do kraju Siuksów w Dakocie w pogoni za zbiegłymi uczestnikami wielkiego powstania Siuksów Santee (Dakotów) w Minnesocie. Uczestniczył wtedy w bitwach nad jeziorami Dead Buffalo (26 lipca) i Stony (28 lipca). Oba te starcia zakończyły się porażką Indian, którzy uzbrojeni w łuki ze strzałami i stare strzelby nie mogli sprostać nowoczesnym karabinom i działom generała Sibleya. 3 września, wkrótce po odejściu kolumny Sibleya do Minnesoty, Siuksowie stoczyli bitwę z przybyłymi z południa żołnierzami generała Sully'ego pod wzgórzem Whitestone, koło współczesnego Ellendale w Dakocie Północnej, i ponieśli w niej sromotną porażkę. Mogliby jej uniknąć, gdyby nie błąd słynnego wodza Siuksów Xanktonai Inkpaduty. Otóż Indianie odkryli obecność żołnierzy, w czasie gdy byli zajęci suszeniem mięsa na zimę, ale zrezygnowali z ucieczki, bo Inkpaduta uznał, że jest ich niewielu. Uspokojeni w ten sposób Siuksowie Yanktonai oraz mniejsze grupy Hunkpapów, Czarnych Stóp Lakota i uciekinierów z Minnesoty, ufni w swoją przewagę liczebną, otoczyli przednią straż żołnierzy, lecz wkrótce przybył Sully z resztą wojska i ogniem spiesznej kawalerii zepchnął ich do wąwozu. Osłaniając paniczny odwrót swoich rodzin, wojownicy zostali otoczeni przez kawalerię i ponieśli wielkie straty, nim noc uchroniła ich przed całkowitą zagładą. Jeden ze starszych wodzów próbował się poddać, machając białym workiem po mące, ale wojsko, nie zważając na ten gest, zaatakowało obóz pełen starców, kobiet i dzieci. Zabito od stu do trzystu mężczyzn oraz wzięto do niewoli ponad sto pięćdziesiąt kobiet i dzieci, które następnie zabrano do fortu Randall nad środkową Missouri. Straty Amerykanów wyniosły dwudziestu dwóch zabitych i pięćdziesięciu rannych. Po bitwie Sully został na miejscu i w ciągu dwóch dni zniszczył trzysta

tipi oraz ogromne ilości sprzętu obozowego i zapasów żywności, w tym dwieście pięćdziesiąt ton suszonego mięsa bizonów. Bitwa pod Whitestone Hill była największą klęską, jakiej Siuksowie kiedykolwiek doznali od białych. Mogli ponieść jeszcze większe straty, gdyby nie Inkpaduta, który częściowo się zrehabilitował, sprawnie przeprowadzając ewakuację okrążonych w wąwozie Indian.

W lipcu 1864 roku Sully rozpoczął nową kampanię, ruszając z fortu Rice nad Missouri na poszukiwanie Indian z trzema tysiącami żołnierzy, indiańskich zwiadowców oraz karawaną osadników i poszukiwaczy złota, pragnących dotrzeć pod osłoną wojska do Montany. 26 lipca jego indiańscy zwiadowcy przypadkiem odkryli u podnóża góry Killdeer, w pobliżu dzikiej i mało znanej krainy zwanej Złymi Ziemiemi (*Bad Lands*) nad Małą Missouri, duży obóz, w którym było ponad tysiąc pięćset tipi i pięć tysięcy Indian, w tym tysiąc sześciuset wojowników z kilku plemion Siuksów: Hunkpapów, Czarnych Stóp Lakota, Miniconjou, Bez Łuków, Yanktonai i Santee.

Dwa dni później, 28 lipca, Sully spieszył kawalerię i uformował ją w ogromny czworobok, w którego środku znalazły się tabory, konie i działa. Zgodnie z taktyką sprawdzoną w wojnie secesyjnej, rozkazał najpierw ostrzelać wrogi obóz z dział, a potem rzucił do ataku trzy kolumny piechoty i spieszonych kawalerii: jedną frontalnie i dwie od skrzydeł, tak aby połączyły się w obozie Indian. Siuksowie, prowadzeni przez Inkpadutę, wodza Yanktonai o imieniu Tajemniczy Niedźwiedź oraz rosnącego w siłę młodego Siedzącego Byka, wyszli śmiało naprzeciw żołnierzom i zaatakowali ich dwiema grupami od frontu, z boków i od tyłu. Odparci silnym ogniem dział i karabinów, utworzyli gęstą linię harcowników i zaczęli powoli wycofywać się w stronę obozu, starając się osłaniać odwrót swoich rodzin w kierunku Złych Ziemi. Po prawie całym dniu manewrowania i walki Sully rzucił

do boju rezerwowy oddział kawalerii, który z szablami w rękach przerwał linię Indian i po pięciokilometrowej pogoni połączonej z zaciętą walką wręcz zwycięsko zakończył bitwę. Zapadające ciemności umożliwiły ucieczkę większości Indian. Według legendy Siuksów wielu z nich wydostało się z matni, przechodząc przez otwór w szczycie góry Killdeer, zwany Tajemniczą Dziurą. Ich straty wyniosły ponad trzydziestu zabitych i nieznaną liczbę rannych, a straty wojska oszacowano na pięciu poległych i dziesięciu rannych.

Żołnierze zajęli opuszczony obóz i wyczerpani całodzienną walką, spędzili noc na polu bitwy. Następnego dnia Sully rozkazał zniszczyć obóz i cały dobytek pozostawiony przez wycofujących się Indian, mówiąc: „Wolę raczej pozbawić ich zapasów, niż zabić pięćdziesięciu wojowników”. Żołnierze uformowali wielki stos ze wszystkich tipi, dwustu ton suszonego mięsa bizonów i jagód, skór bizonów, łosi i jeleni, siodeł, włók (*travois*) oraz naczyń do gotowania, a następnie go podpalili. Aby dopełnić dzieła zniszczenia, spalili okoliczne lasy, pozbawiając Indian reszty zapasów ukrytych w załomach skał i poszyciu leśnym.

A potem Sully ruszył w pościg za Indianami w kierunku rzeki Yellowstone. Żołnierze maszerowali przez poszarpany, wrogi teren Złych Ziem, cierpiąc z braku żywności i wody, przez cały czas atakowani przez Siuksów, którym na pomoc nadeszli z południa wojownicy Brulé i Miniconjou, wspólnie ze swoimi sprzymierzeńcami Czejenami. Na początku sierpnia wojsko stoczyło z Siuksami kilka potyczek, o których wyniku znowu przesądził ogień artylerii i spiesznej kawalerii. Dopiero wtedy Indianie dali za wygraną i rozdzielili się na mniejsze grupy, najpierw skryli się w płataninie Złych Ziem, a potem powędrowali w swoje strony.

Kampania generała Sully'ego z 1864 roku nie tylko zadała Siuksom klęskę, ale też przesunęła granicę osadnictwa białych

dalej na zachód. Wprawdzie zakończyła etap wojny z Siuksami zapoczątkowany powstaniem w Minnesocie latem 1862 roku, ale nie oznaczała końca konfliktu i dała początek nowej wojnie, która miała trwać przez kolejne dwadzieścia sześć lat, do czasu niesławnej masakry Siuksów z grupy wodza Wielkiej Stopy nad Wounded Knee w grudniu 1890 roku.

We wrześniu 1865 roku Siedzący Byk znowu poprowadził swoich wojowników do walki, tym razem przeciwko wyprawie pułkowników Walkera i Cole'a podjętej w ramach wielkiej ekspedycji generała Connora do kraju Indian nad rzeką Powder. Latem 1866 roku brał udział w wojnie Czerwonej Chmury, walcząc z Amerykanami w okolicy fortu Buford, u zbiegu rzek Missouri i Yellowstone. W przeciwieństwie jednak do Czerwonej Chmury nie podpisał traktatu pokojowego w forcie Laramie i nie zgodził się na osiedlenie Siuksów w rezerwacie. Gdy w 1874 roku odkryto złoto w Czarnych Wzgórzach, był powszechnie uznawany za duchowego przywódcę niepokornych Siuksów, którzy nie chcieli zrezygnować z dawnego sposobu życia, a gdy razem z Szalonym Koniem nie stawił się ze swoimi ludźmi w agencji do końca stycznia 1876 roku, władze wysłały przeciwko nim wojsko.

W wielkiej wojnie z Siuksami w 1876 roku Siedzący Byk uczestniczył we wszystkich najważniejszych bitwach. Nie wziął wprawdzie udziału w bitwie z generałem Crookiem nad strumieniem Rosebud 17 czerwca, ale pojawił się tam, aby zachęcić wojowników do boju. Sam był zbyt osłabiony ranami, które zadał sobie kilka dni wcześniej podczas Tańca Słońca. Miał wtedy wizję wielkiego zwycięstwa Indian i śmierci wielu żołnierzy, która spełniła się osiem dni później, 25 czerwca, nad Little Bighorn. Siedzący Byk wziął udział w pierwszej fazie bitwy z oddziałem majora Reno, później zaś odprawiał w swoim namiocie magiczne obrzędy, mające dodać siły wojownikom walczącym z żołnierzami Custer.

9 września wódz przybył ze swoimi Hunkpapami pod Slim Buttes, na pomoc Oglalom Amerykańskiego Konia, zaatakowanym przez żołnierzy generała Crooka na północnym krańcu Czarnych Wzgórz. Po ustaniu oporu Indian przebywał w Montanie, polując na bizona i tocząc drobne utarczki z wojskiem. 21 października odbył nad strumieniem Cedar, dopływem Yellowstone, naradę z pułkownikiem Milesem, która zakończyła się bitwą z niewielkimi stratami po obu stronach. Unikając dalszej walki, przetrwał do wiosny 1877 roku, aż w końcu, naciskany przez nieustępliwego Milesa, przekroczył granicę kanadyjską i oddał się pod opiekę słynnej Północno-Zachodniej Policji Konnej komisarza Jamesa Walsh.

Wielka wojna z lat 1876–1877, którą skutecznie doprowadził do końca ambitny Miles, przyniosła bezwarunkową kapitulację większości Indian z północnych Równin. Pobici i złamani Siuksowie, Czejenowie i Arapahowie zostali siłą osadzeni w niegościnnych rezerwach, gdzie bez większego powodzenia próbowali nauczyć się rolnictwa i podążyć narzuconą im przez zwycięzców „drogą białego człowieka”. W Kanadzie uparty Siedzący Byk przez kilka lat nie chciał się pogodzić z nową rzeczywistością i wciąż powtarzał, że „Bóg stworzył go Indianinem, ale nie Indianinem z rezerwatu”. Snuł plany utworzenia wielkiej konfederacji z udziałem wielu północnych plemion, która stanęłaby raz jeszcze do walki z Amerykanami, ale poparli go tylko Nez Perce Białego Ptaka. W końcu i na niego przyszedł kres. Podobnie jak wielu jego poprzedników, wielki wódz zrozumiał, że dawny świat Indian przeminął i aby dalej żyć, trzeba zmienić sposób myślenia. Brak bizonów w Kanadzie i wielokrotnie powtarzane obietnice amnestii sprawiły, że w 1881 roku podjął rozmowy z przedstawicielami amerykańskiego rządu. W lipcu, ku wielkiemu zadowoleniu władz kanadyjskich, wrócił na drugą stronę granicy i poddał się Amerykanom w forcie Buford. Jego Hunkpapowie stali się

„Indianami z rezerwatu” i osiedli w Standing Rock nad rzeką Grand w Dakocie, prawdopodobnie blisko miejsca, gdzie ich wódz przyszedł na świat w 1831 roku. On sam trafił na dwa lata do więzienia w forcie Randall w Dakocie Południowej. Po wyjściu na wolność nadal odmawiał współpracy z białymi i chociaż robili oni wszystko, aby zmniejszyć jego wpływy, wciąż pozostawał jednym z najsłynniejszych Indian w Stanach Zjednoczonych.

W czerwcu 1885 roku słynny w dziejach Zachodu dawny łowca bizonów i zwiadowca wojskowy, a w końcu obrotny showman William Frederick „Buffalo Bill” Cody namówił Siedzącego Byka, aby zostawił nudne życie w rezerwacie i przyłączył się do jego objazdowej rewii „Wild West Show”, pełnej dzikich jeźdźców, nieokrzesanych kowbojów, prawdziwych Indian i wyborowych strzelców. Wódz szybko przystosował się do świata białych ludzi i mądrze grał pod publiczność, ale nie dał się zmanierować. Amerykańscy widzowie najczęściej przyjmowali go z wrogością, jako zabójcę Custera, lecz on niewiele się tym przejmował. Chociaż dobrze mu się wiodło, sporo zarabiał i ze smakiem zjadał specjalnie sprowadzane dla niego ostrygi, szybko zrozumiał, że jego miejsce jest wśród swoich. „Tipi jest lepszym miejscem” – powiedział po czterech miesiącach pracy i zrezygnował z występów w cyrku Buffalo Billa. „Te wszystkie domy, hałasy i chmary ludzi przyprawiają mnie o chorobę” – dodał. Wielki wódz był jednym z nielicznych ludzi w Ameryce, którzy wciąż woleli rzeczywistość od teatralnych bajeczek dla naiwnych.

Po powrocie z Kanady Siedzący Byk i jego zwolennicy pozostawali na łasce rządu. Żyli w nędzy, wiodąc nudne i nieszczęśliwe życie w rezerwatach Dakoty. Władze nie miały dosyć pieniędzy, aby zapewnić Siuksom obiecaną rentę, i obciążyły im racje żywnościowe. Wojownicy, którzy pokonali Custera i dzielnie walczyli z Crookiem i Milesem, zaczęli

przymierać głodem. A gdy na domiar złego przyszła epidemia grypy i odry, która zdziesiątkowała ich szeregi, wielu Indian straciło resztki nadziei. I wtedy nagle latem 1889 roku do rezerwatów zaczęły docierać pogłoski o nowej indiańskiej religii głoszonej przez pewnego szamana z Nevady.

Dwa lata wcześniej mistyk z plemienia Pajutów imieniem Wovoka, znany białym jako Jack Wilson, doznał w ciężkiej chorobie wielkiej wizji, z której zrodziła się ożywcza religia nazwana „tańcem Ducha” (*Ghost Dance*). Wovoka twierdził, że udał się „do góry, do innego świata”, gdzie spotkał się ze Stwórcą (Wielkim Duchem), który przekazał mu zasady nowej wiary, mającej przynieść Indianom odnowę. Zapowiadał nadejście mesjasza, który zstąpi na ziemię i odrodzi dawny świat Indian, przywracając im utracone tereny. A kiedy się to stanie, Indianie będą żyć wiecznie w szczęśliwym kraju bez białych ludzi, obfitującym w zwierzynę i inne ziemskie dobra, wolnym od chorób, starości i śmierci, w pokoju z innymi plemionami i wspólnie z pokoleniami zmarłych krewnych i przyjaciół. Aby przyspieszyć nadejście tej chwili, wyznawcy nowej religii musieli odprawiać nakazane przez Wovokę modły, śpiewać święte pieśni, pościć i co jakiś czas wykonywać przez pięć dni i cztery noce bez przerwy specyficzny taniec, którego nauczył ponoć proroka sam Stwórca podczas pamiętnego spotkania w „innym świecie”.

Przesłanie Wovoki o nadchodzącej nowej erze dla Indian było jasne i proste. Biali za swoje grzechy wobec czerwonych plemion mieli zniknąć z powierzchni ziemi, z jaskiń miały się wyłonić ukryte tam przed nimi bizona i inna zwierzyna, a zmarli Indianie mieli powrócić do życia. Nauki Wovoki, będące dziwną mieszaniną dawnych wierzeń indiańskich i nowych nauk chrześcijańskich przejętych od misjonarzy, dotarły do wielu plemion, nawet tak odległych jak Siuksowie, Czejenowie, Arapahowie, Szoszoni i Arikarowie z północnych

Równin. Do siedziby Wovoki w rezerwacie Pajutów Walker Lake w Nevadzie przybywali wysłannicy różnych szczepów, którzy po zapoznaniu się z jego naukami wracali do swoich, aby krzewić nowy kult wśród współplemieńców. Jesienią 1889 roku za radą wodzów udała się na spotkanie z prorokiem także delegacja Siuksów z rezerwatów Cheyenne River, Pine Ridge i Rosebud z wybitnymi szamanami Kopiającym Niedźwiedziem i Niskim Bykiem. Delegaci powrócili wiosną 1890 roku całkowicie odmienieni. To sprawiło, że Siuksów w rezerwatach, dotąd zrezygnowanych i bliskich apatii, nagle ogarnęło ożywienie i na nowo wstąpiła w nich nadzieja.

Początkowo mesjanistyczna religia Wovoki miała pokojowy charakter, ale gdy rozprzestrzeniła się wśród wojowniczych plemion z Wielkich Równin, uległa radykalnej zmianie. Obietnica wypędzenia białych i powrotu stad bizonów, w połączeniu z ciężką sytuacją w rezerwatach północnych plemion, spowodowała wprowadzenie do nauk proroka akcentów wojennych. We wrześniu 1890 roku zaczęto organizować spotkania i głosić najdziwniejsze obietnice. „Już niedługo, już niedługo!” – podawano sobie z ust do ust. Wielu wojowników, którzy dawno porzucili wszelką myśl o wojnie, zaczęło szykować obrzędowe koszule pokryte tajemnymi znakami wyobrażającymi duchowych przodków i siły natury. Koszule te, z braku wyprawionej na biało skóry szyte często z worków po mące z rządowych dostaw, miały wspierać tancerzy w próbie przywrócenia dawnego porządku i chronić ich przed kulami białych. Młodzi zwiadowcy ruszyli daleko w prerię w poszukiwaniu pierwszych oznak powrotu bizonów. Kopiający Niedźwiedź, który złożył sąsiedzką wizytę Arapahom, wrócił z wiadomością, że podczas obrzędowego tańca widzieli oni w transie zmarłych krewnych, a nawet z nimi rozmawiali. Grupy najbardziej zagorzałych zwolenników nowego kultu tańczyły nieprzerwanie dzień i noc, wpadając w hipnotyczny

trans powodujący wizje. Często tancerze płąsali tak długo, aż padli z wyczerpania.

Siedzący Byk, starzejący się „rezerwatowy Indianin” pozbawiony przez białych wpływów i żyjący na uboczu, nagle stał się znowu nadzieją dla wyznawców nowej religii. Choć sam powątpiewał w nauki proroka Wovoki, pozwolił zapoznać się z nimi swoim ludziom i wkrótce pod jego okiem rozpoczęły się nakazane tańce. Pogłoski o szerzeniu się nowego kultu przestraszyły białych osadników. Obawiając się nowego powstania Indian, zażądali oni ochrony wojska. A tymczasem ożywienie Indian sięgnęło zenitu latem 1890 roku, kiedy ich zboża powysychały na gorącym wietrze. Mieszkańcy rezerwatów odebrali to jako ostateczny znak od Wielkiego Ducha, zwiastujący kres „drogi białego człowieka” i odrodzenie dawnego świata Indian. Jesienią 1890 roku doktor Daniel Royer, James Wright i Joel Palmer, agenci indiańscy w rezerwatach Pine Ridge, Rosebud i Cheyenne River, zabronili praktykowania tańca Ducha, a rząd wysłał w zagrożony rejon wojsko, gotowe do zgniecenia jakiegokolwiek indiańskiej rebelii. W rezultacie taniec stał się jeszcze popularniejszy, a jego wyznawcy zaczęli wykonywać go nocą lub w odosobnionych miejscach, ukrytych przed wzrokiem białych.

W październiku agenci z Cheyenne River, Pine Ridge i Rosebud uznali, że tancerze z ich rezerwatów są całkowicie poza kontrolą władz, i obawiając się, że ich aktywność może doprowadzić do powszechnego powstania, zażądali przysłania wojska. A w listopadzie nakazano wszystkim Indianom powrót do rządowych agencji. Większość podporządkowała się nakazowi, ale najbardziej konserwatywnie nastawieni, z Kopiącym Niedźwiedziem i Niskim Bykiem, spośród których rekrutował się trzon tancerzy Ducha, oraz wielu tych, którzy zwyczajnie przestraszyli się obecności żołnierzy, w połowie listopada uciekli w niedostępne rejony Złych Ziem w Dakocie

Południowej. Od razu okrzyknięto ich „wrogimi Indianami”, chociaż właściwie nie zrobili nic złego.

Siedzący Byk wyczuł nadchodzącą śmierć i oznajmił, że ostrzegły go przed nią skowronki. Potem jednak rozeszły się pogłoski, że wódz planuje stanąć na czele grup niezadowolonych tancerzy, i 14 grudnia 1890 roku zareagował na nie James McLaughlin, agent z rezerwatu Siuksów w Standing Rock. Uznał, że poradzi sobie z fermentem własnymi siłami, i wysłał oddział agencji policyjnej, złożonej z Indian pozostających na żołdzie rządu, aby aresztowała Siedzącego Byka i odstawiła go do wojskowego więzienia w forcie Yates. Nazajutrz do Standing Rock przybyli policjanci pod wodzą porucznika Głowy Byka, dawnego towarzysza broni wodza Hunkpapów, i nad ranem otoczyli Siedzącego Byka w jego własnym domu. Kiedy zaalarmowani zwolennicy starego wodza próbowali nie dopuścić do jego aresztowania, rozgorzała walka i w zamieszaniu Siedzący Byk zginął, zastrzelony przez współplemieńców w policyjnych mundurach. Wraz z nim śmierć poniosło sześciu jego ludzi i ukochany syn, Stopa Wrony. Policjanci stracili sześciu ludzi, wśród których był także wysługujący się białym Głowa Byka. Jak wielu innych wielkich wodzów i wizjonerów, Siedzący Byk zginął z rąk ludzi własnej rasy i wrócił do indiańskiego nieba.

Wódz Hunkpapów należał do najwybitniejszych przywódców, jakich mieli Siuksowie. Jego wpływy sięgały nie tylko innych plemion Siuksów, ale także Czejenów Północnych i Arapahów Północnych. Jeden z wodzów Czejenów, Drewniana Noga, który często towarzyszył Siedzącemu Bykowi w wielkiej wojnie Siuksów w 1876 roku, powiedział o nim:

„Nie mogę słuchać tych, którzy mówią, że nie był dzielnym człowiekiem. Był mądry i dobry, o mężnym, szlachetnym sercu. Nie słyszałem, aby w dawnych czasach jakikolwiek Indianin mówił o nim inaczej. Jeśli ostatnio któryś zmienił zdanie, to pod

wpływem kłamstw agentów i oficerów, którzy jego kosztem chcą się lepiej przedstawić w oczach innych”.

Wielka Stopa i tragedia nad Wounded Knee

Kawalerzysta w niebieskim mundurze zauważył coś podejrzanego pod kocem w indiańskim tipi, wszedł więc do środka, aby sprawdzić, co się tam kryje. Pod kocem siedział przycupnięty młody wojownik Siuksów o imieniu Czarny Lis i mocno przyciskał do piersi karabin Winchestera. Kawalerzysta zaczął się z nim szarpać, a wtedy jakby na dany znak, wywiązała się strzelanina: inni wojownicy zaczęli strzelać do żołnierzy, którzy przyszli do obozu Siuksów, aby ich rozbroić.

Kiedy rozpoczęła się bitwa nad strumieniem Wounded Knee, nad namiotem wodza Wielkiej Stopy wciąż powiewała biała flaga. Pierwsza walka wręcz na śmierć i życie przy użyciu noży i maczug trwała niecałą minutę, a potem z pobliskiego wzgórza odezwały się cztery szybkostrzelne działka Hotchkissa. W jednej chwili zasypały obóz Siuksów rozpalonym żelazem, zabijając i raniąc walczących wręcz Indian i żołnierzy. Przerażeni Siuksowie przerwali walkę i rzucili się do ucieczki, żeby ratować życie.

Latem 1890 roku zwolennicy tańca Ducha z różnych grup Siuksów zaczęli gromadzić się nad strumieniem Medicine Root i na obrzeżach Złych Ziemi w Dakocie Południowej, odcinając się w ten sposób od reszty plemienia. Ich izolacja zwiększyła się jeszcze, kiedy jesienią agenci indiańscy polecieli zebrać się w agencjach wszystkim tym, którzy nie wyznawali nowej religii. Wkrótce kilka tysięcy „przyjaznych” Indian, wśród nich

tacy znani wodzowie, jak: Amerykański Koń, Młody Człowiek, Którego Koni Boją Się Wrogowie, Zła Rana i Trzy Gwiazdy, rozbiło swe namioty w pobliżu agencji Czerwonej Chmury nad strumieniem White Clay. Istniała też trzecia grupa, która do końca nie określiła swojego stanowiska, i do niej zaliczał się sam Czerwona Chmura, największy obok Siedzącego Byka wódz Siuksów. Nastąpiła zima, wyjątkowo łagodna jak na tę porę roku, i fanatyczni tancerze wierzyli, że dopóki będą odprawiali swoje ceremonie, śnieg nie spadnie. A potem jak grom z jasnego nieba poraziła ich wiadomość o śmierci Siedzącego Byka.

Wieści o zastrzeleniu wodza Hunkpapów przez policjantów Głowy Byka rozeszły się wśród Siuksów jak dziki ogień na suchej prerii. Powtarzano je sobie z ust do ust, przesyłano za pomocą sygnałów dymnych albo umownym alfabetem błyskami lusterek. W ciągu kilku dni indiański „telegraf” rozniósł je po wszystkich rezerwach. Siuksowie byli wstrząśnięci i przerażeni. Większość z nich nie dowierzała wojsku i policji, podobnie jak biali osadnicy nie dowierzali Indianom. Panikę podsycili jeszcze uciekinierzy z obozu Siedzącego Byka. W trwodze coraz to nowe grupy zaczęły dołączać do tancerzy Ducha w najodleglejszych zakamarkach górzystej krainy sąsiadującej z rezerwatem Pine Ridge lub niemal niedostępnej płataninie skał znaczących Złe Ziemie. Na białych osadników z Dakoty i Nebraski padł blady strach i prawie natychmiast pod adresem armii posypały się żądania, aby żołnierze przeczesali rozległy teren, na którym ukrywali się „wrodzy Indianie”, i sprowadzili ich z powrotem do rezerwatów, gdzie łatwiej ich było kontrolować.

W ciągu dwóch tygodni po śmierci Siedzącego Byka wybuchły spodziewane zamieszki. Najważniejszym przywódcą wyznawców tańca Ducha poza Złymi Ziemiami był Wielka Stopa, pokojowo nastawiony wódz Siuksów Minneconjou, który choć ciężko chory na zapalenie płuc, zamierzał dołączyć do

zgrupowania tancerzy skrywających się w górach. Jego obóz znajdował się w pobliżu wideł rzeki Cheyenne i właśnie tam wysłano oddział 8. Pułku Kawalerii USA pułkownika Edwina Sumnera, aby miał Indian na oku. Widząc groźne podniecenie Siuksów Wielkiej Stopy, Sumner postanowił odprowadzić ich na miejsce koncentracji w rezerwacie Pine Ridge. Ale głodni, zmarznięci i wystraszeni Indianie, przekonani o wrogich zamiarach wojska, zamiast posłuchać rozkazu, zwinęli obóz i nocą uciekli na południe ku Złym Ziemiom.

Wielka Stopa zamierzał dołączyć do zwolenników Kopiającego Niedźwiedzia i Niskiego Byka, ale po drodze, w czasie postoju na zaśnieżonym brzegu strumienia Wounded Knee, jego grupę przechwycił 28 grudnia batalion kawalerii z dawnego pułku Custer, pod komendą majora Samuela Whitside'a. Whitside zażądał od Siuksów bezwarunkowej kapitulacji, na co Wielka Stopa wyraził zgodę i jego ludzie wywiesili białą flagę. Major natychmiast wysłał meldunek do Pine Ridge, a w odpowiedzi generał John Brooke, nowy dowódca wojsk na Wielkich Równinach, skierował mu na pomoc dodatkowe cztery kompanie 7. Pułku Kawalerii USA dowodzone przez pułkownika Johna Forsytha oraz baterię dział Hotchkissa i kompanię indiańskich zwiadowców z plemienia Czejenów. Łącznie siły amerykańskie liczyły czterystu siedemdziesięciu ludzi.

Forsyth zastał nad Wounded Knee pokojowy obóz Siuksów i spokojnie kwaterujących obok żołnierzy Whitside'a. Nic nie zapowiadało tragedii, więc kazał rozstawić dla chorego Wielkiej Stopy ogrzewany namiot i posłał do niego swojego lekarza.

Rankiem 29 grudnia pułkownik, który nie miał wielkiego doświadczenia w postępowaniu z Indianami, przed odejściem do odległej o trzydzieści pięć kilometrów agencji Pine Ridge postanowił rozbroić Siuksów. Wydał żołnierzom rozkaz, aby szczelnie otoczyli ich obóz, a następnie, po rozmowie ze swoimi

oficerami, polecił wszystkim wojownikom zebrać się w kole narad przed namiotami. Wielka Stopa, chory i zbyt słaby, żeby stać, leżał na kocu przed namiotem, który dla niego rozbito. Forsyth kazał Indianom pójść do swoich tipi i przynieść wszelką broń, jaką mają. Podobno, jak twierdzili niektórzy, wódz słabym głosem zabronił wojownikom oddać najlepsze karabiny. W każdym razie po powrocie Indianie zwrócili tylko dwie stare i nienadające się do użytku strzelby. Forsyth odesłał ich ponownie do namiotów po nowoczesne winchestery, ale Indianie przekonywali, że nie mają lepszej broni. Wtedy pułkownik wyznaczył grupę żołnierzy pod dowództwem kapitana George'a Wallace'a, żeby przeszukała każde tipi po kolei. Młodzi, szorstcy kawalerzyści zaczęli bezceremonialnie sprawdzać indiańskie namioty i obcesowo obmacywać kobiety i dzieci w poszukiwaniu broni, a stojący na zewnątrz mężczyźni Minneconjou kipieli z gniewu na tę zniewagę i chwytali za ukryte pod kocem noże. Pomiedzy nimi zaś krążył szaman Żółty Ptak i dmuchając w kościany gwizdek, zachęcał ich do oporu. Mówił, że żołnierze są słabi, a Indianie mają magiczne „koszule Ducha”, które ochronią ich przed kulami. „Kiedy rzucę w powietrze garść popiołu, *wasichu* (biali ludzie) stracą wzrok – powtarzał. – Kiedy rzucę garść popiołu, zabijcie ich!”.

Wkrótce żołnierze Wallace'a znaleźli około czterdziestu karabinów, głównie starych odprzodowych kapiszonowców, i złożyli je na stos przed namiotem Wielkiej Stopy. W napiętej sytuacji jeden z kawalerzystów próbował odebrać winchestera młodemu wojownikowi imieniem Czarny Lis, który według niektórych relacji był głuchy i niemy. Podczas szamotaniny broń nagle wypaliła i żołnierz zwałił się na ziemię. W tej samej chwili szaman wypuścił z dłoni garstkę popiołu i dał sygnał do rozpoczęcia ogólnej walki.

Indianie wpadli w amok. Część wojowników, wydając dzikie okrzyki, rzuciła się na stos broni, aby się dozbroić. Inni skoczyli

na stojących naprzeciwko żołnierzy z wydobytymi spod koców nożami i zabójczymi maczugami wojennymi, jeszcze inni zaczęli dusić przeciwników gołymi rękami. Kapitan Wallace, weteran znad Little Bighorn, zginął jako jeden z pierwszych. Obok niego padło wielu jego podkomendnych.

7. Pułk Kawalerii USA od dawna wyczekiwał okazji do rewanżu za klęskę nad Little Bighorn, więc gdy się teraz nadarzyła, nie mógł jej zmarnować. Żołnierze utworzyli zmasowany ogień z karabinów i czterech szybkostrzelnych działek Hotchkissa ustawionych na pobliskim pagórku, który dosłownie zmasakrował zabiedzonych i prawie bezbronnych Siuksów. W ciągu dwóch minut zginęła połowa Indian zgromadzonych wokół Wielkiej Stopy. A pozostali przy życiu wojownicy rzucili się do bezładnej ucieczki, szukając jakiegokolwiek schronienia. Niektórzy pobiegli do namiotów ratować swoje rodziny, tam jednak dopadła ich ulewa kul nadlatujących ze wszystkich stron, a obóz został obrócony w perzynę. Inni padli, rażeni odłamkami wybuchających pocisków armatnich. Żołnierze strzelali do każdego, kto się ruszał: mężczyzn, kobiet i dzieci, zdrowych i rannych. Tego dnia żaden Siuks, bez względu na wiek i płeć, nie mógł liczyć na litość białych. W bitewnym szale ludzie Forsytha wystrzelali nawet wszystkie psy i konie Indian. „Mój ojciec zaczął biec i zaraz upadł, a krew popłynęła mu z ust – opowiadał dwa lata później pewien indiański chłopiec. – Potem żołnierz podniósł broń i strzelił prosto w nos mojemu ulubionemu białemu konikowi”.

Wielka Stopa zginął jako jeden z pierwszych, a wraz z nim ponad dwustu pięćdziesięciu mężczyzn, kobiet i dzieci. W masowym grobie wykopanym z wielkim trudem w zamarznętej ziemi nad Wounded Knee spoczęły ciała osiemdziesięciu czterech mężczyzn i chłopców, czterdziestu czterech kobiet i szesnaściorga małych dzieci, razem stu

czterdziestu czterech Indian. Wielu zmarło później na gołej prerii albo już w niewoli. Wojsko też poniosło ciężkie straty, w większości od własnego ognia, nad którym w ferworze walki nikt nie panował. Na miejscu zginęło trzydziestu jeden żołnierzy, a trzydziestu trzech, z których kilku potem zmarło, odniosło rany. Kiedy było już po wszystkim, jeden z oficerów powiedział z dumą: „Teraz wreszcie pomściliśmy śmierć Custer”. Prawda jednak jest taka, że dawni podkomendni Custer’a byli więksi w dniu swojej klęski niż w dniu zwycięstwa, które do dziś budzi uzasadnione kontrowersje.

To był już koniec. Nawet ponadnaturalna moc tańca i święte „koszule Ducha” nie pomogły Indianom. Masakra nad Wounded Knee złamała resztki ich woli, a religia, która na krótko wzbudziła w nich nadzieję na powrót do lepszego życia, samoistnie wygasła. Zrozpaczeni i pozbawieni złudzeń, dawni władcy Wielkich Równin zapadli w swoich rezerwatach, gdzie czekały ich już tylko beznadzieja, wstyd, bieda i alkoholizm.

* * *

Przez ponad sto lat Indianie w Stanach Zjednoczonych wegetowali w cieniu białego człowieka. Ujarzmieni, odarci z godności, pozbawieni tożsamości, próbowali przetrwać z rządowych zapomóg. Dziś sytuacja się zmienia. W rejestrach władz federalnych figurują pięćset sześćdziesiąt dwa szczepy, liczące łącznie półtora procent ludności kraju. Amerykańscy Indianie coraz częściej sięgają do dziedzictwa swoich przodków i odczuwają dumę, że są potomkami rdzennych mieszkańców Ameryki. To odrodzenie zaczęło się od ich politycznej aktywizacji w latach sześćdziesiątych XX wieku, kiedy po okresie ujarzmienia wzrosły wpływy organizacji Czerwona Siła (*Red Power*) oraz Ruchu Indian Amerykańskich (AIM). Indianie

mocnym głosem zażądali suwerenności i wzmogli wysiłki na rzecz odzyskania swego dziedzictwa.

Na tym tle w 1973 roku, w miejscu historycznej masakry nad Wounded Knee, doszło do zbrojnej akcji Siuksów Oglala z rezerwatu Pine Ridge oraz wspierających ich działaczy AIM, takich jak: Dennis Banks, Russell Means (odtwórca roli słynnego wodza Chingachgooka w filmie *Ostatni Mohikanin* z 1992 roku) i Carter Camp. Była ona wymierzona przeciwko polityce władz federalnych oraz popieranemu przez rząd dyktatorskiemu szefowi Rady Plemiennej, oskarżanemu o stosowanie bezprawnych metod działania i służenie „obcym interesom”. Trwający siedemdziesiąt jeden dni najsłynniejszy protest Indian w drugiej połowie XX wieku przyniósł coś więcej niż tylko chwile triumfu i nadziei. Okupiony śmiercią dwu osób i aresztowaniem ponad trzystu, zwrócił uwagę całego cywilizowanego świata na problemy Indian i znacząco wpłynął na zmianę sytuacji ludności indiańskiej w Stanach Zjednoczonych. Symboliczne znaczenie i długofalowe skutki tamtych wydarzeń wykraczają daleko poza pierwotne cele i kontrowersyjne osiągnięcia organizatorów tej owianej legendą akcji. Do dziś pozostaje ona wyzwaniem, żywym źródłem dyskusji, ale także konfliktów dla nowych pokoleń Siuksów Oglala oraz innych Indian i osób z nimi związanych. Dotyczy to choćby sprawy uwolnienia działacza AIM Leonarda Peltiera, skazanego po budzącym wciąż kontrowersje procesie na dożywotnie więzienie za zastrzelenie dwóch agentów FBI podczas strzelaniny w Oglala, w rezerwacie Pine Ridge, w czerwcu 1975 roku. Incydent ten był kulminacyjnym momentem wewnętrznego konfliktu na tle stosunku do własnych tradycji, praw traktatowych i roli członków Ruchu Indian Amerykańskich.

Głównym polem walki Indian pozostaje własność ziemi, zabranej im na mocy federalnego ustawodawstwa z lat 1887–

1934. Wiele plemion poszukuje środków na wykupienie terenów, które kiedyś należały do nich, a potem zostały sprzedane lub wydzierżawione białym. Indianie toczą także prawne i polityczne batalie o większą kontrolę nad terytoriami, które im pozostawiono. Mając większą świadomość i siłę ekonomiczną, do czego przyczyniają się między innymi dochody z kasyn gry, plemiona indiańskie żądają poszanowania dla swego dziedzictwa naturalnego i kulturowego. Świadczy o tym protest Indian i organizacji ekologicznych w 2016 roku przeciwko budowie kontrowersyjnego ropociągu w bezpośredniej bliskości rezerwatu Siuksów Standing Rock w Dakocie Północnej. Inwestycja ta bowiem zagraża tradycyjnym miejscom pochówku Indian, a także rzece Missouri, która jest źródłem słodkiej wody dla ludności indiańskiej zamieszkującej ten teren.

Zmianie ulega także stereotyp Indianina w świadomości przeciętnego obywatela Stanów Zjednoczonych. Modne stało się poszukiwanie indiańskich korzeni, a wyrazem szacunku dla pierwotnych mieszkańców Ameryki jest stopniowe eliminowanie z oficjalnego słownictwa nazwy „Indianie” i zastępowanie jej określeniem „tubylczy Amerykanie” (*Native Americans*) w USA oraz „pierwsze narody” (*First Nations*) w Kanadzie.



**WAŻNIEJSZE BITWY Z INDIANAMI
NA WSCHODZIE**

● miejscowości

■ forty

⊗ pola bitew



WAŻNIEJSZE BITWY Z INDIANAMI NA ZACHODZIE

● miejscowości

■ forty

⊗ pola bitew



Leif Eriksson u wybrzeży Ameryki



Francisco de Coronado



Ekspedycja Coronado



Posąg Pope na Kapitolu w Santa Fe



Kiva plemienia Hopi



Samuel de Champlain



Champlain w Kanadzie



Francuski misjonarz jezuita wśród Indian



John Smith i Indianie Powhatan



Pocahontas



Kapitan John Smith



John Rolfe



Porwanie Pocahontas przez kapitana Argalla



Opechancanough i koloniści z Jamestown



Podpisanie Mayflower Compact w 1620 roku



Pielgrzymi na wybrzeżu Massachusetts



Samoset z wizytą u Pielgrzymów



Pierwsza uczta w Dniu Dziękczynienia w Plymouth (1621)



Lion Gardiner walczy z Pektotami



Roger Williams i Indianie Narragansett



Król Filip (Metacomet)



Benjamin Church



Bitwa nad Krwawym Strumykiem (Bloody Brook)



Śmierć króla Filipa



Upadek Nowego Amsterdamu w 1664 roku



Masakra pod fortem William Henry w 1757 roku



Śmierć generała Wolfe'a w bitwie na Równinie Abrahama w 1759 roku



Pontiac na naradzie z Indianami nad rzeką Ecorse



Wojownicy indiańscy pod fortem Michilimackinac



Major Henry Gladwin



Pułkownik Henry Bouquet



Wojownicy Pontiaka



Oblężenie fortu Detroit w 1763 roku



Oblężenie fortu Pitt w 1763 roku



Bitwa nad Bushy Run



Śmierć Pontiaaka



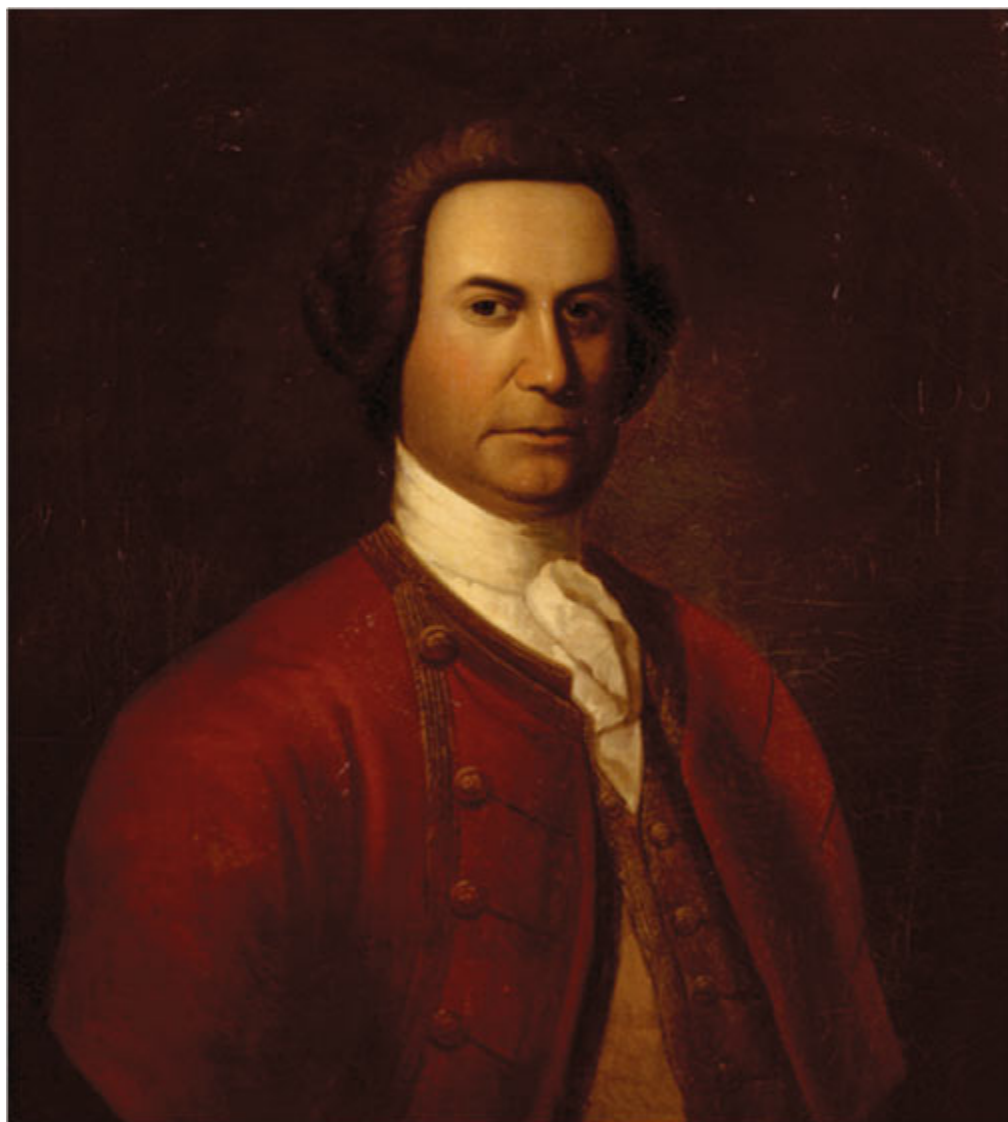
Irokezi



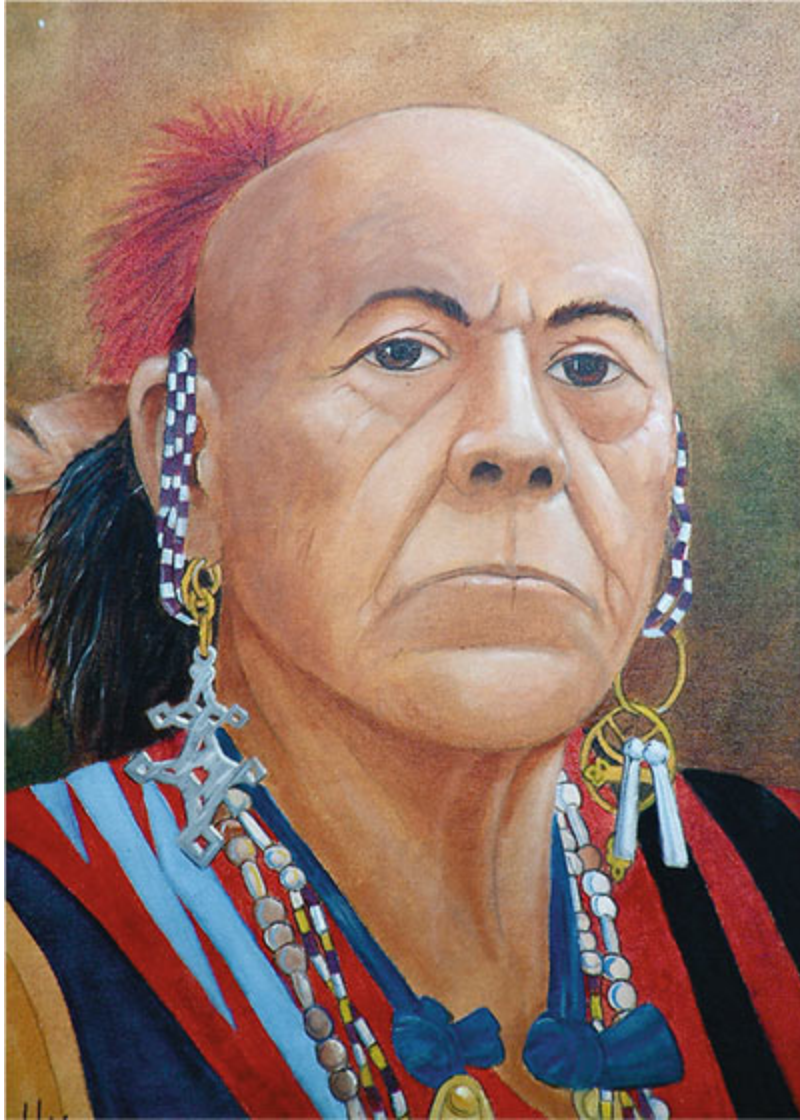
Bitwa pod Oriskany w 1777 roku



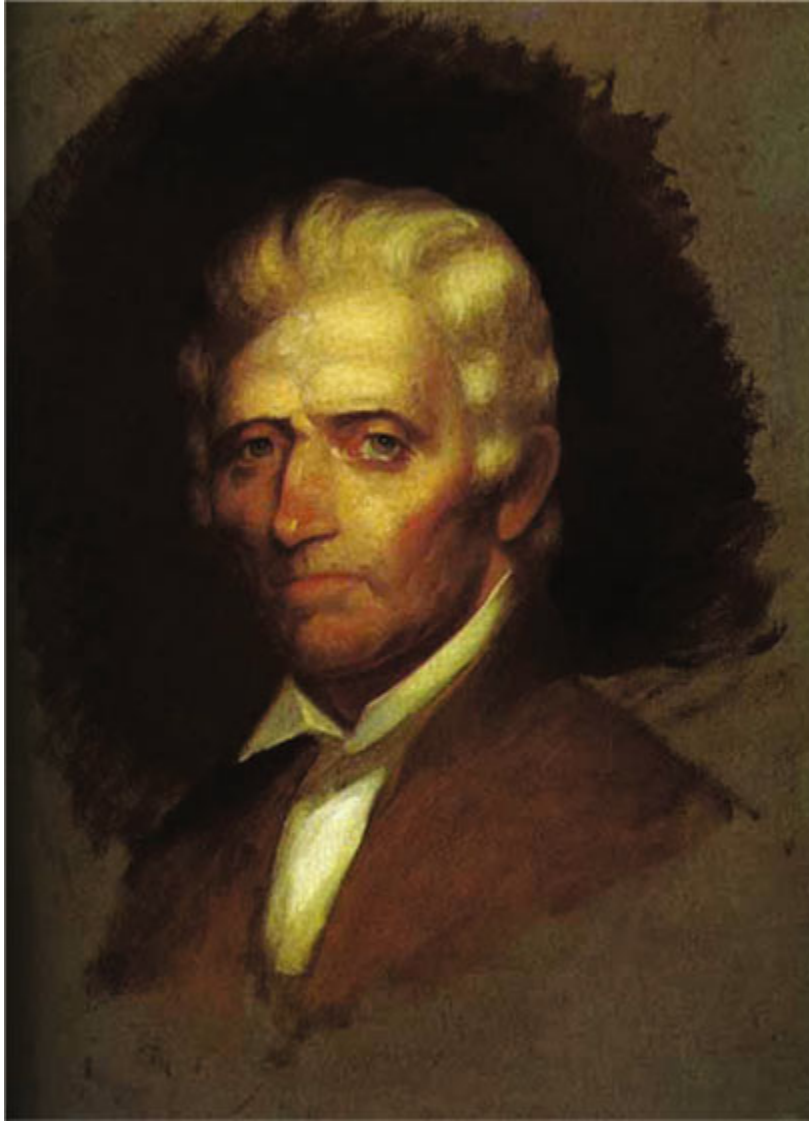
Portret Josepha Branta



Sir William Johnson



Wódz Cornstalk



Portret Daniela Boone'a



Daniel Boone prowadzi emigrantów na zachód



Wojownicy Czirokezów



General Arthur St. Clair



General Anthony Wayne



Wódz Mały Zółw



Wódz Niebieska Kurtka



General Wayne at the head of the Legion of the United States (1794)



Bitwa pod Fallen Timbers



Tecumseh



Prorok Szaunisów Tenskwatawa



General William Henry Harrison



Andrew Jackson



Tecumseh i Harrison



Pomnik na polu bitwy nad Tippecanoe



Śmierć Tecumseha nad rzeką Thames (1813)



Wódz Krików Menewa



Wódz Krików William McIntosh



Masakra w forcie Mimms



Skok Weatherforda



Bitwa na Horseshoe Bend (1814) – diorama



Szlak Łez Czirokezów



Człowiek z gór



Czarny Jastrząb



Wódz Sauków Koekuk



Wojna z Seminolami



Osceola



General Thomas Jesup



Jim Bridger



Kit Carson



Indianie z plemienia Nawahów



Kanion de Chelly



Wojownik Nawahów



General James Henry Carleton



Długi marsz Nawahów



Czarny Kocioł



Pułkownik John Chivington



Bitwa nad Sand Creek (1864)



Indiańska wizja Masakry nad Sand Creek



Czarny Kocioł z żoną nad Sand Creek



Tablica pamiątkowa na polu bitwy nad Sand Creek



Bitwa nad Washitą (1868)



Romantyczny portret Rzymskiego Nosa



Wódz Cochise



Wódz Czerwona Chmura



Pole bitwy nad rzeką Washita



Żołnierz Pies z plemienia Czejenów



Rzymski Nos w bitwie o Wyspę Beechera



Śmierć Johna Bozemana



Pomnik na polu bitwy Fettermana



Pomnik Szalonego Konia w Czarnych Wzgórzach



Mały Wielki Człowiek



Apacze Chiricahua na szlaku



Apaccy zwiadowcy



Kapitan Jack



General Edward Canby



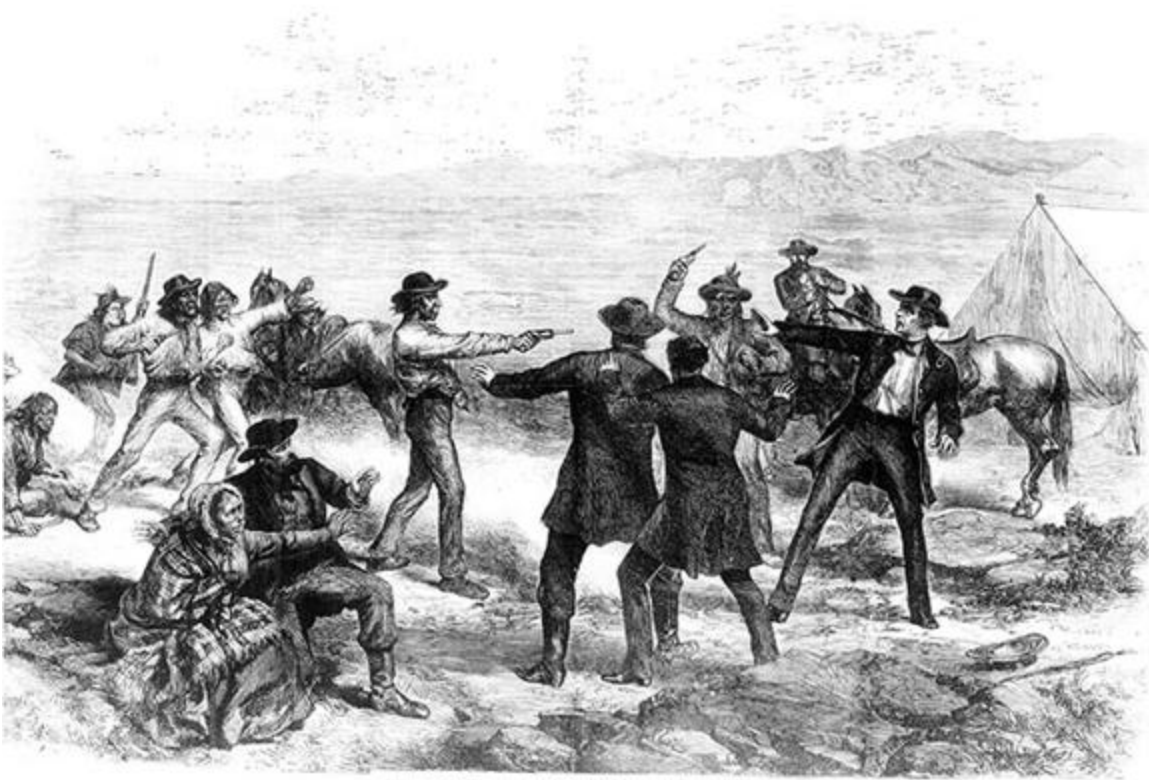
General Oliver Otis Howard



General George Crook



Bitwa o Jaskinię Szkieletów



Zabójstwo generała Canby'ego



Komancze



Kawaleria amerykańska



Cynthia Ann Parker z córeczką Kwiat Prerii



Quanah Parker



George Armstrong Custer



Wódz Siedzący Byk



Bitwa nad Little Bighorn (1876)



Wizja Siedzącego Byka przed bitwą nad Little Bighorn



Wódz Zwierciadło



Kapitulacja Wodza Józefa w górach Bear Paw (1877)



Wódz Józef (1877)



Generał Nelson Miles, Niedźwiedzi Płaszcz



Geronimo



Apacz Chiricahua



Geronimo i jego Apacze w górach Chiricahua (1886)



Taniec Ducha



Zamarznięte ciało Wielkiej Stopy nad Wounded Knee



Masowy grób Siuksów w Wounded Knee



Wounded Knee (1973)



Marsz Indian w setną rocznicę Wounded Knee

Bibliografia

- Ball Eve, *Indeh: An Apache Oddysey*, University of Oklahoma Press, Norman 1988.
- Bakeless John, *Daniel Boone, Master of the Wilderness*, University of Nebraska Press, Lincoln 1989.
- Bataille Gretchen, *Native American Women*, Garland, New York 1994.
- Bourke John G., *On the Border with Crook*, Big Byte Books 2016.
- Bourke John G., Robinson Charles M., *The Daires of John Gregory Bourke. Volume 1: November 20, 1870 – July 28, 1876*, University of North Texas Press, Denton 2003.
- Brown Dee, *Pochowaj me serce w Wounded Knee*, Iskry, Warszawa 1981.
- Brown Mark H., *The Flight of the Nez Perce*, University of Nebraska, Lincoln 1967.
- Careless J.M.S., *Canada. A Story of Challenge*, Macmillan, Toronto 1973.
- Creighton Donald, *The Story of Canada*, Macmillan, Toronto 1971.
- Dillon Richard H., *North American Indian Wars*, Magna Books, Leicester 1983.
- Douglas Marjory S., *The Everglades, River of Grass*, Pineapple Press, Sarasota 2007.
- Drake Samuel, *Tragedies of the Wilderness*, Antiquarian Bookstore and Institute, Boston 1841.
- Edmunds R. David, *The Shawnee Prophet*, University of Nebraska, Lincoln 1983.

- Favor Leslie J., *Francisco Vásquez de Coronado, Famous Journeys to the American Southwest and Colonial New Mexico*, Rosen Publishing Group, New York 2003.
- Great Western Indian Fights*, University of Nebraska, Lincoln 1966.
- Hoig Stan, *The Sand Creek Massacre*, University of Oklahoma Press, Norman, Oklahoma 1961.
- Indianie Ameryki Północnej*, Muza SA, Warszawa 1994.
- Magid Paul, *The Grey Fox: George Crook and the Indian Wars*, University of Oklahoma Press, Norman 2015.
- Marquis Guthrie Thomas, *The War Chief of Ottawas: A Chronicle of the Pontiac War*, Babylon Dreams, Toronto 1915.
- McChristian Douglas C., *The US Army on the West 1870–1880*, University of Oklahoma Press, Norman 1995.
- McReynolds Edwin C., *The Seminoles*, University of Oklahoma Press, Norman 1957.
- Mellor William J., *The Military Investigation of Colonel John M. Chivington following the Sand Creek massacre*, „Chronicles of Oklahoma”, Vol. 16, No. 4, December 1938.
- Michno Gregory F., *Encyclopedia of Indian Wars: Western Battles and Skirmishes, 1850–1890*, Mountain Press Publishing, Missoula 2009.
- Murphree Daniel S., *Native America: A State-by-State Historical Encyclopedia*, Greenwood, Santa Barbara 2012.
- Nester William, *„Haughty Conquerors”: Amherst and the Great Indian Uprising of 1763*, Praeger, London 2000.
- Packham Howard H., *Pontiac and the Indian Uprising*, Wayne State University Press, Detroit 1994.
- Pironi Piero, *Wielcy wodzowie Indian*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1970.
- Reedstrom Leslie E., *Custer’s 7th Cavalry, From Fort Riley to the Little Big Horn*, Sterling Publishing Co., Inc., New York 1992.

- Reily Edward, *Legends of American Indian Resistance*, Greenwood, Oxford 2011.
- Ricky Donald B., *Indians of Maryland*, Somerset Publishers, St. Clair Shores 1999.
- Smith James M., *Seventeenth-Century America: Essays in Colonial History*, The University of North Carolina Press, Chapel Hill 1959.
- Sudak Aleksander, *Leksykon 300 najświetniejszych Indian*, Wydawnictwo Akcydens, Poznań 1995.
- Sweeney Edwin R., *Cochise Chiricahua Apache Chief*, University of Oklahoma Press, Norman 1991.
- Sweeney Edwin R., *From Cochise to Geronimo, The Chiricahua Apaches 1874 to 1886*, University of Oklahoma Press, Norman 2010.
- Teplicki Zbigniew, *Wielcy Indianie Ameryki Północnej*, Książka i Wiedza, Warszawa 1994.
- Thrapp Dan L., *Encyclopedia of Frontier Biography*, A. Clark Co., Glendale 1988.
- Travers Milton A., *The Wampanoag Indian Federation of the Algonkin Nation: Indian Neighbours of the Pilgrims*, Christopher, Boston 1950.
- Utlej M. Robert, *Siedzący Byk*, PIW, Warszawa 1998.
- Vestal Stanley, *Jim Bridger, Mountain Man: A Biography*, University of Nebraska Press, Lincoln 1946.
- Vinning John E., *The Trans-Appalachian Wars, 1790–1818: Pathways to America's First Empire*, Trafford Publishing, 2010.
- Wallace Jack, *Croghan's War: A story about the origin of Chicago*, Universe, Bloomington 2013.
- West Elliot, *The Last Indian War: The Nez Perce Story*, Oxford University Press, Oxford 2009.
- Williams Paul, *Jackson, Crockett and Houston on the American Frontier: From Fort Mimms to the Alamo 1813–1836*,

McFarland & Co., Jefferson 2016.

Wood Charles E.S., *The Pursuit and Capture of Chief Joseph*,
Treasury of the West, New York 1998.

Yenne Bill, *The Encyclopedia of North American Indian Tribes*,
Bison Books Ltd., London 1986.

Indeks osób

A

Adams John

Aleksander VI, papież

Aleksander patrz Wamsutta

Alderman John

Aligator

Almy Jacob

Alope

Alvarado Hernando de

Ambrister Robert

Amerykański Koń

Amherst Jeffery

Andros Edmund

Anthony Scott

Appleton Samuel

Arbuckle Mathew

Arbuthnot Alexander

Argall Samuel

Armijo

Arpeika

Ashley William Henry

Astor John Jacob

Atkinson Henry

Aubert Thomas

B

Bacon Nathaniel
Bailey Dixon
Baker Joshua
Bankhead Henry
Banks Denis
Barboncito
Barron Joseph
Bartlett John Russell
Bascom George
Basinger William
Beasley Daniel
Beckwourth Jim
Beecher Frederick
Bell John
Benteen Frederic
Berkeley William
Besias Antonio
Biała Chmura
Białe Oczy
Biały Byk (Lód)
Biały Koń
Biały Odwrotny
Biały Ptak
Boone Daniel
Boone Daniel Morgan
Boone Israel
Boone James
Boone Jemima
Boone Nathan
Boone Rebeka
Boone Squire
Boston Charley
Boucher Pierre

Bouquet Henry
Bourke John
Bourne Russel
Boutelle Frazier
Bowlegs Billy
Bowman John
Bozeman John
Boyd Thomas
Braddock Edward
Bradford William
Bradstreet John
Brady Samuel
Bradley Luther
Brant Joseph
Brant Mary (Molly)
Brant Nicklaus
Brébeuf Jean de
Brewster William
Bridger James Felix
Brodhead Daniel
Brooke John
Brown Frederick
Brown William
Brûlé Étienne
Buckongahela
Buffalo Bill patrz Cody William Frederick
Burgoyne John
Burns James
Burrows Thomas
Butler John
Butler Walter
Butler William
Butler Zebulon

Butterfield John
Byk Niedźwiedź

C

Cabeza de Vaca Alvaro
Cabot John (Giovanni Caboto)
Cabot Sebastian
Caldwell William
Calhoun John
Call Richard
Caller James
Camp Carter
Campbell Donald
Campbell John
Campbell Richard
Campbell Robert
Campbell William
Canby Edward
Canonchet
Canonicus
Cão Diego
Cárdenas García López de
Carleton James
Carr Eugene
Carrasco José Maria
Carrington Henry
Caroline
Carpenter Louis
Carson Christopher „Kit”
Cartier Jacques
Carver John
Cętkowany Ogon
Cętkowany Orzeł

Champlain Samuel de
Chanco
Charley Poblizniona Twarz
Chato
Chauvin Pierre de
Che-cho-ter
Chetcoe Jennie
Chingachgook
Chivington John
Chiyawee
Chodzący Żółw
Christie John
Chunz
Church Benjamin
Clairborne Ferdinand
Clark George Rogers
Clark Ransom
Cleveland Groover
Clifford Walter
Clinch Duncan
Clinton George
Clinton James
Clum John
Cochise
Cockacoeske
Cody William Frederick „Dziki Bill”, „Buffalo Bill”
Colbert Jean-Babtiste (Baptiste)
Cole Nelson
Colley Samuel
Collins Caspar
Coloradas Mangas
Colter John
Colvin Al

Colyer Vincent
Connoly John
Connor Patrick
Cooke William
Cooper James Fenimore
Corbusier William
Cornstalk patrz Kaczan Kukurydzy
Coronado Francisco Vásquez de
Corredor Mauricio
Corte-Real Gaspar
Coyuntura
Craig Louis
Crawford Emmet
Crawford William major
Cresap Michael
Croghan George
Cromwell Oliver
Crook George
Curtis Samuel
Cushing Howard
Custard Amos
Custer George Armstrong
Cuyler Abraham
Czapla patrz Ross John
Czarne Kopyto
Czarny Jastrząb
Czarny Jim
Czarny Kocioł
Czarny Koń
Czarny Lis
Czarny Niedźwiedź
Czarny Pies
Czarny Ptak

Czarna Ryba
Czerwona Chmura (Makhpiya-luta)
Czerwona Mrówka patrz Delshay
Czerwona Sowa
Czerwone Oko
Czerwony Jastrząb
Czerwony Koń
Czerwony Orzeł
Czerwony Ptak
Człowiek, Którego Konia Boją Się Wrogowie

D

Dale Thomas
Daleki Wojownik
Dalyell John
Davidson John
Davis Britton
Davis Jeff
Delgado
Delshay (Czerwona Mrówka)
Denison George
Dennison Nathan
Denny William
Denys Jean
Desalin
Deszcz w Twarz
Diaz (Dias) Bartolomeu
Diaz Melchior
Diaz Porfirio
Dickinson John
Dieskau, baron
Dixon Bill
Dodge Henry

Dollard Adam
Dorchester lord
Dorrance Georg
Dos-teh-seh
Drewniana Noga
Duane James
Dunmore lord (Murray John)
Dunquat
Dwa Kotły
Dwa Księżyce
Dyar Leroy
Dziki Koń

E

Eaton John
Eckert Allan W.
Ecuyer Simon
Egushawa
Elinipsico
Elżbieta I
Emathla Charley
Endecott John
England Richard
Enos
Eriksson Leif (Leif Szczęśliwy)
Eryk Rudy
Esquimisquin
Etherington George
Eustis William
Evans John
Eyck Tenodor Ten

F

Felmer Joe
Fetterman William Judd
Field John
Filip patrz Metacomet
Finley John
Fisher Isaac
Fitzgerald John
Fitzpatrick Thomas
Fleming William
Floyd John
Forbes John
Foreman William
Forsyth George „Sandy”
Forsyth John
Fowler Orson
Franciszek I, król Francji
Frazer Upton
Fremont John Charles
Frobisher Martin
Frogg Jeremiah
Fuller Matthew

G

Gage Thomas
Gaines Edmund
Gall
Gama Vasco da
Gamesett
Garb
Gardiner George
Gardiner Lionel
Gates Hotatio
Gatewood Charles

Gentles William
Geronimo (Goyahtla)
Gibbon John
Gibson Alexander
Gibson John
Gilbert Humphrey
Gillem Alvin
Gillivray Alexander
Girty Simon
Gladwin Henry
Glass Hugh
Głowa Byka
Goffe William
Gordon Francis
Gore George
Goyahtla patrz Geronimo
Grant James
Grant Ulysses Simpson
Grattan John
Gravé du Pont François
Greathouse Daniel
Green John
Green Nathaniel
Grover Abner „Sharp”
Grummond Frances
Grummond George
Gudrid, żona Thorsteina
Guyasuta

H

Hall James
Hamilton Henry
Hand Edward

Hardin John
Harmar Joshiah
Harris Moses
Harrison William Henry
Harrod James
Hartley Thomas
Henderson Richard
Henry Andrew
Henry Patrick
Henryk IV, król Francji
Henryk VII, król Anglii
Henryk Żeglarz
Hieronim św.
Hillis Hadjo (Francis Prorok)
Holmes Robert
Holmes William
Hooker Jim
Holt Joseph
Holyoke Samuel
Homathlemico
Hoomoothyah (Mokry Nos)
Hopkins Samuel
Horawannit patrz Sagamore John
Horn Tom
Horsey Walter
Howard Charles
Howard Oliver Otis
Hudson Henry
Hunkesni patrz Siedzący Byk
Hunt Thomas
Hutchinson Edward

Inkpaduta patrz Szkarłatny Punkt
Isa-tai

J

Jackson Andrew
Jackson David
Jackson James
Jakub I, król Anglii
Jan II, król Portugalii
Jaramillo Josefa
Jednooki Dekaury
Jefferson Thomas
Jeffords Tom
Jej Święte Drzwi
Jenkins Edward
Jennes John
Jerome David
Jerzy II
Jesup Thomas
Johnson Andrew
Johnson Guy
Johnson Isaac
Johnson James
Johnson William
Johnston Benjamin
Jonhston Albert Sidney
Josephy Alvin M.
Józef Młodszy (Heinmot Tooyalakekt)
Juh
Jumper
Jung Patrick

K

Kaczan Kukurydzy
Kamienna Łydka
Kapitan Fajka
Kapitan Jack
Karol I, król Anglii
Karol II, król Anglii
Kayitah
Kearny Philip
Kearny Stephen Watts
Kenton Simon
Kędzierzawogłowy Doktor
Kinney Nathaniel
Kintpuash patrz Kapitan Jack
Kirke, bracia
Knox Henry
Kobiece Serce
Kocoum
Koekuk
Kolumb Krzysztof
Koński Grzbiet
Kopiący Niedźwiedź
Król Hendrick
Ksenofont
Kulawy Biały Człowiek
Kulawy Jeleń
Kwiat Prerii (Topsannah)

L

Lamachatte patrz Czerwony Orzeł
Lamb Martha J.
Langhorne Dade Francis
Langlade Charles de
Lathrop Thomas

Lee Robert
Leslye William
Lewa Ręka
Lewis Andrew
Lewis Charles
Limerick Nelson Patricia
Lincoln Abraham
Lisa Manuel
Logan, wódz Mingów
Logan Benjamin
Logan John
Loco
Lucas Robert
Ludwik XIII
Ludwik XIV

Ł

Łajno Kojota patrz Isa-tai

M

Mackenzie Ranald
MacRae Washington John
Maksymilian, cesarz
Mała Wydra
Mały Wielki Człowiek
Mały Wilk patrz Isa-tai
Mały Wojownik
Mały Żółw
Manrique González
Manuelito
Marchand de Lignery François-Marie Le
Marshall Samuel
Martine

Mangas Coloradas
Mangus
Mason John
Massasoit
Mather Cotton
Mathey Edward
Matoaka patrz Pocahontas
Matoonas
Maxwell William
Mąż Heleny
McClelland John
McClintock James
McColloch Samuel
McGregor Conor
McDougall Thomas
McIntosh Archie
McIntosh William
McLaughlin
McMahon William
Meacham Alfred
Means Russel
Menewa
Mendoza Antonio de
Menéndez de Avilés Pedro
Metacomet
Miantonomo
Micanopy Mikanopy
Miles Nelson Appleton
Milner „California Joe”
Mimms Samuel
Minnit Peter
Młody Człowiek, Którego Koni Boją Się Wrogowie
Moluntha

Monahee
Monroe James
Montcalm Louis-Joseph de
Mooers John
Moraga Posito
Morgan Miles
Mosly Samuel
Mothe Cadillac Antoine de la
McQueen Peter
Muir Samuel C.
Munson Lent
Muttawmp

N

Naduah patrz Parker Cynthia
Naiche
Namumpam patrz Wetamoo
Nanni-Chaddi
Nantaje
Nanuntenoo patrz Canonchet
Narbona
Narbona Miguel
Narváez Panfilo de
Natan Lupan patrz Crook George
Nashashuk
Neamathla
Nectowance
Nehemiah
Neyon de Villiers Pierre-Joseph
Nicolet Jean
Nicot Jean
Niebieski Kaftan
Niedźwiedzi Płaszcz patrz Miles Nelson Appleton

Ninigret
Niski Byk
Niza Marcos de
No-bah
North Frank

O

Odeneal Thomas
Oldham John
Ollikut
Oñate Juan de
Onis Luis de
Opechancanough
Osceola
Oszust

P

Pacheco Luis
Padilla Juan de
Palmer Joel
Paquiquino (don Luis de Velasco)
Parker Cynthia Ann
Parkman Francis
Pasptanze
Patrick William
Pattie James
Pattie Sylvester
Paul Christopher
Pawling Albert
Pecos
Peltier Leonard
Peralta Pedro de
Perry David

Pete Nocona
Phillips John „Portugee”
Picot de Belestre François-Marie
Pierce Michael
Pisago Cabezon
Pitt William Starszy
Pleasanton Alfred
Pluggy
Pocahontas (Rebecca)
Pontiak (Pondiac, Pondiag)
Poor Enoch
Pope Duval William
Popé, szaman
Potts John
Pouchot Pierre
Powell Billy patrz Osceola
Powell James
Powell, szkocki kupiec
Powhatan (Wahunsonacock)
Prawnik
Price George
Price William
Prideaux John
Prorok patrz Tenskwatawa
Puckshinwa
Pynchon John

Q

Quadequina
Quanah Parker
Quincy Adams John
Quinnapin
Qunnoune patrz Canonicus

Qusamequin patrz Massasoit

R

Raleigh Walter

Ray William

Reno Marcus

Reynolds James

Reynolds John

Richelieu Armand Jean, kardynał

Riddle Frank

Riddle Tobey

Roberts Thomas

Rogers Erastus

Rogers Robert

Rolfe John

Rolfe Thomas

Romney George

Ross John

Ross Lawrence „Sul”

Ross William J.

Rowlandson Mary

Royer Daniel

Rucker John

Russell Henry

Rzyski Nos (Nietoperz)

S

Sagamore John (Wódz John)

Samoset

Sancumachu

Sassacus

Sassamon John (Wassausmon)

Sauwauseekau

Sawyer Lewis
Schlosser Francis
Schonchin John
Schuyler Walter
Scoppathusa
Scott Richard
Scott Walter
Scott Winfield
Sekwoja
Sequasson
Shepherd David
Sheridan Philip
Sherman William Tecumseh
Shirland Edmond
Shull Jesse W.
Sibley Henry Hastings
Sibley Henry Hopkins
Siedzący Byk
Siewca Kukurydzy
Siwa Broda
Skilleron George
Skonches
Slany John
Slough John
Smith Andrew
Smith Jedediah
Smith John, angielski kupiec i żołnierz
Smith John, płk. Pułku Piechoty USA
Smith Lewis
Smohalla
Smyth Constantine
Sowheag
Squanto (Tisquantum)

Stary Dym
Stary Schonchin patrz Skonches
St. Clair Arthur
Sterling Albert
Sternberg Sigismund
Steuben Friedrich Wilhelm von
Stevens Isaac
Stillman Isaiah
Stillwell Simpson „Jack”
Stone John
Stopa Indyka
Stopa Wrony
Stroud Adam
Stuart Charles
Stuart Jeb
Sturgis Samuel
Sublette William
Sullivan John
Sully Alfred
Sumner Voss Edwin
Szalony Koń (Tashunka Witko)
Szary Wilk patrz Crook George
Szczyły Łoś
Szekspir William
Szkarałatny Punkt – Inkpaduta

Ś

Ścieżka Cielęcica Bizona
Świetlisty Orzeł

T

Tajemniczy Niedźwiedź
Tatanka Yotanka patrz Siedzący Byk

Taylor Alfred
Taylor Edward
Taylor Zachary
Taza
Teal John
Tecumseh
Tehowaghwengaraghkwin
Telles Feliks
Tenskwatawa
Terrazas Joaquin
Terry Alfred
Tępy Nóż
Thayendanega patrz Joseph Brant
Theyanoguin patrz Król Hendrick
Thomas Eleazer
Thomas Evan
Thompson Wiley
Thorvald
Thorstein
Throckmorton Joseph
Tirana Rodrigo de
Tocqueville Alexis de
Todd John
Too-hool-hool-zote
Toto
Totopotomoi
Tovara Pedro de
Travis James
Tribollet Bob
Trimble Joel
Trudeau Pierre
Trzy Gwiazdy
Tuekakas patrz Wódz Józef Starszy

Turner William

U

Underhill John

Unkas (Lis)

V

Vane Henry

Vargas Diego de

Vasquez Louis

Verrazzano Giovanni da

Verrazzano Girolamo da

Vespucci Amerigo

Vestal Stanley

Victorio

W

Wabasha

Wadsworth Samuel

Waldron Richard

Walker Samuel

Wallace George

Walsh James

Walsh Paddy

Wampapaquan

Wamsutta

Wapigwooit

Ward John

Warraghijagey patrz Johnson William

Warren Benjamin

Warren Peter

Washakie

Washee
Waszyngton Jerzy
Wawequa
Wayne Anthony „Szalony Antoni”
Weatherford Charles
Weatherford Wiliam patrz Czerwony Orzeł
Weedon Frederick
Wessels Henry
West Joseph
Wetamoo
Wheatley James
Wheaton Frank
Wheelocke Eliazar
Wheeler Thomas
Whiteside Samuel
Whitside Samuel
Wielka Stopa
Wielki Kot
Wielki Wojownik
Wielki Żółw
Wielkie Czerwone Mięso
Wielkie Usta
Wilhautyah
Wilkins John
Willard Simon
Williams Roger
Wilson Jack patrz Wovoka
Winslow Edward
Winslow Josiah
Wolfe James
Wood Charles
Wool John
Woolsey King

Wootonekauske
Wovoka
Wódz Józef Starszy
Wright Ben
Wright James
Wroni Król
Wyandank
Wynkoop Edward W.
Wysoki Byk
Wysoki Kręgosłup

Y

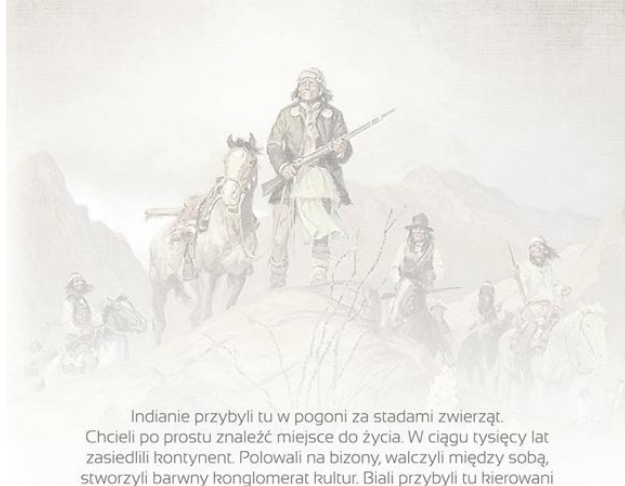
Young Brigham
Young Ewing

Z

Zabić Orła
Zabójca Jeleni
Zane Ebenezer
Zane Jonathan
Zane Silas
Ziółkowski Korczak
Zła Rana
Zwierciadło Młodszy

Ż

Żółć
Żółta Ryba
Żółty Ptak
Żuraw



Indianie przybyli tu w pogoni za stadami zwierząt. Chcieli po prostu znaleźć miejsce do życia. W ciągu tysięcy lat zasiedlili kontynent. Polowali na bizona, walczyli między sobą, stworzyli barwny konglomerat kultur. Biali przybyli tu kierowani żądzą złota. Żądzą podbojów. A niektórzy gnani chęcią krzewienia wiary. Jeszcze inni chcieli jedynie lepszego losu dla siebie i swoich rodzin.

STARCIE OBU CYWILIZACJI BYŁO NIEUCHRONNE.

W wojnie o panowanie nad kontynentem Indianie byli od początku na straconej pozycji. Jedyne, co mogli zrobić, to spowolnić napływ białych i choć na pewien czas powstrzymać nieubłaganą machinę obcej cywilizacji, niosącą kres ich dotychczasowemu światu. W końcu jednak, po latach walk i niewyobrażalnych cierpień, fala ze wschodu zmyła ich i przyniosła im zagładę.

Patronat medialny:
MÓWIĄ WIEKI

Książka
dostępna
elektronicznie
jako



www.ksiegarnia.belfona.pl